This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

82472

NA KRESACH.

WYBÓR PISM

JANA ZACHARYASIEWICZA.

NA KRESACH.

TOM I.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

NA KRESACH.

POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH TOMACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARYASIEWICZ.

TOM PIĔRWSZY.

Ex libris
JUR ZYŃSKICH

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

TK

PG7158
Z19 N3
1887

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, дня 24 Января 1887 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. 66.

Ex libris
JUNOSZYŃSKICH

WSTĘP.

Osnowa powieści Jana Zacharyasiewicza: „Na kresach," rozpoczynającéj się obecnie w dodatku do „Tygodnika ilustrowanego," wkłada na redakcyą tego czasopisma obowiązek poruszenia kilku myśli, które same się narzucają przy ponownem czytaniu dzieła zasłużonego pisarza.

Dedykacya powieści „Na kresach" Karolowi Joannie Szajnochom, nosi datę d. 1-go stycznia r. 1860-go. Zaczął się tedy rok dwudziesty ósmy od chwili jéj ukończenia. Zacharyasiewicz, kiedy ją pisał, był jeszcze prawie młodzianem. Po kilku pomniejszych próbach literackich, po napisaniu większéj powieści: „Uczony" tudzież innych, zwracających już uwagę treścią i dążnością społeczną, spostrzegł Zacharyasiewicz, że powieść polska potrzebuje nowych dróg i szérszych widnokręgów. Czuł autor w duszy, czuł w piersiach burzę, która szérszego i głębszego oddechu wymagała. Do tych dróg nowych miał pochop od piérwszéj młodości, a gorąca miłość ziemi rodzinnéj, wpatrywanie się w jéj dzieje i koleje lat ostatnich, przebycie gorzkiéj szkoły życia w więzieniach austryackich, czyniły go coraz bardziéj usposobionym do kroczenia po nowych szlakach. Wygórowane w nieszczęściach uczucie nadało nerwom jego wrażliwość

ogromną na każdy przewiew, który mógł społeczeństwo przyprawić o chorobę nieuleczoną. Czuł boleść w duszy wiejącą od przyszłych smutnych wypadków, kiedy nikt jeszcze tych wypadków nie przewidywał. Ta właśnie czułość na gotujące się klęski zawiodła Zacharyasiewicza na nowe tory twórczości, a piérwszym owocem na tych drogach była powieść: „Na kresach,“— utwór istotnie proroczy w odgadywaniu tego, co się stać miało nad Wartą i Notecią dopiéro po upływie ćwierci wieku.

Dzieło: „Na kresach,“ pomimo toku powieściowego, żywszego nawet niż w innych utworach Zacharyasiewicza, rozpiéra swojém założeniem ramy powieści, obejmuje rozległe przestwory, wystawia obraz ponuréj grozy, któréj w r. 1860-ym jeszcze nie dostrzegano, a która dopiéro teraz w całym ogromie huczy nad najbardziéj zachodnią cząstką Słowiańszczyzny polskiéj, sięgającéj niegdyś po za Odrę i północne brzegi Rugii. Dziwna zaiste była intuicya młodego autora. Podjął w powieści temat, który podówczas prawie nie istniał w rzeczywistości: nakréślił obrazy, których jeszcze nie widywano w Poznańszczyźnie i Prusiech zachodnich, — a nakréślił je tak wiernie, że gdyby nie data dzieła, mniemaćby można, że je wczoraj napisano.

Groźny system wypiérania z ziemi pradziadowskiéj—system ściśnięty w jedném słówku: „ausrotten,“ podany ku powszechnéj nauce i uwielbieniu Niemców przez najnowszego ich filozofa Hartmanna,—już żyje w powieści „Na kresach,“ wcielony w osobach działających; rozlega się na naradach z ust uczonego Niemca Tamimischela... „*Slavus*—powiada filolog pru-

ski—to tyle co *sclavus*; a więc Słowianie muszą być naszymi niewolnikami!“ Roztacza się tam cała sieć pomysłów do łowienia przyszłych ofiar, najmisterniéj wiązana; celem zaś całéj roboty jest wyparcie żywiołu polskiego z ziemi ojczystéj i zakupienie jéj pod *kolonizacyą* niemiecką! Dopomaga téj szatańskiéj robocie nasza tradycyjna niezaradność i obojętność, tak samo jak to i dzisiaj widzimy. Są wprawdzie pobłyski zwycięztwa, gdy żywioł polski pochłania i przerabia na własne soki pojedyncze posterunki niemieckie; ale małe to gwiazdki nadziei dla upadających na duchu — a wśród końcowéj strasznéj tragedyi odzywają się ledwo jak dalekie pienie anioła pocieszyciela.

Zadziwiająca intuicya Zacharyasiewicza w odgadywaniu najbliższéj przyszłości, wygląda téż z kolei życia samego bohatéra powieści. Na pozór kończy on w sposób oklepany: po walkach w wielkich celach przedsięwziętych, zostaje księdzem. Ale właśnie w tém zakończeniu tkwi myśl głęboka. Autor ujrzał w widzeniu przyszłe pole bitwy: przeczuł, że piérwszą walną rozprawę z wynaradawiającym „kulturkampfem“ stoczy duchowieństwo polskie. Kto wié, czy bohatér powieści „Na kresach“ nie walczył w tych szeregach, których sztandar miał na sobie obok znaków religijnych i godła narodowe: „*In hoc signo... pugnabimur*— na brzegach Warty i Noteci.“ Zacharyasiewicz nietylko przepowiedział walkę i jéj charakter, ale nawet odcienie tego charakteru. Przepowiedział, a tém samém zawczasu powiedział: „Baczność!“ Jest to największa zasługa pisarza.

W prostéj przypowieści o zégarmistrzu z epilogu autor wskazał nawet sposób działania. Zégarmistrz

Polak, wysuszony w więzieniach pruskich, nauczył się od więzionego razem z nim Niemca sztuki wyrabiania zégarów lepszych niż dotychczasowe drewniane kukułki. Więc powróciwszy do swoich, powiada: że wszystko własne czcić i przechowywać należy, ale też nie lekceważyć tego, co się dobrego znajdzie u obcych. Wróg jest pożytecznym nauczycielem dla tych, którzy się uczyć umieją.

Do szeregu takich prac obywatelskich Zacharyasiewicza, jak „Na kresach," należą jeszcze: „Święty Jur," „W przededniu," „Zakryte karty," „Nemezys," „Tajny fundusz," „Chléb bez soli" i inne. Słyszymy w nich zawsze ten sam głos ostrzegający społeczeństwo, podnoszony przez czuwającego pisarza-żołniérza: „Baczność!"

Cześć mu i chwała za to!

W. Korotyński.

KAROLOWI I JOANNIE

SZAJNOCHOM

poświęcam.

Nie jeden promień światła zapaliłeś w ciemniach przeszłości naszéj, Bracie kochany — a pośród nas ogarnęła Cię ciemność nocy. Oprowadziłeś nas po katakumbach dziejów ojczystych, a dzisiaj nie widzisz bratniéj dłoni, którą Ci podajemy. Lecz świat Twego ducha czysty i jasny. Świéci w nim piękna gwiazda Twego anioła, świécą szczére uczucia Twoich przyjaciół! Oby Ci one wystarczyły choć za jeden promyk tego słońca, które dzisiaj dla Ciebie zachodzi.

Lwów, dnia 1-go stycznia r. 1860-go.

Ex libris
JURCZYŃSKICH

I.

Mieszkańcy Radziejewa mieli dzisiaj noc bezsenną. Jędrzéj Maciejaszek, najrozumniejszy chłop w całéj osadzie, widział na własne oczy dziwne rzeczy.

— I jakże to było?—pytał po raz dwudziestu Marek Paliwoda, największy niedowiarek i farmazon.

— A już ci nie inaczéj, jak mówiłem—odpowiadał po raz dwudziesty Maciejaszek.

— I poszło prostą drogą do młyna?

— Jakby strzelił.

— Święty Boże!... a w browarze?

— Świéci się jeszcze, a ten czarny pan chodzi po izbie i czegoś ręce łamie.

— To coś na złe wróży.

— Patrzy na wojnę.

— Może zaraza morowa...

— A najprędzéj, że nowe podatki nałożą — zakonkludował Marek Paliwoda, niespokojny duch gromady.

— Wam bo tylko lutry w głowie!

— Wszak sami mówicie—odburknął Paliwoda—

dyabeł, który niósł młynarza, był kubek w kubek dobny...

Maciejaszek splunął trzy razy i przeżegnał się, Paliwoda zaproponował swemu sąsiadowi, aby z nim dał się do młyna i tam na miejscu przekonał, że ani yabła, ani mielnika w młynie niéma.

Oburzyła się na to cała gromada Radziejewa, a farmazon Paliwoda musiał chyłkiem do domu uciekać, aby za swoję protestacyą przeciw tradycyjnéj wierze ludowéj kilka szturkańców nie oberwać. Pozostali włościanie uwolniwszy się tym sposobem od niewiernego Tomasza, zgodzili się wszyscy na jedno, iż mielnika dyabli wzięli; nie wiedzieli tylko, jakie to skutk za sobą pociągnąć może. Jedni byli za wojną, drudzy za morowém powietrzem... O nowych podatkach i lutrach nikt nie mówił, bo nie było już między nimi Marka Paliwody.

Poczciwi to ludzie, ci włościanie Radziejewscy! Wierzą oni w Boga, w przenajświętszą Maryą, wierzą w powszechny kościół katolicki, ale wierzą téż i w dyabła, z całą niezachwianą wiarą ludu polskiego, i w tém się tylko od innych różnią, że ten dyabeł w ich wyobraźni często podobny jest do burmistrza z Dąbczyna. Jest to jedyny przesąd tych prostaczków, zresztą są to ludziska bardzo poczçiwi; płacą należycie podatki, nie dopuszczają nigdy do sekwestru, z wyjątkiem Marka Paliwody, który jest oczywisty farmazon i wartogłów.

Lecz zkądże ta sprawa dyabła z mielnikiem Radziejewa?

Wieś Radziejewo należy do rzędu tych osad polskich, które jak stracone czaty wysunęły się naprzód,

na sam kraniec ziemi wielkopolskiéj. Długi czas gospodarował tu jakiś podstarości, aż wreszcie po wielu latach powrócił dziedzic, a wrócił smutny i strapiony. Chciał on tutaj w cieniu strzechy rodzinnéj dośnić owych snów złotych, które mu rzeczywistość wydarła. Miał kiedyś jakiś wysoki zawód publiczny, a gdy go opuścić musiał, wszedł zgarbiony do dworca, z którego niegdyś młodzieńcem w świat wyruszył. Czynny jego umysł nie mógł i tutaj leżéć odłogiem. W tém wązkiém kole chciał odtworzyć dawniejszą przeszłość swoję. Nie mogąc zakładać instytucyj większych rozmiarów założył w wiosce swojéj szkółkę dla włościan, szpichlérz i infirmeryą, w któréj spracowany robotnik mógłby bez grzechu i nędzy dokończyć żywota, a w chorobie znaléźć potrzebny ratunek.

Zawiódł się jednak w swoich oczekiwaniach poczciwy fundator. Jeszcze szkółka prosperowała jako tako w zimie, bo była obszérna i dobrze ogrzana, ale inne dwie instytucye wcale się nie przyjęły. Szpichlérz gromadzki stał pustką, chociaż co tygodnia wywożono zboże na targ do Dąbczyna, a w szpitalu gnieździły się sowy i kawki, choć znów wiele kalék rozłaziło się z wioski o kiju żebraczym.

Inaczéj téż być nie mogło... Wspólność majątku gromadzkiego nie mogła się pomieścić w głowach chłopskich, do których ekonomia polityczna jeszcze nie zaświtała, a umiérać nie na swojém śmieciu, umiérać w szpitalu, za receptą cyrulika, umiérać bez bab, ziół, czarów i zażegnywań, byłoby występkiem przeciw tradycyi ludowéj. Do tego szpital gromadzki urządzono w starym, spalonym browarze, a przecież i dziecku wiadomo, iż w każdym starym, polskim browarze mie-

szka dyabeł... Browar Radziejewa tém się różnił od innych, że zamiast jednego, miał dwóch takich lokatorów, jak to sobie na ucho opowiadali pastuchy radziejewscy. Nie dziw więc, że chory włościanin zapychał się w najciemniejszy kąt swojéj izby, trzymał się rękami i nogami śmiertelnéj pościeli i wolał starym obyczajem nawet przed upływem terminu oddać ducha Bogu, niżeli za receptą lekarza przytrzymywać ją czas niejaki w atmosferze spalonego browaru!

A cóż dopiéro dać się zamknąć w infirmerii na łaskawym chlebie! Któryż to polski kaléka, lub stary wiejski proletaryusz, dałby sobie wziąść ten poetyczny epilog swego życia, zakończonego o kiju żebraczym? Wszak to najsmaczniejsza zakąska po chudéj strawie jego żywota! Ten ruch ustawiczny, ta rozmaitość przygód, ta niepewność jutrzejszego obiadu, owe strategiczne marsze i kontramarsze w obec psów i żandarmów, ileż to poezyi, ileż uroku, ileż snów romantycznych! I jakże zrzec się owéj brody malowniczéj, owych fantastycznie zwieszonych łachmanów jakże to w siwym kubraku z krzyżem na piersiach gnić na łóżku szpitalném, czekając jak zwierzę wymierzonego karmu!

Tak więc zbawienna fundacya dziedzica okryła się w oczach dziadów hańbą i sromotą; zamieszkały ją sowy i kawki, a biada człowiekowi... któryby pod jéj dachem dziurawym szukał w nocy schronienia!

Długo walczył poczciwy dziedzic z nałogiem swoich włościan, a gdy mu w końcu i w tém małém kółku za przestrono się zrobiło i gospodarstwo podupadać zaczęło, oddał swoję wioskę w młodsze, jak się wyrażał, ręce, czując się za starym dla dzisiejszego świata. I jeszcze więcéj ścieśnił swój zakres, zwęził go do czté-

rech ścian małego pokoiku, w którym porozwieszał na ścianach wszystkie pamiątki dziejów ojczystych po całych dniach rad się w nie wpatrując.

Następca dziedzica nie o wiele był młodszy i jemu też nie powiodło się nadać tym filantropijnym instytucyom należnego znaczenia. Szpichlérz spalił się niepojętym sposobem, a infirmerya gromadzka, vulgo spalony browar, pochyliła się z powagą ku ziemi, jak każde dzieło rąk ludzkich.

Po niejakim czasie zmieniły się rzeczy. Prostą drogą z Berlina przyjechał nieznany nikomu młody człowiek, czarno ubrany, z czarnym na twarzy zarostem. Miał on w zanadrzu dyplom szkoły medycznéj, przekazujący mu prawo łaski i miecza na cały rodzaj ludzki. Zamieszkał w Dąbczynie, a chodził po wsiach, do włościan bowiem szczególniejszą miał pasyą. Pan na Dąbczynie uśmiéchał się dziwnie, gdy o tém mówił. Utrzymywał on, że dla młodego lekarza taka praktyka jest najlepszą, gdyż pozwala mu czynić różne eksperymenta *in anima villi*...

Otóż młody lekarz będąc razu jednego w Radziejewie, dowiedział się o zacnych chęciach szanownego dziedzica, o spalonym szpichlérzu gromadzkim, oraz o tak zwanym „spalonym browarze“ i jego przeznaczeniu, a witając z zapałem wschodzącą jutrzenkę postępu i cywilizacyi, wymógł usilnemi prośbami na właścicielu Radziejewa, iż infirmeryą gromadzką na nowo wskrzesić postanowił.

W tym celu naprawiono dach dziurawy budynku, wypędzono sowy i kawki, ale dyabeł został, a pobożna instytucya razem z dyabłem przyjąć się nie mogła... Zaledwie bowiem po skończonéj reparacyi, młody le-

karz o znaczeniu szpitalu i infirmeryi radziejewskiéj gromadzie wykładać począł, wszyscy chorzy nagle, jakby cudem, ozdrowieli, ślepi przejrzeli, niemi przemówili, a co było dziadów i niedołęgów, wszystko to powymykało się chyłkiem ze wsi, pomimo pruskiego patentu „o włóczykijach.“ Słowem, wieś stała się nagle młodą i zdrową, jak bursztyn, każdy miał przytułek i był syty na dni kilka...

Ale młody lekarz nie dał się zbić z drogi. Mówił, dowodził, napominał, a gdy wreszcie rządową zagroził egzekucyą, gromada poczęła się naradzać, co w takim razie uczynić wypada. Sądząc prostym sposobem, iż do dwóch własnych dyabłów, mieszkających w spalonym browarze, nie trzeba nowych przywoływać, zgodzono się wreszcie na wydanie jakiéj ofiary z pomiędzy swego grona, aby dobrym chęciom dziedzica i lekarza zadość uczynić.

Los padł na mielnika, któremu przed kilkoma dniami koło młyńskie zgruchotało rękę. Cały ten nieszczęsny wypadek opowiedziano lekarzowi, który natychmiast z przełożonym gminy udał się do młyna.

Na brudnéj pościeli, śród kłębów mgły mącznéj, leżał biédny mielnik. Kilka osób krzątało się koło niego. Przy nim siedział chłop z Owszyny, znany, samorodny konował w całéj okolicy. Nikt lepiéj od niego nie naprawiał nóg złamanych. Grubym sznurem powiązał zgruchotaną rękę chorego, zakręcił polanem i zmaczał wodą dla lepszego ściśnienia.

Biédny mielnik ani się skarżył, leżał spokojnie, podczas gdy jego medyk wódeczką się zakrapiał. A cała izba trzęsła się i skrzypiała, turkot kół i pytlów, oraz huk spadającéj wody był przerażający.

Stan chorego był niebezpieczny. Rana przeszła w gangrenę, na głowie ukazały się znaki silnego uderzenia. Z wielkim uporem licznéj jego rodziny, zaniesiono chorego w przygotowanéj do tego lektyce do spokojnéj i wygodnéj izby gromadzkiego szpitala. Zrobiwszy, co mu nauka i sumienie nakazywały, zostawił lekarz chorego śród czuwającéj przy nim rodziny i nocnych stróżów gromadzkich, a sam udał się już późnym wieczorem do izdebki, którą po drugiéj stronie szpitala dla nadzorcy przeznaczono.

Chory mielnik leżał na świéżem, miękkiém łóżku i patrzył osłupiałém okiem na siedzącą przy nim rodzinę. Najstarszy syn przyniósł tymczasem sporą flaszkę wódki.

— Życie człowieka to jak kropla wody! — ozwał się zięć mielnika i pociągnął z flaszki.

— Bez Boga nic się nie dzieje!—rzekła żona, dodając pszennego placka.

— Wszyscy musimy umiérać! — dodał wujaszek chorego, biorąc do ręki flaszkę.

— Człowiek jak robak na drodze! — mówił stróż gromadzki, spluwając na widok wódeczki.

I gdy tak wszyscy wypowiedziawszy głęboką sentencyą o znikomości życia ludzkiego, po wypróżnieniu flaszki, za przykładem nocnego stróża do snu się zabiérali, ozwał się chory słabym głosem, prosząc zgromadzonych o ostatnią przysługę. Smutno mu było bez turkotu kół młyńskich i pytlów; jego pierś pragnęła raz jeszcze napoić się owym mącznym pyłem, który jak mgła poranna unosi się po kątach jego izby. Zgromadzeni słuchali go ze czcią należną, a wysławszy nocnego stróża na zwiady pod drzwi lekarza, wzięli miel-

nika na barki i przez rowy i płoty zanieśli go do młyna, ku zgorszeniu Jędrzeja Maciejaszka, który właśnie stał na podwórzu swego obejścia i na własne oczy te figle czartowskie widział.

Uśmiéchnął się chory mielnik, słysząc ulubiony turkot kół i pytlów, i pełną piersią zachwycił dusznego, mącznego powietrza ubogiéj swojéj izdebki. Konował z Owszyny stanął znowu przy jego brudnéj pościeli, odwiązał bandaże, opasał sznurem rękę zgruchotaną, a nim na północ kury zapiały, dusza mielnika ulatywała na białym obłoku mącznego pyłu, śród huku i stuku kół młyńskich, w blade, sine przezrocze nocy majowéj!...

W małéj izdebce po drugiéj stronie szpitalu, siedział pod ten czas młody lekarz smutny i zadumany. Twarz miał bladą, czoło piękne, wypukłe, a ciemne, marzące oko jego powlokło się szklistą obsłonką. Mógł on liczyć lat dwadzieścia sześć lub ośm; mimo to ponad piękną brwią zarysowało się kilka zmarszczek, ślady kilku głębszych myśli, uczuć, lub marzeń zawiedzionych.

Do izdebki wszedł człowiek o siwych włosach poczciwéj, rumianéj twarzy. Postawa jego i blizny na czole świadczyły, że kiedyś służył wojskowo. Wyprostował się z należytém uszanowaniem i czekał zapytania.

— I cóż tam, Jakubie?—zapytał lekarz.

Jakub Mietlica, ekonom folwarku radziejewskiego, były wachmistrz ułanów, odkrząknął z należytą

subordynacyą, jaką miał zawsze dla ludzi uczonych i rzekł:

— Mielnik umarł, wielmożny panie, a umarł tak cicho, iż nawet żona i dzieci nie słyszały, kiedy zeń wyszła dusza.

Dwie łzy zakręciły się w oczach lekarza; wstał szybko od stołu i obrócił się do okna. Ekonom nie dojrzał łez, a gdy milczenie dłuższe nie przypadło do smaku staremu gadule, odkrząknął znowu i mówił daléj:

— Wszyscy zawodzą, aż młyn cały chodzi, wielmożny panie, a piją, co się wlézie... Ja téż mówiłem, iż z tego szpitala nic nie będzie. A nasza pani, aż odmłodniała z radości, gdy się dowiedziała, że będzie miéć chorych na swoim wikcie! Pożal się Boże, to szkoda było kołka i siekiery; chłop chłopem...

Lekarz odwrócił się szybko od okna i z tak dziwnym wyrazem na twarzy spojrzał na ekonoma, że się ten przestraszył i kilka kroków w tył cofnął.

— Gdzieś się rodził, Jakubie? — zapytał go ekarz.

— Ja... ja...—mówił zmięszany ekonom—ja... rodziłem się w Kaliskiém...

— Kto byli twoi rodzice?

— Moi rodzice... to już tak dawno... moi rodzice byli... ja byłem przy ułanach i dzięki naszemu panu, byłem wachmistrzem.

— Ale twoi rodzice, kochany Jakubie?

— Moi rodzice — rzekł po chwili ekonom, spuszczając oczy ku ziemi — moi rodzice byli poddani we wsi Smarzewie. Nie wstydzę się wcale tego, i owszem, gdy się człowiek otrząsł z śmiecia i czegoś w świecie

się dosłużył, to jakoś miléj spojrzéć na siebie i po za siebie...

— Bardzo dobrze — odpowiedział na to lekarz— praca i dobry żywot podnoszą nas coraz więcéj, ale nie powinniśmy pogardzać tymi, co za nami zostali. Widzisz, panie Jakubie, nazywasz mię wielmożnym panem, a rodzice moi może byli ubodzy, ubożsi od twoich, od ciebie!

Stary ekonom pokręcił wąsa i potarł czoło széroką, opaloną dłonią. Nie kontent był z siebie, iż wyrwał się ze zdaniem, które jakkolwiek było namacalnie prawdziwém, jednak nie podobało się młodemu lekarzowi, któremu ze względów subordynacyjnych nie chciał się sprzeciwiać. Według niego regulamin był drugą biblią: starszego słuchaj i basta. Ale kogo miał za starszego, to znowu rzecz inna. Najstarszym był jego pan, któremu w wojnie i pokoju służył, a po panu następował ten, którego pan jego czcił i poważał. Księdza proboszcza słuchał tylko przy mszy i na spowiedzi, a że burmistrza z Dąbczyna *cum sortibus* za boskie nie miał stworzenie, to wpływało z jego gorliwości religijnéj, bo wszystkim niedowiarkom zaprzysiągł był wieczną nienawiść, za co od księdza proboszcza spodziéwał się przy każdéj wielkanocnéj spowiedzi powszechną otrzymać absolucyą.

Niejaki czas milczał stary ekonom, kręcąc wąsy to w tę, to w ową stronę. Pomimo największéj subordynacyi, nie mógł jednak przypuścić, aby chłop miał u niego jakie takie znaczenie; a gdy o sobie i o swoich rodzicach rozmyślać począł, przyszła mu nagle do głowy myśl szczęśliwa: iż urodzić się chłopem, znaczy wprawdzie to samo, co mieć na sobie grzech piérwo-

rodny, ale kto był ułanem, ten grzéch swój już zmazał, a cóż dopiéro wachmistrzem, mości dobrodzieju?...

Tak myślał stary ekonom, przychodząc powoli do równowagi zmysłów, które nieszczęsne zagadnięcie lekarza nieco pomięszało.

Lekarz tymczasem przystąpił znowu do okna i utopił wzrok w szary, nocny krajobraz. Tam gdzieś z daleka, z wody Noteci wstają mgły białe i ciągną powoli ku północy, jak szaty grobowe... I zaściélają strzechy wieśniacze, spuszczają się do okien i wołają na uśpionych mieszkańców: żegnamy was, my dzieci ziemi polskiéj; wkrótce zawieje wiatr i poniesie nas do obcych... A gdy nas obaczą lecące po nad swoje dachy czerwone rzekną między sobą: Oto szaty grobowe, które wiatr przyniósł do nas z za brzegów Noteci—tam muszą być trupy, pójdźmy tam!... I mówią daléj mgły białe do uśpionych mieszkańców: wstańcie i czuwajcie, bo już blizko wasz nieprzyjaciel!... A fale sinéj, dalekiéj rzéczki pomrukują głucho, jak płacz córki, gdy opuszcza dom rodzinny; jasne i szkliste, płyną zwolna, jak płynie łza pożegnania, a stojące po nad brzegiem drzewa szumią żałośnym wtórem, jak krewni i przyjaciele, żegnając rozstającą się z nimi dziéwicę!... Płyń dziécię gór naszych, pieszczotko dolin polskich, płyń rzéko polska, do obcéj ziemi, gdzie głosu fal twoich nikt nie zrozumié, nikt nie upoi się twemi wdziękami! Z tęsknotą wspomnisz o ziemi macierzyńskiéj, co cię wychowała, młodość twoję stroiła w kwiaty, dała ci posag z wód błękitnych, a tyś je zaniosła do obcych, ty dziécię słowiańskie poszłaś do nich w służbę, nosząc na swoich dziewiczych barkach ich towary i bogactwa, pracując w ich młynach i fabrykach i jak czarna nie-

wolnica, rozdzielając swe ciemne warkocze na tysiące ramion obcych...

Stary ekonom stał ciągle przy drzwiach niecierpliwie pokręcając wąsa. Milczenie młodego lekarza mocno go niecierpliwiło. Nie mógł pojąć, jak można w nocy tak długo przez okno patrzéć, jak można obrócić się plecyma do starego wachmistrza, który miałby tyle ciekawych rzeczy do opowiadania! Ale już to świat dzisiejszy taki, pomyślał sobie stary; młode pokolenie niéma czci dla żadnéj tradycyi, a zamiast w nią patrzéć jak w tęczę, obraca się do niéj plecyma, aby po ciemnéj jak noc przyszłości bezmyślnie błądzić!

Może nie tym stylem myślał stary ekonom, ale coś podobnego musiało mu przelecić przez głowę, bo nią potężnie pokiwał, a wyjąwszy z kieszeni krótką fajeczkę, zapalił ją w sekrecie.

Młody lekarz nie widział wcale téj szczególnéj konfidencyi starego ekonoma. Oparty o okno, patrzył ciągle przed siebie, w daleką, szarą przestrzeń. A tam daleko, na ciemném niebie malują się wieże Dąbczyna, masa czarnego muru wznosi się wysoko, a u jego stóp wije się obłudna kochanka, rzéczka błękitno-oka, usypiając go ostatnim zdradliwym pocałunkiem!... Śpij stary, siwy grodzie, ostatnia strażnico ziemi słowiańskiéj, upojony złotym snem i rozkoszą, śpij słodko na kresach ziemi polskiéj! Ale biada ci, gdy się zbudzisz! Zdradziła cię kochanka twoja błękitno-oka, poszła do obcych, a oni za jéj śladem przyjdą do ciebie, stary, siwy grodzie, ostatnia nasza strażnico, i mury twoje rozbiorą i podzielą między siebie, aby pamięć po tobie nie została!... Oto już stanęli w koło ciebie białym

szeregiem, ściskają cię coraz więcéj, upadniesz stary, siwy grodzie, strażnico ziemi naszéj!...

Młody lekarz odwrócił się nagle od okna i zawołał:

— Czy to Dąbczyn tam na prawo?

— Dąbczyn, wielmożny panie — odpowiedział ekonom.

— A ten białawy pas po za nim?

— To niemiecka osada Siegesfeld, dawniéj po naszemu Żegocin.

— Żegocin?—to dawniéj było polskie!

— Bardzo dobrze jeszcze pamiętam! należał do klucza Dąbczyńskiego. Powoli odkupili Prusacy pustką stojące grunta i nazwali je po swojemu, co ma znaczyć pole zwycięztwa. Dyabła tam, kiedy tu zwyciężyli! Pytałem już o to starego pana naszego, który wié o każdéj wyoranéj tutaj kości polskiéj, ale o zwycięztwie Niemców ani śladu w tém miejscu niéma!

— Zwyciężyli, zwyciężyli—mówił półgłosem młody lekarz.

— Jakto?—Wszak stary nasz pan...

— Byłeś żołniérzem, kochany Jakubie, a nie wiész, co to zwycięztwo. Gdy cię nieprzyjaciel spędzi z placówki i sam tam ogień rozłoży, nie straciłżeś kilkaset kroków ziemi, nie cofnąłeś się na drugą linię?...

— To prawda; sam pan major nazywał Mogiły redutą, a gdy je Warner kupił i po niemiecku gospodarować począł, rzekł pan do mnie: „Jakubie, strąć ten mostek na rzéczce granicznéj, Mogiły już nie nasze, redutę wziął nieprzyjaciel!“ I jeszcze tego samego dnia własną ręką podciąłem kładkę, przez którą

długi czas chodziliśmy wszyscy do Mogił, do pana Górnickiego. Był to bardzo poczciwy człowiek, tylko... Czy znał wielmożny pan Górnickiego, dawnego dziedzica Mogił?

Młody lekarz zrobił znak zaprzeczenia i usiadł na krześle. Korzystając z rozbudzonéj jego ciekawości, zaczął stary ekonom od tego, iż sobie już otwarcie fajeczkę zapalił, a usiadłszy w kącie na stołku, rzekł:

— Jeżeli już wielmożny pan koniecznie chce dzisiaj w spalonym browarze nocować, to gawędka starego wcale nie zawadzi. Mielnik przecież oddał już Bogu ducha, a w całéj wsi śpią ludzie, że aż miło. Poczciwy to nasz lud, ale głupi, jak wół... Sam pan widział, że do niczego. Mielnik wolał umrzéć przed czasem, niżeli zaufać ludziom, co więcéj umieją od chłopa. I niéma dziwu, iż tym ludziom odbiérają koloniści z rąk grunta i domy, nazywają wsi po swojemu, a nasi idą w rozsypkę i giną pod obcym płotem. Ale jeżeli pan całą wieś obcym sprzeda, to już grzéch śmiertelny, jak mówi starszy pan, grzéch, za który niéma odpuszczenia ani na tym, ani na tamtym świecie!

— I bardzo słusznie mówi starszy pan — ozwał się lekarz.

— Otóż widzi wielmożny pan—mówił daléj ekonom, puszczając z należytą subordynacyą kilka kłębów dymu—starszy pan zawsze rozsądnie mówi. A Mogiły, to znowu mówi starszy pan, dlatego tak się nazywają, że kiedyś mieli tutaj Polacy pobić Krzyżaków, rycerzy niemieckich, i ich ciała pogrzebać. Nawet na saméj granicy Dąbczyna i Radziejewa są wysokie kopce, w których bodaj czy nie leżą Krzyżacy. Psy lepiéj się znają od nas na takich rzeczach, a mój Widu, to

wyje jak wściekły, gdy tamtędy ze mną przechodzi... Stary to pies, i nie głupi!

W tém, jakby wiedział, że pan o dobrych instynktach jego właśnie w téj chwili mówi, zaszczekał Widu przeraźliwie tuż pod oknami spalonego browaru. Lekarz i ekonom wyjrzeli oknem i widzieli obaj, jak ciemna jakaś postać przesunęła się ukradkiem wzdłuż ściany i znikła po za węgłem. Widu rzucił się wściekle za nią... Za chwilę okazała się postać wysoka z kijem w ręku. Widu począł skomlić i łasić się do niéj...

— Kto był ten piérwszy, tego nie wiém—mruknął ekonom—ale ten drugi, to może być tylko Marek Paliwoda, bo tylko do niego może się Widu łasić. Ale co on tak późno tu robi?...

Tymczasem Widu pożegnał na rogu browaru swojego dobrego znajomego i wrócił pod okno izdebki, w któréj według jego przekonania miał się znajdować ekonom. Było to szpetne, czarne, kudłate psisko, o małych nogach i łbie ogromnym. Obaczywszy w oknie ekonoma, zaszczekał Widu z widoczną radością, a zwróciwszy się ku północy, począł wyć przeraźliwie.

— Czy widzi wielmożny pan?—zawołał ekonom—on tak zawsze po całych nocach wyje, zwrócony do Mogił i Dąbczyna, a nieraz to biegnie aż na kopce. Bywało, wstanę w nocy i patrzę, czy złodzieje. Niéma i żywego ducha, a on wyje i wyje, jakby tam ćmę nieprzyjaciół widział!

— Widu, Widu!—zawołał lekarz, chcąc się bliżéj przypatrzyć téj rozumnéj istocie.

Widu jednak nic nie słyszał, wył tylko żałośnie, zwrócony *do Mogił* i Dąbczyna.

— I nawet biédę miałem z tém psiskiem w Dąbczynie—mówił daléj ekonom. — Bo muszę panu powiedzieć, że Wojna z Dąbczyna, zégarmistrz, tak go nazwał i mnie darował. Razu jednego pyta mnie jakiś luter, jak się ten pies nazywa. „Widu," odpowiedziałem, nie mając nic złego na myśli. A w tém zapieni się luter, aż zgłupiałem, i takiego narobi krzyku, aż się ludzi moc zbiegła. Nie dosyć na tém... Wzięli mnie nawet do burmistrza, a ten dał mi admonicyą dość surową, abym ludzi nie znieważał. Dopiéro wtedy dowiedziałem się, że powiedziałem lutrowi wielkie grubiaństwo gdyż na jego pytanie, jak się pies nazywa, powiedziałem po prostu: „Widu" (wie du), co znaczy po polsku: „jak ty..." A wszystkiemu temu winien był Wojna, który dowiedziawszy się o tém, spoił mnie jak cztéry dziéwki. Chciał mi psa odebrać, ale nie dałem mu, bo jakoś to mi się podobało, odpowiadać lutrom, jak się ten pies nazywa.

Rzekłszy to stary ekonom, wytrzepał z fajki popiół, a zapaliwszy ją na nowo, mówił daléj:

— Otóż i psisko sprowadziło mnie z drogi. O panu Górnickim miałem mówić... Wieś Mogiły, ot tam, gdzie ta kupka drzew się czernieje, to piękna i rozległa osada. Ma wprawdzie grunt mokry, ale jakie takie rowy, a w życie mógłby się człowiek schować. Ale pan Górnicki nie wiele dbał o to i nie bardzo zaglądał do gospodarki. Chociaż był nieżonaty, dom jednak prowadził wielki; miał ładne konie i karetę, polował i ucztował z gośćmi, których zawsze było pełno u niego. Pan major często napominał go, aby się powściągnął, bo wieś pójdzie cała na takie życie, na co pan Górnicki śmiejąc się, odpowiadał: „Kochany szefie, nic tu nie

pomoże. Choćbym żył o suchym chlebie, to wieś Niemcy wezmą, bo ja z nimi sąsiaduję i widzę, co oni robią. I wszyscy pójdziemy z torbami, jeźli się tymczasem na lepsze nie zmieni, gdyż szlachcic polski nie utrzyma się przy ziemi! Oni i na piaskach pszenicę miéć będą, a szlachcic i na gnoju ma pustki. Już niebo nam nie sprzyja... Ja piérwéj, bom z brzegu, a ty po mnie, kochany szefie, pójdziesz z torbami, i Niemcowi zrobisz miejsce.“ Tak mówił zawsze do majora pan Górnicki i w niczém trybu życia nie zmienił.

Widu obrócił się znowu do ściany szpitala i począł szczekać przeraźliwie. I znów jakiś niewyraźny cień przesunął się przez szyby okienka, ale Widu rzucił się z wściekłością na niego i znowu zapędził go po za węgły browaru.

— Otóż raz już było bardzo krucho z panem Górnickim. Kilku Niemców zjechało się do Mogił i chciało wieś sprzedać na licytacyi publicznéj. Mój pan i kilku innych panów udało się do Mogił i gadu gadu z Niemcami, ale ani rusz przyjść do jakiéjś ugody. W tém jeden z tych Niemców, niejaki Warner, którego pan nieraz widzi w Dąbczynie, przyjął cały dług na siebie i obiecał czekać panu Górnickiemu jeszcze lat kilka. Tymczasem sąsiedzi nasadzili się na hrabiego z Dąbczyna, iż pana Górnickiego wziął na komisarza i rządcę dóbr swoich. Tym sposobem mógł pan Górnicki wyjść z biédy i Mogiły oczyścić. Od tego czasu był Warner częstym u niego gościem; on to wprowadził go do Dąbczyna, gdzie teraz większym jest panem od samego hrabiego i niby rad mu gospodarskich udziela...

Widu obiegł tymczasem szpital na około, a zwróciwszy się ku Mogiłom, począł wyć przeraźliwie.

— Otóż w styczniu—mówił daléj ekonom—roku 1846-go przyjechał Warner do Mogił. U pana Górnickiego było kilku sąsiadów i mój pan z nimi. Ja siedziałem w kredensie i czekałem na mego pana. Co się tam między nimi działo, tego nie wiém, ale widziałem, że pan Górnicki wnet wyszedł do sieni mocno zmięszany, a za nim Warner. Poszli do przyległéj izdebki, z któréj jedne drzwi wychodziły do kredensu. A że w kredensie nie było nikogo, gdyż służba gdzieś się rozbiegła, przyłożyłem oko do dziurki od klucza, aby widzieć, co się tam dziać będzie. Mówiąc prawdę, miałem zawsze wstręt do tego Niemca i mogłem coś najgorszego sobie wyobrazić. Pan Górnicki był mocno blady, chodził po pokoju i łamał ręce, ale co między sobą mówili, tego słyszéć nie mogłem. Wreszcie wyciągnął Warner jakieś papiéry z zanadrza, a pan Górnicki siadł i coś w nich pisał. Widziałem, jak mu łzy kapały... Potém wyszli obaj, a Warner pożegnawszy się w sieni panem Górnickim, siadł na bryczkę i odjechał. Panowie zaraz się rozjechali, a pan major powtarzał często w drodze: „Poczciwy Niemiec, biédny Górnicki!...“ Jeszcze téj saméj nocy wyjechał pan Górnicki z Mogił, a nazajutrz rano przyszedł do dworu komisarz rządowy z żołniérzami; ale we dworze już nikogo nie było. Okazało się, iż Warner jeszcze przed pół rokiem kupił już był Mogiły od pana Górnickiego, miał to nawet od niego na piśmie.

— I gdzież się teraz obraca pan Górnicki?—zapytał lekarz, który z ciekawością słuchał opowiadania starego ekonoma.

Ekonom podniósł oczy do nieba i machnął ręką.

— Pan Górnicki — mówił po chwili — wyjechał do Galicyi i ztamtąd więcéj nie wrócił. Pan major

gdy się o tém dowiedział, poszedł po raz ostatni nad rzéczkę graniczną, a widząc na łące jadącego młodego Warnera ze szpicrutą w ręku, którą mu się z daleka kłaniał, rzekł, jak panu mówiłem do mnie: „zrzuć tę kładkę, Jakubie, redutę naszą już wziął nieprzyjaciel“.. I uczyniłem zaraz, jak mi rozkazano, ale droga, którąśmy niegdyś wydeptali do Mogił, dotąd jeszcze nie zarosła. Starszy nasz pan mówi na to, iż ścieżki naszego żywota zostaną wiecznie, bo według nich sądzić nas będzie Bóg w dniu ostatecznym! Biédny Górnicki, niech mu Bóg nie pamięta, iż kilkaset dusz wiernych zaprzedał lutrowi.

Młody lekarz wstał z krzesła, a przystąpiwszy do starego, wziął go za rękę i rzekł:

— Poczciwy Jakubie! opowiedziałeś mi rzeczy, które mnie boleśnie dotknęły, cieszę się jednak że podobne wypadki i dla was są smutnemi. Każda piędź ziemi naszéj, którą obcy nabywa, jest zwycięztwem odniesioném nad nami. Myśmy ich niegdyś zwyciężali żelazem, oni teraz zwyciężają nas pracą przemyślną, podczas gdy my upadamy gnuśnością i marnotrawstwem.

— Tak samo kubek w kubek i starszy pan mówi—odpowiedział ekonom—i w Bogu nadzieja, że nam tak łatwo karku nie złamią.

Rzekłszy to, pokręcił wąsa stary wachmistrz, a ukłoniwszy się z należytą subordynacyą, wyszedł z izdebki, dążąc na folwark, do ukochanéj swojéj Małgosi, na któréj wspomnienie coś strasznie posmutniał stary wiarus.

Długo w noc czuwał jeszcze młody lekarz. Różne obrazy z dnia dzisiejszego przesuwały się przed

jego oczyma. Widział on teraz lud przesądny, nie ufający najlepszym chęciom, lud żyjący w tradycyach wiekowego swego bóztwa, odtrącający od siebie każde lepsze, śmielsze marzenie... A naprzeciw niego stanął lud obcy, przemyślny, zagarniający jak fala coraz więcéj ziemi polskiéj, niszcząc jéj święte pamiątki... Trudna walka z takim ludem; każda chwila usuwa granice ziemi, które niegdyś zakréślił jéj naród mieczowy i mogiłami pobitych nieprzyjaciół naznaczył... I znowu wyjrzał młody lekarz z okna ku wieżom Dąbczyna, ale tym razem łagodniejszy wyraz miał na twarzy. Jego ciemne oko rozświéciło się uczuciem szczęścia, drzémiącego gdzieś w głębi duszy, o którém świat jeszcze nic nie wié, a które może pozostanie wieczną dla niego tajemnicą. Tylko czasem zdradzi je łza boleści, kilka zmarszczek wskażą ślady, którędy przemknęło uczucie gorętsze... A na szaréj osłonie nieba szybuje biały obłok; zwiesił się na czarnéj wieży Dąbczyna, tysiące złotowłosych aniołków igrają na jego białéj, łabędziéj piersi. To ona śni o tobie, szepcze mu stara grusza, a jéj sny czyste i dziécięce, jak te aniołki złotowłose, kołyszące się na jéj białéj, łabędziéj piersi... Zlicz moje liście, mówi stara grusza, a będziesz miał miarę szczęścia, które cię czeka, gdy z jéj ust pić będziesz nektar rozkoszy... Z czoła twego zdmuchnij chmury, wołają liście staréj gruszy, ona wystarczy ci za cały świat, powiedzie cię przez wonne kwiaty, śnić będziesz sny rozkoszy i szczęścia...

Lekarz stał przy oknie i marzył jeszcze słodko, gdy nagle sny jego poczęły się ożywiać. Biały obłok, wiszący u wieży Dąbczyna, zniżył się ku ziemi; kilka złotowłosych aniołków zstąpiło na piękną, zieloną łąkę.

Liście staréj gruszy zaszumiały głośno, a oni zanucili spiéw słodki i zwolna postępowali ku niemu. Na czołach ich błyszczały światła, za nimi szedł zły duch w niemocy swojéj i warczał ze złością, iż był niemocen. A w koło nich ulatywały westchnienia, ulatywały na zawsze z ziemi, bo w piersi ludzkiéj, napojonéj szczęściem, już więcéj nie zagoszczą... To wysłańcy nieba zstąpili na ziemię... odtąd niebo zamieszka między ludźmi...

W tém znany głos starego ekonoma i szczekanie psa ozwały się tuż pod oknem. Lekarz wpatrzył się w grupę, stojącą przed nim...

— Wielmożny panie—zawołał stary ekonom zachrypniętym głosem—otóż dzisiaj skaranie boże! Bestya pijana jak kloc, a chrześcijański człowiek jeszcze lutra ratować musi...

Towarzysze ekonoma położyli na ziemi ciało człowieka, który ani znaku życia nie dawał. Ekonom zaświécił mu w oczy latarką i rzekł:

— Trzeba mu krew puścić, to przyjdzie do siebie... Ależ bestya wypił kufę wódki!

Z po za ekonoma wybiegł czarny, kudłaty pies i warczał i szczekał. Lekarz potarł ręką po czole i zdawało się mu, że go nagle oblano zimną wodą.

A gdzież są owi aniołowie o złotych włosach, z jasną gwiazdą u czoła?... Gdzież ów zły duch, co warczał w niemocy?...

Widu szczekał przeraźliwie i szarpał z wściekłością szaty człowieka, którego do szpitala wnoszono.

Przypomnijmy sobie owego Marka Paliwodę, farmazona i niedowiarka gromady radziejewskiéj, który

z nią w ciągłéj żył wojnie i tylko z kudłatym pieskiem w jakiéj takiéj był zgodzie, jak to sam ekonom przed chwilą nam opowiadał. Otóż ten Marek Paliwoda, który niedawno przed sądem gromady chyłkiem uciekać musiał, nie mógł w domu dosiedzieć, ani doleżeć do dnia białego, bo go coś paliło jak rozpaloném żelazem. Zdawało się mu, że ten dyabeł, który z browaru porwał mielnika, nie mógł być dyabłem, bo dobry gospodarz z własnego domu nikogo nie wykrada. I gdy to i owo w swojéj głowie rozbiérać począł, uczuł nagle w sercu jakieś dziwne natchnienie, które wyraźnie mówiło mu do prawego ucha: „Wstań, Paliwodo, i weź kij dobry, a reszta stanie się według tego, co komu z góry jest przeznaczone.“

I posłuszny temu natchnieniu, wstał Paliwoda, a wziąwszy do ręki kij sękaty, pokropił go wodą święconą i wyszedł z izby.

Długi czas chodził Paliwoda po wsi, nie spotkawszy ani żywego ducha, ani stróża nocnego; chodził od młyna do browaru i od browaru do młyna, odmawiając w duchu modlitwę do Matki Częstochowskiéj, aż w tém nagle ktoś mu drogę przeszedł i chyłkiem pod okna szpitala pobiegł. Paliwoda za nim z kijem, ale tam już go nie było, bo Widu nie dał mu do ściany przystąpić.

— Musi w tém coś być — mówił do siebie Paliwoda—nie darmo miałem takie przeczucie, jakby mi coś do ucha gadało—ale znikł gdzieś jak kamfora.

Mówiąc tak do siebie Paliwoda, obaczył nagle, tuż przed nosem, gospodę, w któréj jeszcze paliło się światło. Przez szyby widać było kilku ludzi siedzących przy stole. Noc była już późna. Paliwoda po-

kiwał głową i jeszcze więcéj utwierdził się w swojém przekonaniu: że w tém coś być musi... Poczem przystąpił do drzwi gospody, pocisnął klamkę i wszedł do izby.

Izba była duża i ciemna... Łojowa świéczka świéciła się na stole, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był to człowiek średniego wieku. Granatowa czamara znamionowała mieszczanina z małego miasteczka. Na głowie miał czapkę trójgraniastą, któréj dziwną symbolikę nie każdemu rad opowiadał. Miała ona jakieś geograficzne znaczenie. Siedzący naprzeciw niego mężczyzna mógł liczyć lat cztérdzieści kilka. Był mocno chudy, miał twarz czerwoną, obrzękłą, nos duży, trędowaty. Włosy pomierzwione i spłowiałe, nakrywał biały, połamany kapelusz; od wielkich, stérczących uszów spadały na dół rudawe bokobrody. Miał na sobie surdut jasnego koloru, pomięty i zatłuszczony.

— Marku! Marku! — zawołał mężczyzna w trójgraniastéj czapce — a cóż cię tam za licho tak późno do gospody prowadzi? A kij tak trzymasz, jakbyś tu kogo chciał wybić!

Mówiąc to mieszczanin w trójgraniastéj czapce, spojrzał z ukosa na swego sąsiada i uśmiéchnął się do Paliwody.

— Zdrowiście, panie Wojna—odpowiedział Paliwoda — biorąc podaną rękę mieszczanina — a cóż was tak późno w gospodzie zatrzymało?

— Byłem na folwarku—mówił mieszczanin — ale Mietlicy niéma w domu, a żonce nie chciałem się naprzykrzać, bo wiécie, co to za kobiéta.

— Hm!—mruknął Paliwoda, zérkając na gościa z trędowatym nosem — to pójdźcie do mnie, panie Mateuszu, ale piérwéj...

— Co piérwéj?... potém, nie piérwéj — przerwał mu mieszczanin, mrugając na niego—ot siadaj i wypij z nami.

— A, panie Link—zawołał Paliwoda—a cóż wy tutaj? wszak do Mogił niedaleko?

Mężczyzna z nosem trędowatym obrócił się na to zapytanie, a zmierzywszy sękaty kij Paliwody, rzekł:

— Cóż to wy, Marku, dzisiaj stróżem nocnym? Taki bogaty gospodarz wstydziłby się...

— Ha, co robić, ot człowiek spać nie może... A niéma tam jakiego nowego patentu, panie Link?

Link, włóczący się pisarz pokątny i ajent różnych kupców, zrobił minę urzędową, przeliczył coś na palcach, a wychyliwszy z kieliszka ostatek wódki, odpowiedział:

— Ostatni patent był o nowym podatku, a teraz jest w robocie o lasach pańskich, które między chłopów podzielone będą.

— A to łże, aż się kurzy—poderwał mieszczanin.

— Luter psia wiara — szepnął Paliwoda, gdy Link do szynkarki się obrócił.

Korzystając z tego mieszczanin, rzekł Paliwodzie do ucha:

— Ty coś Linka masz na wątróbce!

— Ano!—mruknął Paliwoda.

— Pijże z nim i upij go dobrze.

— A to na co, alboż nie podołam?

— Głupiś, burmistrz z Dąbczyna sam ci powié,

że po trzeźwemu w pysk dać, to gorzéj, jak pijanemu kość złamać; rozumiesz?

Paliwoda uśmiéchnął się na znak, że mieszczanina dobrze zrozumiał; kazał postawić na stole flaszę wódki i rzekł:

— No, panie Link, napijemy się wódeczki, bo już dawno nie byliście w Radziejewie.

Ajent otarł gębę, połknął ślinę i z słodkim uśmiéchem przysunął się do flaszy, jak do dawnéj swojéj przyjaciółki. Rozmowa szła zwykłym trybem, jak się to dzieje, jeźli nikomu o nię nie chodzi. Ajent wypytywał się o niektóre szczegóły wsi, mówił o restauracyi szpitala i napomknął coś o młodym lekarzu, który dzisiaj był w Radziejewie. Paliwoda opowiedział mu, co zaszło, a czyniąc zadość ciekawości ajenta, musiał mu każde słowo powtórzyć, które młody lekarz do gromady powiedział. Jakoś szczególnie upodobał sobie Link tego człowieka, tak iż mieszczanina to uderzyło, gdyż kilka razy Paliwodę nogą trącił. Wreszcie opowiedział Paliwoda całe zdarzenie z mielnikiem, a gdy mówił o wielkiém młyńskiém kole, które mu rękę zgruchotało i całe krwią zlane zafarbowało wodę na rzéce... ajent pobladł mimowolnie i tak jakoś stał się niespokojny, tak się wiercił na swojém miejscu, jakby gdzieś z pod stołu chwytało go za nogę wielkie koło młyńskie. Nalawszy nową koléj, rzekł mieszczanin do niego:

— Pij, mości Linku, i nie lękaj się koła. Śmierć kołem już skasowana, tylko hak został. W koło już cię nie wplotą; pij Linku, pij!

Ajent chwycił kieliszek, wychylił go duszkiem, nalał drugi i wypił; ale jakieś dziwne złowieszcze widmo stało mu przed oczyma. Słyszał łoskot koła, wi-

dział mielnika we krwi... kroplisty pot wystąpił mu na czoło...

— Pij, Linku, pij! — wołał Paliwoda, naléwając kieliszek—a potém będziemy skakać!

Link pił, ale nic nie odpowiadał. Zdawało się, że nagle jakaś otchłań w nim się otworzyła otchłań, którą chciał zalać, a nie mógł... Link pił, aż mu trądy posiniały na nosie.

Wreszcie poczerniał jak mak czerwony i nagle jak bez posiniał.

— Pij, Linku, pij!—wołał Paliwoda.

Link zrobił gest ręką, jakby sobie oczy chciał zasłonić i pochylił się na ławie. Twarz mu poczerniała aż po włosy.

— Tam do kata!—krzyknął mieszczanin—jeszcze lutra ratować trzeba.

— Dajcie mu pokój — zawołała szynkarka—to już taka jego choroba. On ją już nieraz miał tutaj. Po chwili sam przyjdzie do siebie.

Mieszczanin i Paliwoda zafrasowali się nie mało i sami nie wiedzieli, co począć, gdy Link nagle ze stołka się zerwał i rękami machać począł.

— Precz, precz!— wołał chrypliwym głosem, patrząc szklaném okiem w najciemniejszy kąt izby — zapal trzy świéce i cztéry lampy, wysuń katafalk, a trumnę schowaj!... Cztéry a sześć jest dziesięć, weź przetak na deszcz... tam duszno i gorąco... wolę śniég, śniég... co za śniég... ha! ha! ha!... Śniég wpas, a cztéry dzieci nagie, a z każdego krew cieknie... brrrrr... zimno, śniég w pas... czworo ich było... cztéry psy, a trzy koty... zaświéć świéce, a nasyp kadzidła i śpiéwaj *resurrexit*... precz, już go niéma... grzyb rośnie

po dészczu, czarny wielki grzyb... już go schowali, czworo dzieci, piękne, tłuste dzieci...

— Tam do kata—krzyknął mieszczanin — plecie, aż strach człowiekowi!

— Zły duch opętał go—zawołał Paliwoda.

Link rzucił się na środek izby, piana okryła mu usta, oczy krwią nabiegły.

— Precz z czapką o trzech rogach — rzekł do mieszczanina — bo ich było czworo, rozumiész, czworo ich było, a jego już wzięli... czarny wilk z białym psem nie idą w parze... Warner za mnie zapłaci, da cztéry chmury dészczu, a trzy gradu... cztéry a trzy jest siedm, a ich było czworo... kret niéma oczu, a widzi... zaświéć, bo ciemno... weź przetak na deszcz... brrr, śniég w pas... zaświéć świéce i postaw krucyfiks, a przysięgną...

Obecni przeżegnali się krzyżem świętym, a Link wyciągnął rękę jakby do przysięgi. W tém wpadł Widu przez otwarte drzwi i rzucił się na ajenta.

— Precz, precz szatanie—wołał nieszczęśliwy — precz, nie mam duszy... głupi proboszcz i pastor głupi... precz, tam stoi krucyfiks a tam katafalk, a tam czworo ich, czworo... pod ziemią nikt nie widzi... po dészczu grzyb rośnie... weź przetak na dészcz...

Widu szarpał go za poły i szczekał przeraźliwie.

Do izby wszedł stary ekonom. Link upadł na ławę jak bez duszy.

— Wojna! Paliwoda!—zawołał ekonom—wszelki duch chwali Pana Boga!

— Pst, pst,— odparł mieszczanin — nie budź go, niech się uspokoi.

Ekonom spojrzał zdziwioném okiem po izbie.

— Mówią ludzie — ozwała się zakłopotana szynkarka — że go kiedyś wściekły pies pokąsał i od tego czasu napada go często choroba.

— Do kata—odparł mieszczanin — widziałem ja wściekłych ludzi siła, ale jego choroba nie w ciele siedzi.

— Zwaryował albo co?—zapytał ekonom.

— Upił się i kwita—zakonkludował Paliwoda.

— Chociaż luter psia wiara, ale przecież człowiek...—wycedził zwolna ekonom.

— A jużci, trzeba go jakoś ratować—dodał mieszczanin.

— No, i ja mu nie życzę, aby tutaj zdechł jak pies—zakończył Paliwoda—może się choć wyspowiada i od dyabła wykręci...

Po krótkiéj naradzie zgodzono się na to, aby ajenta zanieść do spalonego browaru i lekarza zbudzić. A Paliwoda z wielkim strachem myślał o jutrze, gdy go gromada opadnie i zapyta, czy nie wierzy w dyabła, który mielnika porwał i wlazł w Linka, aby go nastraszyć. Niektórzy nawet, a najbardziéj Jędrzéj Maciejaszek, będą się uśmiéchać i powiedzą, że gdyby Link nie był nadszedł, toby dyabeł wlazł był w niego, Marka Paliwodę, farmazona i niedowiarka. Biédny Paliwoda!

Gdy Link oczy otworzył, ujrzał się w łóżku przyzwoitém, pod ciepłém nakryciem, i tak mu się jakoś podobało, że nie rzekłszy ani słowa, przewrócił się na prawy bok i jakby miał sumienie najspokojniejsze, usnął *szczęśliwie snem sprawiedliwego*. Lekarz nie znalazł

na nim żadnéj oznaki jakiéjbądź choroby i był tego zdania, że się upił przyzwoicie i że sen przydłuższy uwolni go od wizyj piekielnych. A chociaż mieszczanin o trójgraniastéj czapce coś strasznie sentencyonalnie na to głową potrząsał, a Paliwoda nie dowierzając temu wszystkiemu, z największą rubasznością się uśmiéchał, rozstrzygnął całą tę sprawę stary ekonom, przystosowaniem jednéj z licznych swoich reminiscencyj wojskowych.

— Czy tak, czy owak — ozwał się z należytym akcentem—myśmy zrobili swoje, a reszta nie do nas... Wprawdzie postąpiliśmy sobie nadto po samarytańsku, jak mówi ksiądz proboszcz, przywlókłszy tego lutra aż tutaj, ale dla dobrych katolików było to zawsze obowiązkiem. Pamiętam, gdym był ranny pod Lipskiem, już mi chciał rajtar głowę od karku oddzielić, gdy nagle krzyknął wachmistrz: „Hola, nie zabijaj go, bo on wtedy twoim nieprzyjacielem, gdy stoi naprzeciw tobie na własnych nogach, ale przestał nim być, gdy leży jakby bez duszy.“ Niechże Link leży sobie zdrów, a że leży bez duszy, to rzecz oczywista, bo nawet nóg swoich nie czuje.

Uspokoiwszy tym sposobem zbyt drażliwe sumienie obu swoich towarzyszy, chciał właśnie stary wachmistrz zatrąbić do odwrotu, gdy mieszczanin naprzód postąpił i rzekł do lekarza:

— Otóż i byłbym zapomniał, że właśnie miałem panu coś powiedzieć od panny Janiny.

— Od panny Janiny? — poderwał lekarz, rzuciwszy okiem na śpiącego Linka. Zdawało się mu, że Link nieznacznie ucho odsłaniał.

— Tak jest, od saméj panny Janiny — odpowiedział mieszczanin.

— Zapewnie chora?

— Zdrowa dzięki Bogu, wygląda jak róża.

— Może margrabina?

— Wszyscy zdrowi, widziałem na własne oczy— mówił daléj mieszczanin — bo właśnie dzisiaj byłem w zamku po tę skrzyneczkę, aby ją przynieść panu. Spóźniłem się jednak i nie chciałem nocą pana nachodzić.

Rzekłszy to, wyjął z pod poły coś zawiniętego w dużą kraciastą chustkę i właśnie chciał końce chustki rozwiązywać, gdy lekki szelest dał się słyszéć w łóżku, na którém leżał chory. Wszyscy spojrzeli na Linka, ale ten leżał spokojnie i zdawało się, że śpi twardo. Na twarzy jednak lekarza widać było niepokój; dał znak mieszczaninowi, aby szedł za nim do osobnéj izdebki.

— Siadaj sobie, panie Wojna—rzekł do mieszczanina o trójgraniastéj czapce — bo spory kawał drogi z Dąbczyna do Radziejewa. A naprzód mów mi pan o pannie Janinie.

— Chociaż nie wiele dziesiątek lat siedzi u mnie na karku — odparł mieszczanin, przysuwając stołek— a jednak siły już mi nie dopisują. Przez wszystkie lata żyłem tak, jak mi moje imię nakazywało; o tém wié cały Dąbczyn. Bo téż wojnę prowadzę od dziecka z tymi lutrami, ale wkrótce Wojna uspokoi się... z każdym dniem opadają siły, a grób tuż pod nogami... Lecz prawdę mówiąc, nie zazdroszczę tym, co po mnie zostaną. Może być, że się z lutrami pokumają, że założą z nimi spółkę, ale ja na to nie chcę patrzéć...

— Przedwczesny jeszcze smutek, panie Wojna... a cóż tam zleciła panna Janina?

— Panna Janina, ot młode stworzenie sobie i kwita... Skacze jak wiewiórka, aż się człowiekowi w oczach kręci, ale kto ma z górą lat cztérdzieści i widzi, jak marnie giną jego nadzieje...

— To zwykły bieg życia na świecie, panie Wojna. Nadzieje i marzenia starszych odziedziczają młodzi, cieszą się niemi i pieszczą, a za kilka dziesiątek lat oddają je znowu w ręce młodszego pokolenia.

— Nie, panie, nie... dzisiejsze pokolenie to już nie takie...

— Cóż panna Janina?—przerwał z niecierpliwością lekarz.

— Mój nieboszczyk rodzic był zégarmistrzem nadwornym u pana w Dąbczynie — bo musi pan wiedzieć, że ten kunszt jest dziedziczny w naszém imieniu. Mój pradziad wyuczył się był kunsztu w Norymbergii, a dziad mój robił ten zégar na wieży zamkowéj... Co to za zégar, mój panie! to arcydzieło! Siedmnaście kółek i trzy tryby, nie licząc w to wiatraków i szaleńców. Dzisiaj zaledwie dziewięć kółek jest w ruchu, a inne spoczywają od dawna, bo ani mój ojciec, ani ja, nie moglismy odgadnąć, co im właściwie brakuje. Są tam i piszczałki, w które dmuchać miał zégar, oznajmiając godziny i dając różne sygnały w czasie publicznego niebezpieczeństwa. Dzisiaj milczą one, jakby im kto gębę zamknął; i słusznie, bo cóżby to był za głos bolesny!...

— Bardzo słusznie, panie Wojna... ale...

— Mój ojciec—przerwał mieszczanin—mój ojciec był nadwornym zégarmistrzem u nieboszczyka pana,

a był to pan całą gębą! Ale czém później, tém gorzéj. Dzisiaj nie stało już Dąbczyńskich na własnego zégarmistrza—ja osiadłem w mieście. Nie chciałem iść gdzieindziéj, bo mi żal było oddalić się od arcydzieła mego pradziada; przecież człowiek kocha to, co mu przypomina jego przodków. A zresztą miałżem dopuścić, aby jaki luter świętokradzką ręką dotknął się téj świętości, do któréj ja od lat trzydziestu z równą zawsze czcią i strachem przystępuję? Wpatrując się w rdzę, która koła te trawi, zdaje się mi, że widzę Sebastyana Wojnę, jak się gniewa na mnie, jak mi grozi palcem, że obojętnie patrzę, jak dzieło jego marnieje... Wtedy biorę szybko pilnik do ręki, oczyszczam żelazo z rdzy i spokojny kładę się spać, żem pamiątkę pradziada uszanował...

— Bardzo to piękne zaiste uczucie, kochać pamiątki ojców naszych...

— Otóż po śmierci ojca mego poszedłem do zamku i rzekłem do margrabiego: „Jeźli nie mogę być nadwornym zégarmistrzem u jaśnie wielmożnego margrabiego, to niechże przynajmniéj wolno mi będzie posiedzieć z godzinę na dzień przy zégarze, który jest dziełem mego pradziada, Sebastyana Wojny.“ I dobry pan nie odmówił mojéj prośbie. Odtąd chodzę codziennie na wieżę zamkową i mam klucze od schodów. A nawet potrzeba zawsze między szóstą a siódmą godziną posunąć skazówki o dwa kwadranse, bo się coś od niejakiego czasu spóźnia starowina i jak mnie, tchu mu już nie staje. Mimo to jest on zawsze arcydziełem, na jakie dzisiejszy niemiecki fabrykant nie zdobędzie się nigdy!...

— Powinniśmy wszystko, co nasze, kochać sercem matki, kochać nawet wtedy, gdyby nie było...

— Gdyby nie było tak doskonałém jak obce! chciałeś pan powiedzieć — przerwał mieszczanin z uśmiéchem.—Sądzisz pan, że ślepa miłość mówi ze mnie, gdy tu rozpowiadam o dziele Sebastyana Wojny...

— Wierzę i bardzo wierzę — ozwał się lekarz z widocznym niepokojem—wierzę nawet, że temu arcydziełu nic niéma równego.

— Wyjąwszy Ołomuniec—uzupełnił mieszczanin, nie chcąc, by go posądzono o niesprawiedliwość.

— Tak, słusznie, wyjąwszy zégar ołomuniecki... ale mówiłeś pan o pannie Janinie?

— Wprzódy o téj skrzyneczce, którą tu mam. a która pochodzi od pana Górnickiego.

— Górnickiego?

— Tak jest, pana Górnickiego, byłego dziedzica Mogił.

Młody lekarz rzucił się na krześle z niecierpliwości. Wojna zniżył głos:

— Było to w styczniu — mówił zwolna i wyraźnie—śniég leżał na dwa łokcie, a burza była na świecie, żeby i psa nie wypędził za próg... Już dobrze po północy zapukał ktoś do niego. I wchodzi pan Górnicki, cały otulony w niedźwiedzie. „Mateuszu, rzeknie do mnie, wiém, żeś człowiek poczciwy i że ci we wszystkiém zaufać można. Ja wyjeżdżam, i może już nigdy nie wrócę... Weź tę skrzynkę, w któréj są różne papiéry i schowaj ją u siebie. W moim dworze kto inny mieszkać będzie, nie chcę więc jéj tam zostawić. Może być, że kiedyś, jeśli będę przy życiu, upomnę się

o nią, a jeźlibym już nie żył, to ją spal lub zakop w ziemię, bo mi już wtedy nic po niéj...“

Mówiąc to mieszczanin, rozwinął chustkę kraciastą i dobył z niéj małą szkatułkę z ciemnego drzewa i postawił na stole. Szkatułka, Górnicki i panna Janina, plątały się dziwnie przed oczyma młodego lekarza...

— Otóż tę własnie skrzyneczkę przyniósł mi w nocy zimowéj r. 1846-go pan Górnicki, a zaraz nazajutrz medytowałem nad tém, gdzieby ją dobrze i bezpiecznie schować można. Przyszła mi na myśl wieża zamkowa i zégar, w którymby i wołu ukryć się dało. Więc tam włożyłem ją pod lewe skrzydło wiatraku, który już od stu lat może nie obraca się wcale... I leżała tam od tego czasu, aż do wczoraj. Pan Górnicki, jak słychać, już nie żyje, a mnie także nie długo na tym świecie. Już z trudnością przychodzi mi wyléźć na wieżę, a gdy kiedy zaniemogę, to jeszcze kto wié, komu by ta skrzynka wpadła w rękę. Oto poszedłem wczoraj po nią, aby ją zabrać ztamtąd i gdzie do wody wrzucić, lub w ziemię zakopać, jak to sobie życzył nieboszczyk Górnicki.

— I właśnie ta oto skrzyneczka—wtrącił lekarz, korzystając z chwili wytchnienia opowiadającego.

— Tak jest; ta oto skrzyneczka leżała na lewém skrzydle wiatraku—ciągnął daléj zégarmistrz.—Wyjąłem ją, otarłem z kurzu, zawinąłem w chustkę i wyszedłem na ganek, jakto co dnia czynić zwykłem. I opanowało mnie jakieś dziwne uczucie... Zdawało się mi, że poraz ostatni patrzę z téj wieży... Hej, mój mocny Boże! ileż to wspomnień bolesnych ma dla mnie ten widok z wieży zamkowéj!... Przed laty trzydziestu wyprowadzał mnie nieraz ojciec na ten sam ganek, za-

kréślał ręką szérokie koło na wszystkie części świata i mówił do mnie: „Patrz Mateuszku, to wszystko, co ztąd widzisz, wszystko, to ziemia nasza...“ Mój Boże! Nie wiém, dlaczego, ale serce rosło mi w piersi; zdawało mi się, że na téj szérokiéj ziemi jest coś i mego, że i ja nie jestem bez dziedzictwa!

— Miłe wam jest wspomnienie dawnych czasów... Ale mówiłeś pan...

— Aha! mówiłem, żem stał na ganku z tą oto skrzyneczką... Mocny Boże! pomyślałem sobie, gdzież się podziały te dawne czasy? Gdyby mój rodzic dzisiaj wstał z grobu, cóżby mi mógł pokazać z tego ganku? Oto dziedzice tych pięknych włości pomarli, opuścili dwory, opuścili kościoły boże i lud boży, a nieznajomi ludzie, z obcą mową, bez Boga w sercu, przyszli i zajęli ich domy pradziadowskie, pohańbili pamiątki narodowe, mury kościołów rozebrali na browary i stajnie, a lud biédny, lud został bez opieki! I zaginęły imiona wsi i miasteczek, powymyślano nowe nazwy, a nim kilka dziesiątek lat minie, i śladu nie będzie polskiéj ziemi!...

Lekarz wstał z krzesła i począł przechadzać się po izdebce. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Przystąpił do mieszczanina i wyciągnął rękę. Ale ten nie widział teraz podanéj ręki, on był myślą na wieży zamkowéj i patrzył széroko w nieszczęsną krainę.

— I obróciłem się do wieży — mówił daléj mieszczanin — bo mi łzy w oczach stanęły. Słońce zbliżało się właśnie do zachodu i czerwoném światłem oświécało jéj mury. I pomyślałem sobie: kto wié; czyli ta wieża nie będzie kiedyś kominem jakiéj fabryki nieswojskiéj, a bezbożny fabrykant strąci zégar, dzieło

mojego pradziada, te misterne koła założy do pługa, który z każdym dniem worywa się głębiéj w rolę polską!... I gdy tak smutno dumałem, w tém słyszę, ktoś idzie po schodach... suknia szeleści... i ledwie oczy z łez otarłem, aż tu przedemną stoi... nigdy nie zgadłby pan... panna Janina!

— Panna Jannina!—zawołał młody lekarz i niecierpliwie rzucił się ku mówiącemu.

— Tak jest, panna Janina. W białéj sukni, z czerwoną przepaską, wyglądała jak zaklęta księżniczka, o któréj, gdym był młodszy, opowiadano mi, iż mieszka gdzieś na zamku Dąbczyńskim. Śliczna to panna i dobra panna, każdemu da dobre słowo i zawsze ma uśmiéch na twarzy... Nie tak, jak ta panna Terenia, jak ją nazywają, która nigdy się nie rozśmieje i wygląda zawsze ponuro, jakby kogo zabiła.

— I cóż panna Janina?

— Myślałem sobie, że ot zapyta mnie, czego ja tutaj stoję na ganku, albo czego mam oczy zapłakane, a ja byłbym jéj wtedy opowiedział to wszystko... com panu teraz mówił, i jakoś lżéj zrobiłoby mi na się sercu.

— Ale ona, ona... cóż mówiła?

— Ona uśmiéchnęła się do mnie i kiwnęła głową, jak to zawsze czyni, gdy mnie zobaczy, i rzekła: „Dobry wieczór, panie Wojna. Pokaż mi, które to Radziejewo!“ Pokazałem jéj te trzy lipy i rzekłem: „I to wkrótce nie będzie nasze!“ Musiałem to jakoś bardzo głupio powiedzieć, bo panna Janina spojrzała na mnie dziwnie i rzekła: „Jakto nasze?“ Poprawiłem się i powiedziałem: „Polskie, wielmożna panno, polskie.“

— A panna Janina?

— Panna Janina nic na to nie odpowiedziała, tylko rozsunęła długą perspektywę, którą miała w ręku, i poczęła z uwagą patrzéć w miejsce, przezemnie wskazane. Po chwili zwróciła się znowu i zapytała: „Czy można ztąd widzieć szpital w Radziejewie?“ Pokazałem jéj na końcu wsi czarny budynek i starą koło niego gruszę. Panna Janina zwróciła perspektywę w tę stronę i długo przez nią patrzyła.

— I cóż daléj?... cóż daléj? — zapytał niecierpliwie lekarz.

— Dobry kawał czasu upłynął, nim się znowu do mnie obróciła. Miała twarz smutną, bardzo smutną. Biédna! pewnie moje słowa wzięła sobie do serca.

— Zapewne, zapewne.

— Po chwili rzekła: „Nikogo nie widzę.“ I znowu jakby się zamyśliła.

— I nic więcéj?

— Potem zarumieniła się nieco, ale to może słońce tak czerwono zachodziło, i rzekła: „Kochany panie Wojna! Czy nie będziesz dzisiaj w Radziejewie?“ „Jak wielmożna panna rozkaże, odpowiedziałem, i tak od kilku dni wybiéram się tam na folwark.“ „Tam jest dzisiaj pan Jerzy, mówiła daléj, pójdź do niego i powiédz mu, aby przyszedł do zamku.“

Blada twarz młodego lekarza okryła się rumieńcem.

— Zapewne ktoś tam chory — mówił zwolna, pokrywając zmięszanie.

— Pytałem się panny Janiny, ale na to odpowiedziała mi jakoś niepewnie. Raz wspomniała, że mama chora, drugi raz znowu ojciec, a w końcu dodała, iż panna Teresa przeziębiła się...

Lekarz wstał z krzesła i otworzył okno. Chłodny strumień powietrza wpłynął do izdebki.

— I pomyślałem sobie: — mówił daléj mieszczanin.—Ot idąc do Radziejewa, wezmę z sobą tę szkatułkę. Bóg wie, co w niéj jest... Może nieboszczyk pan Górnicki w jakiéj rozpaczy to uczynił, że ją spalić kazał, a w niéj tymczasem mogą być rzeczy komuś przydatne. Pan Jerzy to najlepiéj osądzi, a wszyscy razem mamy dla pana wielki szacunek i pokładamy w nim zaufanie. Otóż niech pan przy wolnym czasie zajrzy do téj szkatułki, a potém pomyślimy, co z nią zrobić.

Rzekłszy to mieszczanin, wstał i pożegnał lekarza. Lekarz podał mu rękę machinalnie i odprowadził do sieni. Tam czekali ekonom i Paliwoda.

— Aha! cóż mam oświadczyć pannie Janinie? — zapytał w sieni mieszczanin.

— Jutro będę sam w zamku — odpowiedział lekarz.

Przekonawszy się, że pacyent śpi jak w najlepsze i prócz atmosfery spirytusowéj, która łóżko otaczała, żadnéj innéj niebezpiecznéj oznaki niéma, wrócił lekarz do swojéj izdebki, aby tam w gorącéj głowie uporządkować wrażenia dnia dzisiejszego.

Szkatułka była z drzewa palisandrowego z srébrném okuciem. Jerzy — tak się nazywał młody lekarz—oglądał ją na wszystkie strony, a że była zamkniętą i kluczyka do niéj nie miał, odłożył rewizyą jéj do jutra.

Było już późno po północy. Na ciemnym szafirze nieba drżały miliardy gwiazd; małe obłoczki jak trzoda rozpierzchnięta przemykały się na krańcach widnokręgu,

a lekki powiew wiatru odzywał się jakimś dziwnym, harmonijnym akordem! Tylko na liściach staréj gruszy kołyszą się duchy niedobre. Wykrzywiają twarz i śmiéją się, a szepcą sobie do uszu jakieś wieści złośliwe.—Śmiéj się, śmiéj, ty czarny duchu; sąsiad twój spadł z liścia i złamał nogę, a ty szara gąsienico pospieszaj co prędzéj uszczknąć ziela żywota, aby nie bolał twój czarny ulubieniec, na którego gody weselne zeszli się już kumy i swatowie!... Zabrzęcz mucho, niech tańczą i śpiéwają weselni; woń jaśminu i macierzanki niech ich łechce do szaleństwa...

Już pełny dzień się roztoczył, gdy się młody lekarz obudził. Niebo było czyste i świéże, ani jeden listek nie ruszył się na drzewie... Pod starą gruszą przechadzały się spiesznie stada mrówek. Jakiś nocny wypadek zburzył im siedzibę; szukały miejsca dla nowéj. A nad niemi skacze konik polny i urąga się pracy drobnego owadu, poświstując sobie: Ja nie mam gniazda, ja konik polny, cały świat mój, lecę, gdzie zechcę!... A pod nim mrówki zataczają bryłki ziemi, sypią wały i okopy, budują miny i krużganki... A na gałęzi staréj gruszy usiadł ptaszek złotopióry i słucha z uwagą, co mu szepcą liście o niedobrych duchach nocy, które tutaj biesiadowały...

Młody lekarz patrzył przez okno, lecz nie widział mrówek, zbiérających pył ziemi dla nowego przybytku... nie słyszał śpiéwania polnego konika, ani owych przecudnych gadek, które złotopióremu ptakowi *szeptały liście* staréj gruszy...

Pacyent spał jeszcze smacznie, zdawało się, że dawno już nie leżał w tak wygodném i ciepłém łóżku. Z rozkoszą sybaryty wyciągał się na wszystkie strony, ziéwał, przeciérał oczy i znowu zasypiał, jakby dopiéro co się spać położył.

Lekarz wyszedł na drogę przed szpitalem, aby odetchnąć majowém powietrzem. Rozmyślając o tém wszystkiém, co zaszło nocy dzisiejszéj, sam nie wiedział, jaką drogę wybrał sobie do przechadzki. Szedł groblą ponad stawem, który rozciągał się aż po kopce Dąbczyna. Zwierciadło wody było ciche i gładkie, jak szyba lazurowa, na któréj rysowały się wierzby i topole, idące wzdłuż brzegu.

Wyszedłszy na kopiec, stanowiący granicę między Radziejewem a Dąbczynem, spojrzał mimowoli na wieżę zamkową, któréj szczyt odbijał się w stawie pod jego stopami. I zdawało mu się, że widzi owego starego mieszczanina w czapce trójgraniastéj, a obok niego stoi jakaś biała postać z czerwoną przepaską i zwróciwszy się ku niemu, szuka tęskném okiem owéj staréj gruszy... W tém zaszeleściały za nim zioła, widzenie wionęło jak mgła poranna, a tuż przy nim stanął mężczyzna w brudnym, białym kapeluszu o rudych bokobrodach.

Link wyglądał zdrów, jakby nigdy mu się nic nie stało, a nawet uśmiéchał się tak grzecznie i słodko, jakby przez całą noc miał sny najrozkoszniejsze.

— Przychodzę podziękować panu za łaskawą pomoc—mówił z łagodnym uśmiéchem—bo przypominam sobie, żem wczoraj był mocno chory. Biédny wiele

na świecie przebyć musi, a to wszystko zostawia tam ślady.

Tu wskazał na brudną koszulę na piersiach, gdzie według jego wiary miała mieszkać dusza. Lekarz uśmiéchnął się z politowaniem.

— W mojéj młodości raniono mnie w głowę—mówił daléj ajent — i odtąd cierpię czasem na obłąkanie. W tym stanie, jak zapewniano, mówię zazwyczaj dziwne rzeczy, a nawet takie, które ludzi przestraszają. Pan jako człowiek uczony, łatwo to sobie wytłumaczy. Ale nieszczęśliwy jestem, gdy mnie ta choroba między prostymi ludźmi najdzie. Wtedy żegnają się przedemną jak przed dyabłem.

Mówiąc to, tak szyderczo jakoś twarz wykrzywił i tak brzydki wyraz strzelił z jego zielonych oczu, iż Jerzy cofnął się o dwa kroki i radby był pozbyć go się jak najprędzéj.

— Nie mnie jesteś pan obowiązany — rzekł do niego—ale właścicielowi Radziejewa.

— To swoją drogą; to bardzo godny obywatel, jakich rzadko już dzisiaj... Ale prócz tego nie zapomnę nigdy, iż i pan byłeś tak łaskaw... A może kiedy przyjdę jeszcze prosić łaski pana i tylko panu będę obowiązany...

— Mojéj łaski?

— Dąbczyn, ładny, starożytny zamek.

Jerzy spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

— Panna Janina to ładna, śliczna panna, w całéj okolicy niéma ładniejszéj — mówił daléj ze złośliwym uśmiéchem ajent. Pan von der Mark sam to mówił, chociaż nie bardzo lubi polskie damy.

— Von der Mark?

— Ale za trzy dni może już nie będzie tego mówił—dodał z tajemniczą miną ajent.

— Jakto? Nie rozumiém...

— Pan biédnemu Linkowi dałeś pomoc, a Link za to już powiedział, co mógł powiedzieć... Ale oto jedzie sama panna Janina i panna Terenia... Nie przeszkadzam... Tu tak ładnie, miło, zielono — na stawie woda cicha—a tam łódka u brzegu... Ach jak ładnie, jak miło—żegnam pana...

Rzekłszy to, wykrzywił usta szyderskim uśmiéchem, włożył kapelusz na głowę i oddalił się w kierunku miasteczka, zkąd białe chmury pyłu zbliżały się coraz więcéj ku granicznym kopcom Dąbczyna.

Jerzy stał chwilę jakby piorunem rażony. Pełną piersią zachwycił powietrza, usta mu zadrżały, kilka słów niezrozumiałych uleciało w powietrze, ale wkrótce spokój osiadł na jego pięknéj, bladéj twarzy.

Tentent koni i chmury kurzu zbliżały się coraz więcéj. Wreszcie jakby z białéj mgły wynurzyła się szafirowa amazonka w białym kapelusiku na głowie. Obok niéj, o pół kroku w tyle, ukazała się druga, czarna cała, w czarnym kapeluszu o czarnych piórach. Za niemi w oddali jechał służący.

Amazonki zbliżyły się już tak blisko do kopca, iż Jerzy mógł swobodnie widzieć wszystkie ich ruchy i gesta. Rozmawiały coś żywo między sobą.

Dama w szafirowéj amazonce miała wzrost smukły i jak się zdawało, dość wysoki. Wiotka jéj kibić wyginała się uroczo na wszystkie strony. Z pod bia-

łego kapelusza wyglądały ciemne pukle włosów i odbijały się ślicznie od blado-różowéj karnacyi ciała. Oczy miała ciemne, zmrużone; usta koralowe, na pół otwarte, z których wyglądały dwa rzędy najpiękniejszych pereł. Na twarzy malowała się jakaś niecierpliwość i zdawało się, że śmiała amazonka wyprzedza myślą szalone skoki białego araba. Rysy jéj twarzy były ostro odznaczone, ruchy jednak wdzięczne i starannie zaokrąglone.

Czarna jéj towarzyszka we wszystkiém z nią kontrastowała. Była wątłéj budowy, siedziała przygarbiona i dużém niebieskiém okiem patrzyła bezmyślnie przed siebie. Na gładkiéj, prawie chorowitéj twarzy nie było żadnego wydatniejszego wyrazu, prócz znużenia i jakiéjś dziwnéj apatyi. Pewna omdlałość rozlewała się w całéj postaci, jéj ruchy były na pół urwane, niedokończone. Obojętną zdawała się na bieg czarnego rumaka zostając myślą daleko po za nim...

— Tereniu, Tereniu!—ozwała się piérwsza, a jéj twarz zarumieniła się—czy nie widzisz? czy nie poznajesz? *C'est drôle!* Patrz, pan Jerzy! A to dziwne spotkanie—dodała, zatrzymując konia.—Dzień dobry, panie doktorze! Dzień dobry!... Miléj mi było powiedzieć panu przed kilku laty: Dzień dobry, panie poeto! Nieprawda, że to jakoś lepiéj brzmi: „poeto!“ a przy „doktorze“ przychodzą mi zaraz na myśl krew i pijawki...

— Bo pani lubisz tylko kwiaty—odparł Jerzy—i nie chcesz przypuścić, że każdy kwiat upaść musi, jeźli jaki owoc ma wydać.

— *Eh bien!* Otóż pan byłeś pięknym bladoróżowym kwiatem jabłoni, a teraz jesteś cierpką, kwaśną, niedobrą płonką! Nie lepiéjże to było uschnąć wonnym kwiatem, tak poetycznie...

— Pani sympatyzujesz z dzisiejszym porankiem, który jest dziwnie przejrzysty i eteryczny.

— A pan sympatyzujesz z ciemnym, brudnym szpitalem... Nie dajesz się widzieć dobrym znajomym— chorym...

— Chorym? Czy pani margrabina...

— Nie, mama zdrowa... Terenia była trochę cierpiąca... prawda, *ma chère?*

Czarna amazonka spojrzała na nią dużém, niebieskiém okiem, jakby wcale nie wiedziała, o co ją zapytała towarzyszka. Chciała niewiadomość tę pokryć uśmiéchem, ale uśmiéch jéj zaledwo tylko zarysował się koło ust bladych i zginął, nie doszedłszy do oczu. Na twarz jéj wróciła znów dawna bezmyślna omdlałość.

— A teraz niedobry, nieznośny panie doktorze a ex-poeto—mówiła daléj panna Janina—teraz możesz sobie pomyśléć, żeśmy się stęskniły za panem i żeśmy umyślnie tu przyjechały... Nie prawdaż?...

— Nigdy nie byłem tak śmiałym — odparł Jerzy spokojnie.

— A to tylko czysty przypadek—przerwała amazonka—przypadek, któremu winną jest Terenia... *N'est ce pas?*

Towarzyszka próbowała znowu uśmiéchnąć się...

— Tak jest — pochwycił młody lekarz — wierzę *w ten przypadek*, jakiéjkolwiek on jest natury,

a nawet więcéj, bo wierzę, iż wszystko to jest przypadkowe, coby zachwycić mogło, gdyby było prawdziwe...

— Bardzo słusznie pan sądzisz, inaczéj stałbyś się nieznośnie zarozumiałym... Ale najprzód, kiedy pan będziesz u nas?

— Jak powołaniu memu tutaj zadość uczynię.

— Odkąd zacząłeś pan mówić wiele o powołaniu, o misyach jakichś, stałeś się nawet niegrzeczny.

— Poprawiam się i czekam rozkazu, kiedy mam przyjść do zamku?

— Nie, nigdy—odpowiedziała amazonka, a ukłoniwszy się nieznaczném schyleniem głowy, uderzyła konia szpicrutem, puszczając mu wodze. Z pod jéj pięknéj, spuszczonéj rzęsy wymknęła się biała, przejrzysta łza... Arab zwinął się w kłębek, rzucił za siebie kilka chmur pyłu i w oka mgnieniu zmalał do drobnéj karty białego papiéru.

O! schowaj tę łzę, piękne dziéwczę, uronioną w majowym poranku; schowaj ją w głębi serca, aby jéj nie wykradły owe czarne psotniki, kołyszące się nocą na liściach staréj gruszy i śmiéjące się z szczęścia ludzkiego. Niech szara gąsienica niéma z niéj dyademu przy biesiadzie północnéj, z téj pięknéj, przejrzystéj łzy, uronionéj w poranku majowym!...

Jerzy stał długo i patrzył na drogę wzdłuż stawu, ale na drodze téj nie było już nikogo.

Wrócił do swojéj izdebki. Przypomniał sobie szkatułkę, którą mu mieszczanin powierzył. Dla odpędzenia różnych niemiłych myśli chciał się właśnie

zabrać do przejrzenia zawartych w niéj papiérów, gdy nagle spostrzegł, że niéma jéj na miejscu, na którém ją odchodząc zostawił. Przetrząsł wszystkie kąty izdebki, ale szkatułki nigdzie nie było...

II.

Majątek radziejewski składał się z dwóch włości: Radziejewa i Czarnowód. Czarnowody stanowiły wprawdzie tylko mały przysiołek, stykający się z Radziejewem, ale położenie tego przysiołka było tak miłe, tak ciche i ustronne, że dawny tego majątku właściciel tutaj założył swoję siedzibę, postawił dwór z cegły, nakrył go dachówką i otoczył wieńcem lip i kasztanów.

Było coś klasztornego w całéj fizyognomii Czarnowód. Jakiś błogi spokój... jakaś cisza szczęśliwego życia rozléwała się w powietrzu. Niebo wiecznie jednakie, nieco przysępione, otoczyło w sine ramy cały spokojny krajobraz. Nie było w nim żadnych gorętszych barw, żadnych jaskrawych odcieni. Niebo i ziemia zdawały się sympatyzować ze sobą, jak starzy kochankowie, którzy już wszystkie zwierzenia się wyczerpali, wyspowiadali się z wszystkich uczuć swoich, zużyli pieszczoty i zachwycenia, a teraz patrzą na siebie czystém, lecz spokojném, beznamiętném okiem; zdają się używać jakichś wyższych, kontemplacyjnych rozkoszy. Złośliwy człowiek powiedziałby po prostu: że się nudzą; zkąd jednak wcale nie wypływa, aby niebo

wielkopolskie znudziło się Czarnowodami, lub Czarnowody miały zobojętnieć dla nieba wielkopolskiego. Ma i starość swoje pieszczoty, ale świat złośliwy ich nie widzi.

W ciemnéj, zakonnéj szacie legły Czarnowody na zielonym kobiercu, nad brzegiem jeziora. Długie wieki spiérała się wieś z jeziorem, kto od kogo imienia sobie pożyczył. Jezioro bowiem, nazwane Czarnowody, miało w saméj rzeczy wodę dosyć czarną; wieś znów jednak miała w swojém łonie czarne trzęsawiska, z których sączyły się zdroje brunatnéj wody. Jezioro wygrało sprawę, a skromna osada cofnęła się od brzegów adwersarza, zasłoniwszy się wysoką groblą przed jego wodami napastniczemi. Z rezygnacyą, godną lepszego pola i lepszéj wody, posuwała się biédna wioszczyna coraz więcéj ku zachodowi, ale białe domki sąsiedniéj niemieckiéj osady trwożyły ją znowu, jak białe widma upiorów, jak białe płaszcze rycerzów krzyża, co niegdyś po kilkakroć najeżdżali ją, pustosząc ogniem i mieczem. W tak ciężkiéj chwili zaślubiła się z niebem biédna polska wioszczyna, jak Wenecya z morzem, i przez długie wieki wpatrywali się w siebie z rozkoszą szczęśliwi kochankowie... A nawet dzisiaj, gdy już oboje jakoś postarzeli i szary, żałobny strój przywdzieli, nawet dzisiaj nie ustały ich pieszczoty, chociaż ich oko zwyczajne nie dojrzy. Tylko samotny wędrowiec widzi pod wieczór ich łzy pożegnania, gdy się do snu zabiérają, i widać, jak te ze wschodem słońca gorącym oddechem wypija niebo zbudzone, a oblubienica stroi się rada w kwiaty i uśmiécha się zalotnie, odmłodniona snami dawnych, szczęśliwszych wspomnień.

Dwór tylko śmieléj wysunął się na brzeg jeziora

i z dumą spoglądał na ciche, u jego podnóża wijące się fale. Była to dawna, bardzo dawna budowa. I widać było, że nie jedna ręka, niejeden budowniczy kierowali tą robotą. Do czworobocznego domku przydano później jeszcze skrzydło z małym gankiem, prowadzącym na ogród. Z jednéj strony rzęd topol, z drugiéj kasztany, ocieniały ten dworek szlachecki i tylko kiedy niekiedy z pomiędzy gęstych liści i ciemnych konarów zabłysły białe jego ściany. Cały ten dworek jakby schowany w jednéj olbrzymiéj altanie, wydawał się podobny do świątyni, ukrytéj w ciemnym borze, a jakiemuś tajemniczemu bóstwu poświęconéj.

W saméj rzeczy dziwnie tajemnicza cisza otaczała ten dworek szlachecki. Wejdźmy do jego wnętrza.

W nowo przybudowaném skrzydle, w małéj, ciemnéj izdebce znajdujemy wszystkich mieszkańców tego jakby zaczarowanego dworka. W dużém, poręczowém krześle, wybitém skórą safianową i osadzoném na kółkach, siedzi siwy staruszek. Jest on nizkiego wzrostu, twarzy bladéj i zwiędłéj, ale żywych, szybko biegających oczu. Nad oczami zawieszona brew jeszcze czarna prawie dziwny stanowi kontrast z włosami białemi jak mléko. Widać z postawy staruszka, iż długie lata przesiedział już w tém krześle... i że własną siłą nigdy zeń nie wstanie. Po ciemnéj podłodze rozchodzą się w różnych kierunkach koleje kółek krzesła, a jedne z nich wychodzą aż gdzieś za próg drugiego pokoju. Jest to zapewne jedyny rodzaj ruchu, jakiego używa biédak za pomocą swego sługi.

Koło niego siedzi duchowny, zapewne proboszcz miejscowy. Twarz ma okrągłą i dobroduszną, zdaje się, iż wiele lat musiał przebyć z tym staruszkiem.

Daléj blizko drzwi mężczyzna, także już nie młody. Postawa wyprostowana świadczy, iż był kiedyś wojskowym, a małe, siwe bokobrody, idące wężykiem do ust, i krótko podstrzyżone siwe wąsy, okazują, że zawód swój wojskowy rozpoczął jeszcze w czasach napoleońskich, gdzieś pod księciem Józefem. Trzyma on w ustach krótką fajeczkę i cienkim sznurkiem, zwolna wypuszcza dymek błękitny, wypychając go czémprędzéj za drzwi nieustanném machaniem ręki. Staruszek bowiem nie lubił fajki, uważając ją za wymysł wcale niepotrzebny; z szczególnego jednak afektu dla przyjaciela, pozwalał czasami na ten jego ulubiony poobiedni specyał. I ksiądz proboszcz był tego samego co staruszek zdania, ale zdanie to nie miało tutaj wielkiego znaczenia, bo mówiąc *contra* fajce, mówił *pro domo sua* poczciwy kapłan, wielki amator tabaczki, która według niego miała krew czyścić i pamięć wzmacniać.

Na nizkim taboreciku, po lewéj ręce staruszka, oparta o poręcz jego krzesła, siedziała młoda, piękna kobiéta. Młodość jéj dziwnie kontrastowała z tém poważném zgromadzeniem. Włosy miała ciemne, połyskujące, oczy przytem niebieskie, osłonione mgłą młodych, smutnych marzeń. Zdawało się, iż dla tych młodych marzeń nie było już miejsca w jéj życiu. Patrzyła na nie jak na kwiaty martwe bez woni, zasuszone w książce pamiątek. Głowę pochyliła na ramię staruszka; usta jéj piękne, różowe, dotykały się jego zwiędłéj ręki, a pierś jéj pełna, podniesiona lekkiém westchnieniem, zdawała się snuć z siebie jakieś dziwne, urocze obrazy, do których boleśnie uśmiéchały się jéj usta. Za nią przy oknie stał młody lekarz, którego już wi-

dzieliśmy w Radziejewie. Patrzył przez okno, chociaż prócz gęstych liści kasztanów nic ztamtąd nie widział.

Na ścianach téj małéj izdebki porozwieszane były wizerunki dawnych Radziejewa dziedziców. Trzy strzały, umieszczone przy każdym u góry, oznaczyły ród Dębiczów. Obok nich wisiały wizerunki Stefana Batorego w różnych wydaniach i różnéj wielkości. Był to ulubiony król naszego staruszka. Od lat kilkunastu pracował on nad obszérnym poematem, którego przedmiotem miał być król Batory...

Cała atmosfera tego pokoiku była duszna i przyćmiona. Liście kasztanów zasłaniały okno do połowy, a wysokie krzaki agrestu i malin stykały się z niemi. Zielonawe, zimne światło wciskało się przez nie do izdebki i oblekało wewnątrz wszystko jakimś zimnym, melancholijnym pokostem. Do tego czyste, majowe niebo, zachmurzyło się posępnie; duszno było w powietrzu.

Mieszkańcy dworku schadzali się tutaj codziennie, po spożyciu bożych darów, po obiedzie na tak zwane „spiritualia," jak się wyrażał sędziwy staruszek. Myślałby kto z dzisiejszych ludzi, że owe „spirytualia" składały się z jakich wódek holenderskich, likierów... Wielki to byłby błąd... Owe „spiritualia," na które staruszek po każdym obiedzie domowych i gości zapraszał do swojéj izdebki, był to wielki akt łaski z jego strony, bo do tego pokoiku w innym czasie nikt nie mógł miéć przystępu. Była to świątynia, poświęcona muzom i medytacyom nabożnym. Z niéj to odczytywał zgromadzonym i objaśniał przykładami z własnego życia miejsca różne z pisma świętego, opowiadał ustępy z żywotów świętych, a na smaczną zakąskę po-

dawał ten lub ów rozdział z swojego poematu z wszelkimi waryantami, co do których zasięgał rady każdego z osobna, chociaż w końcu z nikim się nie godził. Najżwawsze utarczki w tym względzie staczał z księdzem proboszczem, który był przekonany, iż co do poetyki gruntowne posiadał wiadomości. Jeszcze w jednéj rzeczy nieubłaganym był poczciwy proboszcz, co sędziwego poetę nieraz całą bezsenną noc kosztowało. Wypowiedział on z góry zawziętą krucyatę wszystkim bogom Olimpu i nie pozwolił nigdy, aby obok N. Panny z Jasnéj Góry stanęła nieunikniona w poemacie bohatérskim Bellona; a obok Michała archanioła nie mógł znieść Marsa, do którego jeszcze z czasów szkolnych miał jakiś wstręt niewytłumaczony. Można sobie wyobrazić, jak strasznym dla klasycznego poety był poczciwy proboszcz, z jaką rozkoszą uśmiéchał się do siebie, zażywając tabaczkę, gdy po wczorajszéj perorze, któréj poeta wcale niby nie akceptował, obaczył powykréślane jak najsumienniéj imiona niektórych bogów pogańskich...

Dzisiaj jednak w atmosferze tego pokoiku panowało coś ciężkiego. Jakaś chmura niewidoma ciężyła na wszystkich. Staruszek swoim zwyczajem przeczytał znów długi rozdział przeciwko któremu ksiądz proboszcz bynajmniéj nie oponował, a nawet w końcu silny wiérsz i dobitne obrazy z wielkim pochwalił aplauzem. Reszta zgromadzenia milczała, zdawało się, iż każdy z nich był w téj chwili więcéj sobą zajętym. A nawet możnaby i księdza proboszcza posądzić o jakieś dziwne roztargnienie, inaczéj nie byłby Bellony, Marsa i Jowisza przepuścił.

Dalsza więc literacka pogadanka była z braku opozycyi ze strony proboszcza wprost niemo liwą. ruszek zamknął spiesznie tekę i zwracając się do młodéj kobiéty, całując ją przytém w czoło, rzekł:

— Moja Zuzia coś dzisiaj smutna; zapewne ten trzpiot Tadzio zapomniał po obiedzie rączkę ci ucałować.

Owym trzpiotem Tadziem nie był nikt inny, jak ów napoleonista z krótką fajeczką, który na słowa staruszka uśmiéchnął się z zadowoleniem, jak człowiek, co swój obowiązek należycie wypełnił. Młoda kobiéta uśmiéchnęła się także, a nawet z wyrazem tkliwego przywiązania spojrzała na męża.

— No i cóż za przyczyna tego smutku — mówił daléj staruszek—czy cię głowa boli, czy mak może nie chce schodzić?

Młoda kobiéta przycisnęła twarz z gorączkowém jakiémś uczuciem do ramienia staruszka, a gdy nań spojrzała, miała oczy jak po łzach zwilżone. Ujęła rękę staruszka, przyłożyła do gorącego swego czoła i wyszeptała cichym głosem:

— Głowa mnie boli, kochany dziadziu — wyszeptała—nic więcéj...

— Wypij herbatę z polnych bratków, a ból ustanie—ciągnął staruszek, odgarniając jéj oczy z białego czoła.

— Usłucham dziadzia — odpowiedziała piękna wnuczka—i zaraz pójdę kazać zgotować.

— Ale proszę cię, moja Zuziu — zawołał staruszek na odchodzącą — przyjdź tutaj na powrót i nie bądź sama, bo jak widzę, masz dzisiaj znów wielką ochotę do płaczu.

— Przyjdę, kochany dziadziu — odrzekła, zamykając drzwi za sobą.

Napoleonista z krótkiéj fajeczki puścił raźno kilka kłębów dymu, a spostrzegłszy się, wyjął z ust czém prędzéj zdradliwą, kochankę i rzekł do proboszcza z dobrotliwym uśmiéchem:

— Już to ksiądz proboszcz wiele zawinił, iż moja Zuzienka tak tkliwą jest na wszystko. Jako jéj spowiednik musiał sumienie jéj zanadto roztkwilić. Ona dzisiaj już nawet i kury nie daje zarżnąć, zdaje się jéj bowiem iż to grzech, odbiérać życie temu, któremu Bóg je dał... A takie sumienie to przecież rzecz niepraktyczna. Gdybym ja miał takie sumienie, czyż mógłbym z zimną krwią kazać strzelać w trzy bataliony piechoty, z których w przeciągu dziesięciu minut zrobiłem formalną potrawkę z drobiu...

— Widzisz, kochany majorze — odpowiedział ksiądz probosz — *to altera rei conditio.* Sam Mojżesz wybił mnóstwo Izraela kamienną tablicą, iżby dać zwycięztwo prawdzie objawionéj. To hart duszy męzkiéj, a kobiéta...

— Kobiéta — odezwał się staruszek — powinna być czułą matką, dobrą żoną, lecz nie powinna żadnym wymarzonym słabostkom ulegać, jakich się u nas wraz z romansami francuzkiemi namnożyło. Zuzia—mojém zdaniem — ciągnął daléj staruszek, patrząc z uwagą na drzwi—Zuzia jest złotém dzieckiem. Nie mówię to dlatego, żem ją sam na własnych rękach, gdyż od dziecka była sierotą, wychował, ale mówię szczérze i otwarcie, jakby mi najzupełniéj obcą była. Gdzieżby inna tak prędko rady starego dziadka usłuchała, gdy jéj przyprowadził starego żołniérza, co chociaż stanowił

skarb dla mnie z powodu zasług swoich, był jednak trzy razy od niéj starszy! Miała wtedy lat szesnaście, była piękna i świéża jak róża majowa, a ja rzekłem do niéj: „Zuziu, czy pamiętasz ty wszystkie lekcye moje? Czy wiész, jaką miłość powinniśmy miéć dla ludzi, którzy życie swoje tylokrotnie poświęcali dla dobra powszechnego?...“ A gdy z drugiego pokoju wyszedł major, wprawdzie z siwą czupryną, ale z piękną szramą na czole i po staropolsku przed nią ugiął kolana a nawet jak młody mazgaj jaki w głos się rozbeczał, Zuzia natychmiast rozpłakala się, siwą głowę konkurenta przycisnęła do piersi i dotąd jeszcze, chociaż to już ośm lat minęło, mile wspomina tę chwilę, a nawet śmieje się figlarnie z kłopotów Tadeusza, który wolałby iść na zdobycie reduty, aniżeli oświadczyć się pannie szesnastoletniéj! A co, któraż panna dzisiaj tak uczyni?

Podczas gdy ksiądz proboszcz w swojéj niezawodnéj tabaczce, co krew czyści i pamięć wzmacnia, szukał konceptu, poczciwy major uśmiéchał się z wyrazem najzupełniejszego szczęścia, które po wielu trudach wojennych zaświtało mu w nagrodę przy schyłku życia. Tymczasem proboszcz przyszedł do słowa:

— Już to pani majorowa jest kobiétą, jakich dziś mało na świecie. Zeszłéj niedzieli, przygotowując się w duchu do kazania na temat o aniołach stróżach, którzy wiodą człowieka po ściéżkach jego żywota, gdy tak sobie takiego anioła idącego po prawéj stronie człowieka *in persona* wyobrazić chciałem, wchodzi do kościoła nasz kochany major, a koło niego prawdziwy anioł... Otóż obraz anioła stróża, pomyślałem sobie, a wyszedłszy na ambonę, zwracałem się zawsze mimowolnie w kazaniu do ławki, w któréj siedziała pobożna

kolatorka. A nawet i malarz nie mógłby lepiéj tego obrazu pochwycić! Bo człowiek obok anioła stróża musi wyglądać jak stary, spracowany, znużony pielgrzym, któremu już tchu nie staje; źrenica przygasa, nogi się plączą, a całą jego nadzieją jest młody, hoży towarzysz, którego młodość i siła są wieczne, który nie nie opuści go aż póki wraz z duszą jego nie odleci do nieba...

Major posunął się niecierpliwie na krześle. Proboszcz zapędził się w zapale i w tak niezręczny sposób zdjął zeń konterfekt człowieka, którego anioł-stróż prowadzi, iż jako żywy model tego konterfektu uczuł się nieco skrzywdzony. Co dostrzegłszy staruszek, uśmiéchnął się i rzekł:

— Zwolna, zwolna, Tadeuszku, bo zbombardujesz mi jeszcze proboszcza. Patrz, aż się zakrztusił, tak dmuchnąłeś na niego dymem. Gdyby gęba twoja nabitą była kartaczami, już by nie żył ksiądz Maciej.

Proboszcz zażył tabaczki, aby sobie na prędce przypomnieć, czy czego niedorzecznego nie powiedział; ale właśnie na jego nieszczęście zawiodło go tym razem niechybne jego *remedium*. Nic nie mógł sobie przypomnieć, a nie rozumiejąc tym sposobem alluzyi słów, dopiéro co przez staruszka wyrzeczonych, odpowiedział na nie zwykłą swoją formułą, któréj wtedy zawsze używał, gdy nie był pewny, iż rzecz zrozumiał lub dobrze dosłyszał:

— Wszystko się tak na świecie dzieje, iż i najrozumniejszy człowiek przyzna sobie jutro, że to było głupie, co wczoraj mówił lub uczynił. *Et ego quidem*, mówię to dzisiaj, com mógł dopiéro może jutro powiedzieć.

A gdy znowu téj tak hazardownéj sentencyi ani staruszek, ani major, ani nawet młody lekarz, który stał ciągle przy oknie, zrozumiéć i do czegoś zastosować nie umieli, gawędka wróciła znowu do miejsca, w którém zatrzymał ją ksiądz Maciéj niezręcznym swoim konterfektem anioła-stróża.

— A że jest czasem smutną i nawet zapłacze sobie—mówił daléj staruszek — to temu wcale się nie dziwię. Ludziom na ziemi zawsze czegoś brak...

— „Ciernie i głogi będzie odtąd rodzić dla was“— wtrącił ksiądz Maciéj.

— Tak jest, ciernie i osty są tutaj udziałem człowieka; a to tém słodszą dla nas nadzieją, iż kiedyś zaświta nam inne życie, w którém niéma ni łzy, ni bólu, a za którém koniecznie tęsknić i płakać musimy.

— Tęsknota do życia zagrobowego — ozwał się ksiądz Maciéj — jest wrodzoną wszystkim ludziom, a nawet tym, których łaska Boga nie oświéciła jeszcze prawdą religii objawionéj.

— Oto co wzięliśmy z sobą, wychodząc w raju— mówił daléj staruszek, a blada twarz jego ożywiła się wyrazem głębokiéj pobożności—tę właśnie tęsknotę do lepszego życia; bez niéj bylibyśmy zwierzętami; jak inne, niższe od nas stworzenia. Ta tęsknota kołacze nam ustawicznie w sercu i przypomina, abyśmy dbali o żywot wieczny. Ona wyciska nam łzy, których sobie nieraz wytłumaczyć nie możemy, nasyła nam niepokojące przeczucia, dziwne, zagadkowe pragnienia, które często przypisujemy ziemskim jakim przedmiotom lub zdarzeniom, gdy to tymczasem dusza nasza wzbija się po za mgły ziemskiego widnokręgu i pożądliwém okiem patrzy w rozkosze niebieskie!... I cóż

ty na to Farysie? — dodał, zwrócony do młodego lekarza.

Jerzy przysunął do okna opróżniony taborecik, a usiadłszy na nim, odezwał się, jak następuje:

-- Bardzo szczytne jest takie tłumaczenie tęsknoty, niepokojącéj nas na wszystkich ścieżkach naszego żywota; ale ja nadałbym jéj obok tego ostatecznego celu jeszcze inne cele, a mianowicie te, których ona na ziemi dosięgnąć może. Jak nie możemy żądać od młodéj rośliny, iżby natychmiast nasienie na przyszły plon wydała, tak również nie można wymagać od człowieka, aby, zaledwie w świat wstąpiwszy, już o niczém inném nie myślał, jak o przyszłém życiu swojém. Do tego musi on dążyć stopniowo. Jak roślina bowiem wydaje naprzód kwiat: z kwiatu, który opada, zawięzuje się owoc, i w tym dopiéro dojrzewa zwolna ziarno przyszłego plonu—taki sam peryod i ludzie muszą przebyć na ziemi. I to ich życie ziemskie musi miéć swój kwiat i swoje owoce, bo bez nich trudna potém droga do nieba...

— Otóż to wasza nowa szkoła — zawołał żywo staruszek — wybryki romantyzmu, dokądże zaszliście za mistrzami téj waszéj szkoły? Słuchaj, mój kochany Jerzy. Znałem cię dzieckiem na rękach nieboszczki matki twojéj, gdy mieszkała w Kaliskiém; widziałem cię młodzieńcem, gdyś tutaj do nas przyszedł; słyszałem cię w końcu czytającego własny twój poemat o Bolesławie Chrobrym i cieszyłem się w duchu, że ci słuchacze przysklaskują. Od tego czasu zdawało mi się, żeś zapomniał o starych ludziach, bo Oda do młodości nazwała ich starą, spleśniałą korą. Czytałem wiele w waszych dzisiejszych pismach o tobie i pomyślałem

sobie: Szczęść mu Boże, snać ja za stary, ja ich już nie rozumiém. Ale będę czekał, dokąd oni zajdą. I cóż? Oto przebiegłeś jak Farys całą krainę poezyi i znalazłeś na niéj tylko piaski i szkielety! A gdzież owe kwiaty czarodziejskie, owe zaklęte dziewice, owe pałace rajskich roskoszy?... Z czémże wróciłeś z krainy romantycznéj poezyi?... Oto wypaliłeś serce i duszę piaskami pustyni, na któréj szukałeś kwiatów i zdroju życia!... I roztrzaskałeś lutnię o skały Olimpu i poszedłeś do kliniki, aby na trupie, z nożem w ręku, uczyć się tego, czego cię nie mogło nauczyć samo natchnienie, ów wasz Bóg wszechwładny, wasza Alfa i Omega! Taki to koniec waszych wyobrażeń romantycznych; daj Boże, aby trzeźwe przebudzenie nastąpiło jeszcze dość wcześnie.

Staruszek odetchnął i zamilkł na chwilę.

— Oto—zaczął daléj — wzięliście ludziom Boga i religią, a natomiast cóżeście im postawili?... Namiętność i żądze! Szczęście według was to zadosyć uczynienie żądzom i namiętnościom, czy to ciała, czy ducha. Według was w młodości trzeba szaleć, szaleć aż do znużenia, trzeba łamać szranki, które nam stawia społeczeństwo, a potém zebrać to całe życie jak garść błota i z satyrą na ustach rzucić je po za siebie, zamiast Epopei napisać Don Juana... Według nas wszystko musiało iść ubitym gościńcem; przed nami były tylko obowiązki, a wypełnienie tych obowiązków napawało serca owém cichém, spokojném szczęściem, o jakiém wy dzisiaj pojęcia nie macie! Bo człowiek tyle tylko na ziemi używać powinien, o ile mu sumienie jego mówi, iż obowiązkom zadość uczynił. Reszta to grzéch

i bałwochwalstwo. Postawmy tylko zamiast Boga i religii — żądzę i namiętności, a najwięksi zbrodniarze oczyszczą się w obec nas i będą biali jak aniołowie w niebie. Dzisiaj bierzemy jednę lub drugą namiętność, nazywamy ją szlachetną, albo przynajmniéj konieczną, malujemy z upodobaniem jaskrawe jéj barwy, a tymczasem ona sama rozrywa węzły rodzinne, odbiéra mężowi żonę, a dzieciom matkę... Bo namiętność jest u was większą od zaprzysiężonych obowiązków!

Staruszek spoczął. Na jego twarz wystąpił rumieniec. Dawno nie mówił z takim zapałem.

— Jakby mnie kto z ust wyjął, mości dobrodzieju — rzekł rozrzewniony proboszcz—tylko nie byłoby to tak gładkie i dosadne, jakeś pan dobrodziéj powiedział.

— Jakkolwiek—odezwał się teraz Jerzy—srogi jest wyrok, który dzisiejszą literaturę dopiéro co spotkał, nie myślę jéj tutaj bronić, zbyt bowiem wielki jest przedział wieku, doświadczenia i zasług między sędzią a obrońcą. Niech mi tylko wolno będzie wspomnieć, że zarzuty powyższe tyczą się więcéj dzisiejszéj literatury francuzkiéj, ale nie naszéj, narodowéj. Nie znam u nas żadnego pisarza, któryby piórem swojém chciał rozrywać węzły rodziny i społeczeństwa, schlebiając rozkiełzanym żądzom i namiętnościom. U wszystkich prawie powtarza się jeden i ten sam akord, owa tęskna nuta, która u nas idzie jeszcze zawsze przed niebieską, zagrobową ojczyzną. Ta nuta i moję sprawiła metamorfozę... Wyśpiéwawszy to, co mi w duszy grało, spostrzegłem, iż mnie słyszą tylko ci i rozumieją, którym mojéj pieśni już nie potrzeba, bo sami mają ją w sobie. Ale spostrzegłem opodal stojących słuchaczy

którzy nas nie rozumieją—obaczyłem lud nasz... Do niego pismem nie dotrzéć — trzeba samemu wnijść do chaty i rękę mu podać. Dlatego nauczyłem się leczenia chorób cielesnych, a na myśli mam zawsze choroby ducha, którym coraz więcéj ulega kraj biédny. Wyższy cywilizacyą naród przygniata nas coraz więcéj swoją oświatą; a my niebaczni na to, zaumiéramy zwolna pod tym ciężarem, jak zasypiający człowiek śród śnieżnéj zawiei! I pół wieku nie minie, a kołyska plemienia naszego stanie się piérwszą jego mogiłą!...

Jerzy poczuł łzę w oczach i szybko wstał z taborecika. Spostrzegł ją staruszek, a wziąwszy go za rękę i przyciągnąwszy do siebie, wycisnął pocałunek na jego czole.

— Jest zawsze coś herezii i bałwochwalstwa w twoich słowach, kochany Jerzy — ozwał się z słodkim uśmiéchem—ale za to i ksiądz proboszcz może ci kiedy dać absolucyą, jeźli się szczérze w piersi uderzysz. To „coś,“ co kładziemy *ante omnia*, a nawet i przed ojczyzną niebieską, jest naszym grzéchem piérworodnym, a nawet nie wiém, czyli i za grób nie weźmiemy sobie jakiéj śpiéwki naszéj...

Ksiądz proboszcz zażył tabaczki, widać, że rad był jakoś z siebie i z mowy staruszka.

— Ale wy młodzi—ciągnął daléj staruszek—jesteście wszyscy gorąco kąpani. Za to, co wam się w nocy przyśni, rano chcielibyście się już poświęcić, nie mając na względzie, że i przed wami nie żyli na świecie sami pasibrzuchy, że i przed wami próbowali ludzie różnych poświęceń! Chcesz pracować dla ludu, patrz zaraz u mnie znalazłeś ślady, żem taką pracę także miał na celu... Praca moja upadła, i twoje nadzieje

zostały zawiedzione. Mielnik zmarł w młynie, gdzie się urodził, a inni okradli cię nawet! Zapewne z antypatyi ku wszelkiéj nauce wzięli ci szkatułkę z medykamentami, abyś ich więcéj nie nudził. Ale mniejsza o to... Trzeba mieć cierpliwość. Potrzeba zacząć od elementarza, a reszta sama się znajdzie. Nam oświata obca nic nie odbierze, ale ich pługi, ich prace i przemysł wszystko nam wydrą. Otóż przedewszystkiém trzymać się nam ziemi naszéj, naszych majątków dziedzicznych. Dlatego to dla Zuzi sam wybrałem męża. Pomyślałem sobie: Tadeuszowi nikt nie odebrał bateryi, otóż pod jego komendę oddam Radziejewo i Czarnowody; dam mu kobiétę jak aniół, a przy boskiéj pomocy nic nam się nie stanie... Pamiętaj Tadeuszu — rzekł zwrócony do męża Zuzanny — pamiętaj zawsze, iż ziemia Dębiczów, ich dwór i grobowiec, są pod twoją obroną. Jeźli nieprzyjaciel tu wnijdzie, ja się mu już nie ustąpię; ostatni Dębicz legnie w grobowcu z przekleństwem na ustach, iż go oddano obcym ludziom!

Wszyscy mieli łzy w oczach, a poczciwy major słuchając, przysięgał staruszkowi, iż grobowiec Dębiczów będzie dla nieprzyjaciół fortecą niezdobytą.

Na tém zakończono dzisiejsze „spiritualia," które się jakoś dłużéj przeciągnęły jak zwykle. Major otarł spłakane oczy, nałożył świéżą fajeczkę i wyszedł w pole, ksiądz proboszcz pospieszył do szkółki, staruszek oparł głowę o poręcz krzesła i zmrużył oczy, a Jerzy wysunął się cicho z izdebki, aby mu snu nie przerywać.

Zaledwie kilka kroków ku bramie dziedzińca postąpił, gdy ujrzał wjeżdżającą w nią cztérokonną karetę z herbami Dąbczyńskich.

— Ach! jakby pana kto wołał—rzekła do niego margrabina, wychylając się z karety. Oczekiwaliśmy dzisiaj pana na zamku — moja Nińcia jest trochę cierpiącą. Jeźli to panu nie sprawi dywersyi, czekamy z herbatą.

Rzekłszy to, uśmiéchnęła się uprzejmie, żegnając Jerzego lekkiém uchyleniem głowy.

Kareta zaturkotała i posunęła się przed dworzec Dębiczów, a młody marzyciel widział w téj chwili mnóstwo wież i ganków w koło siebie, oraz całe grono białych postaci z różową u piersi przepaską. Jego serce uderzyło mocniéj, twarz zafarbowała się lekkim rumieńcem.

Margrabina nie zastała majorowéj w pokoju, a widząc, iż służący do ogrodu po nią się puścił, dała mu znak ręką, iżby się wrócił. Wywiedziawszy się należycie, w któréj stronie ogrodu majorowéj szukać potrzeba, otworzyła zgrabny, ciemnozielony „en-tout-cas“ i puściła się ściéżką wysypaną żółtym piaskiem.

— Przecudnie, prześlicznie! — mówiła sama do siebie, oglądając się na wszystkie strony — ta cisza, to ustronie... *un peu triste*... ale co za myśli swobodne!...

I tak daléj rozmawiała z sobą margrabina. Była to niska, we wszystkich swoich kształtach jeszcze dosyć zaokrąglona dama, mimo, że twarz poprzecinana licznemi zmarszczkami, okazywała już wiek statecznieiszy, w którym zazwyczaj uspakaja się każda kobiéta. Margrabina zdawała się jednak czynić wyjątek. Jakkolwiek w jéj sercu, które dobijało już cztérdziest-

ki z okładem, mógł już zamieszkać pewien spokój i statek, zewnętrzne jednak jéj ruchy nagłe i gwałtowne, najczęściéj na pół urwane, oznaczały nerwowe, wiecznie niespokojne usposobienie. Jéj twarz grała ustawicznie odcieniem barw najróżnorodniejszych, a ta rozmowa saméj z sobą zdradzała ciągły natłok myśli, które głośną mową starała się przytrzymać w pewnym ładzie.

— Ach! to klasztor prawdziwy — mówiła daléj, skręcając w ciemną ulicę lip odwiecznych—to pensyonat... nigdzie oddechu... ah! *la belle nature prend ici son haleine...*

Margrabina odetchnęła; ciemna ulica lip kończyła się wązką ściéżką. Widok obszérny otworzył się przed jéj oczyma, ale majorowéj nigdzie widać nie było.

Była ona samotną w téj chwili i nie marzyła o tém, iż na jéj czyste, chociaż przyćmione niebo wypłynie chmura udręczeń i niepokojów.

Wyszedłszy z izdebki, w któréj odbywały się tak zwane „spiritualia," przebiegła szybko przez kredens, nie dając rozkazu przygotowania herbaty, któréj doradził jéj poczciwy staruszek. Chciała się czémś rozerwać, zapragnęła świéżego powietrza. Wyszła do ogrodu, aby uzbiérać dziko rosnących bratków. Przejrzała wszystkie klomby drzew, przeszła kilka razy przez wielki gazon, okrążyła cały ogród do koła, ale żadnego bratka nie znalazła. A przecież było ich pełno pod klombami, pełno na wielkim gazonie i w każdym zakątku ogrodu. Ale Zuzanna nie widziała ich, chociaż krocie skonały pod jéj stopami. Jakieś złe demony, psotniki, zasłaniały jéj wzrok, pląsały przed nią i skakały z trawki na trawkę, z kwiatka na kwiatek.

Zuzanna jakby przypatrywała się ich pląsom, szła za nimi do ciemnéj, lipowéj alei zapominając o bratkach i przyrzeczeniu daném staruszkowi.

Ostrożnie, młoda, piękna kobiéto! W ciemnéj, lipowéj alei pełza mnóstwo czarnych gadów; brzydkie, stubarwne gąsienice kołyszą się na liściach lipowych, a twoje czyste, białe ramiona obnażone, twoja stopa często dotyka się brzydkich, plugawych gadów, chociaż na pozór ubrane są w kolory tęczy!... Strzeż się, dotknąć się tych złudnych, złocistych postaci; one cię wabią coraz daléj, coraz daléj, aż tam, gdzie cię przemienią w brzydkie potwory! A wtedy już późno będzie wracać, wtedy już nie wrócisz?...

Zuzanna kroczyła zwolna długą, ciemną aleją. W sercu jéj panował jakiś dziwny niepokój. Przyspieszyła kroku i wyszła na piękną, zieloną polankę, która ciągnęła się wzdłuż brzegu jeziora. Nad samym brzegiem była grupa drzew, a pośrodku nich bielała się mała altanka. Było to zwykłe miejsce jéj wypoczynku. Tam lubiła siadywać z książką lub robótką w ręku, a spokojne, ciche zwierciadło wody napawało jéj duszę błogiém upojeniem. Tam czytywała często staruszkowi o dawnych czasach, podczas gdy szczęśliwy major mógł otwarcie puszczać dym, tworząc zeń najrozmaitsze kółka i zygzaki.

Do téj altany weszła teraz i usiadła. Spojrzała na jezioro. Było ono wprawdzie ciche i spokojne, ale lice jego zmatowało się i sposępniało, jak twarz nieszczęśliwéj, marzącéj kobiéty. Złe duchy - psotniki pływały po tych ciemno-zielonych falach i uganiały jedne za drugiemi z wielkim śmiéchem i chichotem. Zuzanna czuła niepokój w sercu.

Na drugim brzegu jeziora była mała wysepka, zasadzona staremi drzewami, a połączona z brzegiem szeroką groblą. Na téj wysepce stały ruiny klasztoru Bożogrobców. Nie mógł milszego ustronia wybrać pobożny fundator... Wyspa ta utworzyła się wskutek jakiegoś gwałtownego wezbrania jeziora, którego wody, wdarły się w wysoki brzeg i wykroiły zeń część lasku, co niegdyś ciągnął się wzdłuż jeziora. Późniéj wycięto las i zamieniono na orne pola, tylko na wysepce zostało kilkaset drzew starych, do których przystęp tamowały wody jeziora. W tym gaiku wybudował pobożny człowiek dom Boży i oddał go w opiekę Bożogrobców. Fryderyk Wielki zniósł zakon Bożogrobców; klasztor stał się pustką i rozpadł się w gruzy, tylko mały kościółek wyglądał jeszcze z po za drzew i z smutną twarzą patrzył w ciemno-zielone wody jeziora, w którém odbijały się pochylone jego krzyże. Pokrycie bowiem jego już dawno zapadło, tylko dwa główne mury z krzyżami stérczały jeszcze i wyglądały jak dwie w niebo wzniesione ręce, błagające ratunku!! Drzwi do świątyni były zamknięte i opieczętowane. Na progu porosła trawa i dzikie zielsko; sowy i kawki gnieździły się w wyłomach muru. Wązka tylko ścieżeczka wiła się przez gęste zarośle; wydeptali ją mali, ubodzy pastuszkowie, niosąc wieńce z maików i bławatków dla Najświętszéj Panny Maryi, któréj wizerunek wymalowany był na murze frontowym kościółka z podpisem: „Pod Twoję obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko!“

Na ten kościółek lubiła Zuzanna patrzéć całemi godzinami. Doznawała przyjemnego, pobożnego wzruszenia, patrząc na te wązkie okna cel klasztornych,

z których wyglądając niegdyś na cichy, ustronny świat, pobożny Miechowita używał lubéj słodyczy życia kontemplacyjnego. Tam z tamtéj wieżyczki brzmiał niegdyś śrébrny dzwonek na „Ave Maria“ i zdawało się jéj, że słyszy chór mnichów, śpiéwających na cześć Przeczystéj Panny!... I przychodziły jéj na pamięć opowiadanie staruszka, który tłumaczył jéj zwyczaj katolicki dzwonienia na Anioł Pański i o jego powstaniu prześliczne opowiadał rzeczy... „W gorącéj, czarodziejskiéj krainie, pośród gaju pomarańcz i cyprysów, bieleje klasztor św. Franciszka. Na krużganek kościoła wyszedł blady mnich w grubéj odzieży, iżby wieczorem odmówić modlitwę. I wzniósł ręce ku niebu i wymówił piérwsze dwa słowa modlitwy. W tém jakiś miły dźwięk zaleciał do jego uszu. Spojrzał w dolinę ubraną w kwiat pomarańczy, z któréj wznosiła się woń jak z kadzielnicy świątecznéj. A tam w dolinie, pod oknami białéj chatki śpiéwa młody trubadur swojéj ulubionéj piosnkę miłości... Z okienka wychyla się piękna dziéwczyna, a pieśń trubadura ustaje, milknie: ich usta zbliżają się do siebie... Reszta pieśni sączy się w serce długim, gorącym pocałunkiem... Palące słońce zachodzi za mgły wieczorne, z pod każdéj chatki słychać pieśń miłosną, a każda ustaje na ustach pięknéj, młodéj dziewicy... Bo o téj godzinie zwyczajem kraju każdy kochanek żegna piosenką swoję wybraną, aby ją znowu ze wschodem słońca piosenką przebudzić... I opuścił ręce mnich blady, słowa modlitwy zamarły na jego ustach... I przyszła mu na myśl jego cela samotna, te ponure, grobowe mury, ta wieczna, głucha cisza... A tam w dolinie brzmi znowu piosnka miłosna... Mnisi szukają brata i znajdują go na kruż-

ganku kościoła, z bladą twarzą, a płonącém okiem patrzącego w dolinę... „Bracia, rzecze do nich mnich blady, dla naszych serc potrzeba wielkiéj, gorącéj miłości. Miłość jest potrzebą ludzi, bez niéj niéma życia, tylko grób, wielki; zimny grób!...“ I zadrżał mnich, wskazując ręką ku dolinie, zkąd było słychać piosnki trubadurów. Potrwożyli się zakonnicy, widząc w ty słowach pokusę czarta, i zaczęli odmawiać modlitwy... Wypogodziła się jednak twarz przełożonego zakonu, niebiezka rozkosz strzeliła z jego oczu... „Bracia, rzekł z utkwioném w niebo wejrzeniem ojciec Bonawentura, nam potrzeba istotnie wielkiéj, gorącéj miłości!... Królowa niebios, przeczysta Panna, niech owładnie serca nasze! Śpiéwajmy jéj, niebiescy trubadurowie, rano i wieczór pieśn pozdrowienia i niech śpiéwa z nami każdy wierny, który jak my samotny jest na tym świecie, dla którego żadne ziemskie serce nie bije, niech śpiéwa każdy nieszczęśliwy wraz z nami: Ave Maria!“ I ozwał się dzwonek klasztorny, mnisi uklękli na krużganku kościelnym i odśpiéwali piérwsze Ave Maria, piérwsi trubadurowie Przeczystéj Panny Maryi!“

Wszystkie te szczegóły opowiadania staruszka stanęły teraz żywo przed oczyma Zuzanny. Ów mnich blady, pragnący miłości, ów trubadur młody, śpiéwający pod oknem cichéj, białéj chatki, owa piękna dziewica, chwytająca pieśń kochanka w swoje usta różowe, owi nieszczęśliwi, dla których żadne serce nie bije... wszystko przechodziło zwolna przed jéj duszą, grało w sercu jéj jakąś smutną melodyą. I zdawało się młodéj, pięknéj kobiécie, że jest jak ów mnich blady, patrzący w jakąś wonną, zaczarowaną dolinę... W sercu jéj obudziło się pragnienie nieodgadnione, słyszała ja-

kieś dziwne, niezrozumiałe pieśni, a przecież pieśni te chwytały za serce, wciskały się do duszy... Spojrzała w swoje życie... Było ono ciche i czyste jak to zwierciadło jeziora, ale jak te wody było smutne, jednostajne, przyćmione... Żadna silniejsza fala nie przeszła po niém; ciche było i spokojne, jak każde poświęcenie.

A tam z ruin klasztornych wysuwają się złe duchy-psotniki, nurzają się w wodach jeziora i podnoszą je na barkach swoich. Fala za falą mknie już do brzegu, biała piana pryska do góry, a duchy-psotniki śmieją się, chichoczą i skaczą po wzburzoném jeziorze. I szepczą do ucha młodéj, pięknéj kobiéty: „Twoje życie smutne i nudne jak grobowce starych Dębiczów, a ty piękna lilio, więdniejesz, kryjesz twoję pierś białą przed rozkoszą, jakiéj jeszcze nie zaznałaś w życiu!“

I śmieją się i chichoczą duchy-psotniki, i coraz to inne rzeczy szepczą do ucha młodéj kobiéty, budząc w jéj sercu dziwne, nieznane uczucia: a na krużganku kościołka smutno i cicho, na rozwalonéj wieży głucho, nie ozwie się dzwonek na Ave Maria!... Wiedzą o tém dobrze duchy-psotniki i śmieją się w oknach wieży, kołysząc się na głuchych, nieruchomych dzwonach!...

— Otóż znalazłam cię, *ma chère*—ozwał się głos za altanką.

Zuzanna krzyknęła przestraszona.

— Przepraszam, jak najmocniéj przepraszam — rzekła margrabina — wystraszyłam cię z miłych snów, przyjemnych marzeń... Ah! co za prześliczny widok

Mówiąc to, wyjęła szyldkretową lornetkę i nie troszcząc się wcale o przestraszoną Zuzannę, która jeszcze do siebie przyjść nie mogła, postąpiła kilkana-

ście kroków naprzód, na sam brzeg jeziora, przypatrując się ruinom kościółka.

— Ach! to może oczarować... Nigdy sobie tych ruin tak malowniczo nie wyobrażałam!... *Ma chère*, witam cię—rzekła do majorowéj, ściskając ją za rękę— i cieszę się, iż cię znajduję tak ładną i młodą jeszcze, jakbyś jutro dopiéro miała iść do ślubu...

— Pani zbyt łaskawa...

— Nie lubię mówić grzeczności — odpowiedziała z akcentem margrabina — a nawet i wtedy, gdy po długiém niewidzeniu się, kogoś po raz piérwszy obaczę.

— A ci—mówiła Zuzanna z słodkim uśmiéchem— ci, którzy po długiém zaniedbaniu widzą się znowu zaszczyceni tak przyjemną wizytą, tyle w tém mają uciechy, iż byliby zdolni wszystkiemu uwierzyć, co się ładnego i dobrego im powié.

Margrabina ukłoniła się z wielką afektacyą, która jéj zdawała się już być wrodzoną, i rzekła:

— Już to, *ma chère*, nie powinnaś nam tego za złe wziąć, żeśmy was czas niejaki zaniedbali. Ach, na wielkim świecie jest się niewolnikiem różnych, tysiącznych fraszek, o których wy nie macie ani wyobrażenia *Cela me fatigue beaucoup*, i wierz mi, moja droga, żebym się szczęśliwszą czuła w waszym wiejskim, skromnym dworku, gdyby jeszcze można, pod strzechą słomianą, przy woni ruty i macierzanki... Wierz mi, to pokrzepia ciało i duszę... A tak muszę być zawsze, jak na deskach teatralnych... nudzą mię serdecznie, a ja z grzeczności uśmiéchać się muszę i wołać: „Ach, jakże to zabawne!...“ Tamtego roku byliśmy w stolicy, tamtego lata jeździliśmy do wód morskich, tę zimę

przesiedzieliśmy w Paryżu, a za to teraz skazani jesteśmy na całe lato, wyobraź sobie, na całe lato!... do Dąbczyna. Od zmysłów odchodzę, gdy sobie uprzytomnię, co za nudy będę musiała tutaj wycierpieć. Ja, przyzwyczajona co wieczora przyjmować liczne, dobrane towarzystwo, ja mam teraz jako codziennych gości tłustego proboszcza i naszego rządcę, którego wołamy na herbatę, aby mąż mój miał partyą! Przyznasz sama moja droga, że grzechem byłoby zaniedbywać najbliższych swoich sąsiadów, z którymi przecież pomówić można.

— Za wiele łaski wyświadczasz nam pani — odpowiedziała Zuzanna, uśmiéchając się na tak otwarte wyznanie margrabiny, a wstawszy z ławki, poprosiła ją do salonu.

— Ach nie, moja droga, pozwól mi napoić moję zbolałą duszę tym przecudnym widokiem—rzekła margrabina, przykładając lornetkę do oczu — w życiu naszém tak mało chwil szczęśliwych, tak skąpo obdzielono nas prawdziwém szczęściem... Tylko złudzenia, rozczarowania i nadzieje!...

Zuzanna westchnęła; margrabina mówiła daléj:

— Te ruiny mają jakiś niepojęty urok; wpatrując się w nie, zdaje się, żeby można stać się zakonnicą. Dawno nie doznałam tak silnego wrażenia.

— Wszak znane od dawna pani te ruiny...

— O! tak, moje dziécię, znam je od dawna, znam dobrze. Ale dusza nasza ma to do siebie, iż coraz to inaczéj widzi te same nawet rzeczy. Zależy to od usposobienia. Pokaż kochankom najpiękniejszą okolicę, opowiadaj im najciekawsze rzeczy, oni nic widzieć, nic słyszeć nie będą. Ale niech serce zajdzie mgłą

smutku, niech oko powlecze łza zadumania, wtedy będziesz szukać owych pięknych, cichych widoków i poić się niemi będziesz bez końca... A nasze całe życie, jak inném wydaje się nam, gdy na nie patrzymy już z kraju! Gdzież owe złote barwy, które nęciły nas w zaraniu?!

Margrabina zrobiła ręką ruch gorączkowy, jakby z przed oczu chciała odpędzić jakieś mary niemiłych wspomnień.

Zuzanna podparła ręką głowę i zamyśliła się... Słowa margrabiny obudziły w jéj sercu jakąś smutną strunę.

— Tak, moja droga — ozwała się po chwili — w sercu człowieka nie jedna spoczywa ruina. Zrazu nie zważamy na nią; późniéj, gdy nam zawadza przy każdém uderzeniu serca jak mara wspomnień złowieszczych, okrywamy ją jak grób świeżą murawą, aby miéć nowe kwiaty, piękną, zieloną łąkę... A tymczasem nadchodzi czas smutku i bolu, wszystkie kwiaty więdną nam w ręku: przeszłość snem tylko. Nasze lica przedstawiają obraz burzy, zastygłéj nagle na powiérzchni wody. Wtedy rozkopujemy mogiłę wspomnień naszych, dobywamy zarosłą chwastami ruinę i w braku innéj świątyni klękamy przed nią i modlimy się do własnych grzechów naszych, bo one tylko przypominają nam, żeśmy chwil kilka byli szczęśliwymi na ziemi!...

Zuzanna zadrżała; dziwna filozofia margrabiny drasnęła ją boleśnie.

— Grzéchem, grzéchem?... Nie, nie, nigdy. To świat tak nazywa, a ja mówię tylko jego językiem. O, świat jest okrutny dla nas!... Ten świat... Kobiécie

nic nie wolno: jéj nie wolno iść za popędem serca, ona musi stać na miejscu, na które rzucił ją przypadek, stać nieruchomie jak piękny, marmurowy posąg póki nie zbliży się do niéj jakiś mężczyzna, nie weźmie jéj i nie ozdobi nią salonu swego domu. Odtąd twemu towarzyszowi wolno wszystko, a tobie nic, nic... Twoje życie ma być pokutą, pokutą za wszystkie twoje marzenia, za twoje piękne i wzniosłe ideały!... O, Georges Sand! ty wielki kobiécy geniuszu!...

— Zakres kobiéty jest wprawdzie szczupły i ograniczony—zabrała głos Zuzanna...

— Szczupły i ograniczony? — przerwała margrabina, a jéj twarz okryta zmarszczkami, zajaśniała gorączkowym rumieńcem — któż go uszczuplił i ograniczył? Czyż Ten, co wlał w serce kobiéce ogień nieugaszony, ogień, który ją rwie do duszy pokrewnéj prowadzi do poświęceń, a nawet do grobu?... Morzu nadano brzeg skalisty i powiedziano mu: „Dotąd, a nie daléj!“ Któż podobne słowa rzekł kiedy do kobiéty?...

— Morze ma za granicę brzeg skalisty — rzekła Zuzanna—a granicę kobiéty stanowią jéj obowiązki!

— Obowiązki! Daruj mi droga, ale to sentencya z konwiktu klasztornego. Zielone, wyschłe mniszki, patrząc na życie okiem żółciowém, fabrykują podobne sentencye i karmią niemi biédne trusiątka. Życie to wcale co innego... Przyłóż ucho do serca, a ono ci powié, iż obowiązki nie są wszystkiém dla kobiéty. Obowiązki zaczynają się tam, gdzie uczucie umiéra. Naprzykład, wyobraź sobie, czyż byłby w tém sens jaki, gdybyś była dobrą żoną z *obowiązku*, czułą matką z *obowiązku*, miłosierną dla bliźnich z *obowiązku*? Czyż

znaczyłoby to, co kochać męża, dzieci i bliźnich? Po cóż ta hipokryzya?

Zuzanna spuściła oczy w ziemię, serce jéj było w téj chwili wymowniejsze od niéj... Przycisnęła je ręką, jakby się lękała jego najmocniejszych uderzeń...

— Obowiązki nasze—rzekła po chwili — zaczynają się od chwili naszego poświęcenia się...

Margrabina roześmiała się z cierpką ironią.

— Dziecko jeszcze jesteś, zazdroszczę ci twego serca. Gdybym była mężczyzną, leżałabym już u twoich stóp, błagając wzajemności. Byłabyś wyborną kochanką. Ta walka między sercem a obowiązkami, te łzy, spazmy omdlenia, wszystko to byłoby nieoszacowaném dla mężczyzny!...

— Nie rozumiem pani — rzekła Zuzanna z godnością.

— Jesteś kobiétą, a nie znasz sama siebie?

— Jakto?

— Bo kobiéta nigdy nie poświęca się!

— Nie poświęca się? — zawołała Zuzanna, cudownie piękna w zapale swojéj dumy.

Margrabina potrząsła głową zamiast wszelkiéj odpowiedzi.

— A jeśli kobiéta dla miłości bliźniego zrzeknie się bogactwa, dostatków...

— To się zrzeka tego, czego nie ceni. Miłość jest dla niéj rozkoszą, a poświęcenie powinno być bolem.

— A jeśli kobiéta wyrzeka się swojéj miłości dla drugiéj, z którą jéj kochanek szczęśliwszym być może?

— To czyni głupstwo.

— A jeśli do kobiéty przyjdzie człowiek godny wszelkiéj czci i szacunku, człowiek, który w życiu swojém dowiódł wzniosłéj, czystéj duszy, co szczyci się pięknemi czynami... Jeśli taki człowiek, dajmy na to, już w sędziwym wieku zbliży się do kobiéty...

— To niech go w rękę pocałuje.

— A jeśli on żąda—mówiła daléj Zuzanna drżącym głosem—w nagrodę swoich czynów i trudów, jeśli żąda od niéj ręki i serca, a ona mu je odda, aby w późnéj zimie jego życia być mu słońcem majowém...

— Robi głupstwo, wierutne głupstwo!—odparła krótko i sucho margrabina.

— Więc to nie poświęcenie się?—krzyknęła Zuzanna, chwytając się za serce, aby zeń nie uleciała myśl ukojenia.

— Posłuchaj mnie, moje dziécię. Poświęcić się można, ale po dokonaném poświęceniu nie trzeba żyć... Poświęcenie jest aktem jednéj chwili, a ta chwila powinna zniszczyć całą naszę istotę. Można ponieść śmierć, to rozumiem, ale oddać całe życie na długą, dobrowolną torturę, tego i święci nie praktykowali! To szaleństwo!

Zuzanna zwiesiła głowę i zamyśliła się...

— Całém szczęściem kobiéty—mówiła daléj margrabina—jest uczucie. Uczucie nie lubi żadnych granic, lepiéj je zmieniać, niżeli ograniczać. Można miéć pasyą do psów, kotów, kanarków, można miéć pasyą do dobrych uczynków, a nawet do nabożeństwa, ale nie można nigdy téj pasyi sobie wybiérać. Trzeba ją brać, jak przyjdzie. Kobiéta, która się wyrzeka wzruszeń, przestaje żyć, jest mumią.

Zuzanna patrzyła na ruiny klasztoru; przed oczyma jéj biegały jakieś dziwne, potworne gady.

— Jabym już dawno była umarła—ciągnęła margrabina—gdybym chciała memu sercu narzucić więzy. Wyobraź sobie moje położenie. Miałam lat nie spełna dwadzieścia, gdym poszła za mąż... Mój mąż był więcéj jak dwa razy starszy odemnie, ale stosunki familijne i towarzyskie kazały mi oddać mu rękę. Ty nazwałabyś to poświęceniem! O, mój kochany, najdroższy mój Achil, nie pragnął odemnie tego męczeństwa.

— I pani byłaś szczęśliwą?

— Ach! byłam szczęśliwą i jesteśmy dotąd szczęśliwi, jak niewielu z śmiertelnych — odparła żywo z gorączkowym gestem margrabina—ale wyobraź sobie, co się w rok po ślubie naszym wydarza!

— Zapewne jakie nieszczęście domowe?

— Byliśmy na wieczorze u księcia ambasadora... Różni członkowie dyplomacyi przychodzili do mnie i mówili mi mnóstwo grzeczności. Byłam wtedy młodą i jak mi się zdaje, dosyć piękną. Najdłużéj rozmawiał ze mną sekretarz ambasady, Francuz z rodu. Był to nadzwyczaj przyjemny i przystojny mężczyzna. *O! mon cher Arthur!*...

Margrabina przestała mówić. Z jéj oczu puściły się łzy...

— I zapewne mąż pani dowiedziawszy się o tém, zmartwił się... — naiwnie dorzuciła Zuzanna.

Margrabina zaprzeczyła głową, a otarłszy łzy, mówiła daléj z wyrazem boleści na twarzy:

— Jest to najboleśniejsze wspomnienie w mojém życiu. Nigdy nie zwykłam go odgrzebywać, od kilku dni jednak myślę o niém nieprzerwanie. Zrobiłam

sobie bowiem plan ułożenia pamiętników „*confessions d'une femme*," w których chcę złożyć wszystkie łzy i boleści kobiéty, wszystkie jéj sny i roskosze!

— Będzie to książka zajmująca... A cóż mąż pani, gdy się dowiedział...

— Mój mąż długi czas o niczém nie wiedział, przynajmniéj nic mi o tém nie mówił. Schadzaliśmy się często z Arturem i byliśmy szczęśliwi! Oh! szczęśliwi!... W tém on odjeżdża do Paryża, a ja biédna, zrozpaczona, widzę przed sobą tylko śmierć i grób!...

— A mąż pani?

— Położyłam się do łóżka, blada i spłakana, stan mego zdrowia stawał się z każdym dniem niebezpieczniejszy. I tak trwały tygodnie i miesiące. Wreszcie zażądałam spowiednika. Mój mąż usiadł przy mnie na łóżku, pieścił się moją słabą, zżółkłą ręką i rzekł do mnie: „Hermino wstrzymaj się jeszcze ze spowiedzią, może przyjdziesz do zdrowia. Gdy wstaniesz z łóżka, pojedziemy do Paryża, a tam odzyskasz zdrowie i siły." Mówiąc to, pocałował mnie serdecznie w czoło. Słowa jego pocieszające takie sprawiły na mnie wrażenie, żeśmy za kilka tygodni wyjechali już do Paryża. Na piérwszy obiad, który jedliśmy w Paryżu, zaprosił mój mąż Artura—i zaklinał go, aby był naszym codziennym gościem — naiwnie dorzuciła. — O, mój kochany, najdroższy Achil! Nie uwierzysz, z jaką namiętnością pokochałam go za to!

— A biédny Artur?

— Artur był codziennym naszym gościem—i byliśmy znowu szczęśliwi, jak niegdyś!...

— Mąż pani?...

— Mąż mój cieszył się mojém szczęściem i każdą przysługą nam wyświadczoną, przywiązywał mnie więcéj do siebie. Nazywał mnie *l'enfant gatée*, które się cackiem bawić musi, i całował mi ręce i pieścił się ze mną, a jam go téż nigdy goręcéj nie kochała, jak wtedy... Wówczas byłabym w stanie poświęcić się za niego, oddać życie moje!

Zuzanna spojrzała na mówiącą, aby się przekonać, czy z niéj nie szydzi; ale na twarzy margrabiny malowało się tak żywe wzruszenie, z jéj oczu płynęły łzy, usta drżały i całą jéj postać wstrząsały od czasu do czasu tak gwałtowne, gorączkowe ruchy, iż mimowolnie musiała w szczérość jéj słów uwierzyć. Margrabina należała do owych istot gorączkowych i wrażliwych, które są wstanie, pociąwszy siebie na niezliczone atomy, żyć całém życiem w każdym atomie i wierzyć w to dziwne, w najdrobniejsze czerepy roztłuczone życie.

Nastąpiło długie milczenie. Zuzanna dziwiła się tak otwartéj spowiedzi margrabiny, która ją w niemały kłopot wprawiła. Jako kobiéta tkliwa czuła litość dla nieszczęśliwéj, a wyobrażenia jéj nie pozwalały okazać współczucia dla błędów serca. Czekała sposobniejszéj chwili do podjęcia rozmowy. Otarłszy łzy z oczu, mówiła daléj margrabina:

— Dzisiaj mój Artur w grobie, w zimnym grobie!...

Zasłoniła twarz chustką i poczęła łkać jak dziécię. Zuzanna nie wiedziała, co począć. Z niepokojem patrzyła na nią... Wreszcie margrabina odjęła chustkę od twarzy, otworzyła oczy i poprawiła włosy. Była tak spokojna, tyle pogody miała na twarzy, pogody ci-

chéj, melancholijnéj, iż podziwiać należało tę sprężystość duszy, która po największéj burzy zdołała wrócić do pokoju i owładnąć sama siebie.

Zupełnie spokojnym, dźwięcznym głosem odezwała się teraz:

— Dajmy pokój wspomnieniom... Muszę sobie w albumie odrysować tę ruinę, bo trzeba ci wiedzieć, moja droga, iż teraz mam pasyą zbiérania albumów z różnemi widokami. Mówiłam ci, że kobiéta powinna miéć zawsze pewną namiętność w życiu. Ja maluję i rysuję, a ty, moja droga, czém się zajmujesz?

— Bardzo pragnęłam teraz jakiego zajęcia—odpowiedziała Zuzanna, zbliżona współczuciem do margrabiny.—Jakaś czczość, okropna czczość opanowała moję duszę.

— Aha! stan przechodowy serca do innéj pasyi—wtrąciła margrabina. — I jakież zajęcie wybrałaś sobie?

— W Radziejewie zrestaurowaliśmy szpital wiejski. Marzyłam o tém, że będę tam codzień chodziła, będę pielęgnowała chorych, stanę się ich opiekunką, matką!...

— Ah! Toś wybrała za prędko. Jest to ostatnia namiętność kobiéty!...

— Ale wszystko to napróżno. Nikt nie chciał we wsi korzystać z naszych dobrych chęci! Dzisiaj nie wiém, czém wypełnię tę próżnię mego serca, bo szczérze mówiąc pomimo wszelkiéj pracy i krzątania się, czuję, iż mi czegoś innego koniecznie do życia potrzeba!

— Prędzéj, czy późniéj obudza się to pragnienie

w naszém sercu. Trzeba mu samemu zostawić wybór przedmiotu, do którego przylgnie i ukoi się...

— Daj Boże! — rzekła Zuzanna, myśląc o pięknych, dobrych uczynkach.

— Przedewszystkiém—zaczęła znowu margrabina—potrzeba ci rozrywki. W twoim domu sami starzy, tyś jedna młoda między nimi. Oni nie pojmują, czego potrzeba dla serca młodéj kobiéty. U nich lada fraszka grzechem. Przyjeżdżaj często do nas, a tak przepędzimy to nieznośne lato.

Zuzanna podziękowała za łaskę margrabiny; serce jéj coraz więcéj przywiązywało się do nieszczęśliwéj, egzaltowanéj kobiéty.

— Nadto — mówiła daléj margrabina — nie będziemy tego roku sami. Będziemy mieli gościa, który godzien jest studyów?

— Studyów?—zapytała ciekawie młoda kobiéta i zarumieniła się, nie wiedząc wcale przyczyny.

— Tak jest, studyów. Wyobraź sobie, młody, przystojny człowiek, znakomitego rodu, z jakiémś nieodgadnioném pragnieniem w sercu, które mu cały świat zasłania... Zapatruje się on na świat okiem Byrona, a przecież widać, iż całe życie jeszcze przed nim... Człowiek ten przebiegł prawie cały świat i szuka czegoś, czego jeszcze sformułować nie może... Na pozór zimny i obojętny, a kto go bliżéj pozna, ujrzy duszę gorącą, namiętną... Poznaliśmy go w Paryżu.

— Radabym go poznać — szepnęła z cicha Zuzanna.

— Jedynym jego towarzyszem jest stary, milczący kozak, od którego nic nie można się dowiedzieć.

— Może jaka tajemnica familijna.

— Jest i to; ktoś z jego przodków, chcąc się zasłużyć ojczyźnie, wyprzedał się w spokojnéj ziemi sandomiérskiéj i poszedł na Ukrainę na tak zwane *kresy*. Tam walczył ustawicznie z Hajdamakami, broniąc ziemi i sławy polskiéj. Umiérając, przekazał wszystkim swoim potomkom pod karą przekleństwa, aby wprzód w związek małżeński nie wchodzili, póki każdy z nich nie uczyni jakiéj szczęśliwéj wyprawy na kresach ojczyzny.

— I to przekleństwo?

— To przekleństwo ma ciężyć na potomkach. Hrabia Leon sam ci to kiedy opowié...

Zuzanna spojrzała na wody jeziora, a na jéj ciemném tle zdawała się rysować jakaś dziwna, fantastyczna postać...

W tém ozwał się w dali dzwonek na pozdrowienie anielskie... Za altanką słychać było turkot krzesła i głos staruszka, odmawiającego głośno: Ave Maria!...

III.

Właśnie wybiła siódma na wieży zamkowéj, gdy karéta margrabiny wtłoczyła się na dziedziniec zamku. W tymże samym czasie wychodził Jerzy z małego domku przy ulicy zamkowéj, spiesząc do swego mieszkania, zkąd miał się udać na wieczór do zamku.

Domek, z którego Jerzy właśnie wychodził, była to licha, drewniana klatka, nakryta ogromnym, szpiczastym dachem. Snać ciężko było ścianom pod tym olbrzymim parasolem, który, mówiąc prawdę, nie osłaniał ich ani od słońca, ani deszczu, bo się powyginały i pokurczyły na wszystkie strony. Mianowicie dwa słupki, co niegdyś miały tworzyć ganeczek, tak się przygięły środkiem do siebie, iż miały podobieństwo do krzywych nóg kowala, o których mówią, iż w skutek ciężaru młota koniecznie do środka wygiąć się muszą.

Na domku tym, pomiędzy temi słupkami u góry wisiała duża tablica, na któréj wyobrażoną była jedném olbrzymiém okiem Opatrzność boska, a pod nią świécił napis żółto-brunatny: „Mateusz Wojna, zégarmistrz miejski.“ Na zielonéj okiennicy, którą czas i jakieś inne, domowe niepowodzenia nieco z zawiasów zwich-

nęły, wymalowana była wielka forteca z różnémi krużgankami i basztami, a w samym środku zamiast bramy, bielił się również olbrzymich rozmiarów cyferblat, z dużemi, rzymskiémi liczbami, wskazujący godzinę dwunastą. Po obu bokach téj ogromnéj, białéj kuli stało dwóch francuzkich, sześciocalowych grenadyerów na straży z rusznicą w ręku, podczas gdy unoszący się nad fortecą Saturn pomimo wszelkiéj czujności straży, zdawał się posuwać indeks czasu drzewcem olbrzymiéj swojéj kosy.

Zaiste, był to wzruszający symbol czasu, który pędzi mimo wielkiéj naszéj czynności, a którego smutne ślady widać było na tym małym drewnianym domku. Zdawało się, iż właściciel téj budowy chciał na gwałt powstrzymać czas w swoim pędzie, podpiérał i lepił starą klatkę, podczas gdy obok niego wznosiły się piękne murowane domki, czerwoną pokryte dachówką. Ale złośliwy Saturn machał nieustannie kosą po pod niskie, pokrzywione ściany, zdziérał wapno i glinę, a Opatrzność boska patrzyła suchém okiem na wiecznie zamknięte drzwi biédnego mieszczanina...

Wewnątrz domku było smutno i cicho. Nie słychać ani krzyku dziecka, ani wesołéj dziéwczyny, ani zrzędzenia gospodyni. Tylko kilkadziesiąt starych zégarków rozmawiało dniem i nocą pomiędzy sobą, kilkanaście kukułek kukało co godzina głosem smutnym, jednostajnym i znowu ponura zalegała cisza...

Tak wydawało się obcemu mieszkanie zégarmistrza Wojny. On zaś widział w niém i słyszał wcale co innego. Dla niego żyło wszystko w tych smutnych i cichych izdebkach. Ten krótki, széroki, wiecznie térkoczący i skrzypiący zégar z nieznośną piszczałką, co

pięć minut poświstujący, to... jego ukochana Basia. Nazwał go tém imieniem na cześć nieboszczki swojéj małżonki. Biédny zégarmistrz często wspomina o niéj, a czasem nawet zawiesi się biała łza na znużonéj jego powiece... bo umarłym pamiętają się tylko dobre ich uczynki. A tamten pyzaty, okrągły zégar, z wieńcem kwiatów u dołu cyferblatu, to burmistrz z Dąbczyna. Ma on być regulatorem całéj plebejuszowskiéj kokorty, ale w istocie bałamuci ją nieustannie i przez niezrozumiałe swoje liczby arabskie sprawia nie małe zamięszanie. Sąsiad jego, z kukułką na czole, często pokazuje fałszywe godziny, a gdy mu stary zégarmistrz w dobry sposób to przygania, skrobiąc pilnikiem po zepsutym jego żołądku, nieszczęśliwy pacyent woła w niebogłosy, iż jest zdrów zupełnie i że go tylko burmistrz niezrozumiałém pismem swojém bałamuci. Słowem, wszystkie pamiątki życia swego ma tutaj sędziwy Mateusz; jest i ekonom z Radziejewa Mietlica, jest i szalony Paliwoda, który na dobę dziesięć godzin więcéj ubieży, a dla którego już niéma ratunku w całym warsztacie zégarmistrza. Jest wreszcie i kilku złośliwych, bezbożnych sąsiadów, którym codziennie gada „Paternoster,“ przypisując im wszystko złe, co go kiedykolwiek spokało.

I tak spokojnie i cicho żyje tutaj śród wspomnień swoich mieszczanin o trójgraniastéj czapce. Drzwi jego rzadko się otwiérają, mało zarobku wpływa do jego kieszeni, ale on nie dba o to, bo umié żyć prawie niczém. Jeden tylko widok z okna jego domku martwi go i niepokoi. Jest to piękny, okazały sklep z zabawkami dla dzieci. Właściciel tego sklepu to wielki jego nieprzyjaciel. Wybudował sobie piękny domek z cegły,

wyzłocił ramy u drzwi sklepowych i złotemi literami napisał nad sklepem imię swoje; jest przytem nizki i tłusty, nosi okrągłą czapeczkę z aksamitu na głowie i każdym razem głaszcze się po brzuchu z uśmiéchem szyderskim, gdy Wojna przed jego sklepem przechodzi w długiéj granatowéj czamarze i w czapce trójgraniastéj. Wojna nigdy z nim nie mówił, a jednak znieść go nie może, jakby mu coś najgorszego był uczynił. Jego uśmiéch szyderczy, jego brzuch tłusty i okrągła aksamitna czapeczka, zasłaniają zda się staremu zégarmistrzowi cały świat boży. Już mu wtedy wszystkie zégary wydają się podobne do jego nieprzyjaciela, a nawet burmistrz z arabskiemi liczbami na twarzy śmieje się szyderczo i ogromném wahadłem głaszcze się po tłustym brzuchu...

Na wieży zamkowéj wybiła siódma. Wojna spojrzał na burmistrza — nie dostawało mu jeszcze kilku minut. Smutno potrząsnął głową i wyjrzał oknem na zamek.

— Starowina coś znowu śpieszy — rzekł do siebie — żeby tylko nie była to przedśmiertna gorączka...

I właśnie chciał się oddać smutnym medytacyom, które co wieczora zwykły go nagabywać i w tym celu bezmyślnie spojrzał na ulicę, gdy naprzeciwko we drzwiach sklepu ukazał się jego nieprzyjaciel, uśmiéchnął się szydersko i kazał chłopcu sklep zamknąć. Wojna odskoczył od okna, a cofając się w głąb izdebki, przypomniał sobie nagle, iż ważne ma na głowie rzeczy. Dopiéro co wyszedł od niego Jerzy, długo naradzając się nad ważnym jakimś przedmiotem.

Wreszcie wziął czapkę trójgraniastą, kilka narzędzi swego kunsztu włożył w mały, skórzany worek, kilka par okularów schował w zanadrze, a nakręciwszy zégary, chciał właśnie wyjść z izdebki, gdy burmistrz nagle dał sygnał, iż wkrótce bić będzie. Wrócił więc pan Mateusz do izdebki i stanął na środku, jak dziadek pośród wnucząt. Za chwilę odezwał się burmistrz; jego sąsiad dmuchnął w gardło kukułki, stary ekonom recytował bez zająknienia, a Paliwoda pozwolił sobie na pożegnanie wybić trzydzieści razy, przez co ukochanéj Basi słychać nie było. Ale ucho Wojny słyszało wszystkich z osobna, jego serce zrozumiało ich głosy pożegnania.

Prędko otworzył drzwi i wybiegł do sieni. Zamknąwszy dom cały, wyszedł na ulicę, a jeszcze słyszał szalonego Paliwodę, który właśnie trzydziesty raz w dzwonek uderzył.

— Poczciwe chłopisko—pomyślał sobie i właśnie chciał coś jeszcze mruknąć, gdy przechodząc koło sklepu swojego nieprzyjaciela, ucieszył się niewymownie, widokiem drzwi sklepu zamkniętych. Śmiało więc spojrzał przed siebie, lecz w sieni białego domku stał jego nieprzyjaciel, w okrągłéj, aksamitnéj czapeczce na głowie, uśmiéchając się szyderczo i głaskając po tłustym brzuchu...

— A kysz dyable, kysz!—krzyknął Wojna, zasunął czapkę na uszy i nie obejrzał się, aż na granicznym kopcu Dąbczyna i Radziejewa.

Na granicznym kopcu stał stary ekonom i czekał na przyjaciela.

— Pochwalony! — zawołał do mieszczanina, skuł*onego* we dwoje.

— Na wieki wieków! — odpowiedział Wojna—to wy, Jakubie? Już szaro, a człowiek wtedy jak ślepy. Właśnie idę do was po radę.

— I jakże stanęło?—zapytał ekonom.

— Nad tém stanęło, że Link musiał wziąść tę szkatułkę.

— We wsi nigdzie jéj niéma... Pytałem wszędzie.

— Trzeba iść za Linkiem.

— A Bóg wié, kiéj biéda polazła.

— Pan Jerzy mówi, że najlepiéj dowiedzieć się o nim u Warnera.

— Sześć mil drogi i kraj niemiecki!

— Cóż zrobić! moja to wina, Jakubie, bom powinien był ostrożniéj obchodzić się z powierzoną rzeczą.

— Nieszczęście nie chodzi po lasach... Widu, Widu! — zawołał ekonom na czarnego kudłatego psa, który biegnąc po grobli tam i napowrót oszczekiwał zawzięcie jakiegoś nieprzyjaciela, co według jego wyobrażenia miał być pomiędzy Mogiłami a Dąbczynem.

— Widu, Widu! — wołał ekonom, ale Widu nie słyszał swego pana, zaciekając się coraz więcéj w złości ku niewidomemu.

— Coś mi źle wróży na podróż! — westchnął zégarmistrz, patrząc na czarnego, kudłatego psa.

— To już taka natura—uspokoił go ekonom.

— Do tego dzisiaj przez całe popołudniu sąsiad mój stał we drzwiach swojego sklepu, patrzył się widocznie w moje okna i uśmiéchał szyderczo.

— To wam się tylko tak wydawało.

— A gdym wychodził z domu, schował się naumyślnie do siebie, aby mnie jeszcze więcéj dokuczyć.

— Wy coś cierpicie do niego.

— Nic mi nie zrobił, nigdy z nim ani słowa nie mówiłem, a jednak strach mnie bierze, gdy go obaczę.

— Przeżegnać się i kwita! Ja tak zawsze robię, gdy mi coś w drogę wlézie. A tymczasem pójdźcie na folwark, zjémy razem kawałek chleba na drogę.

Kilka chwil szli w milczeniu koło siebie obaj starzy przyjaciele. Widu powrócił z grobli, nie znalazłszy nigdzie nieprzyjaciela, a zwiesiwszy pysk do ziemi, mruczał nieukontentowany.

Wreszcie ozwał się zégarmistrz:

— Ciężko mi bardzo na sercu! Kilka dni zabawię w podróży, a nikogo w domu przez ten czas nie będzie. Przecież to smutno człowiekowi samemu na świecie. Ani żony, ani dziecka, nikt wiedzieć nie będzie, kiedy zamknę powieki.

— No, dobra żona, to już nie żal człowiekowi — rzekł stary ekonom — ale gdy już kogo Pan Bóg ukarze.....

I posmutniał stary wachmistrz, a wyjąwszy krótką fajeczkę, zapalił sobie ku lepszéj fantazyi.

— Nie będzie komu zégarów nakręcać! — mówił daléj zégarmistrz. — Basia zaśnie, a burmistrz położy swe wagi na ziemi i ani się ruszy!

— Mogę dochodzić co noc do Dąbczyna i zégary ponakręcać. W dzień mam wiele roboty.

— A co tymczasem starowina na wieży ze sobą zrobi, to już tylko Bogu wiadomo!

— I tam mógłbym pójść, gdybym miał klucze.

— Nie, nie — odparł żywo mieszczanin — tam nikt iść nie może, nikt iść nie powinien... Rozumiécie, Jakóbie, ja jestem zazdrosny, zazdrosny

jestem, bo to mój skarb jedyny, to arcydzieło mego dziada.

Ekonom na to wydmuchnął kilka kłębów dymu i tak w milczeniu postępowali daléj prostą drogą ku folwarkowi w Radziejewie.

Przechodząc koło karczmy, usłyszeli gwar wielki i krzyk jakiś niezrozumiały. Mnóstwo wiejskich dzieci otoczyło budynek i krzyczało na wyścigi.

— Kaszeba! Kaszeba!

— A tam do kata! — krzyknął groźnie ekonom, któremu chociaż nie *de jure*. to przynajmniéj *de facto* szło o porządek i pokój w Radziejewie; ale dzieci jednak śmiały się, a pokazując palcami, wołały na całe gardło:

— Kaszeba! Kaszeba!

To słowo Kaszeba było według ich wyobrażenia obelżywém przezwiskiem człowieka, który się zcudzoziemczy.

Stary ekonom przedarł się przez tłum stojących widzów. Zmiérzch wszakże już był gruby i z daleka nie można było nic rozpoznać.

W samym środku ciekawych stał mężczyzna z chłopska ubrany w długiéj, zielonéj kapocie. Mógł liczyć lat pięćdziesiąt. Włosy miał długie, twarz łagodną, smutną, a w oczach łzy mu świéciły. Na ramieniu niósł wypakowany jakiémś rupieciem worek, a w ręku trzymał kilka zabawek dziécięcych, pomalowanych w jaskrawe barwy.

— Kaszeba! Kaszeba! — wołały dzieci, szarpiąc go za worek i poły zielonéj kapoty. Biédny podróżny obracał się na wszystkie strony i prawie ze łzami prosił, iżby mu dali pokój, zapewniając właściwym sobie

akcentem polskiego języka, iż jest taki sam jak on katolik.

— Cicho do sta... — krzyknął ekonom głosem dawnego wachmistrza — i zrobiło się cicho i pusto; kilku tylko włościan zostało na placu.

— Coś za człowiek, dokąd i zkąd?—zapytał podróżnego ekonom.

— Ja jestem, mój *Panje*, *Kaszeba*.

— Co to za *Kaszeba?* — szepnął półgłosem ekonom do Wojny, wstydząc się swojéj niewiadomości.

— To Kaszub od Gdańska — rzekł Wojna—dawniéj z polskiéj ziemi.

Ekonom zmierzył okiem podróżnego, spoczął dłużéj nieco na jego ładnéj, poczciwéj twarzy, i już łagodniejszym zapytał go głosem:

— I gdzież idziecie?

— O tak, przyszedłem do was — odpowiedział Kaszub—bo u nas źle mi było.

— Tam do kata — mruknął ekonom — to jakiś poczciwy człowiek; wartoby go przyjąć, może umié jakie rzemiosło.

— A dlaczegóż wam źle u was? — rzekł głośniéj do Kaszuba.

— Oj, *Panje miłościwy*, to dużo mówić o tém...

— Weźcie go na folwark — szepnął ekonomowi Wojna do ucha — niech zjé wieczerzę i niech nam co opowié.

Ekonom poskrobał się w głowę, pomedytował trochę, a odkrząknąwszy głośno na znak powziętéj rezolucyi, rzekł do Kaszuba:

— Pójdźcie ze mną, zjécie co Bóg dał i spoczniecie po drodze.

Kaszub skłonił się nizko, przerzucił worek na drugie ramię i puścił się drogą za swoim dobrodziejem.

Do folwarku był spory kawał drogi, a stary ekonom zanadto był ciekawy i gadatliwy, aby tak długie wytrzymać milczenie. Nałożywszy fajeczkę, skrzesał ognia, w czém od lat pięćdziesięciu niewymowną posiadał praktykę, odrzucając wszelkie wynalazki fosforu i gazu; a gdy już dym gęsty jak z komina począł buchać z rogowego cybuszka, odkrząknął i rzekł do Kaszuba:

— To daleko ztąd te Kaszuby?

— Oj daleko, *panje miłościwy*, dziesięć dni idę — odparł Kaszub.

— To gdzieś aż za morzem?—wtrącił ekonom, nie wiele biegły w geograficznych wiadomościach.

— Nad samém morzem—odpowiedział Kaszub—tak jak Dancig.

— Gdańsk, Gdańsk!—poprawił Wojna.

— Dawniéj mówiliśmy Gdańsk, a teraz już tylko Dancig.

— Tam do kata...—mruknął ekonom—a wy co za jedni, Szlązaki, czy co?

— Nie, *panje miłościwy*, my nie Szlązaki, my Kaszubi.

— A jakże mówicie?

— Tak po wsiach między sobą mówimy po polsku.

— A msza jaka?

— W kościele śpiéwamy po niemiecku i na weselu...

— A kiedyż po polsku?

— Po polsku, *miłościwy panje*, śpiéwamy tylko przy *zargu*.

— Przy *zargu*, co to jest *zargu?*

— To jest, jak człowieka do grobu chowają.

Wojna machnął ręką, nasunął czapkę na uszy i podwoił kroku. Coś mu nagle humor popsuło... Zapewne wspomniał o biédnym starowinie na wieży zamkowéj, który za kilka dni wszystkich mieszkańców zamku pobałamuci, ubiegłszy godzinę lub dwie więcéj na dobę, jakby się mu należało. A może wspomnienie burmistrza o różowych faworytach drasnęło boleśnie jego serce, a może ukochana Basia, szalony Paliwoda... Dość, że Wojna był w złym humorze i nie radby więcéj słuchać opowiadania Kaszuba. Ale ekonom dopiéro się rozciekawił, słysząc o ludziach, którzy tylko przy pogrzebie po polsku śpiéwają...

— A jakież tam miasta wasze? — zapytał z rosnącą coraz więcéj ciekawością.

— W miastach mówią wszyscy po niemiecku, *miłościwy panje!* A kto ze wsi pójdzie do miasta i tam kilka lat przesłuży, już go swoi na wsi nie rozumiéją, a nawet inaczéj się nazwie, jak mu było imię.

— Jak to inaczéj? — zagadnął stary wachmistrz, którego nieraz to gniéwało, że się nazywa Mietlica.

— Oj! to właśnie jest, co mnie z domu wypędziło!...

Ekonom wydmuchnął chmurę dymu, odgiął kołniérz, który mu nieco ucho zasłaniał i przygotował się do słuchania jakby do jakiéjś smacznéj potrawy. Nawet Wojna zwolnił kroku i ciekawie zmierzył Kaszuba.

— Nasz ojciec—zaczął Kaszub — gdy poszedł do *zargu*, zostawił grunt i dwóch synów, mnie i Jantka. A nazywamy się po przezwisku *Grzanka*. Otóż Jantek powiedział do mnie, gdyśmy przyszli od *zargu*: „Słuchaj bracie... Ja starszy, mnie należy się grunt... Ale gospodarstwo nie do smaku mi... Ja wolę pójść do miasta, a ty tymczasem rób na gruncie.“ — Zgodziłem się na to, choć miałem w ręku inny zarobek.

— Jaki zarobek? — zapytał ekonom, chcąc miéć dokładną historyą Kaszuba.

— Ot taki—odowiedział Kaszub, pokazując kilka zabawek dziécięcych, które niósł w ręku. — Gdym był mały, nauczyłem się robić z drzewa różne takie rzeczy, a kupiec z miasta kupuje co roku u mnie tego wiela.

Ekonom spojrzał na zabawki, które mu Kaszub pokazywał, a że już ciemno było i nic obaczyć nie mógł, ograniczył się tylko na dokładném obmacaniu jakiéjś olbrzymiéj ropuchy, która za pociśnięciem mieszka wydała z siebie głos przerażający.

— Tam do kata! — mruknął stary wachmistrz— i w wojsku nie służył, a ma spryt dyabli. Ktoby to pomyślał! chłop, i do tego Kaszub, który tylko przy pogrzebie po polsku śpiéwa...

— Otóż mając taki zarobek — mówił daléj Kaszub—nie dbałem o grunt, ale że mój brat chciał iść do miasta, więc zostałem i pracowałem. Dwadzieścia lat nie było nic słychać o Jantku. Mówiono tylko, iż był w wojsku, a potém służył gdzieś w mieście za stróża. Dopiéro tego roku przyszedł do dom... Przyprowadził ze sobą żonkę i syna, który ma lat szesnaście. Coś do mnie zaczął mówić, ale już go nie rozumiałem; tylko

piąte przez dziesiąte. A żony i jego syna to już wcale nic! Ci mówią wszystko po niemiecku, a on tylko co trzecie, co czwarte słowo.

— I dlatego rozeszliście się?

— A jeszcze nie dlatego. Ale on nazwał się „Butterbrod“ i tak ma w swoich pismach. A gdy się we wsi o tém dowiedzieli, to jakoś się stało, że jego syna zamiast „Butterbrod“ po ojcu, nazwali ludzie „Zwejbak.“ I tak na jednym gruncie było nas trzech z jednéj krwi: jeden nazywał się Grzanka, drugi Butterbrod, a trzeci Zwejbak. A Bóg wié, jakby czwartego nazwano!...

— Hm, hm!—odchrząknął ekonom i puścił chmurę dymu przed sam nos Grzanki.

— Otóż smutno mi było zostać w domu, *miłościwy panje*, bo w niedzielę wszyscy ludzie śmieli się ze mnie, nazywając mnie to Butterbrod, to Zwejbak. Do tego brat mój i syn jego, czyli Butterbrod i Zwejbak, dokuczali mi, kazali wynieść się z ich chałupy, i tak wziąłem trochę towaru na plecy i puściłem się w świat, a zdaje mi się, iż mi tu lepiéj będzie.

— Hm, hm!—chrząknął ekonom, rozbiérając w głowie tragiczną historyą imienia „Grzanków,“ i dziękując Bogu, iż jego imię Mietlica, przeszedłszy wprawdzie wiele metamorfoz podczas wojaczki, wróciło jednak pod strzechę rodzinną czyste i nieskazitelne.

A chcąc nieszczęśliwemu Grzance w nagrodę jego opowiadania dać jakie takie wyobrażenie o kolejach losu swojego imienia Mietlicy, opowiedział mu w grubych zarysach *curriculum vitae;* w jakiém to niebezpieczeństwie w cudzoziemskich autoramentach było jego imię; przyznał się, iż raz już tak się poplątało przy

obcéj ortografii, że go sam rozpoznać nie mógł; ale koniec końców, imię Mietlica wyszło czyste na wiérzch jak kropla oliwy z brudnéj wody. Wszedłszy raz na ten przedmiot, opowiadał mu wiele o swojéj waleczności i odwadze w bitwach i atakach, mianowicie nieco obszérniéj opisał niebezpieczeństwo przy asekuracyi dział, kiedy to człowiekowi w piersiach duszno się robi... A na zakończenie dał opis ataku, wykonanego na redutę przez drugi pułk ułanów, w którym zaszczytny miał udział. Mówiąc o nieprzyjacielskim artylerzyście, przykładającym lont do armaty, wpadł w ferwor niepospolity. I właśnie, gdy go już trupem miał położyć i uzmysławiając Kaszubowi tę manipulacyą, kilka razy pchnął kijem w starą wierzbę, koło któréj właśnie przechodzili—nagle jakiś dziwny głos zaleciał do jego uszu.. Zamilkł, jakby mu kto usta na węzeł zawiązał, a tak jakoś zmalał i zgarbił się waleczny wachmistrz, iż trudno było w nim poznać owego Mietlicę, co przed chwilą z wielkim zamachem zabijał artylerzystę przy saméj panewce armaty...

Stali już przed bramą folwarku. Gdzieś w głębi słychać było głos kobiécy, mający w sobie wszelkie cechy namiętności.

Ekonom stanął jak wryty i zdawało się, że nie wiedział nagle, co daléj począć. Po chwili przyszedł do siebie i rzekł:

— Hola! tutaj zatrzymacie się... Ja pójdę piérwéj, bo... psy złe na folwarku.

Wojna uśmiéchnął się i ścisnął przyjaciela za rękę. Zrozumiał go dobrze.

— Tutaj zaczekacie trochę — mówił daléj ekonom—a ja wam dam znać, kiedy przyjść macie. Gdy

mi się uda złapać Tyrana na łańcuch, to zagwizdam z okna na nutę: „Jechał Maciéj od Skalbmierza," a wtedy prosto w bramę i na ganek. A gdy zagwizdam: „Hiszpan dumny i ponury," to niebezpieczna wchodzić. Wtedy sunćie prosto do szpitalu, a ja tam przyjdę za chwilę i przyniosę co zjeść i wypić.

Rzekłszy to, ścisnął za rękę przyjaciela, który jego nieszczęście dobrze pojmował, a otworzywszy bramkę, z ciężkiém sercem wsunął się na dziedziniec waleczny żołniérz drugiego pułku ułanów.

Na ganku małego domu stała kobiéta z światłem w ręku. Nizka, pękata, różowa na twarzy, była już w kompletnym negliżu. Włosy miała rozczochrane, oczy czerwone, i wrzaskliwym głosem, naraz z kilku tonów złożonym recytowała długi „paternoster" jakiéjś biédnéj istocie, rodzaju żeńskiego, która skulona drżała przed gankiem.

— To ty włóczęgo!—krzyknęła kobiéta w negliżu, zaświéciwszy w oczy przysuwającemu się zwolna małżonkowi.

— Ja, moja Małgosiu — odpowiedział pokornie waleczny ułan.

— Ty włóczysz się tylko od świtu do nocy—krzyczała Małgosia—a tu Maryśka straszne rzeczy wyrabia! Wszystkie naczynie tłucze!

I ogromny garnek z ogromniejszym jeszcze trzaskiem upadł na ziemię. Ekonom wstrząsł się; przypomniała mu się asekuracya przy działach. Zdawało mu się, że bomba koło niego padła.

— Małgosiu, kochana Małgosiu! — szepnął jak mógł najsłodziéj.

— Milcz, stary dziadzie! — wrzasnęła Małgosia, rzucając na ganek ogromną rynkę, z którą miała iść do śpiżarni.

— Tam do kata!—pomyślał sobie stary ułan—zła baba, to gorzéj niż asekuracya przy działach.

— I cóż stoisz, i czego się patrzysz? — wrzasnęła kochana Małgosia z taką energią, iż waleczny żołniérz drugiego pułku ułanów uznał za rzecz przyzwoitą, kapitulować jak można najprędzéj.

Z smutną miną wszedł do izdebki i już zbliżył się do okna, aby przyjacielowi umówiony sygnał: „Hiszpan dumny i ponury“ jak najciszéj wygwizdać, gdy ukochana Małgosia wtoczyła się do izby, a z nią jakaś genialna myśl wleciała do jego skłopotanéj głowy. Czekał tylko uspokojenia małżonki.

— Kochana Małgosiu—rzekł po chwili—powiedziałbym ci coś, gdybyś się nie gniéwała.

— Ciekawam, co ty mi powiedzieć możesz!—odburknęła kochana Małgosia.

— Śniło mi się wczoraj o tobie, kochana Małgosiu!

— I cóż tam takiego?

— Gdym się przebudził, to pot kroplami jak orzechy lał się ze mnie...

— No, cóż?—krzyknęła już zniecierpliwiona małżonka.

— Bo, ja bym ciebie nie przeżył... Na starość smutno zostać siérotą...

Jakaś dziwna myśl, zimna jak bryła lodu, wpadła w wiecznie kipiące serce kochanéj małżonki. Usiadła

na stołku i założyła ręce. Ekonom uśmiéchnął się z radości, iż mu się jakoś szczęścić zaczyna.

— Śniło się mi, żeś ty umarła!—wyjąknął stary ułan tak melodramatycznie, że się aż sam w duszy rozweselił.

— Ja umarłam?... pfe, pfe! czyś oszalał?... Ja umarła? ja, stary dziadzie... Ja umrzéć przed tobą?...

— Położono cię nogami do drzwi, na dużym stole...

— W imię Ojca i Syna i Ducha... pfe, pfe... oszalał!...

— Na białém prześcieradle, z krzyżykiem w ręku...

— Oszalał!

— Sześć świéc zaświécono przy tobie, a w nogach lampę!

— Sześć świéc!

— Przyszedł stolarz, wziął miarę na trumnę...

— Brr...

— Włożyli cię do trumny... wynieśli... zaśpiéwali.....

— Brrr... Trzeba dać na mszę świętą...

— Postawili nad grobem... a grób był ciemny, głęboki, zimny!...

— Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna...

— Ksiądz pokropił trumnę święconą wodą, a grabarz zarzucił sznur...

— Błogosławiony owoc żywota twego, Jezus!

— A grób był ciemny, głęboki, zimny...

— Módl się za nami grzesznymi...

— Spuścili trumnę na sam dół i poczęli sypać ziemię...

— I w godzinę śmierci naszéj, amen!

— A ja upadłem na kolana i zawołałem z płaczem: „O Boże, czemuż mnie tak karzesz!“ A Pan Bóg rzekł do mnie: „Głupiś Mietlica, że za nią płaczesz. Mówiąc między nami, nie masz czego żałować.“ I cóż ona przewiniła? zapytałem. Była wcale nie zła kobiécina, a chociaż czasem się pogniéwała, toż przecie nie taki to ciężki grzéch... A Pan Bóg mi na to: „Nie za jéj gniéw ukarałem ją, ale za jéj złe serce!“ Ubogiemu nigdy nie da ani kawałka chleba, a biédnych podróżnych, którzy nocą na folwark przyjdą, nigdy nie przenocuje! To grzéch śmiertelny!

— Jakto! — ozwała się nieśmiało biédna Małgosia—czyż dopiéro wczoraj nie dałam dwom dziadom chleba, a jeźliby jaki podróżny przyszedł i o nocleg prosił, wszak kącik zawsze znalazłby się...

— I gdy tak klęczałem i płakałem, nagle zbudziłem się, a widząc, że to był sen tylko, ślubowałem zaraz dać na mszę świętą naszemu proboszczowi!

— Trzeba dać, trzeba... Ale ja nie przypominam sobie... a może... ale nie...

— To już nic, moja Małgosiu, nic...—pocieszał ją małżonek— trzeba tylko na przyszłość uważać. Dobre uczynki nigdy nie zalegną u Pana Boga... Rzetelnie on je wypłaca i to z lichwą nawet, jak mówi ksiądz proboszcz.

Zdawało się, że te słowa powinny były uspokoić zbyt tkliwe sumienie kochanéj małżonki. Ale tak jakoś nie było... Rozbudziły one widocznie utajone grzéchy nieszczęśliwéj gospodyni, które jak nocne ćmy zaczęły latać około zapalonéj świéczki zbudzonego sumienia. Zwiesiła głowę i zamyśliła się...

Uśmiéchnął się stary ułan i pogładził wąsy. Korzystając z tak dobréj chwili, otworzył okno i donośnie, a nawet z koloraturą wygwizdał: „Jechał Maciek od Skalbmierza,“ aż się po całém Radziejewie rozległo. Żona przyzwyczajona do podobnéj fantazyi starego ułana, nic na to nie mówiła, a nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa, wcale go w téj chwili nie słyszała.

Teraz otwarły się drzwi...

— A goście, goście! — krzyknął Mietlica, ściskając Wojnę za rękę — a to podróżny, prawda, podróżny!...

Kaszub skłonił się gospodyni i obrazom świętym, nie domyślając się wcale taktyki starego ułana. Gospodyni powitała grzecznie i po chrześciańsku przybyłych, będąc niemal pewną, iż Pan Bóg to na pokusę przysłał jéj dzisiejszych gości. A chcąc przyzwoicie wyjść z tentacyi, szepnęła do ucha mężowi:

— Zapewne przenocują tutaj... Zgotuję kiełbasę z sosem... A może i piwa...

Mietlica kiwnął głową na wszystko, uśmiéchał się i głaskał wąsy. A gdy żona za wieczerzą z izby wyszła, przechylił się do ucha Wojny i szepnął:

— Niech tylko stary z młodą nigdy się nie żeni! Nie każda taka święta, jak nasza majorowa!

Wojna uśmiéchnął się do przyjaciela, ale nic mu na to nie odpowiedział. Wszystkie jego myśli skierowane były do zielonéj ropuchy, którą Kaszub na stole położył. W głowie jego dojrzéwał jakiś ważny plan...

— Przychodzi mi na myśl—ozwał się po chwili— iż Grzanka tymczasem może u mnie mieszkać. Może

cie go tam zaprowadzić i wskazać mu, jak i kiedy zégary się nakręcają. Tylko ostrożnie, aby nie popsuł.

Kaszub skłonił się za tak wielkie dobrodziejstwo, przyrzekł pilnować święcie wszystkiego i nic nie ruszać. Wojna jeszcze przestrzegł go przed swoim niebezpiecznym sąsiadem, opisał mu jego sklep, jego uśmiéch szyderczy, okrągłą czapeczkę i brzuch tłusty... Zaklinał go, aby mu się nigdy nie pokazał.

Kaszub przyrzekł wszystko święcie uczynić, a ekonom obiecał przez tych kilka dni donosić mu nieco żywności.

Tymczasem przyszła na stół kiełbasa z sosem. Rozprawiano wiele o Kaszubach i o *zargu*, a gdy już około północy stary ekonom pod pierzynkę się wsunął, miał sny roskoszne, cudowne! Śniło mu się, że przy zdolnościach swoich, jakie dzisiaj okazał, mógłby być najmniéj majorem, a gdy tym tytułem trochę się nacieszył, zaawansował na pułkownika, potém na jenerała, wreszcie nad samym ranem został wodzem naczelnym jakiéjś wielkiéj armii, a tak głośno komenderował i szablą wywijał, iż wszystkich ze snu pobudził i na ręce kilka sińców sobie nabił.

— Tam do kata!—krzyknął, przeciérając oczy.— Mógłbym być Napoleonem, gdybym nie był Mietlicą!

IV.

Kiedy Jerzy od starego zégarmistrza do swego mieszkania powrócił i z gorączkową niecierpliwością przebiérać się zaczął, służący podsunął mu spory pakiet właśnie przed chwilą z poczty odebrany. Jerzy rzucił okiem na pakiet, a domyśliwszy się jego treści kontynuował daléj swoje ubranie.

Za kilka minut był gotów. Do ósméj brakowało jeszcze trzy kwadranse. Była to zwykła godzina, w któréj schodzono się w zamku na herbatę. Chcąc zatem ten czas czémś zapełnić, odpieczętował pakiet i zajął się przeglądaniem jego treści. Była to zwykła posyłka książek najnowszych z księgarni poznańskiéj.

Na samym wiérzchu leżało piękne album w żółtéj okładce. Był to zbiór rycin, zdjętych z najnowszych obrazów znakomitych artystów. Jerzy przerzucił kilka kartek; na trzeciéj stanął, patrzył na nią uważnie, a potarłszy ręką czoło, wstał i począł się przechadzać.

Była to kopia najnowszego obrazu Herbsthofera, przedstawiająca pokusę św. Antoniego. Artysta pojął i po mistrzowsku oddał ten przedmiot. Z ciemnego tła jaskini występuje silna postać świętego... Widać,

iż potężny duch wprowadził człowieka tego do téj jaskini, oderwawszy go od uciech i roskoszy światowych; ale widać także, iż i ciało to silne, z którém duch staczać musi walki, i krew gorąca, trudna do ochłodzenia kontemplacyami o marnościach tego życia... Przed nim skała, mocna jak jego wiara, a na skale krzyż, to godło jego życia... Z każdego cienia, z każdego półświatła, wieje zimna, grobowa woń ascetyzmu... Święty modli się... Na błękitnym obłoku przybywa doń piękne, czarujące widmo... Dwie kobiéty, splecione uściskiem, zbliżają się ku niemu... Ich szaty na pół przejrzyste, ich kształty śliczne, okrągłe... Jedna śmiała, wyzywająca, nęci wejrzeniem, uśmiéchem i wzniesioném do uścisków ramieniem... Druga smutna, zadumana, spuszcza oczy, zdaje się cofać, ale jakaś senna omdlałość całéj jéj postaci nie zapowiada żadnego oporu. Święty chwyta krzyż, w jego twarzy maluje się walka straszliwa...

— Dziwny przypadek! — rzekł do siebie Jerzy, zatrzymując się przy stole i patrząc na rycinę — właśnie w téj chwili wpada mi w ręce taki obraz!

I odwrócił się szybko od stołu, i począł się znowu przechadzać.

— Tyle już życia za tobą—szeptała za nim piękna kusicielka — a jeszcze kwiat szczęścia nie zakwitnął dla ciebie! Powiedz, czy byłeś szczęśliwy w twoich szlachetnych pragnieniach! Bóg zapragnie i stanie się, a człowiek stworzony na podobieństwo Boga, ma w sobie tylko pragnienie jego! Na cóż mu to pragnienie, gdy do dzieła nie doprowadzi?... Bądź szczęśliwy, ona cię kocha!...

Jerzy spojrzał na zégarek: było dopiéro wpół do ósméj. Wziął kapelusz i wyszedł.

Bohatér nasz należał do rzędu owych nieszczęśliwych istot, które burza zbyt wcześnie wyrzuca z gniazd rodzinnych. Dzieci burzy noszą ją w sercu swojém po wszystkich ściéżkach życia i szukają burzy, aby w niéj zginąć. Oprócz starego Dębicza nikt nie znał jego prawdziwéj rodziny, a imię, które dzisiaj nosił, nie było jego. Młodzieńcem przybył do Poznania, dokończył nauk i poświęcił się literaturze. Kilka pieśni rzewnych, tęsknych, które wyszły w pismach poznańskich, odsłoniły duszę zranioną, bolejącą, co sama jeszcze nic nie straciła, a zastała już wszystko stracone!... Zdawało się, iż poeta nie żyje własném swojém życiem, że tak wcześnie zlał się z życiem całego rodu ludzkiego, dla którego raj był już stracony!...

Najmocniéj zajmowały go dzieje ojczyste. Im poświęcał cały swój czas, rozpatrując się okiem poety po starych, olbrzymich pomnikach olbrzymiéj przeszłości.

Po niejakim czasie ukazał się plon téj cichéj pracy. Był to poemacik pod tytułem: „Bolesław Wielki,“ który rozszérzając granice Polski, mieczem w złotą bramę uderza i w Dnieprze słupy żelazne bić każe. Przyjęto z oklaskiem ten hołd, oddany przeszłości, a młody poeta tém większym rozgorzał ogniem.

Odtąd znany był Jerzy w całym zakątku ziemi wielkopolskiéj. A był to właśnie czas, który mieszkańców téj ziemi więcéj zbliżył do siebie, w którym ziemia ta przodować chciała innym ziemiom polskim, stojąc na czele usiłowań literackich. Każde gorętsze uczucie, każdy śmielszy duch znalazł tu swoje pole. Ludzi

przodujących na tém polu, znano w każdym dworku szlacheckim, a nawet w pałacach przyjmowano chętnie i gościnnie.

Młody, przystojny, ekscentryczny Jerzy stał się ulubieńcem towarzystw. Mężczyzni ściskali się z nim jako z człowiekiem talentu i zasługi w dziedzinie literatury ojczystéj, do czego nie mało przyczyniła się pewna aureola, któréj wprawdzie nikt oczyma nie widział, a jednak sercem i duszą przeczuwał, aureola, pod którą chowają się zwykle kolce cierniowe. Wprawdzie utrzymywali niektórzy, iż od starego Dębicza mają najpewniejsze wiadomości o Jernym, który pod pokrowcem zwyczajnego swego imienia, nosi imię tak wszystkim znane, żeby niém mógł wszystkich przestraszyć — ale wszyscy niby milczeli. W tym razie z potrzeby zrobiła się cnota, a Jerzy był serdecznie witany i ściskany, gdziekolwiek tylko się ukazał.

Rozumié się samo przez się, iż płeć piękna nie dała się wyprzedzić. Młody człowiek musiał wiele oczu ściągnąć na siebie. A gdy do tego dodamy piękną, męzką postać, bladą twarz, krucze włosy i ciemne, płomieniem gorejące oko, nic dziwnego, iż Jerzy stał się na długo ideałem wszystkich marzących dziewic, póki kapryśny los nie rzucił ich w objęcia łysych, pękatych mężów, którzy prócz wytwornego ekwipażu nie mieli ani aureoli nad czołem, ani krzty poezyi w sercach swoich.

Wspomnieliśmy, iż Jerzy liczył około dwudziestu ośmiu lat... Czy przy tém swojém tak wyjątkowém położeniu kochał się kiedy? Czy przebolał piérwsze rozczarowanie snów młodzieńczych? O tém nic pewnego powiedzieć nie możemy. I z jego twarzy nie można

więcéj wyczytać. W koło pięknych ust wije się wprawdzie uśmiéch lekkiéj ironii, która zazwyczaj osiada tam po marnie przebytych zachwytach duszy, gdy ta szczęścia swojego nie znalazła na ziemi. Z po za zimnéj, lodowéj skorupy wygląda ona łzawa i smutna, jak biédna muszka zastygła w bursztynie. Czy ten uśmiéch bolesnéj ironii na jego różowych ustach jest nagrobkiem jakiéj nieszczęśliwéj miłości?... Są ludzie, którzy się rodzą z takim uśmiéchem, którzy z piérwszém uderzeniem serca czują żal do świata, jakby tęsknili za jakąś wyższą, piękniejszą ojczyzną!...

Życie na krańcach jednego i drugiego społeczeństwa, życie na krańcach stykających się z sobą dwóch narodów, wyrabia wyjątkowe pragnienia, tworzy ludzi wyjątkowych. Jeźli ten kraniec, stykający się z drugim, nie obumarł zupełnie, jak obumarło tyle plemion słowiańskich, to odbywa się na nim straszna, zacięta walka, niewidzialna dla oka powszedniego, walka dwóch napływających na siebie żywiołów, dwóch oświat, dwóch narodów. W miarę siły jednego i drugiego rośnie i upada ta walka, zbliża się i cofa demarkacyjna linia zwycięztwa. Széroka przestrzeń kraju czuje wstrząśnienia tych zapasów zaciętych i dostarcza ofiar do zastępu poległych! Kazi się język praojców, obyczaje dawne upadają, giną cnoty domowe i dziedziczne. Z krańców mienia narodowego odrywa się ziemi kawałek po kawałku; nieudolni wnukowie wydają w ręce obcych grobowce ojców swoich, których pomarszczone czoła okazują, iż mają sny straszne i okropne!...

Każde goręt̨sze serce czuje tutaj, iż w koło niego bój się toczy, czuje pragnienie walki i szuka sobie sto-

sownéj broni... Cześć wam, rycerze kresowi! Kilka mogił, kilka pamiątek, zapisanych w sercach waszych braci, kilka starych map, okażą wnukom waszym miejsce, gdzieście walczyli! Wy, gladyatorowie granic narodowych, stoicie dzisiaj śród cyrku narodu i wołacie: „*Morituri te salutant!*“

Rozczytując się w dziejach Bolesława Wielkiego, ukochał Jerzy tego bohatéra, który polskie granice rozciągnął, aż do Złotéj bramy i Dniepru. A tymczasem za plecyma poety malała coraz więcéj ziemia ojczysta, wpadały stare, szlacheckie dworki w ręce fabrykantów i przemysłowców obcych, i zdało się, iż kolébka narodu polskiego będzie wkrótce jego piérwszą mogiłą!...

Jerzy zatrwożył się—trzecia część ziemi polskiéj była już w ręku obcych.

Szlachta podupadła, lud zbiédniał, miasta wynarodowiły się... W pięknéj, poetycznéj duszy Jerzego powstała myśl szczytna, bohatérska. Chciał stanąć w szeregu walczących. Oświata ludu zdawała się mu najpiérwszą potrzebą do obrony kresów ziemi rodzinnéj.

Jerzy był poetą. Szczérozłotą poezyą pragnął wprost w życie przenieść... Wszystko to, co kiedykolwiek wyśpiéwał, chciał teraz czynem stwierdzić.

Oglądał się więc po społeczeństwie, szukając stosownego dla siebie miejsca. Zdawało się mu, iż zawód lekarza najlepiéj odpowiedziałby jego marzeniom. Bezpośrednie zetknięcie się z ludem i szlachtą, wielostronność stosunków takiego życia, miały dla niego urok poetyczny. Na takiém stanowisku chciał walczyć przeciw prądowi obcéj cywilizacyi, która wynaradawiając

mieszkańców, każąc ich życie i obyczaje, wyrywała im z rąk puścizny ojcowskie.

Były to marzenia młodéj, gorącéj duszy; był to niewyśpiéwany poemat życia, który sobie teraz zakréślił młody marzyciel.

Gdyby życie nasze składało się z samych pięknych, szlachetnych myśli, któreby nas najprostszą drogą do celu zaprowadziły, moglibyśmy każdą powieść zamknąć w kilku słowach... Ale życie to walka! Idziemy, upadamy i znów podnosimy się, aby na nowo bój rozpocząć. A ta długa, niepewna droga nasza, to powieść życia.

Gorące, namiętne dusze tém więcéj podlegają wrażeniom. Wszystko to, co ich na téj drodze spotka, wiąże ich i krępuje, a coby przeszło mimo piersi zwyczajnego człowieka, ściska ich i przygniata, jak węże Laokona. A jeśli w końcu uda się im dojść do celu z rozdartą piersią, z sercem poranioném; jeśli krwawe ślady śmiertelnéj walki zostawią na ściéżce żywota; jeśli wreszcie bez sił i bez tchu upadną na wytkniętéj mecie: świat nie oceni bynajmniéj ich zasług, ich walkę z samym sobą, z namiętnościami gorącéj duszy swojéj, policzy im za grzéchy i zimną, lodową miarą zmierzy przestrzeń drogi, którą ubiegli śród mąk piekielnych...

Jerzy wybiegł za bramę Dąbczyna. Chłodny wiatr owiał mu gorące skronie. Przed jego oczami stał nieszczęsny obraz Herbsthofera i przypominał mu własne jego dzieje.

— Ona cię kocha — szeptała za nim piękna kusicielka — kilka chwil szczęścia wystarczy ci na całe życie!

Jerzy obejrzał się, jakby chciał ujrzéć widmo, które za nim pędziło... A za nim już w mroku wieczornym czerniły się mury Dąbczyna; zamkowa wieża malowała się na majowém niebie jak czarny słup graniczny, a w kilku oknach błyszczało światło...

Miasteczko Dąbczyn leżało na samym krańcu ziemi wielkopolskiéj. Od niepamiętnych czasów było ono w posiadaniu rodziny, któréj potomek i dzisiaj ją dzierży. Trudno o pewną datę historyi tego domu. Można tylko powiedzieć, iż Dąbczyn był niegdyś warownym grodem granicznym i że w wieku trzynastym znany jest Jarost z Dąbczyna jako kasztelan tego grodu. Później ustały kasztelanie zamków i grodów, a Dąbczyńscy piszą się po prostu z Dąbczyna. Ponieważ zaś Dąbczyn *cum attinentiis* z dawnéj tradycyi zwie się „margrabczyzną,“ jako ziemia, należąca niegdyś pogranicznemu niemieckiemu markgrafowi, którą oręż Bolesławów do Polski wcielił, przeto i dziedzice Dąbczyna poczęli się później nazywać margrabiami. Wiadomo jednak, że podług przepisów rzeczypospolitéj nie wolno było szlachcie polskiéj nosić tytułów zagranicznych, a chociaż coś z nich *per usum* na niektóre rodziny milczeniem przeszło, to tytuł margrabiego, oprócz Pinczowa, był w Polsce wcale nie używany. Otóż i Dąbczyńscy zaniechali później tego tytułu na wszystkich dokumentach prawnych; tylko w pożyciu towarzyskiém utrzymała się jeszcze ta tradycya, bardziéj jednak odnosząc się do saméj posiadłości jako „margrabczyzny,“ aniżeli do dzisiejszego jéj właściciela. Wreszcie tytuł ten stał się tylko czczym przydomkiem imienia Dąbczyńskich, nie nadając mu w hierarchii społecznéj żadnego wyszczególnienia.

Wolno jednak było potomkom Jarosta z Dąbczyna wierzyć w ten klejnot rodowy, jeźli wiara ta mogła ich zagrzać do czynów, jakiemi ojcowie ich przysłużyli się rzeczypospolitéj. Ale dzisiaj zasadzała się wiara ta na dumie i wyniosłości pańskiéj, a oparta na wielkich i obszérnych majętnościach, znalazła zawsze chętnych czcicieli pomiędzy ludźmi, pobłażliwymi na ułomności drugich.

Inaczéj pojmowali zaszczyty swoje przodkowie Dąbczyńskich. Na bramie Dąbczyna, niegdyś obronnéj a dzisiaj w gruzy zapadającéj jest jeszcze napis, wprawdzie niezgrabnie i mozolnie w kamieniu wyryty, ale stokroć milszy sercu potomków, nad gładkie malowidło na lśniących drzwiczkach powozów. Napis ten był prosty: „*Ad tuendum populum aedificavit Jarost· Anno 1245.*“ Więc gród ten, stojący na kresach ziemi polskiéj, był ochroną dla ludu, gdy nieprzyjaciel kraj najechał. Dąbczyńscy bronili ludu, a z ludem bronili ziemi, nad którą mieli poruczoną sobie opiekę.

Dzisiaj porozpadały się mury Dąbczyna, okopy zrównały się z ziemią i tylko kilka ruin wskazuje miejsce, na którém przeciw nieprzyjaciołom walczyli rycerze kresowi. A nawet zamek, owo *castellum* starego Jarosta, z którego murów śledził obroty i postępy Krzyżaków, postarzał się i przykląkł do ziemi, jak spracowany, bliznami okryty wojownik.

Wieża zamkowa ostała się jeszc… niéj przy… budowano w późniejszych czasach … piętrow… czworobok, któremu dano imię … eszta … już w gruzach, lub służyła na … służby.

Najpiękniejszą ozdobą Dąbczyńskich była wspaniała kaplica zamkowa. Dzisiaj jednak obok tych gruzów, które ją otaczały, czyniła smutne, posępne wrażenie. Na okazałym froncie widać było dwa rzędy olbrzymich kolumn, dźwigających obszérną, ciężką galeryą, stanowiącą pokrycie kaplicy. Na téj galeryi stał szereg kolosalnych postaci, wykutych z kamienia. Olbrzymom tym jakby ciasno było w téj małéj świątyni, zdawało się więc, iż wyszli na krużganek, aby w swoje piersi śpiżowe zaczerpnąć powietrza... I tęskno patrzą z krużganku w świat boży, i wyrzucają potomkom, że im tak ciasną, tak duszną zbudowali świątynię..... I zdają się czekać na jakiś obłok przelotny, który ma ich zabrać z sobą, daleko, daleko..... gdzieś w inne strony!...

Takiém poetyczném okiem przebiegał nieraz Jerzy te szczątki dawnéj przeszłości. I dziwnym zdał mu się przewrót dziejów, rozdających rolę nowym swoim aktorom. Kasztelan Jarost buduje zamek i gród obronny, iżby bronić granic rzeczypospolitéj, dostaje za to z rąk króla ziemie i zaszczyty, na których cięży dług i powinność dla wszystkich jego następców. . A po kilku wiekach walą się mury grodu, potomkowie Jarosta za[illegible]najają o długu, opartym na ich mieniu i imieniu, [illegible] dumy swojéj i egoizmu, i oto przychodzi ni[illegible]gi człowiek, aby na kresach kraju zająć [illegible]go tamci zeszli...

[illegible]lo miasta. Na wieży zamkowéj [illegible]e.

[illegible]ękny, majowy. Tysiące muszek [illegible]owietrzu, szukając na noc ochro[illegible]otników, idących na spoczynek po

dziennéj pracy, zalatywał go zdala jak dźwięczny akord w pięknéj harmonii życia.

— To życie takie piękne i miłe—szeptała mu kusicielka z podniesioném do uścisków ramieniem — używaj go, pij z kielicha słodyczy!... Ona cię kocha!...

— Ona cię kochać nie może! — mówił jego chłodny, ironiczny uśmiéch — a gdy uwierzysz jéj oczom, wejdziesz na bezdroże życia! Będziesz płakał nad samym sobą, nad życiem, które pójdzie krzywo.

— Ale ona cię kocha! — woła znowu serce zbudzone — a miłość wszystko może uczynić! Patrz, oto otwiéra się okno w jéj pokoju, jéj smutna twarz wychyla się ku tobie, jéj łzawe oko śledzi cię po niebie majowém, a serce jéj powtarza słowa poety:

Wypłyń, wypłyń z za obłoku,
Po błękitnym przeleć niebie!
Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

— Ona tylko bada—mówi jego chłodny, ironiczny uśmiéch — jaka pogoda będzie jutro, jaką suknię weźmie i jakie ubranie do kapelusza, gdy wyjdzie na przechadzkę...

Ósma wybiła. Jerzy potarł czoło, jakby się chciał pozbyć jakichś myśli niemiłych, i szybko wstąpił na kamienne schody, prowadzące do zamku Dąbczyńskich.

Wróciwszy z Czarnowód, weszła margrabina pobocznemi schodkami do swoich pokoi. Był to znak, iż unika zwykłych przywitań z domowymi i chce być samą. Jakoż w saméj rzeczy, zrzuciwszy kapelusz i za-

rzutkę na fotel, zadzwoniła na lokaja i rozkazała przenieść lampę do błękitnego pokoju.

Tak zwany błękitny pokój był to wysoki, podłużny salonik, przypiérający do saméj wieży. Zdaje się, iż pokój ten musiał jeszcze pozostać z dawniejszych czasów, do którego późniéj przymurowano nowe skrzydło. Architektura, a nawet niektóre sprzęty nosiły na sobie cechę szesnastego wieku. Ściany narzucone były jakąś masą, naśladującą szary marmur z złotemi pręgami. W koło wisiały duże, olejne obrazy, przedstawiające dosyć niezgrabnie niektóre sceny z pisma świętego. Pułap podzielony był na różne pola, przedzielone złotemi, wypukłemi ramami, a w zagłębieniach wpuszczone były obrazy, uprzytomniające różne wojenne sceny z życia dawnych kasztelanów Dąbczyna. Na marmurowych odrzwiach, między arabeskami, wyobrażony był herb Dąbczyńskich. Niepospolitéj także roboty był ów kominek marmurem obłożony, ale nie musiał snać w północnéj strefie odpowiadać swemu przeznaczeniu, bo tuż obok niego postawiono w późniejszych już latach piec olbrzymich rozmiarów, z białych, błyszczących kafli, na których w wypukłéj robocie, widać było herby rodziny. Pod oknem stał duży stół marmurowy, a daléj w samym rogu sali opiérał się o ścianę stół trójgraniasty o skórzanym worku po każdéj stronie, który zapewne dawnym kasztelanom Dąbczyna służył do gry w kostki. Starożytną tę komnatę osłoniono dzisiaj tu i owdzie błękitną draperyą, mającą pokryć uszkodzenia czasu, i ztąd nazwa błękitnego pokoju.

Służył on teraz margrabinie za pracownię w chwilach smutku i melancholii. Na marmurowym stole le-

żały różne przyrządy do pisania i rysowania. Jakaś starożytna atmosfera téj posępnéj komnaty, światło przyćmione, połamane przez grube, żelazne kraty, i ta grobowa cisza, w koło panująca, wpływały korzystnie na nerwy siedzącéj tutaj samotnie i budziły w jéj duszy łudzące obrazy wspomnień.

Już lampa dawno zapłonęła na stole marmurowym, gdy obraz św. Jana Chrzciciela odsunął się zwolna od ściany, a przez drzwi za nim ukryte weszła margrabina ze stoczkiem w ręku. Zmierzywszy pustą przestrzeń komnaty, zdmuchnęła światło i usiadła przy stoliku. Na stoliku leżała przed nią gruba książka, oprawna w aksamit „*sang de boeuf*," mająca na czele złoty napis: „*Confessions d'une femme.*" Poniżéj stała dewiza: „*La passion est la vie.*"

Nad tą książką usiadła margrabina, podparła ręką twarz okraszoną rumieńcem silnego wzruszenia i zamyśliła się głęboko. Oko jéj patrzyło w ciemną, pustą przestrzeń, jakby tam widziało jakie ruszające się postacie. Wreszcie zakręciły się dwie łzy, rozjaśniły na chwilę przyćmione źrenice i spłynęły zwolna po zmarszczkach twarzy...

Margrabina była już wprawdzie dawno za progiem owych lat gorących, w których serce kobiéty z gorączkową namiętnością chwyta ostatni puhar roskoszy i uniesień, zanim ją zmarszczki i włos biały lodowym okryją całunem; ale silna jéj wyobraźnia umiała tak żywo odtwarzać obrazy młodości, że samo wspomnienie napawało ją połową roskoszy, jakich używała za lat młodszych. To odżuwanie ubiegłego życia było dla niéj dzisiaj jedyném zajęciem, jedyną namiętnością, któréj oddawała się cała. Zdawało się, iż w tych eks-

tazach traciła połowę swego wieku, stawała się dziecinną, płakała z nadmiaru roskoszy, jak młoda dziewica, czując piérwszy uścisk miłosny.

Te sztuczne, nerwowe ekstazy były dzisiaj koniecznym warunkiem jéj życia. Przez dewizę swoję, którą dopiéro czytaliśmy na okładce jéj pamiętników, straciła biédna kobiéta grunt życia, którym jest religia i obowiązki, i jak wirem porwana łódka bez steru, chwiała się po bezgłębnych toniach. Nie widziała nawet tego, że zbyt często sztuczne jéj uczucie sprzeciwia się własnemu jéj życiu, w rzeczywistości wcale innemu, jak je potém widziała przez pryzmat swoich wspomnień sentymentalnych.

Rozmowa z Zuzanną w Czarnowodach rozbudziła jéj wyobraźnię; dawne wspomnienia stanęły jéj żywo przed oczyma. Korzystając z tego usposobienia, chciała jeszcze przed herbatą zapisać kilka kartek swoich pamiętników.

Otarła łzy, które coraz obficiéj cisnęły się do jéj oczu, otworzyła książkę i zaczęła pisać:

„...Dla kobiéty niéma rzeczywistości; wszystko, co się staje rzeczywistém, przestaje być dla niéj ponętą i roskoszą, bo jéj przeznaczeniem jest pragnąć i tylko pragnąć a w tych pragnieniach umiérać! Gdyby mi wolno było wrócić do życia; najprzód bym marzyła, potém pragnęła; i z pragnieniem w sercu, z pragnieniem na gorących ustach, których się żaden nie dotknął śmiertelny, weszłabym w świat duchów, w dziewiczéj na głowie koronie, i rzekłabym do Boga: „Pragnęłam miłości, pragnęłam szczęścia— ale nie byłam szczęśliwą, nie byłam kochaną!...“ Bo miłość, którą w duszy przeczułam, nie mieszka na zie-

mi, a szczęście, o którém marzyłam, uleciało jak mgła wiosenna... Raz tylko wybłysnął promień słońca i padł do mojéj duszy, ale chmury zakryły go, a mnie zostały tylko łzy i łzy!... Ostatnie sny mojéj młodości, gdzieście uleciały! Życie wasze było życiem motyla—kilka kwiatków, kilka kropel rosy, a niéma was o lube, złote sny młodości!...“

W téj chwili św. Jan Chrzciciel znowu musiał ruszyć się z miejsca swego i do starożytnéj Dąbczyńskich komnaty wpuścić nowego przybysza.

Wchodzący był wysokim mężczyzną o siwych włosach, ale twarzy tak rumianéj i gładko wygolonéj, że siwe włosy wcale się do niéj nie stosowały i wyglądały jak biała upudrowana peruka. Na szyi miał białą chustkę starannie zawiązaną, biała kamizelka i frak ciemnego koloru uzupełniały jego ubiór.

Gdy św. Jan Chrzciciel znowu na swojém stanął miejscu, na którém przez tyle wieków wypełniał jak najsumienniéj obowiązki wołającego na puszczy, zbliżył się nowy przybysz z cicha do stołu marmurowego i rzekł cichym głosem:

— Hermino, jeźli ci nie przeszkodę...

Margrabina obejrzała się, a poznawszy męża, ozwała się:

— Zaraz, mój drogi, będę ci służyć, tylko dokończę téj kartki.

Margrabia przeszedł się kilka razy po marmurowéj posadzce, a zatrzymawszy się pod wyobrażeniem Samsona, walącego olbrzymią świątynię, począł się mu przypatrywać.

Tymczasem margrabina pisała daléj:

...Raz tylko błysnął mi promień słońca, a byłeś nim ty, kochany Arturze!... Och! moje serce nigdy nie zapomni ciebie; tyś jeden tylko kochał mnie na tym świecie... Moje serce biło tylko dla ciebie... Prócz ciebie wszystko inne było tylko więzami, nieznośnemi więzami!..."

Chciała jeszcze daléj pisać, ale margrabia chrząknął kilka razy, a chodząc po komnacie, tak głośno suwał nogami, iż wreszcie zdecydowała się położyć pióro, a dokończenie kartki na czas inny odłożyć.

Widząc to margrabia, opuścił Samsona, przeszedł mimo św. Jana i zbliżył się do krzesła żony. Margrabina siedziała rozmarzona i słysząc zbliżającego się do niéj męża, wyciągnęła ku niemu rękę.

— Droga Mińciu—rzekł margrabia, ściskając ją z angielska za rękę — chciałbym z tobą tutaj na osobności pomówić.

Margrabina zatrzymała jego rękę w swojéj białéj zgrabnéj rączce, podniosła ją do ust i wycisnęła na niéj gorący, namiętny pocałunek.

— O mój drogi Achilu—rzekła z wielkiém wzruszeniem—dobrześ zrobił, żeś przyszedł, gdybyś nawet żadnego nie miał interesu. Nie uwierzysz, czém dla mnie jest twoja obecność. Miéwam takie smutne, okropne myśli—taki niepokój wre w méj duszy... Ale gdy ciebie widzę, to myślę sobie zaraz: „Nie jesteś siérotą na tym świecie — twój Achil kocha cię, on jeden mógł tylko uczynić cię szczęśliwą!" Tak jest, jestem szczęśliwą przy tobie — szczęśliwą towarzyszką twego życia!

Pan Achil poprawił końców białéj chustki, musnął po twarzy ręką, czy gładko ogolona, a spojrza-

wszy z pod oka na biédnego Samsona, dźwigającego na swoich barkach całą olbrzymią kolumnę jakiéjś kamiennéj budowy, posunął kilka razy nogą po marmurowéj posadzce i rzekł:

— Za często słyszę to od ciebie droga Mińciu, abym mógł o tém wątpić.

— To było powiedziane z ironią, mój drogi—odparła żywo Hermina—czyż na to zasłużyłam?

— Bynajmniéj. Ale tak często mówisz mi o tém, żeś ze mną szczęśliwa, jakbyś sama chciała w siebie to wmówić.

— Niewdzięczny! — szepnęła Hermina z dziécięcym kaprysem.

— Czy dopiéro dzisiaj widzisz moję niewdzięczność?

— Nie, nie, tysiąc razy nie... To był tylko humor chwilowy, kochany Achilu. Ja bym była z tobą szczęśliwą nawet gdzieś w jakiéjś ustroni bezludnéj, bez świata, bez ludzi.

— Właśnie możesz tego dać dowód... Dąbczyn nie jest wprawdzie ani za światem, ani nie jesteśmy tu bez ludzi, lecz jest zawsze ustroniem, w którém będziemy musieli na długi czas zamieszkać.

— Ach, co mówisz Achilu! W Dąbczynie długi czas zamieszkać!

— Tak jest...

— Ach to śmierć!

— Umrzemy oboje!

— Co ty mówisz!

— Mówię rzeczy bardzo romantyczne.

— To być nie może... to być nie może... w Dąbczynie długi czas mieszkać!

— Nie mamy innego wyboru.

— Wszak mówiłeś mi, że tylko lato tutaj przepędzimy.

— Boś nie miała wcale ochoty jechać tutaj.

Margrabina spojrzała z wyrzutem na męża. Dwie łzy zakręciły się w jéj oczach.

— Tyś mnie oszukał, Achilu!—rzekła.

— Spodziéwałem się, że mi przebaczysz, Hermino!...

Margrabina przyłożyła rękę do czoła, milczała chwilę a zwracając się nagle do męża, ścisnęła go za rękę i rzekła:

— Przebaczam ci, jak zawsze tak i teraz, bo słaba kobiéta tylko przebaczać może.

— A więc teraz „en ami“ możemy pomówić między sobą o różnych interesach.

Rzekłszy to margrabia, oglądnął się za krzesłem, a przysunąwszy je do krzesła żony, usiadł na niém i tak rzecz zaczął:

— Dostałem dzisiaj listy od Warnera. Są one dla nas smutne, bardzo smutne.

— Jakto, czy kto umarł?

— Pisze mi właśnie, że długów naszych na żaden sposób umorzyć nie może — odpowiedział margrabia z dowcipnym uśmiéchem na twarzy.

— I cóż ztąd? — zapytała z nieukontentowaniem Hermina.

— Nic ztąd—odpowiedział margrabia.—Czy będą długi, czy nie będzie długów, Dąbczyńscy zawsze będą tém, czém byli.

Rzekłszy to, wyciągnął nogi, odziane w popielate pantalony, i począł im się z upodobaniem przypatry-

wać. Szukał on zapewne owéj pięty achilesowéj, a nie znalazłszy jéj, uśmiéchnął się i rzekł:

— Długi nam wcale nie szkodzą, moja droga.

— I ja tak myślę.

— Ale jest jedna nieprzyjemna strona takiego stanu rzeczy.

— A ta...

— Iż długów już więcéj robić nie można.

— A to dlaczego nie?...

— Dlatego, że kupcy i lichwiarze wcale inną mierzą nas miarą. U nas złoty kołniérz, złota rękojeść u szpady, srébra stołowe, konie, zamek, etc., wszystko to jest tylko *ozdobą* naszéj osoby. U nich nasza *osoba* nic a nic nie znaczy. Oni nasz złoty kołniérz, naszę szpadę, srébra i zamek zamieniają na wartość złota i według téj wartości nas mierzą.

— Pospólstwo!

— Tak samo, jakby wartość obrazu Rafaela chcieli oceniać według złotych ram jego!

— Ciemnota!

— Tak jest, ale cóż z nimi poradzisz? Oni siedzą na swoich workach i mówią, że nie dadzą!

— Wszak dobra nasze...

— Mówią, iż przedłużone.

Margrabina spuściła głowę i zamyśliła się... Margrabia wstał z krzesła, a przechadzając się po komnacie, spoglądał z pod oka na nieszczęśliwego Samsona...

— I niéma na to jakiego sposobu, aby tych ludzi przekonać?—ozwała się margrabina.

— To są ludzie nadzwyczaj uparci, moja droga— odparł krótko małżonek.

— I cóż ja ci poradzę, kochany Achilu! — rzekła margrabina, wstając z fotelu i kładąc białą rączkę na ramieniu małżonka — cóż ja, słaba kobiéta, mogę poradzić, ja która tylko mam serce, aby kochać i cierpiéć!...

— Właśnie od ciebie, kochana Mińciu, wszystko teraz zależy.

— Jakto?

— Dziś, jutro, przyjedzie do nas hrabia Leon.

— A wiém już, wiém! — krzyknęła margrabina, klaszcząc w dłonie i biegając po pokoju jak małe dziécię.

— I cóż wiész?—zapytał zdziwiony margrabia.

— Otóż przeczułam sercem wszystko... Widzisz, mój drogi, wszystko przeczułam kochającém sercem, odgadłam twoje myśli, twoje życzenia... Widzisz, jak ja cię kocham!

— Cóż odgadłaś?

— Wiém, iż pragnąłbyś aby hrabia Leon mógł zostać mężem Janiny.

— Niech cię ucałuję, droga Mińciu!... Ale potrzeba Janinę na to przygotować.

— O wszystkiém myślałam, o wszystkiém, a nawet już w tym celu byłam dzisiaj w Czarnowodach!

— W Czarnowodach, w tym jezuickim domu!

— Posłuchaj, posłuchaj, wszystko ci opowiem.

Mówiąc to, przyciągnęła męża do stołu marmurowego i posadziła go w fotelu. Sama usiadła przy nim na małym taboreciku. Jéj wzrost mały, żywe, gorączkowe ruchy, nadawały jéj w półcieniu pozór młodéj wnuczki, klęczącéj u nóg dziadka.

— Otóż naprzód, kochany Achilu, muszę ci powiedzieć, że Ninka nasza to szczególne dziecko. Uparta, a nadewszystko trudna do zrozumienia. Żaden mężczyzna jéj nie zrozumié, oko matki zaledwie zdoła dojrzéć niektórych sprężyn, które jéj sercem poruszają. Hrabia Leon był z nami tamtego roku w Ostendzie i wyobraź sobie, żadnego wrażenia na niéj nie zrobił.

— Możnaby jakoś zgrabnie tę rzecz poprowadzić.

— Ale co gorsza, jak się z wszystkiego zdaje, ona na nim również najmniejszego nie uczyniła wrażenia. Dowiadywałam się postronnie — nawet mu się wcale nie podobała...

— Nie podobała? Janina z Dąbczyńskich? — zawołał margrabia, wyciągając swoje popielate nogi i przypatrując się im z upodobaniem, ale już nie takiém, jak przed chwilą.

— Tak jest, wcale mu się nie podobała. Nawet w liście pisał do ciebie, iż krótki czas tylko zabawi w Dąbczynie.

— To prawda...

— Otóż wymyśliłam plan przytrzymania go tutaj, a tymczasem wszystko by się ułożyło.

— Jaki plan?

— Zaprosiłam do nas majorowę. To śliczna młoda kobiéta. Mąż stary... a ona ma coś w oczach tak pociągającego, tak miłego... a jakie serce! Czyste, dziewicze, jak anioła!...

— I cóż ztąd?

— On się musi nią zająć.

— A jakaż korzyść ztąd dla Janiny?

— Że trochę oboje poszaleją, wreszcie obaczą, iż tak długo trwać nie może, a hrabia Leon chcąc się ulec czyć i znowu przyjść do równowagi, pójdzie z piérwszą lepszą do ołtarza. Wtedy będzie mojém staraniem, aby tą... niebył nikt inny tylko Janina.

Margrabia przyłożył rękę do ręki i począł palcami obracać.

— Hm!—rzekł po chwili—ten plan może być nie zły, ale zawsze hazardowny, jeśli majorowa...

— O wcale nie, zbadałam ją doskonale. To opoka, na której pokruszą się wszystkie strzały...

— Czyż nie byłoby lepiéj dać tę rolę Tereni?

— Ach nie, to idyotka. A zresztą pod tym względem jest to dziewczyna, od której, gdy kogo schwyci, już się pewnie nikt nie odczepi. To kotka z utajonemi szponami.

— A cóż na to Janina?

— Janina, mówię ci, to szczególne dziecko. Jéj serce ma więcéj kaprysów od wszystkich kobiét na świecie. Ona kochać nie zacznie z piérwszego, czystego popędu, ale uczyni to z zazdrości, z gniewu, z uporu. Jakiś kapryśny żart, jakaś niegrzeczność jéj, mimochodem, powiedziana, może w jéj sercu rodmuchać dziwną namiętność, która w końcu przechodzi w miłość szaloną, w miłość bez granic. Gdy pozna, że hrabia gdzieindziéj się zwrócił, będzie za nim szalała i szaleństwem swojém zmusi go do wzajemności.

Margrabia słuchał z uwagą wykładu żony, obracając palec w koło palca, a gdy dostatecznie jéj słowa w głowie rozebrał, rzekł do niéj:

— Wszystko to być może, kochana Hermino, ale zawsze jest to eksperyment i nic więcéj. Może się

udać, może się nie udać. A zresztą, jeżeli Janina taką jest, jak mi ją malujesz, to obawiam się o nię...

— Ach! wy mężczyźni nie znacie kobiét,—zawołała margrabina, załamując ręce—wy nie wiécie, czego wam do własnego szczęścia potrzeba. U was kobiéta powinna być dobrą na piérwsze wejrzenie — dobrą po ślubie, zawsze dobrą —nieznośnie dobrą aż do śmierci. Wtedy piszecie jéj nagrobek: dobra! Ach, to śmierć taka pewność na całe życie! Kobiéta powinna być jak kameleon: powinna się mienić w tysiączne barwy, powinna niepokoić was i dręczyć niepewnością aż do ostatka. Tylko taka kobiéta może być kochaną i pożądaną, bo wasza dobra, wiecznie jednako staje się u was sprzętem domowym, którego jesteście najspokojniejszymi, aż do znudzenia właścicielami!

— Jest w tém niezła filozofia, byle się tylko skończyło na pozorach — rzekł margrabia, kręcąc nieustannie palec koło palca.

— Może mi masz co do zarzucenia?

— Wcale nie... ale należałoby Janinie coś powiedzieć.

— Zaraz idę do niéj i każę dawać herbatę.

Św. Jan Chrzciciel z białym barankiem u stóp, nasłuchawszy się aż do znudzenia tajemnic domowych, ruszył się znowu ze swego miejsca, aby odchodzących na herbatę wypuścić. Zbliżając się do drzwi, margrabia spojrzał jeszcze raz na nieszczęśliwego Samsona, którego na długi czas pozbawiła siły kochająca kobiéta.

Podczas téj rozmowy poufnéj, toczyła się w drugiém skrzydle pałacu nie mniéj ciekawa gawęda.

Był to mały pokoik z żółtém obiciem. Na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające wiosnę ze wszystkiemi jéj kwiatami. Posadzka zasłana była kobiercem o żywych, jaskrawych kolorach. Wszystko było tu pełne życia, drażniło oczy, zmuszało pierś do głębokiego oddechu. Mała kanapka, wybita czerwonym aksamitem i takież dwa fotele stały przy ciemnym, mahoniowym stoliku. Jak w tamtym pokoju miało wszystko na sobie barwę reminiscencyi, tak tutaj wrzało życie, była obecność. Zachodzące słońce rzucało różowe promienie w sam głąb pokoju, i jakąś śliczną, przezroczystą mgłą otaczało dwie piękne, młode kobiéty.

Janina chodziła szybko po kobiercu. Jéj ruchy żywe i namiętne oznaczały niepokój, jéj oczy biegały z przedmiotu na przedmiot, wydając z siebie jakiś dziwny blask fosforyczny. Jasno - orzechowa suknia, z wyciętym wysoko gorsem, podnosiła lśniącą białość jéj ciała, i za każdém poruszeniem okazywała piękne kształty wysmukłéj, elastycznéj kibici.

Na kanapie siedziała Terenia w białéj sukni z niebieskiém ubraniem. Jéj twarz śniada, chorowitéj przezroczystości, odbijała jakoś demonicznie od białéj sukni. Duże oczy patrzyły bezmyślnie przed siebie, żadnego nie było w nich wyrazu. Biédna była to i nieszczęśliwa istota. Daleka jakaś krewna margrabiny, nie miała ni ojca ni matki, ani majątku. Powszechnie miano ją za idyotkę.

— Czy sądzisz—rzekła szybko i dźwięcznie—że lepiéj, żem wstała z łóżka?

— Nie wiém — odpowiedziała Terenia, patrząc ciągle przed siebie.

— Ty nigdy nic nie wiész, moja Tereniu—mówiła Janina, a oczy jéj ciemne zaświéciły fosforem—ty jesteś szczęśliwą, ty nie wiész, czy żyjesz, czy śnisz — a mnie już boli to życie.

— Dlaczego cię boli? — zapytała powolnym głosem Terenia i podniosła głowę.

— Bo on mnie kochać nie chce, patrzy z ironicznym na mnie uśmiéchem, gdy mu się prawie sama oświadczam.

— Nie musisz go dobrze kochać, inaczéj nie oparłby się tobie!

Janina klasnęła w dłonie i przyskoczyła do Tereni.

— Pójdź, niech cię ucałuję! Zkąd tobie takie słowa! Nigdy nic podobnego z ust twoich nie słyszałam... Powtórz mi, proszę cię, raz jeszcze. Może nauczyłaś się z książki?

— Moja książka to moje serce...—odpowiedziała powolnym głosem Terenia, przykładając z pewnym wyrazem omdlenia drobną, kształtną rączkę do wzniesionéj piersi.

— Tereniu, Tereniu! — krzyknęła Janina — ja cię nie poznaję! co się z tobą stało?

— Wczoraj, dzisiaj czuję się jakoś lepiéj, zazwyczaj ciśnie mi coś na sercu.

— Ach, moja droga, nie uwierzysz, jak to boli, być wzgardzoną!

— Prawda, to boli! — odpowiedziała Terenia, a ożywiony na chwilę jéj zwrok padł znowu bezmyślnie na ziemię.

— Nigdy jeszcze tego nie doświadczałam.

— Ach, to boli!

— Dotąd miałam pogardę dla drugich, a dzisiaj on...

— On nie chce cię kochać?

— Nie, nie... obojętną mu nie jestem — zawołała Janina, chodząc szybko po pokoju — nie jestem mu obojętną. Spostrzegłam to, gdyśmy ostatnim razem rozmawiali z sobą. Ale on się zmusza do obojętności... on chce mnie poniżyć... on chce abym ja piérwsza przed nim się ugięła... Ale nie, to się nigdy nie stanie... On musi upaść przedemną, a wtedy zemszczę się!

— Zemścisz się? — krzyknęła Terenia i podniosła głowę:

— A jużci zemszczę się — odpowiedziała Janina, śmiéjąc się i klaszcząc w dłonie — zemszczę się strasznie i okrutnie, bo mu powiém... że go kocham!

Wymówiła to słowo głosem, w którym ozwały się wszystkie struny duszy namiętnéj. Taki głos wciśnie się w każde serce i pozostanie tam na zawsze, jako urywek owéj melodyi niebieskiéj, któréj przez długie wieki przysłuchują się aniołowie i wiecznie jéj pragną...

Pobiegła szybko do stolika, na którym leżała biała, batystowa chustka; bo łzy puściły się z jéj oczu.

— Ach, Tereniu! gdybyś ty kochała! — mówiła wśród łez Janina.

— Ja kocham!—odpowiedziała Terenia i utopiła wzrok gdzieś w powietrze.

— Ty kochasz? Któż jest twoim kochankiem?

— On...

— Co za on?

— Nie znam go...

— Ty go nie znasz, a kochasz?

— Bo bez miłości żyć nie mogę.

Janina otarła oczy i zdziwiona spojrzała na biédną idyotkę.

— I nigdy nie widziałaś go?—zapytała po chwili.

— Czasem widzę go...

— Gdzie go widzisz?

— Widzę go na niebie, gdy słońce wschodzi — wieczorem widzę go na kwiatach, gdy pada rosa niebieska!

— Ach, mówisz od rzeczy!

— Widzę go na fali wody, gdy z mgłą poranną wstaje i wznosi się ku niebu.

— Bredzisz, moja droga!

— I często słyszę głos jego.

— Słyszysz go?

— Słyszę, gdy jest cisza w naturze... w sercu mojém rozmawia ze mną...

— Śnisz wtedy...

— Słyszę go w harmonii liści, gdy wiatr niemi porusza...

— Ach, moja Tereniu, tyś chora! — krzyknęła Janina.

— Słyszę go w kościele, gdy się modlę do Boga, który jest opiekunem siérót—odparła z wilgotném wejrzeniem siérota.

— Nie mów mi więcéj — rzekła Janina — bo mi się straszno robi przy tobie.

— Ja się niczego nie boję, bo on jest przy mnie...

Janina wzdrygnęła się i spojrzała po ciemnych kątach pokoju. Słońce skryło się za ciemną chmurę wieczorną, tylko różowy odblask drżał jeszcze po żółtych ścianach i rysował na nich jakieś dziwne fantastyczne obrazy. Biédna siérota wlepiła wzrok

swój w tę dziwną grę światła i cieni, a zdawała się odczytywać niezrozumiałe jéj hieroglify. Jéj duże, błękitne oczy ożywiły się; na jéj blade, zwiędłe lica wystąpił żywy rumieniec. Janina uczuła trwogę, jaką zazwyczaj nas przenika na widok obłąkanych.

— Cóż ci to, Tereniu?—zapytała z trwogą Janina.

— Nic mi... jestem szczęśliwa.

— Szczęśliwa?...

— Bo on mnie kocha — czuję, że się do mnie zbliża.

— Wszak go nie znasz...

— Nie znam go, ale go kocham, kocham całą duszą i wiém, że go spotkam w życiu.

— Może to będzie inny.

— Ja innego kochać nie mogę...

Oczy idyotki tak dziwnym zabłysły ogniem, taki dziwny wyraz ekstazy wystąpił na jéj twarz, ukoloryzowaną w najżywsze barwy, tak nagły i gorączkowy był ruch jéj ręki, iż Janina cofnęła się kilka kroków od stolika do dzwonka—gdy nagle drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł najprzód służący, niosąc zaświeconą lampę, a za nim margrabina.

Zaledwie zamknęły się drzwi za służącym, Janina chciała opowiedzieć matce całą swoję przygodę z Terenią, gdy ta nagle podniosła się z kanapki i rzekła do margrabiny:

— Pozwól ciociu, iż pójdę i przyrządzę herbatę.

Mówiąc to, miała Terenia tak zwyczajny wyraz na twarzy, jakby przed chwilą żadnego silniejszego nie doznała wzruszenia. Ta sama obojętność i apatya w jéj oczach, ta sama omdlałość i znużenie we wszyst-

kich jéj ruchach, które zawsze cechowały tę biédną, nieszczęśliwą istotę.

— Dobrze, moje dziécię—rzekła margrabina, całując ją w czoło — idź i przyrządź nam herbatę, a my tam zaraz przyjdziemy.

Terenia zwróciła się do drzwi, a matka i córka patrzyły z różném wzruszeniem za odchodzącą, któréj biała postać chwiała się jak widmo ducha i zniknęła śród ogarniających ją ciemności przyległego salonu.

— Ach, ta Terenia, droga mamo! — ozwała się Janina, tuląc się do łona matki — ta Terenia straszy mnie swemi dzikiemi konceptami.

— Musisz miéć wzgląd na to — odparła matka, patrząc z macierzyńską czułością w oczy jedynaczki— musisz miéć wzgląd na to, iż Terenia jest biédném, upośledzoném od natury dzieckiem... Cóż ci to, Nińciu, ty płaczesz?

— Coś mi smutno, droga mamo! — odpowiedziała Janina, przyciskając twarz do piersi matki.

Margrabina pocałowała w czoło łkającą córkę, przyciągnęła ją do kanapki, a usiadłszy przy niéj, rzekła do niéj z macierzyńską pieszczotą:

— Uspokój się, moja Nińciu, będziesz miała oczy czerwone, a wiész, że przy herbacie nie będziemy sami. Pan Jerzy...

— Droga mamo—przerwała córka, rzucając się jéj na szyję—ja jestem nieszczęśliwą!

I gorącemi pocałunkami poczęła okrywać twarz margrabiny.

— Uspokój się Nińciu, moje drogie dziécię — tuliła ją margrabina, poprawiając jéj włosy — właśnie

chcę z tobą pomówić, jako matka, pragnąca szczęścia swojéj jedynaczki.

Janina otarła oczy, a chociaż piękna jéj pierś podnosiła się i opadała wewnętrznym spazmatycznym płaczem, twarz jéj jednak miała pozór spokoju.

— W twoim wieku, droga Nińciu,—zaczęła matka—może być tylko jedno nieszczęście. Wiém ja o tém nieszczęściu i dlatego mówię z tobą.

Twarz Janiny oblała się szkarłatnym rumieńcem. Z niepokojem zwróciła oczy na matkę. Ale margrabina nie patrzyła w téj chwili na córkę. Zbiérała ona w duchu myśli, których właśnie miała udzielić swojéj jedynaczce.

— Każda panna w twoim wieku czuje się nieszczęśliwą—mówiła daléj margrabina. — I bardzo słusznie. Jest to przygotowanie do nowego życia, czyli innego jego okresu. Ty pragniesz miłości, i jak samotna po wodach potopu latająca gołębica, oglądasz się za zieloną gałązką, za różczką szczęścia. Dotąd jeszcze nic nie widzisz prócz mgły i wody. Ale miéj cierpliwość, pod tą mgłą kwitnie tam dla ciebie palma szczęścia.

— Ja nic nie widzę—wyszepnęła Janina, wspomniawszy sobie biédną idyotkę.

— Ale oko matki kochającéj widzi daléj i lepiéj.

— I kogóż mama tam widzi? — zapytała z lekkiém nieukontentowaniem kapryśna jedynaczka.

— Hrabia Leon...

— Ach, to nieznośny człowiek, mamo! — przerwała Janina.

— Cieszę się, że tak mówisz, moja Nińciu!

— Cieszy się mama?

— Bo jestem pewna, że go będziesz kochała.

— Ja?... ja będę go kochała?... Jak to wiész naprzód, kochana mamu!

— Wiem, bo znam ciebie, moja ty kapryśna jedynaczko—odpowiedziała matka, całując ją w czoło.

Janina zamyśliła się... Słowa matki potrąciły coś w jéj głowie, o czém nigdy nie myślała. A potrącenie to byłoby ją może doprowadziło do wielkiéj zbawiennéj prawdy, gdyby matka chciała jéj zostawić więcéj czasu do swobodnego rozmyślania.

— Ale jako matka winnam ci dać kilka napomnień, kilka wskazówek, bez których można popaść w błąd, który się potém całém życiem nie da naprawić.

— Jakież są to wskazówki?—zapytała ciekawie córka.

— Naprzód trzeba uważać, który mężczyzna może być twoim mężem.

— A jeśli go znajdę?

— Jeśli go znajdziesz, przedewszystkiém nie trzeba się mu narzucać. Nie zaszkodzi wcale, jeżeli na pozór będziesz trochę obojętną, a nawet zdawać się będziesz jego względy odrzucać.

— To sobie pójdzie z Panem Bogiem, a ja wraz z moją dyplomacyą zostanę na lodzie— wtrąciła kapryśna jedynaczka, ocierając resztki łez...

— Nie trzeba przeciągać tylko struny — rzekła matka z miną wytrawnego dyplomaty — bo pęknie... A jeśliby on zrazu był obojętny, to w takim razie możesz piérwsza uczynić niektóre kroki zaczepne; ale gdy obaczysz, iż idzie za tobą, wtedy natychmiast musisz zmienić rolę i być dlań zimną, obojętną. Bo gdy mężczyzna *raz jest w zapędzie*, to upór z twojéj strony tém wię-

kszą dla ciebie wzbudza miłość. To miéj sobie za regułę: mężczyzna powinien sobie *zdobyć* ciebie; tyś powinna *zejść* do niego ze swego tronu, zejść na jego usilne prośby i starania, bo tylko wtedy będziesz panią jego serca. A jeśli kobiéta sama zaślepiona szaloną miłością, mężczyznę zdobywa, niech będzie pewna, iż nigdy z nią się nie ożeni. Ona będzie wtedy jego wierną przywiązaną, a nawet wygodną służebnicą — ale on jéj kochać nie będzie jako królową swego życia.

Janina pochyliła na piersi zamyśloną główkę i zadumała się... Z macierzyńską rozkoszą patrzyła margrabina na tę piękną, smukłą postać, na przecudne białe ramiona, które za każdém wezbraniem piersi zaokrąglały się do kształtu kuli.

Śród téj dla serca jéj tak miłéj kontemplacyi wszedł służący, oznajmując, iż herbata gotowa i że doktor Jerzy już czeka w salonie.

— Pójdźmy, mamo!—rzekła Janina, zrywając się szybko z kanapki i biorąc matkę za rękę.

— Jest tam Terenia—odparła margrabina.

— Pójdźmy!—przerwała córka, a twarz jéj przybrała wyraz namiętnéj niecierpliwości.

— Gdybym wiedziała, że ci będzie lepiéj do wieczora, nie byłabym go prosiła... a tak...

— Spieszmy się, mamo! Terenia nie da sobie rady.

— Nie lubię towarzystwa ludzi, którzy nie należą do naszego koła. Z nimi tak trudna konwersacya. Nie wiedzieć o czém mówić.

— Przecież pan Jerzy tyle ma wykształcenia...

— To prawda... Ale to zawsze żenuje mnie i fatyguje...

Tymczasem z wazonika, stojącego przy oknie, zerwała Janina piękną, rozkwitłą różę, a umocowawszy ją na piersi, pociągnęła za sobą matkę do pobocznego salonu, z którego wnijście prowadziło do wielkiéj, tak zwanéj marmurowéj sali.

Tam zastali już całe domowe towarzystwo. Margrabia siedział w białéj chustce, w ciemno-tabaczkowym fraku i ze zwykłém upodobaniem patrzył na swoje kształtne popielate nogi. Na jego twarzy panował uśmiéch spokojnego, niezachwianego szczęścia. Terenia naléwała herbatę, a za nią siedział nieunikniony przy wiejskiéj herbacie ksiądz proboszcz dużą, czerwoną chustką ociérający kroplisty pot z czoła.

Jerzy stał opodal, a trzymając w ręką album, patrzył ponad ryciny we drzwi, które się właśnie teraz otwiérały...

V.

Nazajutrz był dzień piękny, pogodny. Słońce schylało się już ku wieczorowi. W powietrzu była cisza uroczysta. Za to na gałązkach drzew świergotało ptactwo jakąś pieśń wesołą i z drzewa na drzewo podawało sobie dobre wieści. Kilka białych chmurek uwisło na wieży Dąbczyna; jedna spuściła się, aż do okna starożytnéj komnaty i patrzyła ciekawie i wesoło na herb starego Jarosta. Lipy i kasztany szeleszczą dziwnie przed zamkiem, smukłe trawki opiérają się jedna na drugą i szepczą sobie coś do ucha, a cieszą się... Nad brzegiem Czarnowód orze rolnik;—kilka razy spojrzał na fale jeziora, spojrzał na gałęzie drzew, na chmurki nad wieżą zamkową, spojrzał w około siebie— ale nic nie ujrzał, nic nie usłyszał. A przecież jest coś w powietrzu, co zdaje się mówić i szeptać... Ale rolnik nic nie widzi, tylko słońce, które się zniża ku wieczorowi; widzi staw błękitny, drzewa i białe chmurki nad wieżą zamkową...

Od wschodu zabrzmiała trąbka pocztowa. Rolnik zatrzymał pług i spojrzał na dorożkę, która zwolna toczyła się po drodze piasczystéj.

W dorożce siedział mężczyzna mający około lat 30-tu. Miał jasne włosy, ciemne gęste brwi z pod których strzelały bystre, ciemne oczy. Wyraz twarzy był męzki i silny: koło ust zarysowywał się lekki cień smutku, lecz z całą twarzą był jakoś w nieporozumieniu, która oznaczała wesoły, otwarty umysł. Patrzył przed siebie oczyma na pół zmrużonemi, obojętnemi, jak człowiek, który wiele już widział i dla którego nic niéma nowego. Na koźle siedział stary sługa, którego twarz w tak dziwne ułożyła się fałdy, jakby od urodzenia milczał i swojéj fizyognomii w żaden ruch nie wprawiał. Był to istny obraz wiecznego milczenia.

Droga szła ponad brzegiem stawu. Konie postępowały zwolna w grząskim piasku, a podróżnemu wcale nie chodziło o pośpiech. Oparł się wygodnie o poduszki dorożki, paląc z konfortem amerykańskie cygaro.

— Cóż, Soroka! — zawołał po chwili na służącego—obiecałeś wyspowiadać się tutaj... Roztrząsnąłeś sumienie?

Ułożona w podłużne fałdy twarz starego Soroki poruszyła się trochę; z pod siwych, obwisłych wąsów wydobył się jakiś szmer, głuchy, niezrozumiały, i znowu wszystko ucichło.

— Cóż cię tam znowu napadło, Soroka! — ozwał się podróżny, który, jak widać, począł się nudzić z własnemi myślami.

— Napadło, napadło—mruknął stary; — nietylko mnie napada, napada i drugich.

Podróżny uśmiéchnął się; widać było, że ta gawędka poczyna go bawić.

— Więc sądzisz, że mnie napadło, kochany Soroczko? — rzekł podróżny, wydmuchując całą chmurę dymu.

— A jużci nie mnie — odburknął Soroka,—bo ja ot... Soroka, a panycz pan...

Podróżny rzucił cygaro i począł gwizdać aryą z „Cara i cieśli.“ Soroka obrócił się półtwarzą, okazał grube fałdy milczącéj swojéj fizyognomii, pokiwał głową i mruknął:

— Już to ostatnie głupstwo, co robię! Będę miał rozum, będę—bo już czas.

Rzekłszy to, począł zwolna układać inaczéj twarz pomarszczoną. Spływające na dół wiecznego milczenia fałdy zaczęły się powoli podnosić, zaokrąglać; szérokie jego usta zwężały się coraz bardziéj, przeszły z elipsy w małe okrąglutkie kółko, z którego nagle wyleciała ulubiona jego melodya. Zrazu gwizdał ciszéj, lecz w drugim i trzecim takcie gwizdanie stało się tak głośne, iż się po wodach stawu rozlegało.

Był to jakiś oryginalny, kapryśny dyalog starego sługi ze swoim trzydziestoletnim „panyczem“. Rozumie się, że arya opery musiała ustąpić silnéj, stepowéj dumie. Podróżny roześmiał się i zapalił świeże cygaro, gdy tymczasem Soroka, nie zważając wcale, co się za nim dzieje, zwiesił głowę i gwizdał daléj. Gwizdał sobie niby bez celu, ot tak, dla rozrywki, a jednak myślał sobie w duchu stary:

Tam za horu dudka hraje,
Diwcze mowczy, a wsio znaje!...

gwizdał stary Soroka coś o Ukrainie, krasa- horohach, o mogiłach, gwizdał o staryn

swoim panu, o siwym asawule z białą nóżką, o stepie i o trzech krzyżach na cerkwi. Nieco ciszéj wygwizdał jakąś piosnkę miłosną o czarnobréwie i o Kozaku Sołowiju, a wszystko to było smutne, rzewne. Wreszcie machnął ręką, zakończył jakimś rozpaczliwym, wysokim tonem, aż się pruski pocztylion przestraszył, a otarłszy oczy ręką, obrócił się znowu półtwarzą do „panycza," aby widzieć, jakie wrażenie zrobiła na nim jego „dumka." Ale „panycz" palił sobie w najlepsze cygaro i wcale nie zdawał się marzyć o krasnéj Ukrainie, ani o stepach i trzech krzyżach na cerkwi. Soroka opuścił znowu fałdy swojéj twarzy, obrócił się ku koniom i milczał, zgarbiwszy się jak wielbłąd, co zawsze jego zły humor oznaczało.

Podróżny uśmiéchał się, patrząc na kaprysy starego sługi, który jakkolwiek miał twarz milczącego człowieka, lubił jednak, gdy do niego mówiono.

— Soroka!—zawołał po chwili podróżny.

Stary niby od niechcenia obrócił się półtwarzą.

— Coś to ty mi teraz wygwizdał stary?

— Ja... ot z nudoty, panyczu — mruknął Soroka, niby niechętny rozmowy, a wewnątrz biło mu serce z radości, że „panycz" jego dumkę zrozumiał. I pomyślał sobie w duchu stary o Ukrainie:

Tam za wodu dudka hraje,
Diwcze mowczy, a wsio znaje...

— Słuchaj Soroko, ja ci powiem, coś ty mi gwizdał.'

— Ja-bo panyczu nic sobie nie „dumał."

— Kłamiesz stary — rzekł z uśmiéchem podróżny. — Tyś mi chciał powiedzieć, że niéma ziemi nad

Ukrainę, że *Soroka* *), na któréj cię mój ojciec dziéckiem znalazł, to najpiękniejsza mogiła na całéj ziemi; że niéma konia nad Asuwałę z białą nóżką, niéma piękniejszego widoku nad step rozłożysty, i niéma kościoła nad cerkiew z trzema krzyżami!... Prawda, Soroka, że to chciałeś mi powiedzieć?

Stary Ukrainiec poczérwieniał ze wstydu, jakby kto go złapał na złodziejstwie jakiém, a to tymczasem była tylko radość, że panicz jego „dumkę“ zrozumiał. Ale jako prosty Kozak uznał za rzecz przyzwoitą, nie przyznać się do takiéj dumki, i rzekł:

— Oj, panyczu, to ja tak nie dumał!

— Przyznaj się stary!

— Ta...

— Już ja widzę po twoim garbie...

— Ta, panycz wszystko znaje...

— No, no, nie frasuj się! Gdy przyjedziemy do wielkiego miasta, to zapomnisz o mogiłach i trzech krzyżykach.

— Takoj to panyczu będzie zawsze na „czużyni.“

— Kupię ci pole, wystawię chałupę i będziesz jak w ojczyźnie.

— Ojczyznę daje Hospod-Boh! — mruknął stary Ukrainiec, obrócił się do koni i ani słowa już nie powiedział.

Tymczasem palił podróżny daléj cygaro, uśmiéchał się, patrząc na ruchomy garb starego Soroki, który sapał jak miech kowalski, i pluł na wszystkie trzy

*) *Soroka*, mogiła na Ukrainie.

części świata, tylko do swego „panycza“ ani razu się nie obrócił.

Teraz skręcała się droga aż nad sam brzeg stawu. Na środku wody okazała się mała wysepka, ocieniona przecudnie wielkiemi drzewami, których zielone gałęzie odbijały się na jasném tle wody. Z pomiędzy drzew wyglądały białe mury, ożywiając to ciche ustronie. Kilka kolumn starego kościołka zaglądało przez gęste liście, jak mury świątyni Wenery w poświęconym jéj gaju.

Za każdym krokiem otwiérał się coraz inny widok. Tam gruzy murów zczerniałych i chwastem porosłych; tu wieża na pół rozwalona lub krzyże pochyło stojące; tu znowu biała ściana kościoła z jakimś obrazem na środku... A wszystko to ujęte było w przezroczyste ramy liścia, wody i nieba, tworzyło piękny, zachwycający widok.

Wkoło była cisza przyjemna, zwierciadło stawu gładkie, spokojne, a z małéj zaczarowanéj wysepki dolatywał głuchy, harmonijny świérgot ptasząt i cichy szmér liści.

Nie podobna było nie użyć tego widoku, nie zatrzymać się w tém czarownem ustroniu. Jadącemu za granicę wydawał się ten kraniec ziemi rodzinnéj jak ostatni, gorący pocałunek kochanki, żegnający nas na długo, a może na zawsze!

Podróżny kazał pocztylionowi zatrzymać konie. Zlazł z dorożki i puścił się ku brzegowi. Soroka patrzył za nim mokrém okiem i łzy połykał.

Tymczasem znikł podróżny w gęstych zaroślach. Przedarłszy się nad sam brzég wody, szukał drogi, któraby mogła go zaprowadzić do téj zaczarowanéj wy-

sepki. Chciał z blizka przypatrzyć się ruinom klasztoru. Ale do wysepki nie było z téj strony przystępu.

Już chciał powrócić do kapryśnego Soroki, gdy w ostoi za krzakami ujrzał łódkę, przywiązaną do wiosła, zatkniętego w grunt piaszczysty. Podróżny nie namyślał się wcale, wyjął wiosło z ziemi, odepchnął łódkę, a za kilka chwil kołysał się już na ciemnych falach Czarnowód.

W téj chwili zaszeleściały krzaki, zkąd łódka była odpłynęła, a z pomiędzy zielonych liści okazała się rumiana twarz starego ekonoma.

— Hej, hej!—wołał Mietlica, machając obu rękoma — proszę nazad, do brzegu, tu są państwo! Hola, héj!

Podróżny chciał improwizowanemu właścicielowi coś wytłumaczyć, a resztę jaką obiecanką dokończyć, gdy nagle za plecyma starego ekonoma okazały się dwa szérokie kobiéce kapelusze, a za niémi służący w zielonéj liberyi, niosący jakieś dziwne stoliki i stelaże.

W obec takiéj rekwizycyi potrzeba było jak najpokorniéj broń złożyć i czemprędzéj oddać się na łaskę lub niełaskę tak licznemu nieprzyjacielowi.

Kilka ruchów wiosła, wykonanych z kawalerską zgrabnością, według wszelkich zasad nautyki, zbliżyło w oka mgnieniu zagrożoną łódkę do brzegu.

— Ah! *monsieur Léon!*—krzyknęła margrabina— co za dziwne spotkanie! Pan zawsze jesteś dziwakiem! miłym, romantycznym dziwakiem!

— Pani margrabina! — rzekł zdziwiony podróżny.—Czyż godzi się — dodał po chwili, ściskając jéj

rączkę — czynić na biédnych podróżnych tak niebezpieczne zasadzki?

— A godziż się dawać komuś tak złośliwą przestrogę, aby się nie zapędzał zbyt daleko, gdyż powrót, dajmy na to, do obowiązków naszych, mógłby się stać niemożliwym?... Muszę pana zaraz zaprezentować mojéj kochanéj sąsiadce, a właścicielce téj łódki, którą pan sobie przyswoić chciałeś, téj wody i tych prześlicznych ruin, do których pan zapewne zmierzałeś... pani majorowéj: Hrabia Leon, wielkie nic dobrego, ale obiecuje miéć dobre serce, gdy się postarzeje.

— Nie mogłaś pani lepiéj mnie opisać.

— Ale nim się pan postarzejesz, naszém staraniem będzie, to jest mojém i pani majorowéj, uczynić z pana znośnego i grzecznego kawalera.

— Co do mnie — odpowiedziała zapłoniona Zuzanna — nie ufam sobie, abym tak prędko mogła dojrzéć wad jakich...

— Ach, proszę cię—przerwała margrabina,—już piérwszą wadą pana Leona jest, że lubi brać to, co nie jest jego własnością...

— Pani pozwoli — przerwał z sarkastycznym uśmiéchem hrabia Leon — nie chciałem brać tego na własność, chciałem tylko...

— Widzisz go!—krzyknęła margrabina, klaszcząc w dłonie,—sam się odsłania, jakim jest. Na własność, na wieczną własność, to broń Boże. Ale tak, *pour passer le temps*... Panie Leonie, gdyby p[illegible]ad ta łódka była sercem?...

— Tobym ją odwiązał od lądu [illegible]by przykuta, i puściłbym na fale. Zdaje[illegible]we przeznaczenie łódki serca?

— A sam?

— Sam zostałbym, jak zwykle, na brzegu.

— Ach, co za wspaniałomyślność! Bezprzykładne zaparcie się!

— Bynajmniéj... to egoizm.

— Egoizm? Zrzekać się nagrody za dobre uczynki!

— Nie lubię kołysać się, doznaję zawrotu głowy.

— Ach! lękasz się pan, lękasz! Musiałeś już kiedy wypaść z takiéj łódki, albo pana niemiłosiernie wyrzucono.

Hrabia Leon cierpko się uśmiéchnął. a spojrzawszy na twarzyczkę margrabiny, spotkał się z jéj smutném, melancholijném wejrzeniem. Wydała mu się w téj chwili tak piękną i zajmującą, że oczu od niéj oderwać nie mógł, i nie zważał wcale, że winien był margrabinie odpowiédź. Spostrzegłszy to margrabina, uderzyła go z lekka ołówkiem, który w ręku trzymała, i rzekła:

— Panie Leonie, odwiązałeś pan jednę łódkę od brzegu, i na tém dosyć dzisiaj. Korzystamy więc z pańskiéj zręczności, którą dopiéro co podziwiałyśmy. Przewieziesz nas pan na drugą stronę. Będzie to piérwsza grzeczność błędnego rycerza dla mojéj pięknéj sąsiadki.

Zuzanna zapłoniła się, chciała coś odpowiedzieć, ale jéj myśli jakoś nie szykowały się dzisiaj. Tymczasem wprowadziła ją margrabina do łódki, a zręczny majtek w oka mgnieniu zawiózł je na sam środek stawu.

— Rysowałam te ruiny, panie Leonie — rzekła z melancholijném wejrzeniem margrabina;—wiele myśli budzą we mnie... We wszystkiém, co nas otacza, we

wszystkiém można się przejrzéć i widzieć, byle tylko myślą pochwycić... Ot naprzykład teraz przychodzi mi na myśl ta łódka, którą płyniemy po tych toniach bezgłębnych! Nie jestże to życie nasze? Tém milsze i pewniejsze, im milsza i pewniejsza jest dłoń naszego sternika. O! szczęśliwa kobiéta, która z ufnośnią może się oprzéć o ramię swego sternika.

Podczas téj na łódce rozmowy, która coraz bardziéj cichła i głuchła, stał Mietlica na brzegu pod krzakami i z pod oka patrzył na podróżnego. Coś mu nie w smak było, coś poczęło go niepokoić. Spluwał co sekunda, stawał to na jednéj, to na drugiéj nodze, ale wszelkie te innym razem z dobrym skutkiem praktykowane środki, nic mu dzisiaj nie pomagały.

Wreszcie obejrzawszy się, zobaczył tuż za sobą starego Sorokę, który zgarbiony jak wielbłąd, sapał z gniéwu i niecierpliwości, patrząc za odpływającą łódką. Twarz Soroki miała dla starego ekonoma tyle czegoś tajemniczego, że przemierzywszy ją zwolna okiem, zapytał cichym głosem:

— Wy zdaleka?

Syroka kiwnął głową i ruszył prawém ramieniem.

— Od Moskwy?—powtórzył ekonom.

Ukrainiec wskazał ręką bardziéj na południe.

— Byliście w wojsku?

Soroka ruszył głową na znak zaprzeczenia.

— Ale w świecie nie mało! — dodał gadatliwy Mietlica.

Stary Ukrainiec otworzył gębę i prawą rękę zrobił szérokie koło ponad samą głową ekonoma. Miało to oznaczać, że cały świat przejechał.

— Tam do kata! — mruknął Mietlica, prowadząc w odwrotnym kierunku rękę do swojéj głowy, aby złe jakie chęci nieznajomego odczarować. — Tam do kata! Czy gadać nie umié, czy co!... A wasz pan był zapewne ułanem?

Soroka zaprzeczył głową.

— No, już tego nie rozumiém — mruknął stary wachmistrz—a przysiągłbym, że był ułanem. Tak gracko brał się do wiosła, jak do lancy.

Rzekłszy to sam do siebie, spojrzał jeszcze raz na twarz starego Soroki, zgłębił w duchu jéj fałdy i zmarszczki, zmierzył pochyłe, garbate plecy, a zatrzymawszy się chwil kilka na białych, jakoś strasznie zamotanych wąsach, pomyślał sobie w duchu:

— Coś wiele ciekawych rzeczy jest w tych fałdach, w tym garbie i w tych wąsach pomotanych! Gdyby żona moja była kobiéta, jak Bóg przykazał, wziąłbym go zaraz na folwark, a wiém, że do białego dnia byłoby czego słuchać!

Gdy się to w Czarnowodach nad stawem działo, a rolnik, orzący z drugiéj strony wody, napróżno patrzył to na drzewa wysepki, to na białe chmurki, czepiające się wieży Dąbczyna, a nic obaczyć, ani zrozumiéć nie mógł, chociaż coś przecież latało mu przed oczyma i uszyma, tymczasem w dworcu Czarnowodzkim nie było wcale wesoło. Tak zwane *spiritualia* wcale się dzisiaj nie udały. Margrabina wzięła z sobą majorową na przejazdkę po stawie; major zapaliwszy sobie fajeczkę, milczkiem wysunął się w pole: ksiądz proboszcz sprzeciwił się zaraz z góry piątemu rozdzia-

łowi poematu o Stefanie Batorym, w którym kilku Świętych pańskich, a patronów polskich, kłóci się między sobą o biédną Polskę, i dowodził, że w niebie niéma podobnych kłótni, jak w zaściankach szlacheckich: Jerzy siedział roztargniony, jakby sam jeden był na bożym świecie i nikogo nie słyszał. Widząc to wszystko, staruszek zamknął najprzód tekę, potém zamknął usta, a gdy „spiritualiści“ z izdebki się wynieśli, zamknął biédny i oczy, używając wcześniéj zwykłego snu poobiedniego.

Z Czarnowód do Dąbczyna prostą, polową drogą można było zajść za pół godziny. Jerzy lubił tę przechadzkę i prawie codziennie odbywał ją pieszo. Droga szła po największéj części brzegiem stawu.

Dzisiaj jakoś było mu spieszniéj, niż kiedykolwiek. Nie zatrzymywał się nigdzie, a nawet ominął zdala kopiec graniczny, na którym zwykł był zawsze stawać i okolicy się przypatrywać.

W Dąbczynie nic nie zastał nowego. W ubogiéj mieścinie było cicho i głucho. Przechodząc przez ulicę zamkową, spojrzał na pusty, zamknięty dom poczciwego zégarmistrza, spojrzał na jego mniemanego nieprzyjaciela, który stał w progu sklepu w okrągłéj, aksamitnéj czapeczce, głaskał się po tłustym brzuchu i uśmiéchał się do przechodzących.

Wreszcie wszedł do swego mieszkania. Przystąpił szybko do stolika, na którym w małym, porcelanowym kubku stała róża blado-czerwona. Była to ta sama róża, którą wczoraj Janina zerwała i do piersi przypięła.

— Biédny kwiatku! — rzekł do siebie młody marzyciel—ty zwiędniesz i listki twoje opadną. Czy nie

zapomni o tobie ta, która cię zerwała, ozdobiła tobą pierś swoję, a gdy téj piersi było za duszno...

Jerzy przychylił usta do róży i dotknął się jéj bladych liści...

W téj chwili otworzyły się drzwi. Stary ogrodnik z zamku wszedł do pokoju.

— Cóż tam, Szymonie?—zapytał Jerzy, zarumieniwszy się, że ktoś go zeszedł w tak drażliwej chwili.

— Oj źle, panie — odparł ogrodnik — człowiek stary, ta i wszystko z nim starzeje.

— Jakże w ogrodzie będzie tego roku?

— Ot! pożal się Boże! Takie piękne *linodendron tulpifera*, com sam wypieścił własnemi rękami, kazał „jasny pan“ wyciąć, a owo czerwone nakrapiane *digitales rubicunde*...

— A to z jakiego powodu?

— Ot prawdę powiedziawszy, grymas pański i nic więcéj. Powiedział pan: „Szymonie, to wygląda jak na probostwie. Widzę, żeś się postarzał — trzeba mi będzie innego ogrodnika.“ Niechże sobie szuka innego, bardzo dobrze, ale ciekawym, czy drugi wychowa taki *linodendron tulpifera*, a takie *digitale rubicunde*... Ale, ale, miałem panu powiedzieć, że pan margrabia, a właściwie kamerdyner kazał mi tutaj wstąpić, abyś pan koniecznie dzisiaj przyszedł do zamku.

— Dzisiaj?—zapytał Jerzy,—a twarz jego okrył lekki rumieniec.

— Dzisiaj w wieczór — odpowiedział ogrodnik, myśląc o swoim linodendronie.

— Czy będą goście?

— Będą państwo z Czarnowód, ze Stasznicy i z Konaszewa.

— Nikt więcéj?

— Będzie także jeden pan, co to z panną Janiną ma się żenić.

— Z panną Janiną?... co za pan?...

— Nie widziałem go, bo dopiéro co przyjechał. Radańska mówiła mi, że młody i bardzo ładny... Ot, kobiéty!

Jerzy przeszedł się kilka razy po pokoju, lecz spostrzegłszy, że ogrodnik dziwnie na niego patrzy, zatrzymał się, i udając obojętnego, mówił daléj:

— Cóż panna Janina na to?

— Panna Janina zawołała mnie do siebie, gdym się do miasta wybiérał, i rzekła do mnie: „No cóż, Szymonie, widziałeś tego pana, który chce, abym szła za niego?“ I tak się cieszyła, tak do góry skakała, a nie czekając, co ja na to odpowiém, wykręciła się jak fryga na jednéj nodze i znikła. Potém wyjrzała jeszcze raz oknem i zawołała za mną: „Spiesz się, Szymonie, a nie zapomnij!...“ Otoż teraz muszę jeszcze iść do tego Niemca, bo dzisiaj wszystkie pokoje mają być oświécone. Może będą zaręczyny.

Rzekłszy to, pokłonił się ogrodnik; jeszcze we drzwiach chciał coś o swoim linodendronie tulpiferze powiedzieć, ale wspomniawszy sobie świéce i kupca, z którym nieco trudną będzie miał rozmowę, urwał nagle i wyszedł.

Gdy Jerzy sam został, rzucił się na sofę i oczy ręką zasłonił. Tak siedział długo nieruchomy, a nawet nie było widać, że oddycha. Przed jego duszą przesuwały się różne znajome obrazy. Tam gdzieś daleko za Wisłą widział swój dom rodzinny. Dostatek i zamożność otaczały go zewsząd. Nad tym domem zawi-

sła czarna chmura—zawyła burza — a z téj burzy wyszedł biédny młodzieniec i własną ręką włożył sobie na głowę wieniec cierniowy... Daléj widzi rzeszę, rzucającą mu laury pod nogi, a w jego ręku harfa siedmiostrunna... Ta droga prowadzi go do szpitala, widzi chorych i kaléki, słyszy jęki boleści... A śród tych skarg i jęków, z białego obłoku spuszcza się kwiat róży i cudną swą wonią odbiéra mu zmysły...

Jerzy obudził się, wstał i przystąpił do stolika.

Na stoliku stała ta sama blada róża, którą przed chwilą się pieścił. Tylko jeden listek odpadł i leżał na stole, niedaleko ryciny, wyobrażającéj kopią obrazu Herbsthofera.

Prawie wszystkie okna zamku były już oświécone, gdy Jerzy wszedł na dziedziniec. Po dziedzińcu wałęsało się kilkanaście liberyi, kilka karét i powozów stało przed starą, rozwaloną bramą.

Zamek miał dzisiaj jakąś smutną, posępną postać. Stojące na krużganku kaplicy figury zdawały się rozwijać swoje szaty kamienne i z otwartemi ramionami czekać na daleki, zwolna posuwający się obłok, na którym miały ztąd uleciéć!... Po za jasno oświécone okna wyszczérzały się gruzy dawnych baszt i murów, a ten gwar wewnątrz nowego pałacu wydawał się jak cichy szept nieboszczyków...

Tak dziwne uczucia miotały sercem Jerzego. Wszedł na schody, prowadzące na piérwsze piętro. Na kurytarzu zaleciał go głos wesołéj rozmowy, w którym odróżnić mógł dźwięczny, namiętny głos Janiny.

W tak zwanéj sali marmurowéj zgromadziło się całe towarzystwo. Kilka statecznych dam siedziało na kanapie, daléj przy fortepianie uformowało się kółko młodszych, najgłośniéj szczebiocących, a mężczyzni ugrupowali się po kątach, opowiadając sobie różne nowiny.

Janina wyglądała prześlicznie. Jéj piękna, zarumieniona twarz miała jakiś blask eteryczny. Zdawała się być wesołą i nadzwyczaj rozmowną, a jednak lekki, prawie nieznaczny fałdzik na czole był oznaką, że tam w duszy nie była taka pogoda, jak na twarzy. Terenia siedziała przy oknie i jak zwykle patrzyła bezmyślnie przed siebie. Wszystkich zaś oczy zwracała dzisiaj na siebie majorowa. Jéj piękną twarz umilał uśmiéch łagodny, a zarazem bolesny, w niebieskich oczach drżało pragnienie ekstazy i zachwytów, jakich jeszcze nie znała młoda jéj dusza.

Margrabia stał niedaleko drzwi w białéj chustce, w ciemno-tabaczkowym fraku, a układając w różne pozycye swoje popielate nogi, rozmawiał z jakimś wąsatym sąsiadem, który występując godnie, zwiesił był na atłasowéj kamizelce kilka funtów breloków, złożonych z najrozmaitszych narzędzi.

Margrabia chciał przyszłemu zięciowi ukazać swój dwór ze strony jak najświetniejszéj. Otoż i goście jego musieli dzisiaj poawansować do stopni różnych znakomitości.

Poczciwy ksiądz proboszcz z kroplistym potem na czole, którego na żaden sposób pozbyć się nie mógł na czas dłuższy, był zaprezentowany jako znakomity kaznodzieja; wąsacz z brelokami został właścicielem najpyszniejszéj stadniny w kraju; ów bawił się wzoro-

wém gospodarstwem, tamten był od trzech lat kandydatem na posła; a poczciwy major, który tęskniąc do swojéj krótkiéj fajeczki, tylko widokiem żony jako tako się podtrzymywał, został bohatérem à la Sułkowski i podczas wyprawy do Egiptu miał z Napoleonem ważne miéć rozmowy.

— Wszystko szlachetne, piękne i poczciwe — dodał w końcu margrabia, wodząc ręką po fizyognomiach kilku wąsatych hreczkosiejów, których tym ostatnim epitetem ryczałtem przedstawił — wszystko znajdziesz tutaj zgromadzone, mości hrabio.

Reprezentanci nieszczęsnéj poczciwości polskiéj ukłonili się z należytą uniżonością przybyłemu gościowi, gdy margrabia nagle rzekł do hrabiego:

— Otoż, mój hrabio, jeszcze jedna interesowna znajomość dla ciebie. Pan Jerzy—literat, poeta, lekarz i najprzyjemniejszy towarzysz. Gdy dłuższy czas u nas zabawisz, znajomość pana Jerzego będzie dla ciebie wielką rozrywką. Obadwa macie nieco ducha awanturniczego. Pan Jerzy awanturuje się wiele na polu tak zwanéj idei, poezyi i tym podobnych sentymentów, tak samo jak ty hrabio, uganiałeś po stepach arabskich i biłeś się z Mamelukami. Na jedno to wychodzi, prócz téj różnicy, że pan Jerzy odbywa swoje egzercycye przy stoliku i tam składa stosy nieprzyjaciół, a tobie potrzeba stepu i rzeczywistych głów Mameluków.

Jerzy na to nic nie odpowiedział, tylko się ukłonił nowemu znajomemu. Jego myśli były gdzieindziéj...

Hrabia wyciągnął do niego rękę, ścisnął ją silnie bez wielkiéj etykiety, i rzekł:

— Bardzo się cieszę z poznania pana. Gdyby szanowny gospodarz nie był mi nic o panu powiedział, już samo imię byłoby dla mnie dostatecznem. Przy wszystkich moich awanturach, które na mój kark włożył gospodarz, bawię się czasami i książką, i lubię się rozpatrywać w indeksie dzieł nowych.

Na tak dziwaczny komplement chciał właśnie Jerzy coś odpowiedzieć, gdy nagle zaszeleściały suknie i szybko zbliżyła się do nich Janina, ciągnąc za sobą Terenię. Janina trzymała w ręku rulon nót.

— Panie doktorze—rzekła z miłym uśmiéchem—dzisiaj musisz pan zwykły swój obowiązek wypełnić. Pan doktor—dodała, zwrócona do hrabiego—umié wybornie nóty przewracać. Na mnie padł wyrok nieszczęsny, abym zagrała, co właśnie posłuży panom do tém głośniejszéj rozmowy.

Mówiąc to, podała Jerzemu rulon, i tak jakoś się stało, że jéj piękna rączka dotknęła się jego ręki i na żaden sposób od papiéru oderwać się nie mogła. Do tego jeszcze na nieszczęście rozwinął się rulon i potrzeba go było znowu z różnych stron chwytać, aby nie spadł na ziemię. Przytém znowu kilka razy ich ręce się spotkały i tak jakoś dziwnie sympatyzowały, że biédny rulon straciwszy równowagę, musiał upaść na ziemię. Hrabia Leon przyszedł im w pomoc, za co otrzymał zgrabny, sylfidowy ukłon.

Jakkolwiek biédny Jerzy o tym swoim zwykłym obowiązku, jaki na niego w obec hrabiego włożyła Janina, wcale nie wiedział, udał się jednak do fortepianu, a rozkrzyżowawszy jak mógł najlepiéj Szopena na kratce mahoniowéj, stanął za krzesłem, na którém usiadła *Janina.*

Zrazu było cicho, ale tylko przez kilka taktów. Przepowiednia Janiny spełniła się co do joty. Od lewego kąta, gdzie stali reprezentanci poczciwości polskiéj, dał się słyszéć głuchy szmer, który powoli rozwinął się w dość porządną i zrozumiałą konwersacyjkę. Kilka dam na kanapie poszło za tym chwalebnym przykładem, a chociaż zrazu udzielano sobie nieco uwag o muzyce, Szopenie i o grającéj, wkrótce te artystyczne uwagi przeszły na pole strojów i niektórych sekretów domów znakomitszych. Gdy Jerzy pochylił się ku grającéj, aby piérwszą kartkę odwrócić, było już w salonie tak gwarno i huczno, że panna Janina mogła z całą przyzwoitością szepnąć mu do ucha: *O dziesiątéj...*

Na drugie słowo potrzeba było czekać aż do końca drugiéj stronnicy. Ach! jakże nudny, nieznośny jest czasem ten Szopen w swojéj koloraturze! Dla kilku pereł melodyi, dla dwóch taktów miłéj narodowéj piosenki, trzeba przechodzić przez chaos najrozmaitszych waryacyj! Jakże on wiele na tém traci! Jakże nudny i nieznośny jest ten nasz genialny Szopen, mianowicie wtedy, gdy się czeka na spojrzenie, na słówko upragnione!...

Wreszcie skończyła się druga stronnica. Reprezentanci polskiéj poczciwości wyprawili właśnie jakieś polowanie, damy spiérały się o szérokość sukni „à la Eugenie.“ Jerzy przechylił się znowu, zamiast jednéj kartki obrócił dwie, a za to usłyszał teraz dwa słowa: *w zielonym pawilonie...* Ale zbytnia ciekawość została srodze ukarana. Przewrócenie dwóch kartek wprawiło Szopena w niemały ambaras. Poczęło mu się coś nie kleić, czegoś tu i owdzie mu brakowało, zaczął

powoli omdlewać, a zsunąwszy się z kratek mahoniowych, padł jak długi na ziemię...

Wszyscy zbiegli się na ratunek, nawet reprezentanci poczciwości polskiéj zatrzymali się na chwilę śród kniei, ale panna Janina już wstała, tymczasem przyjmując ze wszech stron jak najprawdziwsze wykrzyki szału i pochwał.

Utrzymywano, że Szopen nie miał lepszego egzekutora, nigdy nie był wymowniejszy i zrozumialszy, nigdy nie wyszła w takiéj pełni cała harmonia tego utworu, jak się to stało pod piękną rączką niezrównanéj artystki.

Hrabia Leon stał na uboczu i nic nie mówił.

— Czy pan żadnych komplementów nie masz dla mnie za moję grę?—zapytała go Janina.

— Mam wiele pani do zarzucenia — odpowiedział krótko hrabia.

— Do zarzucenia?

— Szopen musiał się w grobie obrócić.

— Wszak pan patrzyłeś przez cały czas w inną stronę?

— A przecież widziałem, że przy pani można się stać niezgrabnym.

— Obawiam się pana.

— Jestem wcale nieszkodliwy.

Janina odbiegła z lekką chmurką na czole, a hrabia wziął Jerzego pod ramię i poszedł z nim do reprezentantów poczciwości, którzy właśnie [illegible] czyli byli polowanie na borsuki. Po krótkiéj [illegible] oderwali się znowu obaj i stanęli [illegible] żna było całe towarzystwo obser[illegible]

— Bardzo przyjemny i gładki człowiek,—mówiła między sobą reprezentacya poczciwości.

— Ma być niezmiernie bogaty!

— Mówią, że trochę postrzelony.

— Cały rok koczował z Arabami pod gołém niebem.

— Był u Żuawów.

— Własną ręką zabił dziesięciu Kabylów.

— Margrabia mówił, że Mameluków.

— Stara się o pannę Janinę.

— Ładna będzie para.

— Czas ostateczny, bo Warner et Compagnie zabiéra Dąbczyn.

— I o Czarnowodach coś źle słychać.

— Mirski także szuka kupca.

— Znów kupi jaki obcy.

— U mnie ozimina wygniła.

— U mnie grad wybił.

— Pójdziemy z torbami.

I tak daléj rozmawiała między sobą reprezentacya poczciwości polskiéj, a przeszedłszy na tak bolesny temat, który wszystkich blizko obchodził, głuchła zwolna rozmowa, aż wreszcie nastała cisza smutna, grobowa. Szczęściem, że w téj chwili otworzyły się drzwi pobocznego salonu, a galonowany lokaj zaprosił zgromadzenie do smacznéj już zastawionéj wieczerzy. Na widok kilkunastu ciemnego koloru butelek, które coś strasznie na reńskie wyglądały, poprawiła się jakoś ozimina reprezentacyi poczciwości polskiéj; a nawet ów straszny Warner et Comp. nie brał się tak

skwapliwie do Dąbczyna, jak to sobie przed chwilą wyobrażano.

Na wieży zamkowéj wybiła godzina dziesiąta. Dziwna to była rzecz i niesłychana, że arcydzieło starego Wojny było dzisiaj jako tako w zgodzie z młodszém pokoleniem.

Przy stołach w salonie było już trochę pusto, tylko tu i owdzie siedział jeszcze gość spóźniony i dopijał kieliszka. Większa część towarzystwa przeniosła się do małego gabineciku na cygara. Wszyscy byli już w jak najlepszym humorze, a ktoby widział te twarze ożywione, usta uśmiéchające się, oczy roziskrzone, ktoby słyszał tę wesołą, dowcipną pogadankę, nie uwierzyłby, że jednemu przed godziną ozimina wygniła, drugiemu grad potłukł zboże, a trzeci z torbami już iść zamierzał.

Był to właśnie czas sposobny dla Jerzego. Chociaż hrabia Leon jakoś fatalnie go polubił i zawsze jego towarzystwa szukał, zdarzyło się jednak, że wąsacz z brelokami, uwierzywszy sam w pyszną swoję stadninę, począł wszystkie jéj bachmaty i sułtany kolejno na scenę wyprowadzać. Hrabia Leon, jako wielki miłośnik koni, począł go słuchać. W téj chwili wymknął się Jerzy wcale niepostrzeżony.

Zielony pawilon, który w gorącéj jego wyobraźni stał się już zaczarowanym kryształowym pałacem, był to letni domek, architektury włoskiéj, położony u wejścia do ogrodu, a z głównem skrzydłem pałacu połączony zgrabną, szklaną galeryą. W lecie zastawiano

tam zazwyczaj podwieczorek, albo herbatę, jeśli się ta ograniczała na koło familijne.

Jerzy wszedł do ogrodu.

Niebo było pogodne. Biała tarcza księżyca posuwała się zwolna po ciemném, szafirowém sklepieniu. Gwiazdy iskrzyły się jak perły, rzucone ręką wszechmocną w siny przestwór, a kilka drobnych białych chmurek igrało koło księżyca, jak trzodka baranków. Za niémi srébrzyła się chłodna rosa, liście drzew zaszeleściały głucho śród ciszy nocnéj.

A tam zpoza białego obłoku wyjrzała duża, biała gwiazda; po jéj srébrnym promieniu spuściły się dobre duchy i patrzały ciekawie przez szyby pawilonu. I cieszą się dobre duchy, i szepczą do siebie wieść radosną, że dwa serca, dwie dusze połączą się bratnim uściskiem... Ach, nie! To duchy-psotniki, co zlazły z liści staréj gruszy, śmieją się i chichoczą... Cicho! nie płoszcie tych dobrych duchów, które przyszły z nieba, aby szczęście ludzkie oglądać na ziemi!...

Jerzy wszedł do pawilonu.

Tam głucho i pusto. Przez duże, szklane okna zagląda księżyc, a tam ponad ciemny szczyt lipowéj alei podnoszą się olbrzymie, kamienne postacie na krużganku kaplicy... Tam stérczy rozwalona baszta... a tam w dali... tam... jakaś postać... to cień z okna pałacu...

Z drugiéj strony pawilonu ciemna, lipowa alea. Olbrzymie cienie drzew i konarów walą się na ziemi, słychać lekki szelest liści, które rosa porusza; tam mała ptaszyna zatrzepocze skrzydłami... a tam... tam w głębi... mały ognik... to robaczek świécący...

Ktoś lekko we drzwi zapukał... słychać szelest jedwabnéj sukni... tam przy ścianie... tam daléj... ach, to wierci robak!...

Jerzy wytężył wzrok, przycisnął ręką bijące serce, aby najmniejszy szelest pochwycić — oddech jego skonał na ustach rozpalonych—całe życie jego zbiło się w jednę myśl, w jedno pragnienie... Wtém u góry otwarły się małe drzwiczki, a na schodkach ukazała się Janina.

Jerzy otworzył ramiona—serce jego biło głośno.

Janina zwolniła kroku i rzekła spokojnym głosem:

— Zapewne to pana zadziwia, że na coś podobnego się odważam. Ale nagły interes zmusza mnie do tego.

— Interes?—wyjąknął młody marzyciel.

— Tak jest, mam bardzo ważny interes do pana, czyli raczéj prośbę.

Jerzy opuścił ręce, w piersi zabrakło mu tchu. Janina zeszła ze schodów i zbliżyła się do okna.

— Okazuję panu tém moje zaufanie, jakie w nim pokładam—mówiła daléj.

Jerzy skłonił się, słowa zamarły mu na ustach.

— Jutro rano—bardzo rano — udasz się pan do Mogił...

— Do młodego Warnera?...

— Jeśli go tam nie będzie, pójdziesz pan do ojca.

— Do ojca?

— I tam odszukasz także pana *Von der Mark!*

— *Von der Mark?*

— I dołożysz pan wszelkich starań, aby pojedynek między nimi nie przyszedł do skutku.

— Pani!—zawołał Jerzy, a w tém jedném słowie ozwały się wszystkie struny duszy.

— Ach, jakżeś pan dziwny!—rzekła z uśmiéchem Janina—czy to pana martwi?

— *Warner i Von der Mark!...*

— Pojedynkują się, a jam powodem tego pojedynku—dokończyła Janina z wielkim spokojem.

Jerzy cofnął się o kilka kroków i oparł o żelazną balustradę. Janina wytrzymała chwil kilka biédnego marzyciela w tym stanie. Poczém zaczęła:

— Nie myśl pan, żebym sama stała się do tego powodem. Dopiéro dzisiaj dowiedziałam się o tém. Pan *Von der Mark* miał coś niegrzecznie o mnie mówić — pomyśl pan sobie naprzykład, iż mówił, żem brzydka — wtrąciła z zachwycającym uśmiéchem — i z młodym Warnerem o to się przemówili. Ot i cała straszna rzecz, która pana zmysłów pozbawiła. Idzie mi o to, aby do pojedynku nie przyszło, bo potém stanie się głośną ta ich sprzéczka i wszyscy się dowiedzą, żem brzydka, a może nawet uwierzą temu razem z panem. A zresztą choćbyś pan, a może kilku innych, temu nie uwierzyło, to sam pan przyznasz, że dla mnie podobny pojedynek, jak i dla każdéj innéj, nie jest wcale korzystny.

Janina mówiła spokojnie i z rozsądkiem. Skończywszy, zwróciła się do schodków, a wyciągając do niego białą, prześliczną rączkę, rzekła głosem, który gdzieś wprost z serca wychodził:

— I cóż? uczynisz to pan dla mnie?

Jerzy uczuł na swojéj ręce miękką, aksamitną rączkę, a ta rączka zadrżała... Dreszcz ekstazy przebiegł po jego piersi—ścisnął tę rączkę, przyciągnął do

siebie, a drugą objął ramiona dziewicy i silnie do serca przycisnął. Janina nie opiérała się wcale, tylko głowę w tył przechyliła i pełném okiem wpatrywała się w twarz Jerzego. Ale jéj serce biło mocniéj, a biło przy drugiém sercu... Któż wié, czém się serca porozumiéwają? Ach, to nie to serce, które widzimy martwe—ono inne, zupełnie inne, gdy się w niém odgrywa tajemnica życia! Tego serca nikt nie widział! Wy nie znacie serca, gdy mówi!...

Wtém jakaś biała postać przesunęła się poprzed oknami pawilonu. Janina zadrżała, wywinęła się z objęć Jerzego i znikła w ciemnéj galeryi.

Jerzy wybiegł do lipowéj alei i pospieszył za białém zjawiskiem.

W alei przechadzała się Terenia. Szła niepewnym krokiem, jak lunatyczka.

— Ach, ja go tak kocham! — mówiła do siebie biédna idyotka, wyciągając do błędnych nocnych mar omdlałe ramiona.

Jerzy spojrzał smutno na biédną siérotę.

— Jakże nieszczęśliwą jest ta idyotka! — pomyślał sobie szczęśliwy kochanek.

Wracając do zamku, potrącił o jakąś zgarbioną figurę przy oknie pawilonu.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

NA KRESACH.

NA KRESACH.

WYBÓR PISM

JANA ZACHARYASIEWICZA.

NA KRESACH.

TOM II.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

NA KRESACH.

POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH TOMACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARYASIEWICZ.

TOM DRUGI.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, дня 30 Апрѣля 1887 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. 66

I.

Już było dobrze po północy, gdy Jerzy do swego mieszkania powrócił; nie rozbiérając się wcale, usiadł na sofie, aby śród ciszy, któréj tak pragnął, uporządkować swoje myśli i uczucia, oraz przed samym sobą zdać sprawę z wrażeń, których był doznał dzisiejszego wieczora. Lecz jakże trudne takie sprawozdanie, gdy serce w piersi się miota, gdy ręka drży, którą skroń chcemy ochłodzić, a przed oczyma staje nam postać w bieli eterycznéj i zasłania nam drogę naszego życia!...

Ludzie, którzy w chwili zapału i natchnienia ślubowali poświęcić się jakiéjś wyższéj, szlachetniejszéj myśli, podobni są do napowietrznych żeglarzy, szukających w obłocznéj wysokości owéj bozkiéj iskry, która ich ma zapalić i jasnym meteorem rzucić na ziemię. Ale podróż ta jest smutna i długa. W przestworzach mgły i chmur zimno i nudno. Oderwani od życia rzeczywistego, które mimo swych trudów i znużeń, ma jednak oazy do wypoczynku, ma chłodniki dla spragnionych pielgrzymów, brodzą po bezkreśnym oceanie wymarzonego swego świata, którego cudowne obrazy roz-

pływają się za ich zbliżeniem, jak złudne fata morgana. Po każdém takiém rozczarowaniu opadają na siłach, w sercach budzi się żal potém, czego w chwili natchnienia byli się wyrzekli, a wzgardzone rozkosze życia przybiérają w ich oczach tém świetniejsze kolory. Żal ten zrazu smutny i rzewny, jak łza siéroty po stracie matki, przechodzi w gorące pragnienie, a w końcu staje się silną namiętnością.

Na tych kresach uczuć ludzkich stanął dzisiaj nasz bohatér. Idąc do dnia wczorajszego drogą poświęceń, uczuł piérwszy cierń rozczarowania, gdy lud biédny nie przyjął jego szczérych chęci, i właśnie w chwili, gdy chciał dla niego pracować i poświęcić się, odwrócił się od swego nauczyciela i dobroczyńcy; wierząc niezłomnie w swoje fatalne, nieubłagane przeznaczenie, w swoję tragedyą na ziemi, biédny marzyciel ujrzał się zawiedzionym w swojéj gorącéj miłości, a myśl gorzka i ciérpka przebiegła mu przez serce: czy życie jego nie poszło krzywo, czy wszystkie jego pragnienia, do których szedł tyle lat pracą i poświęceniem się, nie były fałszywe i wymarzone?...

W téj chwili zwątpienia i bolesnego pasowania się z sobą stanęła mu przed oczyma dziewica, a jéj białe dłonie pchnęły samotną łódkę błądzącego marzyciela do cichéj, zielonéj przystani. Orzéźwiająca woń drzew i kwiatów napełniła chorą pierś jego, spoczął pod cienistym liściem cyprysu, a słodkie, rozkoszne sny zstąpiły do jego duszy spragnionéj...

Lecz dosyć tych poetycznych barw życia, które dzisiaj z każdym dniem idą w poniewierkę. Dzisiaj nie radzi patrzymy okiem wyjątkowém, nie radzi przypatrujemy się anatomii serca i duszy, i chcemy rzeczy

widzieć tak, jak je wszyscy widzą. Nieszczęsny ten sposób zapatrywania się na świat powstał niezawodnie ze zwyczajów parlamentarnych, gdzie każda myśl wtedy dopiéro jest dobrą i potrzebną, jeżeli większość głosów ma za sobą. Dawniéj jakoś inaczéj przychodziła prawda na świat. Wypowiedział ją jakiś biédny, nieznany apostoł i miał cały świat przeciw sobie. Patrycyusze, gmin, wszyscy zakrzyczeli go, zabili, a przecież prawda została prawdą. Ale to były wieki ciemnoty i barbarzyństwa... Dziś nasze życie ujęte w karby przyzwoitości i trzeźwego wyrachowania, a wyjść po za nie, choćby w chęciach najszlachetniejszych, choćby w marzeniach tylko, jest śmiészném, nienaturalném... Dziś trzeba miéć koniecznie większość za sobą, trzeba iść razem z ludźmi, którzy nie lubią przewodników.

A że ludzie najzwyczajniejsi mogą siedzieć na sofie i według swego widzimisię układać myśli i uczucia, które ich nachodzą po takiéj katastrofie, jaką właśnie odbył nasz bohatér w zielonym pawilonie, toż i Jerzy siedział na sofie i w myśli odczytywał dość zawiłe hieroglify, które na jego piersi wypisało mu serce Janiny w przyspieszonym takcie. Poraz setny liczył te uderzenia serca, które był zasłyszał, i składał je w sens upragniony, jak niegdyś więzień Bastylii składał pojedyńcze znaki niewidzialnego sąsiada w upragnione słowa swojéj wolności! A jeśli przypadkiem jaki inny sens z tych hieroglifów złożył się, serce jego burzyło się i protestowało przeciw temu, opiérając się na znanéj formułce, że serce tylko sercem zrozumieć można.

I jak każdy najzwyczajniejszy człowiek byłby w takiéj chwili uwierzył swemu sercu i chętnie przyjemnemu poddał się marzeniu, tak téż i nasz biédny ma-

rzyciel uwierzył zapamiętale w swoję miłość, a co większa, uwierzył, że ta jego miłość nie jest bez wzajemności. A uwierzył tém snadniéj w téj chwili, gdy jego rozczarowane serce pragnęło miłości, gdy bez téj miłości stałby się zwiędłą, wątłą rośliną, któréj nagle podporę odjęto. Przypominając sobie boleść wczorajszą, zdawało mu się, że Bóg zesłał anioła na ciemną ścieżkę jego żywota, który ją rozjaśni i daléj na niéj poprowadzi...

Tak myślał sobie biédny marzyciel, przysłuchując się sercu, które po owéj katastrofie w pawilonie dotąd jeszcze uspokoić się nie mogło, gdy nagle myśl chłodniejsza owionęła mu skronie. Janina dała mu zlecenie, aby przeszkodził pojedynkowi między młodym Warnerem a panem Von der Mark, który za Dąbczynem posiadał obszerne majętności. Janina jest powodem tego pojedynku. W jakimże stosunku może być Janina do tych dwóch ludzi, którzy w tak stanowczéj chwili weszli nagle w dramat jego życia?... Jerzy już kochał Janinę, a z piérwszym promieniem tego ogrzéwającego uczucia wcisnął się chłodny cień zazdrości... Hrabia Leon przyjeżdża starać się o rękę téj, którą on właśnie dzisiaj całą duszą ukochał!...

Sytuacya, w jakiéj się nagle Jerzy obaczył, jest zwyczajnym losem wszystkich ludzi niepraktycznych i marzycieli. Nie mając względu na rzeczywiste stosunki świata, toną w uczuciu, które ich duszę ogarnęło, a gdy po długiéj walce i miotaniu się wreszcie zdecydują się do przyjęcia go za godło życia, obaczą nagle groźnych, a może już szczęśliwszych współzawodników, których piérwéj bynajmniéj nie widzieli!

Ten los spotkał biédnego Jerzego. Od dawna czuł, że piękna, namiętna Janina, jak ognista kometa wchodzi w koło jego życia, a gdy ją już za swoje słońce przyjął, obaczył nagle, że to słońce i innym przyświéca, i że ci bliżsi są jego promieniom ożywczym!... Może Janina posługuje się nim, aby od osób droższych jéj sercu odwrócić grożące niebezpieczeństwo?...

Myśl ta ukłuła go bolésnie, jak żądło gadziny. Wstał szybko i począł przechadzać się po pokoju. Na twarz jego, na któréj przed chwilą malowało się jakieś błogie szczęście, wystąpił znowu nieodstępny mu uśmiéch ironiczny i rozpoczął żwawą walkę z podszeptami serca, które na żaden sposób zapomnieć nie mogło owych tajemniczych znaków, wypukanych do niego przez drugie serce w zielonym pawilonie. Do téj bolesnéj, a jednak bezskutecznéj walki serca z ironią wmieszał się chłodniejszy nieco rozjemca. Był to rozsądek, który stronom walczącym nakazał milczenie, a sam zasiadł do pokojowéj konferencyi.

Należało naprzód zbadać osoby, o które ten nieszczęsny spór był się rozpoczął. Pan Von der Mark był to szlachcic niemiecki, tak zwany „junker," który na saméj granicy ziemi polskiéj miał wielkie majętności, jeszcze większe stada koni i największe psy w całéj okolicy. Przy téj swojéj niezaprzeczonéj wielkości miał długie nogi, długą szyję, a jeszcze dłuższy język, którego w każdym razie nie szczędził, gdy szło o potwarz polskiego imienia, polskiego gospodarstwa i polskich kobiét, które w najpospolitszéj rozmowie mają odwagę wyjść po za sferę knedli z kapustą i sznycli wiedeńskich. Wyraz „Polska" był u niego jedném i tém

samém co Galimatias, Babilonia, słowem jakiś bigos hultajski, jakiś chwast, okrywający mapę Wielanda od Baltyku aż gdzieś po Czarne morze, który ekstyrpatorem kultury germańskiéj z gruntu wyplenić potrzeba. A co najwięcéj téj nieszczęśliwéj Polsce miał do zarzucenia, to była ta barbarzyńska ciemnota, że wierzy w dzwony, ornaty i kadzidła, że wierzy w ludzi namaszczonych od Boga, i im z grzechów swoich się spowiada, słowem, że niezrozumiałym dla niego sposobem wyznaje wiarę katolicką. Z tego powodu czuł wściekłą odrazę do katolickich swoich sąsiadów, a wywodząc ród swój od jakiegoś komtura z czasów krzyżackich, poczuwał się do misyi walczenia przeciw poganom w interesie oczyszczonéj, racyonalnéj swojéj religii. Ale na jego nieszczęście założył Cobden towarzystwo wiecznego pokoju, a chciwy krwi pogańskiéj Pomorzanin ograniczył się na walce językownéj, którą w klubach, szynkach i piwnicach przy szklance wina lub piwa prowadził, jak przystało na potomka krzyżackiego.

Rzecz jasna, że ta misya granicznego junkra miała swoje niedogodności. Potrzeba było nieraz oberwać guza, usłyszéć kulę przelatującą o ćwierć cala od ucha; ale na pochwałę tego bohatéra kresowego musimy wyznać, że się nie lękał ani guza, ani kuli, i zawsze śmiało dotrzymywał placu. Ta jednak jego awanturniczość czyniła go zbyt niemiłym sąsiadem, a szlachcic polski stronił od niego, jak od powietrza. Wprawdzie razu jednego, gdy właśnie świéżą zaciągnął pożyczkę, wyrozumował sobie margrabia na Dąbczynie, że arystokracya właściwie nie należy do żadnego narodu i tylko między sobą na całym bożym świecie tworzy *jeden pułk* elity ludzkiéj, a wszedłszy tym sposo-

bem w Berlinie do domów najróżnorodniejszych nacyj i kondycyj, zaprosił był także i granicznego junkra do zamku, który poczciwy Jarost niegdyś *„ad tuendum populum“* był wystawił; ale potomek komtura, dzisiaj lejtnant w pułku huzarów, przyszedł do sali marmurowéj w ogromnych butach z ostrogami, w towarzystwie wyżła, i przyniósł z sobą całą atmosferę stajni. W konwersacyi salonowéj był także *piramidalnie* dowcipnym; wszystko to, co polskie, było u niego tak *piramidalnie* niedorzecznem i głupiém, że damy wyszły z salonu, a nieszczęśliwy margrabia, obróciwszy tysiąc razy palec koło palca, dał mu tą manipulacyą widocznie do poznania, że się serdecznie nudzi i czémprędzéj gościa za próg wyprasza. Junkier wziął szpicrutę i wyżła, a zadowolony z roli, jaką w zamku polskiego grafa odegrał, wyjechał rozwaloną bramą z Dąbczyna. W klubie końskim opowiadał potém dziwy o „polskim zamku“ i jego mieszkańcach, a jako potomek krzyżowego rycerza chełpił się, że ucztował na ziemi nieprzyjacielskiéj. Po tém wszystkiém nastąpiła wielka nieprzyjaźń między dwoma granicznymi panami, a skutki ztąd były takie, że co kilka miesięcy ubito sobie wzajemnie parę wyżłów, które się po za kopce graniczne zapędziły.

W takim stanie rzeczy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pan Von der Mark nie mógł wcale Jerzemu stać w drodze. A najprawdopodobniéj było, że jakąś obelgę rzucił na dom Dąbczyńskich i z młodym Warnerem o to się przemówił.

Sprawiwszy się tym sposobem z jednym swoim współzawodnikiem, który się mu ani groźnym, ani szkodliwym nie wydawał, przystąpił Jerzy do zdmuchnięcia

drugiego widziadła, które mu upornie stało przed oczyma.

Był niém młody Warner, syn bogatego kapitalisty i bankiera z pogranicznéj prowincyi niemieckiéj, będącego z polską szlachtą w licznych stosunkach. Ten współzawodnik był już nieco zagadkowéj natury, bo jak ze wszystkiego widać, stanął w obronie Janiny, a przynajmniéj domu Dąbczyńskich. Trudniejsza była z nim sprawa.

Ale po chwili namysłu zagadka wyjaśniła się w sposób nader uspakajający. Otton Warner był to człowiek młody, mający lat dwadzieścia kilka; nosił bródkę *à l'Henri Quatre* i złotą lornetkę na czarnym jedwabnym sznurku. Ojciec kupił mu Mogiły od Górnickiego, aby się zaprawił do gospodarstwa i ze szlachtą w bliższe wszedł stosunki, czego wymagały interesa starego bankiera, najcierpliwszego wierzyciela margrabiego. Ale damy nie poczuwały się wcale do téj co margrabia grzeczności, a młody Warner spędzał najczęściéj cały czas swojéj wizyty na pogadance z margrabią w jego własnym, cygarowym gabineciku. Tym sposobem mógł młody Otton poczuć się do obowiązku bronienia domu, do którego w istocie miał przystęp; a to mogło się stać tém łatwiéj, że z panem Von der Mark był w nienajlepszém porozumieniu, gdyż ten ostatni nieustannie chełpił się swojém szlachectwem komturowém, nazywając wszystkich dorobkowiczów kramarzami.

Więc i osoba Warnera nie wydała się tak groźną. Został jednak najtwardszy orzech do zgryzienia, a tym był nie kto inny, tylko hrabia Leon, ów śmiały towarzysz Żuawów, który własną ręką dziesięciu zabił Ka-

bylów, przeszedł wszystkie pustynie świata i wszystkim na świecie kobiétom się podobał. Do tego był młody, przystojny i bogaty.

Tutaj zadrżało Jerzemu serce wobec wielkiego niebezpieczeństwa, a gdy z podwojoną uwagą począł to niebezpieczeństwo rozbiérać, z po za ciemnéj zamkowéj wieży wystrzelił piérwszy promień wschodzącego słońca. Biédny marzyciel ocknął się jakby ze snu, potarł ręką czoło i przekonał się, że całą noc jakoś dziwnie przedumał. Prędko zrzucił z siebie ubiór, w którym był w zamku na wieczorze i zawołał na służącego, aby mu podał wody do umycia się.

Ale im więcéj rozpalone skronie zimną wodą naciérał, tém groźniéj stawał mu przed oczy szczęśliwszy współzawodnik, z owym zimnym, dyplomatycznym uśmiéchem, który na jego pięknych ustach zawisł jako trofea nie jednego zwycięztwa. Na szyi miał dziesięć głów pobitych Kabylów, a przy złotym łańcuszku od zégarka wisiał pęk bryloków, składający się z samych serc kobiécych, między któremi — Jerzy tém mocniéj naciérał skronie zimną wodą — między któremi, o dziwo! widział także piękne, pełne, okrąglutkie serduszko panny Janiny!...

Jerzy zanurzał całą głowę w miednicę, aby się tego widma pozbyć, a przeciérając oczy, dziękował Bogu, że nieznośne łby Kabylów i nieznośniejsze jeszcze bryloki gdzieś w wodzie spłukał.

Wtém nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł hrabia Leon.

Przeprosiwszy najprzód gospodarza za tak ranną wizytę i uwolniwszy z góry od wszelkich form grzeczności, prosił go hrabia, aby daléj swoję tualetę tak kończył, jakby nikogo z obcych przy nim nie było. Sam rzucił się na fotel, stojący przy biurku, a otworzywszy małą kasetkę, wyjął z niéj cygaro i z tak dobrą miną puszczał dym między książki gospodarza, jakby najdawniejszym był jego znajomym.

Jerzy patrzył z pod oka na tego szczególnego człowieka, a zawiązując chustkę, przypatrywał się w zwierciedle wszystkim jego ruchom. Dziwiło go to nie mało, że na jego szyi nie było łbów Kabylów, nie miał nawet złotego łańcuszka, ani bryloków, tylko kawałek czarnéj wstążki, wychylający się z kieszeni od kamizelki, okazywał, że tam gdzieś w głębi schowany jest zégarek. A ten zimny uśmiéch dyplomatyczny, który niedawno tak go przeraził, był to jakiś szczéry, serdeczny uśmiéch, który z pod rzadkich, rozrzuconych wąsów dobywał się śmiało i otwarcie. Wszystko to nie mogło jednak uspokoić go, a serce jego drżało ustawicznie jak strwożona gołębica, która przeczuwa zbliżającego się jastrzębia.

Ale mniemany jastrząb z takim komfortem rozparł się w fotelu, tak szczérze i otwarcie, chociaż trochę pod wąsem uśmiéchał się do zatrwożonego kochanka, z tak dziwną wprawą puszczał kółka sinego dymku, które jak nieszkodliwy arkan wpadały w rozszérzonych kręgach na głowę gospodarza, iż Jerzy powoli zaczął się ośmielać i coraz swobodniéj poglądał na nieprzyjaciela, który widocznie nie miał żadnych złych zamiarów.

Hrabia był ubrany po podróżnemu. Miał na sobie jakąś szarą, myśliwską kurtkę z zielonemi wyłogami, czarny szal na białéj, wpół odsłonionéj szyi i małą angielską czapeczkę. Na ręku trzymał wielką, szkocką chustkę, którą był wziął od chłodnéj mgły porannéj.

Jerzy wziął także na siebie szare, podróżne palto, a ukończywszy jak mógł najprędzéj tualetę, wyszedł do służącego, dając mu zlecenie, aby mu natychmiast konie gdzie zamówiono. Wróciwszy do gościa, przysunął sobie krzesło do biurka i zapalił cygaro.

Hrabia Leon nie myślał wcale usprawiedliwiać czémś wyjątkowém swojéj tak rannéj wizyty, czego właśnie oczekiwał od niego ciekawy gospodarz. Obejrzawszy się z uwagą po całém mieszkaniu, rzekł do niego:

— Ubiérając się, zostawiłeś mi pan czas do namysłu, który właściwie najszkodliwszą jest rzeczą w towarzystwie ludzkiém!

— Jakto?—zapytał Jerzy.

— Oto zamiast zająć mnie jaką żywą konwersacyą, dałeś mi pan sposobność badać pański charakter i usposobienie z tego, co pana tutaj otacza.

— Byłbym ciekaw...

— Ach, pańska ciekawość miałaby może złe skutki, czegobym wcale sobie nie życzył.

— Nie pojmuję...

— Oto, mówiąc krótko, pragnąłbym pańskiéj — jeżeli nie można od razu, przyjaźni — to przynajmniéj bliższéj znajomości.

Jerzy wpatrzył się w mówiącego, który o wschodzie słońca przychodzi po przyjaźń. A skłoniwszy się

nizko, z uśmiéchem, z którego mimo najlepszych chęci nie mógł zetrzéć ironii, odparł:

— Wielce mi to pochlebia, panie hrabio...

— Znajomość bliższa zaczyna się naprzód od opuszczenia wszelkich tytułów—przerwał hrabia.

Jerzy skłonił się powtórnie.

— A więc teraz możesz pan śmiało mówić o moim charakterze i usposobieniu — rzekł Jerzy, zapłoniwszy się mimowoli.

— Ale wypowiedziana prawda nie przyczynia się właśnie do zawiązania stosunków przyjacielskich — podjął hrabia.—Wiém o tém z doświadczenia, że przez prawdę traciłem zawsze przyjaciół.

Jerzy zamyślił się, widząc, że rozmowa hrabiego do czegoś ważnego zdąża. Dziwnym wydał mu się w téj chwili ten człowiek, jeszcze dziwniejszy niż przed chwilą, gdy miał na szyi dziesięć łbów Kabylów i dwa funty serc kobiécych w miniaturach brylokowych. A nawet jego szczéry i otwarty uśmiéch schłodniał jakoś po téj przemowie i był podobny do uśmiéchu Mazaryna, gdy z potentatami traktował.

— Zależy to wszystko od wypowiedzenia prawdy—rzekł po chwili Jerzy.

Hrabia Leon wydmuchnął kilka kłębów dymu, rozśmiał się *à la Mazarin* i rzekł:

— Może się panu dziwném wydaje moje natręctwo, ale ja właśnie chcę z niego korzystać dlatego, że mnie zbyt rzadko nachodzi. Rzadko kiedy zastanawiam się nad tém, aby pojedyńczych ludzi zbadać. Wiém tyle z doświadczenia, że wszyscy mniéj więcéj do siebie są podobni, i można nawet miéć na nich pewną algebraiczną formułkę, jak do reguły trzech. Nie

lubię się zastanawiać, bo lubię ruch i rozmaitość życia. Mimo to muszę panu wyznać, że w starym kasztelańskim zamku przyszły mi dzisiejszéj bezsennéj nocy dziwne myśli do głowy. Zdawało mi się, że po tém wszystkiém, cośmy wczoraj między sobą mówili, nastąpić musi bliższa nasza znajomość.

Jerzy skłonił się i rzekł z uśmiéchem:

— Czekam owoców pańskich rozmyślań.

— Patrząc pilnie na to, co pana tutaj otacza — mówił hrabia spokojnie, — patrząc na książki rzucone w nieładzie, i czytając ich tytuły, tak różniące się od siebie, patrząc na tych kilka obrazów, na ten zégar, na te ryciny na pół zwinięte, zdaje mi się, żeś pan nie znalazł jeszcze w życiu swojém owego punktu, do którego wszystko cięży i w koło którego wszystko zwolna się układa.

Jerzy wpatrzył się dziwnie w swego gościa, który tak szczególném badaniem rozpoczyna znajomość. Hrabia zaś odłożył z największą flegmą ogarek cygara na bok i mówił daléj:

— Dziwi pana moje spostrzeżenie, ale mimo to musisz pan przyznać, że jest prawdziwe. Co większa, opiérając się na mojéj formułce algebraicznéj, powiém panu, że jak teraz nie widać u pana punktu, do któregoby ciążyło całe życie, tak i na przyszłość nie znajdziesz go pan nigdy.

Zdawało się Jerzemu, że te słowa hrabiego były wymówione z wyrachowanym podstępem. Miały one mimowoli zmusić go do jakiegoś wyznania, w którémby oczywiście wymienić potrzeba było Janinę. Ale szczęśliwy kochanek spostrzegł się zawczasu, i z wielką dy-

plomacyą ukrył tajemnicę swego serca wesołym, niby szczérym uśmiéchem.

— Pan mnie wielce zasmucasz—odrzekł po chwili—odbiérając mi na zawsze ów niezbędny punkt ciężkości, który przecież w astronomii piérwsze trzyma miejsce.

— To wcale nie przeszkadza panu być kometą, któréj, jak mówią, do porządnego biegu jeszcze czegoś brakuje,— odpowiedział hrabia z wesołym uśmiéchem.

Jerzy zmarszczył brwi.

— Pańska obawa była słuszną co do skutków wypowiedzenia téj prawdy—rzekł po chwili.

— Chciałem tylko powiedzieć, żeś pan poeta.

— Jakże pan pojmujesz poezyą?

— Po swojemu. Będąc raz chłopcem jeszcze, na wyścigach konnych widziałem, jak niektórym dżokejom przywiązywano różne wagi. Pomyślałem sobie: Tych wszystkich ciągnie coś do ziemi, to są realiści, ludzie porządni; gdy spadną, nie odlecą od ziemi. A ci, którzy żadnych wag nie mają i lada chwila przez łeb konia spadną, to są poeci.

— Prawda, że oryginalny obraz poezyi — odparł Jerzy ze szczérym uśmiéchem.

— Ale przyznasz pan, że prosty i zrozumiały. Professor z Berlina inaczéjby to powiedział, lecz czy wszyscy go rozumieją?... Muszę jednak pana ostrzédz, że mój obraz tycze się tylko poezyi romantycznéj, bo klasycy byli to ludzie porządni, mieli jak każdy porządny dżokej swoje wagi. Oni wiedzieli jasno, czego im do poezyi potrzeba:—trzynastu zgłosek i rymu na końcu. Przy tak małych potrzebach mieli dobry i zdrowy żołądek, wyglądali czérstwo i rumiano, gdy dzisiejsza

poezya każe mieć twarz bladą, cienkie nogi, a w dodatku suchoty.

To powiedziawszy, hrabia Leon rozśmiał się szczérym, serdecznym uśmiéchem, w którym jednak zabrzmiał lekki dyssonans ironii. Jerzy wpatrzył się z uwagą w jego zimną, spokojną twarz, i rzekł:

— Szczególne dajesz pan definicye poezyi; widać, żeś się pan nad nią zastanawiał.

— Nie, panie, zastanawiać się nie lubię. Nie lubię poetów z piórem w ręku. Szukałem poezyi w życiu, szukałem po całym świecie, jeździłem po nię na ostatnie krańce świata.

— I nigdzie jéj pan nie znalazłeś?

— Nigdzie. Dzisiaj szukam jéj u pana.

Jerzy wpatrzył się znowu w swego gościa. Jego słowa widocznie zmiérzały do czegoś, co bardzo blizko było tak świéżéj tajemnicy jego serca. Nie rozumiałże on pod poezyą miłości jego do Janiny? Nie chciałże mu przez to powiedzieć, że ta miłość jest bez celu?

— Pańskie życie — mówił daléj hrabia Leon — wnosząc z tego, cośmy wczoraj między sobą mówili, zdaje się być najkompletniejszym zbiorem poezyi. Burza wypędza cię z domu rodzinnego, wychodzisz z pieśnią w duszy, kochasz... co? przywidzenie, lud, dla niego stajesz się cyrulikiem... i cóż daléj?... poezya rozpłynęła się jak mgła.

Jerzy westchnął i zamyślił się. Hrabia Leon poruszył strunę zbyt dotkliwą.

— W życiu naszém przebywamy wiele złudzeń— rzekł po chwili Jerzy; — ale zasługa nasza na tém zależy, że wytrwamy do końca.

— Ach, to mówmy o obowiązkach, ale nie o poezyi! o dotrzymaniu danego słowa etc. Według mnie, poezya i kobiéta jedną chodzą drogą.

— Poezya i kobiéta?—podchwycił Jerzy, widząc, że gość jego coraz więcéj do jakiegoś ukrytego celu dąży.

— Poezya i kobiéta są to dwa główne temata naszego życia. Każdy był kilka chwil w życiu poetą, każdy kochał. Oba te temata są niczém inném, tylko czémś niewyraźném, nieokreśloném. Ta niewyraźność zarysów, która dozwala naszéj wyobraźni śnić rzeczy najcudniejsze, wabi nas i zachwyca. Dopóki życia nie znamy, dopóki niewyraźnie z dala nam się ukazuje, póty jesteśmy poetami. Dopóki kobiéta jest od nas oddalona baryerą towarzyską lub społeczną, póty widzimy w niéj bóztwo, wzdychamy do niéj. Ale gdy się do niéj zbliżymy, a ona zbyt szczérze nam się wyspowiada, nasza miłość, którąśmy chcieli wziąć za grób, ulata jak dymek z cygara. A trudnoż, aby każdy z nas miał taki rozum jak Owidyusz, który prosi swojéj Korynny, aby mu nigdy nic o sobie nie mówiła, gdy jego przy niéj niéma!

— Ach, tak pan poniżasz kobiétę! — zawołał Jerzy.

Hrabia Leon wstał z fotelu, a uśmiéchając się jakby do własnych swoich myśli, przeszedł się kilka razy po pokoju. Uśmiéch jego nie wyrażał żadnéj boleści, jaką zazwyczaj czujemy przy lepszych wspomnieniach naszych: był to spokojny uśmiéch męża, który ogląda się na lata młodzieńcze, gdy igrał kolorowym balonem. Jerzy patrzył na niego z wyrazem nieufności.

Po chwili wrócił hrabia Leon znowu do swego fotelu, a usiadłszy wygodnie, z uśmiéchem sybaryty rzekł do Jerzego:

— Mówisz pan, że ja kobiétę poniżam. Bynajmniéj, bom jéj nigdy wysoko nie cenił.

— Przecież pan przyznasz, jak wysoko może się wznieść kobiéta uczuciem!

— Do pewnego punktu, ale nad ten punkt nigdy. Gdybyś pan był bogaty, inaczéj sądziłbyś o kobiétach.

Jerzy westchnął. Smutna, zimna myśl przebiegła mu przez serce.

— Mógłbym panu nie jedno zdarzenie z mego życia opowiedzieć. Ale pomijam to wszystko, co mnie w Europie spotkało. Powiész pan, że to zepsucie dzisiejszych wyobrażeń i obyczajów. Opowiem panu przygodę z puszcz afrykańskich, gdzie kobiéta nieskalana żadną wykrzywioną cywilizacyą, wychodzi z rąk natury.

Jerzy przysunął krzesełko, a hrabia Leon zapaliwszy świéże cygaro, tak mówił:

— Brodząc przez kilka dni w piaskach afrykańskich, przyszliśmy przed wieczorem do pięknéj, chłodnéj oazy. Zastaliśmy tam karawanę Arabów. Był między nimi śliczny staruszek o siwych włosach, obok którego siedziała młoda, przecudnéj urody Arabka. Nie mogłem od niéj oczu oderwać. Zdawało się po tych pieszczotach, jakiemi starca osypywała, że to była jego córka. Gdy mnie spostrzegła, utkwiła we mnie czarne oczy; a gdym się do niéj zbliżył i zapytał, czy poznaje we mnie jakiego znajomego?—rzekła do mnie:

— Podobałeś mi się, bo jesteś jak ten, o którym zawsze marzę.

— O kimże marzysz?—zapytałem.

— O kochanku—odpowiedziała, nie spuszczając ze mnie ognistych oczu.

Jerzy uśmiéchnął się, słysząc hrabiego improwizującego jakąś powieść z tysiąca i jednéj nocy.

— Nazajutrz ruszyliśmy daléj, a za mną czarne oczy Arabki. Gdziekolwiek spojrzałem, wszędzie były przedemną jak dwie nocne gwiazdy. Za kilka dni rzekłem do towarzyszów, że muszę wrócić do oazy. Uśmiéchnęli się, a jeden starszy Arab spojrzał na mnie i rzekł do drugiego: „On zginie.“ W oazie koczowała jeszcze karawana. Arabka ujrzawszy mnie, rzuciła mi się na szyję i rzekła głosem pieściwym: „Wiedziałam, że wrócisz, bo ja cię kocham.“ Dwa dni zabawiliśmy w téj oazie. Były to dwie chwile szczęścia mego. Przy końcu drugiego dnia zbliżył się do mnie stary Arab i rzekł: „Ukradłeś mi serce mego dziecka, idź precz, niech ona i ja nie widzimy ciebie.“ Ale córka rzuciła się na ziemię i poprzysięgła, że mnie nie opuści. Starzec zbladł i zachwiał się. Tymczasem gotowała się nasza karawana do podróży. Dżela uchwyciła się mego płaszcza, i zaléwając się łzami, szła przy mnie. „Zostań,“ wołał stary Arab, „twój ojciec cię woła.“ Dżela drżała cała, ale szła przy mnie daléj. „Chcesz mojéj śmierci, córko wyrodna?“ jęknął starzec, a széroki nóż błysnął w promieniach zachodzącego słońca. Dżela zalała się łzami, kurczowo schwyciła mnie za rękę, a biédny starzec utopił tymczasem nóż w swoich piersiach. „Widzisz, jak ja cię kocham!“ *rzekła do* mnie Dżela i padła zemdlona w moje objęcia.

— Spodziéwałem się innego zwrotu — przerwał Jerzy z uśmiéchem, który był oznaką, że improwizacyi hrabiego słucha z grzeczności — spodziéwałem się najmniéj, że ten széroki nóż przeznaczony był...

— Był to dzień świąteczny, a Koran zabrania w dniu takim przeléwać krew nieprzyjaciela — odparł hrabia, patrząc spokojnie na zégarek...—Kilka dni, kilka tygodni minęło błyskawicą — mówił daléj hrabia Leon—a ja zamyślałem na seryo zapuścić brodę, wziąć biały burnus i zostać najwierniejszym muzułmanem. Cywilizacya europejska nie dała mi żadnego szczęścia, mogłem się z nią rozstać bez bolu.

— Nie czułeś pan przywiązania do kraju?—przerwał szybko Jerzy.

— Ach, kraj jest to coś, jak idealna kochanka poety: można ją nosić z sobą po wszystkich krańcach świata.

— A przecież niektóre obowiązki...

— Urodziłem się na kresach. Dziad mój włożył na nas obowiązek bronienia ojczyzny od hajdamaków. Dzisiaj ze zniknięciem hajdamaków ustał nasz obowiązek. Na inne nie ma miejsca.

A widząc, że Jerzy jakimś morałem zamierza przerwać mu dalsze opowiadanie, mówił daléj:

— Kilka tygodni ubiegło błyskawicą, a jam był szczęśliwy. Gwiaździste niebo nocy zwrotnikowéj było świadkiem mojego szczęścia. Koczowaliśmy w pięknéj oazie śród piasków gorących. Pewnego ranka przybyła do nas liczna karawana. Widziałem, że wszystkich oczy zwrócone były na moją Dżelę, która leżała na perskim kobiercu, oparłszy głowę o moje kolana. Byłem dumny jak król. Koło wieczora spostrzegłem

jakiś ruch w obcéj karawanie. Dwóch młodych Arabów zbliżyło się do nas. Trzymali w ręku krótkie, obnażone noże. „Czarodziejko, rzecze jeden do mojéj Dżeli, oto dwaj pokochaliśmy twoje czarne, aksamitne oczy, twoje zęby jak perły białe, twoję smukłą kibić, jak kibić gazeli. Pozwolisz, że na dowód tego stoczymy tu walkę w twoich oczach, bo dwóch nas nie może żyć na świecie.

— Powieść pańska zaczyna być ciekawą—wtrącił Jerzy.

— Spojrzałem z obawą na Dżelę, ale ona tuląc się do mojéj piersi, rzekła do mnie: „Pozwól im zmierzyć się z sobą. Jest to hołd oddany zwyczajem narodowym twojéj Dżeli.“ Dwaj Arabowie rozpoczęli walkę, a za kilka minut leżał jeden trupem u nóg mojéj czarodziejki. Dżela zawiesiła się na mojéj szyi i rzekła: „Jestem godna twojéj miłości.“ Ale wnet z pomiędzy Arabów wystąpił drugi i z takąż samą przemową rozpoczął bój na cześć mojéj kochanki. Szczególny ten hołd powtórzył się jeszcze kilka razy, a przed nami leżało już pięć trupów.

— Pięć trupów!—zawołał Jerzy.

— A każdy z nich starał się o względy mojéj Dżeli i śmiercią dawał świadectwo swoich gorących uczuć. Dżela jednak pozostała stałą piérwszéj miłości. Za każdym krwawym hołdem tuliła się tém więcéj do mnie, okazując mi swoją gorącą miłość.

— I jakiż jéj koniec?

— Gdy piąty trup legł u jéj nóg, zamyśliła się trochę, uścisnęła mnie już zimniéj, a gdym po północy, po pięknym, rozkosznym śnie oczy otworzył, ujrzałem ją siedzącą na kobiercu i zamyśloną. „Cóż ci to, Dżelo?“

zapytałem z pieszczotą. „Myślę o tém, że ciebie opuszczę,“ odpowiedziała spokojnie. „Ty mnie opuścisz!“ krzyknąłem z boleścią.—„Porzucę cię, mój drogi—rzekła czarodziejka.—Widzisz, pięć trupów leży tam pod palmami.—„I cóż ztąd?“—zapytałem.—„*Ztąd to, że jestem więcéj wartą od ciebie*, — odpowiedziała spokojnie córka natury.—Pójdę do plemienia Ben-Izmen, które ztąd niedaleko koczuje, a pewnie upodoba mnie sobie emir, którego biały, złotem i srébrem wyszywany burnus pewnie znany ci jest z opowiadań naszych.“—Te były ostatnie słowa wypieszczonéj córki natury, która porzuciła mnie dla emira w białym, srébrem i złotem haftowanym burnusie. Otóż kobiéta... A teraz widzę, że pański służący niecierpliwie zagląda. Rozkaż mu pan bez ceregieli przynieść kawy z kożuszkiem, do któréj już wzdychasz. Będzie ona zapewne lepszą od mojéj powieści, a może od wszystkiego, co ta powieść w sobie zawiéra. Jesteśmy szczęśliwi, że przywiązujemy się do takich rzeczy, jak kawa z kożuszkiem, herbata ze śmietanką, bifsztyk lub cygaro amerykańskie.

— Więc pan nie wierzysz w stałe, szczére przywiązanie kobiéty? — zapytał Jerzy, który dotąd nie mógł pojąć, do czego właściwie ta powieść dąży. — Czyż miałoby to być napomnienie, a może podstęp jaki?—myślał sobie w duchu.

— Czuję zapach kawy — odparł hrabia Leon, śmiejąc się szczérze i serdecznie—a nie chcę panu psuć apetytu, gdybym powiedział, że nie wierzę. Wierzę w interes.

— Ach, toś pan nieszczęśliwy!

— Nie poeta!

— Mógłbym panu zaraz kilka przykładów przytoczyć.

— Naprzykład.

— Najbliższy. Pani majorowa.

— Pani majorowa? — powtórzył hrabia Leon, strzepując cygaro.

— Piękna, młoda dziewica. Wychowana przez starego Dębicza, który w jéj młodziuchne serce zaszczepił miłość do cnoty, do kraju i nauczył ją kochać tych, którzy się dla jakiéj wyższéj myśli poświęcali. Przychodzi stary żołnierz, o siwych włosach, a stéranych siłach—dziadek wskazuje na niego i wylicza młodéj wnuczce jego zasługi, a posłuszna wnuczka oddaje weteranowi w nagrodę za poczciwe życie rękę i serce: kocha go dotąd z prawdziwém poświęceniem.

Oczy hrabiego zaiskrzyły się przelotnie, a dziwny uśmiéch przebiegł po jego zimnéj, spokojnéj twarzy. Wstał szybko z krzesła, a kładąc poufnie rękę na ramieniu Jerzego, rzekł żartobliwie:

— Już widzę w drugim pokoju kawę na stole i śmietankę z kożuszkiem. Nie wątpię, że będzie smaczna, choć jéj nigdy nie pijam. A co do pani majorowéj, muszę panu jeszcze przed kawą powiedzieć, że gdybym chciał być niedyskretnym, mógłbym panu za kilka tygodni okazać mały, słodki liścik, w którym by zapewnie więcéj było sentymentów, niżeli ortografii i gramatyki!...

Zamiast odpowiedzi, zerwał się Jerzy z krzesła i pobiegł do zachwalonéj kawy z kożuszkiem. Ale na żaden sposób nie mógł w niéj dopić się smaku. Zamiast kożuszka pływał po kawie hrabia Leon, potrząsając dziesięciu głowami Kabylów i pękiem breloków

z serc kobiécych... Pływał po wiérzchu, chodził po dnie szklanki, drapał się po ścianach, słowem, stał mu wszędzie przed oczyma. A tymczasem rzeczywisty hrabia chodził odmierzonym krokiem po pokoju, motając sobie coś na wąsy z największą swobodą. Tylko gdy przechodził próg drugiego pokoju, zdawało się Jerzemu, że patrząc na niego, uśmiécha się sarkastycznie, jak ów mniemany nieprzyjaciel Wojny. I pomyślał sobie:

— Ten śmiały, przedsiębiorczy człowiek staje mi widocznie w drodze. Trudna będzie z nim walka.

Mimo téj tak smutnéj myśli, wyszedł z odwagą do piérwszego pokoju i tak śmiało mniemanemu przeciwnikowi w oczy zajrzał, że się hrabia aż zdumiał, przypisując tak wielki skutek kawie narkotycznéj. Jerzy tymczasem wyjrzał oknem, szukając na ulicy zamówionych koni. Mimo wszelkiéj jego odwagi, jaką był wyniósł z drugiego pokoju, markotno mu jednak było w obec człowieka, który coś strasznie *à la Mazarin* zaczął się uśmiéchać. Pocieszał się, że za chwilę z nim się rozstanie.

I właśnie nadeszła ta błoga chwila. Turkot powozu rozległ się po bruku ulicy. Jerzy wyjrzał z rozjaśnioném obliczem przez okno i już gotował się do przeproszenia hrabiego, że w pilnym interesie odjechać musi, gdy nagle przed oknem ukazały się dwa najpiękniejsze konie ze stajni zamkowéj, a na koźle pysznego faetonu, obok galonowego stangreta, siedział zgarbiony stary Soroka i z dziwnym wyrazem wpatrywał się w okna Jerzego.

— Jeźli się nie mylę — ozwał się Jerzy z wyrazem zadziwienia na twarzy,—to pański służący.

— Aha!—odrzekł hrabia Leon, rzuciwszy okiem na ulicę.—Zapomniałem powiedzieć, z czém właściwie przyszedłem. Chciałem panu zaproponować, abyś był moim towarzyszem podróży.

— Ja właśnie wybieram się w pilnym interesie do miasta...

— To samo miejsce jest celem mojéj podróży, a jeśli interes pański jest pilny, to lepiéj wyjdziesz na mojém towarzystwie, gdyż nie lubię jechać powoli.

Jerzy nie miał na to gotowéj odpowiedzi. Nie umiał sobie wytłumaczyć tego szczególnego zachowania się hrabiego i począł obawiać się go na prawdę.

Widząc gospodarza nieco w kłopocie, rzekł hrabia Leon z wyrazem spokoju i obojętności na twarzy:

— Zapewne znany jest panu dom negocyanta Warnera?

— Warnera?—powtórzył Jerzy, a mniemana odwaga opuściła go do szczętu.

— Mam kilka weksli na ten dom — odpowiedział hrabia Leon, zarzucając szkocki szal na ramię.

Jerzy przyszedł do siebie. Podejrzenia jego poczęły upadać. Mimo to nie mógł się pozbyć pewnéj obawy, jaką czuł przed tym człowiekiem, a nie miał dosyć siły, aby się od niego oderwać. Kilka słów konwencyonalnéj grzeczności i podziękowania nie uwolniło go bynajmniéj od tego zagadkowego demona, który z każdą chwilą zdawał się brać górę nad nieszczęśliwym marzycielem.

Rad nie rad musiał przystać na propozycyą hrabiego, począł jednak w głowie układać plany, jakiemi drogami oddali się w mieście od swego towarzysza,

aby w zupełnéj tajemnicy, wykonać zlecenie panny Janiny.

W téj chwili ktoś odkrząknął za drzwiami. W progu ukazała się mała, czarna fajeczka, a za nią uśmiechająca się twarz poczciwego majora.

— A! pan major! — krzyknął uradowany Jerzy, widząc w przybyłym sprzymierzeńca.

Ujrzawszy hrabiego Leona, zmieszał się trochę poczciwy weteran i dosyć niezgrabnie ukrył jakieś opieczętowane pismo za szerokie kresy białego kapelusza.

Po wzajemném przywitaniu, rzekł major, ukrywając starannie pismo za kapeluszem:

— Mając rano interesik do miasta, wstąpiłem do pana, aby mu najprzód dzień dobry powiedzieć, a potém po wczorajszém zebraniu zapytać coś *de politicis*. Pan hrabia zapewne wiele nowości przywiózł z sobą?

— Polityka według mnie — odparł hrabia — jest to najniewdzięczniejsza zabawka. Przy końcu gry okazuje się, żeśmy nic a nic nie wiedzieli!

— A przecież z dzisiejszych słów ministra angielskiego można wnosić o blizkiéj jakiéjś zmianie...

— To są frazesa, panie majorze, i nic więcéj.

— Pan, jak widzę, masz dziwną missyą odbiérania wszelkich złudzeń—wtrącił Jerzy, zbliżając się do sprzymierzeńca.

— Ach, złudzenia! złudzenia są naszą chorobą narodową—odparł krótko hrabia Leon.

— Zdaje mi się, że dzisiejszy stosunek Francyi z Hiszpanią nie jest bynajmniéj złudzeniem, z którego można sobie wróżyć korzystną zmianę... — wtrącił nieśmiało major.

— To pewnie mówi jakaś gazeta w interesie akcyonaryuszów przedsiębierstwa, którego akcye dostała od niego *al pari*—odparł hrabia Leon.

— Czy i tu interes? — zapytał z uśmiéchem Jerzy.

— Jeżeli kto zechce się przekonać o wartości dzienników politycznych — mówił daléj hrabia Leon — niech tylko weźmie jeden z ubiegłych roczników do ręki i naraz go przeczyta. Z ostatnią kartką przyjdzie do przekonania, że wszystko, co przeczytał, było nieprawdą, przypuszczeniem, czczém gadulstwem, niedorzecznością, wyjąwszy drobne anegdotki i opisy uroczystości dworskich, które urządzają się dla oka publiki.

Poczciwy major zamilkł, patrząc ukradkiem na pismo pod kapeluszem. Stary napoleoński żołniérz, przyzwyczajony był do tego, że w obec dzisiejszego położenia często mu milczéć przychodziło. Jego poczciwe serce nie mogło sobie odmówić niewinnych złudzeń, które od dawna stały się potrzebą jego życia. A może miały przytém inny jeszcze grunt. Ludzie przygnieceni niepowodzeniem, którym urywa się w ręku wszystko, za cokolwiek chwycą, ratując się radzi wierzą w najśmielsze przypuszczenia, zarzucając w nie ostatnią swoję kotwicę.

Idąc w pomoc sprzymierzeńcowi, rzekł Jerzy:

— Złudzenia podobne i wyczekiwania z dnia na dzień jakichś zmian pożądanych, mają wprawdzie szkodliwą stronę. Znamionują ludzi słabych i bezczynnych, którzy od zmiłowania bożego wszystkiego wyglądają. Przy tém *dolce far niente* tracą powoli grunt, na którym stoją, zaniedbują obowiązków, a gdy przez

to upadają, narzekają na złe czasy i fatalność nieubłaganą. Ale z drugiéj strony wyzuć się ze wszelkiego uczucia... zakréślić w koło siebie małe kółko, dokąd sięgają promienie wypływającego z nas egoizmu...

Hrabia Leon przerwał głośnym śmiéchem mówiącemu, a podając majorowi rękę, rzekł szczérze i otwarcie:

— W panu Jerzym widzę talent kaznodziejski i wszechnicę niemiecką. Poddaję się na łaskę i niełaskę. Za przyjazdem moim będę się starał zasłużyć sobie na łaskę u pana majora, chociaż teraz w niełasce odjeżdżam. Przywiozę z sobą wszystkie dzienniki niemieckie i będziemy politykowali.

Major był jeszcze pod dziwnie smutném wrażeniem, jakie na nim wywarła obrona Jerzego. To „*dolce far niente*“ dotknęło go w jakąś utajoną ranę, choć w całéj okolicy uchodził za najpracowitszego gospodarza. Wesoła przemowa hrabiego nie mogła go rozweselić. Szczérze jednak i serdecznie ścisnął podaną rękę i wynurzył radość, jaką miéć będą Czarnowody z odwiédzin hrabiego Leona.

Jerzy przypatrywał się temu serdecznemu rozstaniu z wyrazem cierpkiéj ironii.

Gdy hrabia Leon szkockim szalem szyję sobie okręcał, dla ochronienia się od wilgotnéj mgły porannéj, tymczasem major przystąpił do Jerzego i wziąwszy go za rękę, zaprowadził do okna.

— Prosiłbym łaski pana... — rzekł nieśmiałym i wzruszonym głosem, wyjmując z pod kapelusza opieczętowany pakiecik.

Jerzy rzucił okiem na pakiet i przeczytał napis:

„Do kassy wdów“. Był to instytut, w którym dawniéj zaciągała pożyczki szlachta wielkopolska.

— Ten pakiecik zechcesz pan oddać Warnerowi —mówił daléj major, a na twarz jego wystąpił rumieniec.

— „Do kassy wdów“—przeczytał Jerzy.

— Nie jest to mój dług — pochwycił prędko major;—to coś z dawniejszych czasów — dodał nieśmiało, spuściwszy oczy w ziemię.

Jerzy schował szybko pakiet, aby przerwać majorowi dalsze tłumaczenie się, a zbliżywszy się do biurka, wyjął futeralik z pistoletami, który przed hrabią starał się ukryć.

Ale szczególny ten człowiek musiał spostrzédz zamiary Jerzego, bo zwróciwszy się nagle do niego, wziął mu z rąk futeralik, a obéjrzawszy pistolety, rzekł z największą obojętnością:

— Nie obciążaj pan tém niezgrabném żelaziwem faetonu. Mam z sobą dwie pary angielskich pistoletów, które panu w każdéj chwili ofiaruję, jeśli tego potrzeba będzie.

Jerzy nie mógł już sobie wytłumaczyć tego dziwnego człowieka, który w oka mgnieniu za pasma wszystkich jego myśli zdawał się chwytać. Mimo wszelkiéj obawy, jaką miał przed nim, nie miał siły oprzéć się niewidzialnemu arkanowi, który razem z kółkami dymu na jego szyję był zarzucił.

Z dziwném przeczuciem, lecz oraz z rezygnacyą największego nieszczęścia, jakieby spotkać go mogło, wsiadł do faetonu, jak w błędną łódkę, którą fale morza gdzieś unoszą!

Major smutny i zamyślony, szedł ulicą Podzamcza, trzymając machinalnie w ustach fajeczkę, która mu dawno już zagasła.

Jeszcze turkot faetonu, uwożącego dwóch naszych bohaterów do pogranicznéj niemieckiéj prowincyi, rozlegał się między starémi domami ulicy Podzamczéj, gdy stary Mietlica z koszem w ręku wyszedł zadyszany z pobocznéj ulicy i ociérając pot z czoła, rzekł do siebie:

— Tam do kata. Gdybym był o kilka minut wcześniéj przyszedł, tobym go jeszcze był zastał! O! widziałem go dobrze z daleka. Siedział na koźle i uśmiéchał się. Pewnieby mi co powiedział o sobie i o swoim panu. A byłoby czego słuchać, mój Boże! Cały świat zjechali, mówi pan major. A pani majorowa aż drży z ciekawości, gdy o nim kto mówi. Tam do kata! Kilka minut wcześniéj, a daję gardło, że pojutrze byłby już na folwarku i gwarzyłoby się...

Tak mówił do siebie stary wachmistrz, wracając drogą, którą przyszedł. Na ulicy powoli otwiérały się sklepy, tu i owdzie wychyliła się z okna głowa, obserwująca dzisiejszą pogodę, a stary ekonom uważał pilnie, czy na téj głowie nie było białéj szlafmycy. W takim razie uchylał czapki, mówiąc: „Pochwalony“, i tak jakoś szczęśliwie mu się powodziło, że zawsze trafił na swego i na katolika.

Wreszcie przeszedł koło sklepu z złotą wystawą. Kupiec stał właśnie we drzwiach, w okrągłéj, aksamitnéj czapeczce, uśmiéchał się do niego i gładził rękę po tłustym brzuchu. Ekonom przeszedł koło niego, nie

uchyliwszy czapki. A uczynił to z afektu dla przyjaciela, który tego człowieka znieść nie mógł.

Naprzeciwko stał mały domek zégarmistrza. Smutno jakoś wyglądał, a nawet zdawało się, że czuwająca nade drzwiami Opatrzność bozka zmrużyła tym razem wielką swoję źrénicę. Zapykał do drzwi —nikt się nie ozwał. Przyłożył do szpary usta i zawołał: „Grzanku!“—ale Grzanka nic nie odpowiedział. Tylko stuk zégarów dochodził do jego ucha, między któremi wyraźnie słyszał Burmistrza i Paliwodę.

Nie mogąc się nikogo dowołać, obszedł dom na około i tylną furtką wlazł ostrożnie do sieni. W komorze na pół ciemnéj, między trzaskami, siedział Grzanka i strugał jakąś żabkę.

— To wy, *miłościwy panje!*—zawołał z radością Kaszub—ja bo myślał, że znowu ten człowiek, o którym tak nie dobrze mówił pan Wojna.

Ekonom postawił na ziemi koszyk z wiktuałami, które był dla Grzanki przyniósł, a rozejrzawszy się po komorze, zapytał:

— Albo on tutaj był? I czegoż chciał?

Grzanka odłożył na bok narzędzia, a wziąwszy Mietlicę za rękę, wyprowadził go do sieni z wielką ostrożnością. Tu ukazał mu we drzwiach mały otwór, przez który można było wyjrzéć na ulicę, i opowiedział mu w krótkości, jakim sposobém ten otwór powstał. Mówił mu, że przyszedłszy do tego domu, myślał ciągle o złym sąsiedzie, przed którym ostrzegał go zégarmistrz. Pół dnia siedział cicho i nawet ani zakaszlał, aby nikt go nie usłyszał. Ale potém pomyślał, że dyabeł dla tego straszny, iż nikt go nie widzi, i zaczął przemyśliwać, jakimby sposobem mógł widzieć tego

złego sąsiada. Zresztą nudziło się mu trochę, i tak częścią z ciekawości, częścią z nudoty wydłubał tę dziurkę. Ale otoż nowa przybyła pokusa. Sąsiad wprawdzie wyglądał na jakiegoś złego człowieka, a nawet tak samo uśmiéchał się i po brzuchu gładził, jak to Wojna mówił, ale w sklepie jego było tyle ładnych rzeczy, że oczu od nich oderwać nie mógł. Był tam Fryc stary w trójgraniastym kapeluszu, był jakiś opasły Niemiec, który zawsze język wystawiał, gdy go kto ruszył; było kilku huzarów z trupiemi głowami na kołpakach, chociaż ich do nogi wycięto w wojnie napoleońskiéj. Widział tam także ptaki, barany, woły i krowy!...

— Otoż pomyślałem sobie—mówił daléj Grzanka —wyjdę na miasto tylną fórtką, kupię klocek drzewa, a przypatrzywszy się w sklepie tym ładnym rzeczom będę próbował, może i ja takie zrobię.

— Tam do kata!—mruknął ekonom, który zaczynał już wierzyć w przeczucie przyjaciela—tam do kata! nie trzeba było wychodzić.

— *Miłościwy panie*, biéda nie chodzi po lasach, ale po ludziach. Otoż wyszedłem, kupiłem klocek drzewa, a wracając, długo przypatrywałem się Frycowi i huzarom. Na szczęście nawet nie było kupca, a ja myślałem, że wszystko dobrze pójdzie.

— A tymczasem niedowiarek był ukryty.

— Już tego nie wiém. Ale zaledwie do domu przyszedłem i kłocek rozłupać chciałem, słyszę, że ktoś puka do drzwi. Wyjrzałem ostrożnie tą dziurką i obaczyłem, że kilku panów stało pode drzwiami. Nie ozwałem się, choć oni kilka razy zapukali. Z tego, co mówili, poznałem, że między nimi był burmistrz, a przy

nim stał ten kupiec. Strach mnie wziął, lecz się nie ozwałem słowem.

— Tam do kata! — zawołał ekonom i potargał wąsa.

— Oni tymczasem obeszli dom do koła, popukali po ścianach, pozaglądali do okien i słyszałem, jak burmistrz mówił, że ten dom trzeba rozwalić.

— Rozwalić!—krzyknął Mietlica i ugryzł kawałek wąsa.

— Tak, *miłościwy panje*, rozwalić. Powiedział burmistrz, że ta stara klatka tylko szpeci ulicę. A kupiec na to, że Wojna nie ma pieniędzy, aby nowy wymurował, tylko ma długi. Więc niech burmistrz każe to pruchno oszacować, a on zakupi ten plac i wystawi kamienicę.

Ekonom postawił wąsy do góry, jak odyniec kły do napastnika, i zawołał:

— Ho, ho, mospanie! już to domu nikomu wziąć nie mogą, choćby był najbiédniejszy! Do kata!...

Grzanka przypisał sobie całe nieszczęście i zasmucił się jeszcze bardziéj, gdy Mietlica nie pożegnawszy się z nim, jak to zawsze zwykł był czynić, wziął próżny kosz i mocno zamyślony wyszedł przez fórtkę. Będąc na ulicy, spojrzał raz jeszcze na ów dobrze mu znajomy ganek, na którym nie jeden wieczór w dniu świątecznym przegawędził z przyjacielem, spojrzał na wiszącą u góry Opatrzność bozką, i zdawało mu się, że to opiekuńcze oko zalało się dzisiaj łzami nad losem biédnego zégarmistrza. A to tylko z jego oczu wypłynęły dwie łzy i zawisły na siwych wąsach. Widu zawył przeraźliwie, a stary ekonom obrócił się i przyśpieszył kroku.

Na końcu ulicy, przy małym wózku, czekał już na niego major.

— Proszę pana majora — rzekł Mietlica z należytą subordynacyą,—czy mogą komu wziąć jego majątek?

— Jeźli jest jego własny, to nie mogą—odpowiedział major, patrząc dziwnie na ekonoma.

— Nawet choćby miał długi?—dodał Mietlica nieco ciszéj.

— Wtedy mogą—rzekł major, a na poczciwą twarz jego wystąpił rumieniec.

Z jakiémś dziwném uczuciem wpatrzył się w ekonoma. W oczach jego malowała się trwoga i przerażenie, ale Mietlica już nic nie widział. Odkąsiwszy kawałek wąsa, potrącił babę, która na targ spieszyła i wskoczył na kozieł z takim zamachem, że omal go nie przesadził.

Smutno potoczył się wózek drogą do Czarnowód.

II.

W chwili gdy mniemany mieszczanina nieprzyjaciel opukiwał dom jego, jak spróchniałą trumnę nieboszczyka, i w duchu układał koszta nowéj, murowanéj kamienicy, ten szedł prostą drogą do miasta pogranicznéj niemieckiéj prowincyi, nie myśląc wcale o tém, że tam ktoś nastaje na jego ubogi domek, poruczony opiece Kaszuba i jedynéj biednych orędodowniczce: Opatrzności bozkiéj. Własne jego mienie nie wiele go obchodziło w téj chwili. Biédny zégarmistrz może po raz piérwszy w życiu oderwał się od arcydzieła swego praojca, nad które nie było mu nic milszego na świecie.

Utrata powierzonéj mu szkatułki, o któréj treści najrozmaitsze czynił domysły, oraz święty obowiązek wydarcia jéj z rąk cudzych, zmusiły go do tego ważnego kroku. Bez tego wydarzenia nie ruszyłby się po za kopce Dąbczyna, gdzie już dla niego zaczynała się obczyzna.

Z razu postanowił przejść przez tę przestrzeń, która go od miasta prowincyi niemieckiéj oddzielała, z zamkniętemi oczyma, aby się nie nabawić jakiego

grzéchu. Ale jakoś nie powiodło mu się postanowienie. Gdy wyszedł bowiem po za kopce Dąbczyna, zdawało się zégarmistrzowi, że nagle horyzont jego myśli razem z horyzontem ziemi zaczął się rozszérzać. Przed nim było jakoś daléj i szerzéj, a pod trójgraniastą czapką poczęły się dziwne wylęgać myśli. Mieszczanin poczuł się turystą, który podróżując, wszystko obaczyć musi i o wszystkiém potém opowiedzieć staremu ekonomowi.

Otóż idąc bitym gościńcem, patrzył przed siebie i w koło siebie, robiąc sobie w duchu różne uwagi. Zaraz za Dąbczynem miał dziwne zdarzenie. Wstąpiwszy do karczmy, zastał tam chłopów z różnych stron, którzy z jakiegoś targu powracali. Siadł w kącie i począł się przysłuchiwać ich rozmowom. Jedni mówili po polsku, drudzy po niemiecku, a byli znown i tacy, co te dwa języki jak najdziwaczniéj mieszali.

Wybrawszy sobie staruszka, którego twarz najlepiéj do smaku mu przypadła, zbliżył się do niego, a częstując go swoją szklanką, rzekł z ciekawością turysty:

— Proszę was, co to są za ludzie?

Staruszek obejrzał mieszczanina od stóp do głowy, przeszedł z uwagą wszystkie pętlice na jego granatowéj czarmarce, i z nieufnością zatrzymał się na czapce trójgraniastéj. Ale w siwych oczach Wojny było tyle poczciwości, że nadpiwszy jego szklanki, odpowiedział:

— To ludzie z moich stron, z nad Noteci.

— Czemuż jedni mówią tak, a inni owak?

— To wszyscy Polacy.

— Polacy!—zawołał z zadziwieniem Wojna.

— Ot tamci, co siedzą przy samym *szynkwasie*

i mówią po niemiecku, to są z Wojciechowa. Dawny ich dziedzic sprzedał wieś fabrykantowi ze Szlązka, a odtąd nazywa się ta wieś „*Witzehof*“, a ludzie przeszli na niemieckie.

Mieszczanin posunął czapkę na głowie i zanotował sobie w duszy:—„Gdybym miał wieś, nigdybym jéj nie sprzedał obcemu.“

— A ci, co tak mieszają różne języki?—zapytał znowu staruszka.

— Ci są z Brodny—odpowiedział stary — którą trzyma w posesyi już dziesięć lat jakiś handlarz z Brandeburskiego. Dziedzic téj wsi mieszka gdzieś za granicą.

— Jak się to stało, że oni tak mówią?

— Musicie wiedzieć, że u nas każdy obcy posesor przyprowadza z sobą swoich parobków, nadzorców, pisarzy i swoje dziéwki do roboty. Otoż chłopi słyszą ich zawsze szwargoczących innym językiem, a że często tamci nas dobrze nie rozumieją, więc tém sobie pomagają, że jedno słowo tak, a drugie owak powiedzą. I ztąd to przyzwyczajają się nasi do téj mieszaniny, że ich potém poczciwy katolik i zrozumiéć nie może. A gdy długo taka posesya potrwa, to zupełnie swego zapomną.

Zégarmistrz posunął się na stołku, rozlał piwo, a mażąc palcem po stole, myślał sobie pod czapką trójgraniastą:—„Gdybym miał wieś, nigdybym jéj nie wypuszczał obcemu w posesyą, bo to herezya i obraza bozka.“

Pożegnawszy staruszka, wybiegł z karczmy, bo mu tam jakoś było markotno. Przed karczmą stał wóz chłopski, który jakkolwiek był pomalowany na

niebiesko, a nawet okucie na sztelwadze miał karbowane w różne zygzaki, jednak coś strasznie pachniał polskim chłopem, bo na kołach miał błoto z przeszłéj Wielkiéjnocy. Na wozie siedziała blada kobiéta, a chociaż była ubrana w cyc i perkal, wprawne jednak oko mieszczanina odkryło w niéj po dużych koralach na szyi, i włosach nieco rozmiérzwionych, że to jakaś polska kobiéta. Tylko mąż jéj był już kompletnym Niemcem z Pomorza, w siwym spencerku i okrągłym, cylindrowym kapeluszu.

Długo patrzył zégarmistrz na tę zagadkową parę małżeńską, ale nie miał jakoś odwagi zaczepić. Obszedł wóz kilka razy, przemówił coś do dereszowatéj kobyły, która głową wstrzęsła, że go nie rozumié. Ale chłop pomorski zrozumiał go doskonale, przystąpił do niego, a pozdrowiwszy katolickim obyczajem Pana Boga, rzekł do niego:

— Wy z Polski?

— Z Polski, a wy?—zapytał ucieszony turysta.

— Ja z Prus—odpowiedział chłop.

— Z Prus—powtórzył smutno mieszczanin.

— A czy wy katolik?—zapytał po chwili.

— Nie, ewangelik—odpowiedział Pomorzanin.

— Lut... ewangelik—powtórzył Wojna w samo ucho dereszowatéj kobyły.

— A jest tam ksiądz proboszcz w Dąbczynie?—pytał znowu chłop.

— A na co wam księdza proboszcza?—odburknął Wojna, żałując w duchu, że się w dał z nieswoim w rozmowę.

— Moja żona od kilku lat chora, to chciałbym zakupić kilka mszy świętych na jéj intencyą!

— Mszy świętych!—krzyknął Wojna, aż się kobyła przestraszyła — wszak wam nie trzeba kościoła, macie bethaus i pastora!

— Pastor u nas niéma takiéj władzy, jak ksiądz.

— A co wam do księdza! wszak wy ewangelik!

— Ja ewangelik-katolik—odpowiedział spokojnie chłop pruski.

— Ewangelik-katolik!—krzyknął zégarmistrz.

— Tak, bo myśmy wszyscy byli pierwéj katolikami, a teraz jesteśmy jeszcze do tego ewangelikami. Tak nam to dawniéj wytłumaczył burmistrz z Westfelde.

Mieszczanin przeżegnał się krzyżem świętym od takiego dziwoląga, który jest ewangelikiem-katolikiem, i drapnął daléj krokiem przyśpieszonym. Uszedłszy jednak jakie dwoje staj pola, poczuł z niemałém zadziwieniem, że pod czapką trójgraniastą rodzi mu się jakaś myśl szczególna. Nie była ona wcale tak strasznie mądra, jak Minerwa Jowisza, ale była prosta i prawdziwa. I zanotował ją sobie dobrze mieszczański turysta w ten sposób: Wiara wiernego katolika jest to jak marmur: można ją różnie zamalować, ale tylko draśnij, a obaczysz, że pod spodem kamień, gdyby nawet stu burmistrzów temu przeczyło. Chłop z Prus wschodnich jest katolik mimo bethausu, pastora i burmistrza, za co niech będzie Imię bozkie błogosławione na wieki wieków, Amen...

Zrodziwszy tę myśl pocieszającą, zachwycił się samym sobą biédny mieszczanin, wyrósł na kilka cali w górę i z taką dumą stąpał po bitym, pruskim gościńcu, jakby zwycięzcą wchodził w bramy nieprzyjaciela. Kilku podróżnych śmiało potrącił, furmanowi nie ustą-

pił się z drogi, mimo olbrzymiego dzwonka, który nieustannie przy dyszlu dzwonił, i pragnął z całego serca zdybać się z tą piekielną machiną, która bezbożnych ludzi piorunem na różne strony świata rozwozi.

Tymczasem nadeszła pora obiadu i wypoczynku. Mieszczanin usiadł pod drzewem, wyjął z torby chleba i spory kawał szynki, który mu ekonom na drogę do kieszeni wtrącił, a przeżegnawszy te dary boże, spożywał je z takim apetytem, z jakim niegdyś rycerz krzyżacki odbywał ucztę na ziemi nieprzyjacielskiéj.

Posiliwszy tym sposobem ciało i ducha, po krótkim odpoczynku, wstał zégarmistrz, a poczuwszy się zdolnym do wyrobienia jakiéjś myśli niepospolitéj, zaczął się znowu w koło siebie oglądać. Był to już kraj wcale inny. Białe, schludne domki bielały na zielonym kobiercu, jak grudki rozsypanego séra. Ziemia dobrze uprawna wyglądała jak ogród, drzewa owocowe ocieniały każdą zagrodę. I wspomniał sobie na biédne chatki polskiego ludu, na stare, na pół rozwalone dwory szlachty, na nędzne budynki gospodarskie, i rzekł w duchu: Lud to pracowity i zamożny. Gdyby tylko mówił po polsku i był katolickim, wcaleby nie źle wyglądał. I tak idąc przez wioskę, wstąpił do jednego białego domku i prosił o wodę. Pyzata gospodyni z tłustemi, czerwonemi rękoma, wykrzywiła do niego twarz bez zębów i groźnym gestem wskazała na karczmę. Mieszczanin wyszedł za bramę, otrzepał proch z butów i zanotowaną w pamięci sentencyą odmienił w ten sposób: „Lud pracowity i zamożny, ale nie mówi po polsku i nie jest katolickim. Niéma serca i nie zna, co gościnność. Nie dziw, że ma białe

domy. Żyje tylko dla brzucha i grosza. Kobiéty są brzydkie i bez zębów.“

Daléj na lewo ujrzał ładne folwarki. To „hubiarze“, mający zazwyczaj podwójny grunt chłopski. Jest tam porządek i dobre gospodarstwo. Pracują wszyscy, żona i dzieci, nie tak jak u szlachty polskiéj, gdzie pani musi miéć zaraz ekwipaż i fraucymer. Te i tym podobne myśli przelatywały przez głowę zégarmistrza dąbczyńskiego, ale gdy bliżéj w te „huby“ zajrzał, zanotował sobie pod czapką trójgraniastą następującą sentencyą: „Hubiarz jest stworzony na podobieństwo bozkie. Ma nos i dwoje oczu, parę nóg i dziesięć palców. Ale ma kurzą ślepotę, jak każdy kolonista: po za kopce swojéj „huby“ daléj świata nie widzi. Nic go tam nie obchodzi; a gdy się go zapytasz: czy pójdzie na wojnę, aby kraju bronić? to ci odpowié, że płaci regularnie podatek. Wątpię nawet, aby miał duszę, chociaż nawet, gdyby ją miał, byłaby skazana do piekła, jak dusza każdego niedowiarka.“

Takie i tym podobne notatki układał sobie mieszczanin pod czapką trójgraniastą, aby miéć je gotowe, gdy się zejdzie ze starym ekonomem. Nie przeczuwał biédny, że właśnie w téj chwili mniemany jego nieprzyjaciel pukał do starych ścian jego domku, namawiając burmistrza, aby je rozwalić kazał. Takie to dziwne figle nieraz los nam płata.

Obaczywszy wcześnie przed sobą miasto niemieckie, przeżegnał się polski mieszczanin na intencyą rychłego wyszukania Linka i odebrania z rąk jego ukradzionéj szkatułki. Śmiało i z odwagą wszedł w mury miasta, jak człowiek mający czyste sumienie i Boga w sercu, a patrząc po wysokich oknach kamienic, nie

zważał wcale, że właśnie koło niego przejechał faeton z Dąbczyna, a z pobocznéj ulicy wyszedł człowiek o rudych bakenbardach, niosąc pod pachą jakiś starannie owinięty pakiet.

Już to odwieczną jest prawdą, że czego w oddali szukamy, najczęściéj tak blizko nas leży, że moglibyśmy ręką je uchwycić. Ale temu sprzeciwia się znowu odwieczne prawo, które chce, aby ludzie jak najdalszą drogą szli do celów swoich, bo inaczéj znudziłoby ich długie życie. Zégarmistrz potrzebował tylko mocno gwizdnąć i rękę wystawić, a niezawodnie chwyciłby za barki Linka, lub za szkatułkę, jeżeliby mu na niéj więcéj, niżeli na Linku zależało. Ale snadź przeznaczenie było takie, które go dalszą drogą miało zaprowadzić do domu agenta, a jeszcze dalszą do upragnionéj szkatułki.

Tymczasem ów człowiek o rudych bakenbardach, w białym połamanym kapeluszu, trzymając w ustach rozmokłe cygaro, przeszedł przez sam środek głównéj ulicy, prawie pod samym nosem zégarmistrza, i poszedł daléj wązką, boczną uliczką. Obaj nie spostrzegli siebie wzajem, chociaż drogi ich żywota tak się już z sobą poplątały, że jedna drugą przeciąć zagrażała.

Agent miał przed sobą jeszcze spory kawał drogi do swego mieszkania, ale na twarzy jego, czérwieńszéj, niż zwykle, nie było wcale widać ani znużenia, ani tęsknoty do rodzinnego ogniska. Zdawał się dzisiaj nieść w sobie albo z sobą całe szczęście swoje. Twarz jego uśmiéchała się nieustannie, oczy mrużyły się w jakiéjś nieodgadnionéj ekstazie, i tak z całego świata,

co go otaczał, niczego dzisiaj nie pragnął, że patrząc w słup przed siebie, na nic nie zważał, na nic się nie popatrzył. Tylko coraz mocniéj gniótł pod pachą szkatułkę, jak rękę dozgonnego przyjaciela, który go uszczęśliwia na całe życie.

Tak szedł szczęśliwy agent krokiem nieco chwiejnym przeszło godzinę, aż wreszcie wlazł w wązką i brudną uliczkę, w któréj już daléj ani kroku zrobić nie można było. To go wyrwało z jego marzeń szczęśliwych; zadarł do góry głowę, przebiégł okiem szereg wysokich kamienic, i dziwił się wielce, jakim sposobem stanął u celu podróży.

Wszedł do ciemnéj, wilgotnéj sieni i począł się drapać po schodach. Długo trwała ta nowa podróż jego w wyższe sfery ubóztwa i nędzy, aż wreszcie rozwidniło się przed jego oczyma, gdy stanął na czwartém piętrze, tuż pod samym dachem. Na tém piętrze były tylko jedne drzwi stare, spróchniałe. Przez liczne szpary biło światło z wewnątrz na kurytarz. Wszędzie było głucho i cicho. Agent roztworzył drzwi z trzaskiem, aż się próchno posypało, i z dobrą fantazyą wszedł do izdebki.

W izdebce było największe ubóztwo. Czarny stolik stał pod oknem, zarzucony jakiemiś papierami; kilka połamanych stołków, dwa łóżka i stary papiérowy parawan, były to prawie wszystkie sprzęty tego ubogiego poddasza. Przy progu stała konewka z wodą, koło niéj stary, blaszany samowar, a nad kominkiem gruba flaszka z jakimś płynem przeźroczystym.

Koło okna siedziała już niemłoda kobiéta. Blada, nędzna, w ubogim ubiorze, trzymała w ręku jakąś szmatę i szyła.

— Katy! Katy! — krzyknął agent, stawiając ostrożnie szkatułkę na stole — ty nie wiész o niczém, siedzisz tutaj i szmaty łatasz, a ja mogę miéć teraz kapotrok za cztérdzieści talarów, długi po kostki, jak panowie noszą, kapelusz *à la Gibus* za cztéry talary, pantalony za ośm, a westę za trzy.. rozumiész Katy?..

Blada kobiéta odłożyła na bok brudną szmatę, a podparłszy ręką głowę, rzekła z uśmiéchem bolesnym:

— Cóż ci to, Wilhelmie?

Link na to nic nie odpowiedział, tylko poszedł do kominka i z grubéj flaszki sporo pociągnął. Kobiéta westchnęła.

— Kapotrok, *gibus*, pantalony, westa, wszystko jest tutaj—rzekł po chwili, przykładając z pieszczotą rękę do szkatułki.

— Cóż to masz?—zapytała kobiéta.

— Co mam?... puszkę Fortuny, w któréj jest wszystko, co sobie zamarzyć możesz. Cztéry pokoje, meble orzechowe, zwierciadła, suknia grodenaplowa wszystko... rozumiész? wszystko!...

Kobiéta wpatrzyła się zdziwiona w agenta, który znowu do kominka poszedł.

— Wszystko jest, Katy, wszystko—mówił daléj, oblizując otwór flaszki—tylko jednéj rzeczy tam niéma —dodał ze strasznym wyrazem na twarzy—a to jest tylko tutaj w flaszce.

Łzy stanęły w oczach kobiéty. Wzięła napowrót szmatę do ręki i chciała szyć daléj. Snadź niepo raz piérwszy słyszała agenta mówiącego w ten sposób. Ale na igłę upadły łzy, w oczach jéj się zaćmiło

Tymczasem z zaczérwienionemi już policzkami usiadł agent przy stoliku, i z twarzą wykrzywioną rzekł do siebie:

— No, trzeba jeszcze raz to wszystko dobrze przejrzéć.

Kobiéta z dziwnym niepokojem śledziła wszystkie jego ruchy. Agent otworzył szkatułkę i począł przeglądać różne papiéry. Twarz jego krzywiła się w miarę uczuć, jakich podczas téj manipulacyi doznawał. Mruczał chwilami do siebie:

— Hm! to jak czyste złoto. Od piérwszéj aż do ostatniéj instancyi można wygrać... Warner może nową dziurę wybić w zamku Dąbczyńskim... tylko przysięga... ba, przysięga... patent z roku 1823... a to... *Saperment*... to, Linku, może cię na nogi postawić... będziesz porządnym człowiekiem, pójdziesz do kasyna... Nie... Oto Warner grubo za to da... hoho!... grubo dać może... Panna Janina, ładna panna... hm! a gdyby krzyż, Linku?...

Rzekłszy to, schował papiéry, zamknął szkatułkę, a wstawszy od stołu, począł się przechadzać. Zdawało się, że biédny agent nagle rozkochał się w swych krzywych nogach. Tak się im bowiem przypatrywał, stawiając je z wielką siłą po podłodze, tak je na wszystkie strony wyginał i oglądał, jakby je miał wysłać na wystawę londyńską. Kobiéta patrzyła nań z jakąś trwogą.

Przeszło pół godziny trwały te dziwne egzercycye agenta. Zdaje się, że w tym czasie przechodził różne koleje życia. Miał naprzód kapotrok brenzowego koloru, kapelusz *à la Gibus*, jak go nazywał, *westę w* czérwone kwiaty i pantalony za ośm talarów.

Potém zdawało mu się, że jest porządnym człowiekiem, że chodzi do kasyna *Reubundu* *), czyta gazety, gra w bilard i w karty, pali cygaro... To znowu podniósł pierś, na któréj był krzyż zasługi, a w kieszeni patent na ładną pensyjkę... To znowu zmienił nagle krok, jakby wszedł na woskowaną posadzkę cztérech pokojów z meblami orzechowemi... Jego Katy była w sukni grodenaplowéj, była tłusta i czérwona, jak każda kobiéta, któréj na tym padole płaczu dobrze się powodzi; a on zaczesywał ogromne bakenbardy *à l'Albert* szyldkretowym grzebykiem, pił ponez i herbatę ze śmietanką...

Tutaj prysła wyciągniona struna marzeń, a agent czémprędzéj pośpieszył do kominka, aby się likworem zakropić. Na twarz jego wystąpiły trędy, oko zalało się białą flegmą. Z różnych kolei życia powrócił do swojéj ubogiéj izdebki i do brzydkiéj, brudnéj, jak mu się teraz wydawało, Katy.

— Widzisz—zawołał, machając ręką przed oczyma, jakby odpędzał cisnące się do niego widma—w téj szkatułce wszystko jest, czego dusza zapragnie, tylko jednéj rzeczy brakuje... a ta jest tylko tam... widzisz tam!—dodał, wskazując na flaszkę nad kominkiem.

— Mógłbym być porządnym człowiekiem—mówił daléj smutno – gdybym nie był tego głupstwa popełnił!

— Jakiego głupstwa?—zapytała kobiéta.

— Już to piérwsze głupstwo, żem się z tobą ożenił!—krzyknął agent i uderzył w stół pięścią, a usta jego zapieniły się.

---

*) Patryotyczne towarzystwo pruskie.

Kobiéta westchnęła i szyła daléj.

— Gdyby nie ty, byłbym dzisiaj porządnym piwowarem, byłbym gruby jak beczka piwa. A tak poszedłem za tobą do téj przeklętéj Galicyi i aby zarobić na kawałek chleba, musiałem chłopom supliki pisać. Walałem się po wsiach i karczmach, jadłem i piłem z chłopami, cóż więc dziwnego, że potém razem z nimi...

Kobiéta wzdrygnęła się, załamała ręce i krzyknęła:

— Na miłość Boga, Wilhelmie!...

— Na miłość Boga... Prawda, ja kocham Boga, bo on daje różne sposoby na to, gdy człowieka robak jaki wierci...

Mówiąc to, zbliżył się do kominka i mocniéj niżeli kiedykolwiek pociągnął z flaszki.

— Widzisz — mówił — w téj oto szkatułce jest wszystko, co chcesz, ale nie ma tego, co w téj flaszce... Piéniądze?... cóż są piéniądze? Są one wszystkiém, Katy, wszystkiém. Tak świat mówi. Masz piéniądze, masz rozum, masz charakter, szlachetność, urodę— wszystko masz. Ale jeśli tu czego brakuje—agent wskazał na lewą stronę piersi — to za nic piéniądze.... Tylko to, Katy, to—i poszedł znowu do kominka.

— Mógłbym być porządnym człowiekiem, miéć tutaj—naprzeciw drugiego guzika u góry—piękny, ładny krzyż, mógłbym pójść do kasyna, grać w bilard i czytać gazety... Ale cóż z tego?... zawsze coś braknie, zawsze...—I znowu pociągnął z flaszki.

Kilka chwil stał nieruchomy na środku izdebki. Drżał cały, na jego czoło wystąpił pot kroplisty. Posunął kilka razy ręką po oczach, jakby je chciał przetrzéć i snujące się przed niemi mgły rozproszyć. I ja-

koś mu się to udało. Uspokoił się nieco, otarł pot i znowu począł się po izdebce przechadzać.

— Hm!— mówił znowu do siebie, patrząc z ukosa na szkatułkę—mógłbym być teraz porządnym człowiekiem, dostałbym urząd jaki przy cuchthauzie lub przy kryminale, a wtedy łapałbym złodziei i oszustów, że aż miło! Rozumiész, Katy, złodziejów, oszustów, łotrów i tym podobnych. A pewnie znalazłbym ich tam, gdzie ich dzisiaj bynajmniéj nie szukają!... Brrr... Katy, jabym ich wszędzie wynalazł! Najprzód Warner...

— Na miłość Boga, Wilhelmie!—krzyknęła kobiéta — nie mów tego... jeszcze kto usłyszy... Wszak masz chléb od niego...

— Chléb? prawda, mam chléb, gorzki, kwaśny, suchy chléb, a on zjada pieczone gołąbki i jest zdrów i wesół... Ja mu wyciągam pieczone kasztany z ognia, a on je zjada, śmieje się i zjada... A przecież on niemało ludzi pozabijał!...

— Pozabijał!—zawołała kobiéta, załamując ręce.

— Katy, ty jesteś głupia kobiéta i nic więcéj— krzyknął agent, pociągnąwszy znowu z flaszki—ty nie wiész, jak można ludzi zabijać. Człowiek, który niéma na sobie białéj koszuli i złotego łańcuszka od zégarka, tylko ma dwoje rąk i kij dobry, sękaty, ten człowiek zabija najprostszym sposobem, który jeszcze od syna Adama i Ewy przechował się w ludzkiéj tradycyi. Uderza między oczy lub powyżéj ucha, i na tém koniec. Żandarm prowadzi go potém do sądu, a sąd dla przykładu i pokajania rodu ludzkiego, wiésza go z wszelką pompą na szubienicy!... ha, ha, ha, na szubienicy!... Katy, ty jesteś głupia, prosta kobiéta!...

Kobiéta patrzyła łzawém okiem za człowiekiem, który jéj świat zawiązał, a który przecież był jéj mężem!

— Tamtego powieszą — mówił daléj agent—bo użył zbyt prostego sposobu, aby zabić człowieka. Dzisiaj postąpił świat i cywilizacya, dzisiaj trzeba maniery i sztuki. Głupiemu cyrulikowi dają patent na pergaminie, aby zabijał ludzi jak najlegalniéj; fabrykant kiełbas i pasztetów ma ten sam przywiléj; winiarz płaci podatek za komsumcyą trucizny; adwokat ma tak zwane „stallum agendi“, a kapitalistom pomaga ustawa wekslowa, aby tém prędzéj zabić mogli!... Któż jest większy zbójca?... Katy, ty jesteś głupia, prosta kobiéta!... Ty myślisz, że Link, który był tylko tam, gdzie krew na niego bryznęła, że Link gorszy, winniejszy od tych wszystkich?... Katy głupia, prosta kobiéto!...

Jakoś smutniéj spojrzał teraz agent po krzywych swoich nogach. Nie marzył już o kapotroku, ani o pantalonach za ośm talarów, ale o pięknem, z jakiegoś brudu wypraném sumieniu, któreby było białe jak westa z piki saskiéj.

— Byłem teraz w Poznańskiém — mówił daléj smutno i rzewno—byłem w służbie posłany od Warnera. „Linku, mówił do mnie Warner, nad Notecią jest ładna wieś z białym dworkiem. Tę wieś chcę miéć dla Waltera i Matyldy. Dziedzic tam jest mocno zadłużony. Teraz umarła mu żona, gospodarstwo w największym nieładzie. Idź, dowiédz się o wszystkiém. Negocyant nasz w Poznaniu zaproponował mu pożyczkę na lat cztéry, wyrachowawszy, że za cztéry lata oddać na żaden sposób nie będzie mógł. Wtedy postaramy się o subhastacyą, a wieś z białym dwor-

kiem będzie nasza, Waltera i Matyldy...“ Przyszedłem do téj wioski — na ganku stało czworo małych sierot, czarno i biało ubranych... brrr... co mówię... Katy ileich było?...

— Czworo mówiłeś, Wilhelmie — odpowiedziała kobiéta.

— Czworo?... nieprawda, kto ci mówił, że czworo... ja nie mówiłem, że czworo... ja ci nigdy o nich nie mówiłem, nigdy... brrr... Katy, głupia, prosta kobiéto, zkąd ty wiész, że ich było czworo?...

I blizkim już był agent zwykłego swego paroksyzmu, który od niejakiego czasu zbyt często go napadał, ale dziwne jakieś wspomnienie skierowało myśli jego w inną stronę.

— Przeklęty ten Wojna!—krzyknął siadając na stoliku.—Katy, znasz ty tego Wojnę?...

— Wojna?—zapytała kobiéta, ciesząc się z tego zwrotu, który zazwyczaj oddalał od niego paroksyzm szaleństwa.

— Wojna jest to mieszczanin z Dąbczyna, głupi, prosty mieszczanin, a Paliwoda to prosty i głupi chłop z Radziejewa.

— I cóż oni ci zrobili?

— Opowiadali mi o wielkiém, młyńskiém kole... brrr... jak to koło chwyciło młynarza za ramię... jak go ciągnęło powoli... wyciągnęło mu rękę tu, z ramienia... brrr... Katy, daj mi się czém nakryć, położę się i prześpię... zimno jak w grudniu!...

Zaledwie biedy agent oczy zmróżył i coś o długim kapotroku, weście i pantalonach za ośm talarów marzyć zaczął, gdy jakieś niepewne kroki dały się słyszéć na kurytarzu.

Kobiéta wiedziona jakimś instynktem, rzuciła kilka szmat na szkatułkę.

W tém otworzyły się zwolna drzwi, a mieszczanin dąbczyński wszedł z wszelką ostrożnością, jakby wchodził do jakiego gniazda zbójeckiego.

Agent podniósł głowę, a ujrzawszy Wojnę, równemi nogami zerwał się z łóżka.

Zégarmistrz miał twarz spokojną, lekki uśmiéch zadowolenia igrał koło jego wąsów. Widać, że wymyślił jakiś niezgorszy planik postępowania z agentem, i że z tego planu mocno był zadowolony.

— Dobry wieczór, panie Linkiewicz—rzekł do agenta z największą pewnością, że polskiém zakończeniem jego nazwiska ujął sobie na wieczne czasy tego szczególnego człowieka.—Dobry wieczór... otóż przychodzę raz przecież do was w gościnę.

Link usiadł na łóżku, przetarł ręką oczy, przed któremi migało mu jeszcze wielkie młyńskie koło, i z niemałém zadziwieniem spojrzał na mieszczanina.

— A cóż to pana do nas sprowadza?—rzekł po chwili, czując, że go mimowoli wszelka energia opuszcza i sen oczy mu skleja.

— Czyby nie lepiéj było — mówił mieszczanin, brzęcząc w kieszeni drobną monetą — żebyśmy sobie najprzód posłali po lampkę wina?...

Agent pokręcił głową i wymówił się, że po tak dalekiéj podróży czuje się trochę chorym.

Wojna posmutniał nieco, widząc, że najpewniejszy jego atak tak fatalnie odparty został. Poskrobał się w głowę, obejrzał po izbie, szukając konceptu, aby dalszą swoję operacyą zręcznie nawiązać. Należał on *również do* tych dobrych, poczciwych ludzi, którzy plan

kampanii układają bez żadnéj rezerwy, bez żadnych podstępów, licząc na to, że i nieprzyjaciel pójdzie drogą prostą i otwartą. Tacy nadybawszy najmniejszy szaniec, którego nie spodziéwali się znaléźć, cofają się w nieporządku, widząc cały swój plan udaremniony.

To też długo kręcił wąsy to w tę, to w ową stronę, zanim znowu do słowa przyszedł.

— Panie Linkiewicz—zaczął nieśmiało—ja miałbym wprawdzie mały interesik, ale tak na sucho...

Link znowu ruszył głową na znak, że jest pacyentem, i mówił coś o potach i rumianku.

— No, jeźli tak—mówił daléj Wojna—to choć to na sucho jakoś nie idzie... ale przy zdarzonéj okazyi...

— Niechaj pan odrazu powié, czego pan chce— rzekł zniecierpliwiony agent, któremu obecność Wojny coś strasznie niemiłą była.

Mieszczanin potarł ręką po czole, zacząwszy od lewego ucha aż do prawego, i przeklął w duchu wszelką dyplomacyą, która nakazuje, aby nigdy tego naraz nie wypowiedziéć, co człowiek ma na wątrobie, jak to jakiś wielki polityk kiedyś tam powiedział.

Posunął się na stołku w prawo i w lewo, odkrząknął i rzekł:

— Już to człowiek przedewszystkiém powinien miéć przykazania boskie w sercu.

— Co mi pan prawisz o przykazaniach, co?...— krzyknął niecierpliwie agent—widzisz pan, żem chory i zmęczony...

Zégarmistrz uderzył się ręką w kolano i pomyślał sobie w duchu:

— Źlem zaczął, nie uważałem, że mam z bezboż-

nikiem do czynienia. Myślałem, że skruchą przygotuję jego sumienie.

I myśląc to o tém, to o owém, gryzł wargi i szukał konceptu.

Link począł się już widocznie niecierpliwić. Nagle mieszczaninowi nasunęła się myśl, jak mu się zdawało szczęśliwa.

Z widoczném ukontentowaniem pogładził wąsy, orodę i pierś aż do kolan, i rzekł:

— Widzisz pan, bo u nas to lud niepoczciwy, sami złodzieje!

— U was, hm! to prawda—odparł Link, nie spodziéwając się takiéj sentencyi od Wojny.

— Otóż znalazł się jeden taki bezbożnik, który naszemu doktorowi coś ukradł.

— Ukradł, hm! ukradł!

— Ukradł, za co jak każdy złodziéj przed sądem Pana Boga, który katolików i niekatolików sądzi, strasznie będzie musiał odpowiadać!

Rzekłszy to, otworzył széroko oczy i wlepił je w twarz agenta, pewny jego wzruszenia i skruchy.

Ale agent był, jak na złość, nadzwyczaj spokojny. Założył palce, a trzaskając niemi po kolei, bawił się tą szczególną melodyą.

— Ale dzięki niebu — mówił daléj mieszczanin, uśmiéchając się, że już zdąża do końca ze swoim dyplomatycznym dyalogiem, który go kilka kropel potu kosztował—dzięki niebu, że téj ohydnéj kradzieży przeszkodził tak poczciwy człowiek, jakim jest pan Linkiewicz, którego wszyscy ludzie znają jako porządnego negocyanta reputowanego domu Warnera i spółki.

Wymówiwszy to, zarumienił się po uszy poczciwy mieszczanin, wyrzucając sobie tak oczywiste kłamstwo. Ale zrobiwszy naprzód ślub świętemu Antoniemu, który według jego zdania ma być najskuteczniejszym patronem przeciw złodziejom i oszustom, że za to niewinne kłamstwo będzie przez cztéry piątki suszył i po pięć paciérzów odmawiał, uspokoił się w duchu i dosyć śmiało wyczekiwał odpowiedzi.

— Ja miałbym ze złodziejami miéć co do czynienia?—zawołał zdziwiony niby agent.

— Nie, panie Linkiewicz, broń Boże, tego nikt nie mówił. Ale tę skrzyneczkę miał pan na drodze odebrać złodziejowi, a nie wiedząc, do kogo ona należy, wziąłeś pan z sobą. Tak mówili ci, co to widzieli.

Dał w ten sposób do zrozumienia agentowi, że mu zostawia wóz i przewóz, a trochę w końcu niby groził i rozparł się z dumą na stołku, wielce uradowany dyplomatycznym swoim talentem. Uczynił on podobnie jak lekarz, który dając choremu na poty, domieszał także lekarstwa na powstrzymanie gorączki, z obawy, aby zanadto wielkich potów nie sprowadził. Ale jak owemu ostrożnemu lekarzowi ta nienaturalna mikstura wydała wcale inny skutek, niż się spodziéwał, tak samo stało się naszemu nieszczęśliwemu dyplomacie, który tym razem jak najhaniebniéj oszukany został we wszystkich swoich rachubach. Link bowiem zerwał się z łóżka, na którém dotąd siedział, i tak wrzasnął nad uchem mieszczanina, że mu nagle tysiąc dzwonów zadzwoniło:

— Kto mnie widział? hę! powiédz pan zaraz, kto mnie widział? Ja ze złodziejami?...

Wojna uznał za rzecz konieczną, wystąpić teraz

w właściwéj swojéj barwie. Zrzuciwszy więc obłudną maskę, najéżył wąsy, podgarnął czuprynę i krzyknął mu w odwet w lewo ucho:

— Linku, oddaj, coś ukradł, widziałem cię i basta!

— Jam ukradł?... ty śmiész... ty kołtunie...

— Złodzieju! wara!—krzyknął mieszczanin, podnosząc się ze stołka i widząc, że po zerwanych dyplomatycznych stosunkach tylko groźną demonstracyą może pozycyą uratować.

Ale co się daléj z nim stało, tego nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że się nagle twarzą do drzwi obrócił, czołem, zamiast ręką je otworzył, a gdy do siebie nieco przyszedł, zdawało mu się, że go zamieniono w zwiérzę czworonożne, bo nie stał jak człowiek na dwóch nogach, ale i rękoma się podpiérał.

Było to prawdziwe arcydzieło Linka, który w dziwnym jakimś paroksyzmie tyle siły i zręczności rozwinął.

Bądź co bądź, należało najpierwéj uratować godność człowieczą. Mieszczanin podniósł się z ziemi i stanął na dwóch nogach. Potém obejrzał się, a nasunąwszy czapkę na uszy, rzekł do siebie:

— Źlem zrobił. Demonstracya była przedwczesną. Potrzeba było rzecz całą przeprowadzić dyplomatycznie. Ale człowiekowi nie stało cierpliwości, aby dłużéj grać komedyą. Zresztą są fizyonomie, do których nie można mówić spokojnie. Ręka swędzi w kieszeni, jakby dyabeł po niéj drapał.

Mówiąc to do siebie, postawił jednę nogę na schód, postawił i drugą, a gdy to samo siedmdziesiąt razy powtórzył, spostrzegł się, że już jest na dole i stoi przed człowiekiem w dużéj, białéj szlafmycy, który go

dziwnie na wszystkie strony ogląda. „Mądry głupiemu ustąpić musi“, pomyślał sobie zégarmistrz i drapnął z kamienicy co tchu, bo mu się jakoś markotno robiło wobec téj długiéj, chudéj figury z białą szlafmycą na głowie.

Są ludzie, o których mówią złośliwi Francuzi, że im dopiéro na schodach przychodzą dobre koncepta do głowy. Jakkolwiek mieszczanin dąbczyński niekoniecznie do nich należał, jednak szczególnym przypadkiem wyniósł z siedmdziesięciu pięciu schodów wcale nie zły koncept na ulicę.

Rozumował sobie w ten sposób:

— Dałbym sobie głowę uciąć, że Link był pijany. Inaczéj nie dałby mi rady i nie wyrzuciłby mnie tak łatwo za drzwi. W takim razie trudna z nim sprawa, a nawet wiele się już popsuło. Zresztą w jego domu, na jego śmieciu nie wypada człowieka napadać. Tę obelgę trzeba ofiarować św. Antoniemu, a jutro rano, gdy będzie trzeźwy, trzeba całą rzecz z góry na nowo rozpocząć. Nie zawadzi jednak i z tego wypadku wyciągnąć naukę, która i tak już w polskiém jest przysłowiu: Co nagle, to po dyable. Ja tylko dodam do tego: Gdy idziesz do złego człowieka, to policz naprzód schody, bo idąc nazad nie będziesz miał czasu.

Do nocy było jeszcze daleko. Mieszczanin przeszedł jednę i drugą ulicę, napatrzył się do syta różnym esom i floresom, a obaczywszy wystawę zégarmistrza, stanął przed nią na czas dłuższy.

Zrazu patrzył dosyć ciekawie na te drobne i płaskie zégarki, lecz powoli zaczął się uśmiéchać, a wi-

dząc, że koło niego nie ma nikogo, rzekł do siebie półgłosem:

— Wszystko to wyrwigrosz i tandeta. Takie małe, niepokaźne, niech tylko jeden ząb się skrzywi, a już człowiek nie da temu rady. Nie ma to jak stary, dawny zégar, mospanie, z kukułką i kurantem! Człowiek już wiedział, co ma w domu. Była i wygoda i rozrywka. A teraz, pożal się Boże!... I jakże to poczciwy kunsztmistrz może dzisiaj taką tandetę sprzedawać, oszukiwać ludzi, dawać zégarek o trzéch kółkach? To mi zégar, że jak zajrzę do niego, to gęsto jak w lesie! Aż się ćmi przed oczyma, a serce rośnie, gdy to wszystko ruszać się zacznie, jakby żyło! A teraz trzy kółka i basta!...

Machnął ręką, nasunął czapkę i poszedł daléj szczéropolski konserwatysta, bolejąc nad światem, że wstecz idzie, że z każdym dniem coraz więcéj się psuje! Ale żal jest krótki, a czas długi, więc pomyślał nad tém mieszczanin, jakby to ten czas uczciwie i pożytecznie do nocy przepędzić.

— Trzeba iść między ludzi i przypatrzyć się im— rzekł do siebie i zboczył z ulicy w wielką bramę, nad którą kołysała się w różne pieścidełka ustrojona wiécha.

W długiéj, brudnéj piwnicy siedzieli goście za stołem. Był gwar i krzyk, bo każdy miał w koło siebie znajomych i przyjaciół. Pili piwo dzbankami i palili fajki, aż duszno było.

Mieszczanin siadł sobie w kącie i począł się pijącym przypatrywać. Dziwiło go to, że każdy mówił tylko o zysku i o piéniądzach, a nikt nie mówił o żonie, o dziatkach, o krewnych i przyjaciołach. Nikt nie mó-

wił o domku swoim, w którym zamyka się jego szczęście, nikt nie zwierzał się z cierpieniem swojem, nie mówił o kłopotach ze złą żonką, jak to często nasłuchał się był od Mietlicy.

I pomyślał sobie w duchu polski mieszczanin:

— Ci wszyscy muszą być czeladnicy, bo mówią tylko o zarobku. Nie ma między nimi żadnego majstra. Bo póki człowiek tylko dla zysku robi, to zawsze czeladnik. Majster robi dla żony i dziatek, a gdy mówi, to o sprawach swego cechu, albo o kraju, który jest jego ojczyzną. Z przyjacielem mówi o domu swoim i zwierza mu różne dobre i złe tajemnice. A to jakaś hołota i czeladź!

Zaledwie sobie to spostrzeżenie w głowie zanotował, aby staremu ekonomowi, który tak rad słucha, jak najlepsze o sąsiednim narodzie dać wyobrażenie, gdy nagle nowa sentencya wcisnęła mu się pod czapkę trójgraniastą. Widzi, jak do każdego z gości przychodzi kelner i każdemu z osobna podaje rachunek, a nawet tym, którzy przez cały wieczór serdecznie się ściskali.

I zanotował sobie w pamięci polski mieszczanin:

— Tu każdy dla siebie tylko żyje, jé i pije. Przyjaciel przyjacielowi ani kieliszka wódki nie kupi. Nie znają, co to wspólny dzban, co wspólna miska. Jest to dowód, że nie ma między nimi wspólnéj miłości. Łączy ich tylko razem brzuch i zysk, a nie serce. Każdy za swoją gębę osobno płaci. Na sądnym dniu będzie miał Pan Bóg wiele z nimi kłopotu i zachodu. Każdemu z nich trzeba będzie dać osobny rachunek. Z nami, gdzie wielu razem grzészy, lub razem czyni, łatwiejsza będzie sprawa.

A że już jakoś późno się zrobiło, wstał zégarmistrz z tą ostatnią konotatką od stołu, a kupiwszy sobie za kilka groszy na noc łóżko w jakiejś dużéj ciemnéj izbie, położył się szczęśliwie i usnął snem sprawiedliwego człowieka, którego włosy na głowie policzone są przez Opatrzność. Tylko w piérwszym śnie niepokoił go trochę mniemany jego nieprzyjaciel z tłustym brzuchem. Zaglądał do nizkich okien jego domku i uśmiéchał się szyderczo. Ale za drugiém „Zdrowaś Marya“, znikł jak dyabeł pokropiony święconą wodą. Za to pocieszył go Pan Bóg nad ranem snem prawdziwie wieszczym. Utwierdził go bowiem w tém mniemaniu, że Link istotnie tę szkatułkę ukradł. Mieszczanin widział ją we śnie, leżącą na stole agenta.

Zbudziwszy się więc rano, odmówił modlitwę za ten palec boży, a pokrzepiwszy się gorącém piwem, zaprawioném mlékiem i sérem, wyszedł z lekkiém sercem na ulicę.

Nigdy jeszcze nie było niebo tak piękne jak dzisiaj; kilka białych chmurek żeglowało gdzieś od wschodu. Mieszczanin spojrzał na nie i był pewny, że przed chwilą na te same chmurki patrzył się jego przyjaciel Mietlica, wstając do rannéj pracy. Wietrzyk był ciepły i przyjemny, słońce ogrzéwało łagodnie.

Spokojnie i lekko szedł mieszczanin długą ulicą, prowadzącą do domu agenta. Spodziéwał się, że go zastanie trzeźwym, że pomówiwszy z nim dobre słowo, trafi z nim do końca. Nawet postanowił nie wspominać mu o wczorajszéj obeldze, którą już i tak ofiarował św. Antoniemu.

I tak w najlepszych nadziejach zbliżył się do znajomych mu dobrze siedmdziesięciu pięciu schodów. Ale

żal mu jeszcze było ciepłego majowego słońca. Zawrócił się z ciemnéj sieni, stanął na progu i pełną piersią zachwycił wiosennego powietrza. Jakoś mu nigdy jeszcze tak nie smakowało to świéże, wiosenne powietrze....

Wreszcie wlazł na schody, a przeliczywszy je z uwagą, stanął na poddaszu. Powoli zbliżył się do drzwi agenta, zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Pocisnął za klamkę — były zamknięte. Spojrzał przez szeroką szparę — w izdebce nie było nikogo — a na czarnym stole leżała ta sama, ciemnego koloru szkatułka, jak ją we śnie nad ranem widział.

Mieszczanin zdjął czapkę i podziękował Bogu, że go tak dobremi poprowadził drogami. Popatrzył się jeszcze raz przez szparę, a ciemna szkatułka zdawała się uśmiéchać do niego, jak dobra znajoma. Zmrużył jedno oko—szkatułka uśmiéchała się ciągle.

I szczególna myśl przyszła mieszczaninowi do głowy. Obejrzał się w koło—nie było ani żywego ducha. Jakiś dreszcz przeszedł po nim, zacząwszy od łysiny, aż do wielkiego palca w bucie. Obejrzał się jeszcze raz, i jeszcze raz nie było ani żywego ducha.

Zdjął czapkę i otarł spocone czoło. Szepnęło mu coś do lewego ucha:

— Link ukradł szkatułkę, czy to będzie grzéchem, jeżli mu ją teraz bez jego wiedzy odbierzesz?

I znowu przeszedł dreszcz po nim, zacząwszy od wielkiego palca w bucie, aż do łysiny na głowie. A pod czapką trójgraniastą poczęły biegać różne myśli, jak mrówki po rozburzoném mrowisku.

Przypomniał sobie słowa Jerzego, że ta szkatułka może coś bardzo ważnego w sobie mieścić, a w rę-

ku agenta mogłaby stać się jeszcze ważniejszą. Przypomniał sobie, z jaką wściekłością i siłą wczoraj agent na niego się rzucił, z jaką bestyalską namiętnością za drzwi go wytrącił, a do tego godność jego człowieczą nogami zdeptał. Gdy sobie o tém wszystkiem wspomniał poczciwy mieszczanin, a gdy jeszcze do tego dodał owe siedmdziesiąt pięć schodów i tę długą, wychudłą figurę w szlafmycy, którą wczoraj na dole widział, obaczył nagle pozycyą swoję tak trudną i krytyczną, jaką się mu wprzódy nigdy nie przedstawiała. Był pewny, że agent téj szkatułki za nic w świecie z rąk nie da, że może zawartych w niéj rzeczy użyć na cudzą niekorzyść, że trudno w drodze sądowéj o nię się upominać, gdyż nie wiedzieć, co w niéj jest. Słowem, sytuacya mieszczanina wikłała się coraz więcéj, niknęła jego nadzieja, że w drodze spokojnéj przyjdzie do ukradzionéj szkatułki.

Znowu obejrzał się na około, przyłożył oko do szpary, a szkatułka uśmiécha się i uśmiécha.

— Tylko trzy kroki, a miałbym ją w ręce!—pomyślał sobie mieszczanin i nacisnął silniéj drzwi czołem.

Coś trzasło z cicha, a kilka szczypt próchna posypało się na ziemię.

— Nawet drzwi same się pruszą, stare pruchno... —szepnął mieszczanin do szpary, przycisnąwszy głowę do piersi.

Znowu coś trzasło—jakiś stary gwóźdź brzęknął na ziemię.

— Próchno i rdza!—pomyślał sobie mieszczanin —tylko pchnąć!

A ciemna szkatułka tak strasznie miliła się do niego! Widział swój tryumf, gdy ze szkatułką pod pa-

chą będzie wchodził w bramy Dąbczyna i to wszystko opowié staremu ekonomowi, jak to mu się tam za granicą szczęśliwie powodziło! Tylko trzy kroki naprzód, trzy kroki, to niewiele!...

A na poddaszu nie było nikogo, wszędzie głucho i cicho. Ani żywego ducha.

Mieszczanin pochylił się, przyłożył oko do szpary, jakoś samo ramię przytuliło się do spróchniałéj deski... coś zaczęło trzeszczéć...

Wtém ktoś krzyknął za plecyma i porwał go za kołniérz.

Wojna obrócił się, a chudy, długi hausmajster w szlafmycy na głowie stał przy nim i strasznie coś szwargotał.

Była to ta sama figura, którą widział wczoraj na dole. Postać mieszczanina z Dąbczyna wydała mu się dziwną, wylazł więc za nim na poddasze.

Mieszczanin chciał właśnie jakoś rozsądnie z tym człowiekiem pogadać, gdy nagle zbiegło się koło niego wiele ludu, krzycząc i hałasując. Jedni nazywali go złodziejem, drudzy rabusiem, co wysłuchawszy wszystko Wojna, tak się tém zafrasował, że prawie nic więcéj o sobie nie wiedział.

Wiedział tylko jakby przez sen, że go sprowadzano przez owe siedmdziesiąt pięć schodów, przez które niedawno z tak lekkiém szedł sercem, jakby do komunii świętéj; wiedział, że mnóztwo ludu otoczyło go i krzyczało mu do uszu różne haniebne przezwiska; nakoniec widział, że jakiś wysoki człowiek w pikielhaubie założył mu na ręce żelazną obrożę, wsadził w dorożkę i woził trochę po ulicy, jakby na okaz głupim ludziom, którzy oczy na niego wytrzészczali. A gdy już na do-

bre do siebie przyszedł i széroko oczy mógł otworzyć, ujrzał się w ciemnéj, małéj celi, któréj drzwi były zamknięte na trzy zamki!

O! jakże smaczném wydało się mu to świéże, majowe powietrze, którego dziś rano na progu tego nieszczęsnego domu po raz ostatni w pierś zachwycił!...

Lecz jako prawy katolik zebrał się prędko na duchu i rozpatrzył się w całém swojém nieszczęściu. Trudny był tu ratunek. Potrzeba było rozpocząć od Boga.

Więc przeżegnawszy się, odmówił najprzód z pokorą modlitwę „w utrapieniu“, którą umiał na pamięć, a do któréj *intra parenthesim* włożył kilka słów własnego konceptu o Danielu w jaskini dzikich zwiérząt.

Podłożywszy tym sposobem fundament do wszystkiego tego, co się potém z woli bożéj stać miało, zastanawiał się jeszcze raz nad całém swojém nieszczęściem i zanotował sobie w głowie następującą sentencyę:

— Nie używaj nigdy złych środków, choćbyś miał niemi i najszlachetniejsze osiągnąć cele. Kto nieprawą rękę wyciąga, aby nią co dobrego zdziałać, tego Pan Bóg zawsze po palcach uderzy. Za co niech będzie błogosławione Imię Jego teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.

III.

Gdyby był Wojna wiedział, że owa nieszczęsna szkatułka, którą nietylko we śnie nad ranem, ale i na jawie widział przez szparę w izdebce agenta, była zupełnie próżna, nie byłby się o nią pokusił, a tém samém uszedłby był tego nieszczęścia, w którém się teraz znajdował. Ale snać było to już takie zrządzenie bozkie, które niezbadanemi drogami wiedzie człowieka do celu. I jako takie przyjął to z pokorą mieszczanin i z ufnością w Bogu poddał się swemu losowi.

Szkatułka w saméj rzeczy była próżna. Wstawszy bowiem z rana agent przekonał się po trzéźwemu, że łacniéj mu przyjść do długiego kapotroku i pantalonów za ośm talarów, jak stać się porządnym człowiekiem i w kasynie Reubundu czytać gazety. O krzyżu już nawet i mowy nie było, a cztéry pokoje z woskowaną posadzką były dzisiaj tak niepotrzebnym luksusem, że nawet o nich długo nie myślał.

I pomyślał sobie, wybierając papiéry ze szkatułki:

— Życie człowieka jest to kupa czarnéj sadzy, przykryta białém prześciéradłem. Kto raz w tém

prześciéradle dziurę zrobi, już na zawsze będzie brudny i czarny, choćby jak najdaléj od téj dziury uciekał.

A rozumując w tym duchu daléj, przyszedł między kawą a drugim kieliszkiem wódki do następującego zdania:

— Człowiek, który raz w tém prześciéradle dziurę zrobił, nie może już daléj sam chodzić, bo wszędzie zostawia za sobą ślady. Musi on trzymać się tego, który lepiéj i ostrożniéj od niego stąpał po tém głupiém prześciéradle, chociaż całą sadzę do gruntu wymieszał i nią handlował.

Posmutniał nieco po tém zdaniu poczciwy agent, a pokrzepiwszy się drugim kieliszkiem wódki i powiedziawszy żonie, że jest głupią i prostą kobiétą, wziął staranie papiéry pod pachę i wyszedł, aby je złożyć do rąk swego pryncypała.

Kantor pryncypała był w samym rynku, w dużéj, staréj kamienicy, na rogu ulicy Królewskiéj. Szczególna była architektura téj kamienicy. Jakieś dachy i daszki piętrzyły się jeden na drugim, a okna były nieregularne i dziwaczne. Karyatydy, stojące po obu stronach bramy, miały twarze dziwnie pokrzywione, jakby się śmiały i szydziły z wchodzących. Głowy, dźwigające duży, kamienny balkon, wystawiały języki na patrzących i urągały się. Twarze umieszczone pod samym dachem, w zakończeniach gzymsów, śmiały się szydersko i z po za uszów okazywały przechodniom tak zwane figi. W zagłębieniach nad oknami były płaskorzeźby, przedstawiające same sceny obelżywe. Nawet klamki i ozdoby przy drzwiach nosiły to samo piętno, cechujące ten dom szczególny.

Zdawałoby się, że architekt w napadzie jakiegoś

szaleństwa stworzył plan tego domu i ozdób jego, ale dawna miejska legenda wyświécała tę rzecz w kilku słowach. Jakiś starozakonny miał kiedyś kupić ten plac, aby na nim wystawić dom okazały. Burmistrz miasta, niewiedzieć z jakiego powodu, zabronił starozakonnemu postawienia domu. Wytoczył się długi proces, który się aż o króla oparł. Naturalnie, żyd wygrał, postawił kamienicę i aby dokuczyć mieszkającemu naprzeciw burmistrzowi, poumieszczał te figury i ozdoby, które szydząc z jego upadłych wyroków, wystawiały do niego języki, śmiały się, pokazywały mu figi i inne jeszcze sromotniejsze wyrządzały mu obelgi.

I tak chwilowa zemsta jakiegoś żyda, tycząca się burmistrza, przeszła w kamień, gips i żelazo, a dzisiaj tysiącom niewinnych ludzi urąga się z tą samą zapalczywością, jaka niegdyś prześladowała biednego burmistrza. Karyatydy tak samo szydzą z wchodzących do téj tajemniczéj kamienicy, Atlasy, dźwigający balkon, tak samo wystawiają długie języki każdemu, kto pod nie wejdzie, a z pod dachu patrzą wykrzywione satyry i okazują złośliwe figi z po za rogów.

W téj to szczególnéj kamienicy był kantor prynćypała naszego agenta. Zdawało się, że ją naumyślnie wybrał na to, jako odpowiadającą doskonale z wszystkiemi swemi ozdobami jego charakterowi i zamiarom.

Po lewéj stronie był rzęd dużych okien, sztabami żelaza prawie szczelnie zakutych. Nad temi oknami był skromny napis białemi literami na dużéj, czarnéj tablicy: „Moses Goliat et Compagnie“.

Była to jednak tylko *filia* tego znakomitego domu, którego głowa, pan Moses Goliat, gdzieś indziéj

mieszkał. W mieście nazywano powszechnie ten kantor kantorem Warnera, który właściwie był tutaj tylko negocyantem i kompanionem Mojżesza Goliata.

Mimo to straszną była ta firma dwóch olbrzymów dla małych wekslarzy miasta, a żaden Dawid nie odważył się dotąd rzucić na nię choćby najmniejszym kamykiem. Od świtu snuły się tutaj roje drobnych negocyantów, czekając hasła do rozpoczęcia dziennéj walki. Byli to rozsypani tyralierzy, którzy na własną rękę rozpoczynali piérwsze operacye, debuszując silnemi oddziałami z pod śmiejących się karyatyd. Główna załoga tego nieśmiertelnego korpusu nie opuszczała nigdy fortecy swojéj, obwarowanéj żelaznemi sztabami, żelazną, do drzwi przybitą kratą. Tam był wieczny i głuchy spokój. Tylko czasem zabrzęczało złoto na stole marmurowym, zaszeleściały papiéry w skrzyniach żelaznych, albo z ust bladego dyspozytora wyleciało kilka słów jednogłoskowych.

Dom „Moses Goliat et Compagnie“, był to ogromny olbrzym Bryareusz, który sto ramion swoich położył na wszystkich częściach świata. Był to jeden z owych licznych potentatów czasów naszych, którzy pod każdym względem przypominają rozbójniczych grafów z czasów feodalnych. Naczelnik tego domu, „Sir Moses Goliat“ miał wprawdzie mieszkać w Frankfurcie, ale ponieważ imię „Moses“ było rodzinnem wszystkich „Goliatów“, i kilku ich po największych stolicach świata mieszkało, więc trudno było wiedzieć z pewnością, gdzie właściwie znajduje się głowa téj olbrzymiéj machyny. Zdawało się, że cała ta machyna, złożona jak soliter z tysiąca pierścieni, w każdym pierścieniu miała życie całkowite, z każdego odciętego

pierścienia mógł się na nowo odrodzić ten robak olbrzymi. Wtajemniczonym jednak kapłanom téj instytucyi wiadomo było, że prawdziwy „Sir Moses Goliat“ mieszkał w Berlinie w dwudziestu szczelnie zamkniętych pokojach swojéj kamienicy „pod Lipami“, gdzie z całym urokiem Padyszacha, okazywał się swoim wspólnikom i negocyantom tylko raz w rok, dla wyliczenia im dywidendy. Rozdzieliwszy swą zdobycz, cofał się znowu jak olbrzymi pająk do swojéj kryjówki, patrząc ztamtąd na rozstawione siéci i pracującą czeladkę.

Z razu dom „Moses Goliat et Compagnie“ robił tylko piéniądzie. Ale w najnowszych czasach okazała się ta operacya nieco za nudną i mało zyskowną. Więc za przykładem innych, mianowicie angielskich i amerykańskich domów, wzięto się do lepszych i obszérniejszych spekulacyj. Jak tamci w Indyach i stepach amerykańskich poczęli zakupować ziemię, budować miasta i z wszystkich kątów świata sprowadzać osady, tak samo i wewnątrz Europy znalazły się różne pola do podobnych spekulacyj. We Francyi w tym celu zawiązało się bogate towarzystwo, znane pod imieniem „czarnéj bandy“. Skupuje ono na subhastacyach sądowych obszérne dobra i rozdrabnia je potém między drobnych właścicieli. Wiadomo, jak wielki zysk wypada ze sprzedaży parcelami wielkich obszarów. Może to pod względem ekonomii politycznéj jest dobrze i zyskownie, ale pod względem moralnym są to duchy, zaciérające to wszystko, cokolwiek w tylu wiekach uczyniła ludzkość, aby ślad po sobie zostawić. Dla piędzi ziemi, zdolnéj pod uprowę marchwi, lub buraków, walą się pamiątki narodowe, padają stare zam-

ki i parki, znikają mogiły i grobowce, przypominające potomności bohatérskie czyny jéj praojców! Dewiza tych ludzi jest: „Wszystko dla zysku, nic dla serca!“

Podobną drogę wybrał sobie dom „Moses Goliat et Compagnie.“ W Hamburgu miał parowe okręty, na których jego agenci wywozili złudzonych różnemi obietnicami emigrantów do lasów Ameryki, lub pustyń Nowéj Holandyi, aby pobudowane tamże miasta i plantacye nimi zaludnić. W Wiedniu miał agencyą do kolonizacyi dolnych Węgier; w Paryżu grał *à la hausse* z całą namiętnością zapaleńca, a w londyńskich dokach miał nieprzebrane składy towarów kolonialnych.

Odnogą tych przeróżnych spekulacyi, był kantor „Moses Goliat et Compagnie“ w znanéj nam kamienicy o śmiéjących się wiecznie karyatydach. Był to wysunięty naprzód posterunek téj armii złowieszczéj, która kroki swoje na wschód skierowała. A nie było Leonidasa, któryby stanął naprzeciw tym zastępom nowego Kserksesa?

Leonidasa nie było—ale były Termopile.

Wielkie księstwo Poznańskie, znękane i zrujnowane różnemi przygodami, wybrane zostało na miejsce nowożytnych podbojów. Zdawało się, że duchy pobitego pod Grünwaldem zakonu wstały mściwe z kilkowiecznego snu, weszły w ciała spokojnych negocyantów, agentów i kolonistów, a biorąc za miecz godło dzisiejszéj cywilizacyi: „zysk i pracę“, stanęły na dawnéj swojéj linii bojowéj: aby na tém samém miejscu stoczyć bój z nieprzyjacielem, na którém przed kilkoma wiekami, okryci wiekopomną niesławą, pokładli się stosami do mogił, oddawszy hołd wielkiemu zwycięzcy!... Na tém samém miejscu miały one odnieść tryumf,

a na gruzach polskich zamków i dworów miały zatknąć swoje sztadary i rozwijać je do boju daléj, na wschód, na wschód!...

A zwycięzcy z pod Grünwaldu mogli dzisiaj zaledwie w trzystu stanąć, mogli na kresach ojczyzny stworzyć tylko nowe Termopile!...

„Goliat“ stanął tuż na saméj granicy wielkopolskiéj i wyciągnął nad nią olbrzymie swoje ramię. Uzbrojonemu od stóp do głowy olbrzymowi jakże mogła się oprzéć gromadka patryarchalnych Dawidów z drobnym kamykiem w procy, z kijem pasterskim w ręku?...

Rzućcie nieudolne radła wasze, wy poczciwi mieszkańcy białych dworków polskich, wynijdźcie z zapadłych zamków waszych, wy potomkowie wojewodów i kasztelanów, porzućcie grobowce ojców, kij tułaczy weźcie do rąk i opuśćcie tę ziemię obiecaną, któréj nie umieliście kochać i bronić!... W worku pokuty, posypani popiołem, rozejdźcie się po całym świecie jako synowie Izraela, a narody wypalą znamię na skroniach waszych: „Oto są ci, którzy zbiegli z przedniéj straży narodu, nie umiejąc walczyć, jak walczyli ich ojcowie! Hańba im!...“ Ale naród wasz inaczéj was osądzi, rycerze kresowi! Na waszę skroń tułaczą włoży koronę męczeństwa, wasze mogiły i gruzy domów waszych naznaczy w księgach pamięci: „Tu legła w nierównéj walce przednia straż nasza: cześć poległym bohaterom! Przechodniu, uczcij Termopile!...“

„Goliat„ rozpoczął straszną walkę i niejedno zwycięztwo uwieńczyło już jego skronie. Najprzód wszystkim mieszkańcom ziemi poznańskiéj otworzył kredyt nieprzebrany. Był to fundament wszelkich innych operacyj. Liczni agenci przebiegali kraj w szérz

i wzdłuż, mianując i namaszczając stałych negocyantów po miastach i miasteczkach. Obowiązkiem było każdego prowadzić regestra dochodów i rozchodów wszystkich większych właścicieli ziemi, miéć dokładne wiadomości wszystkich ich słabostek, schlebiać im o ile można, popychać ostrożnie stylizowanemi radami do różnych wkładów i przedsiębiorstw; wchodzić w spółkę, pożyczać piéniędzy, póki w wyrachowanym naprzód okresie czasu nie staną nad niechybną przepaścią. Wszystko to jest wyrachowane naprzód, wszystkie katastrofy obliczone co do sekundy, według najprostszéj formułki algebraicznéj, a w kalendarzu negocyanta są naprzód wpisane i oznaczone zaćmienia częściowe i zupełne — bankructwa, subhastacye. Są nawet wymienione osoby, na których imię dobra kupione być mają i kto będzie ich administratorem.

Wszystko to dzieje się z nadzwyczajnym porządkiem, z pozorami szlachetności i ofiary bezinteresownéj.

Pod egidą tego wszechwładnego sztandaru sypią się koloniści jak mrowisko i osiadają na olbrzymich szkieletach polskich posiadłości. Ogryzają do szczętu każdą żyłkę polską, zaciérają dawne nazwiska, cudzoziemczą lud, walą zamki i grobowce, i z każdym rokiem posuwają granicę narodów coraz daléj na wschód, a z ziemi utraconéj rozchodzi się coraz więcéj tułaczów i sierot bez progów rodzinnych!

Mimo to rzadko kto poznał postępującego naprzód nieprzyjaciela. Kredyt, który szedł przed nim, bardzo przypadł mieszkańcom do smaku. „*Après nous le déluge*“, mówili jedni i brali pełną garścią z bezdennych skrzyń tego kredytu; inni sądzili, że zdołają swój majątek oczyścić i rozprzestrzenić; inni jeszcze wpisy-

wali się do przedsiębiorstw, które miały im przynieść zyski dwukrotne. „Goliat“ wszystkim dawał i uśmiéchał się, bo miał już naprzód wyrachowaną subhastacyą, wiedział dzień i sekundę, w któréj kredyt jego musi zabić nieomylnie dłużnika.

Kredyt w przedsiębiorstwach przemysłowych może być wielkiéj wagi, ale rolnika zabija. Mianowicie rolnictwo polskie, nie podniesione jeszcze do przemysłu, najgroźniejszego ma nieprzyjaciela w kredycie. Prosty rachunek może to okazać. Rolnik pożycza w instytucie kredytowym pewną sumę. Jeźli policzy wszelkie poboczne wydatki i stratę na papiérach, to procent pożyczki dojdzie do dwunastu, jak się to dzieje z pożyczką, którą zaciągają Galicyanie w banku wiedeńskim. Kapitał ten włożony w ziemię przy polskiem gospodarstwie możeż przynieść dwunasty procent?... Nie jestże to dobrowolne przyłożenie sobie noża do gardła? Nie możnaż tu jak najpunktualniéj obliczyć czasu koniecznego bankructwa?...

„Goliat“ znalazł na polskiéj ziemi bardzo dobry grunt do swoich spekulacyj. Pomagała mu do tego pohopność nasza do gotowych piéniędzy, a wstręt do pracy i oszczędności, nieoglądanie się na przyszłość, i to życie z dnia na dzień, życie wyczekiwania jakiegoś zwrotu w dziejach ludzkości. Pomagały mu do tego nasze cnoty, gościnność i szlachetność polska, która brzydzi się najmniejszym brudem, kalającym dzisiejsze zyski, która dziś jeszcze ma wstręt do łokcia i lady kupieckiéj. Pomagała mu do tego piękna wiara nasza, która chce, aby naród był świątynią, a nie jaskinią handlarzy i wekslarzy. Wszystko to sprzyjało

potężnemu „Goliatowi“, a z każdym dniem ubywało ziemi ojczystéj na kresach wielko-polskich.

Takim był dom „Moses Goliat et Compagnie“, owa niezłamana forteca, zkąd cicho i bez huku odbywały się nowoczesne podboje. Napróżno urągały się z wchodzących do kantoru szlachciców polskich kamienne karyatydy, napróżno wykrzywiały do nich szydercze twarze, śmiały się z pod gzymsów złośliwe satyry; przyciśnięty niepowodzeniem szlachcic wychodził rad z pięniędzmi w kieszeni i zdawało się mu, że owe złośliwe karyatydy serdecznie uśmiéchają się do niego, że atlasy mrugają mu najszczérsze pozdrowienie, a niecne satyry pod dachem trzymają przy głowach zamiast fig i rogów koźlich, rogi obfitości, z których wysypie się szczęście i pokój na zagrożony jego domek biały!...

O! śpiesz, śpiesz co prędzéj do tego białego domku, szczęśliwy człowieku! Żona i dziatki czekają cię niecierpliwie—sąsiedzi układają kulig staropolski! Żonie potrzeba nowych jedwabnych sukien—dzieciom zabawek i stroików — dla sąsiadów wina i pasztecików. Lekarz zaordynował ci kąpiele zagraniczne, twój sąsiad sprowadził z Berlina nowy ekwipaż, na który przecież stać i ciebie!... Żyjemy tylko raz, cóż ztąd, że za kilka, kilkanaście lat obcy kolonista zdmuchnie ślady twoje z tych progów, twoje dzieci pójdą w świat tułaczami—a kraj rodzinny straci kilka piędzi ziemi.... Śpiesz się... karyatydy mrugają ci pozdrowienie, poczciwe satyry sypią na twą głowę kwiaty z rogów obfitości, i kwiatów tych wystarczy ci na resztkę życia, wystarczy aż do grobu... a za grobem nie usłyszysz skarg i wyrzutów, choć tam kiedyś pług obcy twoje kości wyrzuci!...

Było jeszcze rano. Sześć dolnych okien zasłaniały z wewnątrz czarne, żelazne okienice. Tylko siódme okno było już otwarte. Mali negocyanci krążyli nieustannie koło tego okna i na zaprószonych szybach zdawali się wyczytywać najświéższe, z wszystkich części świata telegrafowane kursa.

Wreszcie okazała się w oknie mała, podłużna kartka. Tłum ludzi, najdzikszemi namiętnościami szarpany, przycisnął się do żelaznych łańcuchów, tworzących baryerę. Najżarliwszy katolik nie może patrzéć na Przenajświętszą Hostyą z większém upojeniem, jak ta namiętna tłuszcza pożérała oczyma ten świstek papiéru.

W oka mgnieniu poczyniono i rozebrano najzawilsze kombinacye, i z gotowym zyskiem w kieszeni rozbiegli się negocyanci, dla wyszukania swoich ofiar nieszczęśliwych.

Tymczasem w fortecy „Goliata“ coraz większy ruch, coraz więcéj życia. Brzęczą łańcuchy i żelazne zapory, otwiérają się drzwi kantoru, a dwóch olbrzymich stróżów wytacza beczki monety, które pójdą gdzieś w świat jak rozpuszczone sokoły, aby po latach wrócić z łupem do swoich klatek żelaznych.

I znowu cicho i głucho w fortecy „Goliata“. W ogromnéj, ciemnéj sali czernieje pięć stołów z wysokiemi półkami, za któremi siedzą jakieś duchy niewidzialne. Tylko pięć piór widać, latających po papiérze, i słychać ich skrzyp nieprzyjemny. Ogromny żégar stuka w długich odstępach, jakby z uwagą liczył miliony. Czasami z po za czarnego stołu niewidzialnego „dysponenta“ wyleci jedna, dwie liczby, jedno, dwa słowa, a cztéry pióra stenografują je w oka mgnieniu.

Tak cicho, tak spokojnie—nikt by nie uwierzył, że w téj chwili robią się miliony, a tysiące ludzi, rozproszonych po całym bożym świecie, schodzi na żebraków—że za kilka dni między drobnemi wiadomościami doniosą dzienniki o kilku samobójstwach, kilku nadzwyczajnych wypadkach śmierci...

Tak cicho i spokojnie... słychać brzęczącą złotą muszkę, która za promieniem bożego słońca wcisnęła się między te skrzynie żelazne, aby głosić chwałę Tego, który ją stworzył. Tak cicho i spokojnie... zdala, tam gdzieś pod niebem śpiéwa ptaszek o boskiéj Opatrzności, która mu dała prześliczne piórka, nakarmiła go i napoiła! Tak cicho i spokojnie... że sercem możesz usłyszéć jęk nieszczęśliwych, których niezbadanemi drogami prowadzi Bóg do wielkich celów swoich!...

Siódme okno, najpiérwéj otwarte, dawało światło małemu gabinecikowi, który właściwą był siedzibą namiestnika „Goliata“. Był to mały, zewsząd żelazem obwarowany pokoik. Po ścianą stało kilka dużych skrzyń żelaznych, przykutych do podłogi. Przy oknie stało biórko kunsztownéj roboty, osłonięte kratką żelazną, która w oddaleniu trzymała każdego niepotrzebnego natrętnika.

W tym to pokoiku zwykł był przesiadywać sprzymierzeniec „Goliata“, Ulrych Warner. Była to nizka figurka, z wiecznie ruchliwą głową i wiecznie mrugającemi oczyma. Na głowie bieliła się resztka włosów; usta wązkie, złośliwie zakąszone, czyniły go podobnym do uśmiéchającego się satyra. Brwi jego, jeszcze dosyć ciemne, zniżały się ustawicznie i podnosiły, jak maszynka do rachowania.

Są w mieście ludzie, którzy pamiętają go jako małego negocyanta, co się pieszo wałęsał w Poznańskiem i z szlachtą drobne robił interesa. Z tych drobnych interesików uciułał zapobiegliwy agent jakąś małą fortunkę i z nią przeniósł się do fortecy „Goliata“, który w oka mgnieniu poznał w nim genialnego człowieka. I nie długo poczciwy, między szlachtą wielkopolską powszechnie znany Warner, został namiestnikiem na pograniczu ziemi polskiéj téj znakomitéj firmy europejskiéj. Odtąd zaniechał już owych „drobnych interesów“, które reputacyą jego na straszną próbę wystawiały, i spekulował tylko na wielką stopę. Mimo to wylazł z niego czasem „drobny spekulant“, jeżeli potemu trafiła się dobra sposobność.

Dzisiaj Warner ma dobrą reputacyę w całéj ziemi wielkopolskiéj. Szlachta ma u niego otwarty kredyt, jest nawet wspaniałomyślnym, nie jeden majątek chciał z duszy i z serca uratować, ale jakaś fatalność zawsze mu przeszkodziła. Ubolewa on nad tém, że trzecia część obywateli polskich z swoich ziem wywłaszczoną została i zachęca pozostałych do przemysłu i pożyczek we wszystkich instytucyach kredytowych całego państwa, dając na usługę wszystkich swoich krajowych agentów za opłatą jak najmniejszą. Ubolewa on nad tém, że karyatydy jego kamienicy, tak nieznośnie się śmieją, że jego Atlasy wystawiają długie do przechodzących języki, i przysięga kilka razy do roku, że się szczérze zajmie radykalną puryfikacyą swego domu z tych wszystkich błazeństw swego poprzednika. Ale w końcu myśli, że już za stary do tego i przekazuje tę puryfikacyą swemu synowi Ottonowi, który oczyści wszystkie te brudy, ciążące na do-

mu Warnerów, i stanie się założycielem czystego rodowodu.

Stary Warner ma rodzinę, ale jakoś najmiléj mu tu przebywać. Z piérwszego piętra prowadzą do tego pokoiku schody kręcone, któremi zaraz z ciepłego łóżka schodzi tutaj i siada, choćby jeszcze nikogo z pisarzów nie było. Tu pije ranną kawę, tutaj każe sobie nakrywać do herbaty, a kilku starych negocyantów starczą mu za wszelkie rozkosze w kole rodziny. Jakieś dziwne powinowactwo jest między nim, a temi skrzyniami żelaznemi, między zakąszonemi jego ustami, a temi zamkami francuzkiemi, między uściskiem jego ręki, a tym płatniczym stołem marmurowym. Nie dziw, że tu go ciągnie, że tu radby strawić każdą chwilkę swego życia.

Dzisiaj rano zwykłym trybem zszedł ze schodów kręconych, a czekając na kawę, wystawił tymczasem zgłodniałym lichwiarzom raport ostatniego targu na giełdzie londyńskiéj. Patrzył czas niejaki z widoczném ukontentowaniem na zdziczałe wyrazy twarzy, stojących za oknem negocyantów i uśmiéchał się spokojnie, jak się uśmiécha stateczny ojciec, patrząc na zabawki kłótliwéj swojéj dziatwy.

Ta niewinna jednak rozkosz poczciwego bankiera zatruta była jakiémś niemiłém zjawiskiem. Cofnął się od okna i poszedł w głąb gabinetu. A wodząc okiém po skrzyniach żelaznych, pomyślał sobie w duchu:

— Gdyby to człowiek mógł się raz pozbyć tych niepoczciwych ludzi i łotrów, którzy jak szydercze karyatydy stoją przy moim domu! Otton musi to wszystko spuryfikować, ja już temu nie poradzę—dodał smutno po chwili.

I właśnie coś sobie o tych złośliwych, dom jego podpiérających karyatydach myśléć począł, gdy się z lekka drzwi otworzyły, a do gabinetu wcisnęła się szydercza twarz satyra o rudych bakenbardach. Bankier zmarszczył brwi, a pomyślawszy jeszcze raz, że Otton dom jego z tych satyrów i karyatyd oczyści, uśmiéchnął się dobrotliwie do wchodzącego swego negocyanta.

— No, cóż tam Linku?—zapytał z uśmiéchem.

Link stanął z uszanowaniem przy progu, bo wielki miał szacunek dla człowieka, który tak doskonale umié chodzić po téj głupiéj sadzy życia ludzkiego, że i prześcieradła nie przedrze i nigdy się ni e powala.

— Wróciłeś już z drogi, i jakże ci się tam powodziło?—zapytał znowu agenta.

— Dobrze i źle, jak to bywa — odpowiedział satyr o rudych bakenbardach.

— Jakie urodzaje?

— Ozimina wymarzła, deszcze ulewne nie dają w polu robić.

Warner zatarł ręce, usta jego zacięły się tém więcéj.

— A jak tam karnawał poszedł, huczno?

— Gdzie najmniéj było piéniędzy, tam najhuczniéj.

— Cóż w Starochowie?

— Starochów pożyczył w komandycie banku berlińskiego. Thunsen za udzielenie podpisu, jako stale w Poznaniu mieszkający, i za ryzyko wziął piętnaście procent. Za drugi podpis dano tylko pięć.

— Te karły — krzyknął namiestnik „Goliata“— tyle zarabiają!... A Hoczewo?

— Hoczewo ma w przyszłym miesiącu subhastę.

— Spodziéwałem się tego. A Radziejewo *cum attinentiis?*

— Ledwo dyszy. Trzy lata był nieurodzaj; tamtego roku zbił grad, dzisiaj wszystko wymarzło, a resztę woda zalała z Czarnowód.

Warner zatarł znowu ręce i pogładził się po piersi na znak, że tak samo pogładziła po sercu jego mowa Linka.

— Rachmil! bardzo wiele tam zarabia — mówił daléj agent.—Pan major nie chce żadnego swego kłopotu wyjawić przed starym Dębiczem, aby mu nie przeszkadzać wiersze robić. Rachmil wié o tém i dobrze każe sobie płacić za to, że przed starym Dębiczem nic nie mówi i wekslem samego majora się kontentuje.

— Mogiły, Radziejewo i Czarnowody, to będzie ładna, okrągła majętność!—mruknął do siebie bankier.

— A margrabia?—zapytał z większą ciekawością i stanął z otwartą gębą.

— Margrabia chce dać dobry przykład swoim ziomkom—rzekł stary z szyderczym uśmiéchem—przyjechał z zagranicy i siedzi w Dąbczynie. Sam wziął klucze od spiżarni i sam dysponuje obiady.

Warnera twarz zbladła, dolna jéj szczęka poruszyła się machinalnie.

— Przecież nie zechce pod koniec życia stać się oszczędnym?—rzekł bankier więcéj do własnych myśli swoich, niżeli do agenta.

— Objeżdża codziennie pola i rozpatruje się w gospodarstwie—mówił daléj agent, a w oczach jego migotał jakiś szatański wyraz.

— Cóż jemu do pól i do gospodarstwa?—mruknął Warner.

Namiestnik „Goliata“ nie mógł opanować uczuć, jakie w téj chwili jego sercem miotały. Zapomniał nawet, że jeden z najpodrzędniejszych jego agentów stoi przed nim i pilnie na niego uważa. Założył w tył ręce, przeszedł się kilka razy po gabinecie, a stając znowu przed agentem, wypatrzył się na niego, jakby w złośliwym jego uśmiéchu szukał jakiéjś utajonéj myśli. Link z największą otwartością patrzył w siwe oczy bankiera, a widząc, że tam w głębi śpi coś strasznie ciekawego, ułożył swoję fizyonomię do wyrazu obojętności i rzekł:

— Margrabia mówi, że dla córki musi się oszczędzać, aby jéj w posagu zostawić dobra oczyszczone.

— Co mówisz, głupi Linku!—zawołał bankier, szarpiąc agenta za guzik—on swoje dobra oczyści!

— Ja tego nie mówię, panie Warner — odparł spokojnie agent.

— A cóż takie głupstwa powtarzasz?

— Ja tylko zdaję raport.

— Masz racyą, ty zdajesz raport—mówił bankier, oddalając się od agenta.

Znowu przeszedł się kilka razy po gabinecie, zajrzał kilka razy go okna, a pod oknem nie było już „drobnych“ negocyantów, tylko lud boży ciągnął na targ ulicą. W oknie była jeszcze karta kursów piéniężnych, ale nikt z przechodzących na nię nie zważał, nikt jéj nie widział.

Bankier uśmiéchnął się i pomyślał sobie:

— Głupi gmin! Idzie do żmudnéj pracy, lub na targ z garścią zboża, które tyle mozołu go kosztowało,

i nawet nie śni się mu o naszym zysku, jaki mamy bez tak żmudnéj pracy.—On nie wié, że ta kartka więcéj w téj chwili waży, niżeli dwa rozdziały z ewangelii Mateusza... Głupi gmin!

Gdy tak sobie szczęśliwy bankier myślał, stojąc przy oknie i patrząc na ten „głupi gmin“, najpodrzędniejszy jego agent, stojący przy drzwiach w jak najskromniejszéj postawie, uśmiéchał się złośliwie za jego plecami i mówił w duchu do siebie:

— Głupi Warner. Już go znowu mam w kieszeni. Gdzie idzie o zysk, tam nie może ukryć swoich myśli. Gorączka majątku trawi go nieustannie. On nie wié, że, aby być porządnym człowiekiem, trzeba czegoś więcéj. Ja, gdybym to miał, tobym może także chciał więcéj piéniędzy, a tak to tylko tyle pragnę, aby robaka zalać. Warner nie wié, że to, czego mnie i jemu brak, więcéj warto, niżeli wszystkie te kartki kursów europejskich! Głupi Warner!...

Zaledwie agent do swoich myśli zdołał dać wykrzyknik, obrócił się bankier do niego i z miną nieszczęśliwego człowieka rzekł:

— Już to ja temu nie wierzę, aby margrabia coś podobnego miał miéć na myśli. To byłoby wielkie głupstwo z jego strony.

— Nie jednego uratowało głupstwo!—odparł sentencyonalnie agent, uśmiéchając się do zakłopotanego bankiera.

— Głupstwo, głupstwo — powtarzał bezmyślnie bankier, chodząc po gabinecie.

— Dziedzic z Marcinowa przed pięciu laty, gdy spostrzegł, że źle stoi, zamknął się na wsi, wyprzedał całą stajnię koni cugowych i wierzchowców, pięć lat

nie był w mieście, ani nie dawał balu w zapusty, i stanął na nogi.

— To prawda, ale margrabia... margrabia tego nie zrobi, toby nie było dla niego przyzwoitém. Ja właśnie słyszałem, że chcą mu dać order... order nielada... a to wymaga, aby pojechać do stolicy i jakoś żyć z ludźmi... Ale nie, jemu już nie trzeba stolicy. Dąbczyn i tak już przedłużony....—dodał do własnych myśli swoich bankier.

— Spodziéwają się bardzo bogatego zięcia, który Dąbczyn oczyści—wtrącił z obojętnością agent.

— Co, bogatego zięcia?—krzyknął bankier i odskoczył od agenta — bogatego zięcia? Kto ci o tém głupstwie mówił? Dąbczyn mój, rozumiész, Dąbczyn, jakbym go już miał w kieszeni!

Rzekłszy to, poskoczył do biórka za kratką żelazną, a otworzywszy ogromną księgę, począł w niéj przewracać, aby naocznie przekonać się, że to, co powiedział, istotną jest prawdą. Ale snać suma ogólna nie odpowiedziała jego nadziejom, bo czoło zmarszczył i książkę na bok odłożył.

— O bogatym zięciu bardzo wiele mówią—wtrącił znowu agent.

Bankier na to nic nie odpowiedział, tylko się zamyślił.

— Ale ja mam tu coś ważnego w téj sprawie— rzekł agent cichym głosem.

Warner założył okulary i wypatrzył się na agenta.

— Gdym nocował w Radziejewie—mówił daléj agent—znalazłem szkatułkę z papiérami po... po...

— No... po... po... — rzekł bankier z niecierpliwością.

— Po nie... nie... nieboszczyku Górnickim—dokończył agent i zbladł znacznie na twarzy.

Bankier nie patrzył w téj chwili na agenta, tylko czémprędzéj wziął mu z rąk papiéry. Z gorączkowym wyrazem na twarzy przebiegał je, a skończywszy przegląd, przybrał wyraz obojętności, zadzwonił na kawę i rzekł do agenta:

— To są „drobne interesa“, a ty wiész, że już od dawna ich nie prowadzę.

— Te „drobne interesa“ mogą jednak dopomódz do wielkich.

— To prawda... ale... nie mam ochoty do tego.

— Górnicki zarządzał majątkiem margrabiego. Pan kupując od niego Mogiły, kupiłeś także wszelkie jego pretensye.

— Tak jest... ale...

— Między temi papiérami są kwity margrabiego, które brzmią: „Od pana Górnickiego wziąłem dwa tysiące dukatów, co stwierdzam moim podpisem.“ To są prawomocne skrypta długu...

— Mówiłeś, że to są kwity... kwity z oddanych pieniędzy z zarządu dóbr.

— Ja tego nie mówię... i sąd tak nie powié.

I obaj zajrzeli sobie głęboko w oczy.

— Ktoś przecież upomni się o tę szkatułkę— rzekł po chwili namiestnik „Goliata“.

— Nikt się nie upomni, bo w téj szkatułce były jeszcze papiéry, które wielu ze szlachty nie były na rękę...

Warner przejrzał je szybko i rzekł:

— Przed trzema laty byłyby te papiéry co znaczyły, ale teraz są do niczego.

— Przecież...

— Ale interes jest zawsze... „drobny interes“— dodał szybko negocyant, przyciskając papiéry żelaznym lwem, bo właśnie na kręconych schodach pojawił się służący z kawą.

Na drugiém piętrze téj szczególnéj kamienicy było kilka pokoi umeblowanych z wszelką elegancyą. Perskie kobierce zaścielały posadzkę, na ścianach wisiały sążniste źwierciadła, po kątach było pełno świécących małych sprzęcików. Mimo tak wytwornego gustu, znamionującego miękkie, kobiéce usposobienie, które odbijało się w całem tém urządzeniu, był to apartament kawalerski.

Porozrzucane krzesła i fotele, tu i owdzie samopas leżące korki od butelek i duszna, mglista atmosfera, okazywały, że niedawno odbyła się tu jakaś zabawa towarzyska. Widać to nawet po samym właścicielu tego kawalerskiego apartamentu. Chodzi on wzdłuż wszystkich pokoi, blady i niewyspany, w ranném jeszcze ubraniu. Jest to przystojny, bladéj twarzy młodzieniec. Jakaś miękka, tkliwa dusza obrała sobie to białe, przezroczyste ciało na mieszkanie doczesne. Patrzy ona w melancholijnem roztargnieniu przez te duże, jasno-niebieskie oczy, a świat ten tak piękny i rozmaity zdaje się ją nudzić i dręczyć.

Kilka świéżo zapalonych cygar leży na stołach mahoniowych, kawa wychłodła i zsiadła się w szklance, a gospodarz zapomniawszy o jednych i o drugiéj, chodzi smutny i zamyślony.

W tém otwarły się drzwi zwolna — do pokoju wszedł namiestnik „Goliata“.

— Dzień dobry ci, Ottonie!—zawołał— dzień dobry, mój synu!

Ojciec i syn jakoś obaj dzisiaj zbyt czuli. Ojciec zapewnie rozczulił się, zrobiwszy „drobny interes“; czułość syna mieszkała gdzieś głębiéj.

— Dziś miałem brzydki, bardzo brzydki sen!— rzekł bankier, całując syna w czoło.

Młody Warner zmieszał się, spojrzał na ojca badawczym wzrokiem i czekał z niecierpliwością, co daléj powié.

— Brzydki, bardzo brzydki sen. Śniło mi się, że te śmiéjące się karyatydy, Atlasy i satyry zeszły do mnie, do mego gabinetu i śmiały się ze mnie, śmiały tak długo, aż pot śmiertelny wystąpił mi na czoło.

— Od ich śmiéchu?—zapytał Otton.

— Od śmiéchu; to nie wiész, co to jest śmiéch, mój synu? Śmiéch jest to coś, co zabić może, zabić mój synu!...

Otton posmutniał i zamyślił się.

— Śmiéch może być ostrzejszy od brzytwy... Gdyby wszyscy ci reformatorowie wiedzieli, co śmiéchem zdziałać można, nie potrzebowaliby wcale krwi przelewać, ani buntów organizować!

— Do czegoż z tém zmierzasz, ojcze?—zapytał Otton.

— Do czego zmierzam?... Ot, sen opowiadam ci i nic więcéj, sen, który mnie trochę uczynił niespokojnym, jak się to zazwyczaj ludziom w moim wieku zdarza.

Otton rzucił się na fotel, podparł ręką głowę

i zamyślił się. Ojciec przechadzał się po pokoju i ciągle z pod oka patrzył na syna.

— Te śmiejące się satyry i nieznośne karyatydy, które nasz dom oszpecają, będziesz musiał usunąć, mój synu, gdy tutaj sam gospodarować zaczniesz. Ty musisz to wszystko oczyścić, mnie już na to czasu nie staje — dodał z smutnem westchnieniem.

— Wszak na to nie trzeba wiele czasu—pochwycił syn.

— Nie, wcale nie — odpowiedział ojciec z wlepionemi w ziemię oczyma — wcale nie wiele, tylko jednego pokolenia.

— Jednego pokolenia?... o czém mówisz, ojcze?

— Mówię o naszym domu... i o naszém imieniu, mój synu!

— Cóż nasze imię?

— Będzie piękne i znakomite, nie lękaj się.

Otton spojrzał na ojca, którego twarz okryła się rumieńcem gorączkowym.

— Nie jesteś dzieckiem, mój synu—ozwał się negocyant — i wiész, jak się dzisiaj tworzą imiona. Bo dzisiaj to tylko idzie w górę, co własną siłą z gminu się podnosi. Stare herby i szlachectwa upadają, a jeźli kto z gminu zacznie robić pieniądze i przychodzi do wielkiéj fortuny, zaraz ludzie złośliwi zwracają na niego oczy i szukają plam na nim, aby się w swojém ubóstwie pocieszyć. U nich każdy, kto przyszedł do majątku, musiał do tego przyjść złodziejstwem, lub zabójstwem.

— Któżby śmiał i poważył się — rzekł Otton, wstając z krzesła.

— Nikt nie poważy się powiedzieć ci tego w oczy,

mój synu, ale za plecyma pokazują palcami i śmieją się, jak te szydercze satyry i karyatydy.

— Smutne mi rzeczy odkrywasz, mój ojcze, bo w takim razie wolałbym być biédnym.

— Ty masz dziwnie głupie serce, mój synu; w tém jesteś kubek w kubek podobnym do nieboszczki matki twojéj. Mówię ci, że na to potrzeba jednéj generacyi i nic więcéj. Ze mnie śmieją się i pokazują palcami za mną, a ciebie będą prosili na kanapę; ty będziesz u nich świętym człowiekiem... gdy mnie na świecie nie będzie.

Ojciec i syn zasmucili się wzajem tym dziwnym zwrotem myśli. Po chwili rzekł znowu negocyant:

— Bo to jest już w charakterze ludzi. Gdybyś najpoczciwiéj do fortuny przyszedł, to ludzie będą stronili od ciebie. A gdy odziedziczysz fortunę, choćby po rozbójniku jakim, to tamto będzie zapomniane, a ty będziesz poczciwym człowiekiem, karmiąc ich i pojąc za piéniądze swego antecesora. Ludzie nie lubią tylko zbrodni z piérwszéj ręki, w drugiéj ręce przestaje ona być zbrodnią. Rozumiész mnie, mój synu? Czyli mówiąc po naszemu, ludzie nie lubią zbrodni, kiedy jest jeszcze surowym kapitałem, ale gdy zacznie nieść procenta, to te są już bez zmazy.

— Wszak nasz majątek...

— Nasz majątek—podchwycił szybko negocyant —jest czysty jak łza, jak kryształ. Ale ja jestem piérwszy naszego imienia, który ten majątek zrobił. Mnie nie wolno postawić świątyni naszemu imieniu. Ja gromadzę tylko materyały, a ty będziesz budował. Jestem tylko małym Dawidem, a ty będziesz mądrym, pięknym, wielkim Salomonem! Ty zbudujesz świątynię!

Rzekłszy to, wyprostował się namiestnik „Goliata“ i z taką dumą stąpał po perskich kobiercach, że nikt by w nim nie poznał owego małego Dawidka, do którego przed chwilą był się przyrównał. Otton jednak jakoś nie kontent był z téj wielkiéj roli swojéj, jaką nań włożył skromny ojciec. Rzucił się na kozetkę i marząc niby o swojém salomońskwie, oparł głowę o poręcz. Z rozkoszą rodzicielską wpatrywał się ojciec w piękną, bladą twarz marzącego młodzieńca.

— Ze mnie mogą się dzisiaj ludzie śmiać — prawił daléj negocyant — mogą za memi plecyma wystawiać język i figi, jak atlasy i satyry na mojéj kamienicy, ale ty Ottonie, ty musisz być czystym jak łza, musisz miéć ładny, nieskazitelny honor i jak najlepszą opinią. Niczego ci nie żałuję. Trać pieniądze, jak tylko możesz, ja będę na nie pracował, a ludzie muszą mówić o tobie, że jesteś *noble*, jesteś *gentleman*.

— Już mnie nudzą te piéniądze i ta zgraja nieszczérych przyjaciół.

— To nic, musisz żyć, żyć jak wielki pan, wyrzucać wiele, wiele piéniędzy, aby świat mówił, to krew szlachecka. Prosty parweniusz nie żyłby tak okazale i z takim gustem. Zapraszaj artystów i literatów, każ im pisać wiérsze i symfonie, obsypuj ich hojnie, czém możesz: słowami i piéniędzmi... Wszystko to nie jest stracone, jest to kapitał, który z czasem hojny wyda procent. Wejdziesz w modę po wielkich domach, będą cię czcili i szanowali... A to znaczy wiele, bardzo wiele!—dodał negocyant z smutnym wyrazem na twarzy.

Otton zmrużył duże, niebieskie oczy, a przed niemi szli długim szeregiem artyści, literaci i poeci...

szli z nutami oraz książkami w ręku i z skromnym ukłonem, w czarnych frakach i białych rękawiczkach ofiarowali mu dedykacye, utwory, obrazy...

— Tylko musisz się strzédz „drobnych interesów“—mówił daléj negocyant — bo te niepotrzebnie walają człowieka.

Westchnął stary bankier i zamyślił się na chwilę, poczém daléj mówił:

— W takim razie możesz ożenić się z panną znakomitego rodu, z kamienicy zrzucisz te nieznośne karyatydy i satyry, dasz marmurową kolumnadę i napiszesz nad nią: Hotel Warnerów.

Młodzieniec, siedzący na kozetce, skrzywił się na tak łudzącą propozycyą: zdawało się, że ta marmurowa kolumnada i ten napis nad nią krzyżowały mu coś, co sobie wewnątrz serca zapisał. Nie widział tego jednak stary negocyant, bo oszołomiony marmurową kolumnadą i napisem nad nią, tak z góry stąpał po perskim kobiercu, jakby istnym był Goliatem, depczącym gruzy rozwalonéj świątyni, która go przed chwilą żywcem pogrześć chciała.

Uczyniwszy zadość swemu wzburzonemu sercu, stanął przed kozetką, a wlepiwszy wzrok swój w twarz rozmarzonego młodzieńca, zawołał nagle:

— Ottonie!

Młodzieniec podniósł się z kozetki, głos ojca zapowiadał mu coś nadzwyczajnego. Jakby miał coś na sumieniu, spuścił oczy i począł się bawić poręczą kozetki.

— Ottonie! — mówił negocyant tym samym uroczystym głosem — Ottonie, wyznaj mi szczérą, świętą prawdę!

— Słucham cię, ojcze — odparł zmieszany nieco młodzieniec.

— Ottonie, czy twój honor jest czysty dotąd?

— Mój honor... nie czuję się winnym niczego.

— Wiém bardzo dobrze, żeś nic takiego nie uczynił, coby mogło twój honor splamić... Ale Ottonie, ja rozumiém pod honorem ten honor *noblesy*, który się plami, gdy się kto otrze o niego nieprzyzwoitém słowem.

Młodzieniec milczał.

— Nasz honor, honor kupiecki, honor negocyanta, jest to rzetelność w wypłacaniu i nic więcéj. My na słowa nie zważamy. Ale ty, Ottonie, musisz okazać światu, że masz tak samo drażliwą krew, jak i szlachta, bo ja... ja myślę o tytule dla ciebie.

Nawet obietnica tytułu nie mogła młodzieńca wyrwać z dziwnego zamyślenia.

— Ottonie, powiédz mi prawdę, czy masz ty ten honor szlachetny, tę krew drażliwą?

— Nie wiém, jakbym się znalazł, ojcze — odpowiedział nieśmiało młodzieniec.

— Czy nigdy jeszcze cię nie obrażono? — pytał daléj ojciec, wlepiwszy w syna duże, siwe oczy.

Młodzieniec patrzył w ziemię, na jego pięknéj twarzy było widać jakąś walkę.

— Ottonie, twoje milczenie pali mnie jak ogniem.

— Ojcze!

— Mam się wyrzéc wszelkich moich nadziei?

— Ojcze kochany!

— Maż w tobie być krew „drobnego negocyanta“, który za grosz dziesięć razy przysięgnie i da się wybić?

Młodzieniec podniósł z dumą głowę do góry, jego niebieskie oczy zaszkliły się wyrazem szlachetnym.

— Nie wiém, ojcze — rzekł — do czego zmierza dzisiaj twoja mowa. Lękam się, że właśnie może chcesz mi stanąć w drodze do obronienia mego honoru.

— Od dziesięciu dni słyszę o nieporozumieniach twoich z panem Von der Mark.

— Te nasze nieporozumienia, ojcze, zakończą się pojedynkiem — odrzekł młodzieniec z całą spokojnością.

— Pojedynkiem!—krzyknął negocyant, a na twarzy jego walczyły z sobą dwa sprzecznych uczuć wyrazy.

— Pojedynkiem—odparł młodzieniec, biorąc ojca za rękę i patrząc z obawą w siwe jego oczy — pojedynkiem, a spodziéwam się, że ojciec więcéj kochać będzie imię Warnera, niżeli syna.

Śmiesznie wyglądał w téj chwili poczciwy negocyant. W jego sercu za mało było miejsca dla takiego heroizmu, aby za przyszłość domu swego stawić na kartę życie jedynaka, a wiele było w niém żądzy poczciwości i dobréj reputacyi tego imienia. Było to gorączkowe pragnienie chorego za czémś, co mu właśnie odjęto. Była to nieodparta żądza rozkosznicy za świątobliwością przy kresie życia. Do tego i miłość rodzicielska siedziała jeszcze gdzieś tam w kąciku, jak moneta miedziana w skrzyni żelaznéj. Negocyant w strasznym był kłopocie. Nie spodziéwał się takiéj odpowiedzi od syna; zaskoczyła go nieprzygotowanego. Otton zaś był tego mniemania, że ojciec chce od niego tém postępowaniem wyłudzić tajemnicę pojedynku, aby *go* potém udaremnić.

Powoli przyszedł negocyant do siebie. Otarł pot z czoła chustką jedwabną i usiadł na kozetce. Uczucie dumy imienia przemogło w jego sercu.

— Pójdź do mnie, Ottonie — rzekł do syna — pójdź, niech cię ucałuję. Nie mam siły, abym wstał, bo mi nagle coś w nogi wlazło; kocham cię, mój synu, kocham cię, jak król swego następcę, i dla tego pragnę, abyś się strzelał jak szlachcic, abyś przed całym światem okazał, że w tobie nie ma krwi „drobnego negocyanta“, ale krew piękna, szlachecka.

Młodzieńcowi puściły się łzy z oczu, przytulił twarz do tego serca, które firmę tak ukochało, że za nię nie wahało się postawić życia syna na kartę...

Kilka chwil trwało milczenie. Poczém przyszedł najprzód ojciec do siebie, a otarłszy oczy, rzekł:

— Ty musisz się strzelać, Ottonie, ja dam tysiąc talarów dla ubogich, dwa tysiące na szpital... dam wiele, dam, abyś wyszedł szczęśliwie z pojedynku. Ale nie myśl, że się strzelasz dla téj błahéj mary, która ci od niejakiego czasu po głowie lata! Wiém ja o tém, wiém!

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem.

— Wiém ja Ottonie, wiém — mówił daléj negocyant — że panna margrabianka zajrzała ci w oczy, ale z tego nic nie będzie, nic!

— Ojcze!

— Margrabia jest człowiek dumny, a nie ma ani grosza. Jeźli ci się podobał Dąbczyn, to go będziesz miał. Zostaw to ojcu. Będziesz mieszkał w zamku polskim i będziesz panem. Ale ubogiéj żony, a kapryśnéj i dumnéj, nie potrzeba tobie. Możesz się ożenić z dziéwczyną znakomitego rodu, dawnego, stare-

go szlachectwa, z takiego domu, który jest w łaskach i dostojeństwie u dworu. I na ciebie w takim razie spadną zaszczyty. A margrabia z Dąbczyna jest dom upadający, a to, co upada, nie podnosi nigdy nikogo, tylko porywa w przepaść!...

W téj chwili wszedł galonowy służący do pokoju i dał znać bankierowi, że goście się schodzą i do obiadu już się nakrywa.

Pokoje, w których ojciec z synem tę poufną prowadził rozmowę, tworzyły tylko gościnny apartament Ottona, gdy z Mogił do miasta przyjeżdżał. Główne salony bankiera były na pierwszem piętrze. Składały się one z sześciu wielkich pokoi w amfiladzie, i kilku pobocznych saloników.

W samym rogu, z małym zaszklonym balkonikiem, z którego bucha woń kwiatów rozkwitłych, jest mały, lecz z wielkim przepychem urządzony pokoik. Wszędzie perskie kobierce, wszystko szkli się od srébra i złota. Jest to buduar młodéj kobiéty.

Gdzież ona? Szukamy jéj na adamaszkowéj kanapce w prześlicznéj sukni *à la bayadere*, w czerwonych, złotem haftowanych pantofelkach, z najświéższą powieścią Edmunda About w ręku... szukamy jéj z pędzlem i paletą, siedzącéj przed trójnogiem i wpatrującéj się okiem artystki w zawieszony przed nią oryginał gorącego Murilla... albo przy biórku misternéj roboty, siedzącéj z opartą na drobnéj rączce głową, zamyślonéj i dumającéj nad jakimś listem treści zagadkowéj, który po raz dziesiąty czyta i czyta... Ach nie, takiéj kobiéty nie znajdziemy tutaj.

Jest ona w tym cudownym buduarze, piękniejsza od wszystkich tych pięknych gracików, ale nie czyta „Tolli“, nie kopiuje Murilla, ani nie marzy nad listem zagadkowym. Smukłéj postaci, pełnych kształtów, rumianéj, okrągłéj twarzyczki, w któréj maluje się szczérość i dobroć serca jak na dłoni, stoi ona przy dużéj, mahoniowéj szafie i z ostrożnością systematycznéj gospodyni wybiéra z półek srébra. Na sobie ma suknię ze zwykłéj szkockiéj materyi, w duże, trochę jaskrawe kraty, ładną główkę ujmują w czarne ramy gęste włosy, zaczesane *à la Valois*. Na sukni jest prowizoryczny fartuszeczek z ciemnéj materyi, chroniący od różnych przygód gospodarskich.

Koło niéj stoi młody, piękny mężczyzna. Jego włosy śmiało w tył zarzucone i niedbale zagięty kołnierz od koszuli, jako téż proste zawiązanie chustki, przy braku wszelkich innych błyścidełek, okazuje jasno, że do stanu kupieckiego nie należy, ani nie jest „drobnym negocyantem“. Z oczu nieco wklęsłych, z kilku zmarszczek na pięknem, otwartém czole, można wnosić, że ten młody człowiek obrał sobie daleko mozolniejszą drogę na tym nędznym padole płaczu, a nie tę, jaką chodzą kupczykowie i „drobni negocyanci“. Jest to jeden z zastępu tak zwanéj inteligencyi, doktor filozofii i docent na jakimś wydziale naukowym. Możnaby go podejrzywać, że jest literatem, a przynajmniéj poetą bezimiennym. W piśmie peryodycznem „Thalia“ pojawiają się od czasu do czasu ładne, tylko trochę nadto transcendentalne wiérszyki, które piękna jego sąsiadka w sekrecie mu przypisuje. Ale poeta bezimienny wypiéra się swoich wié a pięknéj narzeczonéj zamyka usta pocałunkiem. I tru-

dno nawet wiedzieć, dla czego piękna narzeczona tak zawsze o tych sierocych wiérszach z nim mówi. Czy tak lubi literaturę, czy jego pocałunki?...

Ładna, młoda Matylda zagląda do szafy z całą systematycznością, właściwą swemu pochodzeniu, wyjmuje i ociéra różne srébra i stawia je na dużym stole. To zatrudnienie przypada jakoś do jéj rumianéj, okrągłéj twarzyczki; wié ona dobrze o tém, i patrząc na pięknego młodzieńca, uśmiécha się filuternie. Młody doktor podziwia śliczne dołki po obu stronach jéj twarzy i z niemałém zadowoleniem spostrzega, że ma wszystkie zęby, co bardzo rzadko wydarza się u córek germańskiego szczepu.

— Matyldo — rzecze młody docent — dzień dzisiejszy jest dla mnie początkiém owéj błogiéj nieskończoności, która jest podstawą wszechświata, na któréj ów Nieskończony, Niepojęty i Niestworzony, owa mityczna troistość, założył wielkie dzieło swoje...

— Walterze—odpowié piękna narzeczona—dzisiaj będziemy mieli licznych gości. Te srébra bardzo się dobrze wydadzą, kosztują ojca bardzo drogo i są przeznaczone na moję wyprawę.

— Ten srébrny blask przypomina mi owe przyćmione światło księżyca, które jest obrazem absolutnego rozumu. Nie ma w niém owego czerwonego gorąca, jakie jest w świetle fantazyi i serca, ale za to ono nie spełznie, jak pełzną wszelkie barwy, pożyczone od ziemi; ono jest wieczne, czyste i trzeźwe, jak moja miłość dla ciebie, droga Matyldo!

— Czy znasz ty, Walterze, pana Tamimischel? Ach, to dziwny człowiek! Na obiad jé tylko knedle

z cynamonem. Musiałam osobno kazać dla niego zrobić knedle.

— Pan Tamimischel, Matyldo, to człowiek wielkiéj erudycyi. On piérwszy dowiódł dokumentnie, że Cyceron miał piękną willę w Pompejach, niedaleko domu Dyomedesa, na lewo od willi tragicznego poety. W jednéj bowiem jego mowie przeciw Katylinie jest wspomniane o czarnym psie, a taki sam czarny pies namalowany jest na domu tragicznego poety, i niezawodnie musiał mieszkającemu w sąsiedztwie Cyceronowi dać pohop do użycia tego porównania...

— Pfe, mówisz dzisiaj o psach...

— Ba, ale to nie prosty pies, to pies Cycerona, a Cyceron to przecież...

Jakoś nudnym wydał się dzisiaj pięknéj Matyldzie jéj narzeczony. Użyła więc zwyczajnego swego talizmanu, aby młodego docenta czém prędzéj z wykopalisk Pompejów i z domu Cycerona wyprowadzić.

— W onegdajszym numerze „Thalii“ czytałam znowu piękne wiérsze—rzekła z filuternym uśmiéchem, przy którym uczony doktor ujrzał dwa prześliczne dołki i dwa tuziny najbielszych ząbków.

— Co za wiersze? — zapytał zmieszany nieco docent.

— Umiém je na pamięć, choć mnie to nieco pracy kosztowało. Tytuł: „Trójca katolicka“:

Trzy epoki życia, to Bóg troisty,
Nikt nie rozumié dziś tego mytu—
Bóg-starzec-dziécię: Syn-młodzian skrzysty,
Duch święty, który u życia szczytu,
Wstępuje na nas jak gołębica—
To wiek, gdzie tylko rozum przyświéca.

Docent zarumienił się, wziął piękną deklamatorkę za pulchną rączkę i zamknął jéj usta prozaicznym pocałunkiem. O ten podobno więcéj chodziło pięknéj Matyldzie, niż o wyrecytowaną poezyę i psa Cycerona. Była z góry przekonaną o tym swoim talizmanie, że uczonego docenta sprowadzi na ziemię, jak drut miedziany elektrykę.

I w saméj rzeczy nie zawiódł ją ten wyborny eksperyment. Uczony docent, dotknąwszy się różanych ust pięknéj Matyldy, uczuł jakby iskrę z stosu galwanicznego, która wpadła nagle do jego szopy mozolnie uzbieranych cytat i różnych rupieci klasycznych i w oka mgnieniu wszystko do góry nogami powywracała. Jakiś przyjemny prąd przeniegł przez jego nerwy, a gdy jeszcze raz te piękne, różane usta pocałował i potém na świat spojrzał, wydał się mu ten świat tak pięknym i przyzwoitym, chociaż świat ten był bez Hegla i Szellinga, chociaż nie miał cytat uczonych i odnośników do autorów klasycznych.

Piękna Matylda cieszyła się rozpromienioném obliczem swego Waltera, i aby owę „troistość mityczną“ jak najbliżéj w życiu zaaplikować, pocałowała go po raz trzeci, a tym ostatnim ciosem dobiła całą książkową erudycyą biédnego docenta, który na jutrzejszéj prelekcyi w niemałym ztąd będzie kłopocie.

— Za dwa miesiące będziesz moim mężem—szepnęła Walterowi do ucha zapłoniona dziewica.

— Za dwa miesiące!—westchnął biédny docent.

— Będziemy tymczasem mieszkali w Mogiłach.

— W Mogiłach!—powtórzył szczęśliwy kochanek, nie wiedząc znaczenia tego słowa.

— Bo ojciec zamyśla kupić Dąbczyn dla Ottona. Wtedy Mogiły będą nasze.

— Mogiły nasze!

— Nieprawdaż, będziemy bardzo szczęśliwi!

— W Mogiłach!

— Posadzki będą woskowane i nakryte kobiercami.

Docent uśmiéchał się i zadumał.

— O godzinie ósméj będziemy pili kawę, z dobrą, wiejską śmietanką, którą ja sama zbiérać będę.

Docent uśmiéchał się ciągle.

— O godzinie pół do piérwszéj przyjdzie na stół waza, a ja przyjdę do twego gabineciku i zawołam: „Doktorze, czas do obiadu!...“ A na obiad będzie zupa piwna, paszteciki w naleśnikach, rozbratle z chrzanem i buchty z szodo.

Docent patrzył wytężoném okiem w tę szczęśliwą przyszłość.

— O godzinie czwartéj — szczebiotała daléj piękna Matylda—będziemy pili kawę, prawdziwą *Mokka*, a ty będziesz przy niéj palił cygaro amerykańskie... i będziesz się pieścił ze mną, nie prawdaż?

Docent uśmiéchnął się, lecz oczy jego patrzyły gdzieś po za dwa miesiące.

— O godzinie ósméj będziemy wieczerzali. Co ty lubisz na wieczerzę, kochany Walterze? —zapytała Matylda, przymilając się do zamyślonego narzeczonego.

Walter wziął ją za rączkę i poraz czwarty ucałował jéj usta różane, ale o wieczerzy nic jéj nie powiedział.

— Co ty lubisz na wieczerzę?—powtórzyła zapytanie Matylda.

Czwarty pocałunek nie był jakoś tak skuteczny, jak piérwszy.

Oszołomiony na niejaki czas docent, przyszedł znowu do siebie, jego transcedentalna jaźń odrodziła się znowu jak Fenix, tylko odrodziła się jako czysty duch filozoficzny, bez balastu cytat uczonych.

— Matyldo — rzekł uroczyście — idąc tam na wschód, bierzemy na siebie wielką missyę. W kraj ciemny i barbarzyński idziemy jako pochodnie światła, aby jego ciemności rozświécić. W naszym pędzie, w tém naszém parciu na wschód wyraża się najpotężniejsza idea nasza, kwiat naszéj germańskiéj oświaty. Owe „excelsior", które dotąd wszystkich naszych wielkich filozofów w obłoki unosiło, zamienia się na „wszerz" i zajmuje coraz więcéj miejsca. My pójdziemy w kraj ciemnoty i przesądów, pójdziemy skromnie jak kartagińska Dydona, która tylko o tyle prosiła ziemi, ile jedna skóra zajmie. I nam dadzą tam tylko kilka pól ornych, kilka łąk i drzew kilka. Ale jak owa skóra przemyślnéj Dydony rozcięta na rzemyczki, zajęła cały obszar przyszłéj Kartaginy, tak i kultura nasza, rozszerzona w niezliczone pasma, powinna objąć ten kraj z końca do końca i uczynić go naszym wazalem. W czasach barbarzyństwa myśmy byli hołdownikami ich Jagiełłów i Zygmuntów—w epoce potęgi duchowéj wejdziemy w ich kraj jako apostołowie cywilizacyi, niosąc im dobrodziejstwo światła... Tak, Matyldo droga, ta jest idea, ten jest cel naszego parcia na wschód.

Piękna Matylda zamyśliła się strasznie po tej szczególnéj harandze kochanka. Spostrzegłszy to do-

cent, ucałował ją raz jeszcze i zrozumialszym do niéj rzekł językiem:

— Tak, piękna Matyldo. Będziemy dobrodziejami tego poczciwego, ale strasznie zaniedbanego ludu. Postawimy mu szkółkę i zapłacimy nauczyciela. Na egzaminie będziesz rozdawała dzieciom nagrody. Będziemy pamiętali o ubogich, bo w obec Boga wszyscy są nam równi. Wieśniaka nauczymy uprawiać ziemię, nauczymy go oszczędności i pracy, czego nie nauczył go polski dziedzic. Z sąsiadami, Polakami, będziemy żyć w zgodzie i przyjaźni, pamiętając im te zasługi, które oddali całéj ludzkości, oswabadzając Wiedeń od panowania tureckiego. Nie będziemy z tego dumni, że jesteśmy wyżsi cywilizacyą, bo oni temu niewinni... Nieprawdaż Matyldo, będziemy szczęśliwi!...

Matylda przytuliła się do piersi kochanka, którego słowa były już zrozumialsze i łagodniejsze. Nie dziw, miłość łagodzi wszelkie namiętności i podaje słowa proste, zrozumiałe.

Rozmarzony Walter mówił daléj:

— Rano, gdy jeszcze srébrna świéci rosa, wyjdziemy na ganek przed naszym domkiem. I będziemy przysłuchiwali się budzącéj naturze, będziemy słuchali, jak jéj wdzięczne akordy rosną i rosną... do szeptu liści, do szmêru traw przybywa piosnka skowronka.. tam kruk się ozwie, tam kukułka, a liczną trzodę uderzy wielkie, okazałe *tutti*... Nieprawdaż Matyldo, będziemy szczęśliwi!...

— W Mogiłach! — wyszepnęły drżące usta dziewicy.

W tém służący zapowiedział przybyłych na obiad gości.

Matylda odpięła prowizoryczny fartuszek, spojrzała do zwierciadła, czy niegodziwy Walter nie zostawił na jéj różowych ustach, jakiego zapomnianego pocałunku, a przygładziwszy włosy, podała ramię narzeczonemu i bardzo rozsądnym krokiem weszła do salonu.

W salonie przyjmowała już gości stara ciotka, jak ją powszechnie w domu nazywano, a na któréj, prócz starych i nieco defektowych zębów, wcale jeszcze starości nie było widać. Była to okrąglutka, czérwona jejmość i jak Matylda słynną była z dołków swoich, ale nie z dołków na twarzy, lecz z wybornych dołków z powidłami, na które miała własny sekrecik i zawsze je własnoręcznie robiła.

Miał to być obiad okazały, na którym zgromadzonym znakomitościom miał stary Warner zaprezentować przyszłego męża Matyldy.

I w saméj rzeczy zgromadzenie było okazałe. Szlachta nie dostawiła wprawdzie swego kontyngensu, ale téż stary negocyant nie miał nawet do tego pretensyi. On to wszystko przekazał synowi; Otton miał dopiéro z krwią szlachecką się pobratać. Negocyant korzystał z tego swego położenia i wszystkim prawił do ucha, że on tylko osobistą zasługę ceni i proteguje.

Otóż z ludzi czysto osobistych zasług był najprzód jakiś radzca byłéj marynarki niemieckiéj. Był on kiedyś redaktorem jakiegoś pisemka. Wyawansowawszy na radzcę floty, pokochał strasznie morze i mówi o niém dniem i nocą. Ubolewa, że do floty związkowéj nie przyszło, ale ma nadzieję, że to prędzéj, czy późniéj koniecznie nastąpić musi.

Za nim stoi intendent ewangelicki, mąż pełen racyonalnéj pobożności. Pisze dzieła uczone przeciw katolicyzmowi i obciąża je na okładkach dokumentami, branemi wprost z biblioteki watykańskiéj. Jest tego zdania, że zakon krzyżacki dopiéro w wyznaniu ewangielickiém znalazł prawdziwą swoję misyą i jako taki odżyje duchowo, jeźli się na wschód zwróci.

Daléj w długim, czarnym fraku, białéj chustce i białych żabotach, a czarnych rękawiczkach, emeryt, profesor filozofii, który będąc „burszem“, mieszkał razem z Heglem i z nim fajkę palił. Z nim rozmawia także emeryt łysy, z długą twarzą, kubek w kubek do księcia Alby podobny. To były profesor historyi powszechnéj, dzisiaj właściciel skromnéj kamieniczki, którą wziął za żoną. Pamięta on dobrze Rotteka, lecz rzadko o nim mówi, bo wydział publicznego bezpieczeństwa i porządku miał z tego powodu nie jednę z nim konferencyę. Stary emeryt bowiem uchodzi tam za zapaleńca i dla tego nie dobrze jest notowany. Mówią nawet, że w skutek téj energii młodzieńczéj dostał przed czasem emeryturę.

Ten z pełną, okrągłą, gładko ogoloną twarzą coś na Anglika zakrawa. To ekonomista, zasiadał w konferencyach związku celnego. Przy nim, jakby dla kontrastu, stoi blady, melancholijnéj twarzy młodzieniec. Włosy ma w tył zarzucone w długich, połyskliwych kędziorach. Postawa jego jest tragiczna, chustka pod szyją na pół rozwiązana. To tenor liryczny i piérwszy kochanek z opery.

Tam nizki, pękaty człowiek z ruchomą fizyonomią wysuwa się z kąta i ukośną linią zbliża się do intendenta ewangielickiego. Ściskają się za ręce i mówią

z sobą poufale, jakby byli z jednego cechu. Gdzie tam! To piérwszy komik sceny miejscowéj, komedyant, jakich mało!

A ten w wytartym żołnierskim mundurze? To ofiara nieporozumień narodowych. Poszedł on za głosem narodu i rządu do Szlezwiku i przyniósł ztamtąd dwie kule w boku, stary mundur i patent na skromną pensyjkę. Bohatér szlezwicki wałęsa się dzisiaj po dobrych obiadkach, bo w jego domu głód i nędza.

W perspektywie widać jeszcze kilku „drobnych negocyantów“. Wyglądają dobrze i rumiano, a nawet są dobréj tuszy. Uciuławszy sobie po kilkakroć sto tysięcy, stanęli u kresu marzeń swoich, uspokoili się na duchu i roztyli się na ciele. Brzuchy swoje, którym dzisiaj najwięcéj poświęcają czasu, okrasili rajskiemi jabłkami i złotemi brylokami. Pysznie i okazale wyglądają w oddaleniu, na tle czerwonych tapetów salonu. W salonie obok inteligencyi lub szlachty czują się jakoś żenowani, ale za to na ulicy, to panowie całą gębą. Tam to widział ich *Heine* i napisał o nich:

Cigarren tragen sie im Maul,
Und in der Hosentasch' die Händ',
Auch die Verdauungskraft ist gut,
Wer sie nur selbst verdauen könnt'.

Jeszcze „dysponent“ z po za czarnego stołu i kilku poufniejszych przyjaciół Warnera, a będziemy mieli cały obraz tych znakomitych gości, zgromadzonych w kamienicy o śmiejących się karyatydach.

Stary negocyant uwija się na wszystkie strony Jednemu szepnie coś do ucha, tego za rękę ściśnie, tamtemu głową przesyła swoje powitanie.

Otton tylko chodzi po kątach salonu smutny i zamyślony. Jakaś złowieszcza mara snuje się za nim i niepokoi go. Tam w dali, w białéj, przezroczystéj szacie, miga przed nim postać pięknéj dziewicy... wychylającéj się ku niemu z okna dąbczyńskiego zamku... a ojciec przechodząc koło niego, uderza go po ramieniu i szepcze mu do ucha:

— Ottonie, to mary i nic więcéj! Ona nie będzie twoją żoną!...

Młodzieniec się wzdryga, ucieka do innego kąta salonu, jego serce chce rozbić pierś bolejącą... I widzi tę samą postać, oddalającą się od niego, widzi zamek dąbczyński, który coraz więcéj niknie w mgle białéj... a za jego plecyma znowu ojciec, znowu szepcze mu do ucha:

— Ottonie, Dąbczyn będzie twój, kupię ci Dąbczyn!

Otton ucieka do drugiego salonu i tam jakaś mara złowieszcza ciągnie się za nim. Widzi przed sobą zamek dąbczyński, widzi Janinę, widzi bogactwo i dostatki... a tuż przed nim staje szlachcic niemiecki— mierzą kroki, biorą pistolety... któż padnie?...

Młodzieniec się wzdryga, patrzy do drugiego salonu i widzi tam ojca, uśmiechającego się i szczęśliwego, który mruga do niego i zdaje się mówić:

— Musisz się strzelać, abyś okazał światu, że w tobie nie ma krwi „drobnego negocyanta“... aby firma Warnerów ztąd chwałę odniosła!...

Otóż i pan Tamimischel! Poczciwy, uśmiechający się staruszek. Ma on przed sobą długą, czarną, atłasową kamizelkę z drobniutkiemi, zielonemi kwiateczkami, i długi fontaż z białego batystu; za nim widać dłu-

gi, bronzowy frak; pod nim chwieją się długie nogi, a na jego poczciwéj twarzy rozparł się długi, złośliwy nos, jak greckie Y., którego wielkim jest nieprzyjacielem uczony filolog. Pan Tamimischel był przyjacielem Tauchnitza i razem z nim pracował nad stereotypowem wydaniem klassyków. Ale przyjaźń ta rozerwała się. Niedawno krytyk polski powiedział zbyt naiwnie, że autor nie może nic innego stworzyć nad to, co w nim samym jest z urodzenia. Pan Tauchnitz był tego samego zdania; uczone bowiem noty pana Tamimischel były wszystkie tak długie, jak jego frak bronzowy, jego fontaż, westa, nos i nogi.

Pan Tamimischel dał hasło do obiadu. Usiedli wszyscy, odkrząknęli, położyli serwety na kolana, prócz starych emerytów, którzy je na szyi zawiesili.

Obiad szedł zwykłym trybem. Półmisek za półmiskiem, jedno wino za drugiém, a konsekwentnie także lokaj za lokajem. Goście jedli według systematu przyjętego przez cywilizacyą europejską, używając łyżek, noży i widelców; tylko starzy emeryci i kilku „drobnych negocyantów“ w zbyt zawiłych sytuacyach dopomagali sobie palcami, przeciw czemu wcale nic nie miała jedząca powszechność. Wyznawano tu bowiem absolutną wolność każdego indywiduum w zakreślonych sobie granicach. A że wolność i granice nigdy z sobą w parze nie chodzą, mimo wszelkiego filozoficznego ich orzeczenia, dał jasny tego przykład pan Tamimischel, autor niedrukowanych notat do wydań Tauchnitza. Obracając bowiem swoje knedle z cynamonem na talérzu, w taki wprawił je wir szalony, że jeden z nich umknąwszy z talérza, poleciał po nad *sznycel* sąsiada i już jak bomba uderzył przed nosem

radzcy-marynarza, który właśnie marząc o flocie zjednoczonéj, prowadził rozlaną wodę aż po za talérz starego emeryta, aby dla téj floty utworzyć morze przyzwoite i spokojne. Otóż okazało się, że człowiek bez ustaw, ograniczających jego wolność osobistą, nawet obiadu zjeść nie może, i okazało się niemniéj, że absolutna wolność każdego z osobna jest wprost niemożliwą, bo każdym ruchem wkrada się w terytorym sąsiada, jak tego dowiedli pp. Tamimischel i radzca marynarki. Pan Tamimischel jednak, myśląc nad swoim knedlem i absolutną wolnością, pocieszył się reminiscencyą ze swoich materyałów klasycznych. Przypominał on sobie, że Katon i Cyceron byli gorliwymi miłośnikami wolności absolutnéj. Gdy jednak Cezar tę wolność z Rzymu wyrugował, Katon z boleści za nią brzuch sobie rozpruł, a poczciwy Cyceron, stojąc w przedpokoju Cezara, uspokoił swoje sumienie tém rozumowaniem: że jakkolwiek wolności absolutnéj już nie ma w Rzymie, nie przeszkadza to jednak prawemu Rzymianowi, aby się w *sobie i dla siebie* czuł absolutnie wolnym.

Tak myślał sobie pan Tamimischel, uchwyciwszy zbiega przed talérzem radzcy marynarki i przeniósłszy go na swój talerz z niebieskiemi kwiatkami, na którym posiadał absolutne *jus gladii*..

Gospodarz był rad gościom, mimo to przestrzegał staranie granic każdego z osobna, aby cała uroczystość odbyła się przyzwoicie i bez polemiki w czasopiśmie „Thalia“. Po raz dziesiąty przedstawiał zgromadzeniu swego Waltera, a przyszłego męża Matyldy i rozgadał się przy téj sposobności, jak wysoko ceni naukę i doktorat, jak wielką potęgę całéj narodowéj

przeszłości widzi w owych łysych, okularami opasanych głowach doktorów uniwersyteckich, którzy jako kapłani egipscy stoją na straży przy piramidalnych systematach rozumu ludzkiego. A zapomniawszy się nieco i podpiwszy sobie, mówił daléj, że tylko w synu całą swą nadzieję pokłada, że w nim widzi moralnego restauratora firmy i założyciela przyzwoitego rodowodu Warnerów... Że córka w każdym większym domu handlowym nic nie znaczy, jak n. p. u arystokracyi angielskiéj, że chętnie wydałby ją i za bednarza, byle tylko firma i majątek niepodzielnie przy synu pozostały.

Szczęściem, że rozochocony gospodarz mówił to tylko „drobnym negocyantom“, którzy przy nim na szarym końcu stołu siedzieli, bo inaczéj poczciwy docent bardzo by się tém zasmucił.

A gdy rozmowa stawała się powszechniejszą, w miarę tego jak który już zaspokoił swój głód i pragnienie, opowiedział szczęśliwy gospodarz w kilku sumarycznych rysach powodzenie firmy „Goliat et Compagnie“, co do interesów w pogranicznéj, polskiéj prowincyi. Mówił, ile w przeciągu ostatnich lat majętności polskich przeszło w posiadanie gospodarzy niemiekich, ile było dobrowolnych sprzedaży, a ile subhastacyj sądowych. W tém wszystkiém wielki udział miała firma „Goliat et Compagnie“, i przez wszystkich swoich agentów pomagała rozszérzeniu porządnéj cywilizacyi i kultury w ziemi tak zaniedbanéj! Opowiadał daléj, jak dobre interesa można robić w kraju, w którym drobne namiętności niesłychanie są wygórowane. Jak tam każdy dziedzic na małéj wiosce żyje jak pan wielki i we wszystkiém naśladuje dwory wiel-

kich panów. Jak łatwo można go namówić do kupna ładnego ekwipażu i kosztownych koni, a jeźli pożyczysz mu pieniędzy, to i dziesięć razy do roku pojedzie za granicę. Jak się tam kobiéty stroją, a o kuchni i piwnicy nic nie wiedzą, jak wielki ton panuje u nich! Słuchając ich, zdaje się, że damy z dworu Ludwika XIV, przebrały się nagle i w niskich, szlacheckich dworkach grają jakąś przecudną bukolikę. Mówił daléj, jak każdy porządny negocyant, każdy tutaj najskromniejszy agronom, może tam zarobić złote góry, bo sam pracuje i jest oszczędny. Jak łatwo może tam nabyć ziemię, bo może więcéj za nią dać, niżeli daje polski szlachcic. Polski szlachcic musi więcéj łożyć na życie, a agronom z Pomorza i taniéj żyje i przemysłem swoim więcéj produkuje. Ostatecznie wyciągnął z tego wszystkiego ten pocieszający rezultat, że tym sposobem polski szlachcic nie wytrzyma nigdy konkurencyi z kolonistą, jeżeli się w żywot matki nie wróci i zupełnie nie odrodzi.

A że to ostatnie przyrównanie żywcem z biblii wyjęte było, więc piérwszy na to odpowiedział intendent ewangielicki, że ów frazes należy tylko w przenośnem brać znaczeniu, i że ztąd nie ma obawy, aby polski szlachcic na niekorzyść ewangielików pomorzańskich miał zamiar na seryo się odrodzić. Uspokoił on szanowne zgromadzenie, że szlachcic polski jest petryfikacyą wieków kilkunastu i nie tak łatwo rozłoży się pod wpływem nowéj, postępującéj oświaty. Na długi czas pozostanie on wyborną kopalnią złota dla pracowitych Pomorzan, którzy przez długie wieki będą mogli wygodnie piłować na tym pogańskim, złotym bałwanie, i jeszcze nic innego z niego nie zrobią. Dopo-

może im do tego ów wyborny fanatyzm polski, trzymający się starych, odziedziczonych przesądów i pogardzający wszystkiém, co nowe, nie tylko w wyobrażeniach, ale i w gospodarstwie. Do tego przyłącza się i katolicyzm, który o jutro starać się nie każe, ale pozwala modlić się, pościć i płakać, licząc na wszystkie procenta, które za grobem przynoszą cierpienia ziemskie.

I zapalił się przy harandze swojéj racyonalny chrześcianin, wziął kielich do ręki i zaproponował zgromadzeniu, aby rannemu wojownikowi wypić jednogłośnie *pereat!* A że nie wszyscy wiedzieli, o co mu idzie, więc sformułował myśl swoję w następujący toast:

— Olbrzymi jest duch naszego narodu! Jest on ruchliwy jako morze piaskowe i rozszérza się na wschód, na ziemię czarną, jak Sahara w zagony Egiptu. Nic go tam nie wstrzyma w tém parciu jego, bo najbliższa jego zapora, szlachta polska, owa kamienna sfinga, stojąca na straży do ziemi czarnéj, to głaz bez duszy, bałwan przesądów azyatyckich. Jego religia mówi mu, że ziemia jest to tylko szpital dla pielgrzymów, w którym wolno mu było jęczéć i skonać. Rozum, ów budowniczy świata i narodów, jest tam wyklęty! Nam przypada misya rozorać ten odłóg ludzkości, zasadzić go nowemi latoroślami i przyłączyć do winnicy Pańskiéj!

Na ten toast, prawie z ogólnym zapałem przyjęty, nie zgodził się jednak emerytowany filozof i zaproponował, aby go wziąć nieco pod rozwagę. Nie zgadzał on się z tém, aby szlachta polska z całą swoją religią, przesądem i fanatyzmem konserwowania tego, co sama sobie przez długie wieki uciułała, aby ta

szlachta polska była tak kruchą i słabą przeszkodą dla postępu nowéj cywilizacyi. Przeciwnie, twierdził on, że jeżeli szlachta jest pertyfikacyą, to pokłady takie najtrudniejsze są do przejścia.

Ale właśnie tu się okazuje potęga *absolutnéj idei* w najpiękniejszéj gloryi! Nie koloniści, nie firmy bankierskie, nie racyonalizm ewangielicki, zwalą ową skamieniałą potęgę, opartą na fanatyzmie i przesądach, ale zwali ją i skruszy *absolutna idea* narodu, która silniejsza jest od idei narodu polskiego. Jest to zwykłe prawo mocniejszego, któremu w naturze wszystko podlega. A mocniejszą od wszystkich jest ta idea! Ona to wywłaszcza właścicieli polskich, ona sprawia subhastacye, i zabory—ona podbija.

I skończywszy na tém swoje uwagi, zaproponował zmianę powyższego toastu w ten sposób:

— Niech żyje idea, wielka, absolutna idea, która w dziejach ludzkości jest owém ziarnem gorczycznem, co góry przenosi! Idea, wyrosła z dziejów i rozumów naszych, jest tak silna, że się jéj nic oprzéć nie zdoła. Ona jest owym słupem ognistym, idącym zawsze przed arką narodu, a jéj prąd jest na wschód!

Temu toastowi sprzeciwił się drugi emeryt, ów potajemny przyjaciel Rotteka. Zażywszy tabaki i uśmiéchnąwszy się dobrodusznie, uczynił tę uwagę, że w taką wszechmocność absolutnéj idei nigdy nie uwierzy. Jako były profesor historyi powszechnéj, cytował z niéj różne przykłady. Najbliższy zaś przykład był ten, że jeźli idea germańskiego narodu jest wszechmocna i niezwyciężona, dlaczego idąc na wschód zwyciężko, przegrała sprawę za plecyma, w własnym domu swoim? Dla czegoż dała się pobić przez ideę francuzką i zosta-

wiła jéj Alzacyą? Czyż to dobry wódz, który idąc w kraj nieprzyjacielski, zostawia swój własny na pastwę drugiemu nieprzyjacielowi?...

Stary emeryt, jako były profesor *dziejów powszechnych*, nie miał do żadnego narodu specyalnéj predylekcyi, a więc żadnego toastu nie wzniósł.

Wziął po nim słowo były radzca floty zjednoczonéj. Zaczął od morza, o którém marzył dniem i nocą. Bo téż nie małe to zadanie dla radzcy marynarki zjednoczonéj było to morze. Francuzi, Anglicy, Duńczycy i Rosyanie wzięli wszystkie morza w posiadanie, a gdzież to teraz pomieścić flotę zjednoczoną! Poczciwy radzca myślał nad nowém morzem dla swojéj floty!

Otóż zaczynając od morza, jak prawy katolik wszystko od pacierza zaczyna, mówił poczciwy radzca, że naród jest jak morze, które podług jeografii Rittera ciągle prze na wschód. Raz tylko, podczas powszechnych wędrówek narodów, stał się w zamieszaniu wyjątkowy porządek. Odtąd wszystko powraca na wschód, a tém samém zostawia dawne swoje miejsce na zachodzie innym. Kubek w kubek jak morze, albo jaka bądź inna podlejsza woda. Tym sposobem zostawili Niemcy na zachodzie Alzacyą, a za to, jako ekwiwalent, muszą wziąć Poznańskie. Gdyby Poznańskie było państwem lub przyzwoitym narodem, to by znowu szukało powetowania swojéj straty gdzieś za Kaliskiém lub daléj. I tym sposobem, według zdania byłego radzcy floty, odbywa się rotacya w sposób najprzyzwoitszy. Jest to nic więcéj, jak prosty płodozmian państw i narodów, jak jest znowu płodozmian ziemi i morza. Pan radzca tak wierzy w tę swoję teoryą

rozpiérania się narodów i morza, że niezawodnie wyczekuje owego czasu, w którym zrodzi się nowe morze dla jego wymarzonéj floty! A że ze zdań jego żaden patryotyczny toast nie dałby się ułożyć, toż zaniechał tego poczciwy radzca marynarki *in partibus*.

Teraz przyszła koléj na ekonomistę. Poprawiwszy z angielska wykrochmalonach kołniérzyków, ozwał się głosem donośnym:

— Panowie!

— Nie śmiéj się, Mufke!—krzyknął gospodarz na lokaja, który coś przez okno zobaczył.

— Panowie!—mówił ekonomista—słyszałem tutaj bardzo wiele ładnego i dobrego o potędze narodowości. O ile wszystko to jest prawdziwe, zależy od stanowiska, z jakiego się na przedmiot zapatrujemy. Więc do licznych orzeczeń téj siły niewidomej, która bucha z piersi żyjącego narodu, pozwólcie, niech i ja moje zdanie dorzucę.

Tutaj zatrzymał się na chwilę szanowny mówca, z czego nie zaniedbali korzystać „drobni negocyanci“ na szarym końcu stołu, załatwiając tymczasem drobne, nosowe interesa. Poczém, gdy się już cicho zrobiło, a nawet „dysponent“ chustkę pod stół schował, ekonomista zaczął mówić:

— W organiźmie narodu, gdy jest zdrów i krwisty, wyrabiają się zbytnie siły. Te najostrzejsze soki swoje, te siły zbytnie musi on gdzieś wyrzucić. A jako organizm zwiérzęcy obiéra sobie na ten cel najbliższe i oraz najsłabsze, jeźli to być może, chore miejsca, tak i zbytnie siły narodu prąd swój obiérają w najsłabszą społeczność. Ale biada i najmocniejszym, na które trafi ten prąd silny, niepowstrzymany! Jakież to si-

ły wychodzą na zewnątrz narodu? Z jakich żołnierzy jest złożona ta straż przednia narodu? Któż są ci koloniści, których tysiące wychodzi co roku w ziemie Szląska i Poznania?... To są ochotnicy, to jest elita, to gwardya narodu!... Im za ciasno było między nami! Ich duch przedsiębierczy zapragnął obszérniejszego pola, ich ręce żylaste zapragnęły cięższéj pracy, twardszéj, stepowéj ziemi! W ojczyźnie siedzi się i pracuje, aby żyć i wyżyć, a oni wyszli z ojczyzny, aby miéć zysk! Słowo „zysk“ staje im tam za ojczyznę, za religią, za ustawy! Oni tam zyskać muszą, oni tam na wszystkiém zyszczą, bo to jest jedyny nerw ich życia. Dla tego oni muszą zdobyć kraj, na który się rzucą; mieszkańcy tamtejsi nie podołają im! Przed szturmem téj przedniéj, wyborowéj kolumny sił narodowych wszystko pryśnie, i pół wieku nie minie, a o dawnych posiadaczach majątku tamże zostaną takie same wieści, jakie dzisiaj mamy o sławnych Aztekach w Amerycel... Niedawno rozprawiano wiele o linii demarkacyjnéj polskiéj sąsiedniéj prowincyi. Chciano położyć kres i powiedzieć: dotąd, a nie daléj! Niedorzeczne marzenia! Granica naszego rodu jest ruchoma, z każdą godziną zajmuje więcéj ziemi, a przyjdzie czas, że łzawém okiem będziemy jéj szukali po za granicą państwa sąsiedniego... w ziemi obcego nam rządu!... Cóż więc zwycięża i podbija dzisiaj w naszych kolonistach? *Praca i zysk!* Wnoszę toast:

Praca i zysk!

Szary koniec stołu zaruszał się wprawdzie, ale *doktorowie* uznali to stanowisko za zbyt nizkie, aby się *wziąć do toastu.*

Potrzebne były jeszcze niektóre porozumienia i poprawki.

Pan Tamimischel nic na to wszystko nie mówił, tylko się uśmiéchał, jak człowiek dojrzały, patrząc z góry na igraszki berbeciów. Muskał nieustannie po swoim długim nosie, bawił się zielonemi kwiatkami atłasowéj westy, a gdy go jeden z emerytów o jego zdanie zapytał, odpowiedział krótko i węzłowato, że całą dyskusyą uważa za zwichniętą. Opuszczono bowiém w niéj najgłówniejszą podstawę, o którą wszystkie doczesne i wieczne opiérają się rzeczy, to jest: filologią i etymologią. Każdy bowiem przyzwoity filolog wié, że *Slavus* tyle znaczy, co *Sclavus*, zkąd wypływa, że Słowianie muszą być niższymi od innych. Nie trudno więc zwyciężyć tych, co się rodzą zwyciężonymi.

Krótka tą razą mowa filologa tak wszystkim przypadła do smaku, że jedni na seryo, drudzy ze śmiéchem podnieśli kielichy do góry i jednogłośnie zdrowie pana Tamimischla wypili.

Aby ten chaos zdań i wyobrażeń jeszcze bardziéj zamącić, usiadł tenor liryczny do klawicymbału i dziwnie melancholijnym głosem zaśpiéwał ów prześliczny hymn narodowy, ową smutną pieśń Arndta, który śród swoich pyta się:

Was ist des Deutschen Vaterland?

Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych miłych, bolejących tonów, ale nikt poecie nie odpowiedział, gdzie jego ojczyzna. Tylko ów gość w wytartym żoł-

nierskim mundurze, który dotąd milczał, otarł wielką łzę z siwych wąsów i mruknął z cicha:

Schleswig-Holstein meerumschlungen!

Wśród téj wrzawy i krzyku wymknęły się cztéry osoby z szanownego zgromadzenia. Walter i Matylda wyszli do znajomego buduaru. Matylda chciała zapewnie być obecną przy chowaniu srébra i swemu narzeczonemu przy téj sposobności zarecytować kilka jego wiérszy, a docent przyszedł za nią, zapewnie w tym celu, aby się swego autorstwa po raz setny wypiérać. Starą ciocię, która innemi drzwiami wyszła, można było podejrzewać, że poszła na poobiednie dołki z powidłami, które tak lubiła, że je o każdéj porze dnia jeść mogła.

Czwartym, który wyszedł, był młody Otton.

Biédny młodzieniec zdaje się wiele cierpiéć. Nic nie jadł przez cały obiad i do nikogo ani słowa nie przemówił. Wstał wcześnie i powolnym krokiem udał się na drugie piętro.

Rzuciwszy się na kozetkę, westchnął i rzekł do siebie:

— To być nie może, żebym się łudził. Gdy ostatnim razem byłem w Dąbczynie, weszła piérwsza do salonu, gdy jeszcze nikogo nie było. Wprawdzie zarumieniła się, jakby wcale nie spodziewała się mnie tam ujrzéć. Ale widziałem ją dobrze z dziedzińca, gdy na mnie przez okno patrzyła... Biédna! Ona chciała mówić ze mną, a nie mogła tego inaczéj uczynić!... *O nie, ja* się nie łudzę. W tém ciemnem oku tyle

uczucia, ten głos jak dźwięk struny metalowéj, uderza aż na dno serca. Kamień odżyłby na ten głos i drżałby jak listek brzozy!... Jak słodkie były jéj słowa! Co za luby niepokój ogarnął ją całą przez tych chwil kilka, gdyśmy byli sami!... O nie, wrażenie to nie zatrze się w sercu mojém, a jeźli pozostanie tylko jedném mojém uczuciem na całe życie, to zamknę je w głębi duszy mojéj, jak koncha perłę, a świat cały będzie dla mnie wielkim, pustym grobem!...

Tak dumał sobie nieszczęśliwy młodzieniec, a dwie łzy zakręciły się w jego pięknych, niebieskich oczach.

— Nie—rzekł do siebie, wstając z kozetki — nie mogę dłużéj cierpiéć bezczynnie. Kobiéty nie lubią kochanków, którzy, jak się nasz Göthe wyraża, śpiewają im pieśni szpitalne. Mężczyzna powinien dać dowód siły swego uczucia... Niech ojciec myśli sobie, że ja za firmę naszę strzelam się... o nie, ja strzelam się za ciebie i za ciebie chcę zginąć, droga, piękna Janino, ubóstwiony mój ideale! A jeźli zwyciężę... z twoich rąk, czysta królowo, odbiorę nagrodę!.. muszę ją miéć, muszę...

Iskra szlachetnego zapału zabłysła w oczach młodzieńca.

Zbliżył się do stolika, napisał kilka słów, zadzwonił na służącego, a wręczywszy mu dwie małe kartki do ręki, wysłał go na miasto.

Za kilkanaście minut otworzyły się drzwi z łoskotem, a dwóch młodych oficerów z srébrnemi epoletami na ramionach weszło do pokoju.

— Ach, Ottonie! myśleliśmy, żeś zapomniał o nas!—zawołali na raz.

— Bierzcie cygara... oto są cabanos, lanzas, trabucos.

Dwie szczęki odgryzły na jedno tempo dwa grube lanzasy, jak dwa patrony prochu.

— Czy Madery, czy Gabinet?

Dwa języki wymówiły w jednym czasie słowo: „gabinet“, ale tak miękko i pieściwie, że *g* przeszło zupełnie na *j*.

— Spodziewam się, że jesteście moimi przyjaciołmi.

Dwie pary oczu błysnęły na znak przychylnéj odpowiedzi.

— Otóż miałbym do was prośbę.

Para wąsów zaruszała się uśmiéchem ironicznym, który miał mówić:

— Co za prośbę może miéć syn bankiera do biédnych poruczników piątego pułku!

— Ale to rzecz trochę drażliwa!

Obaj lajtnanci otworzyli usta i oświadczyli znakomitemu swemu przyjacielowi, że dla niego, dla jego lanzasów i Madery, są w stanie poświęcić się, gdyby nawet i życie dać!... Na dowód czego wspomnieli o historycznéj swojéj energii roku pańskiego 1850, kiedy to Austryą chciano zgnieść z kretesem. I byłoby się to stało, gdyby nie stanęła w drodze Rosya...

— Panowie, mam pojedynek!

Na to ani jeden, ani drugi przez długi czas nic nie odpowiedział. Poglądali tylko po sobie.

Lanzasy jakoś nie były najlepszego gatunku, „gabinet“ coś nie wysadził korka, a był istotnie kwaskowaty i dosyć lichy.

Po niejakim czasie ozwał się jeden:

— Nie tłumacz sobie na złe naszego milczenia, kochany Ottonie. Rzecz ta wymaga wszechstronnego poglądu. Wprawdzie w r. 1850 niktby się z nas nie zastanawiał, ale dzisiaj, gdy już pół roku od tego czasu minęło...

— I musisz wiedzieć—dodał drugi — to wcale co innego sprawa publiczna, a sprawa jednostki...

— Ale mimo to—mówił piérwszy.

— I ja nie jestem absolutnie od tego — mówił drugi.

Lanzasy pogasły, „gabinet“ do szczętu skwaśniał.

— Otóż słuchajcie — rzekł młodzieniec.—Moim adwersarzem jest pan *von der Mark!*

— To piramidalne głupstwo! — wyrzekli obaj naraz.

— *Von der Mark!*—powtórzył Otton.

— Wybornie strzela!

— Trafia muchy na ścianie.

Młodzieniec spuścił głowę i zamyślił się.

Lanzasy jakoś się znowu roztliły, „gabinet“ poprawił się i zgoła był nie zły.

— Opowiedzże nam przedewszystkiém, jak to było—rzekł jeden—może sprawa więcéj nie warta, jak butelki szampana.

— Może wcale żadnéj nie ma obrazy! — rzekł drugi.

— „Pod czarnym łabędziem“ jadłem obiad—mówił Otton.—Pan *von der Mark* siedział przy tym samym stole i według swego zwyczaju głośno i z pretensyą rozmawiał.

— W tém nie ma jeszcze żadnéj obrazy. Wolność zdania zabezpieczona jest ustawą.

— Mówił daléj, że każda Polka dla wąsów „en hussard“, dla złotych epoletów i długich butów z ostrogami, gotową jest porzucić męża, dom i dzieci, jeźli to wszystko nie da się gładko oszukać.

— Pan *von der Mark*, jako „cavalier“ musi miéć na to dowody, bo właśnie nosi długie buty z ostrogami.

— Gdym stanął w obronie Polek...

— *Saperment!* Co tobie do Polek?

— Gdym stanął w obronie Polek i dom Dąbczyńskich za przykład wziąłem, roześmiał się pan *von der Mark* bardzo nieprzyzwoicie.

— To jeszcze nie obraza.

— I mówił długo o saméj margrabinie, która przez kilka lat szalała za pułkownikiem od dragonów, dla tego że miał łokciowe wąsy, a pięć stóp i ośm cali wysokości!

— I cóż daléj?

— Mówił, że za takiemi matkami i córki idą w ślady.

— Temu przecież nie przeczyłeś?

— Przeciwnie, mówiłem, że córka margrabiny, którą znam osobiście... że panna Janina jest godną dziewicą.

— Piramidalne głupstwo!

— A pan *von der Mark* wstał na to i wobec wszystkich dał słowo honoru, że za kilka miesięcy będzie miewał z nią „rendez-vous“, gdzie i kiedykolwiek zechce, a nawet wykradnie ją i wywiezie do jednego z swoich zamków, jak to dawniéj praktykowano. Na tę bezczelność powstałem.

— A pan *von der Mark* uderzył cię szpicrutą... *bo on zazwyczaj* tak się obchodzi z nieszlachtą.

— Nie, tego nie uczynił. Ale zwracając się do mnie, rzekł słodko: „Miło mi, słyszéć cię broniącego prześladowanych, młody człowieku. Jako *von der Mark* wyznawałem dotąd tę zasadę, że z krwią odziedzicza się przymioty rodziców i antenatów. Dzisiaj, mój młody przyjacielu, jestem w wielkim ambarasie z tą moją zasadą. Słyszę bowiem syna największego na całém Pomorzu szachraja i łotra, mówiącego uczciwie i wspaniałomyślnie. Lecz mojéj zasady dotąd nie cofnę, póki mi nie dasz dowodów, że to, co mówisz, nie jest tylko w gębie, ale we krwi twojéj.

— Tysiąc elementów! Kiedy się to stało?

— Przed tygodniem.

— Hm, czyby to nie było przedawnienie—mówił jeden z poruczników.

— Dla czegoż na gorąco nie załatwiłeś téj rzeczy?

— Możebyście w takim razie nie pili dzisiaj u mnie „gabinetu“.

— Masz słuszność—rzecze piérwszy.

— Bez wątpienia — wtrąca drugi.

— Pan *von der Mark* wyjechał był tego samego dnia za pilnym interesem — mówił daléj Otton.

— I zapewnie z rok tam zabawi?—rzekł piérwszy.

— Może i dwa — wtrącił drugi.

— Wrócił przedwczoraj!—ozwał się Otton.

— Przedwczoraj!

— To być nie może!

— Tak jest w istocie!... Więc proszę was, jako moich przyjaciół...

— Hm, trudna rada!

— Najlepszy strzelec na całém Pomorzu.

— Zastrzeli każdą muchę na ścianie!

Gdy jednak drugi i trzeci „gabinet“ pękł z przyzwoitym hałasem, a wino nie tylko do głowy, ale i do serca się wkradło, obaj przyjaciele ucałowali serdecznie Ottona, a poprawiwszy epoletów, wspomnieli jeszcze po raz trzeci „*intra parenthesim*“, że pan von der Mark najlepszym jest strzelcem na całém Pomorzu, że jest typem prawdziwego germańskiego junkra, który sobie w kaszę napluć nie da, i że zastrzeli każdą muchę, którą mu na ścianie wskażesz. A że to wszysko rozmarzonego młodzieńca z terminu zbić nie mogło, więc czyniąc zadość prośbie przyjaciela, westchnęli razem, spojrzeli po sobie i nic nie mówiąc, z dyplomatycznym wyrazem na twarzach udali się pod „czarnego łabędzia“, w którym przeszedłszy schody Nr. 3, na piérwszem piętrze pod Nr. 12 mieszkał ów straszny pan *von der Mark*.

Już było nad wieczorem. Goście obiadowi porozchodzili się lub porozjeżdżali, jak kogo stać było. Dom o śmiejących się karyatydach był znowu tak cichy i spokojny, jakby mieszkańcy jego posnęli lub wymarli.

Przekonawszy się, że po chwilowéj roztérce wszystko w dawne karby powróciło, że lokaje pozdejmowali suto srébrem i złotem obszyte liberye, że spiżarnia i piwnica szczelnie na dwa zamki zamknięta, odetchnął swobodniéj stary negocyant i po wązkich, kręconych schodkach spuścił się do ulubionego swego gabineciku. Zastał tam wszystko w dawnym porządku. Żelazne skrzynie stały jak zawsze na szynach że-

laznych, przykute łańcuchami do muru i podłogi; to samo biórko ogrodzone kratką żelazną; ten sam stó zimny, marmurowy, na którym każdy fałszywy kruszec zdradzał się podłym dźwiękiem... wszystko to było jak wczoraj, przedwczoraj, jak zawsze.

Uśmiéchnął się stary negocyant do stałych swoich przyjaciół; jakoś milėj, jakoś swobodniéj było mu tutaj, niżeli tam na piérwszem piętrze, między ludźmi, którzy nie są tak zimni i milczący, jak te skrzynie żelazne, jak ten stół marmurowy. Nawet ów zégar długi, mosiężny, który tak powoli i tak akuratnie stukał, był jego dobrym przyjacielem i za każdem regularném uderzeniem godziny przypominał mu owych punktualnych dłużników, którzy w należytym terminie płacili należne procenta.

Tak błogo było negocyantowi między temi ciemnemi, wilgotnemi murami, tak mu nic tutaj do jego szczęścia nie brakowało, tylko téj głupiéj szczypty opinii ludzkiéj i kilku kropli krwi szlacheckiéj, którą chciałby jak ospę zaszczepić nowemu swemu rodowi. Ale to wszystko da się zrobić, trzeba tylko cierpliwości i piéniędzy.

Tak myślał sobie stary negocyant, przechadzając się po swoim kantorze, w którym ani „dysponenta“, ani pisarzy nie było. Zacierał ręce i uśmiéchał się, myśląc o tém wszystkiém, co podczas obiadu napletli jego goście szanowni.

I teraz oczekiwał on gości, ale nie na piérwszém piętrze w amarantowym salonie, tylko czekał ich w gabineciku swoim, w którym na stole marmurowym, owym ołtarzu nowéj, brzęczącéj religii, postawi im flaszkę Jamaiki. Owi goście wieczorni byli to „dro-

bni negocyanci", którzy się jeszcze nie roztyli, albo, mówiąc innemi słowy, którzy jeszcze za lubym groszem po świecie się uganiali. Byli to po większéj części jego sprzymierzeńcy i tajni agenci, z czém jednak ukrywał się przed światem namiestnik „Goliata", aby to reputacyi firmy uszczerbku nie przyniosło.

Tacy goście nie wchodzili nigdy do niego na piérwsze piętro, przyjmował ich w swoim gabineciku o zamkniętych okiennicach. I miléj i swobodniéj było staremu negocyantowi w tém towarzystwie, niżeli pomiędzy doktorami i profesorami, którzy na bieg świata z jakiéjś mglistéj zapatrywali się sfery, przyczém prostemu negocyantowi zawsze mdło się robiło.

Na zimnym, marmurowym stole stało już kilka butelek i kilka talérzy z zimnemi przekąskami. Ozory na zimno, z drżącą od zimna galaretą, pekeflejsz na zimno i ryż z konfiturami na zimno, wszystko to stało na zimnym, marmurowym stole. I negocyant miał jakieś zimno w członkach swoich, bo się zgarbił i sine ręce zatarł.

Spojrzał na termometr: było niespełna dziesięć stopni ciepła — a przecież tam za oknem brzęczały złote muszki, tam na rynnie przeciwległéj kamienicy świegotał wesoło wróbel, oblany czerwoną strugą ciepłego, majowego słońca, i trzepotał skrzydłami do małego okienka na podwórzu, z którego o tym czasie wychylała się sucha ręka jakiegoś biédaka i rzucała mu pokarm...

Negocyant zatarł ręce i skulił się, a ubrawszy się ciepléj, usiadł w fotelu przy bióku swojém.

— Trochę zimno — pomyślał sobie — ale to pochodzi z trawienia, nic więcéj. Wiele jadłem na obiad.

I założywszy ręce w szérokie rękawy surduta, pochylił się na poręcz krzesła.

— Link przyniósł mi nie bardzo dobre wieści— dumał sobie — mianowicie o Dąbczynie wcale nic dobrego. Dąbczyn musi być moim, mój syn musi mieszkać w zamku. Człowiek jest jak obraz. Mało jest prawdziwych znawców, aby na piérwszy rzut oka rozeznali rękę mistrza. Ale niech ten obraz ma pyszne złote ramy, to gawiedź stanie przed nią z rodziawioną gębą i krzyknie: Musi to znakomity być obraz, kiedy ma takie ramy! Człowiek potrzebuje ram, pysznych, złotych ram, inaczéj zniknie i nikt na niego nie patrzy!... Mój syn musi miéć zamek i miasto, musi miéć klucz cały, musi się zbratać z szlachtą, być ty a ty, a imię *Werner* będzie wtedy lubione, będzie znakomite!...

I lekka chmurka osiadła na czole marzącego negocyanta.

— Ale margrabia oszczędza się... zechce sam gospodarować... Nie, nie, to być nie może, dla niego nie ma ratunku. Więcéj dzisiaj wynosi procent, niżeli dochód; a życie?... A gdyby się uparł i jakie sześć, ośm lat przesiedział kołkiem w Dąbczynie i cicho siedział... Ale nie, to być nie może! Tego głupstwa nie uczyni margrabia, ani margrabina. Podupadłby w opinii u wszystkich swoich znajomych... A jeźli zięć bogaty!...

Tu nagle zerwał się negocyant: uczuł, że ciepły, gorący prąd przeleciał mu przez piersi. Twarz jego zarumieniła się, oko zabłysło. Nawet wyprostował się i śmiałym krokiem począł się po kantorze przechadzać.

Dziwne jest to serce. Cóż je żywi, cóż je rozgrzéwa? Oto ten biédak w podartéj odzieży, tam na poddaszu przeciwległéj kamienicy, wychyla rękę do wróbla i rzuca mu ostatki jadła swego... do jego drzwi kołace żebrak, a on daje mu ostatni może grosz... na co?... dla iskierki owego ciepła, które mu serce ogrzéwa... A stary negocyant miał ciepło w témże samém sercu, gdy mu nagle przyszła do głowy myśl genialna, jakim sposobem najkrótszą przyjść drogą do cudzéj własności!... „Ciało wasze jest to naczynie Ducha świętego,—mówi jeden z ojców kościoła,—a w miarę tego, czém je ogrzéwać będziecie, będzie was sądził Bóg na dniu ostatecznym...“

Ciemne, wilgotne mury kantoru rozjaśniły się; jakoś ciepło, a nawet duszno zrobiło się staremu negocyantowi. Zdjął ciepły surdut, a gdy przechodził koło stołu marmurowego, na którym zimne stały zakąski, zdawało mu się, że wszystkie są gorące, że widzi parę buchającą z zimnéj rulady i drżącéj galarety.

— Tém raźniéj trzeba się brać do dzieła — rzekł do siebie, zacierając ręce — aby jaki bogaty zięć nie przeciął mi drogi. Jeźli margrabia zabierze się do robienia majątku na stare lata, trzeba mu w to grać. Nic tak prędko nie rujnuje ludzi, jak przedsiębiorstwo na wielką skalę. „Drobne interesa“ to złoto, a wielkie plany to nóż na własne gardło... Trzeba przedewszystkiém ludzi popchnąć daléj w ich zamiarach; gdy się na górę wydrapią, trzeba im odbiérać sen w nocy, a pokarm we dnie, znudzić ich, zmęczyć, a reszta sama się dokona. Jeźli się nie mylę, mój plan musi się udać— zakład fabryczny posłuży mi wybornie do tego... Otton musi mieszkać w zamku, w Dąbczynie!...

Tutaj skrzypnęły drzwi, a kilku wychudłych, brudnych negocyantów wsunęło się tylnemi drzwiami do kantoru. Gospodarz serdecznie uścisnął im ręce i szczęśliwszy zdawał się być w ich gronie, niżeli w gronie doktorów i illuminatów.

— Chodźcie, siadajcie, jédzcie—rzekł do nich—opowiém wam pocieszne rzeczy.

Przy zimnych ozorach, zimnéj ruladzie i przy zimnym, marmurowym stole jakoś zimno było poczciwym negocyantom. Nosy im posiniały, palce zgrabiały.

— Słuchaj Pifke!—ozwał się znowu gospodarz, klepiąc po ramieniu wysokiego, chudego negocyanta o zyzowatem oku i krzywych nogach — słuchaj Pifke, gdybyś był dzisiaj u mnie na obiedzie, pękłbyś ze śmiéchu, co za głupstwa gadała ta uczona hołota!

Pifke wystawił półtora zęba, to jest, wszystko co miał w gębie, i rzekł:

— Tych panów wcale nie lubię. Oni dobrze niby mówią, ale źle płacą.

— Masz słuszność, Pifke — odparł gospodarz— ale ja muszę z nimi żyć, firma „Goliat et Compagnie".

— Oczywiście, naturalnie, bez wątpienia — odpowiedzieli chórem negocyanci.

Nastąpiła chwila milczenia. Na wspomnienie „Goliat et Compagnie" posmutnieli jakoś negocyanci. Pifke spojrzał melancholijném okiem na ów stół marmurowy, na owe duże, żelazne skrzynie, owe sześć czarnych stołów; spojrzał po wszystkich kątach kantoru i pomyślał sobie wraz z obecnymi „drobnymi negocyantami":— Gdyby to miéć firmę własną, taki stół marmurowy, takie skrzynie żelazne, taki kantor... a nad drzwiami „Pifke et Compagnie"!...

— Pifke!—zawołał gospodarz—nie uwierzysz, co za głupstwa plotła ta uczona czereda!

— Oni nawet nie wiedzą, co to „drobne interesa"!

— Nic zgoła nie wiedzą! Im się zdaje, że jakiś duch niewidomy kieruje tą głupią machiną świata!... Gdyby wiedzieli, ile ty sam, Pifke, odebrałeś ziemi właścicielom polskim przez twoje procenta!...

Pifke wystawił półtora zęba, potém wystawił język i oblizał je od ucha do ucha, jak gdyby go najlepszy spotkał kompliment.

— Jeden ekonomista mówił jeszcze jako tako— prawił daléj gospodarz — a nawet powiedział kilka rzeczy bardzo ładnych. Ale reszta, to pożal się Boże!... Według jednych jakaś absolutna, narodowa idea, rozszérza granice państwa; według drugich potęga oświaty naszéj, sąsiedni podbija naród; inni znowu utrzymywali, że Sławianie są na to stworzeni, jak mszyce u pracowitych mrówek, abyśmy ich doili i ich mléko jedli. Poczciwy radzca floty powiedział, że naród to jak morze, które na wschód się ciśnie... a nawet ktoś nas przyrównał do piasków Sahary, która coraz więcéj Egiptu zabiéra... A wszystko to ma się dziać błogosławionym pędem cywilizacyi... na korzyść ludzkości...

— O naszych uczonych można to samo powiedzieć, co powiedział Napoleon podczas bitwy — ozwał się młody, blady negocyant.

Negocyanci spojrzeli na mówiącego. Był to renegat inteligencyi. Porzucił doktorat, którego już był blizko i zaciągnął się w szeregi negocyantów. Jego towarzysze szanowali w nim zawsze naukę, bo ją zawsze na ich korzyść wykładał.

— Aha, słyszałem coś o tém—rzekł gospodarz—mówił, że to są ideologowie i nic więcéj!

— Nie o tém myślałem—mówił negocyant.—Napoleon miał zawsze uczonych przy armii. Wszystko to ciągnęło się w tyle wraz z osłami, objuczonymi różnym pakunkiem. Podczas jednego niespodziéwanego napadu krzyknął Napoleon mimo woli:—Osły i uczeni do środka!

Pifke wystawił półtora zęba i roześmiał się tak przeraźliwie, że aż gospodarz spojrzał na niego

— Bardzo słusznie powiedział Napoleon—mówił daléj gospodarz—moi goście pletli i nic rozsądnego nie powiedzieli. Jeżeli sąsiednia polska prowincya już prawie w naszych jest ręku, jeźli co roku mniéj jest właścicieli polskich, a koloniści coraz więcéj ziemi nabywają, to się wcale nie dzieje za pomocą jakiéjś idei, ani cywilizacyi; nie jest to żaden idealny prąd narodu, ale po prostu: *są to nasze piéniądze i nic więcéj... nasze piéniądze!* My jesteśmy producenci piéniędzy, a szlachcic polski jest konsumentem piéniędzy. U nas piéniądz robi na piéniądz, tam piéniądz jest dla wygody i fantazyi. Im większy szlachcic polski ma kredyt, tém pewniéj wieś traci... Tak Pifke, ty to wiész najlepiéj, czém weźmiemy całą prowincyą polską w posiadanie: Piéniędzmi, kredytem i tém, co ztąd wypływa: procentami!

— Kredyt publicznych instytucyi najwięcéj zabija polskich gospodarzy — rzekł młody negocyant—mianowicie jeźli ich tylko pośrednio dochodzi. Wiele pisali nasi patryoci o tém, jakimby sposobem można tę prowincyą zgermanizować. Ja mówię: dać jéj w banku kredyt nieograniczony, kredyt wyrównywający war-

tości dóbr — a za kilka, kilkanaście lat cała ziemia będzie w naszych ręku.

Pifke na to nic nie mówił, tylko się trochę zamyślił.

Herszt lichwiarzy poznańskich myślał sobie w duchu:

— Wszystko głupstwo, co tamci przy obiedzie mówili i co ci przy zimnych zakąskach mówią. Ani idea, ani potęga oświaty, ani przyrodzony prąd narodu na wschód, ani kredyt, nie zdobywają w Poznańskiém ziem polskich, ale rzecz drobna, najdrobniejszy nasz interes: *lichwa*, którą pobiéramy od podpisów, zaręczeń, i t. d., i t. d.

W tém z trzaskiem otworzyły się drzwi, a do kantoru wbiegł Otton.

— Kochany synu, czy masz jaki interes do mnie? —zapytał ojciec, nie rad, że syn wchodzi w to towarzystwo.

Otton był mocno czérwony na twarzy, włosy miał rozburzone, oczy jego tryskały ogniem.

— Synu mój, co ci jest?—powtórzył pytanie zniecierpliwiony ojciec.

Otton roztrącił zdziwionych negocyantów i rzucił się na krzesło, zasłaniając twarz rękoma.

— Ojcze — zawołał — jam zhańbiony!

— Zhańbiony!—krzyknął negocyant.

— *Von der Mark* strzelał się dzisiaj i jest śmiertelnie ranny!

— Strzelał?... z kim się strzelał?—zapytał negocyant, a krew uderzyła mu do głowy.

— Z jakimś panem z Dąbczyna!

— Jak się nazywa?

— Hrabia Leon...

— Hrabia Leon...—stęknął negocyant, a twarz jego zbladła jak chusta—hrabia Leon... młody, przystojny człowiek...

— Ty go znasz, ojcze?—krzyknął Otton i zerwał się z krzesła.

— Młody... przystojny...—jąkał się stary negocyant—przystojny... bogaty... miał wysokie weksle na na nasz dom... dziś rano wymieniał je... dwa kroć sto tysięcy... margrabia da mu rękę...

— Ojcze! — zawołał młodzieniec i rzucił się w boleści na pierś ojca.

— Precz mi z oczu!—krzyknął negocyant i odepchnął syna od siebie.

— Odpychasz mnie? — zawołał zdziwiony młodzieniec, a łzy stanęły mu w oczach.

— Precz! W twoich żyłach jest krew „drobnego negocyanta“, podła krew i nic więcéj!

Negocyanci wpatrzyli się na siebie — w kantorze było zimno, strasznie zimno.

IV.

Blady i cały drżący wrócił Otton do swego mieszkania. W jego oczach gotowała się rozpacz, usta paliły się gorączką. Rzucił się na fotel i zacisnął ręce.

— We mnie jest podła krew negocyanta!—rzekł do siebie—jam jéj nie godzien!

Dwa lanzasy buchnęły z kanapy gęstym dymem, dwie pary wąsów zaruszały się z wielką sympatyą.

Młodzieniec nie widział tych oznak współczucia swoich przyjaciół, martwym wzrokiem patrzył przed siebie. A przed jego oczyma przesuwała się zwolna piękna kobiéca postać, patrzyła nań okiem pełném uczucia, dotknęła się jego ręki swoją białą, drżącą rączką!... A za nią krok w krok postępował srogi, nieznany rywal jego, śmiałą ręką uchwycił szatę, przyciągnął do siebie i w jego oczach na ustach pięknéj dziewicy wycisnął gorący, długi pocałunek!... I rzekł do płaczącéj:

— On nie był godzien ciebie, on nie chciał bronić *twojéj sławy*, w nim podła krew negocyanta! Jam ją *obronił!...*

I zerwał się biédny młodzieniec i z obłąkanym wzrokiem stanął przed kanapą, na któréj siedzieli obaj jego przyjaciele.

Dwa lanzasy buchnęły znowu dymem do niego jak dwa zapalone lonty, gotowe na jego rozkaz.

— Opowiédzcie mi, jak to było?—rzekł młodzieniec rzewnym głosem.

— A czemu słuchać nie chcesz, tylko zaraz głowę tracisz?—odpowiedział jeden lanzas.

— On zapewnie rzekł do niego, żem ja nie godzien stanąć w jéj obronie!—mówił młodzieniec z wzrokiem obłąkanym.

— Co my tam wiémy, w czyjéj ty obronie stawać miałeś — ozwał się drugi lanzas — przy pojedynku o nikim mowy nie było.

— Jakto? ani o mnie?—zapytał syn negocyanta.

— O tobie nikt nic nie wié i nikt nic nie mówił— rzekli obaj lanzasy naraz.

Młodzieniec spuścił głowę, jego drżące usta szepnęły:

— Jam syn prostego negocyanta, któż o mnie mówić będzie?...

Tymczasem zaczął jeden z lanzasów:

— Wczoraj wieczór do szlacheckiego kasyna wszedł gość prawie nikomu nieznany. Wprowadził go książę Thurn!

— Książę Thurn!—zawołał syn negocyanta.

— Polski graf nie wiele czasu tracił na rozmowie, tylko zaraz zapytał się o pana *von der Mark*.

— I powiedział mu, że ja jako nie szlachcic nie mogę...

— Nic mu o tobie nie mówił. Ale mu się przedstawił i zaprosił go do gry.

— O pannie Janinie nic nie mówił?

— Grał jak najspokojniéj pół godziny i jak najspokojniéj przegrał tysiąc talarów.

— Tysiąc trzysta—wtrącił drugi lanzas.

— Tak, tysiąc trzysta przegrał, zapłacił i na pana von der Mark krzywo się popatrzył, a potém z uwagą począł wszystkie karty przeglądać.

— Dając do poznania, że pan von der Mark mógł miéć znaczone karty—dodał drugi lanzas.

— Von der Mark naturalnie tém się uraził, a jako człowiek popędliwy i nie lubiący Polaków, zapytał się groźno, co to wszystko znaczy. Polski graf z zimną krwią i jak najgrzeczniéj odpowiedział, że to czyni tylko dla czczéj zabawki i daléj karty przeglądał.

— A trzeba wiédzieć, że von der Mark, jako awanturnik nie jest w kasynie lubiony—wtrącił znowu drugi lanzas.

— Dla tego powstały śmiéchy i wszyscy zaczęli dziwnie poglądać na pana von der Mark. Polski graf z jak najzimniejszą krwią kontynuował swoją dziwną zabawkę. Von der Mark nie mógł się powstrzymać, powiedział kilka słów niegrzecznych; polski graf wstał od stołu, a wziąwszy księcia Thurn pod ramię, powiedział swemu przeciwnikowi, że każdéj godziny jest na jego żądanie gotowym.

— Wszyscy myśleli, że polski graf nie dożyje dwóch dni—wtrącił znowu drugi—a on tymczasem dzisiaj w południe jak najspokojniéj grał w karty i wygrał nie mniéj ni więcéj jak to, co stracił: tysiąc trzysta talarów. Z tém wstał i pożegnał kasyno.

— Dziś rano miał się odbyć pojedynek. Wszyscy myśleli, że polski graf zginie, bo pan von der Mąrk najtęższy strzelec na całe Pomorze!... Strzelano do baryery... graf zaledwie wziął pistolet do ręki... nie zniżył się ani kroku, tylko mierzył... a mierzył w kolano... i w kolano trafił... na trzydzieści kroków! Potém zapalił cygaro i odjechał.

Syn negocyanta opuścił głowę, a głos wewnętrzny rzekł mu:

— On ją obronił, obronił dzielnie! Ona za to kochać go będzie, bo on jéj godny! A w tobie podła krew negocyanta... Czemuż zaraz nie wyzwałeś go? Twoja zimna, podła krew nie zawrzała od razu, jak krew szlachecka... tyś jéj nie godzien!

Dwa lanzasy buchały teraz gęstym dymem, jak świéżo nałożone ognisko. „Gabinet“ zaszumiał w dwóch szklankach i powoli znikał pod gęstemi wąsami. Przyjaciele uszanowali nieszczęście młodego swego przyjaciela i postanowili zostawić go niejaki czas jego nieutulonemu żalowi. Lanzasy dymiły się nieprzerwanie, „gabinet“ szumiał w szklankach i znikał pod wąsami. A gdy się wreszcie na dnie flaszki okazała okrągła, szklanna wyspa, ozwał się jeden lanzas:

— I czemuż tak smutnym jesteś, Ottonie? Uczyniliśmy wszystko, czegoś od nas żądał.

— Dziękuję wam, przyjaciele. Ale ja jestem zhańbiony!...

— Zhańbiony? Jakto?—zapytali dwaj lanzasy.

— Całe miasto wié o tém, że mnie von der Mark publicznie obraził, ojca mego nazwał największym szachrajem i łotrem, a ja—stchórzyłem!

— Wszak nie stchórzyłeś—miałeś chęci.

— Ale świat tak będzie sądził!

— Zresztą, gdy von der Mark wyzdrowieje, za jakie pół roku, bo kości potrzaskane na miazgę...

— Ale do tego czasu świat mnie potępi i zabije!— zawołał młodzieniec i z rozpaczą załamał ręce.

Oba lanzasy przestały dymić na chwilę, potrzeba było szukać dla przyjaciela jakiéjś innéj rady. Okrągła, szklanna wyspa na dnie butelki stawała się coraz większą.

— Więc jest i na to rada!—krzyknął z radością jeden lanzas i uderzył w stół ręką.

Młodzieniec wytężoném okiem spojrzał na mówiącego.

— Będziesz się strzelał z piérwszym lepszym, który się krzywo na ciebie popatrzył! — mówił daléj lanzas.

— Wyborna myśl, warta jednéj butelki szampana!—zawołał drugi lanzas i zadzwonił na służącego.

— Jakto?—zapytał młodzieniec.

— Na ulicy, w teatrze, „pod czarnym łabędziem“, w kawiarni, lub gdziebądź, nastąpisz komu na nogę, szturkniesz go łokciem, wytrącisz mu cygaro i powiész mu przy tém grubiaństwo, lub coś podobnego — i sprawa gotowa! My pójdziemy z tobą!

— Pójdziemy z tobą!—zawołał drugi lanzas— tymczasem każ służącemu... bo gardła wyschły.

Świéża butelka stanęła na stole.

— Jeszcze mi niejasna wasza rada — odrzekł młodzieniec — nie wiém, jakim sposobem człowiek zupełnie nieznany, niewinny...

— Jesteś strasznie młody, Ottonie, strasznie

młody! — mówił piérwszy lanzas, wyciągając korek z butelki.

— Strasznie młody!—mówił drugi, podstawiając szklankę.

— Na świecie tak prostą drogą nie daleko zajdziesz! — rzekł piérwszy, leję pienisty trunek do szklanki.

— Nie zajdziesz daleko tak prostą drogą na świecie!—rzekł drugi, przykładając szklankę do wąsów.

— Trzeba się różnym sposobem ratować!—mówił piérwszy, biorąc za szklankę.

— A my tymczasem rozniesiemy po całym świecie, że Otton Warner strzelał się, walny chłopiec, krew nie lada!—mówił drugi, leję wino do szklanki.

Młodzieniec stał jak posąg, nie wiedział, co się z nim dzieje.

— A teraz — rzekł piérwszy, wpychając mu do rąk ogromną szklankę—teraz pij z nami zdrowie tego, z którym jutro strzelać się będziesz!

— Pij z nami! wieczorem pójdziemy szukać awantury!

Młodzieniec trzymał machinalnie szklanicę w ręku. W uszach mu szumiało, przed oczyma latały jakieś widma złowieszcze.

Wreszcie podniósł szklankę, przyłożył ją do ust jednym tchem wypił co do kropli.

Gorący strumień przebiegł go od stóp do głowy, krew zawrzała mu w żyłach. Z przed jego oczu uchyliły się mary złowieszcze, a jakieś rajskie, rozkoszne obrazy stanęły przed nim. Zdawało mu się, że stał w ogromnym cyrku, ubrany jako rycerz dawny w kiras i hełm, z piórem czérwonem i groźną potrząsał kopią.

wyzywając zapaśnika. Wstęga ulubionéj barwy kochanki spływała na jego ramieniu, na jéj cześć stoczyć ma dziś walkę śmiertelną!... A ona patrzy na niego z kamiennego balkonu, przed nią uklęknie po walce, a jéj białe rączki uwieńczą jego skronie...

— Héj!—krzyknął i rzucił szklankę aż w tysiące rozprysła się kawałków — gdzież jest ten, co śmié powiedzieć, że we mnie podła krew negocyanta? Piérwszy, którego dzisiaj ujrzę...

W tém otworzył drzwi służący i zapowiedział nieznajomego gościa.

Lanzasy przestały się dymić—do pokoju wszedł Jerzy.

Jerzy miał na sobie ubiór podróżny, dosyć zaniedbany. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Ręce jego drżały, oddech miał słaby, urywany.

— Jeźli to być może—ozwał się do Ottona—prosiłbym pana o chwilę rozmowy sam na sam.

Syn negocyanta zmierzył go pogardliwie od stóp do głowy i rzekł, wskazując na dwa obłoki dymu:

— Są to moi najlepsi przyjaciele, nigdy się z nimi nie rozstaję i żadnéj przed nimi nie mam tajemnicy.

— Więc mogę zacząć—mówił daléj Jerzy, oglądając się za krzesłem.

Otton zrozumiał wzrok Jerzego i machinalnie wskazał na fotel. Zdawało mu się, że w twarzy nieznajomego gościa ujrzał złośliwy uśmiéch tryumfu. Zmarszczył czoło i z pańska rzucił się na stojący obok stołu balzak. Zdawało się Jerzemu, że w tém zachowaniu się syna negocyanta jest coś szyderczego.

— Jestem Jerzy... lekarz z Dąbczyna.

— I przyjechałeś pan, aby w razie potrzeby opatrzyć rany hrabiego Leona...—rzekł z gestem arystokraty syn negocyanta.

Spojrzeli sobie obaj w oczy i obaj jednocześnie odsunęli krzesła od siebie. Jakaś dziwna, nieodgadniona antypatya powstała w téj chwili w ich sercach.

— Jeźli pan tak rozmowę zaczynasz—rzekł Jerzy, siląc się na wyraz obojętności — to ona może się urwać przed czasem.

— Nie wiém, mój panie, czy wiele zyskam na czasie—odparł syn negocyanta—ale słucham pana.

— Ciérpkie słowa pana okazują, jakbyś miał jaką urazę do mnie—zapytał Jerzy, a twarz jego czérwieniła się z gniewu.

— Nie znam pana!

— Obecność tych panów i ich ranga jest mi rękojmią, że rozmowa nasza toczyć się będzie w karbach przyzwoitości.

— Słucham pana!

— Pan miałeś spór z panem von der Mark.

Otton ruszył głową.

— Przy tym sporze wymienione zostało imię pewnéj damy.

— Pan powtarzasz stare rzeczy — odparł młodzieniec z niecierpliwością.

— Dopóki te rzeczy jeszcze nie załatwiły się...

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem. Był to piérwszy policzek wstydu, piérwszy głos nieubłaganéj opinii!

— Któż mi dzisiaj odebrał sposobność załatwie-

nia téj sprawy na drodze honoru?—zawołał żywo młodzieniec.

— Myśl pan, że to przypadek, czysty przypadek.

— Przypadek? O nie, mój panie, to nie był przypadek. Bo przypadek nie przyjeżdża z Dąbczyna, nie idzie wprost do kasyna i nie pyta się wprost o pana von der Mark, nie proponuje mu wprost gry hazardownéj! A przegrawszy naumyślnie tysiąc talarów, nie patrzy się krzywo na pana von der Mark, nie zarzuca mu szalbierstwa. Przypadek nie postępuję sobie tak systematycznie, nie przywozi z sobą lekarza; słowem, nie był to wcale przypadek. Było to wymierzone przeciw mnie, aby mnie poniżyć, aby okazać, żem nie godzien obronić cudzéj sławy, bo nie mam tarczy herbowéj, bom syn prostego negocyanta.

Z za chmury dymu ozwały się dwa głosy.

— Który doskonale się strzela i przed każdym polskim grafem się ostoi!

Jerzy spojrzał na kanapę, ale prócz gęstych kłębów dymu nic nie widział. Słowa młodzieńca obudziły w nim kilka myśli, które mu często do głowy przychodziły, a nigdy dojrzéć nie mogły. Było jakieś pokrewieństwo między nimi obydwoma: mimo to jakaś niepojęta antypatya trzymała ich z daleka od siebie.

— Nie znam powodu — rzekł Jerzy po chwili— dla czego pan w tym przypadku, czy raczéj zdarzeniu, widzisz dla siebie jakieś poniżenie. Jeźli chodziło panu o honor damy, to rzecz obojętna, kto kopią skruszył.

— Nie, mój panie—odparł syn negocyanta — są dobre, szlachetne uczynki, które radzi sami spełniamy. Jest to wrodzona nam próżność, od któréj żaden człowiek wolnym nie jest.

— Ale ta próżność powinna nam w takim razie przynieść niejaki procent—rzekł Jerzy z uśmiéchem ironii.

— Nikt niéma prawa zaglądać do moich rachunków—odparł syn negocyanta w widocznym gniewie.

— Nie przychodzę tutaj—rzekł Jerzy, powstrzymując się w gniewie — abym żądał od pana rachunku, czy stawanie w obronie tak znakomitéj damy przyniosłoby panu korzyść jaką, czy żadną. Do tego nie mam bynajmniéj upoważnienia. Ale przychodzę z tém, do czego mam upoważnienie.

— Słucham pana — zawołał Otton i przygryzł usta.—Ale najprzód powiédz mi pan, od kogo masz pan kredytywę? Zapewne od hrabiego Leona?...

— Bynajmniéj.

— No, to już dobrze, bo inaczéj nie mógłbym jéj akceptować.

— Moje upoważnienienie pochodzi wprost od damy.

— Od panny Janiny!—zawołał młodzieniec i zerwał się z balzaku na równe nogi.

— Tak jest, od niéj saméj — odparł Jerzy, patrząc z pod oka na chmurę dymu przed kanapą.—Mówiła, żem nie godzien?...

Jerzy spojrzał bystro na syna negocyanta. Jakoś za tragicznie wyglądał mu w téj chwili, aby całą tę sprawę wziąć za przemijającą awanturę. Jego twarz przybladła, duże, niebieskie oko drżało, jakby przemocą ukrywało łzę, cisnącą się z głębi duszy. Jerzy uczuł, że jego serce doznaje jakiegoś bólu na myśl, iż ów stojący przed nim młodzieniec jest jego nieprzyjacielem.

— Tak jest — mówił z cierpką determinacyą— od niéj saméj mam upoważnienie powiedzieć panu, że ona sobie wcale nie życzy tego, aby jéj imię wmięszane było do awantury pojedynkowéj.

— Dla tego przysłała swego narzeczonego— mówił z ironią syn negocyanta.

Twarz Jerzego oblała się rumieńcem. Usta jego zadrżały, ale słowo zamarło i nie wyszło przez nie.

— Przysłała swego narzeczonego—ciągnął daléj z ironią młodzieniec — aby udaremnił pojedynek, któryby mi dał sposobność okazania pannie Janinie i całemu światu, że mam taką samą krew, jak i każdy szlachcic... żem jéj godzien, jak każdy inny!...

— Milcz pan!—krzyknął Jerzy, któremu nagle przed oczyma wszystko chodzić poczęło.

Chmura dymu przed kanapą rozdzieliła się na dwa obłoki, z po za których wyszły dwa mundury, dwie pary epoletów, dwa lanzasy i dwie pary wąsów. Wszystko to stanęło między Jerzym i Ottonem, a dwa głosy ozwały się jednocześnie:

— Hola! już ani słowa. Już więcéj nie macie z sobą nic do czynienia, tylko z nami!

— Jestem gotowy w każdym czasie — rzekł Jerzy, a twarz pałała mu ogniem.

— Czém prędzéj, tém lepiéj — odparł młodzieniec, a jego błękitne oczy zaszły łzami.

— Oto są nasze bilety — ozwały się dwa lanzasy do Jerzego.—Pośrednicy pana mogą się z nami rozmówić.

Jerzy chwycił za dwie karty i wybiégł na ulicę.

Syn negocyanta rzucił się na szyję przyjaciołom, obcałował ich wąsy i zawołał w radośném uniesieniu:

— Jestem szczęśliwy, moi przyjaciele! Będę się strzelał, świat dowié się o tém, że nie jestem tchórzem, a ona się dowié, że ją kocham!

— Jeźli cię nie zakłuje ten Polak! - mruknął jeden lanzas.

— Głupi interes — mruknął drugi — wleźliśmy w błoto!

Ale uszczęśliwiony młodzieniec nie słyszał ich mowy—jednym zamachem zbiegł dwa piętra i wpadł do kantoru.

Pifke zaledwie do siebie był przyszedł, usłyszawszy wcale dziwne zdanie, jakoby krew „drobnego negocyanta“ miała być podlejszą od krwi każdego innego bankiera, i zaledwie sam stary negocyant jakoś się był udobruchał i z młodym negocyantem széroko rozmawiać począł, jakimby to sposobem podnieść akcye kolei żelaznéj, i jakie po temu dzienniki przekupić potrzeba, gdy nagle z twarzą rozognioną, z rozburzonemi włosami stanął przed nimi młody Otton.

— Ojcze!—krzyknął, rzucając mu się na szyję— będę się strzelał jutro i okażę przed całym światem, że we mnie nie ma krwi „drobnego negocyanta“ i że ją ko...

Pifke się skrzywił i odstawił szklankę, którą był właśnie do półtora zęba swego przyłożył. Powziął w duchu to chwalebne przedsięwzięcie, aby najprędzéj zaniechać „drobnych interesów“ i postarać się o własną firmę: „Pifke et Compagnie“.

Namiestnik „Goliata“ przyciskał w téj chwili swego jedynaka do piersi, nie dając mu ani słowa więcéj powiedzieć.

Gdy Jerzy powrócił do hotelu, w którym obaj z hrabią Leonem mieszkali, zastał go siedzącego spokojnie na kanapie i nucącego sobie pod nosem jakąś aryą z „Marty“. Hrabia zdawał się znudzony, a ujrzawszy wchodzącego Jerzego, rzekł z niecierpliwością:

— No cóż, szanowny panie, jedziemy?

— Nie dzisiaj jeszcze — odpowiedział Jerzy.

Odpowiedź Jerzego miała tak dziwny akcent, że hrabia badawczo spojrzał na niego. Na twarzy Jerzego malowało się jakieś dziwne, nieodgadnione szczęście. Jego oczy uśmiéchały się i tak szybko biegały, jak jaskółki przed burzą.

Usiadł w drugim rogu kanapy i z wyrazem tryumfu spojrzał na bladą, zimną twarz hrabiego. I w saméj rzeczy miał z czego tryumfować nasz bohater, według najlepszego swego przekonania. W zagadkowym swoim towarzyszu, pomimo wszelkiéj ku niemu sympatyi, widział zawsze w końcu swego nieprzyjaciela, który mu stanął na drodze szczęścia. Czuł jego wyższość nad sobą, która go gniotła do ziemi, jak ciężka, ołowiana atmosfera. Czuł jego siłę demoniczną, która go ciągnęła za sobą, aby był świadkiem jéj tryumfów i przekonał się, jak daleko od marzeń poety do praktycznego człowieka! Wszystkie te boleści przechodził nieszczęśliwy marzyciel, a jednak nie miał odwagi, zdobyć się na krok stanowczy i rozciąć tego węzła gordyjskiego. Zdawało mu się, że zdobywszy serce, już dosyć uczynił, że na tém polu koniecznie zwyciężyć musi.

Tymczasem adwersarz jego coraz więcéj cisnął *go do ziemi*. Już samą pozycyą swoją miał nad nim

wielką przewagę, a cóż dopiéro teraz, gdy w obronie Janiny postawił życie na kartę? Cóż Jerzy uczynił, aby dowieść swoich uczuć?... Jego przeciwnik wziął mu z przed nosa jedyną próbę, która się mu nadarzyła, i odbył tę próbę na swoję korzyść!... A może Janina naśladując dziéwicę wieków rycerskich, wystawiła ich obu na próbę miłosną?...

W takim stanie rzeczy zdarzenie z synem negocyanta było dla Jerzego bardzo korzystne.

Strzelając się z drugim uczestnikiem udaremnionego pojedynku, stanął na równi z hrabią Leonem. Zrównał się więc ze swoim przeciwnikiem i okazał się godnym miejsca, jakie już miał w sercu panny Janiny.

Więc z uczuciem tryumfu spojrzał na swego towarzysza i uśmiéchał się, nie bez pewnéj zarozumiałości, gdy jego blada, zimna twarz poczęła się ożywiać wyrazem ciekawości.

— Jeźli się nie mylę — ozwał się hrabia Leon i tak przenikliwym wzrokiem spojrzał w twarz Jerzego, że ten był pewny, iż już wszystko odgadł—jeźli się nie mylę, spłatałeś pan znowu jakiegoś figla.

Jerzy pokrył swą twarz maską żartu i odparł z wejrzeniem jakiéjś myśli ubocznéj:

— Nie, figla nie spłatałem .. był to prosty przypadek.

— Jaki przypadek?

— Że się strzelać będę.

Hrabia Leon rzucił się na kanapie.

— Obawiałem się tego — oparł cierpko.

— Ale to prosty przypadek, nic ułożonego najprzód... taki sam przypadek, jaki pan miałeś z panem von der Mark--odparł Jerzy z ironią w spojrzeniu.

Hrabia spojrzał na niego i rzekł z cierpkim uśmiéchem:

— Kto się wyższéj myśli poświęcił, kto pragnie służyć ludzkości, ten nie powinien tak życiem igrać w rzeczach podrzędnych.

Jerzy uczuł, że mu twarz oblała się rumieńcem. Ale wnet serce odniosło zwycięztwo.

Wyprostował się i rzekł z dumą:

— To jest tylko dowodem, że zdolny jestem do każdego poświęcenia się, do każdéj walki z tém, co mi na drodze staje.

— Ale nie z marami, które do niczego nie prowadzą!—odparł hrabia z widoczną niecierpliwością.

Jerzy wlepił oczy w bladą, zimną twarz hrabiego, ale na niéj prócz jakiéjś kapryśnéj, pańskiéj niecierpliwości, żadnego innego nie dostrzegł wyrazu.

— Myślałem, że pana od nierozważnego kroku ochronię—mówił daléj hrabia.

— Jakto?—wtrącił Jerzy—więc ów prosty przypadek w kasynie szlacheckiém był naprzód obmyślony?...

— Tego nie mówiłem — przerwał szybko hrabia —tylko myślałem, że mój wypadek ochroni pana od wszelkich podobnych...

Jerzy roześmiał się, chociaż w tym śmiéchu było więcéj bolesnego uczucia, niż wesołości.

— Więc pan chciałeś mi jak żakowi wyprawić odstraszający widok, jak człowiek z roztrzaskaną nogą po pojedynku wygląda... a tymczasem zbudziłeś tylko pragnienie krwi.

— Widzę, że pan musisz być swoim własnym lekarzem—odparł zimno hrabia.

— Są choroby, które tylko samemu leczyć można —odrzekł mu na to również zimno Jerzy.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju, poglądając z pod oka na Jerzego. Jerzy jak najspokojniéj zapalał sobie cygaro.

Podobało się to widać hrabiemu, gdyż zatrzymał się przed kanapą i począł się mu z uwagą przypatrywać.

Po chwili rzekł:

— Dotąd myślałem, że potrzeba życiem pogardzać, aby je stawiać na kartę. Teraz widzę, że można to uczynić w chwili, gdy się nam ono najpiękniéj uśmiéchał

— Ta między nami zachodzi różnica—odparł Jerzy z bolesnym uśmiéchem.

— Temu nie przeczę... może się kiedy zbliżymy do siebie... tak na pół drogi przynajmniéj — rzekł hrabia i pośpieszył do stolika, na którym był przyrząd do pisania.

Napisawszy kilka wiérszy, zadzwonił na służącego hotelu.

— Ten list odniesiesz do księcia Thurn — rzekł do niego — a z tym udasz się do pana R., od którego kupiłem dwa konie. Oraz proszę o rachunek, gdyż zaraz wyjeżdżamy.

Jerzy czekał właśnie niecierpliwie odejścia służącego, aby hrabiego zapytać się, co znaczą tak dziwne rozporządzenia, gdy tenże rzekł do niego:

— Muszę panu oczywiście sekundować. Znasz pan sekundantów swego przeciwnika?

Jerzy oddał mu karty.

— A wiész pan, z kim się strzelam? — zapytał hrabiego.

— A jużci z młodym Warnerem! — odparł tenże z uśmiéchem.

— Pan zgłębiasz wszystkie tajemnice.

— O mnie mniejsza... idzie o to, żeby ktoś inny wypadku tego nie zgłębił, a niesmacznem byłoby mi to pensylwańskie więzienie. Wypadek pana von der Mark narobił tutaj hałasu. Jakieś dziwne figury snują się od rana w koło hotelu. Dla tego dobrze będzie, jeźli zaraz ztąd wyjedziemy. Konie pójdą z moim służącym do Dąbczyna, a my tymczasem z innego hotelu wyjedziemy innemi, które właśnie kupiłem. Czysta krew angielska, milę biegną piętnaście minut. A teraz idę do sekundantów; tymczasem możesz wygotować na przypadek dokument samobójstwa i coś na kształt testamentu.

Rzekłszy to hrabia Leon, uśmiéchnął się z największą obojętnością, zapalił świéże cygaro, a nucąc aryą z „Hugonotów“ wyszedł z najlepszą w świecie fantazyą, jakby szedł dla swego towarzysza po kartę na koléj żelazną.

Jerzy zbliżył się do stolika i wziął za pióro, aby napisać ów fatalny dokument samobójstwa. Ale ręka mu zadrżała, pióro wypadło na ziemię. Oparł się o poręcz krzesła, podparł ręką głowę i zamyślił się.

Na wieży, tam gdzieś daleko, wybiła dziewiąta godzina. Wrzawa na ulicy uciszała się coraz bardziéj. Tylko jakiś głuchy, zmącony szum, niby echo wal-

czących pod gwiazdami wichrów, dolatywał do jego uszu.

A w tym szumie było przecież coś zrozumiałego. Jakieś dziwne głosy wybijały się z tego powszechnego akordu miasta i trącały o jego serce. I zdawało się młodemu marzycielowi, że słyszy mówiących w tym szumie:

— I myśmy wszyscy marzyli, i myśmy chcieli iść odmiennemi drogami, jakiemi zwyczajni ludzie nie chodzą, ale w przedsięwzięciach naszych nie stało nam siły. Póki ognia w sercu, póty marzeń! Przeminęła doba zapału, nasze serca ochłodły. I jedni z nas stali się kupcami i agentami sklepów korzennych; inni dla grosza pobrali żony, których nigdy nie kochali; inni jeszcze zniżyli harde karki, katońskie cnoty swoje zamknęli do puszki blaszanéj, jak dziecko zamyka swój grosz oszczędzony, a tymczasem stali się sługami i narzędziami występnych! I myśmy chcieli poświęcić się, gdy serce żywiéj biło, gdy wiatr gorący zawiał od zachodu i głowy nam zapalił; a gdy przeminął, wróciliśmy do naszych garkuchni, do naszych piwnic wybornych, i na tym padole płaczu pijemy piwo bawarskie i palimy fajki z długiemi wassersakami! Żyjemy g'woli ciała, bo ono tylko nam zostało; reszta uleciała, jak ulatuje dym z fajek i znikła, jak znika piana w piwie bawarskiém!...

Pośród tego chaosu głosów wielkomiejskich brzmiała jakaś odosobniona, smutna melodya. Gdzieś z poddasza wychodził ten głos, a słowa jego były:

— Ubogi byłem, nic mnie do życia nie wiązało. Wzleciałem nad to życie codzienne i z wysokości, gdzie orzeł lata, ujrzałem rany ludzkości. I zapragnąłem

być jéj lekarzem. I całe moje ubogie życie chciałem jéj poświęcić. Ale dwoje pięknych oczu ujrzałem na ziemi. Dla tych oczu wyrzekłem się snów i ślubów moich: to mnie już wiązało do ziemi. Byłem bogaty miłością, a cała ludzkość była taka zdrowa, uśmiéchająca się!... Jam kochał więcéj ciebie, niż ludzkość, a całą ludzkość widziałem w tych pięknych oczach, które na mnie patrzyły!... Ale wkrótce odwróciły się odemnie te dwoje pięknych oczu, w koło mnie smutno i pusto, upadłem jak kamień, który nie doleciał do mety, w kałużę mętów i błota!...

Jerzy wzdrygnął się i spojrzał po pustym pokoju. Nie było nikogo, wszędzie głucho. Jakiś przeciąg wiatru przybiegł do drzwi i zdawało się, że drzwi się otwarły, że jakiś stary żołnierz w podartym mundurze stanął na progu.

— Młody człowieku—rzekł do Jerzego i wystawił wyschłą rękę po jałmużnę — gdym był tak młody jak ty, latałem wysoko i marzyłem o wielkich zaszczytach. Tymczasem, jako prosty żołnierz zbiegłem ze straży, na któréj mnie postawiono. Młody człowieku, i ty marzysz o stopniu bohatérstwa, a tymczasem nie umiész ostać się na straży, gdzie cię jako prostego żołnierza postawiono!... .

Wiatr przeciągnął znowu po pustym pokoju, widmo zniknęło, a Jerzy został znowu sam jeden. I przyszedł mu przed oczy gdzieś tam daleko biały domek rodzinny, w którym dzieckiem bawił się tarczą i zbroją dziadka... Przypomniał sobie wszystkie swoje sny i śluby, wypowiedziane spiekłemi usty w chwili szału i natchnienia—spojrzał za siebie i ujrzał, że spory ka-

wał drogi już uszedł do założonego celu i nagle upadł, upadł głęboko...

Schylił się po pióro i zaczął pisać.

W pokoju było cicho i smutno. Tylko pióro skrzypiało przeraźliwie i bryzgało po białym papiérze, a piszącemu zdawało się, że ono ustraja jego słowa w najpiękniejsze arabeski...

Około dziesiątéj otworzyły się drzwi. Hrabia Leon wrócił ze swego poselstwa.

— A cóż tam z dokumentem samobójstwa i testamentem?—zapytał, biorąc ze stolika świéże cygaro.

Jerzy w milczeniu okazał mu dwa złożone papiéry.

— Jakoś zbyt krótko zbyłeś pan ciekawość świata!—rzekł z uśmiéchem hrabia Leon.

— Spodziéwam się, że i tego będzie za wiele— odparł Jerzy dosyć obojętnie.

— Ach! wy dusze poetyczne, zakrawacie strasznie na Faryzeuszów. Dla świata skromność mnicha, a wewnątrz duma najdumniejszych patrycyuszów!

— Tak jest, bo myśmy dumni z tego, czém według naszéj boskiéj iskry być powinniśmy; a skromni, żeśmy tak mało zrobili!

— Przy téj skromności naszéj, myślimy jednak sobie, jak gorzko ktoś za nami płakać będzie, gdy nam życia nie stanie!...—poderwał hrabia z ironicznym uśmiéchem.

— Tę wiarę wolno przecież wziąć z sobą każdemu nieboszczykowi.

— A wolno, wolno... ale nie wolno mu wracać do życia, bo przekonałby się, że nie warto z taką wiarą umiérać... Jest to najrozsądniejsza myśl w urzą-

dzeniu społeczeństwa, że umarłym nie wolno wracać do swoich przyjaciół, żon, kochanek... Wyjeżdżajmy... o piątéj godzinie w lasku królewskim...

Właśnie w tym czasie wychodził Pifke z kamienicy o śmiéjących się karyatydach i myślał sobie w duchu:

— Mój przyjaciel Warner musiał bzika dostać. Nie dałbym za to i feniga, że mu się szlachectwo po głowie roi. Do tego głupstwa nie jeden poczciwy negocyant na starość przychodzi. Całe życie będzie porządnym negocyantem, a gdy skrzynie mu się napełnią, to głupstwa robi. Pifke! strzeż się dumy, bo ta nie prowadzi do królestwa niebieskiego.

To mówił w duchu do siebie porządny negocyant, idąc nieco w zygzak po szérokim trotoarze, gdy w gabinécie jego przyjaciela właśnie światło zagasło i głucha cisza zaległa zimne, wilgotne mury. Stary negocyant wyszedł przez schody kręcone na piérwsze piętro i prosto udał się do swego pokoju.

Myśli jego były dzisiaj jakoś nie w najlepszym porządku. Tyle się różnych rzeczy stało, tyle nasłuchał się przy uczonym obiedzie, i tyle zjadł i wypił, że na to wszystko i miejsca nie było w jego wyschłém ciele! Mianowicie myśl pojedynku strasznie dawała mu się w znaki. Jakoś nie przystawała ona do jego mózgu i wylatywała z niego jak groch z dziurawego worka za każdém ruszeniem głowy. Wziął szlafmycę, naciągnął na same uszy, ale i to nie wiele pomogło. Wreszcie położył się do łóżka, włożył głowę pod poduszkę i nakrył się pierzyną. Ale myśl nieposłuszna

wylazła przez szlafmycę, poduszkę i pierzynę, i latała po nim jak czarna szczypawka.

— Dużo dziś jadłem—mówił do siebie, przewracając się na drugi bok, a z nim przewracała się myśl czarna i kąsała go bezlitośnie.

I chciał tę brzydką myśl odpędzić jakiém błogiém marzeniem.

Marzył o wielkiéj herbowéj tarczy nad bramą swojéj kamienicy; w salonach na piérwszem piętrze widział długi szereg gości znakomitych; imię jego błyszczało w jakichś dziwnych symbolach na guzikach liberyi domowéj... a w tém ukazał się syn jego — we krwi — konający — syn jedynak!...

Negocyant zerwał się z łóżka, zrzucił poduszkę, pierzynę i szlafmycę na ziemię i przestraszony spojrzał w duże zwierciadło, z którego przy świetle nocnéj lampy wyszczérzała się jakaś mara okropna!

Zbliżył się do zwierciadła, przypatrzył się téj brzydkiéj marze — był to on sam! Tak brzydkim jeszcze nigdy siebie nie widział!

— Czego się niepokoję—mówił do siebie—wszak tysiące pojedynkują się, a nikt nie ginie!

I znowu spojrzał w zwierciadło i zdawało mu się, że jest brzydki i stary jak nigdy!... A tam w kącie, tam... leży trup siny, skrwawiony — to syn! jedynak!

— Przecież to jeszcze nic pewnego — mówił do siebie—Otton dopiéro mi coś napomknął...

W drugim pokoju coś gwizdnęło—za piecem ktoś się zaśmiał!

Włosy stanęły mu kołkiem do góry. Obejrzał się—był sam, sam jak palec.

— Moja krew widać nie jest do tych rzeczy!— rzekł do siebie — mam słabe nerwy.

Znowu ktoś się zaśmiał tuż za jego plecami i coś mu gwizdnęło pod samym nosem. Negocyant wykręcił się w koło, potarł po nosie, a wszędzie znowu cicho i głucho.

— Do takich głupich rzeczy jak pojedynek, trzeba się, jak widzę, urodzić—mruknął niezadowolony negocyant—aż nogi podemną dygoczą... A co tam biédny mój Otton robi! On pewnie poci się ze strachu! Trzeba pójść dodać mu ducha... tak, tak, dodać mu ducha...

I wziąwszy do ręki nocną lampę, wysunął się stary negocyant cicho i ostrożnie ze swego pokoju.

Na korytarzu było pusto i głucho. Zbliżywszy się do schodów drugiego piętra, ujrzał nagle przed sobą jakąś postać olbrzymią. Nie chciał w téj chwili z nikim miéć do czynienia i czmychnął czémprędzéj napowrót do swego pokoju. Tam znowu było mu samemu jakoś nudno, a nawet trochę i straszno. Trup siny leżał ciągle w kącie, pod nosem ktoś mu świstał, a nad karkiem śmiał się jakiś duch-psotnik, że aż włosy stawały na głowie!...

— Trzeba iść do Ottona, trzeba mu dodać ducha, niech się nie boi!...—rzekł do siebie i znowu wyszedł z pokoju.

Ta sama czarna, olbrzymia postać leżała tuż przed nim na progu!...

Negocyant zamknął oczy, rzucił lampę i wybiegł na korytarz. Pędem przebiegł schody i wpadł do pokoju syna.

— Ottonie, Ottonie! — zawołał z progu — nie

bój się niczego, szlachcic także człowiek z gliny, jak wszyscy, a nie boi się...

Ale Otton nie ozwał się, w pokojach nie było nikogo. Łóżko jego było nietknięte—tylko nocna lampa świeciła się jak zwyczajnie!

Negocyant przyrósł nagle do ziemi, włosy stanęły mu kołkiem... A trup siny leżał i tu w kącie, i tu ktoś mu gwizdał pod nosem, a na karku siedział już oczywisty dyabeł i śmiał się, aż po kiszkach darło!

— Nie pojmuję, jak się można pojedynkować! — szepnął w sekrecie do siebie negocyant — ale nie, ja mam słabe nerwy i nic więcéj — dodał zaraz potem.

Na stole leżał jakiś papiér opieczętowany. Negocyant rozerwał pieczęć — było to tkliwe pożegnanie syna, gdyby zginął w pojedynku!

Negocyant zadrżał cały — kolana ugięły się pod nim. Wybiegł z pokoju, biegł po schodach i korytarzu, nie widząc wcale owéj olbrzymiéj postaci, która tuż za nim biegała. Wpadł do swego pokoju—ale jakaż rada?... Gdzież Otton? A tu noc, północ... wszędzie głucho, wszędzie pusto!... Tam w narożnym pokoju śpi Matylda i marzy o swoich srébrach wypraw nych, ale cóż ona poradzi?... A zresztą jakże tam iść przez dziesięć ciemnych pokoi?....

— Mam słabe nerwy, jabym się nigdy nie pojedynkował... to głupstwo... hm, głupstwo i kaprys... Nic głupszego szlachta nie mogła wymyśléć, jak te pojedynki, gdzie kogoś zabić można... Ja bym się nie strzelał, nie... ale tak na pałasze... no, to jeszcze pół biédy... Otton musi na pałasze się bić... a nie strzelać!...

Tak mówiąc do siebie nieszczęśliwy negocyant,

chodził po ciemnym pokoju, klapał rękoma i patynkami, a usiadłszy na krześle, sam nie wiedział, co się z nim stało. Popadł w jakieś szczególne delirium, ale co w tém delirium widział, o tém i sam Cefizes nie umiał by nic powiedzieć.

Była godzina czwarta z północy, gdy negocyant na seryo przyszedł do siebie. Zerwał się na nogi, zadzwonił na służącego i czémprędzéj się ubrał. Jak szalony wybiegł na ulicę. Ottona jeszcze nie było.

Na niebie wschodziła jutrzenka i różowém światłem malowała wązkie, wysokie kamienice.

Negocyant uderzył piersią o jakąś długą, porządnie ubraną figurę.

— Linku, Linku kochany, niebo mi cię zsyła!

Link miał na sobie długi kapotrok, pantalony perłowego koloru za ośm talarów, zieloną westę z czérwonemi kwiatkami i prawdziwy „Gibus“ na głowie. Jednak to wszystko było już pomięte, powalane.

— Linku! Otton się chce strzelać!—krzyknął mu negocyant do ucha.

— To głupstwo! — mruknął agent, usiłując powrócić do pionowéj pozycyi.

— I ja sam tak myślę, ale cóż robić... gdzie go szukać, Linku? Biegnij do policyi.

— Właśnie ztamtąd idę — odrzekł agent — niegrzecznie się ze mną obeszli.

Rzekłszy to, z taką zatoczył się energią, że swego patrona z nóg zwalił, a sam daléj ukośną linią podążył.

Za kilka minut pukał nieszczęśliwy negocyant do małego domku na przedmieściu. W oknie ukazała się brudna szlafmyca i włosy rozczochrane.

— Pifke, drogi Pifke! ratuj mnie! — krzyknął negocyat do brudnéj szlafmycy.

— Warner!

— Otton chce się strzelać!

— Coś już słyszałem o tém głupstwie—wyrzekł głos z pod szlafmycy.

— Sądzisz, że to głupstwo?

— Wierutne głupstwo!

— Ba! ale szlachta zazwyczaj strzela się...

— Ale krew porządnego negocyanta nie strzela się, rozumiész?

— Ba...

— Naszym honorem i szlachectwem, to *piéniądze* i nic więcéj! Gdy będziesz miał piéniądze i porządną firmę, masz wszystko! Cały świat stoi ci otworem — i szlachectwo i zaszczyty, jeźli ci one koniecznie po głowie skaczą!

— Pifke, słowo w słowo i ja tak myślę!

— Idź i weź syna za uszy!

— Ba, ale go nie ma... a teraz może już się strzela... a może już zabity!...

— To biegnij na policyą i weź żandarmów.

— Pifke, z ciebie Pan Bóg mówi!

. . . . . .

Z ciemnéj, porannéj chmury wynurzyło się złote, majowe słońce. Ku laskowi królewskiemu śpieszyło kilku żandarmów, za nimi toczyła się stara dorożka.

W tém padły dwa strzały — z pomiędzy drzew wzniosły się dwa obłoki białego dymu.

Żandarmy puścili koniom wodze, dorożka ruszyła raźniéj, a za kilka minut stanęli wszyscy na miejscu.

Na otwartéj polance, z pistoletem w ziemię spuszczonym, stał Otton, martwy jak posąg. Kilkanaście kroków przed nim, gdzie stał jego przeciwnik, była kałuża krwi. Więcéj nie było nikogo, tylko daleko między krzakami przedzierały się dwie pary epoletów.

— Bierzcie go, to mój syn, bierzcie i wiążcie! — krzyknął stary negocyant i upadł jak nieżywy na ziemię.

Żandarm w imieniu ustawy przytrzymał przestępcę, drugi obiegł cały lasek do koła, ale nigdzie nie było ani żywego ducha.

Władza miejscowa porozsyłała agentów do wszystkich części miasta, ale żaden z nich nie przyniósł pożądanéj wieści. Jeden tylko przyniósł raport, że właśnie o téj godzinie odbywał kurs zakładowy książę Thurn z jakimś polskim grafem na drodze, prowadzącéj do Dąbczyna.

A po całém mieście gruchnęła wieść, że syn negocyanta, chcąc się ocalić od pojedynku z jakąś wysoko położoną osobą, sam miejsce pojedynku władzy denuncyował.

V.

Na drugi dzień po tém szczególném zdarzeniu dosyć wesoło było w zamku dąbczyńskim. W małym saloniku o żółtem obiciu siedziała Janina na amarantowéj kanapie i pieściła się z prześliczną papugą, która jéj coś do ucha szeptała. Koło niéj siedziała Terenia, trzymając z pewném omdleniem swe białe, przezroczyste ręce na rogu stoliczka.

Janina miała oczy wilgotne, jakby płakała, ale na jéj pięknéj twarzy malowała się pusta wesołość.

— Tereniu, Tereniu, ja jestem szczęśliwa!—mówiła do biédnéj idyotki—ach! ty nie znasz tego szczęścia, co to jest, być kochaną!

— Jam szczęśliwsza, gdy sama kocham!—odrzekła z westchnieniem idyotka.

— Bo ty nie jesteś kobiétą, moja Tereniu, ale dziwaczką!—szczebiotała piękna Janina.

— Moje serce mi mówi, że tak lepiéj.

— Twoje serce jest chore, nudne, sentymentalne.

— To prawda, bo nie jest całe.

— Cóż znowu mówisz?

— Brak mi pół serca, pół duszy... dla tegom chora!

— Któż ci je wziął?

— Nikt — kobiéta tak się już rodzi.

— A któż ma drugą połowę?

— On!

— Ach, jakaś ty pocieszna z twoją sentymentalną filozofią!—zawołała Janina, pieszcząc się z białym kakadu—tym sposobem jabym już zanadto miała tego serca — aż dwóch dla mnie się strzelało!

Blada idyotka nic na to nie odpowiedziała. Skrzyżowała na piersiach swoje białe, przezroczyste ręce i stała się tak nieruchomą, jak biała, marmurowa statua. Całe jéj życie zbiegło gdzieś w głąb — do serca, do tego biédnego, chorego serca nieszczęśliwéj siéroty.

— Pampo! Pampo!—szczebiotała Janina do białéj papugi — ja cię dam komu innemu, tylko bądź grzeczną i nie gadaj zbyt wiele. Będziesz stała w oknie na słońcu, a gdy przez ulicę pojadę, pozdrowię cię, prześlę ci pocałunek, moja droga Pampo! A ty mi powiész, że mnie kochasz! Nieprawdaż?...

Pampa otworzyła dziób krótki i przeszła całą konjugacyą słowa „kochać“, w formie czynnéj i biernéj, a chociaż najmniejszego nie zrobiła błędu, przecież Terenia skrzywiła się, jakby ją uderzył jakiś ton fałszywy.

W téj chwili z ołówkiem w ręku weszła margrabina do pokoju.

— Cóż tu Pampa robi?—zapytała.

— Ach, mamo!... żegnam się z Pampą—odparła Janina—a tak mi jéj żal?

— A komuż ją dajesz?

— Przegrałam zakład z doktorem.

— Zakład?

— Mówiłam, że wczoraj dészcz będzie padał!

— To mu ją odeślij... biédny, będzie miał z nią rozrywkę!

Janina spłonęła lekko, a kryjąc swą twarz, przycisnęła swoje piękne różowe usta do białego pierza kakadu. Nigdy biédna Pampa nie odebrała gorętszego pocałunku.

Tymczasem margrabina przyłożyła dyplomatycznie ołówek do czoła i rzekła do córki:

— Nińciu, trzeba żebyście wyszły do ogrodu na spacer. Hrabia Leon już od chwili chodzi z szalem na ręku. Może się nudzi... może chce już odjeżdżać.

— Ach! to taki nieznośny człowiek, kochana mamo!—ozwała się z kapryśną miną Janina.

— Tém więcéj trzeba na niego uważać—odparła matka, i wziąwszy córkę pod ramię, wyszła na kurytarz.

O kilka kroków za niemi szła wolnym, omdlałym krokiem, biédna idyotka.

W alei przechadzał się hrabia Leon. Patrzył w ziemię z roztargnieniem i coś sobie motał na wąs.

— Ach! hrabia coś na wylocie!—zawołała margrabina.

— Tylko na kilka chwil—odpowiedział tenże.

— Zapewne do Czarnowód...

Hrabia Leon zmieszał się trochę, a gdy Janina lekko i z wdziękiem jak sarneczka pobiegła z Terenią na gazon za pięknym motylem,—dodała margrabina z figlarnym uśmiéchem:

— Niezawodnie do Czarnowód... Majorowa, słyszałam, zasłabła trochę, dowiedziawszy się o pojedynku.

— Zgadłaś pani — odparł hrabia z wymuszoną obojętnością — a słabość gospodyni tym razem nawet na rękę mi będzie, gdyż wiozę dla majora cały pęk gazet, które razem przeczytać mamy!

— Pan tak dobrze umiész czytać! — szepnęła z melancholijnym uśmiéchem margrabina.

Stary Soroka zbliżył się w téj chwili do alei i mrukliwym głosem oznajmił panu, że konie gotowe.

— Pan jedziesz do Czarnowód — rzekła Janina z dziécięcém roztargnieniem, trzymając motylka za złote skrzydła — zapewne po drodze wstąpisz pan do doktora.

— Na rozkaz pani...

— Weźmiesz pan z sobą moję Pampę.

— Prześliczną Pampę?...

— Wyobraź pan sobie, jakie dziecko ze mnie. Założyłam się z nim o Pampę, że wczoraj deszcz będzie!

— W któréj osobie i w jakim czasie kazałaś pani Pampie to fatalne słowo „kochać“ wymawiać?—zapytał żartobliwie hrabia Leon.

— W każdym czasie i w każdéj osobie... ale tylko w trybie warunkowym!—odparła śmiéjąc się piękna Janina..

— *Voilà, elle est bien femme!*—rzekła margrabina, podając margrabiemu rączkę do pożegnania.

Gdy hrabia odszedł, a Janina pobiegła na górę, aby Soroce dać mosiężną klatkę z papugą, patrzyła długo za nią margrabina i rzekła do siebie:

— Nińcia ma dobry spryt kobiécy. Za długą wydała się jéj obojętność hrabiego, chce go trochę zazdrością podrażnić. Na jego ręce posyła ulubioną swoję papugę doktorowi. Biédna Nińka! Gdyby stosunki na to pozwoliły, mogłaby za granicą zrobić znakomitą partyą. Umié się podobać i panuje nad sobą... Ah! pan Warner!—zawołała do wychodzącego z bramy negocyanta.

Negocyant był blady i jakoś strasznie pomięty. Na twarzy miał dziesięć razy więcéj zmarszczek niż zwykle, oczy w głąb mu zapadły, zgarbił się i skurczył. Przez dwa dni najmniéj o dziesięć lat się postarzał. Ujrzawszy margrabinę, pobiegł szybko drobnym krokiem, a całując ją w rękę, jak to zwykł był czynić w każdym polskim domu, rzekł z pokorą:

— Pani margrabina słyszała zapewnie o moim synu...

— O synu pana?—powtórzyła z pańskim kaprysem margrabina.

— Strzelał się, strzelał! — dodał szybko negocyant.

— Jakto, chciał się zabić?

— Nie, miał pojedynek, pojedynek!

— Pojedynek! Z kimże?

Negocyant przymróżył jedno oko i skrzywił się na znak milczenia. Do tego zaruszał głową i uśmiéchał się, chcąc okazać, jak wiele byłoby o tém do opowiadania, gdyby milczéć nie potrzeba było.

— O cóż im poszło?—zapytała margrabina, szanując tajemnicę negocyanta.

— Ot, o bagatelę... jeden mówił, że tak, a drugi, że nie tak. Dzisiaj honor to rzecz bardzo delikatna.

— Ale zawsze pan jako ojciec...

— Krew, krew gorąca, krew dobra, wielmożna pani margrabino, i szlachcic...

— Pan zapewne w interesie do mego męża... właśnie jest w swoim gabinecie — przerwała margrabina.

— Tak jest, i to wielkiéj wagi interes... inaczéj po tak wielkim wypadku...

Margrabia ukłoniła się ręką i weszła do pawilonu, zkąd prowadziła galerya do zamku. Negocyant został się sam w ogrodzie. Nie czuł on bynajmniéj tego upokorzenia, które go spotkało, bo wszystkie pretensye, jakie zazwyczaj miéwa człowiek bogaty, zlał na swego syna i czuł się szczęśliwym w nadziei, że w drugiéj generacyi imię jego przyjdzie do tego wzięcia, jakie nadaje bogactwo. Dla téj nadziei wszystko dzisiaj znosił chętnie i na żadną nie zważał obelgę.

Mimo to uderzyła go dziwna różnica, jaka zachodziła między jego domem i domem margrabiego. Zliczył każdą nitkę na téj damie wielkoświatowéj, zliczył każdą cegłę w tym zamku starożytnym, i najprostszym rachunkiem przyszedł do tego przekonania, że ci ludzie już zgoła nic nie są warci, bo nic majątku nie mają. Gdyby on był w tém położeniu, byłby najskromniejszym na świecie człowiekiem, walałby się gdzieś w najciemniejszych kątach i niktby może nie spojrzał na niego! A tu widzi jeszcze dumę i wyniosłość, widzi dobrą fantazyą, jakby kieszenie pełne były złota!

— To wszystko robi szlachectwo — pomyślał sobie negocyant.—Otton musi zostać szlachcicem. Szlachectwo zmienia krew i wzmacnia nerwy. Ja mam słabe, bardzo słabe nerwy.

A gdy ze szlachectwem zawsze Dąbczyn i zamek szły w parze, więc chciwém okiem począł się oglądać po starém zamczysku, w którem miał już rezydować piérwszy jego potomek. Patrzył na te grube, kolosalne mury, zmierzył wieżę zamkową, policzył na dachu kaplicy stojące posągi, przebiegł oczyma długą, lipową aleę, a nawet odchylił drzwi zielonego pawilonu, aby tajemnicze jego wnętrze obaczyć.

— Jak to wszystko po pańsku będzie, gdy mój syn tu zamieszka!—szepnął z cicha do pawilonu.—Ale trzeba mu przygotować ścieżkę, trzeba prędko wziąć się do dzieła, aby ten młody, bogaty hrabia...

Rzekłszy to, zamknął pawilon i szybko wybiegł na schody, prowadzące do gabinetu margrabiego.

Margrabia miał dzisiaj jak zawsze twarz rumianą, gładko ogoloną, białą chustkę na szyi, ciemno-bronzowy frak i popielate pantalony. Siedział w dużym fotelu, założył na krzyż popielate nogi swoje i zdawał się im z zadowoleniem przypatrywac. Koło niego leżały jakieś listy i gazety.

— Pan margrabia pozwoli, że złożę moje uszanowanie...—rzekł negocyant pokornie przy drzwiach.

— Ah! Warner! panie Warner, proszę... co za gość miły i rzadki!...—mówił margrabia, przekładając nogę na nogę.

— Słyszałem, że margrabia powrócił...

— Siadajno, mości panie Warner, dobrze żeś

przyjechał; opowiész mi, jak tam właściwie stoją nasze interesa...

— O tém mówić nie warto, tak drobne rzeczy!— mówił negocyant, siadając na krawędzi krzesełka.

— Jakto drobne rzeczy, jeźli ci procentów nie płacę—odparł z uśmiéchem margrabia.

— Gdyby wszyscy moi dłużnicy byli tacy jak pan margrabia, czegobym chciał!

— A jednak daję gardło, że tam w zanadrzu masz subhastę! — rzekł żartobliwie margrabia, zapalając cygaro.

— Jak pan margrabia widzi, że ja mam coś w zanadrzu! Co ja bym dał za takie oczy!—ozwał się negocyant ze złośliwym uśmiéchem.

— No! cóż tam, okaż!—rzekł margrabia, niekontent z swego planu, którym wilka z lasu wywołał.

— Pan margrabia słyszał zapewne o moim synu — mówił niby od niechcenia negocyant, rozwijając jakieś twarde papiéry.

— Strzelał się?

— Strzelał się, strzelał!

— Niepotrzebnie to zrobił.

— Krew, panie margrabio, krew dobra.

— Lepiéj, gdyby się zaprawiał do kantoru.

Negocyant spojrzał z ukosa na margrabiego i rzekł po chwili z udaną skromnością:

— Zapewne, żeby to lepiéj było. Ale cóż robić, gdy się komu dobrze dzieje, to zaraz patrzy wyżéj.

— Powinieneś mu przecież wytłómaczyć, że kto w kantorze wekslarskim zrobił piéniądze, ten niepowinien nigdy z kantoru wychodzić.

Negocyant przygryzł usta, błysnął złośliwém okiem na popielate nogi margrabiego i rzekł:

— Przystąpmy do interesu.

— Słucham cię, mości Warner.

— Pan margrabia zamyśla trochę zająć się gospodarstwem.

— Chciałbym wejrzéć w moje interesa.

— Dzisiaj gospodarstwo nie rentuje się.

— Dowody tego masz w swoich rachunkach.

— A szkoda by było pozbywać się tak pięknego majątku.

— O tém jeszcze dotąd nie myślę.

— I bardzo dobrze robi pan margrabia... Ale myśléć potrzeba zawsze coś.

— Na przykład?

— Ja bym tu miał mały planik— rzekł negocyant rozkładając przed margrabią duży papiér — jak się to panu margrabiemu podoba?

Margrabia wziął papiér do ręki i począł się mu przypatrywać. Był to plan jakiegoś okazałego budynku, który coś na młyn zakrawał. Dołem płynęła woda z szumem i obracała ogromne koła; górą, długim, wysokim kominem waliła się biała para jak z paszczy piekielnéj!... Cały rysunek był tak ślicznie wykonany, tak regularne były linie! Różowy kolor karminu tak chwytał za serce, a błękitny upajał oko jakąś dziwną rozkoszą!...

— Cóż to jest? –zapytał margrabia.

— To jest przędzalnia i fabryka płótna!... A to olejarnia.

— A to? — mówił margrabia, wskazując na drugi papiér.

— To jest plan kopalni węgla i założenia kolei drewnianéj z Mogił do...

— Jaki procent może nieść to przedsiębiorstwo?

— Cztérdzieści!

— Cztérdzieści!—zawołał margrabia i spojrzał smutno na swoje popielate nogi.

— Nie zły interes.

— Dla tych, co mają piéniądze—odparł potomek Jarosta z westchnieniem.

— Pan margrabia może być do spółki...

— Do spółki? A piéniądze?

— Mniejsza o piéniądze... można pożyczyć. Pan margrabia zrobi tylko kontrakt o siéw lnu i konopi... a ja wystaram się piéniędzy.

— U mnie gospodarstwo podupadło.

— Ja dam ludzi naszych.

— Ale ja nie mógłbym tego przedsiębiorstwa wziąć na moje imię?

— I ja także nie, bo jestem w spółce. Ale myśmy już tę rzecz ułożyli. Najlepsze miejsce dla wody i węgla jest w Mogiłach. Mury starego dworu bardzo się przydadzą, a nawet już tam zacząłem przed rokiem coś budować. Firma tego przedsiębiorstwa będzie: „Pifke et Compagnie“. Pifke ma piéniądze i ma głowę do tego.

— Pifke et Compagnie!—powtórzył potomek kasztelana grodzkiego i skrzywił się.

— Pan margrabia weźmiesz tylko dwakroć sto tysięcy.

— A procent?

— Procent opłacać się będzie tylko przez pół roku—potém wydadzą się akcye.

— Pifke et Compagnie—szumiało w uszach margrabiemu.

— A tym sposobem możesz margrabia oczyścić swój majątek.

Margrabia wyjrzał oknem, a tam na rozwalonéj baszcie zamkowéj usiadła wrona i strąciła kawał cegły z muru, rozsypującego się w gruzy!... Spojrzał na kaplicę zamkową, a tam na krużganku rozwijają kamienne posągi szaty swoje, aby odlecieć z domu, który się w gruzy rozpada!... „Pifke et Compagnie!“ brzmiało mu w uszach jakimś fałszywym akordem, stało mu przed oczyma wypisane jakiemiś krzywemi literami... A tam w dali czerniała stara brama Dąbczyna z wyrytym na kamieniu napisem: *„Ad tuendum populum aedificavit Jarost“*... Było to jakieś dziwne, straszne zetknięcie się tych dwóch napisów, litery walczyły z sobą, wiązały się i plątały wzajemnie...

Margrabia wstał i począł się przechadzać. Negocyant z ukosa patrzył na niego i śledził wszystkie jego ruchy.

„Pifke et Compagnie“, „Goliat et Compagnie,“ to bohatérowie dnia dzisiejszego. To duchy pobitych Krzyżaków, to potęga niezłomna, to nowe możnowładztwo dzisiejszéj społeczności.

Zrzućcie wasze tarcze herbowe z nad bram walących się zamków, wy bohatérowie miecza... Spełniły się czasy bohatérstwa, w których krew była monetą... Nie straszcie nas dzisiaj waszą zbroją żelazną, mężo-

wie przeszłości naszéj... dziś piéniądz, lichy piéniądz walczy i zwycięża wasze grody i zamki, budowane niegdyś *ad tuendum populum*... Dzisiaj nowe grody i nowe zamki powstają na was, a nad bramą kładą napis: „Pifke et Compagnie“, „Goliat et Compagnie!“ Te zamki i zastępy walczą i zwyciężają!...

Musiał dobry interes zrobić poczciwy negocyant, bo po kilku godzinach wychodził z zamku z twarzą rozpromienioną i serdecznie zaciérał ręce. Został mu jeszcze jeden interes do załatwienia, ale miał już dobrą otuchę, że i ten dobrze się skończy.

Przebiegłszy ulicę Podzamczą, stanął przed mieszkaniem Jerzego. Jakoś niesmaczno mu było wejść do człowieka, do którego wczoraj jakby do tarczy strzelał jego Otton. Lecz przezwyciężył się, otworzył zwolna drzwi i oglądając się z wielką ostrożnością na wszystkie strony, wszedł do pokoju.

Jerzy leżał na łóżku, blady jak chusta. Kula przeszła mu przez ramię i nadwerężyła pierś. Do tego szalona jazda hrabiego Leona wyczerpała jego siły. Ale na twarzy miał spokój nadzwyczajny. Słodki jakiś uśmiéch igrał na jego bladych ustach.

Na oknie stała prześliczna Pampa i szczebiotała mu całą konjugacyą słowa „kochać“. Zdawało się Jerzemu, że nigdy słodszéj nie słyszał wymowy, nigdy czuléj nie wypowiedziano tego słowa!

Tak go zastał stary negocyant. Patrząc na młodego, tak łagodnie uśmiéchającego się człowieka, prze-

klął w duchu wynalazek pojedynków i ozwał się z widoczną trwogą:

— Zapewnie niemiłym jestem gościem...

Jerzy uśmiéchnął się, podał lewą rękę negocyantowi, który drżał na całém ciele, i rzekł:

— Nieprzyjaźń wszelka kończy się wraz ze strzałem... taki jest zwyczaj przy pojedynkach.

— Może być, ale ja prosty negocyant nie pojmuję tego... jabym takiego człowieka, co do mnie strzelał, koniecznie zabił.

— Nie lękaj się pan, ja syna nie zabiję.

— Ja wiém, pan masz ładny, delikatny honor... I mój syn Otton ma taki sam; otóż dla tego, jak dwóch takich ludzi się zeszło, jak stal i krzemień, to zaraz ogień łysk!

— Pan masz zapewne interes do mnie?

— Interes?... prawie żaden... ot tak, chciałem się dowiedzieć, jak się pan ma.

— Mam się nie najlepiéj, ale w Bogu nadzieja.

Negocyant słuchał z wielkiém natężeniem. Na zwiędłéj jego twarzy malowało się uczucie trwogi.

— W Bogu nadzieja—poderwał szybko—w Bogu nadzieja, ja będę Boga prosił... Otton i Matylda będą go także prosili...

— Oświadcz im pan moje podziękowanie za współczucie.

— Otton i Matylda bardzo cieszyć się będą... ale pan nie umrzesz? — dodał negocyant z wyrazem największéj trwogi.

— Nie umrę, nie — odparł z uśmiéchem Jerzy, patrząc na zatrwożonego negocyanta.

— No, proszę pana, nie umiéraj pan! — zawołał negocyant, załamując ręce na znak zaklęcia.

Jerzy spojrzał na negocyanta. Na jego twarzy był wyraz jakiegoś konwulsyjnego rozdrażnienia. Nie mógł pojąć, coby to była za przyczyna tak gwałtownego uczucia.

— A gdybym umarł?—rzekł z uśmiéchem i spojrzał głęboko w oczy negocyanta.

— Ja dam panu tysiąc talarów... nie umiéraj pan!—krzyknął prawie w konwulsyi negocyant.

— Tysiąc talarów, abym nie umarł?—powtórzył Jerzy, zadziwiony tak szczególną propozycyą.

— Dam dwa tysiące!—zawołał negocyant w myśli, że Jerzy chce się targować.

— Dwa tysiące!... — powtórzył z niedowierzaniem Jerzy.

— No, dwa tysiące, czy nie dosyć?—rzekł negocyant, któremu mimo wszelkiéj gorączki, jaka nim w téj chwili miotała, wydała się ta suma dostateczną, aby biédnego człowieka przy życiu utrzymać.—Dodam jeszcze pięćset—rzekł po chwili.

— Ale co pan mówisz?—zawołał Jerzy—pan jesteś w roztargnieniu, może jaki interes masz pan na myśli?

— Nie, nie, żaden inny interes, tylko żebyś pan nie umarł!—powtórzył stanowczo negocyant.

— Ale zważ pan, co pan mówisz!

— Ja wiém, co ja mówię... dla mego syna wszystko to zrobię.

— Chcesz pan kupić mi życie... życie, które nie jest w naszych ręku...

— Prawda, prawda!—zawołał negocyant i z wyrazem rozpaczy uderzył się w czoło.—Ja życia nie kupię!... Ja głupi, prosty negocyant! Biédny Otton!

Jerzy uczuł, że mu serce żywiéj uderzyło. Świat ten tak brzydki, tak samolubny, okazał mu téj chwili piękne oblicze swoje, które tylko niekiedy odsłania na pocieszenie strapionych. Widział w téj chwili sympatyą obcych mu ludzi, widział jak uległszy na chwilę przesądom towarzyskim, podnosi się człowiek w całym blasku pięknéj swojéj natury i przywiązuje się do swego nieprzyjaciela — wypełnia najwyższą chrześciańską cnotę!

Z wielkiém wzruszeniem wyciągnął lewą rękę, i podając ją negocyantowi, rzekł szczérze i serdecznie:

— Powiédz pan Ottonowi, że mu wdzięczny jestem za jego przywiązanie i że go szacuję i kocham. Ja żyć będę i pragnę życia. Ofiarowane mi piéniądze możesz pan na intencyą moję i syna dać ubogim, którzy w nędzy i ubóstwie pragną śmierci, a umrzéć nie mogą!

— Dobrze, zgoda... ale te piéniądze będą u mnie do dyspozycyi. Ja prosty negocyant, ja nie wiém, kto tam chce umiérać, a nie może — rzekł uradowany negocyant.—A Ottonowi tymczasem przyniosę wieść radosną, że pan nie umrze.

— Nie umrę, nie.

— Bo to widzisz pan, jego sprawa jest w sądzie!

— W sądzie!

— Ale on dotąd nie wydał pana... zresztą i ja zrobiłem swoje. A w sądzie mówiono mi, że to wszyst-

ko jest niewielkiéj wagi, wyjąwszy jeżeli ten, do którego Otton strzelał, umrze... wtedy będzie to jako zabójstwo podług kodeksu sądzone...

Jerzy uczuł ból w ranie, wyjął gorącą swoję rękę z zimnéj ręki negocyanta i oparł głowę o poduszki.

Jakże brzydkim wydał mu się teraz ten świat cały! Zamiast uczucia, zamiast gorącego serca, był to tylko interes, czysty interes! Negocyantowi i jego synowi zależało na jego życiu, aby sąd w swoim wyroku nie oparł się na paragrafie o zabójstwie!... I w napadzie trwogi myślał negocyant tysiącem talarów kupić to życie jego...

Jerzy odwrócił się od negocyanta.

W tém turkot powozu odbił się o jego uszy. Był to dobrze znany mu turkot—to Janina jechała na przejażdżkę po mieście.

Im bliżéj okien jego był ten turkot, tém wolniéjszym zdawał się być bieg koni — wreszcie słyszał wyraźnie, że powóz zaledwie się toczy, że konie stępa idą.

Spojrzał w okno — a przed oknem zwolna sunął się otwarty koczyk z amarantowem obiciem. Janina siedziała po lewéj ręce bliżéj okna, koło niéj była Terenia.

— Patrz Tereniu, Pampa, moja Pampa kochana —rzekła Janina, wskazując na okno, w które Jerzy patrzył. — *Comme sta mia cara!*—zawołała do białéj, trzepiącéj się do niéj papugi i białą, drobną rączką posłała jéj kilka serdecznych pocałunków.

Konie ruszyły raźniéj, a koczyk z amarantowém obiciem zniknął z przed okna.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Jerzego — on zrozumiał, komu te pocałunki przesłane były.

— Ale pan na seryo nie umrze?—pytał negocyant, który téj sceny wcale nie widział.

Jerzy wyciągnął gorącą rękę, chwycił za rękę negocyanta, która mu się także gorącą być zdawała, i rzekł z twarzą rozpromienioną:

— Nie umrę, nie umrę!

Ach, jakże to umiérać, kiedy ten świat tak powabny! A to serce, to biédne, kapryśne serce, które tak często nas zwodzi i bałamuci, to serce woła dziś jak najwyraźniéj: życia! życia! bo życie takie piękne, tyle w niém szczęścia i rozkoszy!...

Negocyant wyszedł na ulicę i wyprostował się jak człowiek, który doskonałe zrobił interesa. W tém ktoś go potrącił tak silnie, że aż się zatoczył. Spojrzał siebie—był to Mietlica, stary ekonom.

— Czekaj ptaszku — szepnął do siebie negocyant — nie długo będziesz tak brykał. Radziejewo i Czarnowody jakbym miał już w kieszeni!

Nie słyszał tego stary ekonom, bo jakoś strasznie był zajęty. Siwe wąsy jego stérczały do góry jak kły odyńca, twarz miał czerwoną jak piwonia, a jeden róg czapki wysunął się naprzód aż na samo czoło, jak groźna reduta. Biegł szybko i machał rękoma w jakimś dziwnym ferworze. Szedł prostą drogą od burmistrza, a oglądając się co kilka kroków, miął pięście i strasznie komuś groził. Nikomu nie ustąpił się z drogi, rozpychał, rozbijał, co mu w drogę wlazło. Nawet

owego kupca z tłustym brzuchem i aksamitną mycką na głowie nie spostrzegł dzisiaj, chociaż ten tak widocznie uśmiéchał się do niego.

Wreszcie stanął przed małym domkiem zégarmistrza. Odsapnął i marsowym wzrokiem spojrzał na wiszącą nad drzwiami Opatrzność boską. Zdawało się mu, że ta Opatrzność musi w téj chwili do niego przemówić, a przynajmniéj górną powieką mrugnąć. Stał chwilę, wpatrywał się uważnie w rozchodzące się od tego oka promienie, czy który prawdziwém światłem nie zajaśnieje... bo jużci według przekonania starego ekonoma musiał się teraz jakiś cud stać...

Ale Opatrzność boska nie przemówiła do niego; czarne, duże oko nie mrugnęło ani razu, ani żaden z siedmiu promieni nie rozświécił się w gwiazdę opiekuńczą nad domkiem nieszczęśliwego mieszczanina!...

Stary żołnierz już miał jakieś bluźnierstwo pod wąsami, już chciał zakląć... ale zawczasu opamiętał się, uderzył ręką w usta i jednym tchem połknął na powrót kilka kroć tysięcy dyabłów.

— Grzanka, otwiéraj!—krzyknął niecierpliwie.

Grzanka otworzył drzwi. W sieni przyrządził już sobie Kaszub jakiś warsztacik, na którym leżało mnóstwo małych klocków, zakończonych u góry w szpic trójgraniasty.

Ekonom chwycił jeden taki klocek i zapytał się Kaszuba, co to z tego będzie.

Kaszub uśmiéchnął się z zarozumiałością artysty i odpowiedział, że to będzie Fryc stary w trójgraniastym kapelu.

— Fryc stary z tego nieforemnego klocka, który

jak kociuba wygląda?—mruknął zadąsany ekonom.— A tak, tak, będzie z tego Fryc. Ale mógłby być i Napoleon!

Grzanka ruszył głową, że to wszystko jeszcze być może.

— No, to niechże będzie Napoleon! — zawołał ekonom—ale z Mietlicy już Napoleona nie będzie, nieprawdaż! Ej! Grzanka, gdyby to być mogło! Dałbym się w znaki tym szołdrom... najprzód burmistrzowi z Dąbczyna kazałbym wlepić sto bizunów... Grzanka ty nie wiész, co się stało?

— A cóż *miłościwy panje!*—zapytał Kaszub, gotując nóż, aby z Fryca zrobić Napoleona.

— Wojna siedzi w kozie, jako złodziéj, urwisz i rabuś. Wojna najpoczciwszy człowiek w całém mieście!

— Dla Boga!

— Doktorowi wystrzelili żebro, aż płakać musiałem, patrząc na biédaka!

— Mój Boże!

— Szołdry! Jeszcze ten burmistrz mówi mi, że dom Wojny rozwalić każe, bo jest ubogi!

Grzanka westchnął. Ekonomowi zakręciła się łza w oku, spadła i uwisła na siwym wąsie wiarusa. Otarł ją kułakiem, tupnął nogą dla odpędzenia smutnych myśli i wszedł do izdebki zégarmistrza.

W izdebce zégarmistrza było wszystko w dawnym porządku. Burmistrz stukał regularnie, Basia odzywała się chrypliwym głosem, a Paliwoda od czasu bił sobie dla fantazyi, nie zważając weale na burmistrza regulatora. I tak jakoś spokojna była ta cała

gromadka, taka jakaś pogoda odbijała się w tych białych, świécących cyferblatach, tyle cichego szczęścia było w tych długich, rzymskich liczbach, że patrząc na nie stary wiarus, pokiwał głową i rzekł z cicha, aby go żaden z zégarów nie słyszał:

— One takie spokojne, jakby o niczém nie wiedziały! Nie wiedzą biédne, że ich gospodarz gdzieś jęczy w kałauzie, że ta izdebka, że te ściany, na których wiszą, runą wkrótce pod ciosem ręki bezbożnéj, a biédny zégarmistrz wróciwszy do domu, nie znajdzie miejsca, gdzie się urodził!...

A w téj chwili leciał duży, czarny kruk po nad zamek dąbczyński i krakał długo i głośno. Nikt go nie rozumiał, nikt go nie słuchał—tylko Widu podniósł pysk do góry i zawył przeraźliwie...

— Słyszysz Grzanka, jak psisko wyje?—zawołał Mietlica—a wyje pod samą Opatrznością. Są rzeczy, które zwiérzęta prędzéj widzą od człowieka... Grzanka, ten dom wkrótce rozwalą!

Grzanka przeżegnał się, bo żałosne wycie psiska jakoś wskróś go przeniknęło.

Stary wiarus wybiegł na ulicę i jeszcze raz spojrzał na Opatrzność boską. Tak mu żal było przyjaciela i tych kilku łokci ziemi polskiéj.

Ale Opatrzność patrzyła suchém okiem....

Na granicznym kopcu Dąbczyna stała figura z ukrzyżowanym Chrystusem. Była to ostatnia figura ziemi wielkopolskiéj, ostatnia katolicka część syna bożego.

Stary wiarus ukląkł i długo i gorąco się modlił. Patrząc w rozkrzyżowanego Chrystusa, zdawało mu

się, że te sine usta poruszyły się... że ocierniona głowa pochyliła się więcéj ku ziemi, jakby jéj nowéj przybyło boleści... że krew z ran ciéc zaczyna... ale to było tylko złudzenie, gra światła! Wszędzie cicho i głucho! Tylko białe obłoczki pomykają po niebie, a wiatr zachodni szeleści w liściach topoli.... Tylko tam gdzieś nad dworkiem w Czarnowodach krąży kruk i kracze...

Koniec tomu drugiego.

NA KRESACH.

WYBÓR PISM

JANA ZACHARYASIEWICZA.

NA KRESACH.

TOM III.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

NA KRESACH.

POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH TOMACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARYASIEWICZ.

TOM TRZECI.

[illegible]

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава, дня 15 Іюля 1887 года

Warszawa—Druk S. Orgelbranda Synów, Krak.-Przedm. Nr. 66.

I.

Minęły dni pięknéj, majowéj pogody, a nad ziemią wielkopolską zawisły szare, jednostajne chmury. Dészcze lały nieustannie, a strapiony rolnik napróżno wzywał „Boga Abrahama“, aby się ludzkiéj ulitował niedoli. Zasiewy pogniły, łąki wymokły, smutno odzywały się głodne trzody. Wylały rzeki, stawy rozpuściły wody swoje, a przez kilka tygodni nie widział rolnik pracy swojéj.

Wreszcie opadły wody, czarna opona nieba przedarła się na dwoje i odsłoniła jasne gorejące słońce. Z okrzykiem radości powitano piérwszy dzień pogody, obejrzano straty, obliczono i z ufnością w nieprzebrane miłosierdzie Boga wzięto się na powrót do pracy, aby uratować to, czego woda nie zniszczyła.

Nadzieja zagrzewała wszystkich, wesołe śpiéwki rozlegały się po polu — ostatnie ziarno, ostatni grosz rzucono w ziemię.

Ale niebo było nieubłagane. Ziemia chwyciła ziarno, otuliła je i ogrzała, wychuchała z niego małą, zielonawą trawkę, gdy nagle zabrakło jéj pokarmu. Wyschła i stwardniała jak opoka.

Biédny rolnik załamał ręce, podniósł wzrok do nieba i tą samą modlitwą, którą niegdyś o pogodę prosił, błagał dzisiaj o kroplę deszczu „Boga Abrahama“.

Ale Opatrzność boska patrzyła suchém okiem na nieszczęsną krainę. Zdawało się, że jakiś gniéw boży cięży nad ziemią nieszczęśliwą.

Wreszcie minęły upały, liście poczęły żółknieć na drzewach, jesienne mgły toczyły się po pustéj, wypalonéj ziemi, a w stodołach było pusto i przestrono. Gdzieś tam w kącie leżało kilka, kilkanaście kóp zboża, na które kilkadziesiąt wysiano. Starzy narzekali na złe czasy, twierdzili, że coraz gorzéj na świecie i w głębi duszy tęsknili za grobem, który ich ochroni od nieurodzaju i głodu.

Najbardziéj dotknęła ta straszna klęska Czarnowody. Czego nie zalały wody z czarnego stawu, to wypaliła posucha, a na dobitek tego wszystkiego spadł grad i zniszczył wszystko...

Jakaś złowieszcza chmura zawisła nad domem Dębiczów. Nikt nie wiedział, zkąd się to bierze, a jednak każdy czuł, że mu coś jak kamień na sercu leży.

I różne tłómaczono sobie te oznaki nadciągającéj burzy. Mietlica widział każdego piątku o północy jasny, czerwony krzyż na niebie od zachodu i był święcie przekonany, że to cud Pański okazuje się nad domkiem biédnego mieszczanina, którego osądzono za kradzież i rabunek. Stara gospodyni wyznała na spowiedzi, że idąc koło familijnego grobowca Dębiczów, słyszała cichą rozmowę nieboszczyków. Byli coś nie radzi dzisiejszym mieszkańcom Czarnowód i groźnie uderzali po rękojeści mieczów swoich. A gdy w skutek jéj mowy grobowiec otworzono i jedno uszkodzone

sklepienie naprawić chciano, zdjęto przypadkiem wieko z trumny Sebastyana Dębicza, który towarzysząc Jagielle w bitwie pod Grünwaldem, poległ śmiercią bohatérską, i ujrzano z niemałym przestrachem, że Sebastyan w trumnie się obrócił. Leżał twarzą do dna trumny, ręce miał w tył założone jak niewolnik... A w lamusie słyszał stróż nocny jakieś dziwne, śmiéjące się głosy, aż włosy na głowie kołkiem mu stanęły. Przez wieś po zachodzie słońca biégł co dnia duży, kudłaty pies czarny i wył przeraźliwie. Nikt nie śmiał ręki na niego podnieść, bo coś strasznie wyglądał na złego ducha. Niektórzy nawet wyraźnie czuli maź i smołę.

Te i tym podobne rzeczy widziano i opowiadano sobie w Czarnowodach przy rozłożoném wieczorném ognisku w kuchni czeladniéj.

W dworku nie mówiono wprawdzie o tych dziwnych zjawiskach, ale każdy czuł, że coś cięży nad nim, że lada chwila błyśnie piorun i uderzy w ten cichy, spokojny domek szlachecki. Zkąd jednak uderzy i kiedy? o tém nikt nie wiedział i każdy różnie to sobie tłómaczył.

„Spirytualia“ odbywały się wprawdzie dawnym trybem, ale już nie z tą samą, co niegdyś swobodą. Dawniéj była to chwila wytchnienia dla wszystkich, chwila, w któréj oderwani od trosk codziennych mieszkańcy, podnosili się duchem ponad świat ziemski, a zaczerpnąwszy żywego zdroju praw boskich, wracali do swoich obowiązków, bogatsi w siły i cierpliwość, jeźli ich życie było cierpieniem. Dzisiaj czynili to samo na pozór, ale w istocie był to tylko skutek przyzwyczajenia, a owa myśl bogobojna, która ich tutaj po raz

piérwszy zgromadziła, uleciała już na zawsze z pomiędzy nich.

Staruszek pracował ciągle nad poematem swoim, ale z każdym dniem jakoś trudniéj mu było o prawdziwe natchnienie. Zuzia siedziała jak zawsze na taboreciku obok staruszka, a oparta o jego ramię, zdawała się słuchać z uwagą, gdy staruszek mówił, lub czytał. Ale twarz jéj mocno zbladła i posmutniała, jéj oczy były często z płaczu czérwone i nabrzmiałe, a jakaś mgła nieprzejrzysta zasłaniała przed nią czasem świat cały, w który na pozór patrzéć się zdawała.

Ksiądz Maciej nie zmienił się wprawdzie ani na duchu, ani na ciele, ale z każdym dniem więcéj potrzebował tabaczki, tak mu nieraz jakieś dziwne myśli dokuczały. W ostatnich rozdziałach poematu o Stefanie Batorym już było mnóztwo bogów słowiańskich—ksiądz Maciej ich nie zauważył. Major najwidoczniéj nudził się tą pogadanką poobiednią. Siedział jakby na węglach i czekał tylko sposobności, aby się za drzwi wymknąć. Jerzy nie wygoił się był jeszcze ze swojéj rany.

Szczupłe grono „spirytualistów“ powiększyło się o jednę osobę. Hrabia Leon polubił także te pogadanki poobiednie i rad na nie przychodził. Stary Dębicz kochał go, przekonawszy się, że obeznany jest dokładnie z pismem ojców kościoła; a poczciwy major wyglądał przyjścia jego jak bożego zbawienia, bo hrabia Leon zazwyczaj przynosił z sobą pęk gazet i najpyszniejsze wyczytywał z nich kombinacye polityczne. W takim razie major dosiadywał aż do ostatniéj chwili i ściskając odchodzącego gościa, mawiał zawsze do niego, że go zrestaurował na dni kilka.

Ale ksiądz Maciej z uwagą przypatrywał się wszystkiemu i coraz to częściéj zażywał tabaczki. Z każdym dniem stawał się więcéj milczącym i podczas powszechnéj konwersacyi zakręcał i odkręcał swoję tabakierkę szyldkretową. Patrząc z ukosa na hrabiego Leona, zdawało mu się, że on pobożnéj rozmowy wcale nie słuchał, a majorowa tak jakoś dziwnie przy nim wyglądała! Jakieś niedobre przeczucia trapiły poczciwego plebana.

Wreszcie jednego dnia, już nad wieczorem, gdy sędziwy kapłan, odmawiając wieczorne pacierze, przechadzał się po izdebce swojéj skromnéj plebanii i w głowie rozbierał sobie przedmiot do jutrzejszego kazania, otworzyły się drzwi, a wysoka, pochyła postać starego Mietlicy wsunęła się do izdebki.

Pełne, rumiane policzki poczciwego ekonoma zapadły się, liczne zmarszczki pokrzyżowały mu czoło, a w oczach malowała się widocznie jakaś tajemna zgryzota sumienia. Skłonił się nisko, odgarnął włosy, które w nieładzie spadały mu na czoło i z uszanowaniem zatrzymał się u progu.

Ksiądz Maciej spojrzał na niego z jakimś dziwnym niepokojem, a spodziéwając się smutnéj wieści, którą od dawna przeczuwał, zapytał nie bez trwogi:

— Cóż tam, Jakubie, z czém Bóg cię przysyła?

— Coś nie dobrze, proszę jegomości—ozwał się stary ekonom—sam nie wiém, co za licho w koło nas się kręci!

— Jakto, czy jakie nieszczęście? — poderwał ksiądz Maciej i zatrzymał oddéch, czekając odpowiedzi, która wszelkie jego smutne domysły sprawdzić miała.

— A jużci Pan Bóg nie mówi do mnie samego, ale mówi do wszystkich...

— Cóż mówi?

— Że za coś srogo karać nas będzie!

— Zkądże to wiész, kochany przyjacielu? — zapytał kapłan i drżące palce włożył do szyldkretowéj tabakierki.

— Co piątek, to jest w tym dniu, w którym skonał Zbawiciel na krzyżu, okazuje się nad Dąbczynem o północy krzyż czerwony, jakby krwią cały opłynął!...

Ksiądz Maciej odetchnął wolniéj i z widocznem ukontentowaniem zażył tabaczki.

Stary wiarus zachmurzył się i mówił daléj:

— Nieboszczyk Sebastyan Dębicz, co to najpiérwszy był z Dębiczów, obrócił się w trumnie!...

Ksiądz Maciej począł się dobrotliwie uśmiéchać.

Ekonom targnął za wąs, wywrócił czapkę podszewką do góry i rzekł znowu:

— Po zachodzie słońca widzę codziennie czarnego, kudłatego psa, jak biegnie przez wieś i znika koło figury pod Dąbczynem.

Ksiądz Maciej uśmiéchnął się znowu i z widoczną radością puknął palcami po tabakierce, jak to zwykł czynić, gdy był w dobrym humorze.

— Ludzie ze wsi mówią, że wyraźnie czuć za nim zapach smoły i siarki — kontynuował daléj ekonom — wywracając czapkę to na tę, to na ową stronę.

Teraz już w głos rozśmiał się ksiądz Maciej, uderzył ekonoma kilka razy po ramieniu i rzekł do niego:

— Przestraszyłeś mnie, poczciwy Jakubie, twoją miną zafrasowaną, jakby ci kto łan pszenicy ukradł lub spalił. A teraz dzięki Bogu; cieszę się, że to tyl-

ko płonna była obawa. Myślałem, że Bóg wié, jakie nieszczęście się stało! Bóg daje czasem znaki, to prawda—mówił ksiądz Maciej z właściwą mu słodyczą—ale najprzód trzeba prawdziwe znaki rozróżnić od fałszywych.

Mietlica spojrzał na proboszcza, nie mogąc pojąć, jakim sposobem mogą na niebie okazywać się bez woli Boga znaki fałszywe, albo jakim sposobem może po wsi biegać fałszywy diabeł, który jak najwyraźniéj cuchnie siarką i smołą.

Jakoś to wszystko nie kwadowało do jego siwéj głowy.

Po chwili milczenia rzekł do proboszcza:

— A wylew wody, posucha, nieurodzaj i głód?

— Masz w tém słuszność, kochany przyjacielu— odparł ksiądz Maciej — że podobne dopuszczenia boskie, jak jest wylew wody, posucha i nieurodzaj, za kary od Boga zesłane powinniśmy uważać! Ale z drugiéj strony nie mamy się wcale obawiać, aby za przestępstwa pojedyńczych chciał Bóg wszystkich karać.

— A potop świata? — poderwał stary ekonom, ciesząc się, że księdzu Maciejowi klina wbił w głowę.

— Potop świata był karą dla wszystkich, bo wszyscy źli byli, jak o tém świadczy pismo święte— odparł spokojnie ksiądz Maciej.

— Przecież w Sodomie i Gomorze musieli tu i owdzie być porządne ludziska — zarzucił ekonom, ale już nie tak śmiało.

Ksiądz Maciej uśmiéchnął się, zażył tabaczki i rzekł:

— Jak widzę twardo się trzymasz, mój bracie, nie lada z tobą sprawa. Wiész, że Bóg za występki

niszczył i palił całe miasta, ale zapomniałeś, co Bóg odpowiedział pobożnemu patryarsze, gdy prosił, aby całego miasta nie niszczył! Oto rzekł mu Bóg, że dla piętnastu sprawiedliwych uratowałby całe miasta od zguby i kary zasłużonéj.

Mietlica poruszał głową to w tę, to w ową stronę, wywrócił czapkę jeszcze raz podszewką do góry i rzekł:

— Już to ja prosty jestem człowiek i tych rzeczy wiele nie rozumiém. Ale tak myślę sobie czasem, osobliwie gdy w nocy spać nie mogę, że wszystkie te nieszczęścia, te znaki na niebie i na ziemi tyczą się pewnych ludzi i to z pośród nas!

— Pewnych ludzi z pośród nas! — zawołał staruszek i stanął z szczyptą tabaczki przed nosem.

Twarz jego posmutniała, jakieś niedobre przeczucie, które go opuściło śród rozmowy, owładnęło znowu jego sercem.

— Tak jest, to wszystko tyczy się pewnych ludzi pośród nas! — powtórzył Mietlica, kontent, że ksiądz Maciej tym razem nie uśmiéchnął się na jego słowa, tylko coś na seryo się zamyślił.

— I którzyż by to byli ci ludzie? — zapytał po chwili proboszcz, ale tak cichym głosem, że go zaledwie ekonom dosłyszał.

Ekonom pokręcił wąsa, odwrócił napowrót czapkę i rzekł:

— Piérwszy jest... burmistrz z Dąbczyna.

Ksiądz Maciej westchnął głęboko, jakby mu ciężar jaki spadł z serca. Potém otworzył usta, w koło których zaigrał uśmiéch wewnętrznego uspokojenia i rzekł:

— Bój się Boga, bracie! Znowu mnie przestraszyłeś! Cóż tam znowu z burmistrzem?

Już teraz otwarcie rozgniéwał się stary wiarus. Odkąsiwszy kawał wąsa, wyprostował się z dumą, jakby czuł się urażonym tak dziwném postępowaniem księdza Macieja, o którym dotąd wysokie miał wyobrażenie, i zachmurzywszy się sromotnie, rzekł z wyrazem największéj indygnacyi:

— Jegomość za żarty bierze to, co mi w nocy sen odbiéra, a we dnie i łyżki strawy zjeść nie daje. Widocznie coś dzieje się w koło nas, a czasami zdaje mi się, że czuję siarkę, którą Pan Bóg zwykł palić miasta bezbożne. A ten czérwony krzyż nad Dąbczynem, to wyrok boski na burmistrza, który najpoczciwszego człowieka kazał do kozy wsadzić, jako złodzieja i rabusia, aby w niebytności jego wziąć mu domek rodzinny i rozwalić go!

Ksiądz Maciej poczuł łzę pod drgającą powieką i czémprędzéj zażył tabaczki.

— A co to jest domek rodzinny!—kontynuował daléj Mietlica z nadzwyczajnym ferworem—ten kącik, w którym się człek urodził, gdzie się wychował, te ściany, w których ubiegło mu tyle życia, wszystko to ma runąć, a biédny zégarmistrz gdy wróci, będzie jak u obcych, nie będzie miał gdzie głowy położyć!... Ha! więc to wszystko nie warto cudu od Boga, jednego mizernego cudu, których tyle ma w swojéj wszechmocnéj dłoni Bóg sprawiedliwy!

— Bluźnisz, kochany bracie, bluźnisz—przerwał mu ksiądz Maciej, ociérając łzę ukradkiem.—Nie powinniśmy nigdy badać dróg boskich.

— Ja téż przez pięć miesięcy nic nie mówiłem

nikomu, odpędzałem grzészne myśli i połykałem słowa, które gwałtem cisnęły mi się z po za zębów.

— Wojna popadł wprawdzie w nieszczęście niezrozumiałym dla mnie sposobem, ale Bóg nie zatrzyma porządku całego świata dla jednego nieszczęśliwego.

— Jakto!—przerwał stary wachmistrz, któremu nagle głowa się zapaliła — jakto? Nie stoiż napisano, że Bóg wié o każdym wróblu, co z dachu spadnie, a miałżeby oczy zamrużyć na widok człowieka, który jest najniewinniejszą ofiarą zdrady i podstępu, na co zaraz dzisiaj przysięgnę!... Już to ja tak sobie w głowie ułożyłem, że dla jednego grzésznego człowieka może Pan Bóg nas wszystkich karać, a i Paliwoda, o którym w Radziejewie mówią, że jest niedowiarek, kubek w kubek tak samo myśli jak ja...

Długi czas spiérał się jeszcze uparty wiarus z księdzem Maciejem, któremu w końcu nawet smutno było odbiérać mu tę piękną, chociaż nieco egzaltowaną wiarę w opiekę boskiéj Opatrzności. Pożegnawszy więc ekonoma słowami pociechy i ukojenia, usiadł sędziwy staruszek w dużem krześle i głęboko się zamyślił.

Słowa poczciwego prostaczka nasunęły mu kilka myśli, które mu już nieraz przychodziły do głowy. Od niejakiego czasu przeczuwał on jakąś ciężką, straszną chmurę, wiszącą nad dworkiem w Czarnowodach. Zdawało mu się, że w téj dusznéj, ciężkiéj atmosferze coś dojrzało, za co zazwyczaj karze Bóg w dalekie pokolenia. I przyszło mu teraz na myśl: ażaliż te wszystkie złowieszcze chmury, które zdają się zewsząd gromadzić, nie są groźbami bożemi? Nie jestże? to ręka

wszechmocna, trzymająca niewidomie rózgę nad nami, która cięży na głowach naszych?...

I widząc w tém wszystkiém, co mu dzisiaj w prostocie serca swego nagadał stary Mietlica, widoczny palec boży, zebrał się pobożny staruszek, a chociaż już późno było z wieczora, udał się prostą drogą do dworu.

W Czarnowodach było dzisiaj smutno i głucho. W izdebce starego Dębicza świéciła się lampka na stole. Rozłożone przed nią papiéry i pióra okazywały, że staruszek chciał daléj kontynuować swój poemat bohatérski, ale stare, skrzepłe ciało nie sprostało myśli gorącéj, białym szronem obsypana głowa pochyliła się na poręcz krzesła, a sen znużenia skleił omdlałe powieki.

Z słodkim uśmiéchem zasnął staruszek. W ręce trzymał jeszcze ołówek, którym przed chwilą kréślił zwycięztwa króla Stefana, a radość z narodowéj sławy malowała się jeszcze na téj pięknéj, bladéj twarzy.

Po chwili zmienił się nagle wyraz śpiącego. Rozjaśniona jego twarz zasępiła się, jakiś ból wewnętrzny skrzywił mu usta, czoło okryło się zmarszczkami.

Coraz ciemniéj było po kątach izdebki, obrazy, pozawieszane na ścianach, jakoś dziwnie spoglądały na śpiącego.

Cicho otworzyły się drzwi. Zuzanna weszła na palcach, niosąc w ręku przygotowaną dla staruszka herbatę.

Postawiwszy ją na stole, spojrzała na twarz śpiącego. A ta twarz była tak piękna i szlachetna, tyle dziejów można było z niéj wyczytać! Zdawało się,

że ten starzec, stojący nad grobem, pozbiérał teraz wszystkie kartki swego żywota i w jednę związał je książkę. A tą książką była twarz jego!

Zuzanna stała i z jakiémś dziwném rozczuleniem wpatrywała się w staruszka. Wreszcie pochyliła się przed nim ostrożnie i na jego pięknem, poradloném czole złożyła gorący pocałunek. Dwie łzy wymknęły się z jéj oczu i upadły na twarz śpiącego.

— Kto tu jest? — zawołał nagle przebudzony staruszek, zasłaniając się ręką, jakby jakie widmo odpychał od siebie.

— Ja jestem, kochany dziaduniu — ozwała się Zuzia.

— To ty, Zuzienko, złote dziécię moje? — mówił staruszek, wytężając wzrok swój, jakby na coś w powietrze patrzył.

— Tak jest... ja jestem... może kochany dziadzio...

— Cyt, cyt — przerwał staruszek — a tam, tam kto taki?

— Tam nie ma nikogo — odpowiedziała Zuzia, patrząc w ciemny kąt pokoju.

— Jakto nie ma? Czy nie widzisz? Tam to... zakonnica...

— Wszak to tylko portret prababki.

— A portret... portret tylko został, a ona już odeszła.

— Dziadunio miał zapewne sen jaki.

— Jakto sen... wszak jeszcze ot tu, tu na czole, kochana Zuzienko, palą mnie jéj łzy, które wylała nademną!...

I zasmucił się staruszek i spojrzał martwym wzrokiem przed siebie.

Zuzia oparła się o poręcz krzesła i łzawemi oczyma patrzyła na twarz jego.

Po chwili podniósł nagle staruszek głowę, a wlepiwszy wzrok swój w twarz Zuzi, rzekł:

— Zuzienko moja, czy nie ma w domu naszym jakiego grzechu?

Twarz Zuzi zbladła, jéj usta zadrżały. Ale wkrótce uspokoiła się i pewnym odpowiedziała głosem!

— Przynajmniéj nic o nim nie wiém, kochany dziaduniu!

— A serce twoje, a myśli twoje, drogie dziécko moje?

— Nic mi nie mówią takiego — szepnęła Zuzia, ale jéj głos drżał widocznie.

— Czy stary Paweł dostaje łaskawy chléb?

— Dostaje.

— Czy ojciec kowala ma ten grunt do swego użytku?

— Ma.

— Czy ksiądz proboszcz dostaje należycie co roku za odprawianie mszy świętych?

— Dostaje.

— Może jaki ubogi odszedł z tego domu bez zapomożenia?

— Nie przypominam sobie.

— Więc cóżby to było?

— To sen był, kochany dziaduniu, i nic więcéj.

— A sen, prawda sen — odpowiedział staruszek—ale przecież...

I zamilkł nagle, patrząc na portret kobiéty w ubraniu zakonném, który wisiał tuż przed nim na ścianie.

Po chwili ozwał się, jakby do własnych myśli mówił:

— Tak jest, to ona była. Ta sama twarz smutna, surowa... Patrz, Zuzieńko, jaka pogoda, jaka pobożność w jéj twarzy. Nieboszczka starościna była bardzo bogobojną kobiétą. Pamiętam ją dobrze, ale była już wtedy starą, bardzo starą. W młodości swojéj utraciła męża, ale drugi raz za mąż nie poszła. Zaraz po pogrzebie męża przywdziała ten strój, a wychowując swoje dziatki, oddaliła się od świata. Bo musisz wiedzieć kochane dziécię moje, że nasze matrony miały dawniéj ten zwyczaj chwalebny, że po śmierci mężów, poświęcając się pobożności i obowiązkom macierzyńskim, brały na siebie strój zakonny, chociaż zakonnicami nie były. Świat już nie miał dla nich żadnego powabu, gdy ich całe kochanie w grobie legło. Dzisiaj nie ma już tych cnót na świecie. Dzisiaj miłość jest jak suknia. Gdy się jedna zedrze i zużyje, to bierzemy inną, nową. Nasze prababki miały tylko jednę, i tę brały do grobu.

Młoda kobiéta westchnęła.

— A jacy to mężowie byli!—mówił daléj staruszek—piękna krésa na czole dodawała uroku... a dzisiaj zgrabne maniery, służba galonowa, tytuł nieswojski, wyżebrany w antykamerze obcego potentata, piéniądz, marny piéniądz!...

— Przecież, kochany dziaduniu — wtrąciła Zuzia—z tego wszystkiego, com dotąd o kobiétach w dawnych naszych czasach słyszała, okazuje się, że ko-

biétę bardzo nizko stawiano, że nie zawsze miano względy na skłonności jéj serca.

— To wszystko prawda — poderwał staruszek— jeszcze więcéj ci powiém. Nieraz skojarzono małżeństwo, aby spór graniczny zakończyć, lub wywiązać się z zaciągniętego długu, ale myślisz, moje dziécię, że to złe miało skutki? Gdzie tam! Bo nie mówiono wówczas o potrzebach serca, ale widziano przed sobą obowiązki, zaprzysiężone obowiązki. Więc nie było żadnych chorobliwych zachceń, żadnych innych marzeń, które w końcu zawsze się przejedzą, jak każda wykwintna, nienaturalna strawa. Gdybyś dzisiaj spojrzała na te małżeństwa nasze, zawierane wedle potrzeb serca i sentymentu! Co się z nich dzieje za rok, za lat kilka! Nie dziw. Serce kobiéce jest jak ta lokomotywa, co dzisiaj wozi ludzi po świecie. Jeżeli go nie chwycisz w żelazną koléj, to na oślep poleci i szaleć będzie, póki się na szczęt nie rozbije... Ale gdzież to jest Tadeusz?

— Od południa nie widziałam go—odpowiedziała z westchnieniem Zuzia.

— A tak... zapewnie poszedł do Jerzego. Poczciwy Tadeusz! chorego nawiédzać, to uczynek chrześciański.

Staruszek zamilkł, jego wzrok padł znowu na portret kobiécy w stroju zakonnym. Zuzia odwróciła twarz, w jéj oczach zabłysły dwie łzy.

— Tak jest, to ona była — mówił do siebie staruszek.— Ta sama twarz smutna, surowa... Zuzieńko droga, to coś znaczy ten sen... a było, jakby na jawie! Coś nie podobało się u nas nieboszczce.

— Może nasze przewinienia! — szepnęła z cicha Zuzia.

— Nie, nie, drogie dziécię—podchwycił śpiesznie staruszek—wy wszyscy dobrzy, sprawiedliwi, bogobojni... ale ja... to mnie się tyczy.

— Dziaduniu!

— Już daj pokój, moje dziécię, znam ja lepiéj siebie... ot zostaw mnie samego, bo chcę z sobą pomówić. Przeczytaj sobie kilka rodziałów z żywotów Świętych Pańskich... Tadeusz wkrótce powróci. Dobra noc ci, drogie dziécię moje!

Zuzanną pocałowała staruszka w rękę i właśnie do drzwi się zbliżała, gdy za kotarą zaskrzypiała szyldkretowa tabakierka i dało się słyszéć krząkanie księdza Macieja.

Zuzanna zatrzymała się, aby gościa powitać, ale staruszek rzekł:

— Idź, droga Zuzieńko, idź, a księdzu Maciejowi przyślij tutaj herbaty. Mam z nim kilka słów do pomówienia.

Była to niezwykła godzina do odwiedzin staruszka. W niemałym więc był ambarasie ksiądz Maciéj, jakby zaraz na wstępie rzecz zaintrodukować. Ale na nieszczęście bardzo mu jakoś trudno było o koncept w téj chwili, bo mówiąc prawdę, sam nie wiedział, dla czego mu tak śpieszno było do starego Dębicza. Lecz będąc już na progu, nie mógł się cofnąć. Zażywszy więc za kotarą tabaczki, która na szybszy biég myśli wpłynąć miała, wystąpił śmiało, poruczywszy się Duchowi świętemu, który w trudnych

okolicznościach życia oświéca nieraz głowę biédnego człowieka.

Ale jakoś inaczéj złożyło się wszystko, niż to sobie wyobrażał ksiądz Maciéj. Staruszek bowiem, zaledwie go zoczył, aż mało na nogi nie powstał, tak się ucieszył, i zawołał:

— Otóż to mi wielkie wyświadczyłeś dobrodziejstwo, księże Macieju, żeś do mnie przyszedł. Nie wiém, czy ci kto powiedział, czy Duch święty natchnął cię tak wybornym konceptem. Właśnie myślałem o tobie i rzekłem w duchu do siebie: Gdyby to teraz ksiądz Maciéj był przy mnie, mógłbym jeszcze z pokojem pójść spać, a tak trzeba niecierpliwie czekać aż do jutra. Otóż Bóg usłyszał, com w duchu mówił do siebie, i ciebie tutaj przysłał.

— Zaprawdę—odparł ksiądz Maciéj, uderzając palcami po tabakierce i uśmiéchając z widocznem zadowoleniem — zaprawdę, jeźli w saméj rzeczy, panie Stanisławie, jesteś tak łaknącym i spragnionym, to ja jestem jak ów Habakuk, którego aniół wraz z przygotowaną dla żeńców strawą pochwycił i zaniósł do głodnego sługi bożego.

— Otóż siadaj teraz, księże Macieju, i nie szczędź mi pokarmu, który z sobą przyniosłeś, bo jestem mocno głodny twojéj rady i pociechy.

Ksiądz Maciéj usiadł na krześle i odkręcił tabakierkę aż zaskrzypiała. Był to znak, że wywinąwszy się z jednego, w nowy popadł kłopot. Twarz jego posmutniała, ale prędko pokrył swój smutek energicznem zażywaniem tabaki.

— Najprzód muszę ci powiedzieć, kochany Ma-

cieju, że od niejakiego czasu coś mi strasznie cięży na sercu.

Szyldkretowa tabakierka znowu zaskrzypiała, ale ksiądz Maciéj wcale się nie ozwał.

— Jakoś mi duszno, jakbym nie był między swymi.

Ksiądz Maciej odkrząknął, posunął się na krześle, ale nic nie odpowiedział.

— Myślałem zrazu, że to śmierć zagląda mi w oczy.

— Śmierć nie straszy nigdy człowieka bogobojnego — przemówił wreszcie ksiądz Maciéj — przychodzi ona do niego jako posłanka Boga, z uśmiéchem na ustach, z kwiatami we włosach, aby go zabrać na ucztę, którą mu Bóg zgotował.

Staruszek zamyślił się. Obraz śmierci bogobojnego człowieka stanął mu żywo przed oczyma. Uśmiéchnął się i rzekł:

— Właśnie dzisiaj przyszło mi na myśl, żem nie godzien téj uczty, którą Bóg dla cnotliwych przygotował—i zdaje mi się, że to właśnie cięży mi na duszy.

Ksiądz Maciéj posunął się na krzesełku, zażył tabaczki, a zakręciwszy tabakierkę, rzekł:

— Nie nam tutaj na ziemi wyrokować o zasługach naszych. Ale już to samo wielką jest zasługą, jeźli się do błędów i grzéchów poczuwamy.

— Grzéch mój, który mam na myśli, nie jest jednak moją winą.

— I jakiż to grzech, jeźli o niego zapytać można?—ozwał się ksiądz Maciéj z wyrazem tajemnéj trwogi na twarzy.

Staruszek poprawił się na krześle, podparł ręką zamyślone czoło i zaczął:

— Układając dzisiaj przedostatnią pieśń mego poematu o Stefanie Batorym, musiałem z kolei opisać wzięcie Pleskowa. A właśnie przy téj potrzebie zginął Marcin Dębicz, ot ten w czewonéj delii, z tym wąsem sumiastym — raniony w piersi oszczepem. I dziwna myśl przyszła mi do głowy. Przebiegłem dzieje wszystkich Dębiczów i okazało się, że żaden z nich nie zginął śmiercią naturalną. Co większa, żaden z nich nie zginął w przegranéj, tylko każdy przy odniesioném zwycięztwie. Ztąd téż nawet poszło w przysłowie w naszym rodzie. „Dębicz na marach, ojczyzna w laurach.“

— Jest to piękna tradycya... niejeden ród pragnąłby podobnéj pamiątki — wtrącił ksiądz Maciéj z uspokojoną nieco twarzą.

— Otóż téj tradycyi wierni byli wszyscy moi antenaci. Sebastyan Dębicz zginął pod Grunwaldem w chwili, gdy się już szala zwycięztwa na naszę stronę przechyliła; Mateusz zginął pod Morawą, gdzie Turków na głowę pobito; Wojciech pod wodzą młodego królewicza Olbrychta bije się pod Kopestrzyniem i pada. Pod Wiśniowcem ginie Łukasz... i tak wszyscy koleją, jak tutaj ich widzisz na ścianie, mają u dołu napis: *occisus ad* — i bądź pewny, że to była nasza wygrana.

Ksiądz Maciéj przeszedł okiem długi szereg Dębiczów, wiszących na ścianach izdebki, i w saméj rzeczy słowa staruszka były prawdziwe.

— I cóż ty na to, księże Macieju?—zapytał stary Dębicz.

— Co ja na to—odparł ksiądz Maciéj, odkręcając tabakierkę — co ja na to mam powiedzieć, gdzie sam Bóg tak pięknie przez tych ludzi mówi do nas, którzy Jego i kraj swój kochali.

— Otóż słuchaj, księże Macieju — rzekł z powagą stary Dębicz.—Nie należę ja wprawdzie do tych ludzi dzisiejszych, co to na to wertują księgi stare i pargamina, aby w jakim almanachu dać swój ród szumnie opisać, lub jego herb namalować na karecie, aby się od gawiedzi odróżnić. Ale wierzę w misyą imion dawnych, znakomitych, które czy to *in bello cum hoste,* czy to na krzesłach obrad publicznych, zawsze były górą *in republica.* I tak każdy ród taki ma swoją misyą, a tradycya zakreśla mu drogę, jaką iść ma.

— Ba, ale gdy czasy nie są po temu!—wtrącił ksiądz Maciéj—bez wojen trudno o zwycięztwo!

— Otóż dla tego karłowacieją podobne rody i wyradzają się. A często sam Bóg uderza gniewną ręką w dom taki i każe wiatrom rozniéść szczątki jego na wszystkie części świata, aby ludzie nie mieli zgorszenia.

— Bóg jest największą mądrością, ale oraz i sprawiedliwy i bez grzéchu nigdy nie karze — rzekł ksiądz Maciéj, naginając nieznacznie rozmowę do swego celu.

— Grzéchy, jakież grzéchy?—podchwycił szybko staruszek.—Czyż nie lepiéj, aby drzewo, które miało być filarem świątyni, runęło pod ciosem piorunu, niż miałoby powoli spróchnieć i służyć plugawemu robactwu za mieszkanie?

Ksiądz Maciéj uśmiéchnął się, zażył tabaczki i odparł:

— Są to słowa bardzo piękne i mogą brylować w poemacie przy wzięciu Pleskowa. A gdy się w piersi uderzymy i spokojnie na dno serc naszych spojrzymy, cóż tam obaczymy? Oto dumę i pychę, a nic więcéj. Zostawmy Bogu kierunek świata, a gdy nam dzisiaj próżne pozostały dłonie i daleko sięgnąć nie możemy, to rozszérzajmy chwałę bożą, pokąd nasze ręce dosięgną.

— Uchowaj Boże!—zawołał staruszek — *apage satanas!* Ja pychy w życiu nie znałem.

— I na cóż narzekać na zrządzenia bozkie...

— Ot, chylę się do grobu — przerwał mu staruszek — i jakoś na myśl mi przyszło, że każdy z moich antenatów umarł *pro republica*, a jego śmierć była dobrą wróżbą dla jego towarzyszów...

— I cóż ztąd? — zapytał zniecierpliwiony nieco ksiądz Maciéj.

— A moja śmierć będzie podobną do upadku spróchniałego drzewa, które nie doleciawszy do ziemi, w próchno się rozsypie.

— Nikt nie wié, do czego śmierć jego posłuży! — zawołał ksiądz Maciéj. — Niezbadane są drogi Pana i ciemne są wyroki Jego, odpowiém na to z psalmistą.

Słowa te, wypowiedziane głosem uroczystym, sprawiły na staruszku silne wrażenie. Zamilkł i oczy w ziemię spuścił. Jakiś dziwny spokój wstąpił mu do duszy, na ustach osiadł słodki uśmiéch zadowolenia. Z chrześciańską ufnością patrzył przed siebie, na bliz-

ki grób swój, i nie szemrał więcéj, że mu zabrakło drogi do lepszych uczynków.

Tymczasem przyniósł służący herbatę, któréj wielkim amatorem był ksiądz Maciéj. Przyznawał on jéj piérwsze miejsce obok tabaczki i był tego zdania, że ten specyał pomaga do konceptu.

Otóż rozgrzawszy się nim należycie i widząc, że dzisiaj nad staruszkiem nie małe odniósł zwycięztwo, wziął się z wielką otuchą do słowa, z którem właściwie tutaj naumyślnie przyszedł.

— Podejmując jeszcze raz przedmiot naszéj rozmowy — zaczął ksiądz Maciéj — nie od rzéczy będzie zastanowić się dobrze nad tém, co właściwie nasze serce smutkiem niepojętym obciążać może. Przyczyną tego niepojętego smutku są zawsze nasze przewinienia, albo tych, co nas najbliżéj otaczają.

— Sprawiedliwy siedm razy na dzień upadnie...

— Ale podnosi drugich, gdy ich widzi śpiących nad brzegiem przepaści...

Ksiądz Maciéj wymówił to z takim akcentem, że stary Dębicz ze zdziwieniem spojrzał na niego. Ksiądz Maciéj nie zmieszał się jednak tém spojrzeniem, tylko śmiało znowu się ozwał:

— Bóg błogosławi dom, jeźli w nim mieszka pokój i zgoda, ale niewidzialna ręka sędziego zacięży nad nim, jeźli szatan pokusy znalazł w nim chętne ucho...

— W tym domu jest pokój i zgoda—odparł spokojnie staruszek—przyłóż rękę do serc naszych, a przekonasz się; wytęż słuch twój, a usłyszysz w ogrodzie pełzającego robaczka.

— Czy wszyscy mają ten pokój w duszy?

— Inaczéj nie odpowiadałbym słudze bożemu tak spokojnie.

Ksiądz Maciej zakręcił tabakierkę, aż zaskrzypiała i niecierpliwie szukał nowego konceptu. Jakoś nie szła mu w ład rozmowa. Za daleko był jeszcze celu swego. Spojrzawszy więc ukradkiem na zégarek, potarł się po wysokiém czole i rzekł:

— Jakże tam pani majorowa?

— Zuzanna?—poderwał ciekawie staruszek.

— A tak, Zuzanna — powtórzył ksiądz Maciéj, bawiąc się tabakierką z widoczném nieukontentowaniem, że tak od razu wyjechał.

— Cóż Zuzanna? — zapytał z tém większém zdziwieniem staruszek.

— Chciałem się zapytać, czy Zuzanna szczęśliwa?—wyszepnął bardzo cicho ksiądz Maciej.

— Czy Zuzanna szczęśliwa? Jak to rozumiész, księże Macieju?

Ksiądz Maciéj był już teraz w sromotnym kłopocie. Tabakierka jakby na złość otworzyć się nie chciała, krzesło stało nie równo, a stary Dębicz tak dziwnie patrzył na niego, że poczciwy proboszcz podyktował sobie w duchu karę za to, że całą sprawę tak jakoś źle poprowadził.

— Pytałem się — rzekł po chwili milczenia—czy szczęście Zuzanny jest zupełne.

Jakkolwiek to zapytanie księdza Macieja wcale nie różniło się w niczém od piérwszego, ani żadnego nie dało wyjaśnienia, staruszek poprzestał już na niém i rzekł:

— Szczęście Zuzanny jest tak zupełne, jak je

tylko na ziemi miéć możemy. Kochamy ją wszyscy, a ona wzajem nas kocha.

— Ba!—odparł ksiądz Maciéj, posuwając się na krześle—my możemy cały świat kochać, ale kobiéta... kobiéce serce...

Tutaj zaskrzypiała znienacka tabakierka, ksiądz Maciej czém prędzéj włożył palce po swój specyał, w którym w tak krytycznéj sprawie ostateczny widział ratunek, ale uprzedził go stary Dębicz, podejmując ostatnie jego słowo:

— Serce kobiéce, chcesz powiedziéć, księże Macieju, musi miéć kogoś, komu całe się oddaje...

— To właśnie chciałem powiedziéć...

— Wszak Zuzanna ma męża — odparł Dębicz, patrząc dziwnie na proboszcza.

Księdzu Maciejowi zrobiło się gorąco, zaczérwienił się po same uszy. Była to według niego rzecz tak delikatnéj natury, że trudno mu było przyjść z nią do końca. Ale zawezwawszy po cichu pomocy bozkiéj, odkrząknął silnie i rzekł:

— Otóż to wiedziéć chciałem, czy Zuzanna szczęśliwa jest w pożyciu małżeńskiém?

— Dla czegóż to pytanie? — zapytał zdziwiony staruszek.

— Wszak lekarz i na zdrowéj ręce może puls badać—odparł ksiądz Maciéj, ucieszony, że się jakoś mu klei.

— Masz słuszność, księże Macieju — rzekł po chwili staruszek — lekarz boży ma prawo wglądania w serca, powierzone jego opiece.

Ksiądz Maciéj zatarł ręce, posunął krzesło i kon-

tent z siebie, czekał dalszéj odpowiedzi. Jakoż po krótkim namyśle ozwał się staruszek:

— Zuzanna jest szczęśliwą w pożyciu swojém, szczęśliwszą od wielu innych kobiét.

— Jednak jéj smutek w ostatnich czasach...

— Jest oznaką pięknéj, szlachetnéj duszy, która czuje, że nad to życie na ziemi jest jeszcze inne, szczęśliwsze życie...

— Ale kobiéta jest podobna do dziécięcia, które idąc po łące, chętnie zrywa na niéj kwiaty...

— I cóż ztąd?

— A smuci się, jeźli na téj łące żadnych kwiatów nie ma! Dajmy na to, że ta łąka jest życiem naszém...

Staruszek rzucił się niecierpliwie na krześle.

— Sądzisz, księże Macieju—poderwał szybko— że w życiu Zuzanny brak tych kwiatów...

— Nie sądzę wcale, lecz...

— Ona wié o każdem chorém dziecku na wsi, o każdém bydlęciu, co padnie; a gdy przyjdzie sobota, to widząc ją wtedy na ganku pośród biédnych, którzy jak rój pszczół cisną się do jéj rąk, tak sobie wyobrażam owę chrześciańską *charitas*, o której tak pięknie pisze ś. Augustyn... Księże Macieju, to najpiękniejsze chwile w naszém życiu, to prawdziwe kwiaty, nieśmiertelniki, które i za grobem nie zwiędną w rękach naszych.

Ksiądz Maciéj poprawił się na krzesełku, zaczynał być ze siebie niekontent. Tabakierka nie chciała się otworzyć, a w głowie urwał się koncept i nie można było dojść do końca.

— O tém nie mówię wcale — ozwał się po dłu-

giéj chwili milczenia—są to zaprawdę piękne kwiaty, ale to kwiaty duszy; a ja mówiłem o sercu, czy raczéj o téj połowie serca ludzkiego, któréj potrzeba tutaj szczęścia na ziemi, aby je miało jak dziécię kwiaty...

— Ale kto wyrósł nad wiek dziécięcy...

— I cóż ztąd?

— Ztąd to, że stosowny dla swego serca musi miéć pokarm... i kwiaty, które mu się podobają... Czyli mówiąc krótko a węzłowato — dodał ksiądz Maciéj, ociérając pot z czoła — kobiéta musi kochać coś, do czego jéj serce przylgnąć może.

— Jéj serce przylgnęło całą siłą do męża, do...

— Otóż o to zapytać się chciałem—rzekł z wielką rezygnacyą ksiądz Maciéj, mając tylko to wewnętrzne zadowolenie, że już raz rzecz na czysto wytoczył.

— Dla czegóż o to się pytasz? — zawołał staruszek—czy masz jakie powody?

— Uchowaj Boże! Ale tak mi się coś zdawało?

— Cóż ci się zdawało?

— Zuzanna ma lat dwadzieścia cztéry, jest młoda i ładna kobiéta...

— Cóż to znaczy?

— Serce kobiéty najbardziéj w tym czasie pragnie odpowiednich sobie uczuć.

— Tadeusz ją kocha.

— Pan major ma lat sześćdziesiąt i kilka, jego miłość dla żony jest piękna, czysta, spokojna—ale czy zrozumié takie młode serce...

Staruszek uśmiéchnął się, wziął poczciwego proboszcza za rękę i rzekł do niego z łagodnym wyrzutem:

— Straszysz mnie niepotrzebnie, księże Macieju,

a ja potrzebuję pociechy i ukojenia. Zapewnie przeczytałeś na starość jaki romans francuzki i chcesz go zaaplikować do mieszkańców poczciwego domku. To się nie godzi, księże Macieju!

Ksiądz Maciéj odsunął z widocznym gniewem krzesełko od starego Dębicza, a zakręciwszy tabakierkę, aż przeraźliwie skrzypnęła, rzekł:

— Francuzkich romansów nigdy nie czytałem i na starość czytać ich nie będę. Nie z książki moje doświadczenie. Siedząc przez lat pięćdziesiąt w konfesyonale, miałem czas zbadać serca ludzkie i poznać najskrytsze ich choroby.

Twarz staruszka posmutniała, ciekawie patrzył na mówiącego.

— I wielu już miałem pacyentów na chorobę serca—mówił daléj z ferworem ksiądz Maciéj,—ale czy wszystkich uzdrowiłem, to tylko Bogu wiadomo! Bo téż to straszna jest choroba, ta choroba serca. Słyszéć tych pacyentów mówiących, to aż się dobrze spocić potrzeba, szukając argumentów, aby zbić to, czém oni się bronią. Już to często przychodzi mi do głowy, czyby nie lepiéj było, aby człowiek serca nie miał. Ale znowu mówię sobie: Bóg sercem świat zbawił, miłością cały świat stoi. I tak jest to serce, jak ów dwulicowy bożek pogański, nazwany Janus, który na jednéj stronie miał pokój, a wojnę po drugiéj.

— I cóż ztąd wnosisz, księże Macieju?—zapytał cicho zamyślony staruszek.

— Że z sercem trzeba jak najostrożniéj sobie postępować — odpowiedział ksiądz Maciéj, który miał już wenę do gadania—nie trzeba mu nic narzucać, ale powoli śledzić jego przyrodzone skłonności i sakra-

mentem wzmacniać tylko jego powzięte postanowienia. A gdzie sakrament ściąga dopiéro dwa serca jak wić łoziny, lub jest prawną pieczęcią, spisanego przez notaryusza kontraktu, tam szczęścia nigdy nie będzie, a biédny spowiednik traci głowę w konfesyonale, gdy mu przychodzi bronić świętości sakramentu, od którego nie ma żadnéj apelacyi.

Staruszek słuchał zamyślony, jego czoło okryło się zmarszczkami. Nastąpiła długa chwila milczenia. Poczém wypogodziła się twarz staruszka, jego ciemne brwi rozsunęły się daleko od siebie. Z nieznacznym uśmiéchem na twarzy rzekł do proboszcza, który ciekawie patrzył na niego:

— Myślisz, księże Macieju, żem źle uczynił, wybrawszy Zuzannie majora za męża?

— Tego nie myślę, ale gdyby... dajmy na to... serce Zuzanny...

— Serce Zuzanny utonęło całe w sercu poczciwego majora.

— Daj Boże, ale gdyby... tak z czasem...

— Więc to chciałeś mi za grzéch poczytać— przerwał mówiącemu staruszek — żem Zuzię wydał za najpoczciwszego człowieka w świecie? Wszak ja to za zasługę sobie przed Bogiem biorę! Zuzię wychowałem na własnych rękach, tu ot w téj izdebce, w obliczu tych oto Dębiczów! Zuzia z krwi Dębiczów; ona pokochała to, co wzniosłe i szlachetne, nie przywiązując się wcale do marności światowych. Ona w swoim mężu pokochała tę piękną, wzniosłą przeszłość naszę, która jéj całe serce zapełnia. A ty myślisz, księże Macieju, że moja Zuzia to jak zwykła, wielkomiejska

kobiéta, któréj podoba się frak kusy i halsztuk zgrabnie zawiązany u lada jakiego młokosa?

— Tego wcale nie myślę, ale wiém, że czasem serce kobiéty...

— Słuchaj, księże Macieju!—przerwał staruszek, podnosząc się w krześle i kładąc rękę na ramieniu proboszcza.—Zuzanna tak kocha swego męża, że miłość jéj często przechodzi granicę i staje się bałwochwalstwem. Ja na to wszystko patrzę, i to mnie jeszcze przy siłach i życiu utrzymuje.

Starzec mówił to z takiém przekonaniem, jego ręka tak drżała na ramieniu księdza Macieja, że poczciwy proboszcz strasznie się zakłopotał, wlazłszy w matnię, z któréj w żaden przyzwoity sposób wywinąć się nie mógł. Gniéwał się na siebie, że się dał uwieźć jakimś przywidzeniom i w ferworze dobrego uczynku zrobił ogromne głupstwo. Dębicz był widocznie rozdrażniony jego gadaniną, a gdy jeszcze Zuzanna i major o tém się dowiedzą, wyśmieją poczciwego starowinę, którego dręczyły jakieś mary złowieszcze.

Ksiądz Maciéj odkręcał tabakierkę i zakręcał, szukając konceptu, który mógłby go z honorem i *salva conscientia* z téj głupiéj sprawy wyprowadzić, gdy nagle otworzyły się drzwi, a do pokoju wszedł poczciwy major. Za nim, usłyszawszy rozmowę, weszła i Zuzanna z robótką w ręku. Ksiądz Maciéj błagającym wzrokiem popatrzył na starego Dębicza, aby na miłość Boga nic o jego głupich przywidzeniach nie wspominał, i uspokoił się, widząc pobłażający uśmiéch na twarzy staruszka.

— Muszę się oskarżyć dziaduniowi i księdzu Maciejowi—rzekła Zuzanna z uśmiéchem pełnym słodyczy — że Tadeusz już mnie kochać przestaje. Minął moje drzwi i wszedł tutaj, aby się ze mną nie przywitać.

— To na to, kochana Zuzieńko — odparł major z figlarnym uśmiéchem—aby dziadunio i ksiądz Maciéj byli świadkami naszego przywitania i... i mojego szczęścia — dodał, całując żonę naprzód w rękę, a potém w czoło.

Zuzia objęła białemi ramiony siwą głowę i przycisnęła do piersi.

— Niedobry jesteś — rzekła, całując go — coraz więcéj się rozpuszczasz; uwiążę cię na sznureczku u siebie.

Ksiądz Maciéj z największą trwogą patrzył w oczy starego Dębicza, bo zdawało się mu, że major i Zuzanna o wszystkiém już wiedzą. Pot wystąpił na jego czoło, nie mógł sobie darować swojéj nierozsądnéj popędliwości. Do tego stary Dębicz tak dziwnym na niego patrzył wzrokiem, tak jakoś dziwnie się uśmiéchał i tak widocznie szydził z jego przywidzeń nieszczęsnych, że biédny ksiądz Maciéj pokornie głowę schylił, w piersi się nieznacznie uderzył i szepnął:

— *Peccavi!*

Ani major, ani Zuzanna nie widzieli téj szczególnéj skruchy księdza Macieja, bo byli zbyt zajęci wzajemnemi pieszczotami. Poczciwy major nie mógł się napatrzyć na swoję młodą żonę. Ściskał jéj ręce i całował, przykładał je do piersi, gdzie mu serce tak gło-

śno biło! A Zuzanna patrzyła z anielską słodyczą w twarz męża i całowała z dziecięcą pieszczotą jego siwe włosy. Stary Dębicz wyglądał z rozjaśnioném obliczem jak tryumfator rzymski; a biédny ksiądz Maciéj z pokorą błądzącego człowieka pochylił głowę, widząc w tém wszystkiém zasłużoną karę swoję.

Gdyby ksiądz Maciéj uważnie na kochające się małżeństwo był patrzył; gdyby przyćmiony wiekiem wzrok jego dozwolił mu był śledzić na ich twarzach odcienia uczuć, które w téj chwili w ich sercach się paliły: ujrzałby może coś, coby na poparcie jego przywidzeń złowieszczych mówić mogło. W pieszczotach kobiéty było coś gorączkowego, co nienaturalny stan jéj duszy malowało. Chwytała męża tak nagle za ręce, z takim niepokojem cisnęła głowę jego do piersi, jakby się czegoś lękała, jakby go od niéj jakaś niewidoma odrywała siła. I taki pośpiech, taka dziwna gwałtowność była w jéj pieszczotach, jakoby te chwile były policzone, a wkrótce miała nastąpić godzina, w któréj ze wstrętem tę głowę od siebie odepchnie... A nawet major był dzisiaj w stanie nienaturalnym. Jego oczy biegały szybko i niepewnie; kilka razy zamiast czoła Zuzanny pocałował klapę swego surduta i tak silnie trzymał żonę za ręce, jakby jakiś ciężar niewidomy ciągnął go w przepaść, nad którą właśnie oboje stali.

Ale ksiądz Maciéj nic z tego wszystkiego nie widział. W sercu czuł gorzkie wyrzuty, że myślą bezbożną grzészył, i ze skruchą winowajcy patrzył na starego Dębicza, który coraz więcéj tryumfować się zdawał nad poczciwym proboszczem.

Wreszcie usiadł major na krzesło, a Zuzanna obok staruszka na swoim taboreciku. Major począł coś opowiadać, a żona jego ułożywszy włóczkę w różne stopnie barw na kolanach, podniosła oczy i z takiém zajęciem patrzyła w twarz opowiadającego, jakby po długim czasie upragnionego oglądała kochanka.

Major opowiadał, że był w Dąbczynie u Jerzego, który już się miał lepiéj; że tam przyszedł także i hrabia Leon i tyle nowych gazet przyniósł z sobą, że aż serce się radowało. Nie mógł poczciwy żołnierz księcia Józefa przenieść na sercu, aby z wyczytanych w gazetach wiadomości nie udzielił czegoś szanownemu zgromadzeniu. Mówił więc széroko i z nadzwyczajnym zapałem o nieporozumieniach w Chinach i buntach na wyspie Korsyce, o powstaniu jednego plemienia Kabylów przeciw załodze francuzkiéj, o niebezpiecznéj chorobie cesarza Soulouque i królowéj wysp maryańskich, a dołączywszy do tego mimochodem krótki rys ostatnich zajść parlamentarnych w Anglii i nieporozumień ministra z królową hiszpańską, tak hazardowne począł ztąd czynić wnioski, i tak oczywistą wyprowadził z tego wojnę całego świata, że każdy inny słuchacz byłby w jego słowach dostrzegł coś gorączkowego, co go tam gdzieś na dnie serca paliło. Ale ksiądz Maciéj tylko jedném słuchał uchem, a stary Dębicz nacieszywszy się tryumfem, patrzył ukradkiem na portret swojéj babki, któréj twarz smutna i surowa zdawała się marszczyć brwi i zaciskać usta. Major miał więc wyborną sposobność pływania po pełném morzu najhazardowniejszych kombinacyj politycznych; nikt bowiem nie dostrzegł owéj tajnéj myśli, która go na to morze pę-

dziła, porywając go coraz daléj w olbrzymie swoje objęcia.

Wreszcie począł się wyczerpywać przedmiot rozmowy, bo chociaż major na wszystkich cztérech częściach świata pożogę wojny powszechnéj rozniecił, gdy mu jednak żaden sukurs ani ze strony starego Dębicza, ani księdza Macieja w pomoc nie przyszedł, ucichła jakoś wrzawa wojenna, a w izdebce staruszka zaczęło się już robić cicho. I ksiądz Maciéj z wielką ostentacyą na zégarek popatrzył i na drogę należycie tabakierkę zakręcił, gdy nagle od dziedzińca zaszedł ich jakiś szmer głuchy, podobny do licznych głosów ludzkich.

Major pośpieszył na dziedziniec, aby się czegoś dowiedzieć i pozostałych w izdebce staruszka uspokoić. Ale to właśnie niemałe było zadanie. Na dziedzińcu stało bowiem kilkunastu ludzi i z takim zapałem podawano sobie jakieś dziwne wieści do ucha, że trudno było majorowi dla siebie coś z tych wieści zachwycić.

W samym środku stał Mietlica i z wielkim zajęciem opowiadał coś staremu kucharzowi. Klucznica zaś przysięgała się na swoję uczciwość, że przed chwilą wcale inaczéj opowiadał jéj całe zdarzenie stary ekonom, i że ani słówka nie opuściła, powtórzywszy to wszystko staremu Jędrzejowi, do którego miała szczególne zaufanie. Jędrzéj znowu połączył dwa opowiadania w jedno i tak je zagmatwał, że ani klucznica, ani stary ekonom nie przyznali się do tego, aby mu coś opowiadać mieli. Słowem, rozgardyasz był tak wielki między dworską służbą i czeladzią, że wiele upłynęło

czasu, nim major mógł dostać języka o zaszłém wydarzeniu.

Okazało się, że Mietlica wpadł piérwszy z dziwną wieścią na dziedziniec. Uchwyciwszy zaraz przy furtce starą klucznicę, opowiedział jéj na prędce, że przed chwilą widział jakiegoś jeźdźca na czarnym koniu, który przesadziwszy płot ogrodu, wpadł między klomby i znikł jak kamfora. Trafiwszy kilka kroków daléj na Wojciecha, stangreta, powtórzył mu to opowiadanie z tym dodatkiem, że nie tylko koń, ale i jeździec był czarny jak węgiel i coś za nim cuchnęło jak smoła. Zeszedłszy się daléj z Mateuszem, starym lokajem, dodał do tego, co mówił Wojciechowi, jeszcze tę drobnostkę, że jeździec miał nogi podobne do capa, zakończone długiemi pazurami, których zamiast ostrogi używał. Kucharz, który najpóźniéj przyszedł, usłyszał jeszcze do tego wszystkiego, że jeździec z gęby wyrzucał palące się węgle i kwiczał jak wieprz. A w końcu, gdy jeszcze kilku parobków z piekarni wyszło i wszyscy w koło opowiadacza uszykowali się, wpadł stary wiarus w taki ferwor opowiadania, że swojéj i tak już gorącéj wyobraźni zupełnie wodze popuścił i niestworzone opowiadał im rzeczy. Według ostatniego waryantu jego powieści, miał ten czarny jeździec przez klomby jak ptak przeleciéć, a wpadłszy na wody stawu, suchą nogą na drugą stronę przejechał. Tylko pod ognistemi kopytami konia woda nieco syczała. Potém nie zapomniał dodać, że to wszystko dzieje się z rozkazu Boga, który mści się za biédnego mieszczanina, i że ten czarny jeździéc zapewnie burmistrza z Dąbczyna z sobą do piekła weźmie. A wszystko to mówił Mietlica w najświętszém przekonaniu, że

mówi prawdę, bo w zapale opowiadania sam w końcu w swoję powieść uwierzył.

Zebrawszy więc tę powieść z różnemi waryantami, wrócił major do izdebki, gdzie nań niecierpliwie czekano, a gdy o czarnym jeźdźcu na czarnym koniu mówić zaczął, nachyliła się szybko Zuzanna do swojéj robótki i ułożoną według barwy włóczkę przez niezręczność pomieszała. Ręce jéj zadrżały, na twarzy znacznie zbladła. Ale wkrótce uspokoiła się, a układając napowrót włóczkę w różne odcienia barw, rzekła z pogodą na twarzy:

— Stary Jakób ciągle miéwa teraz przywidzenia. Od czasu jak zégarmistrza, Wojnę, z którym był w ścisłéj przyjaźni, do więzienia wsadzono, stracił biédny rozum i widzi rzeczy, o których innym ani się śni. Dobrze byś zrobił, kochany Tadeuszu, abyś mu zakazał pleść czeladzi podobne androny, bo ztąd powstają tylko baśnie i zabobony.

Majorowa mówiła to z nadzwyczajnym spokojem, układając z największą skrupulatnością odcienia włóczki. Stary Dębicz był tego samego zdania, co i Zuzanna, a ksiądz Maciéj obiecał w następującą niedzielę powiedzieć kazanie w téj materyi i staremu gadule dobrze za to rogów przytrzéć. Major zaś prosił za Mietlicą, który nie czynił tego w złéj chęci, tylko snać mu się coś przywidziało.

I tak zakończono dzisiaj pogadankę serdecznem uściśnieniem, a ksiądz Maciéj z taką pokorą się żegnał, jakby największym był winowajcą. Idąc do plebanii wzdłuż grobli ponad stawem, łajał siebie głośno za swoje głupstwo, które był popełnił, poszedłszy za jakiémś fałszywem natchnieniem. A mając jeszcze

przed oczyma obraz szczęścia, który przed chwilą widział w domku Dębicza, nie spostrzegł wcale, że ten sam czarny jeździec, o którym opowiadał Mietlica, tuż przed nim groblę i fosę jednym skokiem przesadził i gdzieś w stawie jak kamień utonął.

II.

Następnéj niedzieli miał ksiądz Maciéj długie kazanie o fałszywych przywidzeniach. Wyliczał wszystkie złe skutki, które ztąd na lud boży i jego wiarę spadają, i zbyt często wskazywał ręką na obraz Przemienienia Pańskiego, pod którym stał ekonom.

Mimo wszelkiéj eruducyi, którą w to kazanie był włożył, jakoś nie szły mu w ład cytaty rozdziałów i wierszów pisma świętego, imiona ewangelistów często mu się mieszały, nie mówiąc już o listach ś. Pawła, pisanych do różnych nacyj i kościołów.

Ksiądz Maciéj bowiem mówił dzisiaj więcéj z obowiązku, jak z wewnętrznego swego przekonania. Mimo odbytéj pokuty, jaką sobie był wyznaczył za nieszczęsną popędliwość swoję, słyszał jednak ustawicznie, że mu coś szepcze do ucha; widział rzeczy, które z każdym dniem więcéj utwierdzały go w jego przeczuciach złowrogich. A nie mogąc wreszcie ani modlitwą, ani jałmużną odpędzić od siebie tych mar natrętnych, które mu dniem i nocą przed oczyma stawa-

ły, uwierzył był znowu w swoje dziwne natchnienie, które mu czuwać kazało nad duszami, jego opiece powierzonemi.

I tak znowu powoli rosła w jego sercu trwoga o pokój i szczęście białego dworku, w którym tyle przyjemnych chwil życia z mieszkańcami przepędził. Ale nie chcąc tym razem grzeszyć popędliwością, jak to przed kilkoma dniami był uczynił, rozebrał sobie dobrze w głowie, jak w téj mierze postąpić trzeba.

Chodził więc co dnia na poobiednie „spiritualia“ i pilnie wszystkich obserwował. Stary Dębicz był tak spokojny co do szczęścia Zuzi, że nawet nigdy nie przypomniał księdzu Maciejowi jego nieszczęsnego powątpiewania. I ksiądz Maciéj był z tego bardzo kontent, bo zawsze ów wieczór był dla niego nieprzyjemném wspomnieniem.

Tymczasem w zgromadzeniu „spiritualistów“ zachodziła z każdym dniem widoczniejsza zmiana. Dębicz mówił wiele o grobie; kazał nawet w grobowcu wybić nową framugę między piérwszym i ostatnim Dębiczem, i dla siebie ją przygotować.

Major z każdym dniem stawał się młodszym i ruchliwszym. Ani chwili nie mógł wysiedzieć na jedném miejscu — jakaś gorączka paliła go wewnątrz. Marzył jak młodzieniec o dniu jutrzejszym, a gdy ten minął, nie spełniwszy jego nadziei, major odkładał swoje ekspektoracye na dzień następny. Gazety już z ręki nie wypuścił, a gdy jaki celnik w Sycylii do przemytnika wystrzelił i do tego jeszcze spudłował, major widział w tém iskrę pożogi, która lada dzień zajmie świat cały z końca do końca! Wreszcie tak mu jakoś obmierzł powolny i prozaiczny bieg świata, de-

baty parlamentarne tak go już nudziły, a konjunktury polityczne tak długiego do sprawdzenia wymagały czasu, że począł wierzyć w jakieś nadzwyczajne, nieprzewidziane wypadki, w siły nadnaturalne, których człowiek do swoich celów użyć może, i w ukrytych demonów, którzy w ostatecznym razie mogą ludziom dopomódz. I tak bogobojny, stary żołnierz, nasłuchawszy się na tych „spiritualiach“ najrozmaitszych pism ojców kościoła, zaszedł najprostszą drogą do jakiéjś wiary pogańskiéj, która go od dziennéj oderwała pracy i nadzwyczajnym zdarzeniom kazała mu poruczać wszelkie swoje nadzieje. Ta nowa wiara poczciwego majora doszła wkrótce do tego, że pewnéj nocy samowtór z Mietlicą, który z tęsknoty za biednym zégarmistrzem już na piękne bzika dostał, rozkopał w ogrodzie gruzy pałacyska, szukając tam ukrytego skarbu!

Ksiądz Maciéj widział to gorączkowe usposobienie majora i przypisywał je niepewności, która szarpie jego poczciwe serce na widok żony, oddalającéj się z każdym dniem sercem od niego. Ta zmiana majora utwierdziła go w jego przeczuciach fatalnych.

Zuzanna zaś była na pozór spokojną. Rzadko kiedy się roześmiała, a prawie zawsze miała oczy od łez czérwone. Twarz jéj pobladła, usta zbielały i jasno było, że jakiś robak toczy jéj młode serce. Nawet domowe zatrudnienia, które niegdyś jedyną były dla niéj rozrywką, nudziły ją teraz widocznie i coraz więcéj od nich się uchylała. Przy „spirytualiach“ siedziała smutna i zamyślona, i widać było po jéj twarzy, że wiele cierpi.

Wszystko to widział ksiądz Maciéj, ale bynajmniéj się tém jeszcze nie trwożył. Dziwne miał on

jakieś doświadczenia serca ludzkiego z pięćdziesięcioletniéj swojéj praktyki w konfesyonale. Coraz głębiéj rysujący się na twarzy smutek Zuzanny, który ją z każdym dniem więcéj pożérał, cieszył go widocznie, a gdy ją ujrzał z zapłakanemi oczyma, uderzył z akcentem palcami po tabakierce i uśmiéchał się nieznacznie.

Razu jednego nawet, gdy mu zasmucony major na ganku powiedział, że jego Zuzieńka dzisiaj nagle zasłabła, ksiądz Maciéj puknął w tabakierkę z widoczną uciechą i rzekł bez wszelkiéj ogródki zdziwionemu mężowi.

— I owszém, niech będzie chorą!

Za kilka dni przyszedł ksiądz Maciéj jak zwykle na poobiedne „spiritualia“. Zaraz w ganku przywitał go major serdecznym uściskiem i szepnął mu do ucha, że dzisiaj jest szczęśliwszym, niżeli kiedykolwiek. Zuzanna bowiem jest dzisiaj weselszą, a nawet wesołe melodye grała na klawikorcie.

Ksiądz Maciéj na to nic nie odpowiedział, tylko zakręcił tabakierkę aż zaskrzypiała. Skwapliwie wszedł do izdebki starego Dębicza. Na jego twarzy malował się jakiś przestrach.

— Otóż i w mglistych dniach smutku daje nam Bóg dnie pogodne — rzekł do niego zaraz na wstępie stary Dębicz, którego twarz jaśniała dzisiaj nadzwyczajną pogodą.

Ksiądz Maciéj zaczął coś mówić o miłosierdziu bożém, ale jakoś wnet język mu się poplątał i zamilkł.

— A wiész, księże Macieju mówił daléj staruszek — przez kogo nam Bóg ten piękny dzień dzisiaj daje? Oto przez naszego anioła stróża, jak niegdyś na-

zwałeś Zuzię. Od kilku tygodni cierpiała jakąś niemoc duszy; dzisiaj przyszła do siebie i jest znowu wesołą i świéci nam w domu pogodą duszy swojéj, aż nam wszystkim i jaśniéj i cieplej.

Ksiądz Maciéj w widocznym był kłopocie, posuwał się na krześle, któremu dzisiaj nie mógł znaléźć równowagi.

W tém gdzieś z ogrodu ozwał się piękny, wesoły głos Zuzanny. Kończyła zwrotkę jakiéjś wesołéj piosenki.

Niemiłe wrażenie sprawił ten głos na księdzu Macieju.

Major wszedł z cicha do pokoju. Położywszy palce na ustach na znak milczenia, wskazał drugą ręką do ogrodu, zkąd było słychać nucącą Zuzannę. Szczęście malowało się na jego twarzy.

— Zuzienka nuci dzisiaj dzień cały — rzekł po chwili—i jest tak przy dobréj fantazyi, jak ją już dawno nie widziałem. Jest to dla mnie rozkosz prawdziwa przy wszelkich moich utrapieniach.

— Nie obrażaj Boga, Tadeuszu!—twoje utrapienia są urojone, a szczęście twoje jest rzeczywiste. Zuzia kocha cię i jest szczęśliwą, czegóż ci więcéj potrzeba?

Mówiąc to, spojrzał staruszek na księdza Macieja, przypominając mu tym wzrokiem jego dziwne przywidzenia. Ale ksiądz Maciéj był dzisiaj jakoś w tak kwaśnym humorze, że na to spojrzenie ani zważał, ani nawet nie widział, jak smutno spojrzał major na starego Dębicza, gdy mu ten o jego utrapieniach wspomniał.

W tém weszła Zuzanna. We włosach miała

prześliczną kamelię, czego piérwéj nigdy prawie u niéj nie widziano. Nawet staranniéj była ubrana. Twarz jéj zarumieniła się, wyraz szczęścia i zadowolenia malował się w jéj oczach.

I z taką dziécięcą pustotą weszła do pokoju, tak serdecznie witała się z wszystkimi, księdzu Maciejowi tyle dowcipnych powiedziała żarcików, że stary Dębicz i major z zachwyceniem wpatrywali się w jéj piękną twarzyczkę, na któréj dzisiaj najjaśniejsze igrały kolory. Widać było, że serce młodéj kobiéty przepełniło się jakąś nadzwyczajną rozkoszą, jéj ramiona otwierały się do objęcia całego świata; czuła jakiś nadmiar szczęścia, którém chciała się podzielić z całym światem.

Ksiądz Maciéj tylko strasznie posmutniał. Przewracał tabakierkę to na tę, to na ową stronę i milczał.

— Kochana Zuzieńko—ozwał się stary Dębicz—patrzno drogie dziécię na księdza Macieja! Zazdrości nam téj pogodnéj chwili, któréj właśnie używamy i zachmurzył się, gotując pewnie dla nas jakąś perorę. Rozweselasz nas wszystkich swoim humorem, spróbuj-że téj sztuki i na księdzu Macieju!

— Jakto, księże Macieju — przemówiła dziwnie brzmiącym głosem Zuzanna—to dla drugich są recepty, a dla siebie nie ma? Kilka dni temu, gdym była smutną, mówił ksiądz Maciéj, że wesołości nie wzbrania pismo święte, że i przenajświętsza rodzina cieszyła się na godach w Chanaan...

— Zaproszeni na gody powinni miéć szaty świąteczne—odparł sentencyonalnie ksiądz Maciéj—a jam *może nie* godzien—dodał prędko, aby téj aluzyi wszyscy *nie* zrozumieli.

I tak mimo wszelkich usiłowań Zuzanny nie mógł się rozweselić ksiądz Maciéj, a gdy mu już dłużéj nie podobna było wytrzymać, zmyślił ból głowy i przed czasem towarzystwo opuścił.

Spory kawał drogi już uszedł, gdy nagle spostrzegł, że miał głową odkrytą, a kapelusz niósł w ręku. Jakaś bolesna myśl owładnęła całe jego serce. Wyszedłszy na groblę stawu, obrócił się do białego dworku, który jak młody psotnik skrył się przed nim między lipy i kasztany, a tylko przez gałęzie i liście mrugał do niego. A taka cisza, taki spokój był nad tym białym dworkiem! Mógłbyś słyszéć aniołów w niebie, biorących błogosławieństwo z rąk Boga dla ludzi i śpieszących z niém na ziemię...

I ksiądz Maciéj wyciągnął rękę i pobłogosławił mieszkańcom tego dworku — nie, on był w téj chwili egzorcystą, zażegnywał burzę nad nim wiszącą!...

I szybko zwrócił się na drogę do plebanii, do swojéj samotnéj izdebki.

Piérwszą myślą, gdy się ujrzał w swojéj izdebce, był brewiarz i modlitwa. Jego zasmucona dusza pragnęła rozmowy z Bogiem. Wziął więc do ręki dobrze znajomą jego książkę, towarzyszkę swego życia, z którą mógłby już złote obchodzić wesele, i począł stosownéj szukać modlitwy. Ale tym razem zawiodła go jedyna towarzyszka życia. Przewracał i przewracał kartki, ale znajoméj mu dobrze modlitwy nie mógł znaléźć. Wreszcie poprzestał na innéj, podobnéj, a założywszy okulary, począł ją czytać z uwagą i nabożeństwem. I tu mu się jakoś nie kleiło. Przeczytawszy całą stronę, nie wiedział w końcu sam, co przeczytał. Widział przed sobą wprawdzie czarne litery i czerwo-

ne inicyały, ale sensu nie mógł złożyć. Coś mu latało między książką a oczyma i zasłaniało ustawicznie modlitwę. Odłożył brewiarz, wziął Tomasza à Kempis, ale i tu ten sam nieład w literach i sensie.

I pomyślał sobie poczciwy kapłan:

— Snać nie miłą jest Bogu modlitwa moja w téj chwili. On nie chce, żebym się modlił, gdy potrzeba myśléć nad ratunkiem.

I odłożywszy wszystkie książki na bok, usiadł w dużem krześle, aby swobodnie wszystko obmyśléć, co w takim razie czynić wypada, aby znowu przez popędliwość jakiego głupstwa nie zrobić. Ale nie lada było to zadanie. Ksiądz Maciéj myślał i myślał, a jakoś do żadnego nie mógł przyjść rezultatu.

Wreszcie począł jego myślom przeszkadzać pająk, który sobie spokojnie siatkę naprawiał. Ksiądz Maciéj obrócił się, a tu wpadło mu okno w same oczy. Podniósł głowę do góry i patrzył na powałę. Jedna sztukowana belka gniewała go i drażniła ustawicznie. Wstał i począł się przechadzać. Ale tu wszystko jakby się sprzysięgło na niego: krzesła stały na saméj drodze, na stole brzęczała butelka z wodą, a podłoga tak nieznośnie była nierówną, że ksiądz Maciéj nie mógł na żaden sposób swoich myśli w kupie utrzymać.

Wziął kapelusz i wyszedł do ogródka.

Ogródek plebana ciągnął się długim, wązkim wygonem ponad brzegiem stawu. Zasadzony był wprawdzie drzewami owocowemi, ale mimo to można było z niego daleki miéć widok. Drzewa bowiem sadził sam ksiądz Maciéj w tak symetrycznych liniach, że na cztéry części świata można było pomiędzy niemi daleko widziéć. Na samym końcu ogrodu była mała gloryetka,

zkąd był daleki widok na staw i wysepkę z ruinami klasztoru bożogrobców. Na dębowéj ławeczce lubił tutaj często ksiądz Maciéj siadywać i utrzymywał, że najlepsze kazania, które kiedy powiedział, układał sobie na téj ławeczce, patrząc daleko przed siebie po nad sine wody stawu i błękitną gazą obleczone ruiny klasztoru.

Wyszedłszy więc z izdebki i rozmyślając nad tak ważną rzeczą, zbliżał się już z nałogu ksiądz Maciéj do ulubionéj swojéj ławeczki, a doszedłszy do niéj, usiadł śpiesznie, nie zdmuchnąwszy wprzód prochu, jak to zawsze zwykł był czynić.

Słońce zbliżało się już dobrze ku zachodowi. Dzień był jesienny, lekki wietrzyk szeleścił po żółtych, uschłych liściach, ale słońce grzało jeszcze przyjemnie. Tam daleko snuli się pilni robotnicy po zagonach; jedni zbiérali ostatnie snopy bożych darów, a inni rzucali już nasienie na rok przyszły. Ochocze pieśni rozlegały się do koła, a dźwięk dzwonów pasącéj się się trzody wtórował im z daleka. Jakaś piękna melodya była w całéj naturze. Tylko jeden ciemniejszy punkt malował się czarno na błękitnem niebie — były to lipy i kasztany przy białym dworku.

Ksiądz Maciéj myślał właśnie o tym białym dworku, myślał o jego mieszkańcach, którzy dzisiaj byli tak weseli, tak szczęśliwi! A on właśnie w téj wesołości, w tém szczęściu słyszał złowrogi śmiéch szatana, który po długiéj walce zwyciężył. Ale z drugiéj strony trapiła go znowu ta myśl, któréj rad udzielał ucha, że to wszystko może być tylko przywidzenie, złudzenie!

I gdy tak walcząc ze swemi myślami, coraz wię-

cej przychylał się do tego przekonania, że jest za stary dla świata dzisiejszego, nie pojmuje go i napróżno fałszywem trapi się przywidzeniem — nagle tentent konia wyrwał go z zamyślenia.

Spojrzał na drugi brzeg stawu, którędy polna prowadziła droga, i zadziwił się nie mało, widząc pomykającego szybko czarnego konia z jeźdzcem, o którym tyle hałasu narobił owego wieczoru stary ekonom.

Ksiądz Maciéj wytężył wzrok, przyłożył rękę do czoła, a widząc szalone, nienaturalne skoki czarnego rumaka, począł już był na seryo wierzyć, że zły duch mu się przywidział; gdy jeździec zwrócił się nagle twarzą na drugi brzeg stawu, jakby kogoś tam szukał oczyma, a ksiądz Maciéj z niemałym przestrachem poznał w nim—hrabiego Leona.

Przestrach opanował starego kapłana, pot wystąpił mu na czoło. Széroko otwartemi oczyma prowadził jeźdzca po zakrętach drogi, póki mu tenże nie znikł zupełnie za drzewami, otaczającemi ruiny klasztoru bożogrobców.

Ruiny te, jak już powiedzieliśmy, były na małéj wysepce, do któréj z tamtéj strony był przystęp.

Ksiądz Maciéj utopił wzrok w téj ciemnéj grupie drzew, czerniącéj się nad błękitném zwierciadłem stawu, i sam nie wiedział, o czém właściwie w téj chwili myślał, gdy na jasném tle fali przezroczystéj pojawiło się przed jego oczyma jakieś nowe widmo. Z ciemnych zarośli ogrodu, który od białego dworku ciągnął się aż po brzeg stawu, wymknęła się mała łódka, na któréj siedziała jakaś postać kobiéca.

Po jasnym kolorze sukni poznał ksiądz Maciéj Zuzannę.

Słońce zniżyło się już do ziemi. Biała mgła wieczorna spuszczała się na wody jeziora, a mała wysepka brała powoli na siebie błękitną, nieprzejrzystą szatę, aby się przed ludzkiém zasłonić okiem. Tylko jedna gwiazdka wymknęła się śmiało naprzód i ciekawie patrzyła między drzewa, otaczające ruiny klasztoru.

Ksiądz Maciéj nic już przed sobą nie widział. Mgły, osiadające na wodach jeziora, kłębiły się przed nim w jakieś dziwne, straszne kształty: widział olbrzymów, idących po fali suchą stopą, słyszał ich dziwne, piekielne głosy. A tam za drzewa ogrodu, z gorejącą twarzą zapada słońce, świadek boży, i niesie Stwórcy dzienny rachunek dobrych i złych spraw ludzkich.

W tém ozwał się dzwonek na „Ave Maria“. Ksiądz Maciéj ocknął się jakby z jakiego snu strasznego, padł na kolana i z niepraktykowaną dotąd gorącością pozdrowił przeczystą Bogarodzicę, opiekunkę serc młodych, pragnieniem miłości gorejących.

A gdy powstał, była już noc ciemna. Tylko tam w dali, w oknach białego dworku błyszczały światła i tak spokojnie mrugały do niego, jakby najszczęśliwszym przyświecały mieszkańcom. Ksiądz Maciéj spojrzał jeszcze raz w okna tego dworku, którego mieszkańcy tak byli spokojni i szczęśliwi, gdzie przed chwilą tak cieszono się wesołością młodéj kobiéty i jéj uśmiéchem, w którym on przeczuwał śmiéch strąconego anioła!

Smutny i zgarbiony, jakby jaki ogromny ciężar spoczął na barkach jego, wrócił ksiądz Maciéj do samotnéj swojéj izdebki.

Przez całą noc nie mógł oczu zamknąć sędziwy kapłan. Tyle różnych myśli, jakto teraz sobie postąpić należy, przychodziło mu do głowy, a wszystkie te myśli tak jakoś niestosowne wydawały się mu po bliższém rozpatrzeniu, że zdawszy wszystko na wolę bożą, przedsięwziął przespać noc bez żadnego powziętego postanowienia, a nazajutrz rano spodziéwał się, że w świeżéj głowie łacniéj mu będzie wynaléźć sposób przyzwoity postąpienia sobie w tak trudnéj sprawie.

Ale sen uciekał od niego jak ptak spłoszony. A gdy nad ranem zasypiać począł, jakieś straszne widmo przestraszyło go. Równemi nogami stanął na ziemi, a zapaliwszy świécę, wziął się do brewiarza.

Widział we śnie ten biały, spokojny dworek. Lipy i kasztany tuliły go między sobą, boża gwiazda świéciła nad nim. W tém nadciągła chmura czarna, z jéj piersi wyleciał grot piorunu i roztrzaskał ten biały domek i powalił chroniące go lipy i kasztany. Z grobowca Dębiczów wyszły jakieś olbrzymie, w śmiertelne całuny zawinięte postacie i wzięły staruszka ze sobą do swoich ciemnych, spróchniałych trumien! Major stał pode drzwiami grobowca i płakał, ale go tam nie wpuszczono. W ziemi nieświęconéj, jak poganin lub samobójca, wykopał sobie grób i legł... A Zuzanna ubrana w kwiaty, śpiéwała jakieś dziwne pieśni...

Odczytawszy modlitwę, uspokoił się po tym śnie strasznym ksiądz Maciéj, a że już świtać zaczęło, począł na seryo myśléć o tém, co mu jako kapłanowi i przyjacielowi teraz czynić wypada.

Najprzód wertując wszystkie swoje doświadczenia, zgodził się na to, że błądzącego człowieka przedewszystkiém nie trzeba poniżać we własnych oczach je-

go. Trzeba przed nim skrzętnie naprawić ścieżkę żywota, aby sam nią na bity gościniec wyszedł; ale nie trzeba go zawracać w chwili najciemniejszéj jego ślepoty. Zawrót tak nagły byłby tylko nową do błędu podnietą. Saméj więc Zuzannie nie chciał nic mówić.

Ale teraz nowe przychodziły trudności.

Stary Dębicz, stojący nad grobem staruszek, nie mógł także wchodzić w rachubę księdza Macieja. Sama wieść mogłaby go zabić. On tak wierzył w szczęście Zuzanny, wierzył, że to szczęście jedynie jego zasługą! a ta wiara utrzymywała go tylko przy życiu. Bez téj wiary rozpadłyby się stare kości jego, jak kości szkieletu, gdy im wiążący je drut odbierzesz. Stary Dębicz nie mógł o niczém wiedzieć.

Miałże więc wprost udać się do męża Zuzanny? Miałże przyjść do tego szczęśliwego i poczciwego człowieka i rzeknąć:

— Oto szczęście twoje jest marną ułudą! Żona nie kocha cię, stary człowieku, jéj serce przylgnęło do innego! Oto w téj chwili, gdy się nią zachwycasz, oni tam sami... tam złorzeczą tobie, liczą dni twoje, jak długo będziesz im jeszcze zawadzał na tym świecie!...

Miałże to wszystko powiedzieć człowiekowi, którego kochał jak brata, któremu radby nieba przychylił za dobre, poczciwe serce jego i za żywot pełen cnót obywatelskich!

A przecież rozmyśliwszy tę rzecz dokładnie, był to jedyny środek, którym mógł odwrócić daleko większe nieszczęście. Najprzód zdawało mu się, że lepiéj będzie przygotować człowieka na cios niechybny, niżeli miałby go trafić w chwili, gdy tenże ani się go spodziéwał. Powtóre, ksiądz Maciéj sądził, że może ape-

lować do wyrozumiałości majora, który powinien był naprzód przewidzieć możliwą tę katastrofę, gdy z Zuzanną, młodszą o trzy części swego wieku, przystępował do ołtarza. Apelacya ta nie gruntowała się wprawdzie ani na bozkich, ani na ludzkich przepisach, mogła jednak posłużyć do podparcia upadającego pod nieszczęściem człowieka i skłonić go do pobłażania i ratowania z pobłażaniem upadającéj.

I ta myśl tak się podobała księdzu Maciejowi, że licząc jeszcze na swoję elokwencyą, był pewny, iż całą sprawę jak najlepiéj poprowadzi. A zacierając ręce, słyszał już w duchu radujących się w niebie aniołów, o których napisano, że się cieszą z poprawy grzesznych ludzi.

Nie chciał jednak tak nagle do tego ważnego przystąpić dzieła, jak to był przed tygodniem uczynił. Nie zawadzi jeszcze kilka godzin pomyśléć nad tém, aby miéć potém wszystko pod ręką. Więc przeszedł jeszcze raz w głowie cały możliwy dyalog z nieszczęśliwym mężem i na prędce zanotował sobie cytaty z pisma świętego, jeżeli tego okaże się potrzeba. I żeby już wszystko miéć w porządku, ułożył sobie, o któréj godzinie wyjdzie z plebanii, któremi drzwiami wejdzie do izdebki majora i na którém krześle usiędzie, aby rozmowy jego nie słyszano w sąsiednim pokoju.

Zreasumowawszy to wszystko jeszcze pokrótce, wyszedł do kościołka, aby na intencyą swego powodzenia w tak trudnéj sprawie mszą świętą odprawić.

I tak jakoś pokrzepiony na duchu, powrócił do swojéj izdebki, że w dobry skutek ułożonych kroków swoich święcie uwierzył.

Do tego ważnego aktu naznaczył sobie ksiądz

Maciéj godzinę poobiednią, między drugą a trzecią. Ale już o piérwszéj zaczął się przygotowywać. Wziął nową sutannę i pozapinał ją na wszystkie guziki aż do dołu, bo zdawało mu się, że dla lepszéj impresyi powinien wystąpić z pewną uroczystością. Nawet nowy kapelusz zdjął z kołka, a wygładziwszy włos na nim, włożył go dla spróbowania na głowę. Do tabakierki nasypał świéżéj tabaczki, i tak już cały ubrany, stanął na środku izdebki, aby jeszcze tę godzinkę przeczekać, a tymczasem jeszcze raz wszystko z góry przemyśléć, gdy się nagle drzwi otworzyły i do pokoju wszedł major.

Nie mógł większego zmartwienia zrobić księdzu Maciejowi poczciwy major, jak to, że w téj chwili przyszedł i cały jego plan do góry nogami wywrócił. Ksiądz Maciéj osłupiał, chciał zażyć tabaczki, ale tabakierka wypadła mu z ręki, a wysoko ceniony specyał zmieszał się z prochem. Wszystko się popsuło. Najprzód, była to dopiéro piérwsza godzina, a potém nie działo się to w białym dworku, w izdebce majora, w szerokiém, zielonym safianem wybitém krześle, jak sobie ułożył ksiądz Maciéj.

Ale bądź co bądź, żołniérz na każdém miejscu i o każdym czasie powinien walczyć, gdy tego jest potrzeba, pomyślał sobie ksiądz Maciéj, a wezwawszy Boga na pomoc, zdjął z głowy kapelusz, przywitał gościa i usiadł tuż obok niego.

Major był dzisiaj strasznie zmieniony. Twarz miał bladą, licznemi okrytą zmarszczkami, oczy czérwone, nabrzmiałe, jakby płakał; usta zaciśnięte kurczowo, jakby go wewnątrz szarpał jakiś ból utajony. Ubiór jego był zaniedbany; na czarnéj, pomiętéj cza-

marce były ślady, jakby jéj od wczoraj nie zdjął z siebie. Resztki siwych włosów spadały w nieładzie na kołniérz i jeżyły się za każdym jego oddechem.

Ksiądz Maciéj westchnął i spuścił oczy w ziemię, Widok nieszczęśliwego przyjaciela odbierał mu odwagę i mieszał do reszty i tak bezładne już myśli jego. Czekał na piérwsze słowo majora. Ale gdy major, zamiast coś mówić, wyjął chustkę i do oczu ją przyłożył, jakby łzy nią ociérał, ksiądz Maciéj poczuł z niemałym przestrachem, że i jemu łzy się puściły i jak groch padany na sutannę. Czém prędzéj więc zażył tabaki i otarł oczy, aby ułożonego sobie planu do szczętu nie popsuć.

Jakoż w téj chwili podniósł major oczy, a patrząc w twarz księdza Macieja, rzekł do niego:

— Niech cię to nie dziwi, księże Macieju, że stary żołniérz musi dzisiaj łzy ociérać. Wielkie bowiem nieszczęście zawisło nad głową moją.

Ksiądz Maciéj szybko rozkręcił tabakierkę, wymiótł resztki pozostałéj tabaczki, a ociérając oczy,— odparł:

— Bóg Joba zasmucił i Bóg go pocieszył.

Major spojrzał zdziwiony na proboszcza.

— To wiész o wszystkiém, księże Macieju?—zapytał smutno.

Ksiądz kiwnął głową i westchnął.

Długi czas patrzyli obaj na siebie w milczeniu. Ich serca rozmawiały z sobą, jak serca kochanków. Poczém rzekł major:

— Straszne jest to nieszczęście, a dla mnie tém straszniejsze, że je tak długo znosiłem w milczeniu.

— Więc to już dawno!—podchwycił ksiądz Maciéj z przestrachem na twarzy.

— Dawno, dawno!—westchnął major — a dzisiaj już nie ma ratunku!

— Nie ma ratunku! bluźnisz człowieczel Nie rozpaczaj o boskiém miłosierdziu! — krzyknął ksiądz Maciéj.

Major potrząsł głową i rzekł smutno:

— Nie, księże Macieju, byłoby to grzeszyć zbytniém zaufaniem w miłosierdzie Boga.

Znowu nastąpiło milczenie; ksiądz Maciéj napróżno szukał pociechy dla nieszczęśliwego przyjaciela. Tymczasem przysunął major krzesło swoje bliżéj, wziął go za rękę i zaczął:

— Co się stało, już się odstać nie może. Nie idzie mi w téj chwili o siebie, bom ja na to zasłużył, aby mnie Bóg ukarał, ale trzeba od tego ciosu zasłonić drugich, którzy go bynajmniéj nie przewidują, albo przynajmniéj przygotować ich, aby niespodzianie ich nie zabiłl... O, poczciwy przyjacielu! Gdybyś w téj chwili widział moje serce, ile tam kolców w nie się wpiło!...

— Nie, nie, broń Boże! — przerwał z przestrachem ksiądz Maciéj — Dębicz nie może na teraz nic o tém wiedzieć...

— I Zuzanna!—dodał major, ocierając łzy z oczu.

— I Zuzanna?—powtórzył z zadziwieniem ksiądz Maciéj.

— Tak jest, i Zuzanna—odparł z determinacyą major.—Ta słaba, anielska istota nie zniosłaby tego ciosu.

Ksiądz Maciéj włożył palce do próżnéj tabakier-

ki i koniecznie szukał w niéj tabaki. Posunął krzesełko w tył i wprzód, odkrząknął kilka razy i w rozpaczliwém jakiémś uczuciu wlepił swój wzrok w sztukowaną belkę na powale.

Tymczasem major mówił daléj:

— Otóż przychodzę do ciebie po radę i pociechę. drogi przyjacielu...

— Jaką radę, w czém?—zapytał dosyć obojętnie ksiądz Maciéj, patrząc ciągle na sztukowaną belkę w powale.

— Najprzód, abyś jako kapłan i przyjaciel przygotował ich do tego ciosu... bo ja nie mam odwagi.

— Do jakiego ciosu?—zapytał znowu ksiądz Maciéj z tą samą obojętnością.

— Dziś... jutro... pojutrze tracimy Czarnowody i Radziejewo! — krzyknął major, miotany rozpaczą i niecierpliwością.

Ksiądz Maciéj skoczył do góry, jakby go coś ukąsiło, i rzucił się aż pod okno, jakby sztukowana belka nagle upadła na niego.

— Co mówisz, majorze! — zawołał przestraszony—straciłeś głowę i bredzisz!

— Tak jest w saméj rzeczy! — odparł smutno major.

Biédny proboszcz zapomniał o swoich siedmdziesięciu latach, a załamawszy ręce, począł biegać po izdebce. W głowie mu szumiało, przed oczyma latało wszystko i kręciło się jak w młynie. Wszystko, co sobie ułożył, pomieszało się, a co się zostało, nie było już do zaaplikowania. Jakiś zły duch popsuł mu szyki, a on był dzisiaj tak pewny zwycięztwa!

— Usiądźże, księże Macieju i wysłuchaj mnie— rzekł major—bo niewiele pozostaje nam czasu.

Ksiądz Maciéj postrącał książki z krzesła i usiadł po drugiéj stronie majora. Widząc jak poczciwy proboszcz na samę wiadomość głowę stracił i języka w gębie zapomniał, wyciągnął major rękę do niego i ozwał się ze łzami w oczach:

— Moje nieszczęście przygniata cię, kochany bracie... a jam chciał od ciebie rady i pociechy! Jeźli ty upadasz, któż się z nas ostoi? Cóż się stanie z biédném, wątłém sercem Zuzanny? Ach! ono pęknie z bólu, to serce anielskie, które nas tak kocha!...

— Mów, mów, opowiadaj! — zawołał szybko ksiądz Maciéj z rozpaczliwém wejrzeniem na sztukowaną belkę.

Major otarł oczy, spojrzał w koło siebie, czy ich nikt z obcych nie słucha, i zaczął:

— Abyś całe moje nieszczęście zgłębił, kochany bracie, muszę się w opowiadaniu cofnąć o lat kilkanaście. Urodziłem się w szlacheckim, ale ubogim dworku. Zaledwie piérwszy włos wysypał mi się na twarzy, poszedłem za odgłosem trąby wojennéj, która wówczas po całéj rozlegała się Europie. Pokochałem ten zawód życia i pokochałem marzenia, które ono w nas budziło. Wiész, jak się to wszystko skończyło. Zostałem nagle jak bankrut, któremu firmę z nad progu zdjęto. Ale do mego konia i do mojéj bateryi już przyrosłem duszą, z niemi nie mogłem się rozstać... Ej! gdybyś ty wiedział, drogi bracie, co to u żołnierza znaczy koń jego, a u artylerzysty jego wypróbowana batérya, która go nigdy nie zawiodła!

Ksiądz Maciéj posunął się niecierpliwie na krze-

śle, widząc że żołnierskie wspomnienia majora poczynają go odwodzić od właściwéj materyi. Co spostrzegłszy major, uciął nagle, a po chwili mówił daléj:

— Nie będę cię długo trapił marami mojéj przeszłości. Upłynęło wiele czasu, a jam nie rozstał się z moim koniem i z moją bateryą. Służyło się wraz z swymi i jakoś to nie źle było człowiekowi. Wreszcie potrzeba było rozstać się z swą bateryą, a nawet mundur złożyć. Zapłakałem, pożegnałem się i odszedłem.

Major zamilkł. Snać cisnęła mu się do oka łza, którą jednakże zmusił do odwrotu.

— Na karku było już sporo lat — mówił daléj— w kalécie nie było ani grosza, a żadnego nie umiało się rzemiosła. Poszło się do jednego, drugiego kolegi, przesiedziało się jednę, dwie zimy, ale w końcu jakoś niesmaczne było mi takie życie. Starzy ludzie, co to jaką taką zasługę szanować umieli, pokładli się powoli do grobu, a młode pokolenie zapomniało o trudach starego żołnierza, popychało go łokciami i trącało, jak zwykłego jakiego pieczeniarza. Figury, podobnego co i ja kalibru, zeszły w końcu do tego, że im po dworkach szlacheckich kazano marszałkować, w pałacach błaznować i szambelanować, a na każdym kęsie chléba było napisane: *gratis!* „Ej, mój Boże!—pomyślałem sobie nieraz, patrząc na młokosa, który śpiesząc do swojéj, herbami z trzech stron pomalowanéj karéty, potrącił starego żołnierza,—gdybyś to ty był ze mną pod Berezyną, albo pod Lipskiem, gdzie sam książe Józef przybiegł do mnie...“

Ksiądz Maciéj ruszył się znowu na krześle, a chociaż tego bynajmniéj nie uczynił z braku cierpli-

wości, major jednak nie dokończywszy ostatniego zdania, mówił daléj:

— Otóż wtedy pomyślałem sobie: „Nie będę nikomu siedział na karku, chcę sam na chléb pracować“. Ale co to jest brać się do czegoś człowiekowi, który miał już na karku lat cztérdzieści i kilka, a do tego przez te wszystkie lata lgnął tylko do jednéj myśli i cały w niéj się strawił! Ale bądź co bądź, jakkolwiek to trudno mi przychodziło, postanowiłem jednak wytrwać w raz powziętym zamyśle. W Poznańskiém zaczęto wtedy więcéj myśléć o powiększeniu dochodów z gospodarstwa, bo podatki były wysokie, zastosowane do produkcyi innych ziem pruskich, z któremi nie mogła wytrzymać konkurencyi szlachta polska. Otóż wtedy postawiono mnóstwo gorzelni w Poznańskiém; lada szlachcic sprowadzał maszynę i kotły. I pomyślałem sobie: „Schowam krzyż do kieszeni i będę wódkę pędził.“

Ksiądz Maciéj westchnął, ale się nie ruszył na krześle.

— Z tą myślą i z wszystkiemi memi uczuciami, które jéj towarzyszyły, zwierzyłem się staremu Dębiczowi, który siedząc w Czarnowodach jak zakonnik, z całym światem i tylko ze mną rad rozmawiał. Na to obruszył się stary Dębicz i rzekł do mnie: „Grzeszna myśl, majorze, przyszła ci do głowy; uderz się w usta, które potwarz rzuciły na naród. Włosy zbielały ci na usługach obywatelskich, masz krzyż waleczności, a teraz chcesz z tém wszystkiém iść do kotła i warzyć wódkę, która lud nasz w takiéj trzyma ciemnocie! Zgrzeszyłeś, majorze, zgrzeszyłeś, za co w wielki tydzień musisz się zapisać do kapników i sro-

dze się biczować! — A ja mu na to: „Wszak lepiéj przy kotle stać i coś robić, niżeli cudze kąty wyciérać i krzyż hańbić insynuacyą, że się jest prostym pieczeniarzem!“ — „Jakto,—odparł na to,—czy kraj już nie ma ludzi, którzyby cenili dawne zasługi?“ — A gdy na to ani tak, ani owak odpowiedzieć nie chciałem, patrzył na mnie przez czas niejaki Dębicz, a potém rzekł nagle: „Ożeń się, majorze!“

Ksiądz Maciéj skręcił się na krześle, zawiesił znowu wzrok swój na belce sztukowanéj i westchnął.

— „Bój się Boga bracie,—odpowiedziałem poczciwemu Dębiczowi,—a gdzież mnie, stéranemu żołnierzowi i człowiekowi bez fortuny do żeniaczki! A przecież staréj baby, co to blizką już jest metamorfozy w dyabła, jak mówi Mietlica, stary wachmistrz, a dzisiaj mój sługus, nie wezmę dobrowolnie sobie na kark jak psa wściekłego. Nie pragnę bowiem za życia zostać świętym“.—Dębicz rozśmiał się i rzekł: „No, no, jakoś to będzie. Wyszukam ja młodéj żonki dla ciebie, jeźli ci się koniecznie taka po głowie roi. Mam ja blizką krewnę, gdy podrośnie, zwiążę wam ręce i kwita. Tymczasem zostań u mnie“.

Zdawało się księdzu Maciejowi, że sztukowana belka rozchodzi się i grozi upadkiem. Z taką trwogą patrzył na niego.

— Zrazu myślałem, że stary Dębicz stroi żarty—ciągnął daléj major—a żem sercem do niego przylgnął, więc zostałem, pomagając mu w gospodarstwie. Zuzanna była wtedy jeszcze młodą dziéwczyną, bawiła często w Czarnowodach, bo była sierotą. Ach, księże Macieju, co to za złote dziecko już wtedy było! *Bywało*, iż po całych dniach siedziała przy starym Dę-

biczu, który jéj czytał kroniki i pismo święte, a tak zawsze miała oczęta wzniesione ku niebu, jakby świętą zostać chciała!...

Ksiądz Maciéj przetarł oczy, ale ciągle patrzył na powałę.

— Ani mi w myśli nie było, żeby ten aniołeczek miał kiedy zostać moją żoną!... Otóż razu jednego, gdy ukończywszy nauki, przyjechała do Czarnowód, a stary Dębicz na nogi zaniemógł, zawołał mnie do siebie, do téj saméj izdebki, w któréj dzisiaj mieszka, i rzekł do mnie:—„Tadeuszu, oto twoja żona — bierz ją, Radziejewo i Czarnowody, a ja niech umiéram spokojnie!“... Łzy puściły mi się z oczu, nie wiedziałem sam, co na to powiedzieć... Wierzaj mi, księże Macieju, gdyby mi kto był powiedział: „Weź tę redutę“—ani bym drgnął powieką i poszedłbym za rozkazem. Ale patrząc na tego młodego aniołka, na te śliczne oczęta, z których zaledwie dusza na świat wyjrzała, tak mi markotno zrobiło, tak nogi podemną zadygotały, jakby mnie kto tchórzem podszył!... A ten anioł tak słodko uśmiéchnął się do mnie— a gdy, już sam nie wiém jak się to stało, zgiąłem przed nią kolano i w głos się rozpłakałem, Zuzanna przytuliła głowę moję do piersi i z taką czułością w oczy mi zajrzała, żem omal zmysłów nie postradał!...

Major zamilkł. Świéże jeszcze wspomnienia stanęły mu żywo przed oczy. Twarz jego rozjaśniała się, jakby w téj chwili miał tę całą scenę przed sobą.

Korzystając z téj pauzy ksiądz Maciéj, chciał przy wydarzonéj sposobności przygotować majora do tego, co z nim miał późniéj do pomówienia. Posunąwszy się więc na krzesełku, rzekł:

— I w saméj rzeczy straciłeś zmysły, kochany bracie. Bo czyż to rozum był, w twoim wieku brać takiego aniołka, któremu jeszcze skrzydełka nie wyrosły! Zapewne myślałeś, że mu nigdy nie odrosną! O mój bracie, znam ja kobiétę z konfesyonału! Każda ma te skrzydełka motyla, choćby je jak najlepiéj schowała przed tobą! Dla tego wara od kobiéty, gdy z nią trochę po jéj niebie polatać nie możesz! A gdy myślisz, że jéj wystarczy kuchnia i spiżarnia, że jéj wystarczy szacunek dla ciebie, dla cnót twoich, dla przeszłego twego żywota, toś się srogo omylił. Prędzéj czy późniéj rozwinie ukryte skrzydełka i furknie od ciebie, a wtedy patrząc za nią, możesz machać jak struś skrzydłami, ale nie poleciszl... Otóż grzeszy ten, kto wiedzie ludzi na pokuszenie, przyznając im takie doskonałości, które tylko anieli i święci w niebie posiadać mogą!

Gdy to rzekł, lżéj się zrobiło księdzu Maciejowi na sercu, bo „intra parenthesim“ przygotował już majora do tego, co późniéj nastąpić miało. Ale na nieszczęście jego major mało co z tego słyszał, a jeszcze mniéj zrozumiał. Zajęty wspomnieniem ubiegłego szczęścia swego, patrzył przed siebie, jakby proboszcza wcale nie słuchał.

Musiał jednak coś z tego zachwycić, bo westchnąwszy głęboko, mówił daléj:

— I ja tak zrazu myślałem, kochany bracie, ale wkrótce musiałem uwierzyć w szczęście moje. Zuzia tak mnie wszędzie oczyma szukała i z taką rozkoszą patrzyła na mnie, gdym jéj opowiadał moje przygody wojenne—oczy miała pełne łez, gdym w opowiadaniu przyszedł na jakie niebezpieczeństwo... Słowem, ko-

chała mnie.... i jak to sama tobie wyznała, gdyś nam ręce stułą wiązał, tak i do dziś dnia została wierną przysiędze...

Ksiądz Maciéj włożył palce do próżnéj tabakierki i szukał znowu oczyma sztukowanéj belki na powale.

— Po ślubie zawołał mnie Dębicz do swojéj izdebki i rzekł do mnie: „Dałem ci Zuzienkę, daję ci Radziejewo i Czarnowody. Nie jest to wielki, ale ładny, okrągły mająteczek. Ale słuchaj dobrze, co ci teraz powiém. Dzisiejszy świat idzie nowemi drogami. Może źle idzie, a może ja go nie rozumiém. Są ludzie, którzy wierzą, że doktryny i idee zbawiają narody. Może jest to i prawda, ale dla prawdy dalekiéj nie trzeba nigdy zaniedbać najbliższéj. Oto z każdym rokiem jest nas mniéj w Poznańskiém. Szlachta nasza traci jeden zagon po drugim ziemi ojczystéj, któréj granice znaczyli orężem nasze Bolesławy. Z każdym rokiem garstka ludu polskiego traci dziedzicznego od wieków opiekuna, przechodzi w ręce obce, porzuca wiarę oraz język i obumiéra dla narodu. Już kilka plemion słowiańskich znikło dzisiaj z karty, a dzisiaj już znikają imiona naszych miast i wiosek, nasze dworki i grobowce ojców naszych zamieniają się na stajnie i fabryki! My tutaj stoimy jakby na przedniéj straży ziemi sławiańskiéj, mamyż haniebnie opuścić nasze stanowisko, mamyż zbiédz z ziemi, którą kochamy jak matkę naszę! Tadeuszu! Radziejewo i Czarnowody są to jak piérwsze czaty ziemi naszéj. Gdy byłeś żołnierzem, nie wzięto ci żadnéj reduty. Dziś w Poznańskiém każda wieś nasza, każdy majątek szlachecki, to reduta. Bądź więc dobrym gospodarzem, jak dobrym

byłeś żołnierzem. Niech ja mam pokój, niech mnie ta myśl nie trapi, że w ziemi Dębiczów osiędzie kiedyś jaki kolonista. Ale zważ oraz, że jeźli lekkomyślność jaka to gniazdo Dębiczów odda w ręce obce, a ja jeszcze przy życiu będę, wtedy wnijdę do grobowca ojców moich i tam z nimi w ich ciemnych komnatach mieszkać będę, póki mnie między trumny swoje nie przyjmą! I oto przysięgam w obec nich wszystkich wiszących tutaj na ścianach, że słowa mego nigdy nie cofnę!"

Major zamilkł i załamał ręce, a ksiądz Maciéj schylił się do ziemi i zebrał z niéj prędko szczyptę tabaki.

— I cóż się stało, cóż się daléj stało? — zapytał z wielką niecierpliwością.

— Wejrzawszy w rachunki, okazało się, że nie dosyć warowna była ta nieszczęsna reduta. Były dawne długi i legata, kasa wdów miała kilkanaście tysięcy zanotowane, a z Klugiem, późniéj z Lewinem, nie można było dojść do końca. Procenta zaległy, w polu nie było czém robić. Z każdym dniem przychodziły do mnie różne pretensye, bo poczciwy Dębicz rad był wszystkim. Ale Dębiczowi nic o tém nie mówiłem. Zakasałem ręce i pomyślałem sobie: Bóg da, jakoś to będzie, na co mu koniec życia kwasić. Oboje kochaliśmy naszego dobrodzieja, który śród nas jakby odżył. Miał on już za młodu pasyą składania wierszy. Otóż uspokoiwszy się, zamknął się w swej izdebce, otoczył się pamiątkami ojczystemi, rozłożył książki i postanowił sobie opisać wiérszem żywot i rządy króla Stefana Batorego, dla którego miał szczególną predylekcyą. Ach, kochany bracie, było go widzieć, jak szczęśliwym on się czuł w téj lichéj izdebce swojéj, jak

nas usilnie zaklinał, abyśmy życiem naszém nie mącili mu tego drogiego pokoju duszy, który zawitał do niego na schyłku życia!

— Patrzyłem i ja na to i widziałem — wtrącił ksiądz Maciéj.

— Otóż z dworku szlacheckiego zrobiliśmy klasztor, zakazaliśmy niepotrzebnym ludziom wchodzić do niego, strzegliśmy go dniem i nocą, aby mu tego pokoju duszy nie mącić, w którym tak rozkoszował się biédny staruszek. Zresztą znasz nasze całe życie domowe; jeden dzień drugiemu podobny. Ale ja nie miałem wcale tego pokoju. Zaraz piérwszego roku potrzeba było coś spłacić, coś oddać — zaufałem pięknéj oziminie, pożyczyło się na lichwę. Grad wybił plon, słońce wypaliło. Odłożyłem nadzieje na rok przyszły i znowu coś się pożyczyło. W polu wymokło, wody wylały. I tak z roku na rok, z dészczu pod rynnę brnął człowiek coraz daléj, ręka boża ciężyła nad nami; lichwa pożérała cały nasz zarobek, aż wreszcie przerosła nas całych. Ach, księże Macieju, ty nie wiész, co to lichwa! To hydra, która zacząwszy od małego palca, w oka mgnieniu owinie cię całego, że się nie spostrzeżesz, i nie spocznie, póki ci serca nie wydrze!...

Ksiądz Maciéj spojrzał po ubogich ścianach swojéj plebanii i westchnął. Starowina nie miał żadnego majątku, aby przyjacielowi dopomódz.

— Miałżem daremném utyskiwaniem zamącać staruszkowi pokój duszy, o który nas tak błagał? Nie, nie miałem odwagi. Zresztą jakieś dziwne nadzieje, których dzisiaj sam się wstydzę, wstrzymywały mię od dnia do dnia, od roku do roku, zdawało mi się, że ko-

niecznie coś nadzwyczajnego stać się musi, co nas wyratuje; a to moje przekonanie było tak silne, że każdego dnia, biorąc gazetę do ręki, spodziéwałem się coś wyczytać. A nawet widzę teraz, że człowiek w nieszczęściu, gdy mu już ziemia z pod nóg się usuwa, może się stać poganinem i heretykiem. Wierzy w siły nadnaturalne i wyczekuje cudu!

Major westchnął i potarł ręką po czole, jakby chciał się ochronić od nowych marzeń, które rojami latały w koło jego głowy. Ksiądz Maciéj coraz smutniéj patrzył w ziemię. Przeczuwał, że jego powołanie stanie mu się nader trudném.

— I tak ośm lat przeżyłem w téj wierze, a przez te lata ciągle nawiédzał nas Bóg zagniéwany. Były już pozwy i egzekucye, banki wypowiedziały sumy swoje, lichwiarze cisnęli się zewsząd do dworku, ale jakoś wszystko uśmiérzałem dotąd, chociaż drogo kosztowała mnie każda taka przewłoka. Dopóki miałem do czynienia z kilkoma kredytorami, jeszcze to szło jakoś — pojedyńczo ucierałem się z nimi. Ale teraz wszystkie te sumy nabył Warner, a mając w bankach różne wpływy, wyrobił subhastę, o któréj mnie właśnie dzisiaj zawiadomiono! Nie ma ratunku! Bóg wysoko, a ludzie—ludzie dzisiaj daleko!

Po raz piérwszy w życiu wyrzucał sobie ksiądz Maciéj swoję szczodrobliwość. Przez lat pięćdziesiąt służby bożéj mógłby był sobie jaki taki mająteczek uciułać, ale on wiedział, że stoi napisano: „Nie troszczcie się o jutro, albowiem samo jutro o was starać się będzie.“ I rozdawał swój grosz zbytni każdemu, kto rękę wyciągnął, a nawet często wiedział, że daje człowiekowi niegodnemu. Bez téj jego jałmużny byłby

się nie jeden obszedł, a on składając grosz do grosza, mógłby dzisiaj wybawić od rozpaczy ten dworek biały, w którym tyle szczęśliwych dni przesiedział! Ale dzisiaj pustki i chudota u starego plebana. Zaledwie gdzieś tam w skrzynce tyle leży, ile na trumnę i pogrzeb potrzeba!... Ksiądz Maciéj zakręcał i odkręcał tabakierkę, żałując dobrych swoich uczynków, które uczyniły go ubogim!

Wkrótce jednak inaczéj zaświtało mu w głowie. Przypomniał sobie słowa starego Dębicza, który mówił, że ręka Boga uderza często w dom, którego mieszkańcy znikczemnieli na duchu. W tém grożącém nieszczęściu widział on prawicę zagniewanego Boga. I znowu przypomniał sobie proste słowa starego ekonoma, który był tego zdania, że za przewinienia pojedyńczego człowieka może Bóg wszystkich karać. A gdy mu na myśl przyszły ruiny klasztoru bożogrobców, ów jeździec czarny i owa łódka biała, ksiądz Maciéj westchnął ciężko, jak człowiek, który nagle w niemoc zapada, bo jużciż nie mocen jest człowiek sprzeciwiać się sądom Boga sprawiedliwego!

Chcąc jednak swemu powołaniu zadość uczynić, ozwał się po długiéj chwili milczenia:

— Bóg wielki i niedocieczony jest w sądach swoich! Człowiek to garść prochu, rozsypie się, a nie znajdziesz go, gdzie się podział. Ale dusza jego uleci przed tron Boga, a On weźmie ją na łono swoje, gdy będzie czysta i biała jako szata niewinności.

Ksiądz Maciéj zatrzymał się, patrząc na twarz majora. A gdy na niéj prócz niezaspokojonéj ciekawości nic więcéj nie wyczytał, pogniewał się w duchu na siebie, że przy wszelkiéj swojéj elokwencyi jakoś

za górno, czy raczéj za ciemno rzecz rozpoczął. Poprawiwszy się więc, mówił daléj:

— Jeżeli nieszczęścia na nas spadną, jeźli dom nasz ziemski wali się nad nami, to trzeba przynajmniéj na to baczyć, aby dusza nasza wydobyła się czysta i biała z pod gruzów i rumowiska.

I teraz nie był jeszcze kontent z siebie ksiądz Maciéj. Major bowiem ciekawie patrzył na niego i niczego się nie domyślał. Posunąwszy więc krzesło, rzekł jasno i dobitnie:

— Stary Dębicz ma czystą duszę. Jest to biała, stęskniona za niebem gołębica. Ale czy Zuzanna...

Ksiądz Maciéj wstrzymał oddech i ścisnął tabakierkę, jakby ją chciał zgnieść na miazgę. Major uśmiéchnął się z wyrazem wewnętrznego bólu na twarzy, a biorąc proboszcza za rękę, rzekł:

— Wiém, co chcesz powiedzieć, kochany bracie. Obawiasz się, aby to nieszczęście Zuzanny nie złamało. Ale ten słaby aniołeczek ma w sobie serce bohatéra, jakie tylko miéć może nasza kobiéta. Posłuchaj mnie.

Biédny ksiądz zacinał usta, aby mu z bólu i utrapienia nie wymknęło się jakie słowo przedwczesne. Czémprędzéj szukał znowu sztukowanéj belki na powale.

Tymczasem mówił major:

— Zuzanna także o niczém nie wiedziała, bo pokój jéj serca był mi również drogi jak staruszka. Zresztą ta sama wiara, z którą nadzieje moje z dnia na dzień, z roku do roku odkładałem, zamykała mi usta i przed Zuzanną, która była tak szczęśliwa! I jakże miałem odjąć jéj to szczęście!... Ale wreszcie spo-

strzegłem, że jakiś smutek zaczyna kołatać do jéj serca. Często widziałem ją niespokojną; zatrudnienia domowe już jéj nie bawiły, zaniedbywała wszystkich rozrywek swoich. Tylko więcéj nabożną się stała i więcéj jałmużny rozdawała między biédnych. W końcu i to ustało... widocznie wszystko ją nudziło.

Ksiądz Maciéj posunął nogami po podłodze, jakby chciał wstać z krzesła. Namyślił się jednak inaczéj i rozkręcił próżną tabakierkę.

— Wtedy to przyjechali margrabstwo do Dąbczyna, a Zuzanna poczęła często bywać u margrabiny, która ją wielce pokochała. I zapewnie tam od kogoś musiała dowiedzieć się o grożącém nam nieszczęściu. Ztąd więc pochodził jéj smutek i niepokój.

Ksiądz Maciéj obrócił się nagle do majora i już usta otworzył, aby coś powiedzieć, gdy w jego oczach spostrzegł dwie łzy, ukryte pod białą rzęsą. I prędko uciekł z oczyma na powałę, do swojéj sztukowanéj belki.

— I coraz więcéj pogorszał się stan jéj duszy— mówił daléj major — widocznie poczęła więdnąć jak kwiatek złamany. Zmieniła się do niepoznania. Płakała często bez żadnéj widocznéj przyczyny; czasami dręczyła ją jakaś nieodgadnięta niecierpliwość, nikt jéj nie mógł dogodzić, coraz mniéj była rozmowną, szukała samotności i nieraz widziałem ją siedzącą po całych dniach w altance nad brzegiem stawu i osłupiałym wzrokiem wpatrującą się w wody jeziora, lub ruiny rozwalonego klasztoru.

Już duszno było księdzu Maciejowi, ale zacisnął usta i nic nie powiedział.

— Wtedy pomyślałem sobie: Zuzanna już wié

o wszystkiém i trapi się biédna. Ale przecież ma ładne serce; ani mnie, ani Dębiczowi nic o tém nie mówi. Tém nieznośniejsze jednak było moje położenie. Patrząc na tego usychającego z każdym dniem anioła, na tego niewinnie cierpiącego baranka, który i ust do skargi nie otworzy, i myśląc sobie, że kiedyś go nieszczęśliwą wieścią zabiję, zdawało mi się, że cierpię już za życia katusze piekła, na które słusznie zasłużyłem.

Ksiądz Maciéj zbladł na twarzy, ale usta miał ściśnięte.

— I wyobraź sobie, drogi bracie, moje pociechę, gdy wczoraj nagle zmieniła się Zuzanna. Radość i wesołość wróciły do jéj duszy, rumieniec okrasił jéj twarz. Stała się napowrót moim aniołkiem wesołym, wszędzie jéj pełno... wszystko ją bawi i zajmuje! A wiész, księże Macieju, zkąd jéj ta wesołość?

Biédny kapłan przygryzł usta, dwie łzy stanęły mu w oczach.

— Oto spostrzegła moję okropną boleść i zapewnie dowiedziała się o subhaście. A chcąc ulżyć mi w boleści mojéj, aby ten srogi cios mnie nie zabił, stała się wesołą, aby mnie upadającego na duchu podnieść przykładem swego męztwa! I nigdy jéj miłość ku mnie nie była goretszą jak teraz, gdy wszyscy w przepaść upaść mamy!... Księże Macieju, ta kobiéta jest dla mnie od Boga stworzona, abym w nieszczęściu mojém nie stał się samobójcą! Gdybym dzisiaj nie miał jéj miłości, gdybym nie miał tego anielskiego serca na tym świecie, które ostatek skłopotanych dni moich jeszcze rozgrzéwa, jabym już dawno żyć przestał!

Ksiądz Maciéj szybko wstał z krzesła, a wzniósłszy oczy do nieba, rzekł w duchu do Boga:

— Nie, nie... jabym go zabił!

Kilka łez zbiegło po bladéj twarzy kapłana.

— I czegóż chcesz, bracie, odemnie? — zapytał majora.

— Abyś dziś wieczorem przyszedł i Dębicza na to przygotował. O Zuzannę jestem już spokojny.

— Wolałbym przyjść na wasz pogrzeb! — zawołał w boleści ksiądz Maciéj.

Nad dworkiem w Czarnowodach było tak czyste niebo, jakby szczęśliwym jego mieszkańcom najmniejsze nie groziło niebezpieczeństwo. Powietrze, które rankami już jesienią trąciło, ogrzało się koło południa i było ciepłe jakby śród lata. Stary Dębicz kazał się wytoczyć na ganek i postawić przed sobą stoliczek z książkami.

Kilka razy zapędzał się do książek, brał do ręki to pióro, to ołówek, ale książka, pióro i ołówek wypadały mu z rąk, a wszystkie lepsze rytmy i końcówki tak się gdzieś pochowały, że i trzech wiérszy skleić nie mógł. Nie gniéwał się jednak staruszek, że mu dzisiaj ani literatura, ani poezya w ład nie idą. Jakieś przyjemne uczucie rozjaśniało jego twarz sędziwą; uśmiéchał się do siebie z najzupełniejszém zadowoleniem.

— I jakże to nie czuć rozkoszy na widok téj przecudnéj natury! Jakże to oderwać oczy od tego przeźroczystego szafiru, od tych lip i kasztanów, już gdzie niegdzie malowniczo pożółkłych, od tego daleko

rozciągającego się błonia, które tam gdzieś na końcu widnokręgu przecina błękitny rąbek jeziora! A tam znowu, z gałęzi na gałąź skaczą wesołe ptaszęta i szczebioczą staremu jakieś powieści z tysiąca i jednéj nocy. Oto żółtobrzuszek rozparł się széroko jak bankier i trzęsąc złotym trzosem, z pogardą patrzy na pośmieciuszka, który niby „drobny negocyant“, wala się po śmieciu, zbierając skrzętnie ziarnko do ziarnka. A tam wróbel grubopłaski, prawdziwy typ mieszczański, podskakuje z arogancyą dorobkiewicza i ćwiérka na wszystkie cztéry części świata, aby go słyszano i widziano. Z klombu odzywa się gil, czérwony jak generał, i od czasu go czasu daje hałastrze jakieś bardzo ważne sygnały, ale hałastra nie słucha go wcale, jak to zazwyczaj korpus ochotników.

Na to wszystko patrzył stary Dębicz i uśmiéchał się, jakby rozumiał ich swary i dąsy. Po chwili, jakby sobie coś przypomniał, wziął mały kalendarzyk, który miał zawsze pod ręką, aby się dowiedzieć, który to święty Pański udarował go dniem tak przyjemnym. Późniéj zadzwonił na służącego i kazał mu Zuzannę zaprosić do siebie.

Wkrótce nadeszła Zuzanna. Była wesoła jak wczoraj, ten sam rumieniec szczęścia krasił jéj piękne lica... Przyszła z kwiatkiem w ręku, któremu połowę liści już oskubała w jakiéjś sekretnéj intencyi.

— Zuzieńko moja!—zawołał staruszek z nieukontentowaniem na twarzy — czy ci serce twoje nic nie mówi?

— Serce moje?—zapytała zdziwiona Zuzanna.

— Wszak kochasz Tadeusza?—mówił daléj stary Dębicz z tą samą zmarszczką na czole.

Zuzanna zarumieniła się lekko i spuściła w ziemię oczy.

Ale po chwili podniosła głowę i śmiałym odrzekła głosem:

— Kocham, drogi dziaduniu!

— A widzisz, że go za mało kochasz, jeźli dzisiaj nic nie przeczuwasz! Ja stary, a przecież nie omyliło mnie przeczucie.

Zuzanna zmieszała się. Dębicz mówił daléj:

— Jakoś mi duszno było dzisiaj w mojéj izdebce. Kazałem się wytoczyć na ganek. Ale i tutaj ani czytać, ani pisać nie mogłem Lekko mi na sercu, a w duszy czuję taką pogodę, jakbym odmłodniał. Ciekawy więc byłem, do którego świętego dzień dzisiejszy należy. I wiész, moje dziecię, czego dowiedziałem się w kalendarzu?... Ej, Zuzieńko! zapominasz o tych kilku dniach w roku, które dawnym obyczajem były zawsze wielką uroczystością w kole rodziny!

— Już wiém, wiém!—zawołała Zuzanna z dziecięcą wesołością, klaszcząc w dłonie — a nawet zaraz dziadunia przekonam.

Pobiegła do swego pokoju i wnet powróciła z śliczną czworograniastą czapeczką. Major był amatorem podobnych czapeczek.

— Widzisz, kochany dziaduniu! Tu jest wieniec niezabudek, a te trzy kolory najlepiéj lubi Tadeusz, chociaż są trochę za jaskrawe.

— Wszystko dobrze i ładnie, moje dziecię, ale dla czegoż zapomniałaś?

— Omyliłam się tylko o dwa dni.

— Mietlica lepiéj pamiętał o swoim panu. Dzisiaj kończy roboty w polu i gotuje się na wieczór

z wieńcami zboża i oracyą. Trzeba ludziom sprawić dożynki. I tak zdaje mi się, że może to w mojém życiu będą ostatnie.

Cień smutku przebiegł po twarzy staruszka. Portret kobiéty w zakonnym stroju mignął mu przed oczyma. Ale wkrótce rozjaśnił znowu twarz i rzekł do zasmuconéj Zuzanny:

— Nie smuć się, moje dziécię, bo ja dzisiaj smutnym być nie mogę. Pan Bóg na schyłku życia rad słudze swemu, daje mu dzisiaj pogodny dzień życia. Ja chcę dzisiaj być wesołym... i wy bądźcie weseli.

Zuzanna ucałowała rękę staruszka, dziękując mu za tak dobrą myśl zrobienia dzisiaj Tadeuszowi miłéj niespodzianki. A korzystając z nieobecności majora, wzięto się zaraz do narad nad tą improwizowaną uroczystością.

Uradzono więc gromadzie sute sprawić dożynki, do których dodano obchód urodzin majora. Kuchnię oddano natychmiast pod zarząd kucharki, a stary kucharz musiał na prędce wykoncypować okazały transparent, który miano potém nagle rzęsiście oświecić.

Stary kucharz był kuchcikiem, gdy malowano kościół w Czarnowodach. Mając więc wiele zbytniego czasu, przypatrywał się malarzom, a że był chłopiec sprytny, toż zachwycił coś z tego kunsztu, którego dowody składał na każdym torcie, który z jego pieca wychodził.

Zawołany teraz do narady, narzekał na czas tak krótki i dzień jeszcze krótszy; a szukając między różnemi swemi konceptami, zdecydował się wreszcie na anioła z trąbą, za którego sumiennie mógł zaręczyć, że z wszystkich jego konceptów najlepiéj mu się udaje.

Panna służąca miała uwić festony, a dodane jéj w sukurs baby utyskiwały, że ogrodzie nie ma już piwonii, która tak pięknym i okazałym jest kwiatem. Starego Wojciecha chciano wyprawić po proch do Dąbczyna, ale ten po długich ceregelach wyznał wreszcie pod sekretem, że Mietlica sam o to ma się postarać i w tym celu zniósł się już z Paliwodą. Paliwoda bowiem, według jego zdania, najlepiéj umiał się obchodzić z bronią palną, jak tego dowiódł zeszłéj wielkanocy, gdy wystrzeliwszy kowalowi z pomiędzy nóg połowę płaszcza, ani jednéj mu kostki nie naruszył

Kiedy już wszystkie role należycie rozdane były, pobiegła Zuzanna do śpiżarni, aby się z swemi zasobami obliczyć. Staruszek tymczasem siedział na ganku i tak był jakoś wesół z swego konceptu, tak się uśmiéchał do szczebiocących przed nim ptasząt, że nawet wróble śmiéléj do niego się zbliżały i jak drobne wnuczęta szukały w rękach jego ukrytych bakalij. A Dębicz droczył się z niemi, pokazując im figi i rzucając na nie gałkami z papiéru, przez co tak powszechne wywołał nieukontentowanie, że dwa najokazalsze wzrostem wróble, usiadłszy na bzie, wyrecytowały mu długą perorę.

Tymczasem mijała godzina po godzinie, a w dworku na pozór było cicho i głucho. Stary kucharz siedział w oficynie zamknięty na trzy klucze, przed ogromną, z papiéru wyklejoną tablicą, z pędzlem w ręku, i jak święty Łukasz medytował nad nosem anioła, który mu coś strasznie był podobny do nosa starego Wojciecha, zaglądającego ciekawie przez szyby do jego pracowni. Panna służąca w największym sekrecie wiła prześliczne festony i z największą pasyą prosto-

wała opowiadania staréj klucznicy, która mniemała, że się to dzieje dla starego Dębicza. I tak niebawem cały dwór i cała gromada wiedziała o téj tajemnicy, jednak każdy kładł palce na usta, chcąc przez to okazać, że tajemnicy powierzonéj nie zdradził. Czeladź dworska ze zbytniéj radości poodchodziła od roboty, a korzystając z powszechnego niedozoru, poszła milczkiem do karczmy, aby sobie fantazyi przysporzyć. Nawet jednooki koń, woziwoda, wyprzągł się sam z nieodstępnego wózka i najprostszą drogą poszedł w ogród warzywny, dokąd nęciły go od dawna zielone głowy kapusty.

I tak radość powszechna i oczekiwanie rozprzęgły wszystko we dworze, a patrząc po tych twarzach milczących, trudno było zgadnąć, na co się tam zanosi: czy na wesele, czy na pogrzeb?

Wróciwszy od księdza Macieja, spostrzegł major, że coś we dworze się zmieniło. Nieład jakiś i rozprzężenie było widoczne. Twarze, które na dziedzińcu zdybał, dziwnie na niego patrzyły, a gdy przeszedł, szeptano sobie do uszu jakieś wieści ciekawe. Z kapusty chciał spędzić ślepego woziwodę, ale woziwoda był dzisiaj tak butny, że tyłem obrócił się do niego, a nawet miał szczere chęci wierzgnąć na swego chlebodawcę, gdyby stare jego nogi temu się nie sprzeciwiły.

Zdawało się biédnemu majorowi, że już wszyscy odwracają się od niego, że niepamiętni na jego dobrodziejstwa, jak ten ślepy woziwoda, którego dziesięć lat własną żywił ręką, stronią od człowieka, który wkrótce przestanie być ich panem! A gdy do tego ulubiona Dyanka w sieni na niego się rzuciła, a stary Dębicz,

siedzący na ganku, udał za jego zbliżeniem się, że śpi i ani słowa mu nie odpowiedział, strapiony major wpadł ze łzami do pokoju żony i z takim szałem całował jéj ręce, z takiem gorączkowém uczuciem cisnął ją do swego serca, że Zuzanna w objęciach jego nagle posmutniała i spazmatycznie płakać zaczęła.

— To jedno serce kocha mnie w nieszczęściu mojém!—pomyślał sobie biédny major.

III.

Dniem przedtém w kamienicy o śmiéjących się karyatydach wcale inna panowała atmosfera. Stary Warner, ubrany w granatowy frak ze świécącemi guzikami, krzątał się od rana, aż mu pot na czoło występował. Całe piętro ozdobione świéżemi kobiercami, zapowiadało jakąś niezwykłą uroczystość. Suto galonowana służba uwijała się około rozstawionych mebli, a na ulicy przed bramą rozlegał się nieustannie turkot zajeżdżających ekwipaży. Kantor był dzisiaj zamknięty na siedm zamków, bankier wypoczywał dzisiaj i używał. „Drobni negocyanci“ stali od samego rana przed dobrze znaném im oknem, ale napróżno, za kratą nie pojawiła się żadna dobroczynna ręka, któraby im podała droższe od ewangelii cyfry. Smutni rozeszli się, że dzień dzisiejszy był dla nich stracony!

Tymczasem po całém mieście rozchodziła się wieść o téj nadzwyczajnéj uroczystości w domu o śmiéjących się karyatydach. Wielki Michel, stróż domowy, przebrany za okazałego portyera, z olbrzymią szarfą na ramieniu, był już od świtu mocno czérwony na

twarzy i z nadzwyczajną grzecznością opowiadał zgromadzonéj między kolumnami gawiedzi, że pan jego wyprawia dzisiaj córce wesele, jakiego jeszcze świat nie widział. Mówił o milionach posagu, o złotych karetach i ogromnych dobrach, które dla niéj kupił gdzieś tam w polskiéj ziemi. Dzisiejszy numer „Thalii“ przyniósł w „inseratach“ dosyć obszérny poemat na cześć nowożeńców, którego inicyały złożone tworzyły słowa: „Matylda i Walter„. O autorstwo tego wiérsza podejrzéwano bladego „dysponenta“ z kantoru „Goliat et Compagnie“; a z saméj sentymentalnéj poezyi, w któréj poeta z płaczliwą miną cieszy się szczęściem Matyldy, wnoszono powszechnie, że blady „dysponent“, z po za czarnych półek swego stolika, musiał wzdychać do pięknéj córki swego pryncypała i tém wylaniem się elegijném swoje serce od przepełnienia salwował.

I gdy tak różne wieści po ulicy samopas biegały, na piérwszem piętrze kamienicy o śmiejących się karyatydach było już liczne zgromadzenie, były mowy i toasty, gwar i krzyk, nieodstępne żaby przy kwileniach słowików.

Matylda i Walter siedzieli obok siebie. Oboje młodzi, oboje piękni. Matylda miała suknią z ciężkiéj, białéj mory, miała bogaty, brylantami wysadzany naszyjnik, ciężkie, szczéro-złote manele. Ale co dla bladego „dysponenta“ było dzisiaj najnieznośniejsze—Matylda miała najpiękniejsze dołki w różowych swoich policzkach, miała uśmiéch zachwycający i tak prześliczne oczy, jakich nigdy jeszcze u niéj nie widział biédny „dysponent.“ Walter był skromnie ubrany. Nie miał na sobie nic świécącego, prócz świécących mocno oczu, które także niepodobały się dzisiaj autorowi madrygału w inseratach „Thalii“.

Zgromadzenie składało się po największéj części ze znajomych już nam znakomitości, które zaszczycały dom o śmiejących się karyatydach wysoką swoją przyjaźnią. Ten sam intendent ewangielicki, który wtedy tyle racyonalnych powiedział rzeczy, związał dziś ręce dwojga szczęśliwych ludzi. Miał przy téj sposobności széroką do nich przemowę, a że w téj przemowie, wyrecytowanéj w obec licznéj publiczności, mógł tylko mówić ze stanowiska czysto ludzkiego, podjął więc teraz ten przedmiot jeszcze raz na nowo, aby w mniejszém kółku rozszérzyć go i uzupełnić.

Dowiedziawszy się, że nowożeńcom wyznaczył ojciec majątek gdzieś tam w polskiéj ziemi, pomiędzy papistami, począł széroko mówić o ich powołaniu; przyrównał ich do dwóch błędnych owieczek, które idą między wilki — to znowu do gwiazd bliźniaczych, które świécić mają na horyzoncie ciemnoty i przesądów. I za obowiązek położył im, aby oczyszczone, racyonalne prawdy rozszérzali, aby wybierając się z kraju, wzięli z sobą kadry przyszłego, nowego społeczeństwa, to jest: sługi, oficyalistów i nauczycieli do szkółki, za pomocą których zorganizuje się nowe ogniwo ludzkości i do wielkiéj przyłączy się ojczyzny.

I nim skończyć zdołał, powstał jeden z emerytowanych profesorów ze swoją „absolutną ideą“, która według niego poprowadzi nowożeńców na wschód, aby dać o sobie świadectwo. Matyldę i Waltera nazwał dziećmi téj idei absolutnéj, która ich bierze pod swoje skrzydła opiekuńcze.

Drugi emeryt znowu mu się sprzeciwił, jak piérwszym razem, pytając się, dla czego ta idea absolutna nie prowadzi dzieci swoich do Alzacyi, którą tak bez-

czelnie więli Francuzi, a która przecież nie jest ziemią francuzką. Przerwał mu ten spór były radca marynarki, przyrównywając nowożeńców do błękitnéj fali morza, która coraz więcéj wciska się w ziemie wschodu, aby tam kiedyś nowe utworzyć morze, a przynajmniéj jaką spokojną i zaciszną odnogę.

Malutki, z ogoloną twarzą ekonomista, nie dał dokończyć byłemu radcy marynarki, nazywając jego słowa zbyt poetycznemi, nierealnemi. Nie widział on w młodéj parze, idącéj na wschód, nic więcéj, jak nową filią wielkiego, przemysłowego warsztatu narodowego, która ma obowiązek stanowić u obcych jego agencyą. Jéj zadaniem ma być, aby surowe produkta od miejscowych mieszkańców jak najtaniéj nabyć, a w zamian przemysł narodowy jak najdrożéj sprzedać.

Gdy na to pan Tamimischel, w długiéj weście o zielonych kwiateczkach, na całe gardło się roześmiał i dowodzić zaczął, że *slavus* tyle znaczy, co *sclavus*, podochocony już nieco gospodarz powstał z miejsca i zawołał:

— Panowie! Mufke, mój najwierniejszy służący, śmieje się ot tam. O zakład idę, moi panowie, że się z was śmieje. Bo też prawdę powiedziawszy, wasza uczona paplanina i trzech groszy nie warta. Jeden mówi o jakichś gwiazdach bliźniętach, które jak um i rozum idą na wschód, drugiemu morze po głowie hula, a co kochany mój przyjaciel pan Tamimischel mówił, tego już nawet nie dosłyszałem, albo prawdę mówiąc, nie zrozumiałem. Ja jestem sobie prosty negocyant i nic więcéj. A ja swoim rozumem inaczéj to wszystko widzę. Matyldzie i Walterowi daję Czarnowody i Radziejewo, a Dąbczyn będzie dla Ottona. To

wszystko kupię dla nich i dla tego oni tam pójdą. Nie zaprowadzi ich tam ani wasza „idea absolutna“, ani ów straszny przez Gervinusa okrzyczany „popęd na wschód“, ta epidemia dzisiejszych czasów, ani żaden inny wasz wymysł mózgowy, tylko prowadzą ich tam *moje piéniądze: moje piéniądze!*

A wychyliwszy dla lepszéj fantazyi szklankę wina, które mu od razu w twarz poszło, mówił daléj:

— Wam się zdaje, że Szyller i Göthe et Compagnie, że ta niepoczesna bazgranina, którą literaturą zowiecie, podbija obce narody. Wszystko przypisujecie sobie, a to tymczasem jest fałsz wierutny. U was piéniądz negocyanta, który co roku przymnaża państwu ziemi, nic nie znaczy. A przecież nasza to zasługa, żeśmy połowę księztwa Poznańskiego zakupili i do naszéj wcielili ojczyzny! Niegdyś nasi monarchowie używali zawsze przydomku „Augustus“, co tłómaczyli na język ojczysty słowem: „mnożyciel państwa“, jak mi to raz przy lampce wina pan Tamimischel powiedział. I dla tego obowiązkiem było każdego, przymnażać państwa, bądź to kupnem, bądź wojennym zaborem. Dziś wojennych zaborów nie ma, a monarchowie nie kupują. Obowiązek więc pojedyńczego przeszedł na poddanych. Otóż poddani są dzisiaj mnożycielami państwa, zakupując coraz więcéj ziemi sąsiedzkiéj... Uczeni nasi już dosyć sobie namozolili głowy nad tém, jakimby to sposobem dla zaokrąglenia państwa ten kawał ziemi poznańskiéj sobie przyswoić. A przecież prosty na to jest sposób. Oto wywłaszczyć szlachtę polską i rzecz skończona. Gdy oficerów nie stanie, z szeregowymi łatwa sprawa. A któż to dzisiaj praktykuje ten jedyny, praktyczny sposób po-

mnażania państwa, jeźli nie my? Każdy z nas jest ów „Augustus“; nam należy się ta wielka zasługa rozszérzania granic państwa, bo bez naszych piéniędzy ani wasza idea, ani wasz „pęd“ na nic by się nie zdały! Otóż tedy powiadam wam, moje dzieci, Matyldo i Walterze, wy idziecie tam na wschód nie jako posłańce jakiejś tam idei, ale po to, bo tam najłatwiéj dzisiaj robić piéniądze!

Skończywszy, stary negocyant postawił szklankę na stole i spojrzał z tryumfem po zgromadzeniu. Bolało go od dawna, że ta chudzizna mólów książkowych, pijąc jego wino i jedząc jego pieczenie, tak górne o sobie miała wyobrażenie. Wszystkie zasługi przypisywała wymarzonym swoim ideom, których wcale nie akceptował poczciwy negocyant. Dzisiaj więc, przy sposobności powiedziawszy im „verba veritatis“, a przy tém wtrąciwszy coś „pro domo sua“ wesołém okiem, do którego blasku i winko się przyczyniło, spoglądał po pysznym swoim salonie.

Ale doktorzy coś strasznie na to mruczéć poczęli i gotowali się właśnie do jakiejś jednogłośnéj demonstracyi, gdy liryczny tenor nagle do klawikordu usiadł i na całe gardło zaśpiéwał pieśń z „Roberta dyabła“:

Złoto, złoto jest chimera!...

Wszyscy mu przyklasnęli za ten koncept wyborny. Stary zaś negocyant napominany przez swego najbliższego towarzysza, że za wiele pił wina i za wiele mówił, jak na gospodarza przystoi, zamilkł zadąsany, że ta uczona czereda zawsze nad prostym człowiekiem górę bierze.

Kilku jednak siedzących przy stole nie słyszało

wcale, co się koło nich działo. Matylda i Walter patrzyli tylko na siebie i nic nie mówili. Spojrzenia te jednak były jakoś takie dziwaczne, że im słuch odbiérały i wszystko zresztą zasłaniały. Marzyli o sobie, marzyli o nowym pałacu w Czarnowodach, który tam z wiosną wystawić mieli na miejsce ciemnego, szlacheckiego dworku!

Blady „dysponent“, na końcu stołu siedzący, nie słyszał także tych sporów uczonych. Gniéwały go ustawicznie te przecudne dołki na policzkach Matyldy i błyszczące oczy młodego jéj męża. Myślał on nad nowym madrygałem, który w inseratach jutrzejszego numeru „Thalii“ zapewnie się ukaże, a który niezawodnie różnić się będzie od piérwszego i treścią i formą.

Nowy szereg strasznie długich kieliszków udobruchał rozdąsanych doktorów. Pifke, który przestawszy być „drobnym negocyantem“, jako właściciel fabryki, miał już przystęp do wszystkich uroczystości swego kolegi, przyprowadził go w kącie do opamiętania, demonstrując mu, że swoich zdań tak otwarcie wyjawiać nie trzeba. Stary negocyant uścisnął za to przyjaciela i hojnym szafunkiem wina i usługi swojéj tak dalece błąd swój naprawił, że wychodzący z domu jego doktorowie najserdeczniéj go ściskali i żegnali.

Zaledwie ostatni gość drzwi za sobą zamknął, pozamykał stary negocyant wszystkie salony na klucz, aby służba z pozostałych butelek czego nie chwyciła, a sam czém prędzéj zbiégł po wązkich, kręconych schodach do ulubionego swego gabinetu. Ujrzawszy się między skrzyniami żelaznemi i stołem marmurowym,

usiadłszy przed biórkiem, żelaznemi opasaném kratami, rzekł do siebie z wyrazem nieukontentowania na twarzy:

— Ja tutaj tylko jestem mądry. Tu mi nikt nie zaprzeczy ani rozumu, ani przyzwoitości. Tam na piérwszem piętrze jestem głupi, prosty człowiek. Otton mój i tam będzie mądry.

I obejrzał się po tych zimnych, wilgotnych ścianach, przesunął zwolna swoje oczy po żelaznych, do muru przykutych skrzyniach, po tym milczącym stole marmurowym, na którym tyle brzęczało srébra i złota, opowiadając mu dzieje swojel... I weseléj zrobiło się staremu negocyantowi; on widział te skrzynie otwiérające się cicho i bez hałasu, a z nich wychodziły zwolna jakieś przecudne obrazy. Najprzód wyszedł ogromny jak forteca z dachem miedzianym zamek dąbczyński — za nim długim szeregiem, w czarne przybrane szaty, szły owe olbrzymie postacie z krużganku kaplicy. Z kamiennych ich oczu lały się łzy, z ich ust wychodził śpiéw pogrzebowy. I obeszły w koło skrzynie żelazne i niemy oddały pokłon swemu panu, który do nich uśmiéchał się z za krat żelaznych, i z taką na nie spoglądał dumą, z jaką niegdyś Jagiełło patrzył na rycerzów krzyża, składających u jego nóg swoje żałobą okryte sztandary... A tam z drugiéj skrzyni wypłynął biały jak mgła jesienna, dworek szlachecki. Stary, zgarbiony szlachcic, z siwą w pas brodą, w żupanie i kontuszu, szedł sam jeden za tym dworkiem, jak grabarz, aby go własną pochować ręką. U boku miał kord bogaty, pradziadowski — ten kord odpiął, zapłakał i wraz ze swoim dworkiem w jednéj pogrzebał go jamie. A na jego miejscu nowy wystrzelił pałac, na

balkonie stali: Matylda i Walter, i śmiali się ze starego szlachcica, nie rozumiejąc jego pogrzebu!...

I już na piękne począł sobie drzémać stary negocyant, gdy nagle ktoś silnie do drzwi kantoru zapukał.

— Kto tam?—krzyknął negocyant i zerwał się na równe nogi.

— Ja, ja, Pifke!—odpowiedział głos.

Negocyant odsunął żelazny rygiel. Przeraźliwy odgłos rozległ się po pustéj sali kantoru. Ale jeszcze bardziéj przeraziła go twarz kochanego kolegi.

Pifke miał twarz czérwoną jak karmazyn, oczy jego paliły się. Dolna szczęka ruszała się i kłapała machinalnie o półtora zęba. W ręku trzymał jakiś list rozdarty i zmięty.

— Cóż ci to, Pifke?—zawołał namiestnik Goliata, a w jego oczach błysło coś szatańskiego.

— Łotrze, złodzieju!—krzyknął Pifke, a piana okryła mu wykrzywione usta.

— Jeźli tak zaczynasz — odparł spokojnie stary negocyant — to chodź tutaj bliżéj, bo dłuższa będzie między nami rozmowa.

Rzekłszy to, zasunął znowu rygiel żelazny i powoli poszedł do swego biórka, którego kratka żelazna ochraniała go od nierzetelnych zamiarów przyjaciela i spólnika.

— Łotrze! — krzyczał Pifke za nim — zabiłeś mnie!

— Pifke, nie bądź głupim! — odparł spokojnie stary negocyant.—Wino moje z ciebie mówi. Widzisz, jam już trzeźwy.

— Tu, łotrze, czytaj!—wrzeszczał Pifke, aż mu oczy na wierzch wylazły.

— Co mam czytać! Powiedz mi krótko, o co ci chodzi!

— Oszukałeś mnie! Wciągnąłeś mnie w interes, który trzy razy więcéj wymaga piéniędzy, jak powiedziałeś!

— Można się omylić.

— To był twój podstęp... jam dzisiaj bankrutem!

— Któż ci winien, że mało miałeś piéniędzy? Wszak wiész, że w naszym interesie, to jak przy kartach. Kto ma więcéj piéniędzy przy sobie, gdy siada do gry, ten wygrywa w końcu.

— Dałeś mi akcye, które teraz są po niczemu. Czytaj!

— Jakto, akcye kolei żelaznéj w południowéj Francyi? Wszak brałeś podług kursu... w książce zapisano.

— Wykupiłeś wszystkie akcye i trzymałeś kurs wysoko. A gdym się z niemi na giełdzie pokazał, nie chciał nikt i szeląga dać za nie. Przedsiębiorstwo zbankrutowało.

— Jesteś dziwny człowiek, kochany Pifke. Nie rozumiesz gry *à la hausse* i kwita. Cóż ja winien, że akcye spadły?

— Złodzieju, okradłeś mnie!

— Któż to powié? Ludzie, co znają kursa, powiedzą, że Pifke oszalał i nic więcéj. Wypłaciłem ci podług kursu.

— Okradłeś mnie, zabiłeś mnie! —krzyczał nieszczęśliwy spekulant.

— Pifke, jak widzę, oszukałem się na tobie—mówił z flegmą stary negocyant—ja myślałem, żeś ty do

większych interesów, a ty prosty, drobny negocyant! Idź z Bogiem i daj mi pokój!

Rzekłszy to, posunął sprężynę na biórku, a żelazne dźwiczki wysunęły się gdzieś z ziemi i w oka mgnieniu zasłoniły go przed oczyma nieszczęśliwego spekulanta. W tymże samym czasie z po za pieca odsunęła się wielka, w starożytną rzeźbę przyozdobiona szafa, a kolosalny Michel, jeszcze czérwony jak upior na twarzy, pojawił się tuż za plecyma biédnego bankruta. Był to tajemny przyrząd zabezpieczający od niespodzianego jakiego napadu.

Pifke chciał właśnie z wściekłością rzucić się na żelazną klatkę, w któréj spokojny jak lew siedział jego wspólnik i kolega, gdy kolosalny Michel za kołniérz go w samę porę pochwycił.

— Pan Pifke za wiele pił wina—wyszedł z klatki spokojny głos pryncypała—zaprowadź go do piérwszéj izby, niech się prześpi.

Pifke wydarł się z nadludzką siłą z objęć olbrzyma i z wyrazem szaleństwa krzyknął do klatki swego przyjaciela:

— Warner! Słuchaj łotrze i złodzieju! Jam krwawo na mój grosz pracował. Nie jadłem i nie spałem. Stało się, okradłeś mnie, bom wdał się w rzecz nie swoję. Z „drobnych interesów“ nie byłem kontent, a wielkie mnie zabiły! Ale ja jeszcze żyć będę. Zostanie mi tysiąc, dwa tysiące talarów — pójdę tam nad Noteć i Wartę, i będę, czém byłem: drobnym negocyantem. Bóg mi dopomoże, moje piéniądze tam znajdę. Ale, jak ty upadniesz, już nie wstaniesz, rozumiész... nie wstaniesz!

Rzekłszy to, podarł list, który w ręku trzymał,

na drobne kawałki i rzucił je między kratki, w twarz swemu spólnikowi. Odepchnął sążnistego Michla, który przyszedłszy do siebie, właśnie rękę po niego wyciągnął, i wybiegł jak szalony z kantoru.

Stary negocyant pocisnął znowu sprężynę, drzwi żelazne zapadły się w ziemię. Z wypogodzoną twarzą spojrzał po próżnym kantorze, a zacierając ręce, rzekł do siebie:

— Pifke zbankrutował, głupi Pifke! Jemu do lichwy, a nie do wielkich interesów! A teraz daléj!

Wyjął papiér listowy, a napisawszy na prędce kilka wiérszy, złożył, przypieczętował i zaadresował do hrabiego Leona. Zawołał na Michla i kazał mu natychmiast Linka przyprowadzić.

Gdy zadyszany agent przed nim stanął, pryncypał uśmiéchnął się łaskawie do niego i rzekł:

— Linku, wielkie moje dzieło jest na ukończeniu. Będę pamiętał o tobie. A teraz bierz konie pocztowe do Dąbczyna i ten list oddasz według adresu.

Link skłonił się pokornie, z pod oka spojrzał na płonącą twarz pryncypała i wyszedł.

Negocyant zatarł ręce i śpiesznie pobiegł ku schodom kręconym. Za chwilę był już w apartamencie Ottona na drugiém piętrze.

— Ottonie, Ottonie!—wołał z progu—przynoszę ci bardzo dobrą wiadomość.

Otton był smutny i znużony. Uroczystość dzisiejsza utrudziła go. Podczas obiadu musiał śmiać się i rozmawiać, a to wszystko jakoś nie było mu wcale do twarzy. Piękna Janina migała mu nieustannie przed oczyma — biédny młodzieniec kochał nieszczęśliwie.

— Ottonie! — wołał ojciec — ja cię tak kocham, żebym ci rad nieba przychylić, a ty... ty nawet mnie nie słuchasz!

— Zapewne jaka szczęśliwa spekulacya—odparł obojętnie młodzieniec — majątek nasz może większy o pół miliona...

— I ty tak zimno to mówisz?

Otton ruszył ramionami.

— Słuchaj, Dąbczyn już nasz!

— Dąbczyn!—krzyknął młodzieniec i poskoczył ku ojcu.

— Aha! widzisz go! Przecież raz powiedziałem ci coś niespodzianego!—zawołał negocyant z radością na twarzy.

— Dąbczyn!—powtórzył nieszczęśliwy kochanek i stanął nagle jakby do ziemi przyrósł.

— A tak, tak... Dąbczyn *cum attinentiis!*—wołał mu do ucha szczęśliwy negocyant.

Otton stał jak niemy. Ojciec przypisał to niespodzianéj radości. A chcąc tę nowinę tak hazardowną czémś ugruntować, ozwał się po chwili:

— Musisz wiedzieć, kochany synu, że Pifke, głupi Pifke zbankrutował!

— Zbankrutował!—powtórzył machinalnie młodzieniec.

— Więc całe nasze przedsiębierstwo zagrożone jest stagnacyą, która jest straszna w tym względzie.

— I cóż ztąd?—zapytał machinalnie Otton.

— Margrabia nie wytrzyma téj stagnacyi, bo płaci wysokie procenta. A nim Dąbczyn pójdzie na subhastę, to woli sprzedać go z wolnéj ręki. Cóż ty na to?—zapytał z pieszczotą szczęśliwy ojciec.

— Czy chcesz ojcze wiedzieć, co ja myślę?—zawołał uroczystym głosem młodzieniec.—Oto sądzę, że to była spekulacya nieuczciwa, która na nas ściągnie karę Boga, a pogardę w opinii ludzi.

— Masz strasznie głupie serce... kubek w kubek, jak twoja nieboszczka matka...

Młodzieńcowi na wspomnienie matki stanęły łzy w oczach.

— Głupie masz serce—mówił daléj ojciec—o Bogu nie wiémy, co na to powié... a o ludzi mniejsza. Powiedzą, że stary Warner był szachraj i kwita; a do ciebie, gdy będziesz panem na Dąbczynie, będą karéty zajeżdżały: ty będziesz czysty jak łza.

— Ojcze!

— Zresztą jest to czysta spekulacya i uczciwa. Czyż ja winien, że Pifke zbankrutował? Bankructwo Pifkiego zabija margrabiego, ale nie ja!

— Wszak można mu dopomódz.

— Obowiązkiem naszym jest nie czynić nic złego; a któż nam nakazuje ofiary?

— Ojcze!—zawołał młodzieniec, biorąc ojca za rękę — jeżeli trochę czujesz miłości dla dzieci swoich, jeźli miły ci jest szacunek u świata i pokój własnego sumienia: nie czyń tego! Bądź miłosiernym i nie daj upaść tym ludziom!

Stary negocyant odstąpił kilka kroków od syna, spojrzał na niego szyderczym wzrokiem i rzekł:

— Wiém ja, zkąd ci się ta miłość bliźniego bierze! Ale już raz mówiłem ci, że to są mary i nic więcéj!

— Ojcze!

— Janina jest młoda, ładna dziéwczyna i nic

więcéj. Tysiąc takich masz w mieście. Dotąd nęciło cię tylko to, co ją otaczało. Zamek, pańskość, służba, to i nic więcéj. Zaczekaj kilka tygodni, gdy te wszystkie złote ramki od niéj odlecą, będzie tak pospolitą dziéwczyną, jak każda inna. A tytuł bez fortuny cóż znaczy?... Ty się ożenisz z panną starego, szlacheckiego rodu, ładną, majętną, która cię na dwór zaprowadzi. Szlachectwo nasze już gotowe.

Młodzieniec spuścił głowę.

— A margrabia czém jest dzisiaj?—mówił daléj negocyant.—Dumny bankrut! A wiész, co to jest za obrzydłe stworzenie, człowiek dumny, który upada! Widziałeś kiedy pałac w gruzach, w którym gnieżdżą się sowy i wrony? Czyż nie milszy biały, świeżo wystawiony domek?

— Twoje słowa mogą mój rozum przekonać—odparł młodzieniec — ale mego serca niczém nie zaspokoisz. Kocham Janinę, bez niéj nie ma szczęścia dla mnie ani w zaszczytach, ani w milionach!

— Głupie masz serce, Ottonie. Tak mowi każdy młokos w piérwszym tomie romansu. Pojedziesz do Paryża, do Londynu, i zapomnisz o wszystkiém.

Rzekłszy to, stary negocyant wyszedł z pokoju, mrucząc sobie pod nosem, że syn jego ma takie głupie serce, kubek w kubek do swojéj matki podobne!

Biédny młodzieniec rzucił się na sofę. Wiadomość, że wybranéj jego sercu grozi tak wielkie nieszczęście, dotknęła go do żywego i wszelkiéj pozbawiła nadziei. Długi czas był w tém otrętwieniu. Nagle jakby jakaś zbawienna myśl zabłysła w jego młodéj duszy; zerwał się na nogi i szybko kilka razy prze-

biegł po pokoju. Twarz jego rozpromieniła się, oczy zaświéciły nadzwyczajnym blaskiem.

I w saméj rzeczy była to myśl szczęśliwa, chociaż bardzo prosta. On mógł teraz stać się zbawcą nieszczęśliwéj rodziny, ochronić ją od grożącego upadku, a w nagrodę za to uzyskać wzajemność Janiny.

Gdy jeszcze chwil kilka nad tém pomyślał, zdawało mu się, że ta katastrofa koniecznie do spełnienia jego nadziei potrzebną była, że bez niéj nie miałby sposobności okazania swoich uczuć dla tak drogiéj mu istoty. I jak z razu zabolało go to nieuczciwe postępowanie ojca, tak teraz widział w tém jakieś dziwne drogi Opatrzności bozkiéj, jakieś wyższe zrządzenia, prowadzące ludzi ciemnym szlakiem do upragnionych celów.

I w szale radości swojéj chciał właśnie wznieść ręce do nieba, aby Bogu za ciemne jego wyroki podziękować, gdy się drzwi z lekka otworzyły i Link okazał się na progu.

Agent miał na twarzy wyraz tajemniczy, a pod pachą jakieś starannie zawinięte papiéry. Wszedł ostrożnie do pokoju i oglądał się na wszystkie strony.

— Mam kilka ważnych słów do pomówienia— rzekł z miną tajemniczą—czy jesteśmy sami?

Otton ruszył głową potwierdzająco.

— Ale lepiéj, żebyśmy poszli do drugiego pokoju—ozwał się znowu agent.

Otton spojrzał zdziwiony na agenta, a widząc z jego twarzy, że pewny jest siebie i że coś ważnego przynosi, postąpił naprzód, dając mu znak, aby szedł za nim.

Przeszło godzinę trwała ich tajemna konferen-

cya. Wreszcie wyszedł agent. Jego twarz rumieniła się uczuciem szczęścia, oczy błyszczały mu jak dwie muszki świętojańskie. Nizkim ukłonem pożegnał młodzieńca, który stał blady i zamyślony, i wzrokiem pogardy odprowadzał go aż na kurytarz.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, poszarpnął młodzieniec konwulsyjnie za dzwonek.

Wszedł służący.

— Dla kogo dysponowano konie?—zapytał z niecierpliwością.

— Dla starszego pana—odparł służący.

— Gdzież ojciec pojedzie?

— Do Dąbczyna.

— Mój Johan niech także zaprzęga!—zawołał Otton z wyrazem jakiéjś dziwnéj energii.

Nazajutrz rano zeszło nad Dąbczynem jasne, pogodne słońce. To samo słońce wrześniowe, które siedzącemu na ganku staremu Dębiczowi tak błogo serce rozgrzéwało. Jerzy otworzył okno i wyjrzał na ulicę. Chciał on dzisiaj po raz piérwszy po długiéj chorobie opuścić swoję izdebkę.

Bohatér nasz był mocno blady na twarzy. Rana, która przez kilka miesięcy zgoić się nie chciała, wyczerpała jego siły. Mimo to w pięknych jego oczach tryskało młode, pełne nadziei życie, na bladych ustach igrał uśmiéch skrytego szczęścia.

Był to piérwszy dzień, w którym miał opuścić tę cichą, samotną izdebkę.

Spojrzał smutno po cztérech kątach téj izdebki. Jego serce trwożyło się czegoś. Lecz cóżby była za przyczyna téj trwogi? Janina go kocha, co kilka dni przejeżdża pod jego oknem i Pampie, drogiéj swojéj Pampie, stojącéj na oknie, posyła tak serdecznie, tak gorące pocałunki. Czuje on zawsze płomień tych pocałunków, jego twarz rumieni się rumieńcem szczęścia i zachwycenia, jego serce wyrywa się wtenczas

z piersi i woła: Ona cię kocha! I cudne, dziwne światy stwarza sobie wtedy biédny marzyciel, światy z tak wątłéj i delikatnéj tkanki, jak ta siatka pająka, którą co rana musi naprawiać tkacz nieszczęśliwy. I nasz bohatér naprawiał prawie codzień te wymarzone swoje światy, które niszczył mu ladajaki, mało znaczący wypadek.

Najstraszniejszym dla jego marzeń był z razu hrabia Leon. Ale wkrótce oswoił się jakoś z tym dziwnym, nieodgadnionym człowiekiem. Hrabia Leon, wyczekując jakichś ważnych familijnych wiadomości, bawił przez ten czas u margrabiego. A chociaż cała okolica inaczéj sobie o tém na ucho mówiła, Jerzy poznał w nim tylko dziwaka, który w gruncie duszy był poczciwym człowiekiem. Te dziwactwa tłumaczył sobie wrodzoną jego dobrą, nawet szlachetną skłonnością, na któréj, jak rdza gryząca, osiadły jakieś cierpkie doświadczenia życia. Ztąd wyrodziła się jakaś dziwna dwoistość duszy. Uśmiéch zimny rozczarowanego we wszystkiém człowieka, występował na jego twarz po spełnieniu czynu, który wymagał gorącego serca, a nawet poświęcenia się. I tak pojedynek z panem von der Mark nie był niczém innem, jak tylko osłonieniem niedoświadczonego marzyciela od zgubnego ciosu.

Ale człowiek w piérwszéj dobie uczucia jest zawsze w sprzeczności z samym sobą. Miłość jest niepokojem. Otóż innym razem niepokoiło Jerzego jakieś zagadkowe postępowanie hrabiego Leona, który tymczasem w poufną wszedł z nim przyjaźń. Zdawało mu się, że ten człowiek powoli, ale rozsądnie do celu dąży! Chce spokojnie wyczekać zwykłego przebiegu na-

miętności, przykłada mu codzienie rękę do pulsu, kiedy ta dziecinna ustanie gorączka. Wtedy uspokojoną i wolną od wszystkich przyszłych kurczów sercowych, poprowadzi Janinę przed ołtarz i z pokojem Anglika używać będzie dozgonnie swego asekurowanego skarbu.

Tak sobie nieraz myślał biédny marzyciel, gdy hrabia Leon, z zimnym jak lód uśmiéchem, pochylił się nad jego łóżkiem i bystrém okiem śledził tętna serca, jak długo potrwa ta gorączka młodości.

Jeszcze jedna, daleko groźniejsza mara dręczyła naszego biédnego bohatéra. Jakieś dziwne obrazy dawnych jego marzeń stawały mu przed oczyma. Z ciemnych kątów samotnéj izdebki występowały do niego jakieś groźne postacie. Jedne miały na twarzy wyraz gniéwu, ręce ich były do góry wzniesione—inne zakryły twarze w szaty żałobne i ze złożonemi na piersiach rękoma stanęły przed nim jak posągi smutku i żałoby.

I zdawało mu się, że słyszy z ich ust słowa:

— Tyś nas dawniéj tak kochał! Dałeś nam ogień twego serca na wieczną ofiarę, a dzisiaj stałeś się nam niewiernym! Myśmy cieszyli się naszym wyznawcą na téj biédnéj, nieszczęśliwéj ziemi, a tyś sobie wybrał innego boga, któremu oddajesz cześć bałwochwalczą! Ten nowy bóg sprowadzi cię z drogi, na którą wszedłeś z cierniowym wieńcem na głowie — bo on może ci dać tylko wieniec z róż wonnych, których woń nie jest dla nas!

A gdy się bliżéj tym poważnym postaciom przypatrzył, poznał w nich posągi Mieczysławów, Bolesławów i Batorych, które niegdyś tak gorącém umiłował

sercem. Przypomniał sobie wszystkie swoje marzenia z dni młodocianych, a gdy dzisiaj na siebie się popatrzył, zdawało mu się, że się stał odstępcą, że egoizm jego rozniecił mu w sercu te uczucia, któremi dzisiaj serce swoje napełnił; że dla pierwotnych ślubów swoich powinien uczynić ofiarę z tego, co zwyczajni ludzie zowią najwyższém szczęściem na ziemi.

Takie dziwne, chorobliwe mary straszyły go prawie co dnia, zacząwszy od rana aż do godziny czwartéj z południa. W tym to czasie zazwyczaj turkotał ekwipażyk Janiny po bruku ulicy, a śliczna jak anioł dziéwica drobną swoję rączkę przyciskała do ust różanych i ukochanéj Pampie swojéj posyłała serdeczne pocałunki. W takim razie uciekały w nieładzie owe kamienne, żałobne posągi i kryły się po kątach, a na tronie złocistym, z pękiem strzał w ręku, wjeżdżał do samotnéj izdebki ów bożek maleńki, któremu skromna matka oczy zawiązała, aby nie patrzył na szały jéj serca.

Była to zazwyczaj najszczęśliwsza chwila w tém samotném życiu naszego bohatera. Był on święcie przekonany o miłości Janiny, hrabia Leon był wtedy najszczérszym przyjacielem, a pająk krzyżowy, rozstawiając sieci pod belką, nie miał żadnych złych zamiarów na biédne muszki, prócz tego, aby swoję kochankę-kokietkę tém silniéj do siebie przywiązać!

Dzisiaj miał on wyjść z téj izdebki, miał widzieć Janinę, z nią mówić — było to za wiele na jedno serce! Jakże drogi byłby mu w téj chwili przyjaciel, któremu mógłby całą swą duszę odsłonić! A marzyciele nie tak łatwo odsłaniają swą duszę! Hrabia Leon, mi-

mo wszelkiéj swojéj przyjaźni, tak widocznie unikał spowiedzi biédnego pacyenta!

Słońce było czyste i pogodne. Jerzy wróżył sobie, że to będzie dla niego dzień szczęśliwy. Ale zaledwie zdołał się ubrać, gdy do pokoju w ubiorze podróżnym wszedł hrabia Leon.

Hrabia był na twarzy znacznie zmieniony. W jego oczach, które zazwyczaj tak zimno, tak trzeźwo na świat patrzyły, było coś nieodgadniętego, coby jakiś żal lub smutek oznaczać mogło. Widocznie malował się we wszystkich jego ruchach jakiś przymus, jakby trudno mu było panować nad sobą. Tego nigdy nie dostrzegł pierwéj w nowym swoim przyjacielu nasz bohatér.

Podawszy mu więc ręce, czekał niecierpliwie piérwszego słowa.

— Otóż mniéj smucić mnie będzie nasze pożegnanie — ozwał się Leon z wymuszonym uśmiéchem,— że cię pożegnam zupełnie zdrowego.

— Pożegnasz mnie!—zawołał zdziwiony Jerzy.

— Tak jest, pożegnam cię... w zamku już się pożegnałem—odparł zimno Leon, który już nieco pokoju odzyskał.

— W zamku się pożegnałeś! Cóż to wszystko znaczy?

— Nic, wcale nic. Warner doniósł mi poufnie, że bankier, u którego w Berlinie znaczne mam kapitały, jest w niebezpieczeństwie bankructwa.

— I to cię tak zasmuciło! — zawołał ze szczérością marzyciel.

— Innego możeby zmysłów pozbawiło... sto tysięcy i coś—odrzekł z zimnym uśmiéchem hrabia—ale

mnie to tyle obeszło, że wyjeżdżam, aby się na miejscu o tém wywiedzieć. I w saméj rzeczy chciałbym czasami, jak ów Grek, zostać biédnym.

— Biédnym!—westchnął Jerzy.

— Wierzaj mi, mój ty kochany poeto — rzekł Leon z tym samym zimnym, bajrońskim uśmiéchem— wierzaj mi, ubóstwo ma swoje korzyści.

Twarz Jerzego zarumieniła się; jakieś dziwne przeczucie owładnęło jego sercem. Ciekawie spojrzał na Leona.

— Smutne są te korzyści!—rzekł po chwili z westchnieniem.

— Jakto smutne?

— Bo życie ubogiego zaczyna się i kończy na marzeniu!

— A marzenie nie jestże szczęściem? Przed kilkoma miesiącami dałbym ci był połowę mego majątku, gdybym mógł był choć chwilkę pomarzyć!

— Dla czegoż nie mogłeś?

— Bo bogaty nie może marzyć. On ma wszystko, czego zapragnie. Aby czuć smak potrawy, trzeba być głodnym... a bogaty nigdy nie jest głodnym.

— Mówisz jak kochanek w tragedyi! — zawołał Jerzy z uśmiéchem, w którym było więcéj ciekawości, niż humoru.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju. Coś widocznie miał na sercu, czego wyjawić nie chciał. Ciekawość Jerzego doszła do najwyższego stopnia. Miałże się oświadczyć Janinie i odmowną dostać odpowiédź?...

Serce Jerzego uderzyło żywiéj.

— Wydaję ci się dziwnym—mówił po chwili Le-

on, chodząc po pokoju — ja sam dziwię się sobie. Przeczuwam w sobie wielką metamorfozę. Lękam się, abym się nie zmienił w gruchającą synogarlicę! Ha, ha, ha!... Tutaj ostatni cypel ziemi polskiéj przytrzymał mnie za poły surduta i dał mi wcale nową naukę, jakiéj piérwéj nigdy nie słyszałem. Jerzy, wierzaj mi, ten kąt wasz jest fatalny!

— Nie rozumiém cię!—odparł Jerzy, patrząc w zamyśleniu na hrabiego.

— Głupstwo, wierutne głupstwo i nic więcéj— mówił z wesołym uśmiéchem Leon.—Ha, ha, ha! zaciekawiłem cię, a tymczasem i mówić o tém nie warto!... Tyś nigdy nic o podobnych rzeczach nie mówił... i miałeś słuszność.

— Ale przecież możeby korzystniéj było rozmówić się—zaczął Jerzy, a twarz jego zaczęła blednąć.

— Ej! co tam, szkoda czasu na podobne androny — odparł Leon z wyrazem niecierpliwości na twarzy — lepiéj prowadźmy jaką uczoną rozmowę... na przykład: co to jest miłość?

— Co jest miłość, ty mnie się pytasz? — zawołał zdziwiony Jerzy.

— Więc ci odpowiém. Miłość jest to punkt, w którym łączy się egoizm dwojga ludzi i staje się potęgą. Zbij mi to zdanie, tylko prędko.

— Natychmiast. Egoizm tych dwojga ludzi musi się wzajemnie zrównoważyć.

— Prawda.

— A jeźli ona jest piękna, a on brzydki, ona młoda, a on stary... ona bogata, a on biédny... cóż wtedy stanowi miłość?

— Tam miłości być nie może!—zawołał z gwał-

townością Leon, jakby chciał sam w swoje zdanie gwałtem uwierzyć.—Miłość jest to śliczne, złote pudełeczko, w którém schowany leży starannie zrobiony rachuneczek. Jedno drugie może łudzić i żyć nawet długo w tém wzajemnem złudzeniu. Ale nieszczęśliwy jest ten, któremu dano wzrok, zdolny do patrzenia aż na dno życia!

Hrabia Leon przeszedł się po tych słowach kilka razy po pokoju. Oczy miał w ziemię spuszczone i widocznie nie był z siebie kontent. Jerzy wziął go za rękę i rzekł:

— Kochany Leonie, dzisiaj wcale ciebie nie rozumiém.

— Chcesz mnie zrozumieć?—odparł Leon, wyrywając mu rękę i chodząc szybkim krokiem po pokoju— chcesz mnie zrozumieć? To rzecz łatwa. Wyobraź sobie przedewszystkiém człowieka, urodzonego pod dziwną klątwą pradziada, który przy najlepszéj fantazyi najgłupszy zrobił testament, aby każdy z jego potomków żenił się dopiéro po odbytéj szczęśliwie wyprawie *na kresach* ojczyzny przeciw jéj nieprzyjaciołom. Hajdamaków nie było, a jam przyszedł na świat bez téj nieszczęśliwéj wyprawy; za to koziorożec i ryba, moje planety opiekuńcze, nie są ze mnie kontente i obchodzą się ze mną, jak z pasierbem.

— Cóż ci złego dotąd uczyniły?—zapytał Jerzy, rozweselony humorem Leona.

— Najprzód zaraz na krzyżmo do kołyski dały mi majątek znaczny!

— I to całe nieszczęście!

— Niekoniecznie całe, ale jest w tém trochę nieszczęścia. Wyobraź sobie młodego chłopca, który

z gorącém sercem, z duszą poetyczną wybiega w świat i goni za wymarzoném szczęściem.

— I nie znajduje go!—wtrącił z westchnieniem marzyciel.

— Przeciwnie, znajduje je... ale znajduje za wiele Wszystkie serca otwiérają się przed nim; on nie zna, co to jest pragnąć, co to jest walczyć z przeciwnym losem, i wszystko mu sprzyja! A przecież szczęście liczy się tylko na chwile—a życie tak długie i nudne! I czémże zapełnić to długie, nudne życie! Ubogi do téj jednéj chwili szczęścia idzie daleką drogą. Najprzód marzy, potém tęskni i walczy, pracuje i pragnie, a gdy stanie u mety téj chwili szczęśliwéj, która uwieńcza wszelkie jego nadzieje, używa jéj jak smacznéj potrawy, na którą tak długo czekał i którą własną zasługą sobie zdobył. Jeźli tém szczęściem jest miłość, wtedy wierzy w nię, bo ona jest jego własném dziełem. A jam téj miłości, tych czystych uczuć, o których marzyłem chłopcem, nigdy nie znalazł!

— I nie wierzysz w czyste, bezinteresowne uczucia?

— Ty jesteś dzieckiem, kochany Jerzy; patrzysz na świat z rąk mamki, od któréj piersi jeszcze nie odłączyłeś się.

— Nie, nie!—przerwał mu Jerzy, a na twarz jego wystąpił rumieniec — tyś poznał tylko połowę życia, brudną połowę, która się okazuje każdemu za pieniądze, jak panorama w budach jarmarcznych; ale drugiéj połowy, która jak perła w konchach na dnie morza, kryje się głęboko na dnie życia, nie ujrzysz jéj okiem niegodném!...

— O! wy kapłani niewidomego bóztwa! Cieszy-

cie się waszą ślepotą i dobrze wam z tém. Jerzy, naucz mnie być ślepym!

— Wolałbym, abyś widział lepiéj... abyś świat poznał z pięknéj strony.

— Tego mnie nie nauczysz!

— Kochaj!

— To jest najkrótsza droga do rozczarowania.

— Kochaj sercem, a nie głową!

— To jest dobrze jeść i smaczno, a nigdy nie rachować się z garsonem... Jerzy, zróbmy układ między sobą. Czy ty kochasz?

Jerzy uczuł, że mu serce w piersiach zadrżało. Śmiało jednak i spokojnie wyrzekł:

— Kocham.

— Otóż słuchaj. Ja od stóp do głów byłem dotąd rozczarowany, ty zakochany. Gdy ty się rozczarujesz, ja kochać zacznę. Cóż, dobrze? Dotąd ty jesteś szczęśliwszy.

Jerzy pobladł nagle na twarzy. Dziwna, niemiła myśl wpadła mu nagle do głowy. Ale lękał się usta otworzyć, aby się od przyjaciela nie dowiedzieć tego, coby go zabić mogło. I Leon chciał się jakoś uchylić od widzenia bolesnéj jego walki, bo uścisnąwszy mu rękę, zapalił świéże cygaro, a zawoławszy w progu krótko: „Do widzenia!“—wybiegł na ulicę, gdzie już na niego zgarbiony jak wielbłąd czekał stary Soroka.

Jerzy wybiegł na ulicę, aby jakoś serdeczniéj pożegnać się z tym dziwnym, nieodgadniętym przyjacielem swoim, gdy na ulicy ujrzał tylko tuman kurzu, który odjeżdżający powóz za sobą zostawił.

Powoli z białéj chmury wynurzyła się znajoma dobrze postać starego ekonoma.

Mietlica miał twarz mocno zarumienioną i był jakoś kontent z siebie. Ujrzawszy Jerzego, przybiegł do niego, a wyprostowawszy się jak świéca, rzekł:

— Dzięki Najwyższemu, że wielmożny pan stoi już na nogach. Bo, mówiąc prawdę, te szołdry...

— Jesteś coś wesół, Jakubie?

— Ot Soroka odjeżdżał, potrzeba było pożegnać poczciwego kozaka i jeden kieliszek więcéj wypić. Dziwny to człowiek ten Soroka.

— Dla czego?—zapytał Jerzy, wiedząc o tém, że staremu gadule zrobi zapytaniem niezmierne ukontentowanie.

— Oto ojciec czy tam dziad pana Leona znalazł go dzieckiem na mogile ukraińskiéj, która się zowie Soroka. Bo trzeba wiedzieć, że na Ukrainie są tak wielkie mogiły, jak ten zamek.

— I cóż daléj?—przerwał gadule Jerzy, któremu to porównanie mogiły do zamku jakoś niemiłe było.

— Więc go nazwano Soroka od téj mogiły. I kozak dzisiaj powiada, że tak kocha tę mogiłę, iż bez niéj do nieba się nie dostanie.

— Jakto?

— Mówi, że tam u nich jest taka wiara, że jeźli kto nie umrze na tém samém miejscu, gdzie się urodził, to nie pójdzie do nieba. Dla tego u nich jest to miejsce świętém, jak kościół, i nad to miejsce nie powinien człowiek nic innego w świecie kochać.

Jerzy spojrzał na starego gadułę i chciał mu właśnie o téj pieknéj wierze ukraińskiego ludu coś powiedzieć, gdy stary gaduła z-innéj zaczął beczki.

— Ja tutaj jestem w sekrecie dzisiaj—rzekł cichszym głosem—przyjechałem po proch!

— Po proch.

— Paliwoda będzie dzisiaj strzelał u nas, Paliwoda to strzelec jakich mało. Zeszłéj wielkanocy, strzelając z moździerza, podarł kowalowi cały płaszcz na szmaty i ani go zadrasnął!

— Cóż to będzie u was?

— Będzie oracya i muzyka... pana majora urodziny. Paliwoda zrobi fajerwerk, który ma dwadzieścia siedm razy strzelić.

I jeszcze coś więcéj chciał opowiadać stary gaduła, gdy nagle lud zaczął się z wszystkich stron schodzić, a na rogu ulicy stanął w imponującéj postawie woźny urzędu miejscowego, aby zgromadzonéj publice odczytać jakiś długi zapisany papiér. Musiało to być coś strasznie ciekawego, sądząc po rozdziawionych gębach kilku gamenów dąbczyńskich, którzy z widoczną niecierpliwością potrącali przechodzących Żydków. Mietlica urwał dyskurs w pół słowa, skłonił się Jerzemu i czémprędzéj posunął do woźnego, który jakby go czekał z arkuszem papiéru w ręku.

Jerzy odszedł w innym kierunku. Chciał on jak najprędzéj wyjść z miasta, aby być samotnym. Słowa Leona: „Ty jesteś szczęśliwszym odemnie“, brzmiały mu jeszcze w uszach. Cóż mogły innego te słowa oznaczać, jak to, że Janina go kocha!... I wyszedłszy po za bramy miasta, uśmiéchał się szczęśliwy marzyciel, który w téj chwili nie mieniałby się z bogaczami świata! Ta szczęśliwa, słodka myśl wyrugowała z jego serca wszelkie inne wątpliwości, jakie wzbudzić w niém mogła dzisiejsza rozmowa z hrabią Leonem.

Już było południe, gdy Jerzy do domu wrócił. Wesoły, szczęśliwy, oczekiwał niecierpliwie chwili, w któréj obaczy tak gorąco ukochaną Janinę, obaczy ten stary, tak dobrze znany mu zamek, który podczas swojéj choroby tyle razy miał przed oczyma duszy. I już właśnie zbliżała się ta chwila upragniona, gdy do pokoju wszedł stary ogrodnik.

Stary ogrodnik miał oczy czérwone, minę nadzwyczaj rzadką i z nieśmiałością stanął przy progu. Jerzy uczuł woń spirytusu.

— Jak widzę — rzekł z uśmiéchem człowieka szczęśliwego—wszyscy żegnaliście Sorokę!

— Wypiło się z Soroką tylko kieliszek — odpowiedział pokornie ogrodnik — a reszta to już było na zmartwienie!

— Zmartwienie?... zapewnie *rododendron*...

— Ej! gdzie tam, wielmożny panie, nam to teraz w głowie! Ot człowiek na stare lata musi się gdzieś wléc jeszcze w świat za oczy!

— Cóż to się stało... zapewnie nowy ogrodnik...

— Zapewnie i nowy ogrodnik przyjdzie wraz z nowym panem.

— Z nowym panem?—powtórzył Jerzy, patrząc ciekawie na ogrodnika.

— A tak, wielmożny panie... wielkie nieszczęście na biédne, stare sługi! Myślałem, że wysłużę sobie jaką chałupę i kawał gruntu...

— Dla Boga, cóż takiego?—zawołał zdziwiony Jerzy i przyskoczył do ogrodnika.

— Był dzisiaj Warner na zamku i mówił mi kamerdyner — tu obejrzał się ogrodnik — że pan nasz sprzedaje Dąbczyn!

— Pan wasz sprzedaje Dąbczyn!

— A tam... Oj! ja to zaraz powiedział kucharzowi jeszcze na wiosnę: „Mateuszu, obaczysz, że lutrzy, co tu przyszli z Pomorza, wypędzą ztąd i pana i nas z kretesem.“ Bo to była obraza bozka! Wszystkich ekonomów poodprawiać, oraz parobków i dziéwki, a natomiast nabrać téj hałastry, która kazała się nazywać to amtmanem, to ferwalterem, to znowu czémsić! Mieli oni nibyto lepsze gospodarstwo zaprowadzić, pomalowali wozy i pługi... ale téż zmalowali i dyabła! Dzisiaj oni będą tu panowali, a dziedzic z pradziada i sługi z pradziadów w świat z torbami pójdą. Jeszcze panu to nic, bo mówią, że panom i w piekle źle nie będzie, ale człowiekowi...

Stary chciał tutaj łzę z oka strącić i właśnie w tym celu rękę do góry podniósł, gdy nagle w ręce zobaczył list, z którym z zamku go wysłano.

— Cóż to za list?—zapytał Jerzy, któremu nagle wszystko chodzić zaczęło przed oczyma.

— Ot wielmożny panie — odparł ogrodnik, kłaniając się nisko — i w takiém nieszczęściu i jeszcze obraza boska!

— Jaka obraza?

— A jużci obraza, aby do bezdusznéj bestyi pisać cedułkę i jeszcze katolika z nią posyłać. Co to panom! Albo im biéda, czy co?

— Do kogoż ten list?

— A jużci nie do kogo innego—odparł ogrodnik, pokazując z ukosa na Pampę — jak do téj zamorskiéj bestyi! Panna Janina kazała mi tu zanieść.

Jerzy wydarł list z ręki ogrodnikowi i przeczytał

na adresie: „Do mojéj drogiéj Pampy“. Rozerwał pieczątkę i czytał:

„Moja najdroższa Pampo! Gdybyś mi w téj chwili powiedziała, że mnie kochasz, byłabym szczęśliwą ze łzami memi, które teraz wylewam. Ale ja od ciebie tego drogiego słowa, za którém tak tęsknę, już nie usłyszę. Dzisiaj jeszcze wyjeżdżam z mamą daleko — oh! daleko od ciebie! Nawet pocałunku już ci dzisiaj nie prześlę, chociaż serce moje tak tego pragnie!... Pampo moja! Tyś mnie kochała, gdym była wesoła, gdym się śmiała do ciebie... ty nie zapomnisz o mnie, gdy z dala od ciebie będę płakała, będę smutną, nieszczęśliwą!... Kochaj mnie, mój drogi ptaku, bo mi dzisiaj koniecznie potrzeba miłości, abym daléj żyć mogła! Twoja na zawsze

Janina“.

Gdy Jerzy oczy od tego szczególnego listu zdołał oderwać, już ogrodnika nie było przy progu, a nawet woń spirytusu, którą biédny chciał uśpić robaka zmartwienia, znikła gdzieś bez wieści.

Jerzy spojrzał na zégar—on ten list czytał przeszło godzinę! Pochwycił za kapelusz i wybiegł na ulicę, szukając czémprędzéj oczyma tego starego zamku, który zamykał w téj chwili całe jego szczęście.

Już od rana dnia tego smutno było w zamku dąbczyńskim. Niespodziany wyjazd hrabiego Leona, który wcale na pewne nie przyrzekał powrócić, wszystkich zasmucił i pokwasił. Tak upragnione nadzieje spełzły na niczém i tém większy zostawiły po sobie żal i smutek, im więcéj zbliżała się jakaś smutna, nieodga-

dnięta katastrofa, która jakkolwiek niewidzialna, ciężyła już gdzieś w atmosferze nad głowami mieszkańców.

Rumiana, niegdyś gładko ogolona twarz margrabiego pomarszczyła się w kilku miejscach; biała chustka pod szyją już nie była zawiązana z taką, jak niegdyś fantazyą, tylko frak tabaczkowy i popielate pantalony w niczém się nie zmieniły. Niemały bowiem ciężar spoczął na barkach margrabiego. Budowa zakładu fabrycznego w Mogiłach ogromny sprawiła mu kłopot. Potrzeba było piéniędzy, materyałów *in natura*. Tu znowu Warner, chcąc gospodarstwo dąbczyńskie na lepszéj stopie postawić, sprowadził z Pomorza całe stado oficyalistów, parobków, dziéwek, krów i baranów, porobił z folwarków istne kancelarye, w których wprawdzie wszystko porządnie było na papiérze zapisane, ale które dotąd żadnego nie wykazały dochodu, tylko bajeczne niedobory. Gospodarstwo zaczęto bowiem od wielkich wkładów, które mogły za lat kilka obfitą przynieść korzyść, ale majątek wcale w piéniądze niezasobny, musiały przed tym czasem zrujnować. Pozakładano sztuczne łąki, sprowadzono wodę, mokre pola osuszono rowami i drenami, poczyniono plany na nowe budynki gospodarskie—wszystko to pochłonęło ogromne sumy, za które wysoki opłacało się procent. Termin zaś do wypłaty sum był taki krótki, że niepodobna było spodziéwać się do tego czasu z poczynionych wkładów znaczniejszych korzyści. Było to wszystko jakby wyrachowane na wywłaszczenie margrabiego, i jemu samemu nie tajne było to niebezpieczeństwo; ale nadzieja złotego runa, które spodziéwał się wkrótce znaléźć przy rozpoczęciu fabryki, na

tak ogromną skalę założonéj, utrzymywała go jeszcze przy wcale niezłym humorze.

Już jeden plan jego, ożenienia Janiny z hrabią Leonem, spełzł prawie na niczém. Do wczoraj wierzył jeszcze margrabia w zręczność swojéj żony, która całą tę rzecz wzięła na siebie. Dzisiaj jednak rozczarował się dosyć niemile, gdy hrabia Leon grzecznie z nim się pożegnał, ale o powrocie swoim bardzo zagadkowo wspominał. Odczytawszy więc raporta swoich amtmanów i ferwalterów, i popsuwszy sobie niemi i tak kwaśny już humor, wyszedł z gabinetu, i ciemną, wązką galeryą udał się wprost do „błękitnego pokoju“.

Margrabina siedziała już od rana w téj świątyni marzeń i wspomnień swoich. Gorącego serca kobiéta, o licznych zmarszczkach na twarzy, a płonącém jeszcze oku, siedziała zamyślona nad książką, w czérwony safian oprawną, któréj znana nam dewiza: „*la passion c'est la vie*“, wydawała się jak uśmiéch szyderczy na twarzy konającego człowieka. Większa część téj książki była już zapisana. Autorka „Wyznań kobiéty“ złożyła tam połowę swego życia drżącą ręką, ale gdy jéj przyszło dać temu wszystkiemu jakiś koniec piękny i wzniosły, nie umiała sobie już dać rady. Wszystko to, co dotąd w hołdzie dla namiętności ludzkich była spisała, było pstre i jaskrawe, jak szmatki i odcinki różnokolorowe, które odcięte od jakiegoś pięknego dzieła, walają się wyrzucone na śmiecisku. Biédna autorka myślała, że utworzy jakieś przecudne dzieło, a ona pozbierała tylko te odcinki na śmiecisku życia!

Margrabina przewracała kartki jednę po drugiéj; były to chwile i dni jéj życia. Jakże bolesną jest ta

burzliwa przeszłość dla kobiéty o twarzy pomarszczonéj! Każda jéj zmarszczka, która jak siatka misterna okrąża jéj smutne, zamyślone oko, jest dla niéj smutném pismem, głoszącém, że jéj życie, któremu trzeba już odjąć namiętność, stanie się tylko powolném konaniem!

W tych smutnych pogrążona kontemplacyach, usłyszała jakiś szelest za sobą. Niegdyś na taki szelest biło jéj serce, krew farbowała lica, jak farbuje jutrzenka niebo poranne, a dzisiaj tylko uczucie jakiéjś trwogi zadrgało w jéj lękliwém sercu, które tyle przebyło uniesień, a żadnego z nich nie schowało w sobie na czasy smutku i żałoby!...

Margrabina spojrzała na siebie, a ś. Jan Baptysta z białym u nóg barankiem odsłonił jéj pomiętą już nieco troskami postać dozgonnego towarzysza.

— Jakie ty szczególne miewasz przeczucia, mój drogi Achilu!—zawołała margrabina, zamykając książkę w czérwony safian oprawną.

— Ale twoje przeczucia, kochana Hermino, oszukały mnie!—odparł smutno margrabia.

— Jakie przeczucia?

— Hrabia Leon odjechał, nie spojrzawszy nawet na Janinę!

— Ach, ty jesteś okrutny! Przeczuwając, co się w mém sercu dzieje, do kielicha cierpień moich dolewasz jeszcze goryczy!

Margrabia nic nie odpowiedział. Obrócił się do ściany i wpatrzył się w Samsona, któremu kobiéta włosy ucina.

— Nie uwierzysz, ile ja na tém cierpię!—mówiła daléj margrabina.

— Niepotrzebnie wplątałaś hrabiego Leona w mi-

łostki z majorową—odparł margrabia, nie odrywając oczu od Samsona.

— Któżby się spodziéwał, że do tego przyjdzie! Opiérając się na doświadczeniach serca...

— Popsułaś los Janinie.

Margrabina przyłożyła chustkę do oczu i poczęła płakać. Usłyszawszy to margrabia, odwrócił się od Samsona, do którego jakąś szczególną miał sympatyą, i zbliżywszy się do żony, rzekł:

— Już się stało, kochana Hermino, musimy sobie wzajemnie wybaczać.

— Mnie do tego kroku wiodło serce matki—mówiła śród łez margrabina—ja chciałem dla Janiny jak najlepiéj!

— Nic tak bardzo złego się nie stało — odparł spokojnie margrabia, patrząc z upodobaniem na popielate swoje nogi.—Janina może się zawsze podobać, jeźli nie ten, to inny!

— Ach, ona strasznie cierpi!

— Nie spodziéwałbym się tego. Janina, widać było, nie lubiła go.

— Ty nie znasz serca kobiéty. Janina z razu nie lubiła go, bo była przekonaną, że on dla niéj przyjechał. A gdy spostrzegła, że on tylko grzecznością ją zbywa, a gdzieindziéj swój afekt zwraca, biédna dziéwczyna ledwie nie oszalała i nawet dosyć widocznie chciała go do siebie przyciągnąć. Zresztą rozsądek nakazywał jéj nie lekceważyć tak dobréj partyi. Ale gdy wczoraj wieczór hrabia Leon dosyć obojętnie z nią się pożegnał i wszystkie jéj nadzieje zawiedzione zostały, biédna Janina aż spazmów dostała, tak ją to zmartwiło. Obrażona duma kobiéty jest to coś

strasznego. Janina była pewną swego — zawiedziona dzisiaj byłaby w stanie zrobić z siebie ofiarę! Czy wiész, co mi dzisiaj na moje refleksyi odpowiedziała? Mówiła: „Mamo, czy ja koniecznie mam iść za księcia lub hrabiego? Jabym poszła za naszego doktora. *Il est très bien!* Ja go bardzo lubię!“

— Dziecko!— ozwał się margrabia, posuwając rękę spokojnie po gładko ogolonéj brodzie.

— A wiész, to tylko rozpacz mogła jéj takie słowa podyktować—mówiła daléj margrabina.—To może ci służyć za miarę jéj cierpień.

Nieszczęście córki zelektryzowało popielate nogi margrabiego. Wstał z krzesła, na którém przed chwilą był usiadł, i szybko zbliżył się do okna. A do bramy zamkowéj wjeżdżał właśnie powóz angielski starego negocyanta.

Jakieś niedobre przeczucie opanowało serce margrabiego. W milczeniu zbliżył się do ś. Jana Baptysty, który skwapliwie odsłonił mu drzwi do wązkiéj, ciemnéj galeryi.

Margrabina została sama w świątyni swoich wspomnień i marzeń. Rozłożyła znowu książkę w czérwony safian oprawną, spojrzała smutno na dewizę, w którą od pierwszéj zmarszczki z każdym dniem poczynała tracić wiarę, i zamyśliła się głęboko nad losem biédnéj, rozpaczającéj jedynaczki, w któréj sercu jednak nie umiała czytać!

Margrabia posadził bankiera na kanapie w swoim gabinecie, jak to zawsze od czasu spółki zwykł był czynić. Ale złoty jego humor opuścił go dzisiaj. Mi-

mo wszelkiego wysilenia miał minę kwaśną. Stary negocyant spostrzegł to, a szybki jak błyskawica uśmiéch przebiegł po jego zżółkłéj twarzy.

— Pan margrabia utraciłeś gościa—zaczął bankier, poprawiając sztywnych kołnierzyków — a ja córkę...

— Piéniężne interesa wezwały go do Berlina— odparł margrabia.—A pańska córka... aha, już po weselu!

Stary negocyant znowu się uśmiéchnął. Jego plany udawały się mu wybornie.

— Jestem w ciągłych kłopotach, panie Warner —mówił daléj margrabia, porzucając niemiły mu przedmiot rozmowy—nowe gospodarstwo bardzo wiele kosztuje, a nic nie przynosi.

— Tego roku powszechny nieurodzaj.

— I fabryka nie mało mi trosk sprawia... pół roku już na schyłku, a dotąd nie ma ani nadziei...

— Właśnie w tym interesie przybyłem, trzeba coś stanowczego uradzić.

— A cóż jest więcéj do uradzenia? — zapytał zdziwiony margrabia.—Wszak nic nam nie trzeba, prócz tego czasu, w którym fabrykę w ruch puścimy!

Negocyant skrzywił się, jakby mu kto octu do gęby nalał, i rzekł:

— Daleko jeszcze do tego, panie margrabio, bardzo daleko.

— Jakto, daleko?

— Okazało się, że potrzeba więcéj piéniędzy i większéj skali, abyśmy jaki zysk miéć mogli.

— Co mówisz, panie Warner!—zawołał margrabia z wyrazem trwogi na twarzy.

— Tak jest—odparł spokojnie bankier—wiadomość ta popsuła mi radość wesela, które właśnie mojéj Matyldzie sprawiałem.

Margrabia milczał czas niejaki, poczém ozwał się cichym głosem, w którym przebijała się trwoga;

— A ileżby brakowało?

— Dwie trzecie części — rzekł spokojnie bankier, wlepiwszy wzrok w twarz margrabiego.

— Dwie trzecie części! — krzyknął margrabia i wstał z krzesła.

Negocyant śledził pilnie wszystkie jego ruchy, a gdy margrabia, chodząc po pokoju, plecyma do niego się obrócił, szatańska radość strzelała mu z oczu. Nie mógł być panem uczuć swoich i z niepokojem kręcił się na krześle.

Gdy margrabia napowrót na swojém krześle usiadł, miał już twarz spokojną, jakby się wcale nic nie stało.

— Dwie trzecie części, mówisz, panie Warner— rzekł powoli i z uwagą—to będzie dla mnie niemałym kłopotem.

— A tém większy kłopot — mówił daléj negocyat—że te dwie trzecie części tylko z dwóch rąk wypłynąć mogą.

— Dla czego z dwóch?

— Bo Pifke zbankrutował!

— Pifke zbankrutował! — zawołał margrabia i równemi nogami wstał z krzesła.

— I wprowadził nas w wielkie nieszczęście— dodał stary negocyant z westchnieniem.

Był to niespodziéwany cios dla margrabiego. Wszystkie jego nadzieje opiérały się jedynie na tém

przedsiębierstwie. Ostatni ratunek spełzł na niczém. Chciał, według zwyczaju, poprawić sobie chustkę, chciał posunąć ręką po gładko ogolonéj twarzy, ale ręka jego zadrżała, odtrąciło ją coś od chustki i od twarzy.

— I cóż robić w tym razie?—zapytał głosem bez dźwięku.

— Nic nie robić... zaniechać całego przedsiębierstwa... przynajmniéj na niejaki czas.

— Nie, nie, nigdy... mnie by to zgubiło — zawołał szybko margrabia.

— Innéj rady nie ma na to — odparł zimno bankier. —Najprzód bankructwo Pifkiego rzuca nadzwyczaj złe światło na całe przedsiębierstwo. Opinia już źle uprzedzona... żadnego innego spólnika nie dostaniemy. A dla mnie samego jest to za wiele. Dwoje rąk nie wystarczy tutaj.

— Jabym odstąpił komu moje akcye—rzekł margrabia cichym głosem.

— A któż je weźmie?—poderwał negocyant.— Ja dałbym pół straty!

Margrabia spojrzał smatno na swoje nogi popielate, spojrzał smutno na ścianę, gdzie z żelaznéj zbroicy wisiał kasztelan Jarost, zabity w potrzebie przeciw Krzyżakom, i zdawało się, że w téj chwili żałował, że urodził się w czasach nieszczęsnych spekulacyj. Jakoś przyzwoiciéj było mu stracić życie, niżeli majątek.

— O nową pożyczkę trudno—rzekł po chwili.

— Ani myśléć!—podjął szybko negocyant — do tego... mimo mojéj wiédzy i woli zanotował mój prawnik dziesięć tysięcy dukatów... ale to nic... tylko że dla pożyczki...

— Jakie dziesięć tysięcy dukatów? — zapytał z zadziwieniem margrabia.

Warner odkrząknął, uśmiéchnął się pod chustką do nosa i zaczął:

— Zapewnie przypomni sobie pan margrabia, że kupując Mogiły od pana Górnickiego, wziąłem od niego cesyą wszystkich jego pretensyj. Mówił on mi o należytościach u pana margrabiego, ale że na nie skryptu nie mógł znaléźć, więc przyjąłem je ryczałtem za pewną dodatkową sumę. Dzisiaj między pozostałemi papiérami odszukał mój prawnik własnoręczne skrypta pana margrabiego...

— Moje skrypta... nie prawda! — zawołał margrabia—to jakieś krętactwo...

— Mam tu wierzytelny odpis—rzekł—bankier wyciągając długi papiér z zanadrza.

Margrabia szybko przebiegł go oczyma.

— To nie moje kwity!—krzyknął—Górnicki administrował mój majątek!

Negocyant wzruszył ramionami.

— Sąd przyjął je za skrypta długu—odparł spokojnie.

— Ale nie przyjmie za dług. Wszak Górnicki, o którym nie wiedzieć, gdzie się znajduje, gdy się go powoła...

— Górnicki już nie żyje. Niejaki Link, który jest teraz u nas, a który wtedy był w Galicyi, widział na własne oczy jego śmierć roku 1846 i w sądzie zaprzysiągł.

Margrabia z trudnością znalazł krzesło i rzucił się na nie.

— Cóż to wszystko znaczy, mój panie Warner?—zapytał po chwili.

— To nic a nic nie znaczy—odparł szybko negocyant, widząc, że margrabia blednieje — wszak mówiłem, że to wszystko stało się mimo mojéj wiedzy i woli. Ja wiele rzeczy uczyniłem dla pana margrabiego; takie drobnostki nie powinny waśnić między sobą spólników.

Kasztelan grodzki Jarost zachmurzył się i gniewnie spojrzał na ostatniego swego potomka, który w taką wszedł spółkę. Ale potomek jego nie myślał w téj chwili o fundatorze Dąbczyna, nie myślał o jego napisie na bramie, który wyraźnie mówił, że „ad tuendum populum“ te mury wznosi — margrabia myślał w téj chwili nad tém, jakby to z tych smutnych zawikłań wyjść z przyzwoitością.

— Dla czegoż pański prawnik...

— Mój prawnik pośpieszył się—przerwał szybko negocyant—ale ja napisałem mu, że cała ta rzecz ułoży się między nami w cztéry oczy. To bagatela.

— Ale ja nic nie winien panu Górnickiemu!

— A gdyby nawet i na tém poprzestać trzeba było, to cóż robić? Mamyż się procesować?

Margrabia spojrzał na bankiera. On nie miał wiary w przyrodzoną szlachetność serca ludzkiego. Według niego interes, przyzwoitość i to, co nazywamy honorem w obec ludzi, były to jedyne sprężyny życia. Wszystko zresztą było tylko frazesem. Dla tego postępowanie negocyanta było dla niego zagadkowe.

— Jakto, pan nie chcesz użyć tych papiérów na moję niekorzyść?—zapytał po chwili.

— W tym razie, jeźli od daleko większych uchylę się niekorzyści—odparł spokojnie negocyant.

— I w jaki sposób może się to stać?

— Jeźli pan margrabia zachowa się od grożącego mu upadku.

— Jakto, mnie grozi upadek?—zawołał z dumą margrabia.

— Tutaj, na téj pozycyi, niezawodnie — odparł negocyant z nadzwyczajną spokojnością.

Margrabia przygryzł usta. Jakieś złowieszcze cyfry stanęły mu przed oczyma. Powoli upadała w nim ta wiara tradycyjna, że potomek tak świetnego rodu nigdy upaść nie może i z mniejszą już dumą ozwał się do negocyanta:

— Zdaje mi się, że to zawcześnie jeszcze mówić o tém.

— Ale nie zawcześnie, aby mówić o sposobie ratunku!—wtrącił negocyant.

— Jakiż byłby sposób ratunku, jak pan powiadasz?—zapytał cichym głosem.

— Najprzód mówmy o najgorszém — zaczął negocyant, posuwając się na kanapie.—Zebrawszy dzisiejsze pasywa razem, okaże się z nich, że pan margrabia jest insolwentem. Stagnacya fabryki narobi hałasu—banki ześlą komisyą do zbadania dóbr i wypowiedzą pożyczki. A przecież to nie z honorem dla pana margrabiego, tracić majątek przez subhastę.

— Nie... nie, nigdy!—zawołał margrabia — coby świat na to powiedział! Mówiliby, żem zbiédniał do koszuli!...

— Otóż temu trzeba będzie zaradzić.

Margrabia założył ręce i bezmyślnie patrzył przed siebie. Negocyant odkrząknął, uśmiechnął się i mówił daléj:

— U nas tutaj cena ziemi jest nadzwyczaj wy-

soka. Przemysł i porządna praca kolonistów jest tego przyczyną. Możnaby dość dobrze Dąbczyn sprzedać...

— Sprzedać! Nie, nigdy! — zawołał margrabia i przełożył nogę na nogę.

— Możnaby rozgłosić, że się to czyni w celu przesiedlenia się w jakich familijnych widokach. Ze sprzedaży zostałaby się zawsze jakaś sumka, za którą możnaby gdzieś na Podolu lub Wołyniu kupić kawał obszaru. U nas ziemia i człowiek w takiéj cenie, a tam dusze za bezcen!—dodał z sarkastycznym uśmiéchem.—To kraj jakby stworzony dla panów!

Margrabia nie słyszał tych dodatków uszczypliwych, bo myśl przesiedlenia się, która jego upadek tak szczęśliwie pokrywała, owładnęła wszystkie jego zmysły.

Widząc to negocyant, zatarł ręce i mówił daléj:

— Aby uniknąć subhasty sądowéj, jabym wziął kupno Dąbczyna na siebie. Dałbym nad sumę ostatniego oszacowania...

Margrabia wytężył ucho — suma wcale nie była do odrzucenia. Powoli zaczął się mu świat rozjaśniać —on myślał, że z hańbą i wstydem trzeba będzie kiedyś wyzuć się z majątku, a tu poczciwy człowiek ratuje go tak niespodzianie! A wstyd ubóstwa w obec świata, to hańba niezmazana, to śmierć!... A do tego taka ładna suma!

— Rozumié się — mówił daléj negocyant—że to czynię w nadziei, iż na Dąbczyn potém kupca znajdę, lub folwarki pojedyńczo odprzedam kolonistom, bo naturalnie na takie dobra nie stać biédnego negocyanta—dodał z uśmiéchem hipokryty.

Margrabia nic na to nie odpowiedział. Liczył

w duchu zakupione na Wołyniu dusze i z dumą wydął policzki, że znowu będzie panem, jak przystało na potomka Jarosta. Ów napis na bramie, owe „ad tuendum populum“ ani mu na myśl nie przyszło! Po chwili, jakby się ze snu obudził, posunął ręką po twarzy, przełożył nogę na nogę i rzekł:

— Wierzaj mi, panie Warner, że już mnie znudziło to przeklęte nasze Poznańskie. Wielkie familie upadły lub wymarły — tylko drobna szlachta i dorobkiewicze. Nie ma nawet z kim żyć przyzwoicie. Gdybym miał jakie takie, godne towarzystwo, nie bawiłbym po za granicach, co mnie tyle kosztowało. W takich okolicznościach koniecznie zrujnować się trzeba. Więc wcale nie byłbym od tego, aby się przesiedlić. Tam to jeszcze są większe majątki, można jakoś żyć z ludźmi. U nas to sama hołota. Trzeba się nad tém zastanowić.

— Nie można odwlekać.

— Trzeba przecież wykazów...

— Mam wszystko przy sobie... bo i nademną się pali. Pifke wiele mi zaszkodził.

Margrabiemu podobała się ta sprężystość negocyanta. Chciał on bowiem jak najprędzéj rozstać się z majątkiem, który mu tyle co dnia przynosił kłopotów, a żadnych nie dawał dochodów.

Uradzono więc jak najprędzéj skończyć ten interes, a tymczasem udał się margrabia do rodziny, aby ją o tym niespodziewanym wypadku zawiadomić.

Margrabina siedziała jeszcze w swojéj świątyni marzeń, oraz wspomnień i przewracała karty książki czérwonéj. Czytała właśnie stronicę z czasów, gdy była młodą i szczęśliwą, gdy wszystko paliło ofiary jéj

młodości i drżało na jéj ogniste spojrzenia. Dzisiaj prócz kolców nie pozostało nic z tych kwiatów wiosennych, żaden z nich nie dotrwał do jesieni, do późnéj jesieni! I gdzież teraz szukać odwagi, gdy chmura nieszczęścia zawiśnie nad głową? Na czém oprzéć zemdlałe ramiona, gdy podróż życia zaczyna być smutną i bolesną! Którąż namiętność weźmiemy wtedy w tę podróż?

— Kochana Hermino!—zawołał margrabia, zasuwając szczelnie ś. Jana Baptystę—mówiłem ci przed chwilą, że sobie wzajemnie wybaczać musimy. Przychodzę z nowiną, która na pozór jest niemiła, przy zimniejszéj jednak rozwadze wcale jest dobrą.

Margrabina zamknęła karty swojéj młodości i zwróciła się do męża. Margrabia opowiedział jéj powoli wszystko, co zaszło. Skreślił jéj stan obecny majątku i widoki swoje na przyszłość.

Margrabina słuchała na pozór z wielką obojętnością. Ale przy ostatniém słowie zbladła. Głowa jéj upadła bezwładnie na poręcz krzesła.

— Uspokój się, Hermino!—zawołał margrabia, biorąc ją za rękę — to jeszcze wcale nie źle dla nas wypadło!

— Ach, wyzuci z majątku!—krzyknęła spazmatycznie nieszczęśliwa kobiéta.

— Nasze imię wystarczy nam odtąd za wszystko!

— Biédna Janina!

— Z tém imieniem znajdzie zawsze męża, który odpowié jéj urodzeniu!

— Dzisiaj świat taki brzydki, dzisiaj każdy szuka majątku!

— Na Dąbczynie, który właściwie był do nicze-

go, a w końcu po uregulowaniu stosunków włościańskich ani szeląga dochodu nie niósł, nic nam wcale nie zależy. Niech sobie tutaj koloniści gospodarują. Dla nas jeszcze pole na Podolu i Wołyniu. Że tam nasz majątek przenosimy, cóż na tém tracimy? Może to stare zamczysko, co się wali?

— Ja nie mogę z tém się oswoić!—mówiła z płaczem spazmatycznym margrabina.—Ja tutaj umrę!

— Chcę, abyście z Janiną jak najprędzéj wyjechały do Drezna.

Po spłakanéj twarzy margrabiny mignęło jakieś weselsze uczucie.

— Do Drezna mówisz?—powtórzyła spokojniejszym głosem.

— Do Drezna. Jest to tanie i ciche miasto. Ja sam ukończę tutaj interesa, a przez to uchylimy się od pytań natrętnych. Co zaś w interesie opinii trzeba będzie zrobić, to uczynię. Terenia zostanie ze mną.

— Terenia zostanie?

— Widzę, że ta biédna idyotka codzień więcéj ma dziwactw, które Janinę trwożą. Pomyślę nad jéj umieszczeniem w jakim przyzwoitym klasztorze.

— To bardzo rozsądnie zrobisz... bo dla niéj tylko klasztor może być azylem na tym świecie!—rzekła z głębokiém westchnieniem margrabina.

— A teraz powiédz coś o tém wszystkiém Janinie — kończył margrabia, zwracając się do ś. Jana Baptysty.

— Kiedy odjedziemy do Drezna?—zapytała jeszcze margrabina.

— Dziś, jutro... kiedy chcesz, kochana Hermino—odparł margrabia i zniknął w ciemnym kurytarzu.

Jasne promienie słońca, wysokiém, gotyckiém oknem spływające z pogodnego nieba na kamienną posadzkę, zatrzymały nagle margrabiego, który zamyślony wychodził z ciemnéj galeryi. Powiódł okiem po tych ciepłych promieniach, zajrzał w pogodne, szafirowe niebo, i zdawało mu się, że jakaś stęchlizna grobowa naciska na jego piersi.

Zbiegł po schodach i wyszedł na dziedziniec.

Na dziedzińcu walało się kilka odłamanych z muru kamieni, na których wyobrażony był herb Dąbczyńskich. Tam kupa gruzów, czérwoną posypanych cegłą, dawała schronienie żabom i płazom — wszędzie zniszczenie i ruina. Kamienny krużganek na lewym rogu zamku pochylił się i groził upadkiem, dach miedziany pośniedział i załamał się na samym środku, a na wieży zamkowéj zégar, wskazujący godzinę jedenastą już od kilku miesięcy, jakby chciał wołać na mieszkańców: już czas ostateczny! Margrabia zwrócił się na prawo. Przed nim stała kaplica zamkowa. Na kamiennym progu, w pokorze ducha, kazał wyryć fundator imię swoje, prosząc wchodzących przez ten próg o modlitwę dla duszy swojéj. Przez małe, żelazną kratą opatrzone okno padało światło w podziemia kaplicy. W tych podziemiach były groby Dąbczyńskich. Margrabia zajrzał przez to okno—woń pleśni i próchna odepchnęła go. Jakieś niemiłe uczucie opanowało jego serce. Śpiesznie postąpił naprzód, aby jak najprędzéj prochy ojców swoich za sobą zostawić. On chciałby w téj chwili jak najprędzéj od nich się oderwać, on chciałby pójść tam, gdzie nie ma żadnych smutnych wspomnień, żadnych smutnych pamiątek! I nie słyszał wcale, że na krużganku kaplicy zapłakały głoś-

nym płaczem olbrzymie, kamienne postacie, które „ad tuendum populum“ kasztelan Jarost tam był postawił, i rozwinęły szaty swoje, aby ztąd odlecieć daleko, daleko!... I rzekł w duchu do siebie margrabia:

— Urojone jakieś uczucie przywiązuje nas do miejsc dawnych. Dla czegoż nie zostawić gruzów za sobą, gdy ich nie można przerobić w gmach okazały? One nas tylko przygniatają i niepokoją. Dla czegoż nieustannie straszyć się widmem przeszłości? Niech śpią umarli — przeszłość pogrzebana — a dla nas życie! Dąbczyńscy i bez tych gruzów i bez tych kilku obszarów mokréj ziemi, będą zawsze tém, czém byli!

A gdy do zamku powrócił, był już tak spokojny, tak niecierpliwie czekał negocyanta, któryby jak najprędzéj zdjął mu ten nieznośny ciężar z serca, tę kupę gruzów i tych kilka garści prochów i kości, które z podziemia kaplicy tak niemile go zawiały!

Chciał jeszcze przejrzéć wszelkie swoje mobilia, aby je ocenić i jakąś sumkę za nie negocyantowi oznaczyć.

Wszedł najprzód do błękitnego pokoju. Starożytna komnata przejęła go w swoję duszną atmosferę, ścisnęła go za piersi i serce, ale margrabia odkrząknął i spokojnie szedł daléj. Na ścianie wisi wielki obraz, przedstawiający hołd Krzyżaków po odniesioném zwycięztwie. Po drugiéj stronie mistrz Albert zrzuca habit zakonny i z rąk Zygmunta odbiera godność książęcą, jako piérwszy książę pruski i lennik polski. W obu obrazach figurują Dąbczyńscy na piérwszym planie, ale pędzel gruby, układ figur wcale nie artystyczny; dla kupca nie mają te obrazy żadnéj wartości. Margrabia minął je, nie oznaczywszy na nie żadnéj ceny.

Przy oknie stoi mały, trójgraniasty stolik, ze skórzanemi po bokach workami. Zapewnie służył on do gry w kostki. Dla kupca to grat stary—chyba w piecu go spalić!

Z tego pokoju prowadzą do wieży zamkowéj tajemne drzwiczki. Margrabia pocisnął sprężynę — duszna atmosfera uderzyła mu na piersi. To skarbiec Dąbczyńskich. Pełno dziwnych, dawnych sprzętów. Świeczniki z drzewa toczone i jaskrawemi malowane barwami. Tam roztruhany potłuczone, dziwnych kształtów, kilkanaście sztuk zardzewiałéj zbroi, tuzin kopij i kilka skrzydeł husarskich, a w kącie porzucone na ziemię leżą księgi i papiéry — to archiwum Dąbczyńskich. Mól i robak roztoczył te stare graty. Margrabra zamknął drzwi; dla kupca nie ma to rupiecie żadnéj wartości!... Nad kominem wiszą trofea Dąbczyńskich. Buńczuki, chorągwie, kindżały, zbroice krzyżackie, miecze cesarskie — sama rdza i łachmany! Kupiec wyrzuci je oknem!...

Nie znalazłszy nic takiego, na coby jaką cenę położyć można, wrócił margrabia do swego gabinetu w kwaśniejszym nieco humorze.

— Ekonom z Czarnowód chce z jasnym panem mówić—ozwał się lokaj przy drzwiach.

— Czego chce, może i w kredensie powiedzieć!— odparł z niecierpliwością margrabia.

— On chce tylko z jaśnie panem mówić.

— Nie mam czasu.

Za chwilę jakiś łoskot dał się słyszeć w przedpokoju, a do gabinetu margrabiego wpadł zapérzony

Mietlica. Za nim z rozczochraną fryzurą wsunął się łokaj.

— Niech jaśnie wielmożny pan daruje — rzekł Mietlica, odsapując głęboko — ale te bałwany nie chcieli mnie tu wpuścić.

— Czego chcesz człowieku?—zawołał margrabia, a lokaj tuż nad kołniérzem Mietlicy wstrzymał rękę.

— Najprzód niech jaśnie wielmożny pan odpędzi tę obrzydłą małpę, która ma kark tak twardy jak u dzika, a potém będę prosił łaski jaśnie wielmożnego pana o kilka słów na osobności, w bardzo ważnym interesie. Jam z jenerałami mawiał nieraz.

Mietlica mówił to z największą determinacyą i wyprostowany, jak przystało na wiarusa drugiego pułku ułanów, czekał odpowiedzi. Margrabia dał znak służącemu, aby się oddalił.

— Cóż to za ważny interes? — zapytał ekonoma.

Mietlica miał twarz tak dziwnie czérwoną, że trudno było z niéj wyczytać, czy płakał, czy kilka kieliszków wódki nad zwykłą miarkę wypił. Zdaje się, że jedno i drugie razem się złączyło, bo pod oczyma widoczne były ślady łez, a w koło głowy unosiła się jakaś anyżowa atmosfera, w któréj topił swego robaka stary wiarus. Margrabia zmarszczył brwi i niecierpliwie patrzył na suplikanta. Mietlica zaczął z uśmiéchem jakiegoś zadowolenia:

— Daleko lepiéj skończyła się ta sprawa, niż się obawiałem. Bo téż jam nie miał pokoju i dniem i nocą. Zawsze mi Mateusz stał przed pczyma, jak

święty Piotr w okowach. Ale ja sam nie podołam, bez łaski jaśnie wielmożnego pana...

— Czego chcesz? mów jasno!—zawołał margrabia.—Ja cię nie rozumiém.

— Wszak wiadomo jaśnie wielmożnemu panu, że Mateusz Wojna, wnuk prawowity tego Sebastyana Wojny, który ten zégar na wieży składał, podstępem i zdradą człowieka niepoczciwego, którego cały Dąbczyn zna, że ma myckę na głowie i brzuch tłusty, wszedł do kałauzu, a jest niewinny jak święty Piotr w okowach?

— Cóż mnie do tego?—zawołał niecierpliwie margrabia.

— Jaśnie wielmożny panie.—odparł Mietlica.—Pradziad, dziad i ojciec Mateusza Wojny służyli w tym skarbie, a Mateusz nawet do ostatniéj godziny, nim z miasta odchodził, nakręcał zégar na wieży zamkowéj, i bywało, nieraz opowiadał mi, jak łaskawy był zawsze jaśnie wielmożny pan dla wnuka Sebastyana, który układał własnoręcznie ten zégar. Do kogoż mam się więc udać po pomoc dla biédnego Mateusza, który teraz jęczy...

— Cóż ja mu pomogę?—przerwał margrabia.

— Bo to jest taki interes—mówił daléj Mietlica, uśmiéchając się dowcipnie.—Zły sąsiad i burmistrz tutejszy usadzili się na biédnego Mateusza, wywiedli go za granicę i tam do kozy wsadzili. A tu tymczasem chcą mu rozwalić jego domek, który, z łaski dziedziców Dąbczyna, wystawił pradziad jego Sebastyan, ten sam, co to układał ten kunsztowny zégar na wieży.

— To być nie może — rzekł margrabia z miną, która coś niedobrego wróżyła Mietlicy.

— I jam tak z razu myślał... kubek w kubek— odparł ekonom, ośmieliwszy się podnieść rękę do wąsa—ale przecież inaczéj się stało. Dom jego chcą mu wziąć i rozwalić, bo jest stary i krzywy, a Wojna nie ma piéniędzy, aby nowy wystawić. Otóż pisali tam do niego o tém i teraz kazali go otaksować. I właśnie dzisiaj zapowiédziano publiczną tego domu licytacyą, a zły sąsiad jego już się uśmiécha i głaszcze po brzuchu...

— Powiedz krótko, czego chcesz!

Mietlica uśmiéchnął się, podkręcił wąsa, z którego coś anyżowéj wymknęło się woni, a pociągnąwszy kilka razy po nosie na znak, że teraz dopiéro coś dobrego nastąpi, mówił daléj:

— Bylibyśmy z kretesem sprawę przegrali, gdyby nie wysoki rozum burmistrza! Taksatorami tego domku mianował jednego kolonistę, a drugiego szlifierza! Ha! ha! ha!

— I cóż ztąd?

— Alboż kolonista i szlifierze, co to z kółkiem na każdéj ulicy stacyą ma, alboż to tacy ludzie wiedzą, ile wart jest domek rodzinny! he!... Domek rodzinny, w którym to człek się wychował, gdzie każdy kołek, każdy sęk coś nam przypomina!... Hej, mój Boże!...

Margrabia zmarszczył brwi i widocznie począł się niecierpliwić.

— Otóż ten domek rodzinny Wojny, oszacowali na trzysta talarów. Ha! ha! ha! na trzysta talarów! Jakże szlifierz i kolonista mogą wiedzieć, że domek rodzinny, że ojcowizna to skarb nieoszacowany dla człowieka!... Otóż zaraz pomyślałem sobie: Ten domek trzeba kupić, a gdy Wojna wróci, niech jakoś sobie

z nim radzi. Boć to zawsze w mieście jeden grunt polski i tak coraz mniéj jest tam naszych!

Margrabia miał coś w ustach, co wcale nie sprzyjało staremu gadule, ale nic nie powiedział.

— Mam uskładanych sto talarów — mówił daléj Mietlica, z coraz większą poufałością pokręcając wąsy—a gdybym jeszcze żonkę trochę poszturkał, tobym z niéj wydusił jakie pięćdziesiąt, bo ręczę gardłem, że baba ma coś we węzełkach między bielizną. Ale to wszystko za mało. Braknie mi jeszcze połowa. Panu memu nic nie mówiłem, bo dalibóg pustki w stodołach. A tak jeźli jaśnie wielmożny pan da połowę, to takiego figla wypłatamy temu szołdrze z tłustym brzuchem, który dzisiaj widocznie śmiał się ze mnie...

Chciał jeszcze coś więcéj mówić rozochocony Mietlica, ale już mu czasu zabrakło. Margrabia zadzwonił i z gniewem rzekł do lokaja:

— Zkądże ten zwyczaj, wpuszczać do mnie pijanych ludzi?

Służba czekała tylko tego rozkazu. Mietlica sam nie wiedział, jakim sposobem znikł mu margrabia z przed oczu, a gdy oczy szérzéj mógł otworzyć, ujrzał wielki kawał nieba i boże słońce na niém, ale służby zamkowéj już przed nim nie było.

Margrabia jeszcze nie uspokoił się po tém dziwnem zdarzeniu, gdy służący zapowiedział Jerzego.

— Przeprosić—odpowiedział—jestem zatrudniony, i margrabina nie przyjmuje.

Słowa te słyszał stojący w przedpokoju Jerzy. Idąc do zamku, zdawało mu się, że wypełnia uczynek

chrześciański, że smutnych i bolejących pocieszy współczuciem. Jego współczucia nie przyjęto — pół serca, które niósł w ofierze, odrzucono jak jałmużnę niegodną. On nie wiedział, że duma wynioślejszą jest w nieszczęściu.

Wychodząc z dziedzińca, spojrzał na ten stary, wspaniały zamek—spojrzał na te kamienne, olbrzymie posągi, stojące na krużganku kaplicy, spojrzał oczyma duszy i na tych, co tam w podziemiu leżą w grubych, ołowianych trumnach, leżą w pełnéj zbroi, z prawicą na rękojeści szabli, która tę ziemię zdobyła, a którą dzisiaj oddaje do rąk obcych ostatni ich potomek!

I zdawało mu się, że traci część swego dziedzictwa, które całą duszą ukochał, że te kamienne posągi, z któremi tak często o dawnych czasach rozmawiał, strąci ztamtąd obca ręka kupca, albo ozdobi niemi parkan ogrodu. Smutek ścisnął mu serce, a gdy do okien zamku oczy podniósł, ujrzał Janinę, która trzymała chustkę przy oczach i zasełała mu pożegnanie!

Biédny marzyciel zapragnął samotnéj swojéj izdebki.

Jakże wiele tu się zmieniło w téj izdebce! Pająk rozszerzył siatkę swoję i nałapał much, z których krew wysysał. Z ciemnych kątków wystąpiły do niego te same postacie, na które patrzył z zamkowego dziedzińca, ale były potłuczone i zgruchotane. Ich twarze patrzyły smutno na niego, że je oddano do rąk obcych! Ziemia ojczysta straciła kilka zagonów—kilka pamiątek narodowych spróchnieje i rozsypie się!...

Śród tych smutnych obrazów jasna twarz Janiny mignęła jak błyskawica przed duszą marzyciela. W jego sercu powstała dziwna walka. Zdawało mu się, że

jakaś fałszywa struna tam się nagle ozwała. Z zamku odprawiono go — jego współczucia nie przyjęto. Różne myśli poczęły mu chodzić po głowie.

W tém drzwi się otworzyły — do pokoju wszedł Otton.

Jerzy spojrzał zdziwiony na gościa i w milczeniu wskazał ręką na fotel.

Otton miał twarz bledszą, niż zwykle, oczy zamglone, jakby bezsenną noc przepędził. Jego usta drżały; jakieś wielkie, stanowcze słowo miało wyjść przez nie. Ale Jerzy tego wszystkiego nie widział. Przed jego oczyma stały owe kamienne postacie z krużganku kaplicy i przelękłe cisnęły się do jego samotnéj izdebki. Krawędź ziemi ojczystéj, na któréj stali, odłamała się i pochyliła w przepaść, aby zginąć na zawsze. A przecież to była myśl, która go tu zapędziła, aby na brzegu obcego lądu zaciągnąć się pod sztandar rycerzy kresowych! I cóż uczynił dla téj pięknéj myśli swojéj? On chciał się poświęcić, a tymczasem marzył o samym sobie! Czyż nie lepiéj zerwać tę nić, którą serce swe obmotał, i wrócić napowrót do uczynionych ślubów swoich?

— Nie śmiém podać téj ręki, która do pana mierzyła — rzekł młodzieniec drżącym głosem.

— Krew jest symbolem dobrych uczuć — odparł Jerzy z uśmiechém, bo coś go ciągnęło do tego biédnego młodzieńca.

— A więc z ufnością mogę się panu zwierzyć...

— Słucham pana—rzekł Jerzy, podając mu rękę.

— Wyobraź sobie pan najprzód, że komuś wiele zależy na względach panny Janiny.

Jerzy posunął się na krześle i spojrzał na Ottona.

— O te względy jednak jest mu bardzo trudno, bo te względy pan posiadasz.

Jerzy uczuł rumieniec na twarzy. Kamienne postacie z krużganku kaplicy stanęły gniewnie przed nim i zmarszczyły brwi.

— Nie wiadomo téj osobie, jakie są zamiary pana w téj mierze.

— Moje zamiary?—odparł Jerzy, który do téj chwili tak jasno jeszcze nigdy siebie nie zapytał—moje zamiary?... Ja żadnych nie mam zamiarów.

A kamienne postacie coraz bliżéj okrążały go, coraz więcéj ściskały go między sobą.

— Więc jeźli pan żadnych pewnych nie ma zamiarów—mówił daléj młodzieniec, a blada twarz jego ożywiała się coraz więcéj—to nie będziesz pan stawał na przeszkodzie innemu, który szczérze zajęty jest szczęściem Janiny i całéj rodziny.

Jerzy uczuł, że mu serce zadrżało. Chciał wstać z krzesła i coś groźnego powiedzieć temu nieszczęsnemu posłowi, ale dziwna bezwładność opanowała go. Pochylił głowę jak winowajca, którego schwytano na uczynku, i słuchał daléj.

— Wiadomo panu, że margrabia traci swój majątek — mówił daléj Otton — że po spłaceniu długów prawie mu nic nie zostanie. Cała rodzina zejdzie na nędzę... dom tak okazały upadnie!

Kamienne postacie otworzyły usta, a Jerzy słyszał je mówiące, że wkrótce runą z krużganku, obcą

strącone ręką! Cofną się granice ziemi ojczystéj, zakreślone niegdyś orężem Bolesława!

— Jakiż los czeka biédną Janinę?... A ta osoba pragnie i jest w stanie odżegnać to nieszczęście od domu Dąbczyńskich, ocalić ten zamek starożytny i cały majątek zatrzymać przy rodzinie, byle tylko względy Janiny przychyliły się na jéj stronę. A to tylko pan możesz uczynić. Tylko pan możesz być zbawcą tak znakomitego domu!

Kamienne postacie wzięły się za ręce i otoczyły Jerzego. Poczęły pląsać z radości, że jest ktoś, który je ocali!

— Jakim sposobem mogę ja być zbawcą téj nieszczęśliwéj rodziny?—zapytał po chwili Jerzy, na którego twarzy malowała się wewnętrzna walka.

— Jeźli pan przez zerwanie stosunków swoich z Janiną dopomożesz téj osobie do jéj względów...

— Jakże to być może, mój panie?—rzekł na to zdziwiony Jerzy, któremu w téj chwili przyszła na myśl propozycya starego negocyanta, aby nie umiérał!

— Jeźli pan, jak sam mówiłeś, żadnych nie masz zamiarów, to nawet obowiązkiem jest każdego szlachetnego serca...

Jerzy zarumienił się. Uczuł prawdę tych słów.

— Ale czy tak można traktować o uczucia serca?—rzekł po chwili.

— Janina ma piękne, szlachetne serce. Ona dla uratowania rodziców wiele uczynić może. A potém, gdy pozna bliżéj tę osobę, która dzisiaj do niéj nie może się zbliżyć, przekona się o jéj zupełném poświęceniu dla niéj.

— To będzie miała dla téj osoby szacunek... ale miłość...

— Ugruntowany na takiém uczuciu szacunek stanie się wkrótce miłością... Janina ma piękne, wzniosłe serce!

Ogień zapału zamigotał w pięknych oczach młodzieńca. Silne uczucia rozwinęły dziwnie słabą, miękką jego duszę. Jerzy nie patrzył w téj chwili na młodzieńca; myślał on dziwnym sposobem — o Leoniel A kamienne postacie coraz groźniéj otaczały go w około, wołając głośno: ratunku! ratunku!

— Osoba, w któréj interesie tutaj przemawiam — mówił daléj Otton—miała jeszcze wydane do rąk swoich papiéry, które wielu rodzinom mocnoby zaszkodziły. Radzono jéj złożyć te papiéry w ręce pana, pod warunkiem, abyś pan za to zrzekł się swoich zamiarów. Miała to być spekulacya na pańską szlachetność i gotowość do poświęcenia się. Ale podobne postępowanie byłoby nieszlachetne. Otóż ta osoba powierza te papiéry panu bez wszelkich warunków. Jeźli pan przychylisz się do jéj prośby, to w nagrodę tego szlachetnego uczynku możesz pan miéć wewnętrzne przekonanie, żeś tyle rodzin od nieszczęścia ochronił.

Rzekłszy to młodzieniec, dobył z pugilaresu dość spory pakiet i położył na stole. Jerzy przebiegł go szybko oczyma, widoczny przestrach malował się na jego twarzy.

— Któż był tak nierozsądny?—zapytał dziwnie pomieszany.

— Te papiéry mają być po panu Górnickim...

— Górnickim!—zawołał Jerzy i oczy w ziemię spuścił. Wszak on to mógł być sprawcą tego nie-

szczęścia. Były to papiéry z wykradzionéj mu szkatułki.

Czas niejaki milczał, nie mogąc żadnego powziąć postanowienia. Tysiączne myśli krzyżowały się w jego głowie, przed oczyma snuły się jakieś dziwne, złowrogie mary. Konwulsyjnie ścisnął papiér w ręku, jakby mu kto chciał go wydrzéć; w duszy odbywała się walka ofiary!

Widząc to młodzieniec, nie chciał w téj chwili czekać na odpowiedź Jerzego; chciał go zostawić samego, aby ta bolesna walka odbyła się bez świadka. Ścisnąwszy go więc za rękę, rzekł do niego:

— Niech pan to wszystko rozważy i według tego niech sam potém zastosuje swoje pos tępowanie. Więcéj nie mam panu nic do powiedzenia. Przyjaźń pańska będzie dla mnie zaszczytną.

A gdy Jerzy z krzesła powstał, Ottona już nie było w pokoju.

Nie miał przyjaciela, przed którym mógłby do gruntu serce otworzyć. Jego samotna izdebka już mu nie wystarczała. Za kilka chwil był już w drodze do Czarnowód.

V.

W Czarnowodach gotowano się właśnie do wielkiego festynu. Nic jednak o tém nie wiedział ksiądz Maciéj. Rozszedłszy się przed chwilą z majorem, wziął się do brewiarza, aby w tak trudném położeniu wymodlić sobie od Boga potrzebną pomoc. I gdy się zmierzchać poczęło, wziął na siebie tę samę nową sutannę i ten sam lepszy kapelusz, w którym przed kilkoma godzinami miał odbyć wcale inną misyą; a wyszedłszy z izdebki, puścił się drogą do białego dworku. Zawiódłszy się dzisiaj na wszystkich swoich rachubach, już nic nie układał naprzód, co będzie mówił i gdzie usiędzie, tylko wszystko zdał na Boga, który wyraźnie powiedział, że będzie w ustach sług swoich, gdy im mówić będzie potrzeba. W dodatku do téj pobożnéj ufności wziął z sobą tabakierkę szyldkretową i co kroku zaglądał do niéj, czy nie ubyło z niéj potrzebnego mu dzisiaj specyału. A chcąc się w pobożne wprawić natchnienie, zanucił sobie po cichu: „Dies irae, dies illa“.

Słońce zachodziło prześlicznie, a jedna gwiazdka

po drugiéj wytryskiwały z błękitnego tła niebios. W całéj naturze było tak cicho, tak spokojnie! Wody jeziora wyglądały jak jedna szklanna szyba, i nie było ani śladu na nich owéj wczorajszéj łódki, która o tym samym czasie mknęła tędy, do tych grup drzewa... A ta sama gwiazdka, która tak ciekawie wczoraj z nieba patrzyła, patrzy dzisiaj tak spokojnie, tak serdecznie mruga do poczciwego kapłana!

Ale cóż to się nagle stało? Ksiądz Maciéj stanął, wytężył ucho, przyłożył rękę do czoła. Jakieś dziwne tony zalatują go od dworku. Nad dachem goreje łuna złowieszcza! Przeżegnał się, rozkręcił tabakierkę, słuchał i patrzył, i coraz wyraźniéj przynosi mu tony jakiéjś muzyki wiatr południowy, a nad dachem dworku coraz jaśniejsza bije łuna!

Ksiądz Maciéj odmówił krótką modlitwę, obejrzał się w około, czy zły duch jakich figlów mu nie płata, i daléj sporym ruszył krokiem.

Wszedłszy w dziedziniec, stanął nagle jak wryty. Światła zaświeciły mu się w oczach; jakieś dziwne czarne postacie wyprawiały pląsy szalone, z pod lip grzmiała ochocza muzyka, a stary Dębicz, znaczny między wszystkimi, na ganku uśmiécha się do tańczącycych.

W oczach proboszcza pociemniało, potém zrobiło mu się za jasno, a po chwili znowu zdawało mu się, że widzi we śnie ucztę Sardanapala, że widzi ową ścianę pałacu, na któréj olbrzymia ręka właśnie pisała słowa: „*Mane, tekel, fares!...*“ I czuł, że się pod nim nogi zginają, że szyldkretowa tabakierka na ziemię mu upada, że nagle jakaś zmora sturamienna chwyta go i targa na sztuki, a gdy oczy wzniósł do nieba, ujrzał

strasznego anioła sądu bożego, który na dniu ostatecznym głosem trąby ma pobudzić wszystkich umarłych!...

Po chwili przyszedłszy do siebie, spostrzegł ksiądz Maciéj, że jakimś dziwnym sposobem wpadł w sam środek tańczących, a gdy na dwór spojrzał, zobaczył w oknie olbrzymi transparent, przedstawiający anioła już w niemłodym wieku, dmącego z całą siłą w ogromny puzon. Z puzonu wylatywały w różnych pozyturach litery, które złożone razem brzmiały: *Vivat!* Przekonawszy się znowu, że i szyldkretowa tabakierka w jego jest posiadaniu, wymknął się ksiądz Maciéj z szalonego koła rycerzy i do ganku pośpieszył.

Na ganku rzęsisto oświetlonym siedział Dębicz i siwą brodą oraz całém otoczeniem przypominał dawne, dzisiaj bajeczne czasy patryarchów. Z rozkoszą wpatrywał się w pląsające grono wieśniaków, z starszymi rozmawiał, jak to dawniéj bywało, a hożym dziéwczętom rozdawał przygotowane od Zuzanny upominki. I tak był szczęśliwy ten staraszek, tak mu jakoś dobrze było dzisiaj na świecie, tak jasnemi w około spoglądał oczyma, że potrzeba było serca z kamienia, aby go w téj chwili zasmucić tak nieszczęsną wieścią, z jaką właśnie przybył ksiądz Maciéj.

W koło niego siedziało kilku sąsiadów, którzy dawnym obyczajem przybyli powinszować koledze swemu. A sam solenizant stał na uboczu i osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie. Tańczący na dziedzińcu wieśniacy wydawali mu się jak mary złowieszcze, urągające się jego nieszczęściu. Zuzanna nie była także wesoła; snać smutek męża nie uszedł jéj oka. *Jerzego* jeszcze nie było.

Gdy major księdza Macieja na dziedzińcu zobaczył, pośpieszył do niego, a chwyciwszy go w ramiona, długo trzymał twarz przy piersi. Ksiądz Maciéj uścisnął mu tylko rękę i żadnych innych powinszowań w tym dniu mu nie powiedział.

— Nie możemy się ciebie doczekać, księże Macieju—zawołał stary Dębicz, wyciągając rękę do niego.—Musisz nam uroczystość dzisiejszą pobłogosławić, żebyśmy zbytnią wesołością nie grzészyli przed Panem Bogiem. Bo że jesteśmy aż do zbytku weseli i szczęśliwi, to sam widzisz, patrząc na nas.

Ksiądz Maciéj uścisnął podaną mu rękę i czémprędzéj rozkręcił tabakierkę. Chciał coś odpowiedzieć, ale czuł łzy pod powieką i nie chciał swego bolu zdradzić. Podniósł tylko rękę i zgromadzonym przed gankiem wieśniakom pobłogosławił.

— A nam nie błogosławisz, księże Macieju?— rzekł Dębicz z wyrzutem.—Błogosław i nam, abyśmy na rok przyszły tak samo jak i teraz, tu na tym ganku siedzieli przy krzepkiém zdrowiu i szczęściu spokojném.

Ksiądz Maciéj podniósł rękę, ale łzy zasłoniły mu tych, którym miał błogosławić.

— I chléb przeżegnaj... chléb żytni, polski!—zawołał Dębicz.—Przeżegnaj te wieńce żyta i pszenicy, aby na rok drugi stokrotnie rozmnożył ją Bóg w ziemi naszéj i nakarmił biédny lud nasz, jak niegdyś nakarmił rzeszę, słuchającą słów jego.

Księdzu Maciejowi już się łzy jak groch puściły z oczu. Pożegnał te wieńce żyta i pszenicy, i śpiesznie odwrócił się od zgromadzenia. Szyldkretowa tabakierka zaskrzypiała, podniósł głowę do góry, jakby

się z uwagą prypatrywał misternie uwitym festonom. A gdy po chwili na majora popatrzył, wyczytał z jego oczu tak wymowną prośbę, aby sędziwemu staruszkowi tych kilku jasnych chwil życia dzisiaj nie odbierać. Ucieszyło go jakoś to wejrzenie majora, a na znak, że je dobrze zrozumiał, puknął kilka razy w tabakierkę i nową z niéj wziął szczyptę.

I w saméj rzeczy, widok téj uroczystości miał w sobie wiele rozczulającego. Na zielonym trawniku przed gankiem kręciły się pary ogorzałych wieśniaków. Nie było tam strojów błyszczących: wprost od pracy wzięto się do zabawy. Kosy i sierpy pozawieszano na gałęziach lip, w dali pod szopą ustawiono pługi i inne narzędzia gospodarskie. Była to najpiękniejsza dekoracya sali balowéj. Szérokie liście lip i kasztanów splatały się w jakieś arabeski po nad głowami tańczących, a z jasnego tła nieba migały gwiazdy, płynęły białe, światłem księżyca osrébrzone chmurki.

Tam gromadka starych wieśniaków gwarzy coś sobie o tegorocznych urodzajach i patrzy z rozkoszą na hasającą młodzież. Jedni drugim szepcą do ucha, że ta lub owa para jakby dobrana dla siebie, że w zapusty trzeba sprawić weselisko, dać dwie krowy, pług, wózek i coś grosza... Tam kupka starszych kobiét może to samo podaje sobie do ucha. A z po za gałęzi lipowych strzela hoży parobczak na Kasiunię czarnooką, która najlepiéj wywija obertasa. Tu znowu chichoczą młode dziéwczęta, wesołe i puste, jak stadko kóz rozkosznych. Każda z nich niby to nie patrzy na taniec, niby zmordowana, ociéra fartuszkiem pot z czoła i z brwi czarnych, a tu z ukosa rzuca okiem na swe-

go tancerza i mało serce nie wyskoczy jéj z pod rąbka koszuli, że tak długo w taniec jéj nie bierze! A muzyka tak skocznie gra, aż same nogi się plączą! Tylko Paliwoda siedzi pod kasztanem smutny na próżnym moździerzu. Mietlicy z prochem jeszcze nie ma.

Stary Dębicz wodzi okiem po wszystkich grupach i uśmiécha się jak ojciec rodziny. Równego z nim wieku wieśniak, co to jeszcze nieboszczyka Dębicza pamięta, siedzi teraz koło niego i opowiada mu, jak to on był dzieckiem i jak dobrze przypomina sobie takie same dożynki w tém samém miejscu. A będzie temu lat ośmdziesiąt — były to lepsze czasy! mówi stary dziadek. A muzyka pod lipami gra tak skocznie, tak wesoło.

Rozstąpiła się grupa starszych wieśniaków: przed ganek wyszedł Maciejaszek, najbogatszy i najrozumniejszy wieśniak z całéj gromady. Muzyka ucichła, tany ustały. Maciejaszek odgarnął włosy z czoła i zaczął mówić jakąś długą oracyą. Zwróciwszy się do Dębicza i majora, mówił wiele o dobrych panach, co to w gromadzie świécą się jak świéczki w kościele, pomogą biédnemu i pocieszą w nieszczęściu. Wprawdzie dzisiaj odłączono gromadę od pana i obiecano jéj pomoc króla, ale przysłowie stare mówi, że Bóg wysoko, a król daleko — a pan przecież jest blizko, tylko zapukać. Mówił daléj, jak gromada zawsze była rada dzieciom swoim, bo dziedzice zasłużyli sobie na to przywiązanie. I o ile szczęśliwszą jest od gromady Mogił, gdzie nikt się nią nie opiekuje, gdzie z człekiem nikt nie pomówi.

Tutaj przerwał mówiącemu szelest pod lipami. Najbliżsi zwrócili tam oczy i ujrzeli stojącego jakiegoś

nieznajomego człowieka, który nagle skrył się za drzewa. A że Maciejaszek tém wydarzeniem przerwał sobie swadę i daléj oracyi prowadzić nie chciał, więc zakończył silną apostrofą do starego Dębicza, któremu życzył jeszcze lat drugie tyle, do majora i Zuzanny, którym cała gromada przez jego usta zasyła podziękowanie za ich dobre uczynki.

Stary Dębicz rozczulił się aż do łez, major spojrzał na księdza Macieja jak człowiek, który wyroku śmierci oczekuje; a Zuzanna westchnęła i zamyśliła się. Ksiądz Maciéj rozkręcił tabakierkę aż zaskrzypiała i na pułapie ganku szukał nadaremnie owéj sztukowanéj belki, która w kłopotach jego tak wielką oddawała mu przysługę.

A czeladź dworska, podochocona aż do zbytków, żartowała przy piekarni ze starego kucharza, krytykując jak jaka gawiedź literacka dzieło mistrza. Polowy szedł w zakład o flaszkę wódki, że nos anioła większy od nosa Wojciecha, a stangret przymawiał trąbie, która według niego podobną była do rondla, w którym wysmarzyły się w różne litery wyrabiane ciasteczka. Stary kucharz przyjmował ze spokojem skończonego artysty wszystkie te złośliwe krytyki, odpowiadając zoilom swoim, że konterfekt anioła byłby daleko lepiéj wypadł, gdyby mu nie zabrakło błękitnéj farby.

Stary Dębicz był tak wesoły, tak szczęśliwy!

Muzyka po krótkiém milczeniu zaczęła grać nowy taniec. Ale stało się to z takim jakimś hałasem, że wszyscy spojrzeli pod lipę, gdzie siedzieli muzykanci. Śmiéch powszechny rozległ się po liściach lip i kasztanów. Między muzykantami stał stary kucharz, z białą czapką na głowie i pełnemi policzkami

dął na klarynecie. Złośliwa krytyka pod piekarnią wytrąci mu może na zawsze penzel z ręki, a że to człowiek muzykalny, więc wziął stary swój klarynet i mimo różnicy nastroju, dał się słyszéć nagle na nowém polu sztuki.

Stary Dębicz śmiał się, aż mu łzy w oczach stanęły. Z wielką biédą odpędzono kucharza od trzody Apolina i na nowo grać zaczęto. Zawołany do Dębicza kucharz, skarżył się na stangreta i polowego, którzy anioła jego krytykowali, a którym on chciał na złość pokazać, że nie tylko malować, ale i grać potrafi, jeźli to afekt dla tak dobrych dziedziców nakazuje.

Podziękowano chórem staremu kucharzowi za jego afekt, za anioła i za klarynet, a stary Dębicz podał mu szklankę wina. Kucharz wypił, ale niekontent z dzisiejszych laurów, odszedł do swojéj izdebki, z któréj w intermeccach zabawy wypuszczał jakieś dzikie, rozpaczliwe melodye na swoim klarynecie.

Stary Dębicz przysunął krzesełko księdza Macieja do siebie i rzekł do niego:

— Lękam się, aby Bóg mnie nie skarał za zbytnią wesołość moję. Tyle radości, tyle szczęścia już dawno nie zaznałem.

A gdy major, sąsiedzi i Zuzanna do niego się zbliżyli, słuchając co staruszek z takim zapałem opowiada, mówił tenże daléj:

— Patrzcie na ten cały obraz, od tych kasztanów aż do izdębki kucharza, z któréj słyszę jego wzgardzony klarynet. Tyle ludzi, a jestże między nimi choć jedna dusza, któraby dzisiaj uśmiéchu na twarzy nie miała?

Pod kasztanem znowu dał się słyszéć szelest— a postać nieznajomego człowieka skryła się znowu po za drzewa.

— Niech mówią, co chcą, o dzisiejszéj cywilizacyi!—mówił daléj Dębicz.—Niech tam ślęczą sobie na giełdach, niech suszą mózgi na spekulacye, niech tworzą nowe systemata społeczeństwa ludzkiego w tém uprzedzeniu, że to co jest, już stare i niedołężne... a ja przecież mówię wam, nie ma nad żywot szlachcica na wiosce rodzinnéj! Kto ten żywot dla jakichś spekulacyj opuszcza, lub żyjąc dla własnych namiętności, kto tę glebę ojczystą oddaje za weksle i inne grzéchy swoje, ten zabija sam siebie i staje się zabójcą téj garstki ludu, która bez pastérza, jakim być powinien każdy prawy szlachcic, staje się pastwą wilków drapieżnych.

Pod kasztanami okazał się znowu ów człowiek nieznajomy, jakby chciał iść do ganku, ale wnet cofnął się i ukrył za drzewa.

Dębicz mówił daléj:

— Było obyczajem przodków naszych, żyć śród téj młodszéj braci. A kto ją porzuca, ten jest jak ów syn marnotrawny, który z groszem dziedzictwa poszedł w świat i marnie go stracił. Ale syna tego, gdy wrócił, przyjął w dom swój ojciec przebłagany i nawet ucztę dla niego uczynił. A my nie mamy ojca. Gdy syn marnotrawny zapragnie wrócić w dom ojczysty, znajdzie go zamieszkałym przez obcych, którzy rzekną mu: Nie znamy cię!

Gałęzie kasztanów zaszeleściały, najbliżsi spojrzeli w to miejsce, ale tam nie było nikogo.

Dębicz ciągnął daléj:

— Niedawne temu lata, jak tu w około znałem

wioski i miasta, które od wieków dzierżyła szlachta nasza. Dzisiaj nie ma już téj szlachty, koloniści zamieszkali te dworki białe, domy boże przerobili na bethauzy, a lud biédny tak biédny, jak siérota bez ojca, zapomniał imienia swego!

A odetchnąwszy głęboko, mówił daléj:

— Niegdyś zabierano ziemię orężem, dzisiaj dzieje się to pracą i spekulacyą. Na oręż mieliśmy oręż, przeciw pracy postawmy pracę. I miejmy sobie to na uwadze, że na tym końcu ziemi naszéj, na którym mieszkamy, każdy uroniony zagon jest wziętą redutą, któréj bronić byliśmy obowiązani.

A podniósłszy oczy do nieba, zawołał uroczystym głosem:

— I dla tego dziękuję ci, o Boże, że mi żyć tak długo pozwalasz między swymi. I tobie wdzięczen jestem, Tadeuszu, żeś jako żołniérz gospodarz stanął przy mnie i pracą swoją zabezpieczyłeś pokój duszy mojéj. Pójdźcie tu, dzieci moje, niech was ucałuję. Gdyby mi kto to dzisiejsze szczęście odebrał, jabym żyć przestał!

Major schylił się, aby ramię staruszka ucałować. Potok łez puścił mu się z oczu. Zuzanna usiadła na taboreciku i pieściła się ze staruszkiem. A ksiądz Maciéj dwie szczypty tabaczki raz po raz wziął z tabakierki i cicho odmówił modlitwę, aby nie popadł w pokusę, wątpiąc o dobroci bozkiéj. Odwrócił oczy od téj prześlicznéj grupy, którą tworzyli starzec, major i Zuzanna. O! szczęście ludzkie, czém jesteś w obec wyroków mądrości bozkiéj!...

Tymczasem już znacznie pochłodniało. Staruszek kazał się wtoczyć do sali, dokąd i obecni goście

za nim podążyli. Młodzież wioskowa, zostawiona własnéj swojéj ochocie, poczęła jeszcze więcéj wycinać i wyśpiéwywać.

Śród téj powszechnéj radości nikt nie zważał na nieznajomego widza, który stojąc za kasztanami, przypatrywał się téj uroczystości. Snać nie chciał, aby go widziano, bo za każdym głośniejszym śmiéchem, za każdym jaśniejszym promieniem, które z ganku się rozchodziły, usuwał się w głąb cieni, między liście i gałęzie.

Teraz, gdy młodzież cała zatopiona w tańcu, nic w koło siebie nie widziała, wysunął się zwolna z po za drzew i ciemniejszą stroną ganku wszedł do sieni dworu.

W sali właśnie zrobiła się cisza, bo stary Dębicz coś chciał opowiadać, gdy nagle u drzwi pojawił się nieznajomy. Wszyscy spojrzeli ku niemu, a zadziwienie i przestrach malowały się na wszystkich twarzach.

Nieznajomy ten człowiek był wysokiego wzrostu, miał postawę butną, ale już trochę nachyloną. Twarz jego była ogorzała i zmarszczkami okryta, długa broda spływała aż po pas, a resztki bielejących już włosów spadały w nieładzie z obnażonéj głowy. Ręce miał ciężkie, spracowane, ubiór zaniedbany.

Stał chwilę przy progu, smutném okiem patrzył po zgromadzonych, ale nic nie powiedział. Wreszcie jakby ze snu obudzony, zawołał Dębicz, żegnając się wielkim krzyżem:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— Górnicki!—zawołał major i stanął jak wryty.

— Znaki na niebie... umarli wstają!—rzekł z cicha ksiądz Maciéj i przetarł oczy, aby lepiéj zobaczyć.

Tymczasem kilku sąsiadów zbliżyło się do drzwi, obmacali nieznajomego i zawołali chórem:

— Górnicki!

Nieznajomy postąpił naprzód, podał wszystkim rękę, wszystkich serdecznie uścisnął i rzekł:

— Tak, jestem Górnicki... jestem ów syn marnotrawny...

— Zkądże przybywasz?—przerwał mu Dębicz, nie kontent w duchu, że na ganku czynił aluzye do Mogił.

— Przybywam z Nowéj Holandyi—odparł zapytany.

Zuzanna ze łzami w oczach przerwała ciekawość pytających i nowego gościa prosiła, aby usiadł i posilił się.

Górnicki usiadł, ale potraw ani się tknął. Tłumaczył się słabością, która od kilku dni trapi jego ciało. Na co rzekł Dębicz:

— Nie ciało to chore, ale duch, kochany bracie, duch choruje, bo poczuł woń rodzinnego powietrza!... Z Nowéj Holandyi!... A myśmy wszyscy opłakiwali śmierć twoję!

— Tak jest — odparł Górnicki — śmierć wisiała nad moją głową, ale Bóg zachował mnie na większe katusze!

I sięgnął do oczu i roztarł dwie łzy. Wszyscy milczeli. Jerzy wszedł teraz do sali, a nie chcąc przeszkodzić jakiéjś uroczystéj scenie, schował się za księdza Macieja, który w milczeniu rękę mu uścisnął.

— Ciekawi zapewnie jesteście dziejów moich — mówił daléj Górnicki — są one krótkie, nie dłuższe od ewangielicznéj powieści o synu marnotrawnym, jak to

pan Stanisław bardzo trafnie na ganku opowiedział. Trafiłem wprawdzie na ucztę, ale ta uczta nie dla mnie! W moim dworku rodzinnym powiedzą mi: Nie znamy cię!...

— Wszak jesteś między nami, jak w domku rodzinnym—przerwał mu Dębicz — każda strzecha szlachecka to twój domek rodzinny!

Tułacz westchnął i ruszył głową na znak zaprzeczenia. W sieni okazała się dziwnie rozogniona twarz Mietlicy i widać było po jego mocno wystających oczach, że coś strasznie ciekawego miał na języku. Ale ktoś ze służby przytrzymał go za poły kurtki i zreflektował go, że teraz przeszkadzać nie może.

Górnicki mówił daléj:

— Wszędzie góra i dolina, dolina i góra, i nic więcéj, powiedział poeta niemiecki, ale nie powiedział tego dla nas. Dla nas jeden tylko domek może być ojczystym domkiem!

Mietlica mrugnął oczyma w sieni i uśmiéchnął się na znak, że tę sentencyą absolutnie pochwala.

— Ale jakże zaszedłeś do Nowéj Holandyi?— zapytał Dębicz, chcąc nieszczęśliwego tułacza odwrócić od smutnych myśli jego.

— Bardzo krótka moja historya. Wiécie, co mnie zmusiło opuścić to strony. Ale przyczyniła się głównie do tego moja próżność. Majątek mój był na schyłku, mogłem jednak coś z niego uratować. Ale wstyd mi było mieszkać na mniejszéj zagrodzie między swymi, a gdy do tego jeszcze znajome wam przyczyniły się okoliczności, sprzedałem Mogiły i wyjechałem do Galicyi, do mego brata Kajetana, który mieszkał pod Tarnowem. Kilka dni bawiłem u niego dosyć spokojnie.

Ale czwartego dnia zabłysła na niebie wielka łuna— krzyk mordu rozległ się na około—w nieszczęsnéj ślepocie popełniono na téj ziemi grzéch Kainowy!... Kajetan miał żonę i czworo dzieci. Siedzieliśmy właśnie po wieczerzy i mówiliśmy o téj strasznéj łunie na niebie. Na ręku matki posnęły dziateczki jak aniołki. W tém otoczono nagle dwór... czerń rozjuszonego chłopstwa wtargnęła do sieni. Wyskoczyliśmy z Kajetanem do nich i poznaliśmy między nimi niejakiego Linka, który włócząc się, jako pismak pokątny, po karczmach i chłopów do procesów namawiając, odniósł był za to na skargę Kajetana jakąś karę.

— Link!—ozwało się echo z sieni—Link!—powtórzyło kilka głosów w sali.

— Kajetan odgadł zaraz, że zemsta tego niegodziwca sprowadziła na dwór rozjuszone chłopstwo. Gdy mowa nasza na nic nie pomogła, wzięliśmy się do broni. Widząc to napastnicy, cofnęli się. Słyszeliśmy głos Linka: zapalić! Z cztérech węgłów buchnął naraz płomień, a dziatki — czworo dziatek spało jeszcze!... Za godzinę runął dach, a gdym oczy otworzył, leżałem na śniegu pokaleczony, a przedemną dymiła się kupa gruzów... na świecie już nie miałem nikogo z mojéj rodziny!... Za kilka tygodni wyszedłem daleko... daleko... szedłem, dokąd mnie oczy prowadziły!

Górnicki odetchnął, otarł pot z czoła i po chwili mówił daléj:

— Znane wam są smutne koleje tułacza! Bez rodziny, bez rodzinnego domku, bez przyjaciół, przechodzi przez świat żyjących, jak cień, jak upior. Twarz jego odwyknie od uśmiéchu, oczy wyschną od płaczu, a usta nauczą się bluźnić Bogu, bluźnić samemu so-

bie.... Ach! wy jesteście szczęśliwi! Wyście nie zaznali tego gorzkiego uczucia, gdy człowiek utraci kąt rodzinny, gdy za kilka srébrników odstąpi ten kawał ziemi, na któréj żyli jego ojcowie!... O, domku rodzinny! tyś jest jako zdrowie; ile cię cenić potrzeba, ten tylko się dowié, kto cię stracił!...

Twarz opowiadającego okryła się rumieńcem a w oczach jego zamigotał płomień gorączkowy.

— Przeszedłem wiele krajów i narodów. Widziałem, jak dla marnego zysku opuszczają ludzie miejsca rodzinne i przenoszą się za morza. Niczem u nich zagroda ojczysta, a wszystkiém zysk i piéniądze! U nas zaś czego innego potrzeba do życia. Szlachcic bez dziedzictwa jest jak człowiek, który nie stoi na nogach. Głowa mu się kręci, w sercu mu nudno... bo, jak to mówią, Polak mądry po szkodzie. Świat był tak wielki, tak széroki, a ja na tym wielkim, szérokim świecie nie miałem ani włóki ziemi, ani garści piasku, ani kropli wody własnéj... wszystko było cudze!... O, wy szczęśliwi! wy posiadacie część téj ziemi rodzinnéj, część jéj wód i jéj kwiatów, a jam ją puścił z rąk, jak syn marnotrawny!

Major westchnął głęboko, a ksiądz Maciéj posunął krzesłem, aby to westchnienie zagłuszyć. On chciał staremu Dębiczowi dać jeszcze tych kilka chwil szczęśliwych.

Po chwili wytchnienia mówił Górnicki daléj:

— Wreszcie rzekłem sobie: Za złotem idzie dzisiaj świat cały, pójdę w kraj złota. I zapłynąłem do Nowéj Holandyi. Za kilka tygodni byłem szczęśliwy. Wykopałem bryłę złota, wszyscy wychodźcy zazdrościli mi jéj. Położyłem ją przed sobą i ległem koło

niéj jak głodny pies koło kości. I myślicie, żem był w istocie szczęśliwy?... Nocą położyłem ją pod głowę i usnąłem. Miałem jakiś sen straszny. Otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą nóż jakiegoś wychodźcy. „Czego chcesz odemnie?“ zapytałem dosyć obojętnie.— „Daj mi twoje złoto!“—rzekł tenże do mnie. I wyjąłem bryłę z pod głowy i rzuciłem mu pod nogi. Czy myślicie, że byłbym to samo uczynił, gdybym zamiast tego złota miał jedną skibę z obszaru Mogił pod głową? Opuściłem kraj złota i rzekłem do siebie: Pójdę do mego kraju, ujrzę ten domek rodzinny, ujrzę te pola, które uprawiał pług ojców moich, te drzewa, sadzone ręką pradziada! Tam w ich cieniu prześnię kilka chwil szczęścia, kilka łez poświęcę pamiątkom ojczystym i umrę!

Grobowe milczenie panowało w sali. Cierpienia biédnego tułacza wzruszyły wszystkich. Major tylko patrzył tak martwym wzrokiem przed siebie, jakby wcale nie wiedział, co się w koło niego dzieje. A ksiądz Maciéj kręcił się na krześle, jakby się czego niecierpliwił.

Po chwili rzekł Dębicz:

— Dziedzictwo ojczyste jest to *conditio vitae* każdego prawego szlachcica. Widzimy w dziejach naszych, że dzieci wracały na powrót do dziedzictwa, które ojciec lub dziad z ręki wypuścił. Niestłumiona żądza parła je do tego. Szlachcic jest podobny do zwiérza, który wypłoszony przez psy, wraca zawsze na miejsce swego legowiska. Otoż obowiązkiem jest naszym trzymać się tego dziedzictwa, a mianowicie my na kresach.

Tu spostrzegł się staruszek, że podobna materya

Górnickiego rozżala, a chcąc rozmowę na weselszy tor przenieść, rzekł zwrócony do drzwi:

— Coś tam Jakób strasznie we drzwiach się wierci... niezawodnie ma dla nas jakąś nowinę!

Mietlica ucieszył się, że go przecież obaczono. Przystąpił do Górnickiego, dotknął się ze czcią jego kolan i właśnie chciał coś bardzo ważnego powiedzieć, gdy go uprzedził służący domowy. Opowiadał on krótko i węzłowato, jak jakiś czarny jeździec na koniu porwał kogoś z zamku tego wieczoru, jak mu to przed chwilą szepnął do ucha Mietlica. A gdy jeszcze kilka podobnych waryatów tu i owdzie opowiedziano, okazała się cała sprawa tego czarnego rycerza tak zagmatwana, że Mietlica kilka razy musiał swoję powieść powtórzyć, co jednak jeszcze gorsze sprawiło w niéj zamieszanie.

Najprzód zaczął Mietlica od prochu i Paliwody, wszedł na obwieszczenie licytacyi domku zégarmistrza, przyczém nawet kilka łez otarł, a skréśliwszy krótko swoję fatalną audyencyą u margrabiego, doszedł do wieczora, gdy w ciężkim smutku swoim błądził po Dąbczynie i koło zamku się kręcił, szukając jakiegoś konceptu, aby domek zégarmistrza ocalić. A gdy jeszcze raz tę powieść powtórzył, dodał, że to była panna Janina i że za uciekającym jeźdzcem wyraźnie czuł smołę i siarkę. Spojrzawszy lękliwie na Zuzannę, dodał, że to był ten sam jeździec, który wtedy w tutejszym ogrodzie...

— Stary Jakób miéwa przywidzenia—przerwała mu Zuzanna, któréj twarz jednak trochę zbladła.

Ksiądz Maciéj rozkręcił szybko tabakierkę i odkrząknął głosno.

— A wszak jest i nasz doktor — zawołał stary Dębicz—on nam coś o Dąbczynie powié... Ale czémuż to tak późno przychodzisz, i to po raz piérwszy po słabości!

— Chorzy stanęli mi w drodze — odparł Jerzy, ściskając za ręce znajomych i witając się z gospodynią.—Spóźniłem się, chociaż szedłem z wielką i smutną nowiną!

— Ach, tych mamy dość!—westchnął staruszek —a ja chciałem dzisiaj być szczęśliwy!... Co za nowina?

— Margrabia sprzedaje Dąbczyn... już przedugodna umowa zrobiona!

— Dąbczyn! — krzyknął staruszek — Dąbczyn! a komu?

— Warnerowi, który rodzielić ma folwarki między kolonistów.

— A cóż margrabiego do tego skłania?

— Bankructwo!

Stary Dębicz siedział przez chwilę spokojny, jakby wcale nic nie słyszał. Potém ożywiła się twarz jego, rzewny wyraz wystąpił na nię.

— Jest nas o jednego mniéj—rzekł z boleścią— kawał ziemi polskiéj urwał się z lądu i utonął!... Oto ten dworek jest dzisiaj ostatnia straż narodu... Tadeuszu, pamiętaj... ostatnia straż!...

A otarłszy łzy z oczu, mówił daléj:

— Héj, Dąbczyńscy! kasztelanowie grodzcy! Mój mocny Boże!... Lecz cóż ja słyszę? Muzykę?... Tadeuszu, każ przestać... wieść taka powinna być żałobą narodową!... Dobra noc wam, niech mnie zatoczą do

mojéj izdebki... chcę być sam... chcę się modlić do Boga...

Smutek malował się na twarzach obecnych.

Gdy Dębicza z sali wytoczono, zbliżyła się Zuzanna do Jerzego i cichym rzekła głosem:

— Opowiadanie Mietlicy niepokoi mnie. Zapewnie będziesz pan potrzebnym w zamku, jeźli się tam co stało. Każ sobie pan konie zaprzęgać i donieś mi pan, bo jestem mocno niespokojna.

— Nim odjadę — odparł Jerzy — pozwoli pani, że zbadam wprzód jednego pacyenta, który jest śród nas.

Rzekłszy to, przystąpił do Górnickiego, który siedział z wypieczonemi rumieńcami na policzkach i prawie był bezprzytomny.

Pomówiwszy z nim chwil kilka, zwrócił się do Zuzanny i rzekł:

— Niech się położy i wypocznie. Choroba tęsknoty przesila się... może nastąpić gorączka nerwowa.

Zuzanna załamała ręce, a Jerzy wybiégł z sali, bo jakieś smutne przeczucie ciągnęło go do zamku. A drugą stroną sieni przesunęła się właśnie jakaś ciemna postać i z cicha weszła do izdebki starego Dębicza.

Był to Link.

Jerzy nie widział go, bo całą duszą swoją był już w Dąbczynie, o którym tak dziwne rzeczy opowiadał Mietlica.

Przed kilkoma godzinami, gdy się to w Czarnowodach działo, było cicho i smutno w zamku dąbczyńskim. O zachodzie słońca wyjechało z bram kilka powozów. Nikt jednak w mieście nie wiedział, kto był w tych powozach i gdzie one pojechały. Po ulicy miasta chodził Otton smutny i zamyślony. Ojca nie zastał, bo ten odjechał do Mogił, aby rozpoczętą fabrykę obejrzéć. Margrabia kazał go przeprosić, bo był zatrudniony, a damy także nie były do widzenia. Biédny młodzieniec cierpiał wiele. Tysiączne myśli przychodziły mu do głowy, a żadna z nich nie zbliżała do szczęścia. Więc sam nie wiedząc co czyni, wałęsał się po mieście i z wszystkich stron je obchodził. A gdy się zmiérzchać poczęło, odważył się zbliżyć do zamku, aby choć w te okna patrzéć, które zamykały całe szczęście jego życia.

I tak obszedł zamek kilka razy do koła i właśnie mijał fosę ogrodu, gdy w krzaku akacyi zobaczył coś błyszczącego. Przystąpił bliżéj — był to człowiek; zajrzał mu w twarz i zawołał:

— Fryderyk!

— Pst!—odrzekł zagadnięty i położył palec na ustach.

Był to jeden z tych przyjaciół Ottona, których widzieliśmy u niego, gdy się miał strzelać z panem von der Mark.

— Na miłość Boga, co tu robisz? — krzyknął Otton.

— Jeśliś ciekaw bardzo—odparł z flegmą amator lanzasów — to chodź kilka kroków daléj, a opowiém ci.

Dziwny niepokój opanował Ottona. Postąpił kilka kroków w milczeniu.

— Musisz widzieć — zaczął cichym głosem lanzas — że pan von der Mark, który już zdrów jest jak ryba, wyprawił wielkie polowanie u siebie. Popiliśmy się do stu katów! Same garsony, co się zowie! Mówiło się to o tém, to o owém, a więc i o kobiétach. Von der Mark był tego zdania, że do „amours passagères“ nie ma jak Polki, że każdą Polkę można brzękiem ostróg dragońskich i wąsami „en hussard“ oderwać od domu, od męża, od dzieci i jak kozę solą, zaprowadzić na koniec świata! A gdy temu jeden i drugi się sprzeciwił, utrzymując, że prędzéj można Niemkę sentymentem opanować, jak Polkę ostrogami zdobyć, von der Mark zapalił się, broniąc swego zdania; a że w głowie wszyscy już sporo mieliśmy szumu, więc von der Mark dał w obec wszystkich słowo honoru, że jeszcze dzisiaj wykradnie z zamku córkę margrabiego.

— Co mówisz!—zawołał Otton, a serce zadrżało mu w piersi.

— To było głupstwo, wielkie głupstwo — mówił daléj lanzas — i awantura niepotrzebna. Ale cóż robić, słowo honoru, w głowie szumiało i ja niepotrzebnie w to wlazłem!

— I ty, mój przyjaciel, ty dałeś rękę przeciw tak godnemu domowi—przeciw mnie?

— No, wybacz przyjacielu... dałem słowo honoru, że w téj wyprawie towarzyszyć mu będę... głupia, piramidalnie głupia wyprawa... ale cicho, bo słyszę szelest, odejdź!

Otton stał chwilkę, jak przykuty do ziemi, potém ocknął się nagle i pobiegł w ciemną aleę ogrodu.

W alei ujrzał stojącego mężczyznę, owiniętego szérokim płaszczem. Skrył się za drzewo, aby być świadkiem sceny, która nadzieje jego nagle zniszczyć miała.

I nie długo czekał. Od zielonego pawilonu wyszła zwolna jakaś postać kobiéca w bieli ubrana. Szła chwiejnym, niepewnym krokiem, ręce wyciągała naprzód i tuliła je potém do piersi, jakby jakieś mary chciała przycisnąć do serca. Nagle zbliżył się do niéj mężczyzna w czarnym płaszczu. Coś przemówił do niéj z francuzka, wziął ją za rękę, przytknął do niéj usta, a kobiéta zarzuciła białe ramiona na jego szyję i przycisnęła się do jego piersi.

Biédnemu młodzieńcowi znikło wszystko z przed oczu... księżyc i gwiazdy pogasły na niebie, a w koło niego była noc... czarna noc. Gdy po chwili przyszedł do siebie, już nie było w alei ani białéj kobiéty, ani czarnego rycerza, tylko jakiś śmiéch szyderczy, okropny został po nich i brzmiał w uszach nieszczęśliwego kochanka. Otton potarł ręką po czole, gwiazdy i księżyc świéciły znowu na niebie. Obejrzał się w koło i pobiegł szybko w kierunku, gdzie jakiś szelest usłyszał.

Na końcu alei stały dwa konie osiodłane. Na ręku mężczyzny leżała pochylona biała postać kobiéty. On ją wzywał do przytomności i zaklinał ją, aby się opamiętała. W téj chwili przybiegł Otton.

— Precz, niegodziwy człowieku!—zawołał przy tłumionym głosem—precz od niéj...

Junkier spojrzał zdziwiony na młodzieńca, pomyślał chwilę, radośny uśmiéch strzelił z jego oczu.

— Ah! przepraszam!—odrzekł spokojnie—uprzedziłem pana... proszę mi darować... a za słowa niegrzeczne...

— Jestem zawsze na rozkazy.

— Cieszę się z tego... a tymczasem oddaję w pańskie ramiona piękną dziéwicę, która, jak pan widzisz, już przygnęła do mnie.

Kobiéta w saméj rzeczy objęła ramię swego rycerza i z trwogą patrzyła na młodzieńca. Ale rycerz zgrabnie wywinął się z objęć kobiéty, a złożywszy ją w raniona szczęśliwego młodzieńca, siadł na konia, Lanzas na drugiego i obaj czwałem wybiegli z ogrodu.

Młodzieniec drżał cały i z zachwyceniem wpatrywał się w twarz omdlałéj kobiéty. Księżyc zaszedł właśnie za chmury... w alei było ciemno.

— Uspokój się pani—błagał głosem serca — jesteś bezpieczną, niegodziwy człowiek już odszedł!

— Jam go tak kochała!—mówiła jakby przez sen kobiéta.

Bryła lodu wpadła w serce młodzieńca.

— On pani nigdy nie kochał!—jęknął nieszczęśliwy.

— On mnie nie kochał? — krzyknęła dziwnie zmienionym głosem kobiéta.—On mnie nie kochał?.. A któż mnie kocha!

— Ja cię kocham, tyś skarbem duszy mojéj!—zawołał młodzieniec w ekstazie.

Kobiéta podniosła się z ramion nowego swego rycerza i spojrzała uważnie w twarz jego.

— To ty, Ottonie, kochasz mnie?—zawołała po chwili—a jam myślała, że on... o! daruj mi, daruj... moje serce chore, tak chore!...

Mówiąc to, zarzuciła mu na szyję ramiona i gorące, spiekłe usta swoje przytknęła do jego ust... Ale snać nie chciało przeznaczenie, aby biédny młodzieniec użył w téj chwili rozkoszy, do któréj tak gorąco wzdychał! Księżyc bowiem wyjrzał z za obłoku i sinem światłem oświécił twarz kobiéty. Była to Terenia, biédna idyotka.

Młodzieniec zadrżał z przestrachu, a białe ramiona biédnéj sieroty tém silniéj przyciskały go do siebie.

Od zielonego pawilonu okazały się liczne światła. Biédny młodzieniec stał na miejscu, ofiara tak dziwacznego przypadku. Idyotka nic nie wiedziała... była szczęśliwą. Może tylko ta ułudna chwila szczęścia była przeznaczona biednéj siérocie?...

Światła zbliżały się coraz więcéj. Otton wziął Terenię pod ramię i sam zbliżył się do szukającéj. Wszyscy patrzyli z zadziwieniem na tak szczególne zjawienie. Ale młodzieniec nabrał nagle odwagi i kazał się zaprowadzić do margrabiego.

Margrabia zadziwił się nie mało, widząc Terenię w takiém towarzystwie. Zmarszczył brwi i urażony spojrzał na Ottona. Ale Otton dał mu znak, aby Terenię odprowadzono do jéj sypialni. Biédna sierota drżała cała i była jakby w obłąkaniu.

Gdy Otton sam na sam z margrabią został, opowiedział mu wiernie całe zdarzenie. Ale margrabia wierzył i nie wierzył, a ciągle miał czoło zachmurzone. Prosił wprawdzie syna negocyanta, z którym tak wielki miał interes, na herbatę, ale był małomowny i zamyślony. Przy końcu wszedł Jerzy. Margrabia i Otton opowiedzieli mu całe zdarzenie. Jerzy odwié-

dził siérotę, która właśnie w gwałtownéj leżała gorączce i wiele o swojém szczęściu mówiła.

Wróciwszy do salonu, rzekł do margrabiego:

— Szczególne to zdarzenie jest bardzo naturalne. Panna Teresa choruje na pragnienie miłości i przywiązania. Są to zwyczajne choroby siérot. W téj chorobie stworzyła sobie mary i ugania za niemi. Piérwszy człowiek, którzy w tym paroksyzmie do niéj się zbliży, posiędzie serce i całą jéj duszę!

— Dla takich serc chorych klasztor tylko jest asylem — odrzekł margrabia sentencyą Hamleta.— Klasztor, albo wieczna ułuda waryatów.

Jerzy i Otton spojrzeli po sobie i westchnęli. Janiny już nie było w Dąbczynie.

V.

Nazajutrz rano krwawo wzeszło słońce nad dworkiem w Czarnowodach. Zuzanna już od świtu miała oczy czerwone z płaczu, major chodził siny jak bez i łamał ręce. Górnicki leżał w gorączce i śnił o swoim domku rodzinnym. Służba snuła się milcząca i smutna.

Major kilka razy podsunął się na palcach pod drzwi Dębicza, ale tam było głucho jak w grobie. Był to dzień, w którym miała nadejść obwieszczona w gazecie subhasta. Nie można było odwlekać. Uradzono posłać po księdza Macieja i Jerzego, bo jeden dla duszy, drugi dla ciała mógł się stać potrzebnym.

Jerzego przeraziła ta wiadomość. Ksiądz Maciéj przyszedł z modlitwą na ustach, któréj jeszcze nie dokończył. Usiedli wszyscy w pokoju majora, ale nikt nie ośmielił się przemówić. Milczenie ich było wymowne, było straszne. Zdawało się, że ci ludzie gotują się do jakiegoś pogrzebu i niecierpliwie wyczekują skonania.

Wreszcie wysunął się major na kurytarz i wrócił

z przestrachem na twarzy. Stary Dębicz zawołał służącego. Już blizka była chwila okropna!

Staruszek był jakoś dzisiaj w niezwykłém usposobieniu. Przyniesioną kawę odesłał, mówiąc, że jéj pić nie będzie. Potém modlił się dłużéj niż zwykle. Po odbytych modłach kazał sobie przynieść żupan biały, jedwabny kontusz orzechowy, pas złoty i czapkę białą aksamitną z popielatym barankiem. Wszyscy ze zdziwieniem spojrzeli po sobie, ale nikt słowa nie powiedział.

Wreszcie o godzinie wpół do dziewiątéj kazał przywołać księdza Macieja i oznajmił mu, że się chce spowiadać. Potém przywołał Zuzannę, oraz majora i pytał ich, czy nie mają do niego jakiego gniéwu. To samo uczynił z wszystkimi domownikami.

Wszystko to odbyło się w głuchém milczeniu. Nikt nie miał odwagi zapytać go o powód tak nagłéj spowiedzi. Smutek i trwoga ścisnęły im usta.

Wreszcie po ukończonéj spowiedzi prosił wszystkich do siebie. Zuzanna, major i Jerzy weszli w milczeniu; ksiądz Maciéj kończył właśnie swoje modlitwy, a w jego oczach, do nieba wzniesionych, błyszczały dwie łzy.

Stary Dębicz był bledszy jak zwykle, ale twarz miał spokojną. Rzewny uśmiéch igrał koło ust jego, a w oczach malowała się jakaś błoga cisza po przebyéj boleści. Nie mógł długéj powstrzymać wzruszenia swego biédny major. Przystąpił do krzesła, wziął rękę staruszka i oblał ją łzami. To samo uczyniła z drugiéj strony Zuzanna.

Staruszek z jakąś wzniosłą radością patrzył na oboje. Powoli zakręciły się dwie łzy w jego oczach.

— Wstańcie, dzieci moje!—zawołał drżącym od wzruszenia głosem — wstańcie i pójdźcie do moich piersi.

Przycisnął oboje do siebie i ucałował ich głowy.

Major w głos się rozpłakał. Staruszek uśmiéchał się słodko, a położywszy rękę na jego ramię, rzekł:

— Cyt! Tadeuszu, nie bądź dzieckiem! Stało się... rozpacz nie zbawi nas.

Wszyscy spojrzeli z zadziwieniem na staruszka, który uśmiéchając się, mówił daléj:

— Byłeś nieraz komendantem i kazałeś kolumnie iść do szturmu. Czy gniéwałeś się na tych, którzy pokaleczeni bezskutecznie wracali... lub na tych, którzy pod ciosem polegli?—dodał z wyrazem smutku na twarzy.—Żądamy od ludzi wiele, ale nie trącamy ich nogą, gdy śród drogi upadną! Tadeuszu, bądź mężnym... oto kobiéta stoi przy twoim boku, która twojéj potrzebuje podpory!

Milczenie głębokie panowało w izdebce. Nikt nie miał odwagi ust otworzyć. Tylko łkanie majora i Zuzanny przerywało tę ciszę, tylko tabakierka księdza Macieja skrzypiała smutno.

Po chwili ozwał się znowu staruszek:

— Był wczoraj u mnie agent Warnera. Chciał imieniem swego pryncypała traktować ze mną o kupno Czarnowód i Radziejewa.

Tu się zatrzymał staruszek. Widać było po nim, że walczy wewnątrz z wielką boleścią. Spokojnie mówił daléj:

— Powiedziałem mu, że za żadne piéniądze obcemu koloniście majątku nie damy, że wolimy niżéj ceny sprzedać rodakowi... Zostawił mi spis ciążących

na tym majątku długów i kopią wyroku sądowego. Rzecz jasna, nie ma ratunku. Jesteśmy narodem rycerskim, zwalczą nas spekulanci.

Znowu nastąpiła długa pauza. Ksiądz Maciéj już w duchu cieszył się, że staruszek z takim pokojem przyjął nieszczęście, ale Jerzy z widoczną trwogą patrzył na niego. Jeden widział mocnego ducha, drugi słabe ciało.

— Otóż to ci tylko powiém jeszcze, Tadeuszu, abyś ten majątek rodakowi do rąk oddał... niech ja spokojnie śpię w grobach ojców moich!

To rzekłszy, prosił wszystkich, aby go samego zostawili. Jerzy sprzeciwił się temu, ale staruszek miał twarz tak spokojną, tak z każdą chwilą stawał się weselszym, że wszyscy przemogli Jerzego i z izdebki wyszli.

W pokoju majora czekał jakiś szaraczkowy jegomość. Miał surdut długi z szaraczku, głowę łysą, twarz chudą, kościstą, na któréj migotało dwoje ukośnych oczu.

— Jestem Dyonizy Czerepańkowski — rzekł do majora—jurysta z profesyi, do usług pana dobrodzieja. Dowiedziawszy się w sądzie, że Radziejewo cum attinentiis na subhastę wystawiono... pośpieszyłem do pana dobrodzieja, aby w tym względzie jakie słowo pomówić.

— Czegoż pan żądasz?—zapytał major.

— Bo to widzisz pan — mówił daléj staruszek— u nas jest to teraz rzeczą nader ważną, kto ziemskie dobra posiada. Kolonistom bowiem nie chodzi o dobro kraju, tylko o zysk.

Major omal, że się nie rzucił w objęcia palestrau-

ta. Anioł boży mógł tylko w téj chwili przyprowadzić tego człowieka.

— Otóż słuchaj pan dobrodziéj. Uciułałem sobie z wielkim mozołem nieco grosza. Własną pracą dorabiałem się, bo jakkolwiek z dobréj szacheckiéj pochodzę familii, jednak ubogi przyszedłem na świat. Otóż zważywszy te wszystkie rzeczy, zechce pan dobrodziéj mi powiedzieć, czy nie mógłbym tak ciepłą ręką tentować kupna?

— O, mój panie!—zawołał major — prawdziwą przysługę czynisz nam, bo my pod żadnym warunkiem obcemu koloniście nie chcemy powierzyć téj ojczystéj gleby, tego poczciwego ludu.

— To już wszystko dobrze, panie dobrodzieju... u mnie chudzizna—kolonista dałby więcéj — a ja... ot więcéj dla przywiązania do naszych pamiątek to czynię...

Ale major nie dał poczciwemu dokończyć, tylko chwycił go za rękę i zaprowadził do izdebki Dębicza.

Staruszek porządkował właśnie swój poemat o Stefanie Batorym. Brakło mu kilku pieśni do końca.

— Patrz, nie dośpiewałem — mówił do księdza Macieja, który wraz z majorem przyszedł — tchu mi zabrakło.

A dowiedziawszy się, o co chodzi, uścisnął rękę szaraczka i z widocznem ukontentowaniem z nim rozmawiał. O cenę nie było targu, chodziło tylko o pokrycie długów.

Po chwili rzekł Dębicz do szaraczka:

— Tylko ja chciałbym zaraz to zakończyć, bo mi jakoś spieszno.

Jerzy zadrżał na te słowa, a ksiądz Maciéj

uśmiéchnął się, że staruszek tak prędko dobry interes chwyta.

Dyonizy Crerepańkowski miał jakoś wszystko przy sobie, i wykazy i dokumenta, a będąc jurystą, jednym zamachem napisał kontrakt, który Jerzy i ksiądz Maciéj jako świadkowie podpisali. A jako człowiek uczciwy, dobył zaraz trzosa, małą zwyżkę, która od długów pozostała, na stole położył i wszystkich uprzejmie pożegnał.

Staruszek był jakoś weselszy po tym akcie, mówił o Dąbczynie, żałował, że hrabia Leon w tak krytycznéj chwili odjechał, potém przeszedł na Augustyna i mówił długo o jego wyznaniach. Ale w głosie staruszka było coś nienaturalnego, jego uśmiéch był czasem tak boleśny, jakby go wewnątrz kto za serce szarpał.

W południe przyjechał sąsiad, ubolewał nad nieszczęściem Czarnowód i wymówił nieuważnie, że Warner nabywa ten majątek za pośrednictwem niejakiego Czerepańkowskiego. Major zbladł, Zuzanna zapłakała, ksiądz Maciéj uciekł prędko do swojéj tabakierki, a Jerzy z trwogą patrzył na twarz staruszka.

Po twarzy staruszka przemknęło uczucie boleści, ale wnet wypogodziło się jego oko, jego usta poczęły się znowu uśmiéchać.

— I cóż pomożesz — ozwał się do majora — oni i na nasze cnoty spekulują i na nich zarabiają!

Potém wszystkich wyprosił od siebie i długi czas sam był w izdebce.

W południe wypił filiżankę rosołu i kazał krzesło swoje toczyć przez wszystkie pokoje. W każdym kącie zatrzymywał się chwilę i mówił do obecnych:

— Na to nie ma ceny!... To można tylko sercem widzieć! Tanio sprzedaliśmy domek ojczysty.

W sali przed drzwiami zatrzymał się i rzekł do Zuzanny:

— Widzisz Zuzienko ten szczerb na tych oddrzwiach? Ach, to było tak dawno! Byłem dzieckiem i bawiłem się w króla Bolesława. Uderzyłem blaszanym pałaszem!...

Potém wytoczono go na dziedziniec. Oglądał drzewa i o każdém coś powiedział. Wszędzie miał pamiątki staruszek. Wiedział, którego dnia jakie drzewo sadzone. A w twarzy jego był taki spokój głęboki, taka pogoda duszy, że wszyscy, prócz Jerzego, cieszyli się, że staruszek tak łatwo przebolał tak wielkie nieszczęście.

Wreszcie kazał się zatoczyć do ogrodu, naprzeciw kościoła bożogrobców. Niebo wypogodziło się, jasne słonko świéciło na ziemię. Wody jeziora były czyste i spokojne. Staruszek patrzył na nie z uśmiéchem wewnętrznéj rozkoszy.

Nagle zmarszczył brwi. Przy kościołku snuli się jacyś robotnicy z różnemi narzędziami. W dali stał lud zgromadzony.

— Cóż to jest?—zawołał starzec i pokazał ręką na ruiny klasztoru.

— To robotnicy z fabryki — odparł ksiądz Maciéj.—Kościołek groził upadkiem, więc nakazano go rozebrać. Warner zakupił materyał z niego.

— Z domów bożych stawiają fabryki!—zawołał staruszek i westchnął.

Po chwili ozwał się znowu:

— Patrz, księże Macieju! Już krzyż pod młotem upada!... Czemuż to nie miało się stać jutro?...

Otarłszy łzy z oczu, rzekł:

— Już pójdę, bo mi tu duszno... A ty, Zuzienko; nie czujesz tego pyłu z domu bożego?

Ksiądz Maciéj spojrzał na Zuzannę, która z wielkiém wzruszeniem mówiła:

— Czuję, drogi drogi dziaduniu, czuję! Ten obraz Matki bolesnéj cudownie uzdrowił mnie, gdy byłam w wielkiém utrapieniu. Odtąd zwykłam codziennie na „Ave Maria“ przed nią się modlić.

Ksiądz Maciéj zamyślił się, ale staruszek przerwał mu, mówiąc:

— Księże Macieju, nie opuszczaj mnie dzisiaj. Zaprowadzisz mnie do grobowca Dębiczów. Dawno już tam nie byłem.

Wszyscy sprzeciwiali się temu; ale staruszek błagał, aby jego woli zadość uczynić.

Groby Dębiczów były w piwnicy pod małą kapliczką, która stała na najwyższym punkcie w okolicy. Ostrożnie zaniesiono tam staruszka w krześle. Długi czas był w kaplicy i gorąco się modlił. Poczém kazał się spuścić do grobów.

Każdą trumnę oglądał i o każdym Dębiczu opowiadał coś ciekawego. Wszyscy słuchali go ze łzami... jakieś dziwne przeczucie opanowało serca wszystkich.

Już się prawie zmierzchać zaczęło, gdy jakiś szmer głuchy doszedł z daleka. Jerzy wyjrzał oknem i zobaczył liczne światła przy kościołku bożogrobców. Stary kucharz nadbiegł z wiadomością, że lud okolicz-

ny zgromadził się w kościołku, pozapalał ofiarne świéce i robotników z fabryki poodpędzał.

Rozjaśniła się twarz staruszka i wszystkich obecnych.

Staruszek mówił:

— Wiara jest to klejnot ludu. Mędrcy chcą go zbawić swoją teoryą, a nie wiedzą, że to wszystko jest w wierze. Dla tego tylko wiarą trafisz do niego!

Jerzy zamyślił się głęboko. Od wód jeziora zabrzmiała pieśń „Bogarodzico dziewico“. Staruszek słuchał chwilę z uśmiéchem na twarzy, a potém rzekł:

— Stara to pieśń nasza! Tę pieśń śpiewali nasi ojcowie przy każdéj uroczystości!

Nastąpiło długie milczonie. Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych pięknych, chóralnych głosów. Staruszek spuścił głowę i zdawał się zasypiać. Nagle podniósł się w górę i zawołał:

— Co tam za światło?... widzicie? Aniołowie zstępują z nieba... słyszycie ich hymn niebieski?... Jak miły, jak słodki... dusza się rozpływa... płynie w błękitne podwoje niebios...

I zamilkł, jakby nagle usnął.

Krzyk przerażenia rozległ się po ciemnych ścianach. Wszyscy rzucili się do Jerzego, aby go ratował. Ale Jerzy stał na miejscu i nie ruszył się.

Po chwili rzekł:

— Serce pękło!

Przeszła noc straszna i okropna, nastąpił dzień pełen łez i boleści. Żałoba i niema rozpacz ścisnęła wszystkim usta. Poglądano tylko po sobie, ale nikt

słowa nie powiedział. Górnicki w coraz gorszą zapadał gorączkę. Jerzy i ksiądz Maciéj nie odstępowali smutnych i strapionych. A nad wodami jeziora coraz liczniejsze wznosiły się głosy; coraz więcéj z okolicy zgromadziło się ludu, zapalono świéce, zbierano składki na odbudowanie kościołka. Staruszek z twarzą spokojną leżał na katafalku i zdawał się uśmiéchać, słysząc pieśń „Bogorodzico-dziéwico“....

Inaczéj mijał ten dzień w Mogiłach. Robotników moc, krzyk i hałas, kupy kamieni i cegieł, jakby drugi Babylon budowano. Już kilka kominów, wysokich jak wieża, wznosi się po nad ziemię, a z jednego buchają białe kłęby pary, jak z czeluści piekła. Jest to piérwszy oddział fabryki, przerobiony z dawnego dworu.

Szczęśliwy negocyant obchodzi warsztaty wszystkich rzemieślników i zaciera ręce, że robota tak szybko postępuje. Liczy w duchu ogromne zyski i śmieje się z dwóch bankrutów, których tak zgrabnie w łapkę złapał i krew z nich wyssał. Liczy intraty Radziejewa i Czarnowód i rozmyśla na projektami zawiązania wielkiego towarzystwa na akcye, którego celem ma być zakupowanie dóbr większych w Poznańskiém i sprzedaż drobnemi kawałkami. Gdy w dali na widnokręgu ujrzeli wieże Dąbczyna, uśmiecha się do siebie i głaszcze po sercu.

Na obiad przyjechał Otton. Był bardzo smutny i zamyślony. Stary negocyant pogniewał się trochę na niego i powiedział mu, że ma głupie serce, kubek w kubek podobne do nieboszczki matki, która była rodem z Poznania. Późniéj odjechali Walter i Matylda. Negocyant cieszył się nimi, opowiadał im wiele o Ra-

dziejewie i Czarnowodach, które dla nich przeznacza. Przyobiecał za kilka dni zawieść ich do Czarnowód i dobra oddać w ich ręce. Śmiał się ze starego Dębicza, który mu nie chciał dóbr sprzedać, a sprzedał najętemu przez niego palestrantowi o kilka tysięcy talarów niżéj ceny.

I tak szczęśliwy, taki wesół był stary negocyant! Opowiadał dzieciom o olbrzymich planach na przyszłość, co za miliony zostawi im pośmierci, jeźli jeszcze dziesięć lat popracuje na tym padole płaczu. Pogniewały go trochę raporta robotników z klasztoru bożogrobców, że lud nie da im zakupionych przez niego materyałów rozebrać; ale napisawszy do władzy o asystencyą, uspokoił się i wnet przy swoich planach górnolotnych zapomniał o téj bagatelce.

Po obiedzie użył przechadzki, rozmawiał z dziećmi, a gdy się zmierzchać zaczęło, odszedł do swojéj kancelaryjki, tymczasowo urządzonéj, w któréj miał jeszcze tego dnia poczynić niektóre ekspedycye w interesach bankierskich.

Już dobrze było z wieczora, gdy maszynista dał mu znać, że właśnie na próbę puszczono w ruch ogromne koło zębate, którego przeznaczeniem było rozdzierać włókna lnu na małe strzępki.

Negocyant zamknął stolik i poszedł za maszynistą długim, ciemnym kurytarzem. Zeszli po schodach do podziemnego sklepienia, w którém widną była część téj ogromnéj, piekielnéj machiny!

Widok tego ruchu, przy którym żadnéj ludzkiéj ręki nie było widać, miał w sobie coś przerażającego. Jakaś tajemna siła poruszała te koła olbrzymie. Mrowie przeszło po ciele negocyanta. Maszynista posta-

wił światło na ziemi i odszedł na piętro, aby tam coś poprawić. Negocyant sam jeden został w podziemiu. A w koło niego wszystko się ruszało i żyło, a przecież nie było ani żywego ducha!

Jakaś dziwna trwoga opanowała jego duszę. Światło, wychodzące od ziemi, tak dziwnie oświecało te koła olbrzymie i nieustannie się krzyżujące!

W tém ktoś wszedł po schodach. W pół cieniu poznał negocyant swego rudego satyra. Jakieś nieprzyjemne uczucie wstrząsło nim.

— Co jabym dał za to—pomyślał sobie — gdyby te satyry i karyatydy z mego domu znikły. One mi zatruwają życie!

I w saméj rzeczy Link wyglądał dzisiaj jak prawdziwy satyr. Twarz miał mocno czérwoną, kapelusz na bakier, ubiór powalany, a usta wykrzywiły się jakimś szatańskim uśmiéchem.

Oddawszy pokłon pryncypałowi, rzekł do niego głosem niezwykłym:

— Wielkie dzieło skończone... współpracownik spodziéwa się sowitéj nagrody.

Dziwnym wydał się ten ton negocyantowi. Wstrząsł się z gniewu, ale nic nie powiedział.

— Z Czerepańkowskim skończono... wziął odstępnego tysiąc.

— Dobrze... czegóż stoisz... czego chcesz.

— Czego ja chcę?—odparł Link, a woń wódczana buchnęła na całe podziemie—hm! czego ja chcę?.. Ja chcę być porządnym człowiekiem. Chcę pić dwa razy na dzień kawę, jeść pieczeń cielęcą z mieszaną sałatą, palić cygara z Hawanny, chodzić w długim

kapotroku à la mode, i czytać codziennie „Kreuzzeitung“. Już mi się sprzykrzyło to psie życie!

— Czyś oszalał?—krzyknął negocyant.

— Bynajmniéj—odparł spokojnie agent. —Nigdy nie miałem więcéj rozumu, jak w téj chwili.

— Nie chcesz już służyć?

— Chcę być „małym kapitalistą“.

— A piéniądze gdzie?

— Będę miał nieśmiertelnych dziesięć tysięcy talarów. To bardzo skromnie. Do tego rentę tysiąc dwieście talarów, to jest tyle, ile potrzeba na porządne życie: na kawę, pieczeń z mieszaną sałatą, kapotrok, Havanna i „Kreuzzeitung“.

— A gdzie masz te piéniądze?

— W żelaznéj skrzyni kantoru „Goliat et Compagnie“... bardzo dobrze ulokowane.

— Pijaku, upiłeś się!—krzyknął w złości negocyant!

— Ależ nader rozsądnie mówię! Co? tysiąc dwieście renty dożywotniéj i dziesięć żelaznego funduszu!

Stary negocyant wstrząsł się ze złości, przystąpił do agenta i chwycił go za klapę surduta.

— Pijaku! Co mówisz! Idź, aby nikt głupiéj mowy twojéj nie słyszał!

Agent odparł z wielkim spokojem:

— Dotąd nikt naszéj mowy nie słyszy. Jesteśmy w piwnicy i koła do tego warczą. Nawet obaj powinniśmy sobie życzyć, aby nas nikt nie słyszał!

Jakaś dziwna myśl przebiegła przez głowę ne-

gocyanta. Odsunął się od olbrzymiego koła i podejrzliwém wejrzeniem zmierzył pijanego agenta.

— Idź precz!—rzekł do niego dziwnym głosem.

— Tak, teraz mam iść precz, gdy pieczeń gotowa? — odparł agent, zataczając się aż pod same koło.

— Milcz, pijaku—krzyknął negocyant i cały poczerwieniał.

— Właśnie dla tego, abym milczał, chcę dziesięć tysięcy żelaznego funduszu ze skrzyni żelaznéj i tysiąc dwieście renty.

— Łotrze! Ja ci dam dożywocie w kryminale!— wołał chrypliwym głosem negocyant.

— To ja łotrem, a ty, stary szachraju, czém jesteś?—krzyknął oburzony agent, aż piana usta mu okryła.—Ja łotr, prawda, bom przysiągł, a któż mi zapłacił za tę przysięgę? Mnie w kryminale źle nie będzie, ale ty—pan milionowy!...

Trupia bladość okryła twarz negocyanta. Podniósł wyschłe ręce, skurczył palce na kształt pazurów i krzyknął:

— Milcz, przeklęty łotrze! Jutro się rozmówimy!

— Ja zaś mam wielką ochotę dzisiaj interes ukończyć. Chcę już od jutra być porządnym człowiekiem. Tu mam wszystko gotowe, tylko podpisz.

Mówiąc to, sięgnął do kieszeni po papiér i tak mocno się zatoczył, że głową uderzył o koło, które obracało się zwolna, ale z ogromną siłą.

Oczy negocyanta zaświeciły dziwnym blaskiem, usta jego zadrżały dzikim uśmiéchem.

— Idź precz! –rzekł z cicha: jak człowiek, który walczy z jakąś straszną zmorą.—Idź, łotrze!

— Ja łotr, ja?—krzyknął wściekle agent — ja, który tylko dla ciebie pracowałem! A ty, który lichwą i naprzód wyrachowaną spekulacyą zabijałeś ludzi, siérotom odbierałeś ostatni przytułek... ty mnie łotrem nazywasz!...

Twarz agenta paliła się, na usta wystąpiła piana. Stary negocyant z piekielnym uśmiéchem patrzył na koło, które tylko na kilka cali obracało się od głowy agenta z głuchym szumem. A w podziemiu nie było ani żywego ducha!...

W tém na schodach pokazała się jakaś straszna, blada mara. Negocyant zbladł, kurcz przestrachu wykrzywił mu usta. Wyciągnął rękę do widma i krzyknął:

— Górnicki?

— Ha, ha, ha!—piekielnym śmiéchem wrzasnął agent, który widmo miał za plecyma—ha, ha, ha! toż i ty już widzisz go! Ja go widuję codziennie, co nocy, rozumiész, co nocy! O północy przychodzi do mnie i kładzie się na mnie trup, zimny jak lód! brr...

— Precz!—wołał negocyant z obłąkanemi oczyma, odtrącając agenta i marę od siebie.

— Ha, ha, ha! Otóż ze mną łatwiejsza sprawa. Zapłać, a pójdę. Ale on... on nigdy od ciebie nie odejdzie... tak samo jak i odemnie... rozumiész?... nigdy nie odejdzie!...

Negocyant wytężył oczy, patrzył na stojącą na schodach marę, a przestrzeń podziemia zaczęła się napełniać jakiemiś strasznemi marami, które coraz bardziéj zbliżały się do niego! W powietrzu latały jakieś gady skrzydlate, plugawe, a gdy oddychał, wciągał je w siebie, w piersi... krew paliła się w nim\...

— Skończmy interes!—wołał agent—zanim się poschodzą wszyscy, których zabiłeś! Za chwilę przyjdzie i Dębicz!...

Na kurytarzu ozwały się jakieś dziwne głosy, wołające:

— Warner, Warner!

Pot śmiertelny wystąpił mu na czoło.

— Słyszysz?—zawołał z szatańskim śmiéchem agent—to oni przychodzą!

— Milcz!—wrzasnął w śmiertelnéj trwodze negocyant i pchnął ręką przeciwnika.

Pijany agent zatoczył się... ciężka żelazna kolba dotknęła się jego głowy... chwyciła... zgniotła...

Biała mara znikła nagle ze schodów... negocyant wybiegł na kurytarz. Tam mnóstwo ciemnych postaci ciśnie się do niego... chwytają go za poły, wołają po imieniu... negocyant rzuca się jak wściekły i ucieka.

Była to deputacya ludu, która chciała kościołek ocalić. Ale negocyant widzi same piekielne mary, słyszy ich dzikie, szalone głosy i ucieka. Skrył się pod krzakiem bzu. A tam widzi ogromne, żelazne koło, widzi krew i tułów bez głowy... widzi mary piekielne. Liść zżółkły upadł... negocyant skoczył i daléj ucieka! Obejrzał się po za siebie, a tam z olbrzymiego komina bucha para, a w białych olbrzymich kłębach unosi się ku niebu tułów bez głowy!... Negocyant uciekł, aby to wszystko jak najprędzéj za sobą zostawić!

Wyszedł na drogę. Droga ładna, równa, wysadzona topolami. Negocyant idzie tą drogą i macha rękoma, bo coś za nim goni. Wiatr zimny, jesienny,

a jego krew pali się w żyłach. Tam daleko widzi dworek jasno oświecony. Tam go coś ciągnie... tam spocznie i wolen będzie od mar. Zbliża się, patrzy przez okno... a tam... leży Dębicz na katafalku!... Koło niego palą się świéce... a tam z daleka od jeziora brzmią jakieś dziwne, stłumione głosy!...

Krzyknął i upadł na ziemię.

Z dworku wybiegli major, Jerzy, ksiądz Maciéj i Zuzanna. Poznali negocyanta. Jerzy uratował mu życie, ale rozumu już mu nie uratował. Negocyant obłąkaném okiem patrzył przed siebie.

Wkrótce przybyli Otton i Walter. Opowiedzieli całe zdarzenie. Link przypatrując się maszynie, nieostrożnie zbliżył się do koła i głowę stracił. Na ten widok okropny stracił zmysły biédny negocyant.

Górnicki wrócił z nocnéj wycieczki, którą był w gorączce uczynił z tęsknoty za swoim domkiem rodzinnym, ale nic z téj wycieczki nie pamiętał. Mówił tylko, że miał sen okropny.

W kilka dni po tych smutnych wydarzeniach, zgromadzili się osieroceni „spirytualiści“ wieczorem w pokoju majora. Ksiądz Maciéj czytał coś z księgi Joba i stosowne do tego czynił objaśnienia. Major uśmiéchał się do swoich myśli; zdawało się, że wcale nie uważa na to, co się czyta. Zuzanna, czarno ubrana, siedziała ze złożonemi do modlitwy rękoma. Jerzy stał w najciemniejszym kącie pokoju i był mocno zamyślony.

Wreszcie skończył ksiądz Maciéj czytanie, a roz-

mowa przeszła na ostatnie wypadki. Mówiono o kościołku bożogrobców, który od zatraty uratowano. Uczyniono bowiem składkę, kilku obywateli i kilku mieszczan z Dąbczyna zajęli się tą sprawą i uzyskano od władzy pozwolenie restauracyi. Dopiéro wtedy odstąpił lud i rozszedł się spokojnie.

Ksiądz Maciéj mówił wiele, jaką potęgą jest wiara u ludu. Jerzy z wielką uwagą mu się przysłuchiwał. Jakieś piękne, błogie uczucie rozjaśniło mu twarz.

Major uśmiéchał się ciągle do siebie. Zabolało to jakoś księdza Macieja. Zapytał się, o czém teraz myśli, że taki kontent?

— A jużci nie będę taką babą, jak wszyscy jesteście—odpowiedział z uśmiéchem.—Trzeba coś robić, o coś się postarać. Wszak za kilka tygodni wypędzą nas z tego domku!

Gdy go ksiądz Maciéj zapytał, co robić zamyśla, opowiadał długo i széroko o wszystkich swoich planach, do których już w duchu się uśmiéchał. Najprzód zdecydowany był zaciągnąć się do jakiego autoramentu. Całe swoje nieszczęście przypisał temu, że porzucił zawód wojskowy, w którym spodziéwał się dobić jeneralstwa. Bił się tylko z myślami, czy ma się zaciągnąć do jakiego europejskiego potentata, czy popłynąć do Brazylii. Potém był znowu za legią cudzoziemską w Algierze, ale wkrótce i to mu się nie podobało, wolałby służyć w Hiszpanii. A gdy się wszyscy dziwnie na niego spojrzeli, rozgniewał się, że go mają za starego, za inwalidę, a on jeszcze taki krzepki, taki zdrów! Na dowód tego wyzwał wszystkich, aby się z nim na rękę próbowano.

Humor ten poczciwego majora wszystkich zasmucił. Major jednak rozdąsał się na seryo, że go uważają za inwalidę. Zaczął mówić o swojéj młodości, jak to on umiał pannom głowy zawracać, jak jedna Francuzka szalała za nim, jak książe Józef brał go zawsze ze sobą, bo obaj byli najprzystojniejsi żołnierze w całéj armii.

Ksiądz Maciéj uśmiéchnął się na to, a major tak się tym śmiéchem obraził, że aż Zuzanna musiała tę sprawę załagodzić. Ale major nie zapomniał urazy. Mówił, że wprawdzie teraz wygląda trochę na mazgaja, ale temu winne te szmaty cywilnego ubioru. Zapewniał wszystkich, że w mundurze wcale mu lepiéj. I aby dowieść tego, poszedł do swojéj garderóbki, dobył stary mundur, który starannie przechowywał i od stóp do głowy ubrał się po dawnemu.

Gdy wszedł do pokoju, wyprostował się jak świéca, wyciągnął szyję, spiętą szérokim, włosiennym halsztukiem i począł z marsowym akcentem przechadzać się po pokoju. Pukał po piersiach wysoko sklepionych i gniéwał się, że go uważają za niezdolnego do służby wojskowéj.

Wszyscy patrzyli po sobie z boleścią. To dziwne zachowanie się majora trwożyło ich.

Wreszcie mówił cichym głosem, że się na wielką wojnę zanosi. Właśnie czytał dzisiaj w gazecie o tém. W takim razie spodziéwał się, że się w jakim autoramencie umieści i jeszcze do wysokich dosłuży stopni.

Zuzanna ze łzami w oczach patrzyła na niego.

Wreszcie pożegnano się do jutra. Major ucało-

wał żonę i powiedział jéj dobranoc. Został w swoim pokoju, mówiąc jéj, że ma dzisiaj wiele jeszcze pracować.

Za kilka godzin wszedł służący, aby mu świecę odmienić. Major siedział w starym swoim mundurze przy stoliku. Jedną ręką podparł głowę, drugą trzymał na mapie i palcem wskazywał na Brazylią. Ale był siny i zimny. Śród rojeń młodocianych tknęła go apopleksya.

Gdy się o tém ostatniém wydarzeniu dowiedziano w kamienicy o śmiéjących się karyatydach, zamyślił się nagle Walter, a po chwili rzekł do żony:

— Kochana Matyldo, my tam nie będziemy szczęśliwi, my zostaniemy tutaj. Niech Otton weźmie sobie ten majątek.

A gdy piękna Matylda z zadziwieniem na niego spojrzała, mówił daléj:

— Z razu myślałem, że my, idąc tam na wschód, niesiemy im błogie światło naszéj cywilizacyi. Tymczasem oni tam u siebie mają święty ogień, który ich może wyżéj stawia nad sztuczne teorye i systemata. Oni mają miłość pamiątek rodzinnych i strzechy ojczystéj, a na téj miłości gruntują się wszystkie cnoty tak pojedyńczych ludzi, jak i całych narodów. Nie odbierajmy im tego kęsa ziemi, bez którego nasza ojczyzna będzie zawsze wielką i wspaniałą, a byłaby piérwszą na świecie, gdyby ich cnoty miała!... Matyldo, my zostańmy tutaj, ja będę czytał ich książki i będę o nich pisał dla naszych. Piękną i wznios-

łą musi być ich literatura, jeźli takie cnoty są między nimi.

Piękna Matylda ucałowała zamyślone czoło młodego uczonego i rzekła ze słodkim uśmiéchem:

— Tyś odgadł moje myśli, mój drogi Walterze. My zostaniemy tutaj i będziemy pielęgnowali naszego nieszczęśliwego ojca.

VII.

Jakże smutną, jakże nudną była teraz samotna izdebka naszego bohatéra! Tak bolesne wypadki wstrząsły jego duszą, która zwolna zasnuła się w kłębku swoich marzeń i świat rzeczywisty z oczu straciła. Zdawało mu się, że się budzi z jakiegoś długiego snu i powoli oczy otwiéra.

Wszystkie jego marzenia wydały mu się mrzonką dziécięcą. Marzył o poświęceniu się, ale nie myślał o tém, że każde poświęcenie się musi przynieść korzyść tym, dla których poświęcamy się. Myślał, że gdy wejdzie w birecie i płaszczu doktorskim między lud, on go zaraz otoczy i słuchać będzie mądréj jego nauki. Tymczasem próba ta, która tyle lat mozołu kosztowała, nie udała się — lud nie uznał nauki i cofnął się przed nią do swoich odwiecznych tradycyj. A biédny marzyciel pozostał sam, jak głos wołającego na puszczy.

W koło niego łamały się brzegi ziemi ojczystéj i ginęły w toni bezdennéj. Miasta, wsie i lud odrywały się od łona matki i wszystko ginęło w odmęcie

obcego żywiołu. On chciał stanąć na téj strasznéj linii, chciał walczyć, jak walczyli niegdyś rycerze kresowi. Całe życie swoje włożył w tę myśl piękną, wzniosłą: i cóż ma dzisiaj czynić, gdy w koło niego łamie się wraz z ludem ląd ziemi rodzinnéj? A ten lud tak obojętny na wszystko!

I stanął mu przed oczyma kościołek bożogrobców i widział lud mnogi, który z murów święconych nie dał upaść krzyżowi. I przypomniał sobie ostatnie słowa starego Dębicza, że w wierze ludu jest wszystko, że to klejnot jego.

I długo, długo myślał nad tém.

Przyszło mu na myśl, że pół serca, pół duszy nie można poświęcać. Kto rozgorzał ogniem szlachetniejszych uczuć, ten powinien z serca swego uczynić Bogu całopalenie, powinien duszę swoję wznieść do ofiary, podobnéj owéj na górze Herebu.

Jerzy marzył o swojéj miłości i zdawało mu się teraz, że idąc do szlachetniejszych celów swoich, zboczył z drogi. Serce całą siłą było przeciw temu, ale wewnątrz duszy odzywał się głos: Poświęć uczucia serca twego, bo w moim zakonie jam tylko jest miłością!

Miałże zrzéc się serca Janiny? Miałże dla swojéj wyśnionéj mrzonki czynić nieszczęśliwą tę biédną, słabą istotę?...

Przyszło mu na myśl posłannictwo Ottona. On mógł zrzeczeniem się swojéj miłości uczynić tę rodzinę szczęśliwą, przywrócić jéj utracony majątek, a tém samém doprowadzić do tego, żeby ziemia rodzinna nie utraciła nic z swego brzegu! Wszak Leon wyraźnie

mu powiédział, że wtedy kochać zacznie, gdy on przestanie!...

Ach? biédna Janina! Jakże to słabéj i sercem tylko żyjącéj kobiécie wytłumaczyć, że dla wyższych, szlachetniejszych celów można oderwać się od jéj serca, można jéj nie kochać! Jakże ona temu uwierzy, jakże wytrzyma ten cios bolesny?...

Długo bił się z podobnemi myślami nieszczęśliwy marzyciel. Ludzie, którzy długi czas oderwani od świata, rozpalali serce swoje wyższém, szlachetniejszém pragnieniem, nie mogą już wrócić do mętnéj, chłodnéj rzeczywistości. Dla nich tylko czysta, eteryczna atmosfera. Szczęśliwi, jeźli znajdą taki zawód życia, w którym oddychać mogą tą czystą, eteryczną atmosferą. Biada im, jeźli jéj szukają przy kwiatach ziemskich!

Jerzy wstał z dumań swoich z twarzą wypogodzoną. Snać musiał znaléźć dla siebie tę czystą, duchową atmosferę.

On poświęcił swoję miłość.

Pozostała jednak druga część do spełnienia tego poświęcenia. Potrzeba było Janinę z tą myślą zwolna oswoić i wymódz na jéj sercu drugą część tego poświęcenia się. Trudne to było zadanie z sercem kobiecém, które pęka, gdy się mu miłość odbierze!

Jerzy wyjechał do Drezna.

Był wieczór pogodny. Na ulicy jeszcze pełno życia, pełno ruchu. Przed jasno oświeconym hotelem stanął Jerzy i spojrzał w okna piérwszego piętra. Jakże smutne czeka go tam spotkanie! Ona otworzy mu swoje ramiona, jéj serce uderzy do niego, a on ma dla niéj słowa lodu, ma jéj powiedziéć, że dla niéj

w téj miłości nie ma szczęścia, bo ta miłość byłaby samotną!

Serce biło mu głośno w piersi, ręce jego drżały, gdy drzwi otwierał.

W salonie jasno i wesoło. Liczne zgromadzenie bawi się wesołą rozmową. Margrabina wita go uprzejmie, Janina cudownie piękna! Nigdy nie była tak piękną w Dąbczynie. Rumieniec szczęścia jaśnieje na jego pięknéj, bladéj twarzy. Ale ten ogień jéj oczu jakiś zimny. Pyta go, czy czas słabości wydał mu się długi, czy się nie nudził, a gdy on odpowiada, ona odwraca się i słucha wesołych dowcipów tam z drugiego kąta salonu. Biédny marzyciel zebrał wszystkie promienie swojéj duszy gorącéj i rzucił je długiém, wymownem spojrzeniem w te czarne, niby gorejące oczy. Zrozumiała to spojrzenie, spuściła oczy, a lekki uśmiéch zadowolenia mignął koło jéj ust różanych. Ale wkrótce przybrała wyraz obojętności i zimnéj grzeczności; z tym wyrazem oddaliła się od niego.

Otoczyło ją zaraz grono młodych kawalerów. Byli to ludzie świetnego urodzenia i wielkich majątków. Wesołą, żartobliwą prowadzili rozmowę. Janina jaśniała między nimi świeżością twarzy i umysłu. Biédny marzyciel pomyślał sobie, że w obec tak licznego zgromadzenia Janina tai swoje uczucia, i czekał sposobności, zobaczenia jéj taką, jaką ją widział w snach swoich.

Janina miała coś zagrać. Wybrała ten sam utwór Chopina, który niegdyś Jerzego w taki wprawił kłopot i tyle szczęścia mu zwiastował. Chciał korzystać z téj sposobności. Zbliżył się do Janiny i ofiarował jéj, jak niegdyś, swoję usługę. Janina uśmiéchnę-

ła się, podała mu ten sam arkusz nót, który wtedy tak niezgrabnie z ręki jéj się zawsze wysuwał, ale podała mu dzisiaj tak zręcznie, że ich ręce bynajmniéj się nie dotknęły. Przy odwracaniu kart nachylał się Jerzy aż do jéj ślicznych warkoczy, ale tym razem nic nie usłyszał od niéj! Sztukę odegrała Janina z wielką precyzyą, jak wytrawna artystka.

Jerzy stanął na boku. Na jego twarzy malował się smutek. Janina spojrzała kilka razy z ukosa na niego. Korzystając ze sposobności, zbliżyła się i rzekła głośno:

— Pan jeszcze nie mówiłeś mi nic o biédnéj Tereni.

Odstąpiła kilka kroków i usiadła. Jerzy wziął krzesło i przysiadł się do niéj. Serce zadrżało mu w piersi.

— Chciałam z panem na osobności mówić — zaczęła Janina cichym głosem—ale mi się nie udało.

Jerzy obejrzał się w koło i gniewał się, że w téj chwili nie są sami.

— Najprzód muszę pana bardzo ładnie przeprosić za to, jeźli kiedy bawiąc się z panem, byłam zbyt roztargnioną. Już to jest w moim temperamencie, nie taić nikomu moich przyjaznych uczuć. I często i otwarcie to okazuję, czy to spojrzeniem, czy ściśnieniem ręki. Jest to niedobry zwyczaj, przyznaję się do tego, ale już siebie nie odmienię.

Jerzy obejrzał się znowu w koło, ale tym razem z inném wcale uczuciem.

— Dla tego proszę pana — mówiła daléj głosem błagającym—gdy się już może na zawsze rozłączamy,

abyś nie chciał miéć jakiego żalu do mnie, bo mnie by to bolało.

— Ja, żalu do pani?—jąknął nieszczęśliwy marzyciel, który na inną odpowiedź nie miał konceptu w téj chwili.

— Tak jest, abyś pan nie miał żalu do mnie. Bo panowie to zaraz inaczéj wykładacie sobie podobne zachowanie się kobiéty, nie prawdaż?... A ja tylko przyjaźń mogę panu ofiarować.

Tu przerwał im rozmowę jakiś młody człowieczek z lornetką u szyi, odprowadzając Janinę do grupy matron starszych, między któremi toczyła się jakaś ważna debata.

Jerzy został sam na krzesełku. Siedział jak przykuty, aż zrobiono mu uwagę, że siedzi na drodze i wszystkim zawadza. Wstał nagle i wymknął się z salonu. A za nim wyszła myśl smutna i zabijająca: Ona cię nie kochała!

Przed bramę zajechał właśnie jakiś pyszny angielski ekwipaż. Wszystko błyszczało od srébra. Na drzwiczkach jaskrawemi farbami malowane były herby.

— Czyj to ekwipaż?—zapytał Jerzy stangreta.

— Pana barona—odpowiedział z dumą stangret.

— Jak się nazywa ten baron?

Stangret zmierzył dziwnie Jerzego, jakby chciał powiedzieć: Jak można tak głupio się pytać! Ale wnet namyślił się i rzekł:

— Pan baron Otton Warner.

Tego samego wieczora w ciemnym dworku Czaruowód siedział ksiądz Maciéj i z wielką siłą rozkręcał swoję tabakiérkę, co zawsze oznaczało, że jest w kłopocie. Przy nim siedziała Zuzanna z zapuchniętemi od płaczu oczyma. Była czarno ubrana, a w ręku trzymała Złoty Ołtarzyk, z którym właśnie zastał ją ksiądz Maciéj.

— Wspomniałaś mi pani o swoich zamiarach— mówił ksiądz Maciéj, biorąc sporą szczyptę tabaczki.

— Ślubowałam sobie przywdziać sukienkę Tercyarki—odparła młoda wdowa.

— Tercyarki!—zawołał ksiądz Maciéj i upuścił tabakierkę na ziemię.

— Czy ten ślub jest nierozsądny z mojéj strony?

— Nie, o tém nie mówię... ale dla młodéj osoby takie śluby są zawsze niebezpieczne. Kto się poświęca, ten powinien być pewnym siebie. Od ludzkiéj natury mocniejszą jest zawsze pokusa świata.

— Ksiądz Maciéj zna mnie od dziecka.

Ksiądz Maciéj podjął tabakierkę i zaczął się nią bawić. Chciał on coś na to odpowiedzieć, ale jakoś nie mógł z samym sobą się zgodzić. Po chwili rzekł:

— Otóż najlepiéj, jeźli nad naszém przeszłém życiem zastanowimy się, czy mamy dosyć siły w duszy do poświęcenia się, czy kiedy powziętych ślubów nie złamaliśmy. A to będzie miarą naszych ślubów na przyszłość.

Zuzanna zarumieniła się i spuściła głowę. Ksiądz Maciéj pilnie w nię się wpatrywał. Na jego twarzy malowała się trwoga. Drżącym głosem mówił daléj staruszek:

— Bóg bowiem nie pragnie od nas poświęcenia

się. On zna, że jesteśmy słabi i ułomni. Dla tego w chwili uniesienia nie trzeba przysięgać, nie trzeba ślubować. Serce nasze zbyt często pragnie żyć na ziemi. Bóg mu tego wcale nie wzbrania. Ale są chwile, w których ono zasypia. W takich chwilach nie trzeba czynić żadnych ślubów. Bo gdy się serce zbudzi, wtedy łamiemy śluby nasze i stajemy się grzesznikami. W smutku i żalu często zasypia to serce... czekajmy, może ono się zbudzi i zechce jeszcze użyć świata.

— Nie, nigdy! Moja dusza przebolała tak wielkie nieszczęścia, tyle w życiu zaznała uczuć, że to niczém nie da się zatrzéć... kochałam najgodniejszego człowieka, którego obraz zostanie aż do grobu między mną a światem!

Ksiądz Maciéj rozkręcał tabakierkę, a przed jego oczyma mignęła łódka biała i ruiny klasztoru.

— Mąż pani był najgodniejszym na świecie człowiekiem — ozwał się po chwili — ale dajmy na to... pani byłaś tak młodą, a on wiekiem nierówny...

Szkarłatny rumieniec okrył twarz biédnéj wdowy, łzy puściły się z jéj oczu. Przeląkł się ksiądz Maciéj i chciał zboczyć.

— Hrabia Leon przyjechał—rzekł w nadziei, że rozmowę na inny przedmiot zwróci—hrabia Leon przyjechał i... nawet, jak słyszałem, był z kondelencyą...

Zuzanna otarła łzy, złożyła ręce na piersi jak pokutnica i rzekła:

— Księże Macieju! Zgrzészyłam, że przed spowiednikiem moim tak długo kryłam się z mojém sercem. Dzisiaj wyznam wszystkie winy moje.

Ksiądz Maciéj otworzył tabakierkę, ale z bojaź-

ni, aby jakiego słowa nie uronił, nie sięgał do niéj.

Zuzanna mówiła:

— Wielką prawdę powiedziałeś, księże Macieju, że z sercem i ślubami musi być kobiéta bardzo ostrożną. Wychowana w zasadach nieboszczyka dziadka, przyjęłam rękę mego męża, bo zdawało mi się, że godniejszego nad niego nie było człowieka. I tak téż było w istocie. Ale nadszedł czas, w którym poczęłam coraz większy w sercu mojém czuć niepokój. Modliłam się i płakałam. Mój mąż ubóztwiał mnie, czcił mnie jak świętą, ale jego serce nie mogło żyć razem z mojém, które zapragnęło gorętszéj, młodzieńczéj miłości, pragnęło szałów i uniesień. Przybyła do tego i pokusa, i grzecznemi słowami rozgrzano serce moje. W końcu zjawia się człowiek, który od razu robi na mnie dziwne, niezatarte wrażenie! Pokusa szepcze mi do uszu: Z nim byłabyś szczęśliwsza! A te słowa jak gady wsysają się w serce moje i męczą i szarpią je!... W téj ciężkiéj boleści mojéj przyszedł mi na myśl cudowny obraz Bogarodzicy w kościołku bożogrobców. Kazałam się zmierzchem zawieść na łódce... modliłam się długo i gorąco, i nagle gdy zadzwoniono na „Ave“, uczułam się spokojną, a nawet szczęśliwą. Odtąd codzienie modlę się przed tym obrazem, gdy dzwonią na *Ave Maria.*

Twarz księdza Macieja zajaśniała dziwną radością. Wstał z krzesła, wzniósł ręce ku niebu i uroczystym zawołał głosem:

— O! dziękuję ci, wielki Boże, że w ostatek życia mego pocieszyłeś mnie! Spokojnie umrę, bo wiém, że ta dusza jest czysta jak anioł!

Młoda kobiéta nie zrozumiała téj gorącéj modlitwy księdza Macieja i mówiła daléj:

— Dzisiaj był u mnie hrabia Leon i ofiarował mi szlachetne serce swoje. Nie przyjęłam jego ofiary.

— Jakto, pani odmówiłaś mu?—zawołał śpiesznie ksiądz Maciéj.—To była przedwczesna odpowiedź.

— Postanowienia mego nie zmienię – odparła ze spokojem młoda kobiéta.—Wybierając Tadeusza na męża, poświęciłam dla cnót jego ziemską część serca. To poświęcenie złamałam późniejszém pragnieniem. Dzisiaj należy je uzupełnić... i całe serce aż do grobu poświęcić temu, od którego za życia chciało się odwrócić!

— Tego ani kościół, ani Bóg nie wymaga—wtrącił ksiądz Maciéj.

— Ale przyjmie łaskawie ślub biédnéj siéroty i przebaczy jéj.

Zuzanna wzniosła oczy do nieba. W téj twarzy pięknéj, młodéj kobiéty nie było już nic ziemskiego. Był to anioł boży, którego opiece porucza Bóg biédnych i sieroty.

Gdy Jerzy do swojéj samotnéj izdebki powrócił, zastał tam Leona, który niecierpliwie czekał na niego.

— Straszne rzeczy stały się tutaj!—zawołał Leon, ściskając mu rękę.—Wieść o moim bankierze była fałszywą.

— Do tego, co wiész, dodam ci jeszcze, żem się rozczarował — odparł Jerzy z bolesnym uśmiéchem.— A więc podług układu, masz się zacząć kochać!

— Cóż, kiedy na nieszczęście dostałem odkosza!—rzekł Leon w cierpkim humorze.

— Odkosza?... Od kogóż?

— Od wdowy!

— Oświadczyłeś się majorowéj?—zawołał zdziwiony Jerzy.

— I najniezgrabniéj w świecie. Powinien bym był przecież to przewidzieć!... Ale nie, takiéj kobiéty nie znałem nigdy... nie miałem o niéj wyobrażenia. Takiéj kobiéty szkoda na tak mglistą planetę, jak nasza ziemia!

Jerzy zapomniał o swojéj boleści i zdziwiony spojrzał na Leona. Ów zimny Leon był dzisiaj w jakiéjś gorączce. Chodząc szybko po pokoju, mówił daléj:

— Tę jednę kobiétę mógłbym kochać... ale nie, nie byłem jéj godzien. Gdybyś ją widział modlącą się! Patrzyłem na nię z po za drzew, gdy się modliła przed kościołkiem bożogrobców! To był anioł!

— Leonie!—zawołał szybko Jerzy—Bóg odsłonił ci duszę téj kobiéty na to, abyś uwierzył w czystą, wzniosłą miłość kobiécego serca!

Leon zatrzymał się nagle przed Jerzym i rzekł do niego:

— A ty, który dotąd byłeś aż nadto wiernym, czy po twojém rozczarowaniu się nie staniesz się sceptykiem? Czy będziesz kochał jeszcze?

— Będę kochał—odparł spokojnie Jerzy—tylko z tą różnicą, że będę kochał więcéj ludzi!

— Jakto? Zapiszesz się do filantropów?

— Zmienię mój zawód po raz drugi — pójdę na teologią do Rzymu.

— Na teologią!

— Dziwi cię to? Gdybyś to wszystko widział i uczuł, co ja w tych dniach widziałem! Wierzaj mi! Gonimy za mrzonkami; marzymy, że zajdziemy gdzieś daleko za pomocą idei i różnych systematów! A tymczasem tutaj gubimy coraz więcéj ziemi, którą wraz z mieszkańcami pochłania obcy żywioł! Cóż nas tutaj ocalić może? Oto wiara nasza, wiara, która jest drogą tak nam, jak i ludowi, na wszystko inne obojętnemu!

Leon myślał chwil kilka nad tém, co mu Jerzy powiedział, i rzekł po chwili:

— W saméj rzeczy, gdy się nad tobą zastanawiam, to widzę, że nie mogłeś lepszego wyboru stanu zrobić. Dla tak niepraktycznych marzycieli, jakim cię poznałem, którzy pragną gorzéć płomieniem ofiar i poświęceń, jest to jedyny stan, w którym szlachetniejszą część tego ognia w swojém sercu wypalić można. Prawdziwie, kapłaństwo jest to wielki, wzniosły, idealny zawód życia, w którym może znaléźć pokarm tyle dusz poetycznych, walających się nieraz ze złamanemi skrzydłami w kale rzeczywistości, od któréj oderwać się nie mogli.

Twarz Jerzego pokraśniała natchnieniem. Uścisnął Leona i rzekł:

— A teraz ty musisz się kochać!

— Kochać? Mógłbym kochać... ale nie ma kogo!

— Janinę!

— Janinę?... Na piérwszym wieczorze poznałem was oboje do gruntu. Wiedziałem, że się to tak skończy, ale nic nie mówiłem, bo zakochany musi się sam wyleczyć.

— A twój pojedynek?

— Soroka opowiedział mi waszę rozmowę w pawilonie. Poznałem cię jako człowieka niepraktycznego i chciałem cię zasłonić. Janina należy do rzędu tych kobiét, które tylko wtedy kochają, gdy są w złym humorze, mają jakieś zmartwienie, kaprys lub spazmy sercowe. Ich dusza zimna i spokojna nic o tém nie wié. Czasami wzniosą się nawet do namiętności, gdy wybrana przez nich ofiara jest obojętną na ich wdzięki. Ale stygną nagle, gdy ją ujrzą u nóg swoich.

Jerzy spojrzał po za siebie, na tyle marzeń i snów daremnych. Leon mówił daléj:

— Kochać mówisz?... Nie mam kogo kochać. W kraju mi smutno i nudno. Spieniężyłem cały mój majątek, wyjadę za granicę i będę się bawił piéniędzmi, jak się dzisiaj bawią.

— Jakto, wyjeżdżasz z kraju?

— Coś cięży nademną, coś mi tu duszno. Muszę zaprawdę wierzyć w przekleństwo dziadka. Na kresach, na Ukrainie nie mogę przedsięwziąć żadnéj wyprawy, bo nie ma przeciw komu!

Jerzy myślał chwilę, a potém rzekł:

— Posłuchaj mnie, Leonie. Nasze kresy zmieniły się. Od Dniepru i stepów ukraińskich przeniosły się nad Wartę i Noteć. Tu stać i o posiadłość naszę walczyć należy. Gdy tu zatkniesz sztandar twojéj wyprawy, dziad zdejmie przekleństwo swoje i będziesz szczęśliwy!... Kup Dąbczyn, kupuj, co możesz!

— A tobie dać prezentę na probostwo!—dodał z uśmiéchem Leon i zaczął chodzić po pokoju.

Długi czas chodził zamyślony. Słowa Jerzego poczęły nabierać wielkiéj wagi. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Myśl bardzo szczęśliwa... ale do zupełnego szczęcia daj mi żonę, daj mi kochankę!

Jerzy był w jakiémś dziwném natchnieniu.

— Dać ci żonę?—odrzekł—i ta by się znalazła. Wiész całe zdarzenie z biédną Terenią. Ale czy wiész, co to za istota? Jaka jest jéj choroba?... Ta siérota nigdy nie zaznała miłości, ani przywiązania. Jéj dusza marzyła od kolebki o tém uczuciu, wyrobiła w sobie to uczucie w ogromne, ludzkie serce przechodzące pragnienie, i to poróżniło jéj ducha z sercem, powaśniło rozum z uczuciem. Ale miłość może ją uzdrowić.

— Alebo ona kocha Warnera!

— To jest złudzenie, a nic więcéj. Kochała junkra, kocha Warnera i gdy ty do niéj się zbliżysz, odda ci całą duszę.

— Ta idyotka, jak widzę, nie jest niczém inném, jak tylko kobietą bez maski!—odparł z cierpkim uśmiéchem Leon.

— Wszak twoje doświadczenia nie stanowiły całéj prawdy o kobiétach?

— Masz słuszność, masz słuszność—podchwycił szybko Leon—będę jeszcze daléj doświadczał.

Za kilka dni wyjechał Jerzy do Rzymu. Jego serce nie mogło jeszcze przeboléć tylu marzeń i snów udaremnionych. Podróż i nowy zawód życia może go zupełnie uleczą. Sąsiedzi różnie tłumaczyli sobie te szczególne dziwactwa Jerzego. Kobiéty przypisywały je zawiedzionéj miłości, mężczyzni fałszywéj bigoteryi, a byli nawet i tacy, którzy w tém widzieli py-

chę i dumę. Ze wszystkich przyjaciół i znajomych odprowadzali go najdaléj hrabia Leon i Mietlica.

Hrabia Leon wrócił do Dąbczyna i zaczął traktować z margrabią o kupno majątku. Przy tém prosił go, aby mu wolno było odwiedzać samotną idyotkę, któréj studyum było dla niego nader ciekawém zadaniem.

Przy piérwszém widzeniu się mówiła mu biédna siérota o swojéj gorącéj miłości dla junkra, ułożyła z tego cały romans i opowiedziała w końcu ze łzami, jak ją kochać przestał i nieszczęśliwą od siebie odepchnął. W opowiadaniu biédnéj siéroty było tyle zapału dla junkra, tyle uczucia dla jego długiéj, wychudłéj figury, że dla Leona ani najmniejszéj nie było nadziei. Pożegnał ją uprzejmie, odszedł do swego pokoju i całą noc spał jak najspokojniéj.

Nazajutrz odwiedził znowu biédną idyotkę. Opowiadała mu znowu o Ottonie, którego całą duszą ukochała, i znowu długi z tego ułożyła romans. Płakała rzewnemi łzami i przyciskała rękę do piersi, aby serce z niéj się nie wydarło. Jeszcze mniéj było tego dnia nadziei dla Leona. Mimo to zjadł wieczerzę z dobrym apetytem i spał tak smacznie jak nigdy.

Przez cały tydzień słuchał z cierpliwością spowiednika wszystkich wyznań biédnéj siéroty. Dowiedział się przy tém od niéj, że nie ma szlachetniejszéj duszy na świecie od junkra, który tylko nie rozumiał jéj dobrze, a gdy z kolei o Ottonie mówić zaczęła, wpadała w zachwycenie, wyliczając jego dobre przymioty. Hrabia Leon słuchał tego wszystkiego z zimną krwią, potwierdzał jéj zdanie, a przy tém miał wcale dobry apetyt i spał spokojnie.

Gdy się wszystkie wyznania idyotki wyczerpały i konwersacya nudną być zaczynała, zaproponował jéj Leon, że jéj coś przeczyta. Terenia lubiła książki. Leon czytał jéj jeden i drugi wieczór, na trzeci opowiadał jéj coś o swoich przygodach w świecie, na czwarty pytał się troskliwie o jéj zdrowie, mówił coś o nudotach życia, jeźli je człowiek sam jeden przebywa.

Za tydzień już nic nie mówiła idyotka ani o junkrze, ani o Ottonie. Z coraz większém zajęciem wpatrywała się w twarz Leona, jéj oczy z każdém jego słowem nabierały większego blasku.

Pewnego dnia przyszedł do niéj Leon. Biédna siérota była blada i zmęczona, a cały czas patrzyła na niego jak w tęczę. Przy pożegnaniu wspomniała mu z zarumienieniem, że miała noc bezsenną.

Leon wrócił do swego pokoju—ale wieczerzy nie jadł i miał także noc bozsenną.

W kilka miesięcy późniéj pisał do Rzymu:

„Kochany Jerzy! Zdanie twoje o biédnéj siérocie było prawdziwe. Jestem szczęśliwym. Aniół nawrócił mnie i zniknął odemnie... a ziemska istota otworzyła mi serce i ramiona swoje. Kocham i jestem kochany, jak tylko kobiéta kochać może. Dąbczyn kupiłem... przyjeżdżaj na probostwo.

Post scriptum. Janina idzie w zapusty za mąż—za „barona“ Ottona Warnera. Poczciwy to chłopiec i ma miliony. Polubiłem go.“

EPILOG.

Najbardziéj z wszystkich ugiął się pod ciosem tych smutnych wypadków poczciwy Mietlica. Biédny prostaczek nie miał się na czém oprzéć. W szale boleści zwątpił o Bogu, bluźnił samemu sobie, wybił żonkę i byłby może na luterską wiarę przeszedł, gdyby ksiądz Maciéj nie był go w samą porę zgromił. Potém postanowił zostać pustelnikiem, jak to w dawnych czasach praktykowano. Uciekając tym sposobem od świata i żonki, wybrał już był sobie śród błot wielko-polskich mały ostrów, gdzie chciał sobie szałas z chrustu wystawić. Ale domek zegarmistrza nie dał mu potrzebnego do takiego życia pokoju. Na nieszczęście kupił go na licytacyi na spółkę z Jerzym. Do tego młody Warner, porządkując papiéry ojca, znalazł w nich zapisane dwa tysiące talarów Jerzemu do wiadomego mu użytku. Stary negocyant w jakiéjś szczęśliwéj chwili zapisał to, ale dla okrągłości liczby urwał pięćset talarów. Jerzy nie chciał tego przyjąć i po długich targach przeniósł wreszcie tę sumę na rzecz domku zégarmistrza. Taki skład rzeczy wywołał Mietlicę z błot dąbczyńskich i pogodził go ze świa-

tem i żonką. Wziął się zaraz do murowania nowego domu. I gdy już właśnie, przy pomocy Grzanki, mury na piąterko pociągnął, wrócił zégarmistrz w téj saméj granatowéj czamarze i czapce trójgraniastéj, i tak jakoś zdrów i wesół wyglądał, jakby dopiéro wczoraj się rozstał ze swymi przyjaciołmi. Dwa dni płakali przyjaciele za tymi, którzy pomarli, a przez trzy dni następne cieszyli się, że ich Bóg wszechmocny znowu razem sprowadził.

— Wierzaj mi Jakubie — mówił zégarmistrz, ociérając łzy—nie bardzo to źle się stało, że człowieka przytrzymali. Już to Bóg tak zrządza, że nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Dotąd myślałem, że wszystko to, co dawne i nasze, jest już najlepsze na świecie. Jest trochę w tém prawdy, ale nie zupełnie. Powinniśmy kochać to, co ojcowie nasi kochali — ale nie powinniśmy zamykać oczu, gdy nowe rzeczy widzimy. Myślałem dotąd, że nie ma nic nad nasze zégary z kukułką. Otoż siedząc w więzieniu z tamtejszym zégarmistrzem i rozprawiając z nim o naszym kunszcie, przekonałem się, że i oni mają wiele dobrych i pożytecznych rzeczy i wymysłów. Ich zégarki nowoczesne są lepsze od naszych gratów. Otóż jeżeli nieszczęście jakie między nich nas zaprowadzi, powinniśmy z tego korzystać i ich dobre wymysły sobie przyswajać. Obaczysz, jaki ja teraz sklep z zégarami założę! A ty Grzanka — mówił daléj mieszczanin — musisz w tym domku także miéć sklep porządny na twoje żaby i baranki. Mój nieprzyjaciel z tłustym brzuchem może zbankrutować.

— Ba!—ozwał się Mietlica — a ja co będę robił? Ja nic nie umiem!

— Ty, Jakubie—odparł zégarmistrz—musisz być razem z nami. Ten domek należy do nas trzech. Jest na rogu ulicy, Grzanka wystruga ci misterną wiechę, będziesz miał szynk!

— Szynk!—krzyknął Mietlica — ba, ale wachmistrz od ułanów...

— Każda praca jest uczciwa i nie hańbi człowieka!—odpowiedział mieszczanin, a wiarus podkręcił wąsa i uśmiechnął się do złotéj wiéchy, którą widział przed oczyma duszy.

Nazajutrz przyprowadził Mietlica Sorokę i zapoznał go z Wojną. Po kilku tygodniach wysypał Sorokę i zapoznał go z Wojną. Po kilku tygodniach wysypał Soroka własnemi rękoma na granicznym kopcu Dąbczyna kilkanaście taczek ziemi, przeżegnał kopiec i nazwał go mogiłą Soroki. Na tym szczególnym chrzcie byli: Wojna, Mietlica i Grzanka.

Kilka lat minęło od tego czasu. Hrabia Leon krząta się koło gospodarstwa, a gdy zmęczony do zamku powraca, wychodzi mu naprzeciw piękna, młoda kobiéta z dwojgiem dzieci na ręku, podobnych do aniołków. Leon całuje żonę oraz dzieci i pisze co tydzień do Rzymu, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Słabe serce Tereni oparło się na silnem ramieniu męża—siérota odzyskała zdrowie i jest bardzo rozsądną matką, oraz najtkliwszą żoną.

Na odnowionéj wieży zamkowéj powiéwa chorągiew kresowego rycerza. Von der Mark sprzedaje swoje posiadłości. Hrabia Leon dopomaga mieszczanom dąbczyńskim i właśnie myśli o zawiązaniu na ak-

cye wielkiego towarzystwa obywateli poznańskich, któreby miało za cel skupować na subhastach dobra ziemskie i wydzierżawiać je podupadłym dawnym właścicielom ziemskim. Górnicki, który szczęśliwie przebył gorączkę nerwową, jest u niego rządzcą.

Otton zatrzymał Czarnowody i Radziejewo, wystawił pałac i przywiózł z Drezna Janinę. Wszedł w spółkę z Leonem i dokończył fabryki w Mogiłach, z któréj spodziewają się znacznego dochodu. Przeszedł na wiarę Janiny i liczy się do polskich obywateli ziemskich.

A w kamienicy o śmiéjących się karyatydach smutno i głucho. Z nad okien zdjęto napis „Goliat et Compagnie“, brama prawie zawsze zamknięta, negocyantów nie widać przed nią, tylko lud przechodzący widzi czasem za kratą wykrzywioną twarz nieszczęśliwego obłąkańca.

Matylda kocha Janinę jak siostrę i często odwiedza ją w Czarnowodach. Kilku rzeczy tylko nie może zrozumiéć. Dziwi ją, jak kobiéta może być szczęśliwą bez kuchni i śpiżarni, i jak może miéć przyjemność w towarzystwie ospowatego pułkownika od dragonów, który jest tak nieznośnie wysoki. A gdy dziwny wypadek zrządził, że u wód X**, dokąd z Janiną przybyła, pojawił się także ów ospowaty pułkownik, nie mogła Matylda tego przenieść na sercu, aby bratu swoich uwag w tym względzie nie udzielić. Ale szczęśliwy mąż uśmiéchnął się na te uwagi siostry swojéj z pobłażaniem, nazywając je zabytkami mieszczaństwa.

Na ulicy Podzamczéj są w nowym domku dwa porządne sklepy i szynk pod złotą wiechą. Na jednym stoi napis: Wojna, zégarmistrz, a nad nim Opatrzność

boska. Z drugiego sklepu, z pomiędzy żabek i baranków, wychodzi co wieczora, gdy dzieci ze szkoły idą, mieszczanin w porządnéj kapocie, wepchnie żakowi grosz do ręki i każe mu sobie napis nad tym sklepem przeczytać. Żak chowa grosz do kieszeni, czyta: „Grzanka“ i ucieka. A mieszczanin stoi w zachwyceniu i mówi do siebie:

— Héj, Grzanka! Gdyby to Zwiebak i Butterbrod widzieli ten sklep twój!

Słychać, że sąsiad z tłustym brzuchem bankrutuje. Hrabia Leon często gęsto idąc ulicą Podzamczą, wstąpi do domku zégarmistrza. Zégarmistrz kilka razy dał się z tém słyszéć, że mu jakoś nudno bez gospodyni w domu. Ale Mietlica odradza mu zawsze, że jeźli Bóg dobry wziął do swego przybytku jego Basię, to nie trzeba drugi raz tentować miłosierdzia bożego.

A tymczasem śpią umarli spokojnie i cieszą się z tego, co się tam nad nimi dzieje. Przybył do nich margrabia i radzi przyjęli go między siebie. Zginął on potém w pojedynku, gdy mu honor nakazywał stanąć w obronie zelżonéj naszéj przeszłości.

Margrabina, wyczerpawszy wszystkie namiętności serca i duszy, przywdziała sukienkę Tercyarki. Zeszły się z Zuzanną u jednéj mety, chociaż tak różnemi szły drogami. Czarna szata okrywa ich serca, w których tylko Bóg czyta. A wierzymy, że jest sprawiedliwy i miłosierny.

I z różnych stron, gdy ozwie się dzwonek na „Ave Maria“, wznoszą się naraz z trzech serc, pragnących wielkiéj, gorącéj miłości, trzy pieśni do Przeczystéj Panny — jedna z nad Tybru, gotującego się do

służby bożéj kapłana, druga nad Wartą duszy po jącéj, a trzecia nad Notecią, czysta i wzniosła pieśń anioła.

A Bóg z radością patrzy z nieba na tych, rzy dobrą, i na tych, którzy lepszą część życia obrali.

KONIEC

Ex libris JURCZYŃSKICH

ಡಾ. ಕೆ. ಶಿವರಾಮ ಕಾರಂತ

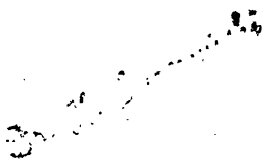

Stanford University Libraries
3 6105 124 433 363

PG
7158
Z19N3
188

Stanford University Libraries
Stanford, California
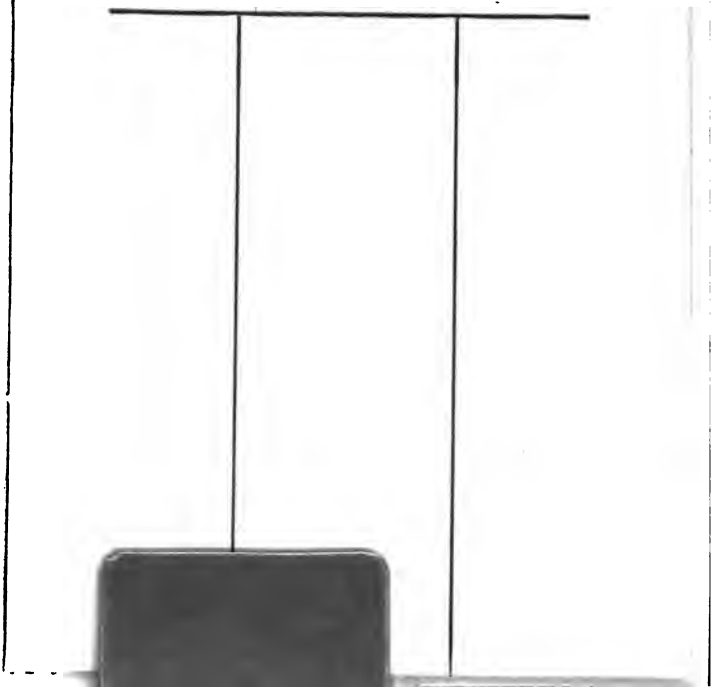
Return this book on or before date due.